



Bestseller z Top 10 „New York Timesa”

Dalsze romantyczne, zabawne, seksowne przygody ulubionych bohaterów czytelniczek Susan Elizabeth Phillips, rozpoczętych w bestsellerze Nikt mi się nie oprze

Najbardziej doskonały mężczyzna na ziemi spotyka zupełnie niedoskonałą dziewczynę.

A to oznacza kłopoty...

Lucy Jorik zawsze dbała o to, by nie skompromitować rodziny - w końcu jej matka, była prezydent USA, jest jedną z najsławniejszych kobiet świata. A teraz, w dzień własnego wesela, przynosi wstyd nie tylko rodzicom, ale i najwspanialszemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek znała. Zamiast powiedzieć „tak” i wyjść za Pana Doskonałego, ucieka z kościoła, wskakuje na motor jakiegoś obcego faceta i odjeżdża w nieznane... Świat zaczyna szukać Lucy, a Lucy musi odnaleźć samą siebie. Jej dobre maniere na nic się nie przydadzą w kontaktach z mężczyzną, który nie jest ani doskonały, ani stworzony dla niej. I który tak dużo wie o Lucy, ale nie zdradza własnych tajemnic...

Czy ta zupełnie niedobrana para znajdzie coś, co ich łączy? Czy Lucy znajdzie to, za czym zawsze tęskniła - odrobinę prawdziwej namiętności?

Panna młoda ucieka opowiada o dalszych perypetiach ulubionych bohaterów czytelniczek Susan Elizabeth Phillips, rozpoczętych w bestsellerze Nikt mi się nie oprze. Raz jeszcze spotykamy Lucy (Pierwsza Dama), Teda (Wymyślne zachcianki i Nie będę damą) i Meg (Z miłości) w zabawnej, wruszającej, pełnej uroku historii o kobiecie poszukującej swojego przeznaczenia i o pokiereszowanym przez życie mężczyźnie, który nie wierzy w nowe początki.

*A jednak po raz tysięczny Lucy zapragnęła mieć prawdziwą rodzinę. Całe życie marzyła o ojcu, który kosiłby trawnik, wołał ją, używając jakiegoś zdrobniałego imienia... marzyła też o matce, która nie upijałaby się, nie była wyrzucana z pracy, nie uprawiała seksu z kim popadnie.*

z powieści Pierwsza Dama

## Rozdział 1

LUCYNIE MOGŁA ODDYCHAĆ. Gorset sukni ślubnej, który w czasie przymiarek pasował doskonale, teraz zacisnął się wokół jej żeber jak boa dusiciel. A gdyby faktycznie padła martwa, tu i teraz, w przedsionku prezbiteriańskiego kościoła w Wynette?

Przed drzwiami niczym na barykadach tłoczyła się międzynarodowa armia reporterów, a wewnątrz kościoła pękało w szwach od sławnych i możliwych tego świata. W pobliżu czekała była prezydent USA wraz z małżonkiem. To oni mieli poprowadzić Lucy do ołtarza, by poślubiła najwspanialszego mężczyznę pod słońcem. Mężczyznę, o jakim śniły wszystkie dziewczyny na świecie. Najlepszego, najbardziej troskliwego, najmądrzejszego... Czy którakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach nie chciałaby wyjść za Teda Beaudine'a? Lucy dała się mu oczarować już na pierwszym spotkaniu.

Rozległy się trąbki. Ogłaszały, że rusza orszak panny młodej. Lucy usiłowała wciągnąć w płuca choć odrobinę powietrza. Nie mogłaby wybrać sobie piękniejszego dnia na ślub. To był ostatni tydzień maja. Dzikie kwiaty porastające teksańskie wyżyny odrobinę już przywiedły, ale właśnie rozkwitły mirtowe krzewy, a przed drzwiami kościoła pyszniły się róże. Idealny dzień.

Jako pierwsza ruszyła trzynastoletnia siostra Lucy, najmłodsza z czterech druhien - wbrew modzie orszak weselny był bardzo skromny. Po niej miała iść piętnastoletnia Charlotte, a potem Meg Koranda, najlepsza przyjaciółka Lucy od czasów studiów. Główną druhną została jednak Tracy, osiemnastoletnia siostra

Lucy, tak bardzo zauroczona Tedem, że wciąż rumieniła się, ilekroć coś do niej mówił.

Welon zatrzepotał nagle przed twarzą Lucy, kilka warstw białego tiulu ledwie pozwalało jej zaczerpnąć powietrza. Pomyślała o Tedzie, fantastycznym kochanku, błyskotliwym, inteligentnym i dobrym facecie. Idealnym mężczyźnie dla niej. Wszyscy tak mówili.

Wszyscy, oprócz jej najlepszej przyjaciółki Meg.

Poprzedniego wieczoru po kolacji Meg objęła Lucy, żeby szepnąć jej coś na ucho.

- On jest wspaniały, Luce. Taki, jak mówiłaś. Ale absolutnie nie wolno ci za niego wyjść.

- Wiem. - Lucy usłyszała własny szept. - Chociaż i tak zamierzam to zrobić. Teraz już za późno, żeby się wycofać.

Meg potrząsnęła nią mocno.

- Nie jest za późno. Pomogę ci. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Łatwo jej było mówić, Meg wiodła kompletnie nieuporządkowane życie. Lucy nie mogła sobie na to pozwolić. Ciężka na niej odpowiedzialność, której Meg nigdy by nie zrozumiała.

Gdy matka Lucy po raz pierwszy składała przysięgę, kraj był zafascynowany życiem państwa Jorików, którzy adoptowali troje dzieci i mieli jeszcze dwoje biologicznych. Rodzice chronili młodsze dzieci przed zainteresowaniem mediów, ale gdy Nealy po raz pierwszy obejmowała urząd, Lucy miała dwadzieścia dwa lata, więc nikt się już z nią nie cackał. Opinia publiczna uważnie śledziła jej poczynania. Lucy okazywała przybranej rodzinie wiele przywiązania - opiekowała się rodzeństwem, zastępując wiecznie nieobecnych Nealy i Matta. I wciąż słyszała, jak komentowano jej pracę, ubogie życie osobiste, a nawet niezbyt ekscytujące wybory modowe. A teraz z całą pewnością wszyscy czekali na ten ślub.

Lucy planowała, że spotka się z rodzicami w połowie nawy - co stanowiło symboliczne nawiązanie do faktu, że wkroczyli w jej życie, kiedy była zbuntowaną czternastolatką z piekła rodem. Nealy i Matt mieli towarzyszyć Lucy na ostatniej prostej, idąc po jej prawej i lewej stronie.

Charlotte weszła na biały dywan. Była najbardziej nieśmiała z całego rodzeństwa i bała się, że po ślubie zabraknie jej starszej siostry.

- Przecież możemy codziennie do siebie dzwonić - powiedziała Lucy, ale Charlotte, przyzwyczajona do mieszkania z siostrą pod jednym dachem, protestowała, że to nie będzie to samo.

Nadeszła kolej Meg. Przyjaciółka zerknęła przez ramię. Lucy nawet przez zasłonę z tiulu widziała troskę w jej uśmiechu. Chętnie by się z nią zamieniła. Pożyłaby sobie niefrasobliwym życiem Meg, włączyłaby się od kraju do kraju, bez rodzeństwa, które trzeba wychowywać, nie troszcząc się o reputację rodziny, bez towarzyszących jej na każdym kroku kamer.

Meg odwróciła się, podniosła bukiet do wysokości talii i przykleiła sobie uśmiech do twarzy. Była gotowa zrobić pierwszy krok.

I wtedy... bez namysłu... nie zastanawiając się, jak w ogóle mogła rozważać coś tak egoistycznego, tak podłego, skandalicznego i niewyobrażalnego... Zrobiła to. Chociaż z całych sił chciała się przed tym powstrzymać, rzuciła bukiet na ziemię, chwiejnym krokiem ominęła siostrę i chwyciła Meg za ramię, zanim ta zdążyła się ruszyć. Usłyszała własny głos, dobiegający gdzieś z daleka. Słowa brzmiały chrapliwie.

- Muszę porozmawiać z Tedem. Teraz.

- Co ty robisz, Luce? - wystękała Tracy za jej plecami.

Lucy nie potrafiła na nią spojrzeć. Była rozpalona, huczało jej w głowie. Wbiła palce w ramię Meg.

- Proszę, przyprowadź go. Proszę cię. - To było błaganie, niemal modlitwa.

Przez duszące warstwy tiulu zobaczyła, że Meg otwiera usta ze zdumienia.

- Teraz?! Nie uważasz, że był na to czas kilka godzin temu?

- Miałaś rację! - krzyknęła Lucy. - To wszystko prawda. Miałaś zupełną rację. Pomóż mi. Proszę. - Te słowa wydawały jej się dziwnie obce. To ona zawsze pomagała innym. Nawet jako dziecko nigdy o nic nie prosiła.

Tracy odwróciła się gwałtownie do Meg, a jej niebieskie oczy lśniły z oburzenia.

- Nie rozumiem. Coś ty jej naopowiadała? - Chwyliła Lucy za rękę. - Luce, to tylko atak paniki. Wszystko będzie dobrze. Ale Lucy wiedziała, że nie będzie. Ani teraz, ani nigdy.

- Nie. Muszę... muszę porozmawiać z Tedem.

- Teraz?! - Tracy zabrzmiała jak echo Meg. - Nie możesz tego zrobić.

Lucy nie miała innego wyjścia. I nawet jeśli Tracy nie potrafiła się z tym pogodzić, to Meg zrozumiała. Zmartwiona kiwnęła głową, ułożyła bukiet w poprawnej pozycji i ruszyła w stronę ołtarza, żeby sprowadzić Teda.

Lucy nie знаła tej histerycznej osoby, która objęła we władanie jej ciało. Nie była w stanie spojrzeć w zrozpaczone oczy siostry. Po omacku ruszyła w stronę przedsionka, miażdżąc obcasami szpilek bukiet białych lilii. Przy wielkich drzwiach wejściowych stali dwaj agenci służb specjalnych, którzy czujnym wzrokiem przyglądali się ceremonii. Tuż za nimi czekał tłum gapiów, morale kamer telewizyjnych, chmara dziennikarzy:

„Dziś wesele najstarszej córki pani prezydent Cornellii Case Jorik. Trzydziestjednoletnia Lucy Jorik poślubi Teda Beaudine'a, jedyne go syna legendy golfa Dallasa Beaudine'a i dziennikarki telewizyjnej Franceski Beaudine. Nikt nie spodziewał się, że panna młoda zdecyduje się wyprawić ceremonię w małym miasteczku Wynette w stanie Teksas, w którym urodził się jej narzeczony, ale...”

Usłyszała zdecydowane męskie kroki na marmurowej posadzce. Odwróciła się i zobaczyła Teda idącego w jej stronę. Przez tiulową zasłonę obserwowała grę słońca w jego kasztanowych włosach, smuga światła zalała przystojną twarz narzeczonego. Wszystko jak zawsze. Gdziekolwiek szedł, przynosił ze sobą słońce. Był pięknym, dobrym człowiekiem; mężczyzną doskonałym. Najdoskonalszym, jakiego znała. Najdoskonalszym możliwym zięciem dla jej rodziców i najlepszym potencjalnym ojcem dla jej dzieci. Spieszył w jej stronę. W jego oczach nie dostrzegła gniewu - to nie było w stylu Teda - jedynie troskę.

Tuż za Tedem szli rodzice Lucy. Mieli przerażone miny. Za chwilę pojawią się tu rodzice Teda, a potem wszyscy: siostry,

bracia, przyjaciele pana młodego, goście... Tylu ludzi, których kochała. Tylu bliskich.

W panice szukała jedynej osoby, która mogła jej pomóc.

Meg odeszła na bok i przystanęła, desperacko zaciskając dłonie na swoim bukietku. Lucy patrzyła uporczywie w jej oczy, modląc się, by przyjaciółka zrozumiała, o co ją prosi. Meg ruszyła w jej stronę, po czym nagle się zatrzymała. To była telepatia. Meg od razu chwyciła, o co chodzi.

Ted chwycił Lucy za ramię i zaprowadził ją do małego pomieszczenia z boku. Jeszcze zanim drzwi się zamknęły, Lucy zobaczyła, jak przyjaciółka głęboko nabiera powietrza i zdecydowanym krokiem zmierza w stronę jej rodziców. Meg przywykła do radzenia sobie z różnymi aferami. Miała ich na koncie tyle, że Lucy mogła liczyć... Na co właściwie?

Długi, wąski korytarzyk był niesamowicie zagracony. Niebieskie stroje chóru zwisały z wieszaków, na wysokich regałach stały książeczki z hymnami i nutami, a dokoła piętrzyły się zakurzone, stare pudła. Przez brudne szyby w drzwiach na końcu korytarza sączyła się strużka słonecznego światła, która jakimś cudem znalazła drogę do policzka Teda. Lucy prawie przestała oddychać. Kręciło jej się w głowie z braku powietrza.

Ted popatrzył na nią, jego chłodne, bursztynowe oczy przygasły. Malujący się w nich spokój przeczył zdenerwowaniu narzeczonego. Oby tylko Ted wszystko naprawił, on zawsze wszystko naprawia, pomyślała Lucy. Oby tylko naprawił ją.

Tiul przywarł do jej policzka, przykleił się do potu albo do łez - nie wiedziała. I wtedy wydobyły się z niej słowa, których nigdy nie spodziewała się powiedzieć.

- Ted, ja nie mogę... Nie mogę tego zrobić.

Podniósł welon, dokładnie tak, jak to sobie wyobraziła, chociaż sądziła, że scena ta będzie miała miejsce po ceremonii, a po niej nastąpi pocałunek. Na twarzy narzeczonego malowała się dezorientacja.

- Nie rozumiem.

Ona też nie rozumiała. Jeszcze nigdy nie doświadczyła tak niepoahamowanej, czystej paniki.

Przechylił głowę, popatrzył jej w oczy.

- Lucy, doskonale do siebie pasujemy.

- Wiem... doskonale... tak.

Czekał. Nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby chociaż mogła odetchnąć. Zmusiła usta do wypowiedzenia kolejnych słów.

- To prawda, jesteście doskonałą parą. Ale... nie mogę tego zrobić.

Czekała, aż zaprotestuje. Zacznie walczyć. Przekonywać, że się myli. Czekała, aż Ted weźmie ją w ramiona i powie, że to tylko atak paniki. Ale wyraz jego twarzy się nie zmienił, zobaczyła tylko niemal niezauważalny skurcz w kąciку wargi.

- Chodzi o Meg, prawda? - spytał. - To ma związek z twoją przyjaciółką?

Naprawdę miało? Czy Lucy zrobiłaby coś tak niewyobrażalnego, gdyby w jej życiu nie pojawiła się Meg, z jej miłością, wewnętrznym chaosem i brutalnie szczerym osądem?

- Po prostu nie mogę.

Miała lodowate palce. Gdy dotknęła diamentu, zatrząsły jej się ręce. Z trudem ściągnęła pierścionek i omal nie upuściła go na posadzkę, gdy wpychała go narzeczonemu do kieszeni.

Ted oderwał palce od jej welonu. Nie błagał. Nie zrobił absolutnie nic, by zmienić zdanie.

- W porządku, w takim razie... - Kiwnął głową, odwrócił się i odszedł. Spokojny. Opanowany. Doskonały.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Lucy przycisnęła dłonie do żołądka. Powinna sprowadzić go z powrotem, pobiec i krzyknąć, że zmieniła zdanie. Ale jej stopy odmówiły posłuszeństwa, umysł też.

Klamka w drzwiach powoli się przekręciła - w progu stanął jej ojciec, matka tuż za nim. Oboje byli bladzi, spięci i zmarwnieni. Zrobili dla niej wszystko, a małżeństwo z Tedem było najwspanialszym prezentem, jakim mogłaby się im odwdziaczyć. Nie wolno jej było tak ich upokarzać. Musiała sprowadzić Teda z powrotem.

- Jeszcze nie teraz - szepnęła, zastanawiając się, co właściwie ma na myśli. Wiedziała, że potrzebuje zaledwie kilku chwil, by wziąć się w garść i przypomnieć sobie, kim jest.



Matt z wahaniem zamknął drzwi.

Świat Lucy legł w gruzach. W ciągu najbliższych kilku godzin cały świat miał dowiedzieć się o tym, że rzuciła Teda Beaudine'a. A to było nie do pomyślenia.

Morze aparatów... chmary reporterów... Postanowiła już nigdy nie wychodzić z tego malutkiego, zatęchłego pokoiku. Mogła przecież spędzić tu resztę życia, otoczona tekstami hymnów i szatami chóru. Tak wyglądałaby jej pokuta za to, że skrzywdziła najwspanialszego człowieka, jakiego znała i przyniosła wstyd rodzinie.

Welon przywarł jej do warg. Szarpnęła za tiarę - grzebyk i kryształki zaczęły się o włosy, ale ból przyniósł jej satysfakcję. Oszałała. Zachowała się niewdzięcznie. Zasłużyła na ból. Zerwała z siebie welon, wykręciła ręce jak węże, żeby rozpiąć suknię na plecach i po chwili także i ona leżała wokół niej na ziemi, jak kałuża białej satyny. Lucy z trudem chwyciła oddech w wykwintnym, francuskim staniku, koronkowych majteczkach ślubnych, niebieskich podwiązkach i białych, satynowych szpilkach.

Uciekaj! Jedno słowo zagłuszyło wszystkie inne w jej umyśle: Uciekaj!

Odgłosy dobiegające z zewnątrz nagle przybrały na sile, po czym znowu ucichły, jakby ktoś otworzył drzwi od kościoła i natychmiast znowu je zamknął.

Uciekaj!

Chwyciła jedną z granatowych tóg, w jakich występował chór. Zerwała ją z wieszaka i wsunęła na rozczochraną głowę. Chłodna, przykurzona szata ześlizgnęła się po jej ciele, zasłaniając francuską bieliznę i skape majteczki. Lucy niepewnym krokiem ruszyła do niewielkich drzwi na końcu pomieszczenia. Przez brudne szyby widziała wąskie, zarośnięte przejście wzdłuż muru z pustaków. Nie panowała nad dłońmi, więc nie od razu poradziła sobie z zamkiem, ale w końcu udało jej się otworzyć drzwi.

Ścieżka zaprowadziła ją na tyły kościoła. Gdy mijała wystającą aparaturę klimatyzacji, omal nie uwięzła obcasami w pęknięciach chodnika. Wiosenne burze naniósł mnóstwo śmieci

na żwir z boku ścieżki - wszędzie walały się zgniecione kartony po sokach, strzępki gazet, była nawet porzucona żółta dziecięca łopatka do piasku. Lucy zatrzymała się na końcu drogi, wszędzie stali ochroniarze. Musiała się zastanowić, co robić dalej.

Agent, który jej pilnował, został zwolniony kilka miesięcy wcześniej, bo minął już rok, odkąd Nealy ustąpiła z urzędu. Ale matce Lucy wciąż przysługiwała asysta. Córka towarzyszyła jej tak często, że nawet nie zauważała braku własnego ochroniarza. Z okazji ślubu Ted wynajął prywatną firmę, żeby wzmocnić wątłe siły miejscowej policji. Pod drzwiami stała straż. Na parkingu w kształcie litery L roiło się od samochodów. Wszędzie było mnóstwo ludzi.

To Waszyngton był domem Lucy, nie to miasteczko w środkowym Teksasie. Wałczyła o to, by zakochać się w tych okolicach, ale poniosła żalostną klęskę. Pamiętała jednak, że kościół znajdował się na skraju starej, willowej dzielnicy. Gdyby udało jej się dobrać na drugą stronę alei, do domków, które tam stały, mogłaby skryć się gdzieś między uliczkami.

A co potem? Nie miała genialnego planu - jak Nealy, której wiele lat wcześniej udało się wyrwać z samego Białego Domu. To w ogóle nie była ucieczka. Tylko komplikacja. Odwleczenie wyroku. Musiała znaleźć miejsce, w którym mogłaby odzyskać oddech i wziąć się w garść. Dziecięcy domek na drzewie. Ustronny kątek czyjś podwórko. Gdzieś z dala od chaosu mediów, zdradzonego narzeczonego i oszołomionej rodziny. Potrzebowała tymczasowej kryjówki, by przypomnieć sobie, kim jest i ile zawdzięcza ludziom, którzy przyjęli ją do swojego domu.

Och, Boże, co ona wyprawia?!

Jakieś zamieszanie po drugiej stronie kościoła zwróciło uwagę ochroniarzy. Lucy nie sprawdziła nawet, co się dzieje, tylko niezgrabnie okrążyła mur, przebiegła na drugą stronę ulicy i przykucnęła za śmietnikiem. Tak mocno trzęsły jej się kolana, że musiała z całych sił wtulić się w przerdzewiały kosz. Czuła smród odpadków. Nie słyszała żadnych okrzyków zaniepokojenia, z oddali dobiegały tylko odgłosy pakowania ławek, które rozstawiono przed kościołem.

Usłyszała cienki pisk, jak miauczenie kotka, i uświadomiła sobie, że to ona. Z trudem przeczołgała się wzdłuż szpaleru krzewów, który rozdzielał posiadłości. Wychodził prosto na brukowaną ceglami ulicę. Lucy szybko przeszła przez nią do czyjś ogródka.

Stare drzewa ocieniały niewielkie podwórka i wolno stojące garaże, które wychodziły na wąskie alejki. Lucy owinęła się szczelniej błękitną togą i na oślep zaczęła przedzierać się przez przydomowe ogródki i podjazdy. Zapadała się obcasami w ziemię, w której świeżo skopano grządki pod warzywa, wymijała młode gałązki z pomidorkami wielkości kulek. Z otwartego kuchennego okna dotarł do niej aromat pieczeni, z sąsiedniego pokoju dobiegały odgłosy gry wideo. Wkrótce z tego samego telewizora można będzie usłyszeć doniesienia o wybrykach nieodpowiedzialnej córki byłej prezydent Cornellii Case Jorik. Trzydziesto-jednoletnia Lucy w kilka godzin przekreśliła siedemnaście lat poprawnego zachowania. Siedemnaście lat udowadniania Matowi i Nealy, że ich decyzja o adopcji nie była błędem. A co do Teda... chyba nie mogła go mocniej skrzywdzić.

Zaszczekał pies, zapłakało dziecko. Lucy potknęła się o wąż ogrodowy. Zahaczyła głową o huśtawkę. Szczekanie psa przybrało na sile, chwilę później jakiś kundel o rudawej sierści rzucił się na drucianą siatkę rozgraniczającą podwórka. Lucy wycofała się za figurę Marii Panny i wyszła na uliczkę. Poczła kamyki w czubkach szpilek.

Usłyszała ryk silnika. Wyprostowała plecy. W alejkę skręcił poobijany czarno-srebrny motocykl. Zanurkowała między garaże i przywarła do odrapanej białej ściany. Motor zwolnił. Wstrzymała oddech, czekając, aż przejedzie. Ale nie przejechał. Ruszył wolniutko naprzód i zatrzymał się dokładnie przed nią.

Kierowca wpatrywał się w przestrzeń między garażami i w końcu dotarł wzrokiem do miejsca, w którym stała.

Niespiesznie zmierzył ją spojrzeniem, nie gasząc silnika. Jego czarny but uderzył o żwir.

- Co tam? - powiedział, przekrzykując motor.

Co tam? Złamała serce przyszłemu mężowi, przyprowadziła rodzinę o zawał i za chwilę stanie się najbardziej pogardzaną

uciekającą panną młodą Ameryki. A ten gość zapytał ją po prostu „Co tam”?

Miał o wiele za długie czarne włosy, które zaczynały mu się podkręcać na wysokości kołnierza, lodowate błękitne oczy, wydatne kości policzkowe i usta sadysty. Po tym jak przez całe lata chronili ją agenci służb specjalnych, Lucy nauczyła się już myśleć, że bezpieczeństwo ma zagwarantowane. Teraz jednak nie czuła się bezpiecznie, a fakt, że facet mgliście przypominał jednego z gości, którzy poprzedniego wieczoru uczestniczyli w próbnym przyjęciu - było tam mnóstwo przypadkowo dobrych znajomych Teda - zupełnie jej nie pocieszał. Ten mężczyzna nie wyglądał jak ktoś, kogo miałaby ochotę spotkać w ciasnej alejce, chociaż tym razem prezentował się nieco porządniej, w niedopasowanym, ciemnym garniturze, wygniecionej białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i motocyklowych butach, które chyba nigdy nie doczekały się niczego lepszego niż otrzymanie z kurzu. Kłopot polegał na tym, że właśnie go spotkała.

Miał duży, spłaszczony nieco nos. Z kieszeni fatalnie skrojonej marynarki wystawał mu zmięty krawat. Długie, rozwichrzone włosy, poskręcane i skołtunione wyglądały jak niebo van Gocha, namalowane palcem za pomocą słoiczka czarnego atramentu.

Lucy od ponad dziesięciu lat, od pierwszej kampanii prezydenckiej Nealy, starała się pilnować każdego słowa i gestu, zawsze uśmiechnięta, zawsze uprzejma. A teraz, chociaż od wielu lat była mistrzem w sztuce konwersacji o niczym, zabrakło jej słów. Miała natomiast neodparte pragnienie, by pozwolić sobie na drwinę: „A co tam u ciebie?” Ale oczywiście się powstrzymała.

Kiwnął głową w stronę tylnego siedzenia motoru.

- Masz ochotę na przejażdżkę?

Wstrząsnęło nią to, każdą cząstką jej ciała, od żył po tchawicę. Dreszcz przeszył skórę, mięśnie i kości. Zadygotała. Nie z zimna, ale dlatego, że nagle uświadomiła sobie, że od wielu, wielu lat niczego nie pragnęła tak bardzo, jak znaleźć się na tym motorze. Wsiąść i uciec od konsekwencji tego, co zrobiła.

Wsunął krawat głębiej w kieszeń marynarki. Stopy Lucy ruszyły naprzód, zupełnie jakby wiedzione własną wolą. Usiło-

wała je zatrzymać, ale odmówiły posłuszeństwa. Zbliżyła się do pojazdu i zobaczyła sfatygowaną tablicę rejestracyjną z teksańskimi numerami i naklejkę z odklejonym rogiem, która zakrywała część wysłużonego, skórzanego siedzenia. Literki wyblakły, ale wciąż dało się odczytać słowa: „Nie ma jazdy za frajer, bak, blanty albo bara-bara”.

Gdy dotarła do niej treść przekazu, poczuła się, jakby kopnął ją prąd. Takiego ostrzeżenia nie mogła zignorować. Ale jej ciało - to zdradzieckie ciało - przejęło kontrolę. Ręka chwyciła już rąbek togi. Stopa uniosła się nad ziemię. Noga powędrowała na drugą stronę siedzenia.

Podał jej jedyny kask. Nasunęła go na rozwichrzone resztki weselnej fryzury i objęła nieznanego w pasie.

Śmignęli alejką, aż zafurkotały poły togi. Lucy poczuła wiatr na nagiej skórze, a trzepoczące włosy zasłoniły jej wizjer kasku. Wetknęła łopoczącą szatę pod nogi, a kierowca pędem przemysłkał z uliczki w uliczkę, ostro biorąc zakręty i napinając przy tym mięśnie pod tanim materiałem garnituru.

Wyjechali z Wynette i pomknęli dwupasmówką biegnącą przez wapienne urwisko. Kask był jej kokonem, motor planetą. Przecięli pola kwitnącej lawendy, zostawili w tyle tłoczarnię oliwy i kilka winnic rozsianych po Hill Country. Wiatr szarpał togę, odsłaniając kolana i uda.

Słońce zniżyło się i chłód zaczął kąsać Lucy przez cienką tkaninę. Ucieszyło ją to, nie zasłużyła na ciepło i wygodę.

Przetoczyli się przez drewniany most i minęli rozpadającą się stodołę z wielką flagą Teksasu namalowaną na ścianie. Po drodze mignęły znaki reklamujące turystyczne trasy po jaskiniach i pokazowych ranczach. Połykali kolejne kilometry. Ile ich było? Trzydzieści, więcej? Nie miała pojęcia.

Gdy dotarli na przedmieścia miasteczka, w którym było tylko jedno skrzyżowanie, mężczyzna zajechał pod obskurny sklepik i zaparkował w cieniu przy ścianie budynku. Kiwnął głową na Lucy, informując ją w ten sposób, że pora zsiadać. Nogi zaplątały jej się w togę i omal się nie przewróciła.

- Głodna?

Na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze. Rozprostowała zeszywniałe kolana i pokręciła głową. Mężczyzna wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

Spoglądając przez zakurzony wizjer kasku, zauważyła, że był wyższy, niż sądziła. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i nieproporcjonalnie długie nogi. Rozwichrzone granatowo-czarne włosy, oliwkowa cera i nonszalancki krok kontrastowały z tym, co znała ze świata kongresmanów i senatorów. Trudno byłoby wyobrazić sobie kogoś, kto mniej pasowałby do jej dotychczasowego życia. Przez okno widziała część wnętrza sklepu. Mężczyzna podszedł do lodówki na tyłach. Sprzedawczyni zamarła w bezruchu, żeby na niego popatrzeć. Znikł na kilka minut, po czym wrócił z sześciopakiem piwa. Dziewczyna za ladą poprawiła włosy, otwarcie flirtując z nieznajomym. Dołożył do zakupów jeszcze kilka przedmiotów.

Buty obcierały stopy Lucy tak, że aż porobiły się pęcherze. Kiedy zmieniła ułożenie ciała, kątem oka uchwyciła swoje odbicie w oknie. Wielki niebieski kask całkowicie zakrywał jej głowę i subtelne rysy, dzięki którym wydawała się młodsza, niż była. Toga ukryła fakt, że stresujące przygotowania do ślubu przesadnie wyszczupliły jej i tak kruchą sylwetkę. Miała trzydzieści jeden lat i mierzyła metr sześćdziesiąt trzy, ale czuła się malutka, głupiutka, egoistyczna i nieodpowiedzialna.

Chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją zobaczyć, nie zdjęła kasku, tylko delikatnie go uniosła, żeby przestał uciskać wsuwki do włosów, które boleśnie wrzynały się w jej czaszkę. Zwykle chodziła w prostych, rozpuszczonych włosach, miękko spływających na ramiona, i często odgarniała je z czoła wąską opaską, która budziła wzgardę Meg.

- Wyglądasz w tym jak pięćdziesięcioletnia matrona z Greenwich - twierdziła przyjaciółka. - I jeśli nie wkładasz akurat dzinsów, daruj sobie te kretyńskie perły. I te idiotyczne porządnickie ciuszki. - Meg trochę zmiękła. - Luce, nie jesteś Nealy. A Nealy wcale tego od ciebie nie wymaga.

Meg niczego nie rozumiała. Dorastała w Los Angeles, w domu rodziców. Biologicznych rodziców. Mogła chodzić w tak kosz-

marnych ciuchach, jakie tylko przysły jej do głowy, obwieszać się dyndającą, egzotyczną biżuterią, a nawet wytatuować sobie smoka na biodrze. Lucy nie.

Drzwi sklepiku otworzyły się i wyszedł z nich nieznajomy, niosąc torbę z zakupami w jednej ręce i piwo w drugiej. Lucy z przerażeniem obserwowała, jak w milczeniu ładuje to wszystko do bocznych sakw motoru. Kiedy wyobraziła sobie, jak jej kierowca wypija sześć piw, zrozumiała, że nie może tego dłużej ciągnąć. Musiała do kogoś zadzwonić. Do Meg.

A jednak nie miała dość odwagi, by spotkać się z kimkolwiek, nawet z najlepszą przyjaciółką, która rozumiała więcej niż inni. Lucy musiała poinformować rodzinę, że jest bezpieczna... jak najszybciej. Tylko nie tak od razu. Najpierw trzeba było wymyślić, co im powiedzieć.

Stała przy motorze jak wielki kosmita z niebieską głową. Mężczyzna wpatrywał się w nią ciekawie. Nagle uświadomiła sobie, że poza spotkaniem między garażami nie zamieniła z nim nawet jednego słowa. Dziwna sytuacja. Musiała coś powiedzieć.

- Skąd znasz Teda? - spytała.

Odwrócił się, by zapiąć klamry sakw. Motor był starą yamahą ze słowem „Warrior” wypisanym srebrnymi literami na czarnym baku.

- Siedzieliśmy razem w ciupie w Huntsville. Napad z bronią w rękę i zabójstwo.

Tylko się z nią drażnił. To pewnie taki motorowy test, jak wielkim jest mięczakiem. Ciągnięcie tej wyprawy wydawało się czystym szaleństwem. Ale... Lucy chyba trochę już oszalała. I nie w dobrym znaczeniu tego słowa. Czuła się, jakby wyszła z siebie i nie potrafiła wczuwać się z powrotem.

Zajrzał w wizjer jej kasku; w podkrążonych oczach nieznajomego czaiła się nowa groźba.

- Gotowa, żebym cię odwiózł?

Wystarczyło tylko powiedzieć „tak”. Jedno proste słowo. Ustawiła język we właściwej pozycji. Ułożyła wargi. I poniosła klęskę.

- Jeszcze nie.

Zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

Odpowiedź na to pytanie była tak oczywista, że pewnie sam się jej domyślił. Gdy nie doczekał się ani słowa od Lucy, wzruszył ramionami i wskoczył na motor.

Wyjechali z parkingu, a Lucy zaczęła się zastanawiać, dlaczego ucieczka z niebezpiecznym facetem budziła w niej mniej grozy niż wizja spotkania z ukochaną rodziną. Tyle że jemu nie była nic winna. Najgorsze, co mógł jej zrobić, to... Nie, nie chciała o tym myśleć.

Wiatr znów zaczął szarpać jej togę. Marzyła na całym ciele z wyjątkiem dłoni, które grzały się w ciepłe promieniującym przez cienką marynarkę mężczyzny. Po dłuższym czasie zjechał z autostrady na ubity trakt. Przednie światło motocykla wycinało dziwaczny wzór w ciemnych zaroślach. Choć mózg Lucy krzyczał, by natychmiast zeskoczyła i rzuciła się do ucieczki, jedynie mocniej chwyciła mężczyznę w pasie. W końcu dotarli na małą polanę na brzegu rzeki. Znak, który mignął wcześniej przy drodze, sugerował, że rzeka ta nazywa się Pedernales. Wymarzone miejsce na porzucenie zwłok.

Gdy ucichł ryk silnika, cisza stała się przytłaczająca. Lucy zsiadła z motoru i cofnęła się o kilka kroków. Mężczyzna wyciągnął z sakwy coś, co wyglądało jak stary śpiwór. Gdy rozłożył go na ziemi, Lucy poczuła woń oleju silnikowego. Nieznajomy sięgnął po piwo i zakupy.

- Będziesz w tym chodzić cały wieczór?

Marzyła o tym, by już nigdy nie zdejmować kasku, ale ostatecznie go ściągnęła. Wsuwki upadły na ziemię, a jakiś za mocno polakierowany kosmyk połaskotał ją w policzek. Cisza była gęsta, a zarazem wypełniona szumem rzeki za skałą. Mężczyzna podniósł piwo.

- Szkoda, że jest tylko sześć.

Uśmiechnęła się sztywno. Facet pstryknięciem otworzył kapsel, rozłożył się na śpiworze i przechylił butelkę. Przecież był przyjacielem Teda, prawda? W jego towarzystwie powinna się czuć bezpieczna, mimo groźnego wyglądu, surowych ma-



nier, piwa i sfatygowanej naklejki: „Nie ma jazdy za frajer, bak, blanty albo bara-bara”.

- Poczęstuj się - powiedział. - Może trochę się wyluzujesz.

Zupełnie nie czuła takiej potrzeby, a w dodatku chciało jej się sikać, ale i tak podeszła chwiejnym krokiem i wzięła sobie piwo. Głównie po to, żeby on wszystkich nie wypił. Znalazła kącik na samym skraju śpiwora, gdzie nie musiała ocierać się o jego długie nogi ani nie czuła bijącej od niego aury niebezpieczeństwa. Powinna właśnie sączyć szampana w małżeńskim apartamencie hotelu Austin Four Seasons. Jako pani Teodorowa Beaudine.

Motocyklista wyciągnął kilka kanapek w celofanie z torby z zakupami. Popchnął jedną w kierunku Lucy i otworzył sobie drugą.

- Szkoda, że nie zaczekałaś z tym zerwaniem do przyjęcia. Żarcie byłoby znacznie lepsze.

Parfait z kraba, grillowania polędwica wołowa w lawendzie, medaliony z homara, risotto z białymi truflami, siedmiopiętrowy tort weselny...

- Poważnie, skąd znasz Teda? - spytała.

Oderwał zębami cały róg kanapki i zaczął mówić z pełnymi ustami.

- Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy pracowałem na budowie w Wynette i dobrze się dogadywaliśmy. Widuję się z nim, jeśli jestem akurat w okolicy.

- Ted dogaduje się z każdym.

- Ale nie każdy jest porządnym facetem jak on. - Motocyklista otarł wargi wierzchem dłoni i pociągnął z gulgotem z butelki.

Lucy odstawiła swoje nietknięte piwo.

- Czyli nie pochodzisz stąd?

- Nie. - Zwinął w kulkę folię po kanapce i cisnął ją w krzaki.

Lucy nie cierpiała śmiecenia, ale nie zamierzała poruszać tego tematu. Mężczyzna skupił uwagę na pożeranej kanapce i chyba nie zamierzał dobrowolnie udzielać dalszych informacji.

Nie mogła dłużej odwlekać wycieczki do lasu. Wzięła serwetkę z torby z zakupami i pokuśtykała w stronę drzew,

krzywiąc się przy każdym kroku. Po wszystkim wróciła na śpiwór. Motocyklista upił jeszcze trochę piwa. Lucy nie była w stanie jeść, więc odsunęła kanapkę.

- Czemu mnie zabrałeś?
- Liczyłem, że mnie przelecisz.

Ścierpła jej skóra. Wypatrywała oznak, że to była tylko nędzna próba dowcipu, ale mężczyzna się nie uśmiechał. Z drugiej strony, był przyjacielem Teda, a chociaż zaliczało się do nich wielu dziwaków, nigdy jeszcze nie widziała wśród nich żadnego kryminalisty.

- Nie mówisz poważnie - odparła.

Obrzucił ją wzrokiem.

- To wciąż da się zrobić.
- Nie, nie ma mowy!

Beknął, niezbyt głośno, ale jednak obrzydliwie.

- Ostatnio miałem za dużo spraw na głowie, żeby obściskować się z kobietami. Najwyższa pora to nadrobić.

Wbiła w niego wzrok.

- I zacząłeś od podwiezienia niedoszłej żony przyjaciela, która właśnie uciekała z własnego ślubu?

Podrapał się w klatkę piersiową.

- Nigdy nic nie wiadomo. Szalone kobiety są zdolne do wszystkiego. - Opróżnił butelkę, znów beknął i cisnął puste szkło w krzaki. - To co powiesz? Jesteś już gotowa, żeby wrócić do mamusi i tatusia?

- Nie. - Mimo rosnącego zaniepokojenia nie mogła się tam jeszcze pokazać. - Nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

- Panda.
- Nie no, ale serio.
- Nie podoba ci się?
- Trudno uwierzyć, że to naprawdę twoje imię.
- Mam to serdecznie w nosie czy uwierzysz, czy nie.

- Rozumiem. - Myślała przez chwilę na ten temat, podczas gdy motocyklista otworzył torebkę chipsów. - To musi być przyjemne.

- Co takiego?

- Jeżdżenie od miasta do miasta ze zmyślnym imieniem. -  
To i wielki niebieski kask, w którym można się schować.

- Owszem.

Musiała w końcu to przerwać, więc zebrała się na odwagę.

- Masz może komórkę? Muszę... zadzwonić.

Włożył dłoń do kieszeni marynarki, po czym rzucił jej telefon.  
Nie udało jej się go złapać, więc musiała wyłuskać go z fałd togii.

- Jeśli marzysz o tym, że znajdziesz tu sieć, życzę powodzenia.

O tym nie pomyślała, ale zdolność logicznego myślenia opuściła ją wiele godzin wcześniej. Zaczęła kuśtykać po polanie w szpilkach, które zmieniły się w narzędzie tortur, aż znalazła miejsce w pobliżu brzegu. Tam złapała słaby sygnał.

- To ja - powiedziała, gdy Meg podniosła słuchawkę.

- Luce? Nic ci się nie stało?

- Trudno powiedzieć. - Wydała z siebie zdławiony śmiech. -  
Pamiętasz, jak zawsze opowiadałaś mi o tej mojej dzikiej stronie? Chyba ją odnalazłam. - Kompletnie mijała się z prawdą. Nie miała w sobie w ogóle żadnej dzikości. Może kiedyś, ale na pewno nie od wielu lat.

- Moja kochana... - Głos był bardzo słaby, ale Lucy i tak usłyszała, że przyjaciółka jest zmartwiona.

Musiała wrócić do Wynette, ale...

- Jestem tchórzem, Meg. Nie mogę teraz spotkać się z rodziną.

- Luce, oni cię kochają. Zrozumieją.

- Powiedz im, że przepraszam. - Walczyła ze łzami. -  
Powiedz, że ich kocham, i wiem, że wszystko schrząniłam. Wrócę, żeby to naprawić, ale... Nie dzisiaj. Dzisiaj nie jestem w stanie.

- W porządku, przekażę im to wszystko, ale...

Lucy rozłączyła się, nie czekając, aż Meg zada jej kolejne pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć.

Ogarnęło ją koszmarnie zmęczenie. Od tygodni źle sypiała, a okropne wydarzenia tego dnia kosztowały ją ostatnie resztki energii. Panda znikł gdzieś w lesie. Gdy znów się wynurzył, postanowiła, że pozwoli mu się spokojnie upić. Popatrzyła na śpiwór rozłożony na twardej ziemi i pomyślała o wąskich,

wygodnych łóżkach w prywatnych kabinach prezydenckich Air Force One, w których jednym naciśnięciem guzika można było opuścić rolety. Ostrożnie położyła się na najdalszym skraju śpiwora i spojrzała w gwiazdy.

Żałowała, że nie ma jakiegoś motocyklowego imienia, za którym mogłaby się ukryć. Jakiejś ksywy twardzielki, groźnej i silnej. Czyli kogoś zupełnie innego niż ona sama.

Zasnęła, myśląc o dobrych przezwiskach dla motocyklistek. Jaszczurka... Modliszka... Żmija!

Tak, właśnie Żmija. Viper.

## *Rozdział 2*

OBUDZIŁ JĄ WILGOTNY CHŁÓD PORANKA. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła smużki brzoskwiнового światła przedzierające się przez nisko zawieszzone chmury. Wszystko ją bolało. Była przemarznięta, brudna i równie oszołomiona jak w chwili, gdy kładła się spać. To miał być pierwszy dzień miesiąca miodowego. Oczami wyobraźni widziała Teda, który wstaje i myśli o tym samym... i serdecznie jej nienawidzi.

Panda spał tuż obok, w pogniecionej białej koszuli. Leżał na plecach, a nieposkromione, zwariowane włosy wiły się chaotycznie wokół jego głowy. Na szczęście miał atramentowoczną szczecinę, a na zaokrąglonym czubku nosa pojawiła się plama brudu. Lucy trudno było przebywać tak blisko tego faceta, więc niezręcznie zerwała się na nogi. Marynarka Pandy zsunęła się z niej na śpiwór. Krzywiąc się, dziewczyna wcisnęła stopy w szpilki i pokuśtykała do drzew. Po drodze zauważyła sześć butelek po piwie w krzakach - ponury symbol tego, w co się wpakowała.

Ted wynajął dla nich willę na wyspie St. Barts. Może poleciał tam sam? Chociaż chyba nie mogło być gorsze niż samotny miesiąc miodowy. Nawet przebudzenie się nad rzeką gdzieś na końcu świata, obok nieprzyjemnego, skacowanego i potencjalnie niebezpiecznego motocyklisty.

Gdy wróciła, Panda stał na brzegu, odwrócony plecami do niej. Fantazje Lucy o tym, że zostanie Viper, twardą i wyszczerkaną motocyklistką, natychmiast się rozwiały. Uznała, że niegrzecznie byłoby się nie przywitać.

- Dzień dobry - powiedziała cicho.

Burknął coś w odpowiedzi.

Szybko odwróciła wzrok, bojąc się, że postanowił na jej oczach nasikać do rzeki. Marzyła o gorącym prysznicu, czystych ubraniach i szczoteczce do zębów - wszystkich wygodach, którymi mogłaby się cieszyć, gdyby dotarła do ołtarza. O dzbanku kawy. O porządnym śniadaniu. O rękach Teda, które delikatnie pobudzały jej ciało do rozkosznych orgazmów. Tymczasem otaczały ją puste butelki po piwie, a obok stał facet, który otwarcie przyznał, że liczy na szybki seks. Nie mogła znieść tego chaosu, niepewności. I własnej paniki. Wciąż się nie odwrócił, ale nie widziała, żeby sięgał do rozporoka, więc zaryzykowała pytanie.

- Czy dziś zamierzasz... wrócić do Wynette?

Znowu wydał z siebie pomruk.

Nigdy nie czuła się dobrze w Wynette, chociaż udawała, że kocha je równie mocno jak Ted. Jednak ilekroć tam przyjeżdżała, miała wrażenie, że wszyscy ją osądzają. Chociaż była adoptowaną córką byłej prezydent Stanów Zjednoczonych, dawano jej do zrozumienia, że nie dorasta Tedowi do pięt. Oczywiście udowodniła, że mieszkańcy miasteczka mieli rację. Ale przecież nie mogli tego przewidywać już wtedy. Ledwie ją poznali.

Panda nadal wpatrywał się w rzekę. Jego wysoka, chuda postać wyraźnie rysowała się na tle wapiennych klifów, a koszula była zmięta i z jednej strony wystawała ze spodni. Wszystko w nim aż krzyczało, że nie stanowi dla Lucy właściwego towarzystwa. Dziewczyna cierpiała katusze w szpilkach, ale kara w postaci bólu była jej potrzebna. Nie chciała ich ściągać.

Mężczyzna odwrócił się nagle i podszedł do niej ciężkim krokiem, mocno wbijając buty w ziemię.

- Gotowa na powrót do swojego schrzanionego życia?

Jeszcze jak. Jej nieodpowiedzialne wybryki ciągnęły się już zbyt długo. Nawet jako czternastolatka zachowywała się roz-

ważniej. W ciągu ostatnich siedemnastu lat Matt i Nealy często powtarzali jej, że nie mogliby pełnić swoich funkcji, gdyby Lucy nie opiekowała się tak dobrze rodzeństwem.

Sama także ciężko pracowała. Najpierw zrobiła licencjat, żeby zostać pracownikiem społecznym. Opiekowała się nastolatkami, którzy potrzebowali pomocy, jednocześnie kończąc studia magisterskie z polityki społecznej. Ale po kilku latach porzuciła pracę w terenie, chociaż bardzo ją kochała. Zaczęła wykorzystywać słynne nazwisko do zadań, które przynosiły jej mniej satysfakcji, ale miały większe znaczenie dla ogółu - zajęła się lobbingsiem. To między innymi dzięki Lucy udało się przeforsować ważne ustawy, które dawały równe szanse startu dzieciom z rodzin niewydolnych społecznie. Nie zamierzała porzucić tej pracy po ślubie. Planowała każdego miesiąca spędzać kilka dni w Waszyngtonie, a resztę zadań wykonywać na miejscu w Teksasie. Najwyższa pora, by zmierzyć się z konsekwencjami swoich działań.

Jej żołądek miał jednak inne zdanie. Gdy burczenie przybrało na sile, pobiegła do lasu i dotarła do drzew w ostatniej chwili, by zwymiotować w ukryciu. Nie jadła od tak dawna, że bolał ją brzuch.

Skurcze w końcu ustały. Panda nawet na nią nie spojrzął, kiedy wróciła z lasu i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę rzeki. Jej obcasy zahaczały o kamienie i zagłębiały się w piasek. Uklękła na brzegu, żeby opryskać twarz wodą.

- Jedźmy - powiedział.

Przysiadła na piętach, rzeczna woda spływała jej po policzkach. Jej głos dobiegał gdzieś z oddali, z miejsca, w którym nie była od czasów dzieciństwa.

- Masz dużo rzeczy w Wynette?

- Nie rozumiem?

- Co zostawiłeś? Ciuchy? Walizkę? Kartę członkowską Mensy?

- Nie podróżuję z bagażem. Zabieram parę dzinsów, koszulki i paczkę prezerwatyw.

Ludzie zawsze bardzo dbali o maniery, kiedy spotykali się z rodziną prezydencką. Właściwie nikt poza Meg i siedmioma

siostrami ojca Lucy nie ośmielał się powiedzieć pieprznego dowcipu albo zrobić choćby odrobinę wulgarnej aluzji. Ta sztywna grzeczność zawsze irytowała Lucy, ale teraz nagle zaczęła za nią tęsknić. Puściła wypowiedź Pandy mimo uszu.

- Do czego zmierzasz? - spytał.

Rodzina wiedziała, że Lucy jest bezpieczna, Meg na pewno wszystkich poinformowała.

- Nie mogę wrócić do Wynette, dopóki jest tam tylu dziennikarzy. - Dziennikarze znajdowali się na końcu jej listy zmarłych, ale to zamierzała zachować dla siebie. - Zastanawiałam się, jakie masz plany na najbliższy czas.

- Chcę się ciebie pozbyć. - Potarł zarośniętą szczękę. - I kogoś przelecieć.

Przełknęła ślinę.

- A jeśli złożę ci propozycję?

Wpatrzył się w jej piersi, które wyglądały znacznie lepiej w horrendalnie drogim francuskim gorsecie.

- Nie jesteś w moim typie.

Nie zwracaj na niego uwagi, pomyślała.

- Chodziło mi o coś bardziej atrakcyjnego.

- Nie jestem zainteresowany. - Poderwał śpiwór z ziemi. - Mam urlop i nie zamierzam marnować kolejnego dnia. Wracasz do Wynette.

- Zapłacę ci - powiedział głos Lucy wbrew jej woli. - Nie dziś. Nie mam przy sobie pieniędzy. Ale to się szybko da naprawić. - Jak? Musiała coś wymyślić. - Pokryję koszty benzyny, jedzenia, twoich wydatków. I... dołożę ci sto dolarów dziennie. Zgoda?

Zwinął śpiwór.

- Za dużo zawracania głowy.

- Nie mogę teraz wracać. - Odnalazła w sobie cień brawury, której w młodości nigdy jej nie brakowało. Dopiero potem zmięknęła pod ciężarem odpowiedzialności. - Jeśli ty mnie nie zabierzesz, poszukam kogoś innego.

Chyba wyczuł bluff, bo uśmiechnął się z prawie nieskrywaną drwiną.

- Serio. Takie dziewczyny jak ty nie nadają się do spędzania ośmiu godzin dziennie na motorze.

- Może i nie. Ale dam radę przez jeden dzień.

- Nie ma mowy.

- Tysiąc dolarów plus koszty.

Wziął śpiwór, podszedł do motoru i wepchnął go do sakwy.

- Czemu miałbym wierzyć, że zapłacisz?

Wykręciła dłonie.

- Zapłacę. Masz moje słowo.

- No, wiesz... Tedowi też coś obiecywałaś i jak się okazuje, twoje słowo nie było wiele warte.

Wzdrygnęła się.

- Dam ci to na piśmie.

- Szkoda, że twój narzeczony o tym nie pomyślał. - Łypnął na nią gniewnie i z trzaskiem zamknął sakwę.

Chociaż Panda nie przyjął oferty, to nie zostawił jej też w lesie, co wzięła za dobry znak. Potrzebowała jedzenia, ale jeszcze bardziej brakowało jej wygodnych butów i świeżego ubrania.

- Czy mógłbyś zawrócić?! - krzyknęła Pandzie do ucha, kiedy z wizgiem opon minęli supermarket Walmart. - Chciałabym kupić parę rzeczy.

Panda jej nie usłyszał albo ją zignorował, bo nie zatrzymał się pod sklepem.

W czasie jazdy Lucy pozwoliła, by jej myśli wędrowały bez celu. Przypomniała sobie dzień, gdy Matt Jorik zjawił się w koszarnej wynajętej ruderze w Harrisburgu, w której ukrywała się wraz z młodszą siostrą w czasie tych strasznych tygodni po śmierci ich matki. Stał w drzwiach wejściowych, zły i zniecierpliwiony. Czternastoletnia Lucy nie miała matki, musiała za to opiekować się roczną siostrą, więc chociaż umierała ze strachu, nie dała tego po sobie poznać.

- Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać - oznajmiła, gdy tylko Matt wdarł się przemocą do środka.

- Tylko bez gadania. Jeśli natychmiast ze mną nie pójdziesz, za godzinę zjawi się tu opieka społeczna.



Przez sześć tygodni Lucy wykorzystała wszelkie możliwe środki, jakie tylko przyszły do głowy czternastoletniej dziewczynce, żeby władze nie dowiedziały się, że sama troszczy się o dziecko, które nazwała Button. Z Button wyrosła potem Tracy.

- Nie potrzebujemy cudzej opieki! - wykrzyczała. - Doskonale radzimy sobie same. Zajmij się swoimi sprawami.

Ale Matt jej nie posłuchał i wkrótce wyruszył w drogę wraz z Lucy i Button. Potem spotkali się z Nealy i wszyscy wybrali się na wycieczkę w Mabel, sfatygowanej przyczepie Winnebago, która wciąż służyła rodzicom Lucy, bo żadne z nich nie miało serca się z nią rozstać. Nie znała innego ojca niż Matt i nie mogłaby znaleźć lepszego. Nie mogłaby też znaleźć lepszego męża dla Nealy - Lucy odegrała niebagatelną rolę w wyswataniu pary. W tamtych czasach miała w sobie tyle odwagi. Nie znała strachu. Zatraciła tę część siebie. Stało się to stopniowo i nawet nie zauważyła zmian.

Panda zaparkował przed białym budynkiem, na których widniał napis „Stokey's Country Store”. Na wystawie widać było mydło i powidło, od strzelb, przez miski, po crocysy dla dzieci. Przy drzwiach stał automat z colą, a obok krasnal ogrodowy i stojak z pocztówkami.

- Jaki masz rozmiar buta? - zapytał Panda z irytacją.

- Siedem i pół. I chciałabym jeszcze...

Już wbiegał do sklepu, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Zsiadła z motoru i schowała się za ciężarówkę dostawczą, nie zdejmując ani na chwilę kasku. Żałowała, że sama nie może wybrać sobie butów, ale wejście do sklepu w jej stroju nie wchodziło w rachubę. Miała tylko nadzieję, że mężczyzna nie kupi więcej piwa. Albo prezerwatyw.

Wrócił z plastikową torebką, którą cisnął w Lucy.

- Wisisz mi za to.

„Nie ma jazdy za frajer, bak, blanty albo bara-bara”.

- Przecież powiedziałam, że zapłacę.

Wydał z siebie chrząknięcie jaskiniowca.

Zerknęła do torby. Były w niej džinsy, szara koszulka, tanie granatowe trampki i czapka bejsbolowa. Zaniosiła to wszystko za

budynek, zdjęła kask i, bezpiecznie schowana, zaczęła się przebierać. Dżinsy były sztywne i brzydkie, a w dodatku workowate na wysokości bioder i ud. Koszulka miała logo Uniwersytetu Teksaskiego. Panda zapomniał o skarpetkach, ale przynajmniej mogła pozbyć się obcasów. W przeciwieństwie do niego Lucy nie miała zwyczaju śmiecić, więc wepchnęła togę i szpilki z powrotem do torebki, po czym wyszła zza drzew.

Motocyklista podrapał się w klatkę piersiową, patrząc na nią zupełnie bez wyrazu.

- W sklepie był włączony telewizor. Jesteś w czołówkach wiadomości. Mówią, że pojechałaś do przyjaciół, ale nie licz na to, że nie zostaniesz rozpoznana.

Zacisnęła palce na torebce z togą i z powrotem wciągnęła kask.

Pół godziny później podjechali pod bistro sieci Deny's. Chociaż bała się panicznie, że ktoś ją rozpozna, jeszcze bardziej potrzebowała prawdziwej łązienki z gorącą wodą. Panda wrzucił kluczyk do kieszeni i zaczął się rozglądać, a Lucy zdjęła kask i zebrała zeszywniałe, polakierowane włosy w coś w rodzaju kucyka, który przeciągnęła przez wycięcie z tyłu czapki.

- Jeśli to twoje przebranie, daleko tak nie zajedziesz - powiedział.

Miał rację. Tęskniła za kaskiem. Obejrzała się szybko, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, wyciągnęła zniszczone szpilki z torebki, ale zostawiła wielką togę. Zwinęła torbę w kulę, po czym wcisnęła ją sobie pod obszerną koszulkę, zatykając część za pasek dżinsów, żeby nie wypadła.

Nealy użyła tego samego wybiegu, kiedy uciekała z Białego Domu. Może i Lucy się uda. Przy odrobinie szczęścia nikt nie skojarzy córki byłej prezydent z tanio ubraną, ciężarną dziewczyną wchodzącą do bistra.

Wyglądała jak kolejna głupia dziewczyna, która zakochała się w niewłaściwym facecie.

Panda popatrzył na ciężę z torebki.

- No proszę, będę tatusiem, a seks mnie nie zachwycił.

Poczuła skruchę.

Panda miał chyba tylko dwa wyrazy twarzy: tępy albo ponury i wrogi. Teraz przybrał zdecydowanie ten drugi.

- Nawet nie wyglądasz na tyle, żeby to było legalne.

Lucy zawsze wydawała się młodsza, a w wielkim podkoszulku i workowatych džinsach wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie. Na podobną zaczepkę Meg zapewne odparłaby coś w stylu: „Z pewnością nie jestem twoją pierwszą nastolatką”, ale Lucy odwróciła się, wyrzuciła zrujnowane szpilki do kosza i ostrożnie ruszyła w stronę bistra.

Ku jej uldze nikt nie zwrócił na nią uwagi, nie z powodu fatalnego stroju czy brzuszka ciążowego, ale przez Pandę. Wszyscy patrzyli na niego, zupełnie jak na Teda. Obaj wywierali wrażenie, z tym że Ted prezentował się o wiele lepiej.

Poszła do toalety, umyła się najlepiej jak mogła i poprawiła brzusek. Gdy wyszła, czuła się już prawie jak człowiek.

Panda stał przy drzwiach. Miał na sobie tę samą wygniecioną koszulę, ale pachniał mydłem. Przyjrzał się brzuszce Lucy.

- Nie wygląda to zbyt realistycznie.

- Kiedy ty jesteś w pobliżu, i tak nikt nie zwróci na mnie uwagi.

- Zobaczymy.

Podążyła za nim do stolika. Sporo osób z sali obserwowało, jak wsuwają się na swoje miejsca, po przeciwnych stronach. Złożyli zamówienie. Czekać na jedzenie, Panda przyglądał się wynikom rozgrywek, które przesuwają się po ekranie telewizora w rogu.

- Kiedy byłeś w kiblu, powiedzieli, że twoja rodzina wróciła do Wirginii.

Nie zdziwiło jej to. Dłuższy pobyt w Wynette byłby kosztownie krępujący.

- Jutro wybierają się do Barcelony, na konferencję Światowej Organizacji Zdrowia.

Panda nie wyglądał jak ktoś, kto słyszał cokolwiek o tej konferencji, nie wspominając już o Światowej Organizacji Zdrowia.

- Kiedy zadzwonisz do Teda i powiesz mu, że zawaliłeś?

- Nie wiem.

- Ucieczka nie rozwiązuje żadnych problemów. Nawet wy-  
dumanych, jakie ma taka bogata księżniczka jak ty. - Drwina  
sugerowała, że zdaniem Pandy Lucy po prostu dopadła histeria,  
a nie rzeczywiste kłopoty.

- Nie uciekam - odparowała. - Ja... wzięłam urlop.

- Błąd. To ja mam urlop.

- I zaproponowałam ci, że zapłacę tysiąc dolarów plus kosz-  
ty, żebyś mnie zabrał.

Wtedy pojawiło się jedzenie. Kelnerka postawiła przed nimi  
bekonowego cheeseburgera, cebulę w cieście i sałatkę dla Lucy.  
Ledwo poszła, Panda wepchnął sobie do ust frytkę.

- A co zrobisz, jeśli odmówię?

- Znajdę kogoś innego - odparła, chociaż wiedziała, że to  
niemożliwe. Nie było innych kandydatów. - Na przykład tego  
gościa. - Kiwnęła głową w stronę poturbowanego przez życie  
faceta, który siedział nad tacą pełną naleśników. - Poproszę go,  
wygląda, jakby przydało mu się trochę pieniędzy.

- I wnioskujesz to po tej fryzurze na czeskiego piłkarza?

Panda naprawdę nie miał prawa wypowiadać się na temat  
niczych włosów. Chociaż inne kobiety goszczące w bistrze ja-  
koś nie były wobec niego tak krytyczne jak Lucy.

Wydawało się, że motocyklista po prostu nie potrafi robić  
dwóch rzeczy naraz i chwilowo skupił się na jedzeniu, porzu-  
cając myślenie. W końcu jednak ugryzł wielki kęs burgera i po-  
stanowił przemówić.

- Ale zapłacisz mi, nawet jeśli nie wytrwasz do końca dzi-  
siejszego dnia?

Przytaknęła, po czym sięgnęła po jedną z kredek dla dzieci,  
które leżały na stole. Zapisała gwarancję wypłaty na serwetce  
i przesunęła ją w stronę Pandy.

- Proszę, oto umowa.

Wpatrzył się w serwetkę i po chwili odepchnął ją na bok.

- Wystawiłaś porządnego faceta.

Zamrugła, czując szczypanie oczu.

- Lepiej przed ślubem niż po, prawda? Zanim odkrył, że  
dał się nabrać na reklamę. - Żałowała, że w ogóle się odezwa-

ła, ale mężczyzna spokojnie otworzył keczup i uderzył ręką w spód butelki.

Wróciła kelnerka i obdarzyła Pandę kawą oraz kilkoma zaletnymi spojrzzeniami. Lucy przekreśliła się, co wywołało szelest torebki pod koszulką. Dzbanek z kawą zatrzymał się w pół drogi, a kelnerka popatrzyła na Lucy, która natychmiast odwróciła głowę.

Panda podniósł serwetkę z umową i otarł nią usta.

- Dzieciak nie lubi, kiedy matka za szybko je.
- Wy teraz coraz szybciej zachodzicie w te ciąży - stwierdziła kelnerka. - Ile masz lat, skarbie?
- Wystarczy, żeby to było legalne - uciał Panda, nie dopuszczając Lucy do głosu.
- Ledwo ledwo - wymamrotała kelnerka. - Kiedy termin?
- Ee... w sierpniu? - Lucy wypowiedziała to pytającym tonem, co zbiło z tropu kobietę.
- Albo we wrześniu. - Panda rozłożył się w ławie, spuszczać powieki. - To zależy, kto jest tatusem.

Kelnerka doradziła Pandzie, żeby znalazł sobie dobrego prawnika i dała im spokój.

Panda odepchnął pusty talerz.

- Za kilka godzin możemy być na lotnisku w Austin. Samolot, lotnisko... nie.
- Nie mogę lecieć - odparła. - Nie mam dokumentów.
- To zadzwoń do starej i niech ona się tym zajmie. Nianiczenie ciebie za dużo mnie kosztuje.
- Powiedziała ci już, spisuj wydatki, wszystko ci zwrócę. I dołożę tysiąc dolarów.
- A skąd zamierzasz wziąć tę gotówkę?
- Nie miała zielonego pojęcia.
- Pomyślę nad tym.

Lucy poszła na przyjęcie, wiedząc, że będzie tam alkohol. Miała prawie siedemnaście lat, nikt nie zamierzał brać dragów, a Matt i Nealy nie musieli o niczym wiedzieć. Właściwie w ogóle nie było sprawy.

A potem Courtney Barnes zemdlała za kanapą i nie dało się jej ocucić. Ktoś zadzwonił pod 911. Zjawili się gliniarze, zebrali dokumenty od wszystkich i kiedy zobaczyli, kim jest Lucy, odwieźli ją do domu. Reszta dzieciaków wylądowała na posterunku.

Nigdy nie zapominała tego, co powiedział jej tamten policjant.

- Wszyscy wiedzą, co senator Jorik i pan Jorik dla ciebie zrobili. A ty tak im się odwdzięczasz?

Matt i Nealy nie życzyli sobie lepszego traktowania dla Lucy, więc odwieźli ją na policję, by odsiedziała swoje w areszcie wraz z innymi. Media zrelacjonowały cały incydent, nie oszczędzając sobie nawet felietonów na temat wybryków dzieci waszyngtońskich prominentów, ale rodzice nigdy tego Lucy nie wypominali. Rozmawiali z nią potem na temat możliwości zatrucia się alkoholem i niebezpieczeństw związanych z jazdą po pijaku, a także powiedzieli, jak bardzo ją kochają i że chcieliby, żeby dokonywała mądrych wyborów. Obiecała sobie, że nigdy więcej ich nie zawiedzie. I nie zawiodła, aż do wczoraj.

I oto stała w małomiasteczkowym dyskoncie, w którym śmierdziało gumą i prażoną kukurydzą. Poprawiła sobie torbę pod bluzką, żeby przestała szeleścić. Po wielu godzinach drogi była tak brudna i zmęczona, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Ale Panda nadal koncentrował na sobie ostrożne spojrzenia, tak samo jak w restauracji. Jakaś młoda mama zaciągnęła dziecko do sąsiedniej alejki, żeby znalazło się jak najdalej od niego.

Lucy zerknęła na mężczyznę spod daszka czapki.

- Spotkamy się przy kasie.

Podniósł tani, różowy, sportowy stanik.

- To chyba twój rozmiar.

Uśmiechnęła się cierpko.

- Naprawdę nie potrzebuję pomocy. Zajmij się swoimi zakupami, ja stawiam.

Cisnął stanik z powrotem do kosza.

- No, ja myślę, że stawiasz. Zbieram paragony.

Ale wciąż się nie ruszał. Wrzuciła do koszyka paskudne babcine majtki, bo nie zamierzała pozwolić mu patrzeć, co wybiera naprawdę.

Natychmiast wyciągnął wielkie figi i wrzucił w zamian jakieś neonowe sznureczki.

- Te mi się bardziej podobają.

Nie wątpię. Ale skoro i tak ich nie zobaczysz, to nie masz tu prawa głosu, pomyślała.

Wsunął rękę pod koszulkę i podrapał się w brzuch.

- Pośpiesz się. Jestem głodny.

Potrzebowała go, więc zostawiła wyzywające stringi w koszyku i pozwoliła się zaprowadzić do jedynej alejki z ubraniami dla mężczyzn.

- Przy zakupach cenię sobie kobiecy wkład. - Sięgnął po granatową koszulkę i zaczął studiować nadruk, który przedstawiał kobietę z ogromnymi piersiami i wyrzutnią raketową między nogami.

- Zdecydowane nie - powiedziała.

- Podoba mi się. - Narzucił sobie koszulkę na ramię i zaczął przeglądać dzinsy.

- Myślałam, że chcesz mojego wkładu.

Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Czemu tak pomyślałaś?

Poddała się.

Kilka minut później, gdy wyłożyła skromne zakupy na ladę przy kasie, nagle poczuła ukłucie tęsknoty za perłami i opaskami, wąskimi letnimi sukienkami i zgrabnymi sandałkami. Takie przedmioty zapewniały jej miejsce w rzeczywistości. W baletkach i kaszmirowych swetrach, z telefonem przyciśniętym do ucha wiedziała, kim jest. Nie tylko adoptowaną córką byłej prezydent Stanów Zjednoczonych, ale także fenomenalnie sprawną lobbystką i specem od zbierania funduszy na rzecz ważnych inicjatyw związanych z ochroną dzieci. Znowu zabolął ją żołądek.

Panda popatrzył na nią ponuro, płacąc za zakupy. Gdy znaleźli się na zewnątrz, wrzucił wszystko do taniego, szarego worka, który kupił razem z innymi rzeczami. Wymieszał jej neonowe majteczki z własnymi grafitowymi bokserkami, po czym przywiązał worek do motocykla.

Lucy szybko odkryła, że Panda nie lubi autostrad międzystanowych, więc pojechali na wschód zakurzonymi drózkami, które prowadziły przez wymarłe miasteczka i upadłe rancza. Lucy nie wiedziała, dokąd się właściwie wybierają. I nic jej to nie obchodziło. Gdy zapadł wieczór, Panda zatrzymał się pod motelem, który urządzono w szeregowych domkach w pobliżu porzuconego pola golfowego. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Lucy w oczy, gdy Panda wynurzył się z malutkiej recepcji motelu, był jeden, samotny, dyndający klucz w jego wielkiej dłoni.

- Chciałabym dostać własny pokój - oświadczyła.

- W takim razie zapłać za niego. - Wskoczył na motor i, nawet na nią nie czekając, pojechał w stronę ostatniego z dwunastu szeregowców. Lucy ruszyła piechotą, na miękkich nogach. Wielkie, skórzane, wibrujące siedzenie przynajmniej stanowiło jakiś punkt oparcia - który natychmiast traciła, gdy przypominała sobie, że te szerokie bary, w które musiała patrzeć przez cały dzień, należą do faceta, który komunikuje się metodą chrząknięć i pomruków, je z otwartymi ustami i zadaje się z nią wyłącznie dla pieniędzy. I z tym facetem miała dzielić pokój w obskurnym motelu.

A wystarczyłby jeden telefon. Jedna rozmowa i to szaleństwo by się skończyło.

Szła dalej.

Gdy dotarła do właściwych drzwi, Panda odwiązywał właśnie gumę przytrzymującą worek. Uwolnił ich zakupy, po czym otworzył jedną z sakw. Gdy wyciągał sobie sześciopak przeznaczony na ten wieczór, Lucy zauważyła kolejną naklejkę wewnątrz pokrywki sakwy.

Było tam napisane coś tak niewyobrażalnie obrzydliwego, że przez chwilę w ogóle nie mogła zrozumieć przekazu.

„Nigdy nie ufaj niczemu, co krwawi przez pięć dni w miesiącu i nie umiera”.

Zatrzasnął sakwę i popatrzył na nią spod tych lekko przymkniętych powiek.

- I co, chcesz już zadzwonić po mamusię i tatusia?



## Rozdział 3

PRZESTRZEŃ MIĘDZY DWOMA ŁÓŻKAMI była równie wąska jak odrapany stolik nocny, który je rozdzielał. Lucy wybrała miejsce bliżej drzwi, na wypadek gdyby musiała uciekać z krzykiem.

Pokój cuchnął dymem papierosowym i tanim odświeżaczem powietrza o zapachu sosny. Panda postawił sześciopak na czymś, co pełniło funkcję biurka. Miał fatalny zwyczaj gapienia się na nią, jakby mógł przeniknąć wzrokiem ubranie. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. Za bardzo ją szanowali. Ale Panda był prymitywną formą życia. Drapiącą się, bekającą i chrząkającą. Interesowało go jedzenie, kiedy czuł głód, i piwo, kiedy chciało mu się pić. A kiedy chciał seksu, skupiał się na niej.

Starła się obserwować go tak, by nie zdawał sobie z tego sprawy. Sięgnął po piwo. Już myślała, że otworzy butelkę zębami, ale wydobył skądś otwieracz. Jego dżinsy wydawały się o wiele lepiej dopasowane niż jej. Gdyby nie był tak obleśny, głupi i straszny, to nawet by ją pociągał. Wyobrażała sobie seks z kimś takim. Żadnej finezji. Żadnej delikatności czy uprzejmości. Nie musiałyby się przejmować, czy jest równie dobra, jak poprzedniczki, zwyciężczynie teksańskich konkursów piękności.

Już prawie zapomniała, jak to jest się kochać. Trzy miesiące wcześniej poprosiła Teda, żeby przestali ze sobą sypiać aż do ślubu, żeby noc poślubna była bardziej wyjątkowa. Zgodził się, zaznaczając, że mogą nie spać razem, o ile nie wypłynie to źle na ich życie erotyczne. W końcu jednak spełnił jej prośbę i nawet starał się nie narzekać. Teraz zastanawiała się, czy kierował nią sentyment, czy może podświadomość wysyłała jej jakiś sygnał.

Zabrała rzeczy z worka. Panda kopniakami zrzucił buty, zaniósł piwo do łóżka i wziął pilot.

- Mam nadzieję, że dają jakieś pornole.

Podniosła głowę.

- Opowiedz mi o życiu w więzieniu.

- Po co?

- Bo... interesuje mnie to - powiedziała pośpiesznie. - Byłam pracownikiem społecznym.

- Odsiedziałem swoje - odparł. - Nie wierzę w rozgrzebywanie przeszłości.

Na pewno kłamał.

- Czy więzienie... pokrzyżowało ci plany życiowe?

- Niespecjalnie. - Skakał po kanałach. Na szczęście motelowa telewizja nie miała w ofercie pornoli, co mogło się wiązać z obecnością krzyża na ścianie. Panda musiał się zatem zadowolić wyścigami samochodowymi.

Przez cały dzień marzyła o prysznicu, ale teraz nie miała specjalnie ochoty rozbierać się do naga, gdy tylko cienkie drzwi będą ją oddzielać od tego neandertalczyka. Mimo wszystko zebrała rzeczy, zaniosła je do łazienki, i zatrzasnęła lichutki zamek.

Nigdy jeszcze prysznic nie sprawił jej tak wiele przyjemności, nawet mimo niepokoju, jaki budził w niej współlokator. Umyła włosy, wyszorowała zęby i rozkoszowała się faktem, że znów jest czysta. Nie pomyślała o tym, by kupić piżamę, więc ubrała się w nową koszulkę i szorty, które pasowały znacznie lepiej niż ubrania, które wybrał dla niej Panda. Gdy wyszła, Panda wsunął coś do kieszeni.

- Telewizja jest do bani. - Przełączył na Monster Trucks.

Jestem pewna, że życie bez pornoli to wyzwanie dla ludzi o tak szerokich horyzontach, zakpiła w myślach.

- Przykro mi.

Podrapał się po klatce piersiowej i kiwnął głową.

Był dokładnie takim mężczyzną, za jakim szalałaby jej biologiczna matka. Sandy za dużo piła, sypiała ze zbyt wieloma facetami i skończyła martwa. Miała trzydzieści sześć lat, pięć więcej niż Lucy teraz. Córka odziedziczyła po niej piwne oczy z zielonymi iskierkami, delikatne rysy i - jak się okazało - skłonność do nieodpowiedzialności.

Lucy musiała sobie udowodnić, że to nie do końca prawda.

- Czy mogłabym skorzystać z twojego telefonu?

Nie odrywając wzroku od wyścigu ciężarówek, Panda przechylił się na bok i wyciągnął telefon z tej samej kieszeni, do

której wkładał coś, gdy Lucy wychodziła z łazienki. Wzięła aparat do ręki.

- Rozmawiałeś z kimś?

Nie oderwał wzroku od ekranu.

- A co cię to obchodzi?

- Tak się zastanawiałam.

- Z Tedem.

- Dzwoniłeś do Teda?

Popatrzył na nią.

- Pomyślałem, że biedny frajer zasługuje przynajmniej na wiadomość, że wciąż żyjesz. - Skupił uwagę z powrotem na ciężarówkach. - Przykro mi, mam złe nowiny, nie wspominał, że chciałby twój powrotu.

Zdradziecki żołądek Lucy wykonał kolejną spiralę śmierci, którą zawsze reagował na myśl o Tedzie. Ale gdyby zaczęła sobie wyobrażać, przez co on teraz przechodzi, nie byłaby w stanie funkcjonować. I tak nie szło jej za dobrze. Nagle przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie. A co, jeśli Panda kłamał? Jeśli zadzwonił nie do Teda, a do kogoś z tabloidów? Ta historia mogłaby mu przynieść więcej gotówki, niż zarobiłby przez cały rok. Przez całe lata.

Kusiło ją, żeby sprawdzić spis wykonanych połączeń, ale nie mogła tego zrobić, dopóki mężczyzna się jej przyglądał. Zamierzała to sprawdzić, kiedy Panda pójdzie do łazienki. Tymczasem musiała poinformować Meg, że jeszcze żyje, ale gdy ruszyła z telefonem na zewnątrz, Panda warknął.

- Zostań tu. Chyba że chcesz się zaprzyjaźnić z którymś z tych osobników, których widziałem na parkingu.

- W porządnym hotelach jakoś nie ma tego problemu. - Nie mogła się powstrzymać od tej uwagi.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wstukała numer Meg i ograniczyła rozmowę do minimum. „Nic mi nie jest”, „Nie jestem pewna, co zrobić”, „Wolałabym nie mówić”, „Przełącz rodzicom”. I wreszcie: „Muszę kończyć”.

Przez wiele lat rozmawiała z Meg absolutnie o wszystkim, ale teraz po prostu nie mogła. Na szczęście przyjaciółka wydawała się zajęta czymś innym i nie wypytywała za bardzo.

Gdy Lucy odłożyła słuchawkę, ledwie dochodziła dziewiąta. Nie miała nic do czytania. Nic do zrobienia. Po powrocie z miesiąca miodowego planowała rozpocząć projekt literacki dotyczący Nealy, a firmowany przez jej tatę, ale w tej chwili nie mogła się skoncentrować na niczym podobnym. Z pewnością nie chciała też myśleć o pracy, do której zamierzała wrócić jesienią.

Przeniosła się na skraj wolnego łóżka i ułożyła poduszki na kolebiącym się zagłówku. Program o ciężarówkach nareszcie dobiegi końca. Aż podskoczyła, gdy tuż obok szcęknęła sprężyna. Panda zebrał trochę rzeczy i znikł w łazience. Wstała, żeby poszukać telefonu, ale nie mogła go znaleźć. Pewnie wciąż tkwił w kieszeni spodni mężczyzny.

Szumiał prysznic. Lucy nie zauważyła, by Panda kupił sobie pidżamę. Viper, motocyklistka, którą pragnęła być, pewnie przyjęłaby ten fakt bez mrugnięcia okiem, ale ją myśl o nagim Pandzie jedynie jeszcze bardziej zdenerwowała.

Sen oferował ucieczkę od krępującej sytuacji. Ułożyła inaczej pościel i wcisnęła głowę między poduszki. Właśnie kazała sobie iść spać, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi od łazienki. Znów pomyślała o tym, że Sandy uwielbiałaby Pandę. Był smagły, grubiański i męski. Zamiłowanie do takich facetów wyjaśniało, czemu jej matka wyłądowała sama z dwiema córkami, które miały różnych ojców.

Mgliste wspomnienia Sandy na temat chłopaka, który spłodził Lucy, zawierały słowa „naćpany do nieprzytomności studenciak”, natomiast dupek ojciec Tracy zginął w wypadku samochodowym. Tym samym, który zabił Sandy.

Nagle poczuła, że czyjaś dłoń dotyka jej ramienia. Gwałtownie podniosła głowę, zrzucając z twarzy poduszkę.

- Co jest?

Stał nad nią niemal nagi, nie licząc odrobiny wody i czystej pary dżinsów. Serce zaczęło jej walić. Klatka piersiowa Pandy była twarda jak skała - zbyt twarda. Nie zadał sobie trudu, żeby zapiąć rozporek, więc spodnie ledwie trzymały się bioder. Zobaczyła płaski brzuch, wąską strzałkę ciemnych włosów i potężne wybrzuszenie.

Potarł kciukiem jej ramię.

- To co... Zabieramy się do roboty, czy jak?

Odskokczyła.

- Nie!

- A zachowywałaś się tak, jak byś miała ochotę.

- Nieprawda!

Musnął dłonią jej pierś, patrząc w telewizor.

- Może to i lepiej.

Jakaś szalona część Lucy chciała się dowiedzieć, czemu właściwie „lepiej”. Zacisnęła zęby.

Znów na nią spojrzął.

- Lubię, jak jest ostro, a ty chyba się do tego nie nadajesz. -  
Uszczypnął ją w udo. - Może jednak?

Wyrwała mu rękę i potarła bolące miejsce.

- Nie, na pewno nie.

- A skąd wiesz, że ci się nie będzie podobało?

Nadal stał nad nią i nadal waliło jej serce. Dziewięć lat ochrony ze strony służb specjalnych nauczyło ją, że nie musi niepokoić się o bezpieczeństwo. Teraz jednak przed drzwiami motelu nie stał żaden agent. Była zdana na siebie.

- Po prostu wiem i tyle.

Wykrzywił cienkie wargi.

- Spieprzyłaś mi urlop, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Płacę ci.

- Więc w takim razie właśnie uznałem, że nie płacisz mi dość. Od początku byłem szczerzy. Powiedziałem, że chcę się z kimś przespać. - Sięgnął po prześcieradło, którym się okryła.

Chwyciła je mocno.

- Natychmiast przestań! Idź stąd.

W jego oczach zamigotało coś niepokojącego.

- Spodoba ci się. Już ja o to zadbam.

Zabrzmiało to jak tekst ze złego filmu, ale Panda wyglądała jak ktoś, kto potrafi sam wymyślić sobie podobną odzywkę. Nie wierzyła w to, co się działo. Oparła się o zagłówek, wystraszona i wściekła.

- Nie dotkniesz mnie. I wiesz dlaczego? Bo jeśli to zrobisz, spadnie na ciebie cała potęga amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

- Słowo przeciw słowu. - Wydał wargę.

- Właśnie. Były skazaniec i prezydencka córka. Ciekawe, komu uwierzą.

W końcu dotarła do tego tępego mózgu. Mamrocząc coś pod nosem, rzucił jej złośliwy uśmiezek i wycofał się do swojej jaskini.

Lucy, wciąż wyprostowana, przyłgnęła plecami do zagłówek. Miała przyspieszone tętno. Przycisnęła prześcieradło do piersi, jakby mogło ją to uchronić, gdyby Panda zmienił zdanie.

Wszystko się skończyło. Wybrał za nią. Nie mogła z nim spędzić kolejnego dnia, nie po takim numerze. Z samego rana zadzwoni do rodziny, znajdzie samolot i polecą do domu. Jej przygody w roli Viper-motocyklistki dobiegły końca.

Wróci do domu. Do czego? Po co? Po to, żeby widzieć rozczarowanie rodziny? Iść do pracy, którą ostatnio znienawidziła?

Poutykała prześcieradło wokół ciała jak zbroję. Dlaczego Panda nie mógł być po prostu nieszkodliwym włóczęgą, który zawiózłby ją dokądkolwiek by chciała bez dokładania problemów? Znów wcisnęła głowę między poduszki, zżerana przez lęk i złość. Przez wąską szparę obserwowała Pandę, tuż za wąziutką przestrzenią dzielącą ich łóżka. Pokój miał cienkie ściany. Bała się zamknąć oczy. Gdyby mężczyzna wykonał jakiś ruch, zaczęłyby wrzeszczeć. Przecież nawet w tym upiornym motelu ktoś musiałby ją usłyszeć.

Panda leżał na plecach z nogami skrzyżowanymi w kostkach i pilotem na piersiach. Jego atramentowe włosy rozrzucone były po poduszce. Przełączył na jakiś program o wędkarstwie i wydawał się całkowicie rozluźniony, zupełnie nie jak ktoś, kto właśnie planuje gwałt.

Doskonale, idealnie zrelaksowany.

Może to kwestia migoczącego telewizora, ale Lucy przysięgłaby, że przez jego cieniutkie wargi przemknął uśmiezek satysfakcji.

Zmrużyła oczy. Przesunęła poduszkę o milimetr. Nie, to nie jej wyobraźnia. Był wyraźnie zadowolony z siebie.

Wyglądał jak ktoś, kto odkrył doskonały sposób na to, by pozbyć się niechcianego balastu i jeszcze dostać za to tysiąc dolarów.

Następnego ranka ubrała się w łazience i nie powiedziała słowa, dopóki nie dostali śniadania w naleśnikami wciśniętej między warsztat a lumpeks. W barze było kilka kobiet, chociaż zdecydowaną większość stanowili kierowcy ciężarówek albo kibice sportowi w bejsbolówkach. Mierzyli Pandę podejrzliwym wzrokiem, ale nikt nie zwrócił uwagi na Lucy ani na jej ciężowy brzusek.

Panda głośno siorbnął kawą, po czym zabrał się do naleśników, przeżuując je bez zamykania ust. Gdy zauważył, że Lucy na niego patrzy, zmarszczył brwi. Już nie była taka pewna, że poprzedniego wieczoru tylko ją podpuszczał. Wydawało jej się, że rozmyślnie chciał ją odstraszyć, ale ostatnio nie mogła specjalnie ufać intuicji.

Obserwowała go uważnie.

- Ile kobiet zgwałciłeś?

A jednak. W oczach Pandy błysnęło oburzenie, które błyskawicznie zamaskował przymknięciem powiek i głośnym siorbnięciem kawy.

- A co rozumiesz przez gwałt?

- Wiedziałbyś, gdybyś kiedykolwiek to zrobił. - Postanowiła wziąć byka za rogi. - Ostatni wieczór był dość interesujący.

Gwałtownie uniósł brwi.

- Interesujący! Naprawdę tak sądzisz?

Poprzedniego dnia tak jej się nie wydawało, ale teraz? Bez wątplenia.

- Może nabrałbyś mnie, gdybyś był lepszym aktorem.

Zrobił się ostrożny.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Zignorowała wredne spojrzenie.

- To oczywiste, że chcesz się mnie pozbyć. Tylko na to cię stać? - Zacisnął ponuro usta i przybrał tak groźny wyraz twarzy,

że musiała zebrać się na całą odwagę, żeby twardo odpowiedzieć na jego spojrzenie. - Nigdzie się nie wybieram. Nie uwolnisz się ode mnie. - Podkuszona przez jakiegoś małego diabła podniosła palec do kącika warg. - Masz tu resztki jedzenia.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie wierzę, ty, taki elegant?

- Jeśli coś ci się podoba, wiesz, co robić.

- Owszem. Polecieć do domu i zostawić ci czek na tysiąc dolarów plus rekompensatę za wydatki.

- Żebyś wiedziała, plus wydatki. - Otarł usta serwetką, co było bardziej odruchem niż wyrazem kapitulacji.

Objęła palcami kubek z kawą. W każdej chwili mógł porzucić ją przy drodze i zniknąć, ale chciał tych pieniędzy, więc jeszcze tego nie zrobił. Teraz usiłował ją wystraszyć i dostać kasę za nic. Miał pecha.

Odstawiła kubek. Przez cały czas zakładała, że to on ma przewagę, a było dokładnie odwrotnie.

- Jesteś wielki i zły, rozumiem. A skoro już załapałam, to mógłbyś sobie odpuścić te gierki?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Te uśmiešky. Te aluzje do tego, że mam cię przelecieć.

Odepchnął talerz z niedojedzonymi naleśnikami i zmierzył ją wzrokiem pełnym niesmaku.

- Ja to widzę tak. Bogata księżniczka chce dodać życiu rumieńców, więc czepia się faceta takiego jak ja. Mylę się?

Przypomniała sobie, kto tu rządzi.

- Cóż. To doświadczenie skłoniło mnie na razie wyłącznie do refleksji nad tym, jak ważne są dobre maniery przy stole. - Popatrzyła na niego tym samym niezłomnym wzrokiem, którym karciła niegrzeczne rodzeństwo. - Dokąd jedziemy?

- Ja nad jezioro Caddo. A ty, jeśli masz resztki rozsądku, na lotnisko.

- Przepraszam. - Podeszła do nich około sześćdziesięcioletnia kobieta w brzoskwiowym spodniu. Wskazała pobliski stolik, przy którym siedział nalany mężczyzna z sumiastym wąsem i udawał, że patrzy w inną stronę. - To mój mąż Con-



rad. Nie powinniśmy się wtrącać, ale nie mogłam nie zwrócić uwagi. - Wbiła wzrok w Lucy. - Pewnie ktoś już pani mówił, że wygląda pani zupełnie jak córka pani prezydent. Ta cała Lucy.

- Wciąż to słyszy - odparł Panda. Popatrzył na Lucy przez stół. - *Esta es otra persona que piensa que te pareces a Lucy Jorik* - powiedział płynnie po hiszpańsku. - Ona słabo mówi po angielsku - dodał, zwracając się do kobiety.

- Niesamowite. Oczywiście z bliska widzę, że jest znacznie młodsza. Mam nadzieję, że nie wyrośnie na kogoś takiego, jak Lucy.

Panda pokiwał głową.

- Rozpieszczona pannica, która myśli, że wszystko jej się należy.

Lucy zupełnie się to nie podobało, ale pani w brzoskwinio-  
wym spodniem ochoczo podjęła temat.

- Kiedyś podziwiałam to, jak prezydent Jorik wychowała swoje dzieci, ale z Lucy chyba jej się nie udało. Jak mogła tak potraktować tego młodego Beaudine'a. Zawsze oglądam program jego mamy. A Conrad jest zapalonym golfistą. Nie prze-gapił żadnego turnieju, w którym występuje Dallas Beaudine.

- Niektóre kobiety po prostu nie wiedzą, co dla nich dobre - przyznał Panda.

- Tak między nami, Conrad też tego nie wie. - Uśmiechnę-  
ła się do Lucy. - No cóż, życzę miłego dnia. Przepraszam, że państwa niepokoiłam.

- Ależ nic podobnego - odparł, czarujący jak ksiądz z małego miasteczka. Ledwo kobieta znikła im z oczu, ze złością zgniótł serwetkę. - Wyośmy się stąd w cholere, zanim zjawi się tu więcej twoich fanów. Nie mam ochoty tego znosić.

- Warcz, ile chcesz - odparła. - To ty mnie zaprosiłeś na przejażdżkę i ja się nie wycofuję.

Cisnął banknoty na stół o wiele bardziej stanowczo, niż należało.

- Żebyś nie żałowała.

## Rozdział 4

DOMEK MIEŚCIŁ SIĘ NAD JEDNYM Z UKRYTYCH ROZLEWISK jeziora Caddo. Dwa stare klimatyzatory odstawały od wyblakłej, musztardowej elewacji, a podest przed wejściem pokrywała sztuczna darnń. Poprzednią noc spędzili w motelu w pobliżu Nacogdoches - Panda demonstracyjnie ją ignorował. Wcześniej rano skierowali się na północny zachód, w stronę jeziora i granicy między Teksasem a Luizjaną. Jak twierdziła ulotka, którą Lucy znalazła, gdy zatrzymali się na stacji benzynowej, jezioro Caddo było największym zbiornikiem wodnym na Południu. I z pewnością najbardziej mrocznym. Jego brązowe wody przechodziły w stare bagniska.

Domek był skromny, ale czysty. Mieli do dyspozycji mały salonik, dwie jeszcze mniejsze sypialnie i staromodną kuchnię. Lucy wybrała pokój z dwoma łózkami. Pomarańczowa tapeta w kratę zawijała się na brzegach i kompletnie nie pasowała do tandetnej, liliowej kapy w zielone, roślinne wzorki. Jednak Lucy za bardzo cieszyła się z faktu, że od Pandy dzieli ją ściana, by przejmować się takimi drobnostkami.

Przebrała się w szorty i ruszyła do kuchni. Na podłodze leżała szara winylowa wykładzina, a pod ścianą stały metalowe szafki z wytartymi blatami. Przez okno nad zlewem widać było wodę, a pobliskie drzwi prowadziły na niewielki, drewniany taras, na którym stały plastikowy stół, plecione leżaki, grill na gaz i sprzęt wędkarski.

Panda siedział z nogami opartymi o poręcz, wpatrzony w palmy na brzegu jeziora. W dłoni miał puszkę coli. Przynajmniej nie wtłaczał w siebie kolejnego sześciopaku. Nie zwracał uwagi na Lucy, gdy oglądała grill i sprzęt wędkarski. Milczenie wytrącało ją z równowagi.

- Gorąco tu - rzuciła w końcu.

Pociągnął łyk coli. Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Odwróciła wzrok od okropnej koszulki - przez cały dzień udawała, że jej nie widzi. Elegancja według Pandy wymagała najwyżej

prysznic i czystych dżinsów. Poczują zupełnie niechciane ukłucie tęsknoty za Tedem, uroczym, wrażliwym, zrównoważonym narzeczonym, którego wystawiła do wiatru.

- Przydałby się parasol od słońca - stwierdziła.

Cisza.

Zauważyła w oddali statek wycieczkowy, który przedzierał się między cypryśnikami bagiennymi oplecionymi przez hiszpański mech.

- Gdybym była motocyklistką, znalazłabym sobie lepszą ksywę niż Panda.

Nawet już wybrała, Viper.

Zgniół puszkę i szedł z tarasu na podwórko, po drodze wyrzucając ją do czarnego, plastikowego kubła. Kiedy ruszył w stronę jeziora, opadła na jego leżak. Ted był najlepszym rozmówcą, a także słuchaczem, jakiego znała. Zachowywał się tak, jakby fascynowało go każde słowo Lucy. Oczywiście traktował tak wszystkich, ale jednak... Nigdy nie przytąpała go na zniecierpliwieniu, nigdy nie słyszała, żeby stracił panowanie nad sobą - nie powiedział przy niej jednego ostrego słowa. Był zawsze dobry, cierpliwy, wrażliwy, wyrozumiały... A jednak go rzuciła. Ciekawe, jak to o niej świadczyło.

Przyciągnęła sobie piętami drugi leżak. Z każdą chwilą robiło jej się smutniej. Panda dotarł na przystań, gdzie leżało przewrócone kanoe. Tuż nad wodą krążył rybołów. Jej towarzysz nie powiedział, na ile wynajął domek, zaznaczył tylko, że Lucy w każdej chwili może wyjechać, i im szybciej to zrobi, tym lepiej. Ale czy naprawdę tego chciał? Była coraz bardziej przekonana, że Panda jest znacznie sprytniejszy, niż się wydaje. Nie mogła też pozbyć się lęku, że rozmawia z tabloidami. A co, jeśli zorientował się, że zarobiłby o wiele więcej niż tysiąc dolarów, gdyby sprzedał historię Lucy?

Ruszyła na dół po stopniach, kierując się w stronę kanoe, przy którym przystanął Panda. Szurnęła piętą o ziemię. Nie podniósł wzroku. Żałowała, że nie wybrała sobie na towarzysza podróży kogoś, kto nie lubował się we wrogim milczeniu oraz wulgarnych naklejkach. No cóż, żałowała wielu rzeczy. Że nie

wybrała sobie innego narzeczonego do porzucenia przed ołtarzem - takiego, który czymś by sobie na to zasłużył. Ale Ted nie zrobił nic złego i jakaś paskudna część Lucy nienawidziła go za to, że był o wiele lepszym człowiekiem niż ona.

Nie mogła znieść tych myśli ani chwili dłużej.

- Lubię łowić ryby - zaczęła. - Zawsze je wrzucam z powrotem. Tylko kiedyś, na obozie musiałam wszystkie zatrzymać, bo tam...

- Nie interesuje mnie to. - Wyprostował się i zmierzył ją długim spojrzeniem. Nie rozbierał jej wzrokiem, przestał to robić, po prostu popatrzył na nią tak, jakby mógł przeniknąć przez jej ciało i dostrzec takie miejsca, o których istnieniu nie miała pojęcia. - Zadzwoń do Teda i przeproś. Zadzwoń do rodziców. Minęły trzy dni. Zaliczyłaś swoją przygodę. Czas, żeby bogata księżniczka wróciła do domu.

- Mam już dość żartów o bogatych księżniczkach!

- Nazywam sprawy po imieniu.

- Widzisz to, co chcesz widzieć.

Wpatrywał się w nią tak długo, że zrobiło jej się nieprzyjemnie, po czym wskazał głową kanoe.

- Pomóż mi spuścić je na wodę.

Przewrócili kanoe i zsunęli po nabrzeżu. Chwyciła wiosło i, nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Miała nadzieję, że Panda sobie pójdzie, ale podniósł drugie wiosło i wsiadł do kanoe z taką gracją, że łódka nawet nie drgnęła.

Przez kolejną godzinę sunęli po jeziorze, omijając hiacynty wodne, które zarastały co bardziej bagniste rejony. W milczeniu przepływali przez kolejne odnogi, wzdłuż cyprysowych lasów udrapowanych hiszpańskim mchem. Lucy popatrzyła na Pandę. Gdy wiosłował, pod białą koszulką rysowały się mięśnie, które uwypuklały czarny napis. Tej koszulki nie kupił niedawno, pewnie trzymał ją w salwie motoru, gdy wyjeżdżał z Wynette. Szkoda, że ją stamtąd wyciągnął.

- Te koszmarne naklejki mają przynajmniej jedną zaletę, widać je jedynie z bliska.

Przyglądał się aligatorowi, który wylegiwał się w słońcu na drugim brzegu.

- Przecież ci tłumaczyłem.

Odwrociła się, oparła wiosło o kolana i pozwoliła Pandzie pokierować kanoe.

- Twierdziłeś, że to naklejki poprzedniego właściciela. W takim razie czemu nie pozwoliłeś mi ich zedrzeć?

Przeniósł wiosło na drugą stronę.

- Bo mi się podobają.

Zmarszczyła brwi, przyglądając się napisowi na koszulce. „Za drugim razem to już nie będzie perwersja”.

- Dostałem ją w prezencie - wyjaśnił.

- Od diabła?

Przez jego twarz przemknęło coś bliskiego uśmiechowi, ale natychmiast znikło.

- Jeśli ci się nie podoba, wiesz, co możesz zrobić. - Wyminał kolejną kępę kwiatów.

- A co, gdyby jakieś dziecko zobaczyło tę koszulkę?

- Widziałaś tu jakieś dzieci? - Odrobinę zmienił ułożenie ciała. - Przez ciebie zaczynam żałować, że zgubiłem poprzednią.

- Nawet nie chcę wiedzieć. - Odwróciła się tyłem.

- Było na niej napisane: „Popieram śluby gejów, o ile obie laski są ładne”.

Poczuła płomień furii. Gwałtownie odwróciła się do niego, co rozchybotало kanoe.

- Rozumiem, że polityczna poprawność do dla ciebie głupi żart, ale ja podchodzę do tego trochę inaczej. Może to staromodne, ale myślę, że jest jakaś wartość w tym, by szanować godność wszystkich.

Wyciągnął wiosło z mętnej wody.

- Cholera! Szkoda, że nie zabrałem tej, którą kupiłem kilka tygodni temu.

- Nie wątpię, że wiele straciłam.

- Chcesz wiedzieć, co na niej było?

- Nie.

- Miała napis... - pochylił się w stronę Lucy, mówiąc przeciągłym szeptem, który niósł się po wodzie - „Gdybym cię zastrzelił wtedy, kiedy miałem ochotę, to już bym wyszedł”.

To by było tyle, jeśli chodzi o konwersację.

Gdy wrócili do domu, zrobiła sobie kanapkę z kupionych przez niego produktów. Wzięła jakąś starą książkę, którą ktoś tu zostawił i zamknęła się w sypialni. Samotność przytoczyła ją jak za ciężki płaszcz. Czy Ted zrobił cokolwiek, żeby ją odnaleźć? Najwyraźniej nie, zważywszy, że nie próbował nawet jej zatrzymać, gdy uciekała z kościoła. A rodzice? Dwa razy dzwoniła do Meg z telefonu Pandy, więc służby specjalne bez trudu by ją zlokalizowały.

A co, jeśli Matt i Nealy spisali ją na straty? Nie, na pewno tego nie zrobili.

Chyba że byli tak zde gustowani, że nie chcieli jej przez jakiś czas oglądać.

Nie mogła ich winić.

W ciągu następnych kilku dni zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Maniery Pandy zdecydowanie się poprawiły. Z początku nawet nie zauważyła, że przestał bekać, siorbać i drapać się po brzuchu. Dopiero gdy zobaczyła, jak elegancko oddziela sobie odrobinę kurczaka od kości, a potem ostrożnie przełyka pierwszy kęs, po czym grzecznie prosi o podanie pieprzu, poczuła się zdezorientowana. A co z przeżuwaniami z otwartymi ustami i ocieraniem ust wierzchem dłoni? Jeśli zaś chodzi o jakiegokolwiek aluzje do seksu... Panda po prostu nie zauważał, że Lucy jest kobietą.

Pojechali do Marshall po zakupy. W miasteczku Lucy zaopatrzyła się w okulary przeciwsłoneczne, a czapkę nosiła z nisko opuszczonym daszkiem. Miała też nieodłączny sztuczny brzuszek, który zdążyła znienawidzić. W tym przebraniu i w towarzystwie Pandy pozostawała praktycznie niewidzialna.

Jej towarzysz zajmował się głównie motorem, rozbierał różne części i składał je od nowa. Bez koszuli, z niebieską bandaną na czole, polerował i smarował, a także sprawdzał poziomy płynów

i zmieniał klocki hamulcowe. Postawił sobie radio w otwartym oknie i słuchał hip-hopu. Raz, kiedy wyszła akurat na zewnątrz, usłyszała arię z *Czarodziejskiego fletu*, ale kiedy skomentowała ten fakt, Panda zarzucił jej, że majstruje przy radiu i kazał zmienić tę przeklętą stację. Od czasu do czasu przyłapywała go na rozmowach telefonicznych, ale nigdy nie zostawił komórki na wierzchu, więc nie miała okazji sprawdzić listy połączeń.

Wieczorami zamykała się w sypialni, a on siedział do późna, czasem oglądając mecz bejsbolowy, ale częściej na tarasie, ze wzrokiem utkwionym w tafli wody. Otępienie, które ogarnęło Lucy w pierwszych dniach ucieczki, zaczęło w końcu ustępować i odkryła, że obserwuje Pandę.

Panda wciągnął w płuca piżmową woń rozlewiska. Miał za dużo czasu na myślenie - zbyt wiele wspomnień - i z każdym dniem narastał w nim gniew.

Nie spodziewał się, że dziewczyna wytrzyma dłużej niż kilka godzin, a minęło już siedem dni, odkąd ją zabrał. Czemu nie zrobiła tego, co powinna? Mogła wrócić do Wynette albo uciec do domu do Wirginii. Miał w nosie, dokąd się wybierała, byleby tylko znikła.

Nie mógł jej zrozumieć. Kiedy drugiej nocy odegrał obrzydliwą scenkę, próbując ją namówić na seks, natychmiast go przejrzała i zachowywała się tak, jakby nie słyszała połowy obelg, którymi ją obrzucał. Była taka opanowana, zdyscyplinowana. To, co zrobiła w dzień ślubu, najwyraźniej nie pasowało do jej osobowości. A jednak... Pod tymi wszystkimi manierami wciąż wychwytywał przebłyski czegoś innego, bardziej skomplikowanego. Była bystra, cholernie spostrzegawcza i koszmarnie uparta. W przeciwieństwie do niego, nie ciągnęła za sobą cieni przeszłości. Dałby głowę, że nigdy nie obudziła się z krzykiem. Ani nie upiła do nieprzytomności. A kiedy była dzieckiem...

Kiedy była dzieckiem, na pewno mogła robić rzeczy, których on robić nie mógł.

Pięćset dolarów. Tyle był wart jego młodszy brat.

We wrzasku jakiegoś bagiennego zwierzaka usłyszał głos ośmioletniego braciszka, gdy szli po wyszczerbionym chodniku do kolejnego domu. Nowy pracownik społeczny wdrapał się na skrzypiące stopnie przed nimi.

- Co będzie, jeśli znów zmoczę się w nocy? - szepnął Curtis. - Przez to wyrzucili nas z poprzedniego domu.

Panda ukrył strach pod maską piętnastoletniego chojraka.

- Nie martw się, młody. - Walnął Curtisa w chude ramię. - Obudzę cię w środku nocy i zaprowadzę do łazienki.

Ale co, gdyby się nie obudził, tak jak się nie obudził w poprzednim tygodniu? Obiecał sobie, że nie zaśnie, dopóki nie zaprowadzi Curtisa na siusiu, ale zapadł w drzemkę i następnego dnia stara pani Gilbert poprosiła opiekę społeczną, żeby znaleźli inny dom dla Curtisa.

Panda nie pozwoliłby, żeby ktokolwiek rozdzielił go z bratem, więc oświadczył pracownikom socjalnym, że ucieknie, jeśli tak się stanie. Chyba mu uwierzyli, bo znaleźli nowy dom dla nich obu. Ostrzegli jednak Pandę, że nie było więcej rodzin, które chciałyby ich przyjąć.

- Boję się - szepnął Curtis, gdy dotarli na ganek. - Ty też się boisz?

- Ja nigdy się nie boję - skłamał. - Nie ma czego.

Tak bardzo się mylił.

Panda popatrzył na ciemną wodę. Lucy miała czternaście lat, gdy umarła jej matka. Gdyby on i Curtis zostali przyjęci przez Matta i Nealy Jorików, jego brat wciąż by żył. Lucy udało się to, czego on nie był w stanie dokonać. Ochroniła siostrę. A teraz Curtis leżał w grobie, podczas gdy uratowana przez Lucy siostra szykowała się do podjęcia studiów.

Curtis związał się z gangiem, gdy miał zaledwie dziesięć lat. Panda nie dopuściłby do tego, gdyby nie siedział wtedy w poprawczaku. Wypuścili go akurat na pogrzeb.

Zamrugał. Wspomnienia Curtisa otworzyły drogę kolejnym. Łatwiej byłoby pozbyć się tych myśli, gdyby mógł skupić uwagę na muzyce. Ale nie chciał słuchać ciężkich oper jak *Otello*



czy *Borys Godunow*, dopóki Lucy kręciła się w okolicy. Dopóki ktokolwiek kręcił się w okolicy.

Żałował, że Lucy nie wychodziła, by z nim porozmawiać. Chciał ją mieć bliżej, a jednocześnie chciał, żeby się oddaliła. Żeby wyjechała i została. Chciał zerwać z niej ubranie... Nad tym nie potrafił zapanować. Przebywanie w jej towarzystwie przez cały dzień złamałoby każdego faceta, a szczególnie takiego napalonego drania jak on.

Potaął nos dłonią, wyciągnął telefon i poszedł tam, gdzie nie mogła go usłyszeć.

Panda wciąż namawiał ją do porannego biegania i chociaż go hamowała, nie chciał zostawiać jej w tyle.

- Natychmiast zaczęłybyś oszukiwać - stwierdził.

To prawda. Lucy biegła i miała kartę na siłownię, z której korzystała prawie regularnie. Ale nie była maniaczką sportów.

- Od kiedy jesteś moim osobistym trenerem?

Ukarał ją przyspieszeniem kroku. W końcu jednak zlitował się i zwolnił.

Jej przekonanie, że nie jest do końca neandertalczykiem, na jakiego pozował, rosło proporcjonalnie do ciekawości. Wybrała się na łowy.

- Rozmawiałeś w ogóle ze swoją dziewczyną, odkąd wyjechałaś z tego miejsca, w którym wcześniej byłeś?

Pomruk.

- A gdzie byłeś, tak właściwie?

- Na północy.

- W Kolorado? Nome?

- Czy ty musisz gadać?

- Jesteś żonaty? Rozwiedziony?

- Uważaj na nory, jeśli złamiesz nogę, będziesz musiała sama sobie radzić.

Wciągnęła więcej powietrza w obolałe płuca.

- Wiesz sporo o moim życiu. Byłoby sprawiedliwiej, gdybym dowiedziała się czegoś o tobie.

Znów ją wyprzedził. W przeciwieństwie do niej, nie stracił oddechu.

- Nie byłem nigdy żonaty, jeśli o to chodzi.

- A spotykasz się z kimś?

Popatrzył na nią przez ramię z lekkim politowaniem.

- A jak sądzisz?

- Że zważywszy na skromną liczebność populacji kobiet lubujących się w walkach z aligatorami, możesz mieć kłopoty ze znalezieniem partnerki.

Usłyszała jakieś parsknięcie, wyrażające rozbawienie lub ostrzeżenie, że zadała już zbyt wiele głupich pytań. Dowiedziała się tylko, że jest wolny, a i to nie musiało być prawdą.

- To dziwne - powiedziała. - Odkąd tu przyjechaliśmy, twoje maniery robią się coraz lepsze. To pewnie przez to bagienne powietrze.

Przebiegł na drugą stronę drogi.

- Pytanie brzmi, czemu zadawałeś sobie tyle trudu ze spluwaniem i drapaniem, skoro, i muszę przyznać, że trochę mnie to dziwi, nie przychodzi ci to wcale naturalnie?

Lucy sądziła, że Panda wymiga się od odpowiedzi, ale była w błędzie.

- Znudziłem się, kiedy zrozumiałem, że jesteś za bardzo walnięta, żeby cię nastraszyć i zmusić do zrobienia tego, co od razu powinnaś była zrobić.

Jeszcze nikt nigdy nie powiedział Lucy, że jest „walnięta”, ale obelga pochodziła od Pandy, więc nie wzięła jej do siebie.

- Miałeś nadzieję, że kiedy zobaczę, jak bardzo różnisz się od Teda, zdam sobie sprawę, z czego zrezygnowałam i wrócę do Wynette.

- Coś w ten deseń. Ted to porządny facet i był niewątpliwie bardzo zakochany w tobie. Chciałem wyświadczyć mu przysługę. Przestałem, kiedy zrozumiałem, że najlepsze, co mogę dla niego zrobić, to trzymać cię z daleka.

To było na tyle prawdziwe, że zabołało. Dalej biegli już w milczeniu.

Gdy wrócili do domu, Panda ściągnął przez głowę przesiąkniętą potem koszulkę, chwycił wąż ogrodowy i zaczął polewać się wodą. Włosy przywarły mu do szyi jak czarne wstążki, a gdy podniósł twarz do słońca, światło zalało mu twarz.

W końcu odłożył wąż i ręką strzepał wodę z klatki piersiowej. Jego smagła skóra, spłaszczony nos i mokre, ogromne dłonie niepokojąco kontrastowały z doskonałą urodą Teda. Panda nie był aż tak nieokrzesany, jak usiłował udawać, ale mimo to nadal nie należał do świata, który znała Lucy.

Uświadomiła sobie, że gapi się na niego, więc odwróciła głowę. Jej ciało ewidentnie odczuwało pociąg. Na szczęście mózg nie był aż tak głupi.

Jeden dzień przechodził w następny i tak minął cały tydzień. Lucy pływała, czytała albo piekła chleb, jedną z niewielu rzeczy, które jej smakowały. Natomiast ani razu nie zadzwoniła do Teda i do rodziny.

Jak każdego ranka po bieganiu, Panda wparował do kuchni z jeszcze mokrymi włosami. Wydawały się ujarzmione, ale Lucy wiedziała, że po chwili znów ożyją. Sięgnął po pierwszą z wielu, jak podejrzewała, kromek świeżo wyjętego z piekarnika owsianego chleba, potem zgrabnie podzielił ją na pół i posmarował połówki pomarańczową marmoladą.

- Czy Ted wiedział, jak dobrze pieczesz, kiedy dał się rzuścić? - spytał, gdy połknął drugi kęs.

Odłożyła swój kawałek, bo nagle straciła apetyt.

- Ted nie jada zbyt wiele węglowodanów. - To nie była prawda, ale nie chciała się przyznać, że nie zdarzyło jej się niczego upiec dla narzeczonego.

Umiejętności kuchenne posiadała w świetle stalowych lamp w kształcie kominów, które wisały w kuchni Białego Domu. Uciekała tam, gdy traciła cierpliwość do wiecznie kłóćącego się rodzeństwa. Uczyła się od najlepszych kucharzy w kraju i teraz to Panda cieszył się owocami tej nauki, zamiast Teda.

Zakręcił marmoladę.

- Ted urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Jest błyskotliwy, bogaty, charyzmatyczny. - Wcisnął słoik do lodówki, po czym zamknął drzwi. - Udają mu się rzeczy, które nie udają się nikomu.

- No cóż, w zeszłym tygodniu zaliczył niezłą wpadkę - powiedziała Lucy.

- Pewnie już się pozbierał.

Miała nadzieję, że to prawda.

W pobliżu domku jezioro Caddo miało płytkie, muliste dno, więc nie mogła tam pływać, ale czasem wyruszali dalej małą motorówką, która należała do ich domku. Panda nigdy nie wskakiwał do wody za Lucy. Osiem dni po przyjeździe i jedenaście od czasu ucieczki, gdy płynęła równolegle do dryfującej motorówki, postanowiła go o to zagadnąć.

- To dziwne, że taki twardziel jak ty boi się wody.

- Nie umiem pływać - powiedział, opierając nagie stopy na drewnianej poręczy. - Jakoś się nie nauczyłem.

Zważywszy na to, jak bardzo lubił wodę, było to dość dziwne. A co z džinsami, których nigdy nie zdejmował? Przewróciła się na plecy i zmieniła metodę ataku.

- Nie chcesz, żebym zobaczyła, jakie masz chude nogi? Boisz się, że będę z nich żartować? - Jakby ten facet mógł mieć jakieś niemuskularne części ciała.

- Lubię džinsy - odparł.

Opuściła stopy i zaczęła się poruszać skokami.

- Nie rozumiem. Przecież jest upał jak w saunie, a tobie wiele nie trzeba, żeby wyskoczyć z koszuli. Czemu nie chodzisz w szortach?

- Mam blizny. A teraz koniec tematu.

Powiedział prawdę? Jakoś w to wątpiła. Gdy oparł się o burtę, słońce omiotło jego smagłą, piracką skórę, a na wpół przymknięte oczy wydawały się bardziej rozmarzone niż groźne. Znowu poczuła nieproszone ukłucie... czegoś. Chciała myśleć, że to po prostu skupienie i uwaga, ale wiedziała, że chodziło o coś więcej. Poczowała podniecenie.

No i co z tego? Minęły prawie cztery miesiące od ostatniego seksu z Tedem, a była tylko człowiekiem. A że nie miała zamiaru

ulegać sprośnym myślom, co jej groziło? Mimo to chciała ukarać Pandę za to, że kierował jej umysł na niechciane tory.

- To dziwne, że nie masz tatuaży. - Podpłynęła pieskiem do rufy. - Żadnych tańczących kobiet na bicepsach i genitaliów na kostkach, nawet dyskretnego krzyża. Nie martwisz się, że motocykliści wyrzucają cię ze swojego klubu?

Światło odbite od tafli jeziora złagodziło kanciaste rysy jego twarzy.

- Nie cierpię igieł.

- Nie pływasz. Nie lubisz igieł. Boisz się pokazać nogi. Trochę jesteś niepokładany, co?

- Akurat ty chyba nie powinnaś nikogo krytykować?

- To prawda. Przepraszam najmocniej. - Udało jej się zdobyć na coś podobnego do jego drwiących uśmiezków.

- Kiedy zamierzasz zadzwonić do rodziców? - spytał ni w pięć, ni w dziewięć.

Zanurzyła się i wytrzymała pod wodą najdłużej jak się dało.

- Meg dała im znać, że jestem bezpieczna - odparła, chociaż wiedziała, że to nie zastępowało prawdziwej rozmowy.

Tęskniła za sprzeczkami Charlotte i Holly, za dramataми Tracy, niezbornymi opowieściami Andre o najnowszej książce fantasy, którą właśnie przeczytał. Tęskniła też za Nealy i Mattem, ale myśli o tym, by wziąć telefon i wystukać ich numer, napełniała ją paraliżującym lękiem. Co mogłaby powiedzieć?

Panda niezbyt delikatnie pomógł jej wrócić na łódkę. Tani, jednocześnie, czarny kostium podjechał jej do góry, ale mężczyzna zachował się tak, jakby tego nie zauważył. Odpalił silnik i pomknęli z powrotem na przystań. Gdy do niej dobili, Lucy zabrała klapki, ale zanim zdążyła wyskoczyć na brzeg, Panda ją zatrzymał.

- Muszę wracać do pracy. Jutro wyjeżdżamy.

Wiedziała, że nie może wiecznie tkwić w tym stanie zawieszenia, ale nie miała jeszcze pomysłu, co dalej. Nie była w stanie niczego zaplanować. Czuła się sparaliżowana. Utkwiła gdzieś w pół drogi między skoncentrowaną, zorganizowaną osobą, jaką niegdyś była, a zdeorientowaną i pozbawioną celu kobietą,

którą się stała. Wróciła panika, której nigdy nie udało jej się do końca pozbyć.

- Nie jestem jeszcze gotowa.

- To twój problem. - Przywiązał linę. - Po drodze wysadzę cię na lotnisku w Shreveport.

Przełknęła ślinę.

- Nie trzeba. Zostaję tutaj.

- A z czego będziesz żyła?

Powinna była rozwiązać ten problem, ale jak dotąd jej się nie udało. Chociaż nie chciała tego przyznać, nie podobał jej się pomysł, że mogłaby zostać w tym domu bez niego. Ponury i coraz bardziej tajemniczy nieznajomy stanowił nieoczekiwane relaksujące towarzystwo. Było to o wiele lepsze niż przebywanie z Tedem. Przy Pandzie nie musiała udawać, że jest lepszym człowiekiem.

Wysiadł z motorówki.

- Wiesz co, jeśli dziś zadzwonisz do rodziny, będziesz mogła pojeździć ze mną trochę dłużej.

Wdrapała się na brzeg.

- O ile dłużej?

- Dopóki mnie nie wkurzysz - odparł, okrywając łódkę.

- W ten sposób mogę nie dojechać nawet do najbliższego miasteczka.

- Nie mam lepszej oferty. Musisz podjąć decyzję.

Niemal cieszyła się, że zmusił ją do tego, co powinna była zrobić na samym początku.

Kiwnęła głową.

Tego wieczoru zrobiła wszystko, by odłożyć telefon. W końcu Panda stracił cierpliwość.

- Dzwonź.

- Później - powiedziała. - Muszę się spakować.

- Ale kit. - Uśmiechnął się drwiąco.

- A co ci zależy? To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Oczywiście, że ma. Twoja matka była prezydentem tego kraju. To mój patriotyczny obowiązek.

Chwyciła telefon. Wstukując numer, żałowała, że nie może nawet na chwilę zostać sama z jego telefonem. Nawet gdy wycofała się na taras, obserwował ją przez okno.

Na dźwięk znajomego, szorstkiego głosu Matta jej serce zaczęło walić jak młotem. Zamrugała, by się nie rozpłakać.

- Tato...

- Lucy! Wszystko w porządku?

- Właściwie tak. - Załamał jej się głos. - Tak mi przykro. Wiesz, że nie chciałam zrobić przykrości tobie ani mamie.

- Wiemy to, Lucy. Kochamy cię. Nic nie mogłoby tego zmienić.

Te słowa były jak nóż zagłębiający się w samo serce. Dali jej wszystko, nie oczekując niczego w zamian. I proszę, jak im się odpłaciła. Walczyła ze łzami.

- Ja też was kocham.

- Powinniśmy usiąść i porozmawiać o tym, co się stało. Zrozumieć, czemu nie zwróciłaś się do nas o pomoc. Chciałbym, żebyś wróciła do domu.

- Wiem. Jak... co u dzieciaków?

- Holly jest u koleżanki, a Charlotte uczy się grać na gitarze. Andre ma dziewczynę, no a Tracy jest na ciebie strasznie zła. Co do twojego dziadka... Możesz sobie wyobrazić, jak to przyjął. Sugeruję, żebyś przed telefonem do niego zafundowała sobie porządnego drinka. Ale najpierw musisz porozmawiać z mamą. Może i masz trzydzieści jeden lat, ale nadal jesteś częścią naszej rodziny.

Nie mógł powiedzieć nic, od czego poczułaby się gorzej.

- Lucy? - To była Nealy. Widać Matt oddał jej słuchawkę.

- Przepraszam - powiedziała szybko. - Bardzo przepraszam.

- Nie trzeba - odparła stanowczo matka. - Nic mnie nie obchodzi, że jesteś dorosła. Chcę cię mieć w domu.

- Ja... nie mogę. - Przygryzła wargę. - Jeszcze nie skończyłam uciekać.

Akurat Nealy nie mogła polemizować z takim argumentem i nawet nie próbowała.

- Jak myślisz, kiedy skończysz?

- Nie jestem pewna.

- Chcę z nią rozmawiać! - wrzasnęła Tracy w tle.

- Nie wiedzieliśmy, że jesteś taka nieszczęśliwa, nie mieliśmy pojęcia - powiedziała Nealy.

- Nie byłam. Nie myślcie tak. Po prostu... nie umiem tego wytłumaczyć.

- Chciałabym, żebyś spróbowała.

- Oddajcie mi słuchawkę! - darła się Tracy.

- Obiecuj, że będziesz dzwonić - poprosiła matka Lucy. -  
I obiecuj, że skontaktujesz się z dziadkiem.

Zanim Lucy zdążyła cokolwiek obiecać, Tracy przechwyciła słuchawkę.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?! To wszystko wina Meg. Nienawidzę jej! Nie powinnaś być jej słuchać. Jest zazdrosna, bo wychodziłaś za męża, a ona nie.

- Trace, wiem, że jesteś rozczarowana, ale to nie wina Meg. Mała Buton zmieniła się w osiemnastoletni wulkan furii.

- Jak można kochać kogoś, a w następnej sekundzie przestać?

- To nie było tak.

- Jesteś samolubna. I głupia.

- Przykro mi, że sprawiłam ci ból. - Musiała to zakończyć, dopóki jeszcze miała resztki odwagi. - Daj mi pozostałych, dobrze?

W ciągu kolejnych dziesięciu minut ustaliła, że Andre rozmawiał przez telefon z Tedem, Holly uczestniczyła w przesłuchaniach do roli w sztuce, a Charlotte nauczyła się grać na gitarze piosenkę *Drunken Sailor*. Każda kolejna rozmowa sprawiała jej więcej bólu. Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że troje spośród rozmówców zadało pytanie, którego dziwnym trafem nie zadali rodzice.

„Gdzie jesteś, Lucy?”

Panda wyszedł na taras i przejął telefon, zanim zdążyła sprawdzić listę połączeń. Kontaktował się z tabloidami, czy nie? Znikł w środku. A gdy w końcu sama wróciła do domku, oglądał mecz bejsbolowy.

- Muszę jeszcze raz zadzwonić - powiedziała.

Przypatrzył jej się uważnie.

- Telefon ostatnio dziwnie się zachowuje. Podaj mi numer, a ja go wstukam.

Poradzę sobie.



- Trochę wariuje.
- Musiała zakończyć te gierki.
- Chcę zobaczyć twój telefon.
  - Wiem.
  - Jeśli nie masz niczego do ukrycia, to pozwolisz mi spojrzeć.
  - A kto twierdzi, że nie mam niczego do ukrycia?
- Znakomicie się bawił i Lucy się to nie podobało.
- Wiesz o mnie wszystko, chociaż ja wciąż wiem tyle samo, co dwanaście dni temu. Nie mam nawet pojęcia, jak się naprawdę nazywasz.
  - Simpson. Bart.
  - Boisz się, że zobaczę „National Enquirer” na liście szybkiego wybierania?
  - Nie zobaczysz.
  - To któryś z tabloidów? A może jesteś w kontakcie z normalną prasą?
  - Naprawdę sądzisz, że ktoś taki jak ja skumał się z prasą?
  - Może. Jestem wielkim, chodzącym czekiem.
- Wzruszył ramionami, wyciągnął nogę i wyjął telefon z kieszeni.
- Sama sobie sprawdź.
- Fakt, że oddał jej dobrowolnie aparat, był wymowny. Lucy słusznie uznała, że nie znajdzie żadnych sekretów. Miała rację. Jedynym zapisanym połączeniem było to, które ona sama wykonała przed chwilą. Rzuciła Pandzie telefon.
- Gdy szła do siebie, usłyszała cichy, lekko szorstki głos.
- Widzę cię na wiele sposobów, ale nie jako chodzący czek.
- Nie miała pojęcia, co to właściwie znaczyło, więc udała, że nie słyszy.

Panda olał mecz i wyszedł z powrotem na taras. Nadeszła pora na poważną rozmowę. Jakby nie odbywał jej codziennie od prawie dwóch tygodni.

Bądź najlepszy w tym, w czym jesteś dobry. To było jego motto. Bądź najlepszy w tym, w czym jesteś dobry i trzymaj się z daleka od tego, czego nie potrafisz. A na szczycie tej drugiej listy były oczywiście emocjonalne hocki-klocki.

Mieszkanie w zamknięciu razem z tą kobietą doprowadzi-  
łoby każdego faceta do szaleństwa. W szortach i koszulkach  
wyglądała jak piętnastolatka, co powinno go odstręczać, ale nie  
odstręczało, bo wiedział, że jest znacznie starsza.

Wpadł w pułapkę podniecenia, gniewu, strachu. Popatrzył  
w noc i walczył, by im się nie poddać. Słabł.

Lucy przyglądała się obłazącej tapecie w sypialni. Nastę-  
pnego dnia mieli wyjechać, a ona wciąż wiedziała o Pandzie tyle  
samo, co prawie dwa tygodnie wcześniej, gdy wsiadła na jego  
motor. Nie знаła nawet jego prawdziwego imienia. Co najważ-  
niejsze, nie miała pojęcia, czy jej nie oszukuje.

Prawie nie jadła kolacji, więc poszła do kuchni po miskę  
płatków kukurydzianych. Przez okno zobaczyła Pandę, wpatru-  
jącego się jak zwykle w jezioro. Zastanawiała się, o czym myśli.

Wspyała do miski trochę płatków Special K i zaniósła je  
do salonu. Wyciszony telewizor pokazywał *Amerykańskiego*  
*prezydenta*. Gdy siadała, zauważyła, że w szparze przy oparciu  
kanapy utkwiła jakaś wizytówka. Wysunęła ją.

*PRZEPUSTKA    PROMOWA*

*WYSPA    CHARITY*

*REZYDENT*

3583

*Oto początek twojej przygody z Jeziorem Michigan!*

Czy wizytówka wypadła z portfela Pandy, czy też należała  
do poprzedniego lokatora? Miała tylko jeden sposób, by się do-  
wiedzieć. Wsadziła kartę z powrotem za poduszkę i zostawiła  
ją dokładnie w tym miejscu, w którym ją znalazła.

Następnego ranka jej nie było.

## Rozdział 5

*LUCY* NARESZCIE WIEDZIAŁA O PANDZIE COŚ, CO ten wolałby przed nią ukryć. Powinna czuć się lepiej, ale nie chciała wyjeżdżać z nad jeziora Caddo, więc miała ponury nastrój, kiedy wsiadała na motor. Przekonała towarzysza do zrobienia postoju w Texarkanie, gdzie - uzbrojona w sztuczny brzuch - demonstracyjnie kupiła telefon na kartę. Poprosiła Pandę, żeby doliczył go do rachunku.

Tuż po tym, jak wjechali do Arkansas, musieli się schować pod wiadukt, żeby przeczekać deszcz. Zapytała Pandę, dokąd jada, nie spodziewając się raczej odpowiedzi. Ale udzielił jej, przynajmniej częściowo.

- Do wieczora powinniśmy dojechać do Memphis.

Motor miał teksańskie tablice rejestracyjne, Panda wypoczął na granicy z Luizjaną, kierowali się do Tennessee, a w jego portfelu znajdowała się rezydencka karta wstępu na prom gdzieś na jeziorze Michigan. Czy tak wyglądało typowe życie robotnika budowlanego albo wędrowcy? Lucy chciałyby być równie tajemnicza, ale trudno mieć jakiegokolwiek sekrety, jeśli od najmłodszych lat każdy aspekt życia trzeba poddawać publicznej ocenie.

Na noc zatrzymali się w ustronnym motelu na granicy Arkansas i Tennessee. Przyjrzała się ścianom z malowanych pustaków i paskudnym, fioletowo-brązowym kapom na łóżkach.

- Jestem pewna, że gdzieś w pobliżu jest Hyatt.

Rzucił plecak na posłanie w pobliżu drzwi.

- Podoba mi się. Miejsce ma charakter.

- Charakterek. Ciekawe, czy ci dilerzy, którzy błakają się pod drzwiami, włamią się w nocy, żeby nas pomordować.

- Właśnie dlatego nie możesz mieć własnego pokoju.

- Nie mogę mieć własnego pokoju, bo lubisz wszystko utrudniać.

- To prawda. - Przechylił głowę i obdarzył ją swoim firmowym uśmiechem twardziela. - Poza tym to daje mi szansę, że zobaczę cię nago.

- Powodzenia. - Chwyliła szorty od pidżamy i koszulkę, którą kupiła jeszcze nad jeziorem Caddo i ruszyła do łazienki.

Gdy zamknęła się w środku, wzięła głęboki oddech. Była wystarczająco nakręcona po całym dniu wtulania się w jego plecy, z wielkim wibrującym siedzeniem między nogami. Nie potrzebowała jeszcze prowokacji.

Marna kabina prysznicowa przypominała budkę telefoniczną. Z każdym ruchem Lucy uderzała łokciem o plastikowe panele. Usiłowała wyobrazić sobie Pandę wciskającego się w tak niewielką przestrzeń.

Jego nagie ciało.

Odsunęła dłonie od piersi, które i tak namydlała już zbyt długo. W końcu była kobietą. Nie mogła wpłynąć na to, jak Panda działał na jej podstawowe instynkty. Biło od niego coś pierwotnego, był taki cielesny, zwierzęcy, cały z mięśni i energii. Stworzony do seksu. Pewnie lubił kochać się brutalnie i lubieżnie, zupełnie inaczej niż Ted, który mógłby służyć za złoty wzorzec męskiej doskonałości erotycznej - nienasycony, nigdy niemyślący o sobie, elegancki.

Tylko że teraz mogła wreszcie przyznać, że ta doskonałość Teda okazała się prawdziwą męczarnią. Chciała mu się rewanżować najlepiej jak potrafiła, ale to, co sama otrzymywała, było tak mistrzowsko wykonane, że nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć w równie znakomity sposób. Przez to nigdy nie było jej tak dobrze, jak mogło. Martwiła się, że za głośno jęczy, niezręcznie się rusza, pieści go zbyt nieśmiało, zbyt brutalnie, w niewłaściwych miejscach. A co, jeśli za długo się rozgrzewała, jeśli brzydko pachniało jej z ust albo trzęsły jej się uda? A gdyby pierdnęła?

Cały ten stres.

Z Pandą byłoby zupełnie inaczej. Tak łatwo. On interesowałby się wyłącznie sobą. I kogo obchodziłoby, co ona robi albo czy jej się podoba? Mogłaby odpowiedzieć lub nie, w zależności od ochoty. Nie musiałyby się zastanawiać, jak jej słowa, zachowania, jęki - albo milczenie - wpływają na niego.

Pomyśl, że mogłaby po prostu wziąć to, czego chce od mężczyzny, który nie oczekiwałby niczego oprócz tego, by miała kobiece ciało, zawładnął jej myślami. Przez całe liceum i studia fantazjowała na temat dzikich facetów, których czasem spotykała - o sy-

nu bogatych bywalców salonów, który dorabiał sobie sprzedając narkotyków; o koszykarzu o bardzo szerokim uśmiechu, który ścigał na egzaminach; o prowokujących facetach z papierosami w kącikach ust, tych, którzy jeździli za szybko, pili za dużo i trenowali ciało zamiast umysłu. A teraz fantazjowała na temat Pandy.

Jak by zareagował, gdyby wyszła z łazienki naga? Nie sądziła, by się odwrócił plecami.

Wycieczka dobiegała końca. Rozumiała to, chociaż nie rozpięła sobie dokładnego planu. W każdej chwili mógł ją zostawić samą. Czy kiedykolwiek miała jeszcze szansę zaznać wolnego, brudnego seksu bez zobowiązań? To była jedna szansa na milion. Czy mogła przepuścić okazję?

Dwa tygodnie wcześniej była zaręczona z innym mężczyzną, którego nadal w pewnym sensie kochała. Nie wybaczyłyby sobie, gdyby wskoczyła Pandzie do łóżka.

A jednak ten pomysł nie budził w niej obrzydzenia.

Poczuła irracjonalną potrzebę, żeby omówić to z Tedem. Zawsze miał takie uporządkowane myśli, a ona w tej chwili pogrążyła się w kompletnym chaosie.

Suszac się, nadal myślała o Pandzie. Wiedziała, czego chce. Nie wiedziała. W końcu postanowiła pójść na tchórzliwy kompromis. Owinęła się w malutki ręcznik i otworzyła drzwi łazienki.

- Nie patrz.

Spojrzał. Nawet nie udawał, że nie mierzy Lucy spojrzeniem, które rozpaliło jej skórę. Minęło sporo czasu, zanim się odezwał.

- Jesteś zdecydowana? - Koniec gierki. Konkret. Cały Panda.

- Nie.

- Musisz być dość przekonana.

- Nie jestem.

Rozmyślał nad tym dłużej, niż się spodziewała. W końcu wstał z łóżka i ściągnął koszulkę przez głowę.

- Muszę się wykapać. Jeśli zamierzasz wciąż mieć na sobie ten ręcznik, kiedy wrócę, przemyśl to.

Lucy nie była zachwycona. Podobał jej się pomysł pryszni-ca - wiedziała dokładnie, jak bardzo brudni byli po długiej jeździe na motorze - ale wolałyby mieć więcej czasu do namysłu.

Czy to był najlepszy sposób, żeby wrócić do życia po Tedzie, czy może najgorszy?

Drzwi łazienki zatrzasnęły się głośno. Zostawił telefon, co dowodziło, że pewnie znów wykasował wszystkie połączenia. Wystukała numer.

- Meg...  
- Luce? Wszystko dobrze, skarbie?  
- Tak... chyba.  
- Czemu szepczesz?  
- Bo... - Lucy urwała. - Czy byłabym ostatnim potworem, gdybym przespała się teraz z innym facetem? Tak za jakieś dziesięć minut?

- Nie wiem, może.  
- Tak sądziłam.  
- Podoba ci się?  
- W pewnym sensie. To nie Ted Beaudine, ale...  
- W takim razie zdecydowanie powinnaś się z nim przespać.  
- Chciałabym, ale...  
- Bądź potworem, Luce. To ci dobrze zrobi.  
- Podejrzewam, że gdybym poważnie chciała się nad tym zastanowić, to zadzwoniłabym do kogoś innego.  
- No i to ci wiele mówi.  
- Masz rację. - Woda w łazience przestała szumieć. Panda pobił rekord szybkości w kąpiel. - Muszę kończyć - powiedziała pospiesznie Lucy. - Zadzwoń, kiedy będę mogła. Całuję. - Rozłączyła się.

Otworzyły się drzwi łazienki. Teraz oboje mieli na sobie tylko ręczniki. Panda owinał się tak nisko, że widać było płaski brzuch... i wzniesienie poniżej.

W jednej dłoni trzymał ubrania. Jego włosy były mokre i splątane, a wargi rozciągnęły się w czymś w rodzaju gniewnego grymasu. Na jego klatce piersiowej i nogach, które - oczywiście - nie były pokiereszowane żadnymi bliznami, wisały krople wody. Dziwne wydawało się tylko to, dlaczego facet, którego ma spotkać coś dobrego, jest tak koszmarnie zły.

Wskazał głową ręcznik.

- Wciąż się zastanawiam - uprzedziła.  
- Nieprawda. Już podjęłaś decyzję. - Wyrwał portfel z kieszeni džinsów, otworzył go i wyciągnął z niego prezerwatywę. - Mam tylko jedną, więc lepiej się postaraj.

- Może będę dobra, może nie - odparła. - To zależy od mojego humoru. - Te słowa napełniły ją euforią.

Cisnął ubrania na ziemię, podszedł do Lucy i zanurzył wskazujący palec między jej piersi. Jednym szarpnięciem zerwał ręcznik.

- Czas spróbować zakazanego owocu - powiedział ledwo słyszalnym, chrapliwym szeptem.

Kto tu był zakazanym owocem? Ona? On? Nie chciała o tym myśleć, chciała tylko czuć. Przyłgął głową do jej ramienia, a Lucy nie zamierzała być jedyną nagą osobą w pomieszczeniu, więc zdjęła mu ręcznik. Spadł na ich stopy w chwili, w której przyłgnęli do siebie. Usta Pandy musnęły jej obojczyk. Zaczął kąsać. Przesunął się w stronę szyi. Nie golił się, więc broda leciutko drapała skórę Lucy, pozostawiają po sobie szlak z gęsiej skórki.

Lucy tego dnia przez wiele godzin wtulała się w jego ciało, teraz chciała poznać je lepiej. Położyła mu dłonie na klatce piersiowej, Panda dotarł już do strefy pod płatkami jej ucha. Nie chciała, żeby ją pocałował, więc odwróciła głowę. Tym samym odsłoniła przed nim więcej szyi. Przyjął zaproszenie.

Niedługo później jego ręce odnalazły piersi Lucy, przyłgnęły kciukami do obwódki sutków. Przeszył ją strumień gorąca. Zaczął lekko ją szczypać, więc odwzajemniła się tym samym. Oddech Pandy przyspieszył, Lucy także. Wsadził ręce pod jej pupę, podniósł ją i zaniósł na łóżko, które sobie wybrała. Żadnych czułości. Nic, co przypominałoby jej Teda.

Jedną ręką odrzucił kapę. Gdy opadli na prześcieradło, przypadkiem go drapnęła. Nie przejęła się. Wbiła dłonie w dzikie loki i szarpnęła go po prostu dlatego, że miała na to ochotę.

- Auć.

- Bez gadania - zażądała.

- Lubisz na ostro, prawda?

O tak. Tak właśnie chciała. Bez usprawiedliwień i namysłu. Bez czułych pieszczot.

Wsunęła dłonie między jego nogi i ścisnęła. Nie na tyle mocno, żeby sprawić ból. Chciała, żeby chociaż przez sekundę poczuł, jaki jest kruchy.

- Uważaj lepiej - powiedział.

- Sam uważaj.

Wzniósł się nad nią, wykrzywiając kącik warg w sadystycznym uśmiechu.

- Tego się po tobie nie spodziewałem... - I w tej samej chwili po prostu przyszpilił ją do łóżka za nadgarstki i docisnął do materaca ciężarem własnego ciała.

Przeszył ją niebezpieczny dreszcz.

Przeciagnął nieogoloną brodą po jej sutku. Rozkoszne zadrapanie przyprawiło ją o westchnienie. Powtórzył. Wykręciła się lekko, co odsłoniło ją na atak.

- Liczyłem na odrobinę więcej gry wstępnej... - Rozdarł zębami opakowanie prezerwatywy. - Ale skoro tak sobie życzysz...

Nigdy nie widziała, żeby ktoś tak szybko nałożył prezerwatywę. Znowu chwycił ją za nadgarstki i jednym potężnym pchnięciem znalazł się w jej wnętrzu.

Straciła oddech. Bezwiednie rozsunęła nogi. Nie dał jej nawet chwili, by przyzwyczała się do jego ogromnych rozmiarów, natychmiast zaczął napierać. Nie wykazał się nawet odrobiną wyrafinowania. Po prostu pchał, głęboko, potężnie, sięgając aż do jej rdzenia. Nie musiała robić nic, tylko się poddać - a na to nie miała ochoty. Objęła stopami jego łydki. Zaczęła się kołysać. Zęby Pandy zaślśniły w uśmiechu.

Już po chwili pot wystąpił na jego czoło, ale nie przestał napierać. Nie zamierzał poddać się przed nią.

Ona jednak także nie chciała być pierwsza. Pragnęła wytrzymać do końca świata, umrzeć, tylko nie dać mu wygrać tej bitwy, która - tak jak często dzieje się na wojnach - już dawno straciła pierwotny cel. Ciemne oczy Pandy zaczęły się szkląć. Ciało robiło się coraz cięższe. Z ust Lucy wymknął się cichy skowyt. I kolejny. Panda odrobinę poluzował chwyt. Zaciśnęła dłonie na jego ciele, mocno wbiła paznokcie w skórę. Nie była mu nic winna.

I właśnie dlatego oddała mu wszystko.



W tej samej chwili, w której on przegrał własną bitwę.

Wygiał plecy w łuk, uniósł ramiona, po raz ostatni pchnął biodrami. Tornado. Trzęsienie ziemi. Powódź.

- Chcesz piwo? - spytał chwilę później w swoim neander-talskim stylu, nawet na nią nie patrząc.

- Nie, chcę iść spać. Sama. - Pokazała palcem drugie łóżko, starając się być możliwie najbardziej nieuprzejma.

Ale Pandzie chyba nie robiło to różnicy.

Następnego ranka obudził ją odgłos otwieranych drzwi. Zmusiła się do otwarcia oczu. Panda stał, trzymając dwa kubki kawy, które musiał kupić w recepcji motelu. Bycie potworem stanowiło nowe doświadczenie - i następnego ranka sprawiło Lucy o wiele mniej frajdy. Chciała naciągnąć prześcieradło na głowę i błagać, żeby Panda sobie poszedł. Ale zostawiła je na swoim miejscu i zdobyła się na odrobinę bezczelności.

- Wolę Starbucksa.

- Ubieraj się, nie ma czasu. - Postawił kawę na toaletce.

Udawanie, że nic się nie stało, tylko pogorszyłoby sprawę.

- Seks powinien poprawiać nastrój. Co ci się stało?

- Rzeczywistość - odparł, szorstki jak jednodniowy zarost. - Zaczekam na zewnątrz.

To by było tyle, jeśli chodzi o wesołe pogawędki. Ale co ją to obchodziło? Zerwała jeszcze jedną nić, która wiązała ją z Tedem. Nie był już ostatnim facetem, z którym spała.

Gdy wyszła z motelu, zniecierpliwiony Panda stał przy motocyklu z dyndającym kaskiem Lucy w jednej dłoni i kawą w drugiej. Po nocnej burzy powietrze było ciężkie i wilgotne, ale Lucy wątpiła, czy tylko dlatego mężczyzna wyglądał jak bomba tuż przed detonacją. Impertynencja i bezczelność czternastoletniej dziewczynki, którą usiłowała w sobie na nowo rozbudzić, na nic się tu nie przyda. Może dlatego, że w wieku czternastu lat Lucy była jeszcze dziewczicą. Ale co z Viper, nowym motocyklowym alter ego?

Zmrużyła oczy.

- Wyluzuj, chłopie.

O rany, o rany, o rany! Naprawdę to powiedziała?

Popatrzył na nią wściekle i wrzucił kubek po kawie do przepełnionego śmietnika.

- Minęły dwa tygodnie, Lucy. Koniec wycieczki.

- Nie dla mnie, skarbie. Dopiero się rozkręcam.

Wytrąciła go z równowagi równie mocno jak siebie samą.

- Nie wiem, w co grasz, ale przestań.

Wyrwała mu kask z ręki.

- Może ty chcesz tu sterczeć cały dzień i gadać, ale ja mam ochotę na przejażdżkę.

Gdy wkładała kask, Panda wymamrotał coś, czego nie dosłyszała. Po chwili ruszyli. Dotarcie do granicy Arkansas i na przedmieścia Memphis nie zajęło im wiele czasu. Wcześniej Panda trzymał się z dala od autostrad, jednak tego dnia zmienił zdanie. Przemknął obok drogowskazu na Graceland, zmienił pas i zjechał na inną drogę. Wkrótce zatrzymał się przed budynkiem. Uczucie triumfu na myśl o własnej brawurze natychmiast wyparowało, gdy Lucy zobaczyła napis: „Międzynarodowy Port Lotniczy w Memphis”.

Ścisnęła Pandę za żebra.

- Dokąd się wybierasz?! - krzyknęła.

Nie odpowiedział.

Ale już zrozumiała. Skala zdrady była tak wielka, że nie potrafiła jej ogarnąć.

Zatrzymał się przed halą odlotów i zaparkował między dwoma suwami.

- Koniec trasy.

Powiedział to takim tonem, jakby to nie miało znaczenia. Jakby Lucy miała zeskoczyć z motoru, uścisnąć mu dłoń i odejść w podskokach. Ponieważ nie drgnęła, przejął inicjatywę. Chwycił ją za ramię i w chwilę później zdała sobie sprawę, że stoi obok motoru.

- Czas wracać do domu.

Rozpiął jej klamrę pod brodą, ściągnął kask i przymocował go do motocykla.

Zapadły jej się płuca. Tak pewnie czuł się Ted. Zdradzony i oszukany.

- To moja decyzja - odparła.

Zamiast odpowiedzi, odpiął jej bagaż i postawił go na chodniku. Sięgnął do sakwy, wyjął stamtąd kopertę i wcisnął jej w dłoń.

- Tu znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz.

Patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami.

- Minęły dwa tygodnie, Lucy. Dwa tygodnie. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Muszę się zająć nowym zleceniem.

Nie mogła, a może nie chciała zrozumieć, co powiedział.

Stanął przed nią. Wycofany. Obojętny. Może trochę znudzony. Była kolejną kobietą. Kolejnym ciałem. Kolejnym zadaniem...

„Nie ma jazdy za frajer, bak, blanty albo bara-bara”.

I wtedy coś się zmieniło. Między czarnymi brwiami Pandy pojawiła się zmarszczka. Opuścił powieki, a gdy znowu je podniósł, zobaczyła wszystko, co tak bardzo starał się ukryć. Inteligencję, którą tak usilnie maskował. Ból i zwątpienie, może nawet wyrzuty sumienia. I przenikający całą duszę głód, który nie miał nic wspólnego z wulgarnymi koszulkami i obscenicznymi naklejkami.

Pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z tych kruchych emocji. Ale chyba nie potrafił, bo podniósł ręce i objął jej policzki, a jego wielkie dłonie wydawały się delikatne jak skrzydła motyla. Chłodne, niebieskie oczy miał pełne czułości i męki. Pochylił głowę i zrobił to, na co nie pozwoliła mu poprzedniej nocy. Pocałował ją. Z początku było to delikatne muśnięcie, potem coś głębszego, wygłodniałe połączenie warg, osłoniętych przez opiekuńcze dłonie.

Smakował ją ustami, jakby nie był w stanie się nasycić. A potem bez ostrzeżenia oderwał się, odwrócił i, zanim zdołała go zatrzymać, dosiadł motoru. Po chwili zapuścił silnik i znikł. Uciekł z jej życia z rykiem sfatygowanej yamaha oblepionej naklejkami, które już nie pasowały do tego mężczyzny. A wydawało jej się, że go znała.

Stała na chodniku obok plecaka, z sercem w gardle i stała tak długo po tym, jak zniknął. Mijały ją busiki wypożyczalni samochodów i taksówki. W końcu zerknęła na kopertę, którą jej wręczył. Wsunęła palec pod listek zamknięcia, otworzyła ją i obejrzała zawartość.

Było tam jej prawo jazdy, karty kredytowe i polecenia dla ochrony lotniska, na którym ktoś już czekał, żeby zabrać ją z powrotem do Waszyngtonu.

Wpatrzyła się w namacalny dowód na cudowną, onieśmielającą wręcz miłość rodziców. Wiedziała, że mogliby ją odnaleźć, gdyby chcieli. Teraz rozumiała, dlaczego tego nie zrobili. Bo od samego początku wiedzieli, gdzie jest. Wynajęli ochroniarza.

„Dwa tygodnie, Lucy”.

Powinna była przewidzieć, że rodzice zrobili coś takiego. W ciągu ostatnich lat zdarzyło się kilka incydentów, gdy ludzie zachowywali się agresywnie wobec niej... Dostała parę listów od psychopatów... Raz została potrącona. Nic jej się nie stało, ale rodzice wpadli w panikę. Gdy straciła ochronę służb specjalnych, zignorowali jej sprzeciw i wynajmowali prywatnych agentów, zwłaszcza na wielkie wydarzenia, kiedy ich zdaniem narażała się na ataki. Naprawdę myślała, że rodzice darowaliby jej ochronę w czasie jej własnego nagłośnionego przez media ślubu? Panda od początku był przez nich opłacany. Miał krótkoterminową umowę, którą przedłużyli, kiedy Lucy uciekła. Do dwóch tygodni. To dość czasu, by przygasł najgorszy szum i żeby nie musieli się martwić o jej fizyczne bezpieczeństwo. Dwa tygodnie. I czas minął.

Zabrała rzeczy, włożyła czapkę i okulary słoneczne, po czym ruszyła w stronę terminalu. „Niech cieszy się wolnością, skoro jej potrzebuje, ale ma być bezpieczna” - tak wyobrażała sobie to, co mogli powiedzieć jej rodzice.

Teraz rozumiała wszystko, co powinno być dla niej jasne od chwili, kiedy Panda tak szczęśliwie znalazł ją w alejce. Nigdy nie zostawiał jej samej. Ani razu samotnie nie wypłynął łódką. Podążał za nią, ilekroć szła do sklepu, a w restauracjach wyczekiwał na nią pod drzwiami do toalety. No i w motelach... Upierał się, żeby brali tylko jeden pokój, bo chciał jej pilnować. A kiedy próbował ją nakłonić strachem, żeby wróciła do domu, po prostu wykonywał swoją pracę. Zważywszy na to, ile płaci się prywatnym ochroniarzom, musiał się nieźle ubawić, kiedy zaproponowała mu tysiąc dolarów.

Zatrzymała się przy ławce w pobliżu drzwi prowadzących do hali. Ogarnęła ją gorycz. Poprzedniego wieczoru Panda bez pardonu zafundował sobie małą premię. Może klientki zwyczajowo wynagradzały go seksem, w ramach dodatku do pensji. Tak, żeby zapisać się w pamięci.

Lucy wiedziała, że jeśli wkrótce nie zamelduje się w biurze ochrony, rozpoczną się poszukiwania. Prawdopodobnie już jej szukali. A jednak nawet nie drgnęła. Wciąż wracało do niej wspomnienie pocałunku. Te splątane, trudne emocje, które dostrzegła w jego oczach. Chciałaby czuć wyłącznie gniew, bez towarzyszącej mu niepewności. Czemu wydawał się taki udęczony? Taki kruchy? Czemu dostrzegła w nim potrzebę o wiele bardziej złożoną niż zwykłe pożądanie?

To tylko gra świateł i cieni.

Przypomniała sobie, jak otulił jej twarz dłońmi, jak ją pocałował. Jego czułość...

To było złudzenie, które sama sobie wykreowała. Wcale go nie znała.

Więc dlaczego wydawało jej się, że wie o nim wszystko?

Powinien był powiedzieć prawdę. Bez względu na umowę z rodzicami, powinien być szczerzy wobec niej. Ale wówczas musiałby pozwolić sobie na bezpośredniość, a to chyba leżało poza granicami jego możliwości.

A przecież teraz, gdy stali przy krawężniku, powiedział prawdę, oczami. Ostatni pocałunek dowiódł, że te dwa tygodnie znaczyły dla niego więcej niż tylko czek.

Chwyciła plecak i ruszyła przed siebie, oddalając się od drzwi terminalu. Zupełnie jak wtedy, gdy uciekała z własnego ślubu.

Pół godziny później wyjechała z Memphis wynajętym nisanem sentrą. Pracownik w firmie wynajmującej samochody nie rozpoznał jej nazwiska, gdy podała mu prawo jazdy. Tyle że ten mężczyzna z trudem obsługiwał komputer, więc nie mogła wiecznie liczyć na takie szczęście.

Zerknęła na mapę rozłożoną na siedzeniu. Na niej leżał telefon, z którego chwilę wcześniej wysłała SMS do rodziny: „Jeszcze nie jestem gotowa na powrót”.

## Rozdział 6

LUCY ZATRZYMAŁA SIĘ NA NOC w HAMPTON INN w samym środku stanu Illinois. Zameldowała się pod przybranym nazwiskiem i zapłaciła gotówką wyciągniętą z bankomatu. Rodzice na pewno byliby w stanie zlokalizować miejsca, w których użyła karty. Gdy dotarła do pokoju, wyciągnęła znienawidzony sztuczny brzuszek spod koszuli, wyrzuciła go do kosza i otworzyła torbę z rzeczami, które kupiła wcześniej.

Pomysł przyszedł jej do głowy podczas postoju w pobliżu granicy stanu Kentucky, gdzie przyglądała się dwóm dziewczynom noszącym się w gotyckim stylu, które wysiadały akurat ze starego chevroleta cavalier. Ciemny makijaż i zwariowane fryzury przyprawiły Lucy o nieoczekiwane, ale znajome ukłucie zazdrości. Przypomniała sobie, jak w liceum patrzyła na mijające ją w korytarzach dziewczyny. A gdyby tak...

Matt i Nealy nigdy nie dawali jej odczuć, że powinna zachowywać się lepiej niż reszta nastolatek, ale jeszcze przed incydem na przyjęciu zdawała sobie sprawę, że obowiązują ją inne normy. Dlatego nie przekłuła nosa, nie ubierała się w dziwaczne ciuchy i nie zadawała z dziećmiakami o fatalnej reputacji. Wtedy tak właśnie powinna była robić.

Ale teraz...

Przeczytała instrukcje obsługi na paczkach i zabrała się do pracy.

Chociaż położyła się późno, następnego ranka wstała z samego rana i czuła skurcze żołądka ze strachu. Czuła, że powinna zawrócić i jechać do domu. Albo może na zachód. Może odnalazłaby siebie podczas mitycznej podróży po tym, co zostało z Route 66? Była zbyt krucha, by starać się przeniknąć tajemnice enigmatycznego, szorstkiego ochroniarza. I czy naprawdę sądziła, że zrozumienie go pomogłoby jej zrozumieć samą siebie?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, więc wygramoliła się z łóżka, wzięła szybki prysznic i ubrała się w to, co kupiła.

Krwistoczerwona róża, która ozdabiała jej czarną, dopasowaną koszulkę bez rękawów wspaniale gryzła się z krótką, limonową spódniczką typu tutu, którą spięła w pasie paskami czarnej skóry i klamerkami. Wymieniła trampki na czarne glany i nałożyła na paznokcie kilka nierównych warstw czarnego lakieru.

Największą zmianę przeszły włosy, które przefarbowała na czarno. Kolor był płaski, bez połysku, surowy. Korzystając ze wskazówek wypisanych na słoiku z woskiem, uformowała pół tuzina dredów w losowo wybranych miejscach głowy i popsikała je pomarańczowym sprayem. Potem podkreśliła oczy czarnymi smugami od góry i od dołu i przypięła sobie kolczyk w nosie. Z lustra patrzyła na nią zbuntowana osiemnastolatka. Dziewczyna, która nie miała nic wspólnego z trzydziestojednoletnią lobbystką i uciekinierką sprzed ołtarza.

Później, idąc do samochodu, usiłowała nie zauważyć łypnięć innych mieszkańców hotelu. Gdy dotarła na miejsce parkingowe, czuła już, jak bardzo spódniczka drapie ją w uda. Glany były niewygodne, a makijaż karykaturalny, ale mimo to czuła, jak ogarnia ją odprężenie.

Viper, motocyklistka.

Panda wyruszył na poranny jogging nad jeziorem. Zwykle piękno horyzontu Chicago dobrze na niego wpływało, ale dziś nie mógł pozbyć się zamętu w myślach.

Trzy kilometry przeszły w cztery. Cztery w pięć. Otarł czoło rękawem przepoconej koszuli. Wrócił tam, gdzie było jego miejsce, ale po zacisznym jeziorze Caddo miasto wydawało mu się zbyt głośne, zbyt szybkie.

Para weekendowych rolkarzy kretynów zablokowała mu drogę. Wyminął ich, biegnąc przez trawę, po czym wrócił na chodnik.

Lucy była bystra, powinna wcześniej zrozumieć, co jest grane. Ale nie zrozumiała i trudno, nie jej wina. Zrobił, co do niego należało.

Mimo to zranił już dość osób w swoim życiu. I właśnie zrobił to kolejnej. Wiedział, że przekroczył granicę, nie potrafił sobie tego wybaczyć.

Wyprowadził go rower. Panda przyspieszył, żałując, że nie może wyminąć sam siebie.

Nagle powietrze rozdarła eksplozja. Rzucił się na ziemię i uderzył ciałem o ścieżkę. Żwir podrapał mu podbródek, wbił się w dłonie, a serce waliło jak młotem. Huczało mu w uszach.

Powoli podniósł głowę. Rozejrzał się.

To nie była żadna eksplozja. Huknął stary gaźnik ciężarówki.

Spacerowicz z pieskiem przystanął i zaczął mu się przyglądać. Zwolnił jakiś biegacz. Ciężarówka znikła, pozostawiając za sobą smugę spalin, która zawisała nad nadbrzeżną ulicą.

Cholera! Nie zdarzyło mu się to od lat. Wystarczyły dwa tygodnie w towarzystwie Lucy Jorik i oto, gdzie wylądował. Na ziemi, z piaskiem w ustach. Powinien o tym pamiętać następnym razem, gdy będzie usiłował zapomnieć, kim był i co widział.

Samochód połykał kolejne kilometry, a Lucy co chwila zerkała na siebie w lusterku, patrząc na ostry makijaż, martwe, czarne włosy i pomarańczowe dredy. Poprawiał jej się humor. Ale czy naprawdę zamierzała to ciągnąć? Nawet Ted, który wiedział wszystko, nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Lucy też nie miała pojęcia, ale ta nowa skóra bardzo jej się podobała.

Szybko zostawiła za sobą Illinois i skierowała się do Michigan. Czy Ted kiedykolwiek jej wybaczy? A rodzina? Może pewnych win nigdy nie można zmazać?

W pobliżu Cadillac zjechała z autostrady i zaczęła podążać mniejszymi drogami w stronę północno-zachodniego Michigan. Wieczorem stała już w kolejce wraz z sześcioma innymi samochodami, które chciały przeprowić się ostatnim promem na Charity Island. Z trudem odnalazła to miejsce na mapie. Miała zeszywniałe mięśnie, piekły ją oczy, a nastrój pogarszał się z minuty na minutę. Chyba kompletnie oszalała, ale gdyby nie spróbowała, do końca życia myślałaby o Pandzie, o ich pocałunku i o tym, jak wylądowała w łóżku z nieznanym ledwo dwa tygodnie po ucieczce od mężczyzny, który był dla niej za dobry. To może nie brzmiało jak zupełnie logiczny powód dla tej wyprawy, ale ostatnio nie prezentowała najwyż-



szej formy umysłowej. Nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

Stary prom, wymalowany na czarno, z żółtymi paskami, cuchnął pleśnią i zużytym paliwem. Wraz z Lucy wsiadło kilkunastu pasażerów. Jeden z nich, studenciak, usiłował ją zaga- dać, pytając, gdzie się uczy. Odparła, że uczęszczała na stanowy uniwersytet w Memphis, ale rzuciła szkołę, po czym odeszła, dudniąc glanami po pokładzie.

Resztę trasy spędziła na dziobie, patrząc, jak na horyzon- cie wyspa wyłania się z wieczornego półmroku. Miała kształt leżącego psa - kończyła się głową, port leżał w miejscu brzucha, a z drugiej strony wznosiła się latarnia morska, jak przy- cięty ogon. Według broszurki dla turystów wyspa znajdowała się dwadzieścia pięć kilometrów od brzegu jeziora Michigan. Miała piętnaście kilometrów długości, trzy szerokości i około trzystu stałych mieszkańców, których liczba latem wzrastała do tysięcy. Według Izby Handlu, Charity Island oferowała gościom ustronne plaże, nieskażone lasy, wymarzone miejsca do łowienia ryb i polowania, a w zimie trasy narciarskie. Lucy jednak potrzebowała tylko odpowiedzi na swoje pytania.

Prom uderzył o nadbrzeże. Lucy zeszła na dół i wsiad- ła do samochodu. Miała przyjaciół w całym kraju, może nawet na całym świecie, i wszędzie znalazłaby kogoś, kto by ją prze- nocował. A jednak wylądowała tu, w kolejce do zjazdu z promu na wyspie w rejonie Wielkich Jezior. Z powodu jednego poże- gnalnego pocałunku i przepustki, którą znalazła między po- duszkami kanapy. Wyciągnęła kluczyk z plecaka i powiedziała sobie, że i tak nie ma nic lepszego do roboty - co nie było do końca prawdą. Miała wiele do naprawienia i zrujnowane życie, które powinna odbudować, ale ponieważ nie wiedziała, jak się do tego zabrać, znalazła się tu.

W porcie było wiele czarterowych łódek rybackich, moto- rówka do wynajęcia i stary holownik przywiązany obok małej barki. Zjechała z rampy na zwirowy parking z szyldem „Miejskie doki”. Główna ulica, dwupasmówka - optymistycznie nazwana bulwarem Beachcomber - mieściła liczne sklepy. Niektóre były

mocno nadgryzione zębem czasu, inne mieniły się jaskrawymi kolorami i przyciągały turystów kiczowatymi wystawami. Minęła: U Jerry'ego, market McKinleya, restauracje, cukiernie, bank, straż pożarną... Tablice ogłoszeń rozmieszczone wzdłuż ulicy reklamowały usługi wędkarskie, a sklep nurkowy Jake'a zachęcał odwiedzających do „Zwiedzania pobliskich wraków”.

Teraz, gdy już znalazła się na wyspie, nie miała pojęcia, dokąd się udać. Zatrzymała się na parkingu w pobliżu baru o nazwie Sandpiper. W środku nie miała problemu z odróżnieniem miejscowych od turystów. U tych ostatnich widziała charakterystyczne, szkliste spojrzenia ludzi, którzy upchali zbyt wiele przeżyć w jeden dzień. Turyści tłoczyli się przy małych, drewnianych stolikach, miejscowi siedzieli przy barze.

Podeszła do barmana, który zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Sprawdzamy dokumenty.

Gdyby nie straciła poczucia humoru, pewnie wybuchnęłaby śmiechem.

- W takim razie może poproszę sprite'a?

- Mam się tu zatrzymać, ale zgubiłam adres - powiedziała, gdy barman wrócił z napojem. - Znasz faceta o imieniu Panda?

Miejscowi podnieśli głowę znad drinków.

- Możliwe - odparł barman. - A skąd ty go znasz?

- On... pracował dla mojego przyjaciela.

- W jakim charakterze?

Wtedy właśnie Lucy odkryła, że Viper jest kompletnie niewychowana.

- To znasz go, czy nie?

Barman wzruszył ramionami.

Bywa tu czasem. - Odszedł, żeby zająć się innym klientem.

Na szczęście starsi goście siedzący na końcu baru byli bardziej gadatliwi.

Pojawił się kilka lat temu i kupił stary dom Remingtonów nad Zatoką Gęsi - powiedział jeden z nich. - Nie ma go teraz.

Wiem na pewno, że nie przyleciał, a gdyby przypłynął promem albo jachtem, to byśmy o tym usłyszeli.

W końcu jej się poszczęściło. Może miała szansę odpowiedzieć na swoje pytania bez konieczności spotkania z Pandą.

Starszy mężczyzna oparł się o bar.

- On mało gada. Trzyma dystans. Nigdy nie słyszałem, z czego żyje.

- Tak, taki właśnie jest - odparła Viper. - Czy to daleko stąd, ta zatoka?

- Wyspa ma tylko piętnaście kilometrów - odparł drugi ze starsuszków. - Nic nie jest daleko, chociaż w niektóre miejsca trudniej się dostać.

Wskazówki zawierały mnóstwo skrętów, wymagały zlokalizowania szopy, martwego drzewa i głazu, na którym jakiś Spike namalował sprejem pacyfę. Kwadrans po wyjściu z baru, Lucy była już beznadziejnie zgubiona. Przez chwilę jechała przed siebie bez celu, po czym w końcu udało jej się wrócić do głównej drogi. Zatrzymała się przy sklepie z przynętami. Właściciel właśnie go zamykał. Uzyskała nowy zestaw wskazówek, które wydawały się równie niejasne.

Gdy w końcu zobaczyła skrzynkę pocztową z napisem „Remington” ledwo widocznym na drewnianej deseczce, robiło się już ciemno. Zjechała z drogi na pełen kocich łbów podjazd i zaparkowała przed drzwiami od garażu.

Wielki dom z początku był pewnie budowany w holenderskim stylu kolonialnym, ale z czasem wzbogacił się o dodatkowe ganki i małe skrzydło. Gonty miały kolor wymytego drewna, a ze skomplikowanej struktury dachu wystawał podwójny komin. Lucy nie mogła uwierzyć, że dom należał do Pandy. Wyglądał jak mieszkanie dla rodziny. W takim miejscu spalone słońcem dzieciaki powinny ganiać się z kuzynami po plaży. Ich mamy mogłyby dzielić się płoteczkami, podczas gdy mężowie rozpaliliby grill, dziadkowie drzemali na zacienionych gankach, a psy leniwie grzałyby się w słońcu. Panda pasował do zapuszczonej chatki rybackiej, nie tu. Jednak adres się zgadzał, a mężczyźni wyraźnie powiedzieli, że chodzi o nazwisko Remington.

Po prawej stronie garażu znajdowały się niezbyt efektowne drzwi frontowe. Przed nimi stała nadtłuczona gliniana donica

z suchą ziemią i wyblakłą amerykańską flagą po jakimś dawnym Czwartym Lipca. Drzwi były zamknięte. Lucy podażyła zarośniętą ścieżką w stronę wody, gdzie znalazła serce domu - przestronną zadaszoną werandę z otwartym tarasem. Liczne okna wychodziły na osłoniętą drzewami zatokę, za którą rozciągało się jezioro Michigan.

Wróciła na drugą stronę budynku, szukając sposobu, by dostać się do środka, ale wszystko było pozamykane. Po drodze widziała sporo hotelików, kwater prywatnych i pensjonatów, więc z pewnością znalazłaby miejsce na nocleg. Najpierw jednak chciała zobaczyć wewnątrz tego domu.

Sięgnęła do rozdarcia w moskitierze osłaniającej werandę i odemknęła skobel w drzwiach. Weszła na skrzypiące deski, między fotele obite zapleśniałymi płótnami, które niegdyś miały barwę morskiego błękitu. Połamane dzwoneczki z łyżek wisały krzywo w kącie, w drugim stała porzucona chłodziarka. Drzwi do domu były zamknięte, ale to nie powstrzymało Viper. Przerdzewiałym szpadłem rozbiła jedną z małych szybek, po czym sięgnęła dłonią do wewnątrz i otworzyła sobie zamek.

Gdy weszła do staromodnej kuchni, otulił ją piżmowy zapach domu, który długo stał zamknięty. Wysokie, drewniane szafki ktoś niezbyt mądrze pomalował na zielono. Pozostawił natomiast oryginalne gałki i uchwyty. W kąciku śniadaniowym stał wyjątkowo brzydki i odrobinę zbyt duży stół, który nieudolnie naśladował wiktoriański styl. Biały blat z laminatu, cały pokryty bliznami, gościł starą mikrofalówkę, nowy ekspres do kawy, noże i solniczkę wypchaną wygiętymi szpatułkami i osmalonymi plastikowymi łyżkami. Przy zlewie siedziała ceramiczna świnka w stroju francuskiego kelnera.

Lucy włączyła światła i zaczęła zwiedzać parter. Przeszła przez salon, zabudowany taras i wetknęła głowę do jakiejś zakurzonej jaskini. Trafiła do dużej sypialni. Spore łóżko okryte było kapą w granatowo-biały wzór, zobaczyła jeszcze stoliki w kształcie szpul na kable, trzyczęściową toaletkę i dwa krzesła z różnymi obiciami. Na ścianie wisały odbitki Andrew Wyetha w tanich ramkach. W szafie znalazła wiatrówkę, dżinsy, buty sportowe i czapkę dru-

zyny Detroit Lions. Rozmiary pasowałyby do Pandy, ale nie był to jeszcze przekonujący dowód, że włamała się do właściwego domu.

Niczego więcej nie powiedziała jej wizyta w łazience wyposażonej kompletnie niemodnymi jasnoturkusowymi kafelkami i wyposażonej tylko w kabinę prysznicową z białą zasłonką. Po chwili wahania Lucy otworzyła szafkę z lekarstwami. Pasta, nitka dentystyczna, advil, golarka.

Wróciła do kuchni i zbadała jedyny przedmiot, który nie pasował do wystroju, supernowoczesny niemiecki ekspres do kawy, dokładnie coś takiego, co mógłby trzymać w domu dobrze zarabiający ochroniarz, który kocha dobrą kawę. Przekonało ją jednak dopiero to, co znalazła w lodówce. Na niemal całkiem pustej półce wypatrzyła słoik pomarańczowej marmolady, tej samej marki, którą Panda rozsmarowywał po jej domowym chlebie.

- Prawdziwy mężczyzna je dżem z winogron - powiedziała kiedyś podczas zakupów w pobliżu jeziora Caddo, widząc, że Panda kupuje identyczny słoiczek. - Mówię poważnie, jeśli kupisz pomarańczową marmoladę, to praktycznie wyrzekniesz się płci.

- Wolę taką. Musisz się z tym pogodzić.

W lodówce stały także dwa sześciopaki coli. Żadnego piwa. Lucy przez wiele kilometrów podróży po autostradzie zastanawiała się, co znaczył ten pierwszy poranek, kiedy obudziła się nad jeziorem i zobaczyła stertę pustych butelek po piwie kupionym przez Pandę poprzedniego wieczoru. Co za ochroniarz pije na służbie? Jednak chociaż starała się jak mogła, nie potrafiła sobie przypomnieć żadnej sytuacji, w której Panda faktycznie pił to piwo. Widziała tylko jak upił kilka łyków, zanim poszła do lasu - a gdy wracała, zobaczyła resztki w butelce. Był też sześciopak, który postawił na toaletce pierwszej nocy w motelu. Ile z tego faktycznie wypił na jej oczach? Pewnie odrobinę z jednej butelki. A podczas całego pobytu nad jeziorem Caddo zadowalał się colą.

Zerknęła w stronę schodów prowadzących na piętro, ale nie potrafiła wzbudzić w sobie entuzjazmu do dalszych badań. Było już zupełnie ciemno, a ona wciąż nie miała noclegu. Nie chciała jednak nigdzie jechać. Postanowiła przespać się tu, w tym wielkim, nawiedzonym domu pełnym wspomnień minionych letnich dni.

Wróciła do sypialni. Od otwartego tarasu dzieliły ją tylko rozsuwane drzwi osłonięte paskudnymi zasłonami i zablokowane odpiętą miotłą w roli jedyne go zabezpieczenia. Po chwili myskowania Lucy znalazła kolekcję wyciętych bokserów, takich samych jak te, które Panda nabył podczas ich wycieczki, a także czarno-białe szorty do pływania. Przyniosła swoje rzeczy z samochodu, zamknęła zewnętrzne drzwi sypialni, żeby nic nie weszło w nocy, i rozgościła się w łóżku.

We śnie przeszkadzały jej tajemnicze skrzypnięcia, a nad ranem miała niepokojący sen o ucieczce przez dom, w którym było zbyt wiele pokoi, ale żadnego wyjścia. Ten właśnie sen ją obudził.

Było chłodno, a mimo to koszulka przywarła jej do skóry. Światło poranka sączyło się przez zasłony. Przeciągnęła się i nagle gwałtownie usiadła, bo usłyszała szcęknięcie zamka.

Przez drzwi, które zamknęła przed pójściem spać, wbiegł jakiś chłopiec.

- Wyjdź stąd! - krzyknęła.

Wydawał się równie zaskoczony jak Lucy, ale to on szybciej doszedł do siebie. Zmrużył wojowniczo oczy, jakby to ona była intruzem.

Przełknęła ślinę. Wyprostowała się. A jeśli jednak pomyliła domy?

Miał na sobie workowate i niezbyt czyste sportowe spodenki, jaskrawożółtą koszulkę z elektryczną gitarą i brudne adidasy bez skarpetek. Był Afroamerykaninem, jego skóra wydawała się Lucy o kilka tonów jaśniejsza niż jej brata Andre. Sądząc po niskim wzroście i chudej posturze, miał najwyżej dziesięć czy jedenaście lat. Przyjrzała się krótkim, silnie skręconym włosom, wystającym kolanom i pączęm ramionom. Chłopak patrzył na Lucy z wyjątkową wrogością, która wyrażała jego nieustępliwą postawę wobec świata. To mogło nawet zadziać, gdyby wściekłego wejrzenia nie łagodziły niesamowite, grube rzęsy i złotobrazowe refleksy w oczach.

- Nie powinno cię tu być - powiedział, wysuwając podbródek.

Lucy musiała coś szybko wymyślić.

- Panda powiedział, że mogę się tu zatrzymać.

- Babci nic takiego nie mówił.

Czyli jednak trafiła do właściwego domu. Choć Lucy już doszła do siebie po tym, jak chłopiec wpadł do pokoju, nie mogła przestać się trząść.

- O tobie też nie wspominał. Kim jesteś? - spytała.

Ale wypowiadając te słowa, już podejrzewała, jaka będzie odpowiedź. To oczywiście był synek Pandy. Jego piękna, ciężarna, czarna żona pewnie właśnie krzątała się w kuchni, przygotowując dom do corocznych rodzinnych wakacji, a teściowa pewnie wkładała jakieś zrobione po drodze zakupy do lodówki. Wszystko to oznaczało, że Lucy, która w liceum otrzymała dwa odznaczenia za postawę obywatelską i na drugim roku studiów była starościna roku, przespała się z żonatym facetem.

- Nazywam się Toby. - Chłopczyk omal na nią nie splunął. - A ty?

Musiała zapytać.

- Jesteś synem Pandy?

- Ta, jasne. W ogóle nic o nim nie wiesz, prawda? Jesteś jakąś ćpunką z lądu i włamałaś się tu, bo nie chciałaś spać na plaży.

Pogardliwe uwagi chłopca przyniosły Lucy ulgę.

- Nie jestem ćpunką - wyjaśniła. - Nazywam się... Viper. - Nowe imię miękko spłynęło jej z ust i zadzwięczało w głowie. Chciała znów je wymówić. Zamiast tego zsunęła nogi z łóżka i zerknęła na drzwi. - Czemu włamałeś mi się do sypialni?

- Nie powinna być zamknięta. - Podrapał się czubkiem buta w łydkę. - Babcia opiekuje się tym miejscem. Zobaczyła twój samochód i przysłała mnie, żebym sprawdził, kto tu jest.

Lucy powstrzymała się od uwagi, że babcia była najgorszą gospodynią świata. Z tego, co widziała, podłogi zamiatano wyłącznie na środku, a ścieranie kurzy dotyczyło ledwie kilku stolików.

- Idź do kuchni, Toby. Tam możemy porozmawiać. - Poprawiła spodenki od piżamy i wydostała się z łóżka.

- Wzywam policję.

- Ależ proszę bardzo - odparła cios. - Zadzwoń do Pandy i powiem mu, że jakiś dziesięciolatek włamał mu się do sypialni.

W złocistobrazowych oczach błysnęło oburzenie.

- Nie mam dziesięciu lat! Tylko dwanaście.
- Mój błąd.

Łypnął na nią wrogo i wymaszerował z pokoju, zanim zdołała wymyślić, jak zapytać, czy chłopiec nie zna przypadkiem prawdziwego imienia Pandy. Gdy dotarła do kuchni, Toby'ego już nie było.

W sypialni na górze charakterystycznymi elementami wystroju były skośne sufity, niedopasowane meble i różnokolorowe stare kapy. Duży pokój sypialny obejmował całą szerokość domu. Światło wlewające się przez zakurzone okna wydobywało z mroku cztery odrapane piętrowe łóżka. Cienkie, pasiaste materace zwinięte były na podłodze. W szparach między deskami wciąż tkwił piasek naniesiony tu w ciągu wielu letnich wakacji. Dom wydawał się czekać, aż Remingtonowie wrócą do niego, opuszczając stałe mieszkanie w Grand Rapids, Chicago czy gdziekolwiek się ono mieściło. Co wstąpiło w Pandę, że kupił takie miejsce? I co wstąpiło w nią, że chciała tu zostać?

Wzięła kawę, którą przyrządziła w ekskluzywnym ekspresie Pandy, i wyniosła ją na podwórko. Poranek był słoneczny, niebo bezchmurne. Czyste powietrze przyniosło wspomnienia cudownych poranków w Camp David, widok sióstr goniących się wokół basenu w Aspen Lodge, rodziców wyruszających na wędrowkę tylko we dwoje. Tu miała piknikowy stół w cieniu starego dębu i metalowy pręt do rzucania podkowami. Zacisnęła palce wokół kubka i odetchnęła rześkim powietrzem znad jeziora.

Dom stał na urwisku. Długie, rozklekotane drewniane schody prowadziły w dół do starej przystani z hangarem. Wszystkie deski miały barwę miękkiej, nadmorskiej szarości. Lucy nie widziała żadnych innych przystani wzdłuż skalistego, obrośniętego drzewami brzegu. Nie zauważyła też innych dachów. Dom Remingtonów chyba był samotny w Zatoce Gęsi.

Woda w zatoce przypominała malarską paletę, była granatowa blisko centrum i szara na krawędziach, a przy brzegu i na szczycie łachy wydawała się brązowa. W miejscu, gdzie woda



wypływała do jeziora Michigan, poranne słońce posyłało tańczące, srebrne promienie na pofalowaną taflę.

Para żaglówek przypomniała jej dziadka, który kochał żeglarstwo. Ogarnęło ją niemiłe uczucie. Wiedziała, że nie może tego dłużej odkładać. Odstawiła kawę, sięgnęła po telefon i w końcu wybrała jego numer.

W słuchawce jeszcze nie odezwał się królewski głos Jamesa Litchfielda, byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, a Lucy już wiedziała, co dziadek jej powie.

- Lucille, nie pochwalam tego, co robisz. Nie pochwalam.
- Niemożliwe.
- Wiesz, że nie znoszę sarkazmu.

Szarpnęła pomarańczowy dred zwisający jej przy uchu.

- Czy było strasznie?
- Nie przeszło to gładko, ale Matt chyba panuje nad dziennikarzami. A ty pewnie dzwonisz, bo życzysz sobie mojego współudziału, tak? - spytał dziadek jeszcze bardziej lodowatym tonem.

- Założę się, że pomogłabyś mi, gdyby tylko cię poprosiła. - Lucy zapiekły oczy.

- Jesteś zupełnie jak twoja matka.

To nie był komplement, ale i tak podziękowała. I uprzedzając atak, postanowiła przypomnieć fakt, o którym oboje wiedzieli.

- Ucieczka pomogła Nealy. Jestem pewna, że mnie też pomoże.
- Nic podobnego - warknął dziadek. - Po prostu nie wiesz, co teraz zrobić i nie chcesz się zmierzyć z konsekwencjami swoich działań.

- To też. - Powiedziała coś, czego nie była w stanie wyznaczyć rodzicom. - Rzuciłam faceta idealnego i nawet nie wiem dlaczego.

- Na pewno miałaś swoje powody, ale żałuję, że nie zrobiłaś tego, zanim zostałem zmuszony do podróży do Teksasu. Wiesz, jak nienawidzę tego stanu.

- Tylko dlatego, że dostałeś za mało głosów. Te wybory były prawie trzydzieści lat temu, może czas już wybaczyć?

Dziadek odchrząknął.

- Jak długo zamierzasz wypoczywać?
- Nie wiem, tydzień, może dłużej.

- I na pewno nie powiesz mi, gdzie jesteś.  
- Gdybym ci powiedziała, być może musiałbyś potem kłamać. Nie to, że byś sobie nie poradził i to śpiewająco, ale jak mogłabym stawiać starego człowieka w takiej sytuacji?

- Nie masz w sobie za grosz szacunku, dziecko.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, wiem. Też cię kocham, dziadziu. - Nie znosił, kiedy go tak nazywała, ale „dziadzio” był zemstą za „Lucille”. - Zatrzymałam się u przyjaciółki, w rejonie Wielkich Jezior. Ale pewnie już to wiesz. - Nawet jeśli dziadek jeszcze tego nie wiedział, to zapłaciła za samochód kartą kredytową, a jej kochający rodzice z pewnością śledzili miejsca transakcji.

- Jaki jest właściwie cel tej rozmowy?

- Chciałam... chciałam cię przeprosić. I bądź miłszy dla mamy. Ona to wszystko przeżywa.

- Nie potrzebuję, żeby wnuczka pouczała mnie w kwestii kontaktów z moją córką.

- Chyba jednak potrzebujesz.

To sprowokowało energicznie wygłoszony wykład na temat szacunku, uczciwości i odpowiedzialności spoczywającej na tych, którym wiele zostało dane. Lucy, zamiast słuchać, odegrała sobie w głowie rozmowę, którą odbyła z matką kilka miesięcy wcześniej.

- Wiesz, że zazdroszczę ci tej relacji z nim - powiedziała Nealy.

Lucy popatrzyła na matkę znad kokosowego ciasta, którym rozkoszowały się w ich ulubionej restauracji w Georgetown.

- Jest dla ciebie okropnym ojcem.

- Nie przoduje też w kategorii „najlepszy dziadek świata”. Nie licząc ciebie.

To była prawda. Rodzeństwo Lucy unikało go za wszelką cenę, ale ona od samego początku złapała z dziadkiem świetny kontakt, i to mimo że przy pierwszym spotkaniu była niegrzeczna i pyskowała. A może właśnie dlatego.

- Dziadek mnie kocha. I ciebie także - odparła.

- Wiem - powiedziała Nealy. - Ale nigdy, przenigdy nie będę miała z nim tak bezproblemowej relacji jak ty.

- Naprawdę ci to przeszkadza?  
Lucy przypomniała sobie uśmiech Nealy.  
- Ależ skąd. Ten stary gbur potrzebuje cię równie mocno jak ty jego.  
Lucy wciąż nie była pewna, co mama chciała przez to powiedzieć.

Gdy dziadek zakończył wykład, powiedziała mu, że go kocha, przypomniała, żeby dobrze się odżywiać i nie był zbyt złośliwy wobec Tracy.

Dziadek kazał jej pilnować własnego nosa.

Skończyła rozmowę, wyrzuciła fusy w chwasty i wstała. Ale ledwo odwróciła się w stronę domu, usłyszała dziwny dźwięk. Ludzki. Taki odgłos wydałby ktoś, kto się potknął i usiłował odzyskać równowagę. Dochodził spomiędzy drzew, które wyznaczały północną krawędź łąki i skraj lasu. Gdy przypatrzyła się uważniej, dostrzegła błysk jaskrawożółtej koszulki znikającej między sosnami.

Toby ją podsłuchiwał.

## *Rozdział 7*

TOBY BIEGŁ PRZEZ LAS, skręcił ostro w lewo, okrążając wielki pień, w dwóch skokach minął głaz w kształcie głowy Indianina i przeleciał nad pnem czerwonego dębu, który został powalony w czasie burzy ostatniego lata. W końcu dotarł do ścieżki prowadzącej do chatki. Chociaż był mniejszy od większości uczniów z jego klasy, potrafił biec znacznie szybciej. Babcia twierdziła, że jego tata także szybko biegał.

Gdy dotarł do chatki, zwolnił. Siedziała na stopniu, paląc kolejnego papierosa i wpatrując się w podwórko takim samym wzrokiem, jakim patrzyła na nie od dwóch tygodni, gdy tu przyjechała. A naprawdę nie było na co patrzeć. Zbocze łagodnie schodziło do wąwozu, a z wyjątkiem pomidorów i papryki posadzonych przez pana Wentzla w ogrodzie babci rosły na nim

wyłącznie chwasty. Za miodziarnią było kilka jabłoni, ale nie dorównywały drzewom w wiśniowym sadzie pana Wentzla.

Kobieta wydmuchnęła długą smugę dymu, ale nawet nie zauważyła, że wrócił. Może uznała, że jeśli nie będzie patrzeć, to Toby w końcu zniknie. Chociaż to ona powinna zniknąć. Żałował, że Eli i Ethan Baynerowie już wyjechali, bo mógłby wtedy iść do ich domu. To byli jego najlepsi przyjaciele, ale pojechali do Ohio na lato, bo ich rodzice zastanawiali się nad rozwodem.

Strzepnęła popiół w różane krzewy babci.

- Będzie padało - powiedziała. - Wszystkie pszczoły się chowają.

Popatrzył niespokojnie w stronę pasieki. Piętnaście uli stało na skraju podwórza, w pobliżu sadu pana Wentzla. Babcia kochała te pszczoły, ale Toby nie znosił, kiedy go żądliły, więc trzymał się od nich z daleka. Na początku, kiedy babcia się rozchorowała, pan Wentzel zajął się ulami, ale potem on też zachorował i musiał przenieść się do domu opieki na ład. Sadem opiekował się teraz jego syn, który nawet nie mieszkał na wyspie - po prostu wynajmował ludzi do zbierania owoców. Nikt nie sprawdził uli od czasu wyjazdu pana Wentzla, a gdyby pszczoł zrobiło się za dużo, uformowałyby roje, a tego Toby wolałby sobie nawet nie wyobrażać.

Toby w ogóle nie chciał myśleć o wielu rzeczach.

Kobieta skrzyżowała nogi i zaciągnęła się papierosem, zatrzymując dym w płucach, jakby nie wiedziała, że to niezdrowe. Miała długie, rude włosy, była wysoka i naprawdę chuda - jej wystające kości mogłyby kogoś pokaleczyć. Nie pytała go, gdzie się podziewał. Pewnie nawet nie zauważyła, że sobie poszedł. Był jak babcia, nie znosił obcych. A teraz zjawiła się jeszcze ta nowa pani z domu Remingtonów. Powiedziała, że nazywa się Viper. Toby nie bardzo jej wierzył, ale nie miał pewności, że kłamie.

Przez całe rano obserwował dom Remingtonów, na wypadek, gdyby pojawił się Panda, jego właściciel. Toby nigdy nie poznał Pandy, ale był pewien, że Panda przestałby przysyłać pieniądze, gdyby wiedział, że od stycznia, kiedy babcia zachorowała, to Toby zajmował się domem. Toby potrzebował tych pieniędzy, bo inaczej upadłby jego plan, by zamieszkać w tym domu sa-

modzielnie. Panda ostatni raz odwiedził wyspę dwa miesiące wcześniej i nie skarżył się babci na nic, więc Toby uznał, że radzi sobie dobrze ze sprzątaniami.

Zgasiła papierosa na spodku, który zostawiła na schodku.

- Chcesz, żeby zrobiła ci coś do jedzenia?

- Nie. - Babcia nie pozwalała mu na nieuprzejmość, ale babcia już nie żyła, a musiał dać tej pani wyraźnie do zrozumienia, że poradzi sobie sam, więc może sobie pojechać i dać mu spokój.

Wyciągnęła nogi i potarła kolano. Nawet jak na białą kobietę miała wyjątkowo jasną karnację, z piegami na ramionach. Toby nie wierzył, że w ogóle potrafiła gotować, bo od przyjazdu ograniczała się do podgrzewania różnych rzeczy, które babcia zostawiła w wielkiej zamrażarce. Jak by sam nie mógł tego robić.

W końcu na niego popatrzyła, ale tak, jakby tak naprawdę nie chciała go widzieć.

- Nie chcę tu być, tak samo, jak ty nie chcesz, żebym tu była. - Miała bardzo zmęczony głos, ale Toby nie rozumiał, dlaczego właściwie, bo w ogóle nie pracowała.

- W takim razie czemu nie wyjedziesz? - spytał.

- Bo twoja babcia zostawiła mi ten dom i wyznaczyła mnie na twoją opiekunkę. Jeszcze nie wymyśliłam, co z tym zrobić.

- Nie musisz niczego robić. Po prostu jedź. Ja sam się sobą zajmę.

Podniosła papierosy i wbiła wzrok w miodziarnię. Chyba straciła zainteresowanie rozmową.

Szybkim krokiem przeszedł obok niej i podążył kamienistą ścieżką wzdłuż elewacji domu. Czemu nie chciała wyjechać? Mógł sam wyprawiać się do szkoły, gotować posiłki, prac ubrania i inne takie bzdety. Przecież radził sobie, odkąd babcia zachorowała. Nawet przez te kilka tygodni po pogrzebie, kiedy mieszkał u pana Wentzla, i tak zajmował się różnymi rzeczami. Babcia nie pochwałała towarzyskiego trybu życia, więc nie miała zbyt wielu przyjaciół, poza panem Wentzelem i Dużym Mikem, który woził ją do lekarza. Toby zajmował się wszystkim innym.

Dotarł do chatki. Trzy lata wcześniej razem z babcią pomalował go jasnoturkusową farbą, dodał też szarą obwódkę. Babcia wolała

fiolet, ale Toby jej to wyperswadował. Teraz żałował, że nie pozwolił jej wybrać takiego koloru, jaki chciała. Żałował też, że czasem jej coś odszczekiwał i że usiłował wzbudzić w niej wyrzuty sumienia, kiedy nie kupiła mu nowej konsoli. I jeszcze wielu innych rzeczy.

Chwycił niską gałąź najwyższego drzewa na podwórku, klonu, o którym babcia mówiła, że jest starszy od niej. Wspinając się, zadrapał kolano o korę, ale nie zatrzymało go to, bo im wyżej był, tym dalej znajdował się od niej, od piwa i od myśli o kobiecie w domu Remingtonów. A tym bliżej był babci i taty w niebie. Mamy także, ale ona zostawiła go, kiedy był dzieckiem, więc nie myślał o niej zbyt wiele. Babcia twierdziła, że kochała córkę, ale że ta była trochę bezwartościowym człowiekiem.

Babcia i mama miały białą skórę, ale on urodził się czarny jak jego ojciec. Chociaż tęsknił bardzo za babcią, to jednak teraz bardziej brakowało mu taty. Miał cztery lata, gdy ojciec umarł. Pracował przy wieżach budowlanych, wszyscy twierdzili, że to najbardziej niebezpieczna praca na świecie. Zginął, ratując jakiegoś faceta, który utknął na wielkiej wieży telefonii komórkowej przy zatoce Traverse. To była zima, kilka stopni poniżej zera, szalała burza śnieżna. Toby oddałby wszystko, co miał, odciąłby sobie nawet rękę albo nogę, gdyby dzięki temu jego tata mógł jeszcze żyć.

Lucy znalazła w garażu drogi rower górski, a na przystani ekskluzywny kajak morski. Obie rzeczy wyglądały zbyt nowo, by mogły pochodzić z graciarni Remingtonów. Po ustaleniu, że droga do miasta była o wiele mniej skomplikowana, niż wskazywały na to jej przygody pierwszego wieczoru, zaczęła jeździć tam rowerem, a zakupy wozila w plecaku. Wyspa Charity widziała wiele, więc pomarańczowe dredy, pierścionek w nosie i glany nie wzbudzały zainteresowania.

Po kilku dniach popłynęła promem na ląd, żeby pozbyć się wynajętego samochodu. Przy okazji dokupiła kilka dodatków i ubrań, w tym fantastyczne zmywalne tatuaże.

Pod koniec pierwszego tygodnia w domu udało jej się doczyścić kuchnię od sufitu aż po podłogi. Ilekroć tam wchodziła, czuła, jak bardzo nie znosi wielkiego stołu. Nie dość, że był

paskudny i o wiele za duży, ale jeszcze został pomalowany na jakiś straszliwy odcień miętovej zieleni, który miał pasować do ścian, ale coś nie wyszło. Upiekła nawet kilka bochnów chleba.

Nie licząc faktu, że od czasu do czasu mignął jej przed oczami szpiegujący ją z lasu dwunastolatek, nic jej nie rozpraszało. Był to więc idealny moment na rozpoczęcie pracy nad książką ojca. Nie zamierzała wracać do pracy lobbystki aż do września, więc wcześniej planowała, że zabierze się do pisania zaraz po powrocie z miesiąca miodowego. Matt miał dość tego, że obcy ludzie określali, co jest spuścizną Nealy i wierzył, że przyszłe pokolenia zasługiwały na nieco bardziej osobistą biografię pierwszej kobiety prezydent Amerykanów.

Tata Lucy był doświadczonym dziennikarzem i początkowo planował napisać książkę samodzielnie, ale po kilku miesiącach uznał, że jeden punkt widzenia to zbyt mało. Chciał pokazać wiele różnych perspektyw, z których każda oświetlałaby inny aspekt życia Nealy. Poprosił jej ojca, żeby napisał jedną część, inną część miał napisać Terry Akerman, wieloletni współpracownik Nealy. Ale najważniejszy miał być punkt widzenia Lucy. To ona widziała od kuchni wszystko, co działo się od pierwszej kampanii Nealy w wyborach do senatu aż po prezydenturę. Lucy mogła napisać o Nealy jako matce. Chętnie podjęła się tego zadania, ale jak na razie nie zdołała napisać nawet słowa. Chociaż termin upływał we wrześniu, właśnie teraz był najlepszy moment, żeby zacząć.

Znalazła w norze laptop - całkiem oczyszczony z jakichkolwiek osobistych danych - i po zjedzeniu śniadania wyniosła go na ganek. Gdy usadowiła się na jednym z krzeseł, które okryła ręcznikiem plażowym, przyjrzała się tatuażowi przedstawiającemu ciernie i krople krwi. Otaczał jej biceps. Był cudownie kiczowaty i strasznie jej się podobał, a może po prostu podobał jej się pomysł, by coś takiego nosić, choćby przez jakiś czas. Według informacji na opakowaniu, powinien się trzymać do dwóch tygodni, ale dokupiła uzupełnienia, a także kilka innych wzorów, których ewentualnie mogła użyć. Lub nie.

Oderwała oczy od zakrwawionych cierni i zaczęła myśleć o tym, co chce napisać.

W końcu dotknęła palcami klawiatury.

„Kiedy mama była prezydentem...”

Rozproszył ją dźwięk chrupania wydawany przez wiewiórkę tuż za ekranem. Skupiła uwagę na klawiaturze.

„Kiedy mama była prezydentem, zaczynała dzień przed szóstą rano, rundką na bieżni...”

Lucy nienawidziła bieżni. Wolała spacerować w deszczu i śniegu niż na maszynie.

„Mama wierzyła, że ćwiczenia przynoszą korzyść”.

Lucy również w to wierzyła, ale i tak ich nie znosiła. Cała sztuka polegała na tym, by znaleźć sobie coś, czego się nie nienawidziło.

„Trener ułożył dla niej program ćwiczeń, ale zwykle rodzice trenowali sami”.

Lucy nie lubiła także siłowni.

„Zaczynali sesję od łatwego rozciągania, a potem...”

Zmarszczyła brwi. Każdy mógłby napisać te nudne zdania. Matt chciał czegoś osobistego, a to nie było to.

Skasowała plik i zamknęła komputer. Ranek i tak był zbyt piękny, żeby pisać. Chwyciła czapkę, po czym zeszła po rozchybotanych schodach na keję. Kamizelka ratunkowa w kajaku była na nią za duża, ale i tak ją włożyła, po czym wypłynęła łódka.

Wiosłując wokół skalistej plaży, która wyznaczała granice Zatoki Gęsi, myślała z niedowierzaniem o tym, że zaszyła się na wyspie w rejonie Wielkich Jezior. Przyjechała tutaj, by odkryć tajemnice człowieka, którego jej rodzice wynajęli, by zadbał o jej bezpieczeństwo. Ale w domu nie znalazła żadnych wskazówek, więc co tu ciągle robiła?

Po prostu nie chciała wyjechać.

Gdy wypłynęła na otwartą wodę jeziora, wiatr przybrał na sile. Odwróciła łódź dziobem prostopadle do fal. Dała rękom odpocząć, potarła krwawy tatuaż. Nie wiedziała, kim właściwie teraz jest. Owocem nieuporządkowanego dzieciństwa? Sierotą, która wzięła odpowiedzialność za młodszą siostrę? Celebrytką, która stała się częścią symbolicznej, amerykańskiej rodziny? Była wzorową studentką, oddaną pracowniczką społeczną i efektywną lobbystką. Zebrała wiele pieniędzy dla wielu godnych



wsparcia przedsięwzięć i forsowała rozwiązania prawne, które mogły zmienić życie wielu ludzi. I co z tego, że znienawidziła tę pracę. Ostatnio była neurotyczną panną młodą, która cisnęła w kąt faceta, którego sam los wyznaczył na miłość jej życia.

Gdy pracowała, opiekowała się rodziną i organizowała wesele, nie miała czasu na introspekcję. Teraz nie podobało jej się to, jakie emocje przynosiły jej takie dociekania. Skierowała się w stronę domu. Zaczynał się odpływ, więc musiała pracować intensywniej, ale to było przyjemne. Dotarła do zatoki i zatrzymała się, by odpocząć. Wtedy zauważyła samotną postać stojącą na przystani.

Nie widziała rysów twarzy, ale wszędzie rozpoznałaby tę sylwetkę. Szerokie bary i wąskie biodra. Długie nogi, gotowe do działania, włosy rozwiane wokół głowy.

Serce zaczęło jej bić głośno i szybko. Dała sobie trochę czasu, zbaczając na chwilę w stronę nory bobrów, a potem jeszcze podpłynęła, by zbadać drzewo, które wpadło do wody. Powoli, bez pośpiechu, musiała wziąć się w garść.

Nie powinien był jej pocałować na lotnisku w Memphis. Nie powinien był tak na nią patrzeć. Gdyby jej nie pocałował - gdyby nie spojrzął oczami pełnymi kłębiących się emocji - wróciłaby do Waszyngtonu, do swojej pracy, i on stałby się w jej życiu wyłącznie wspomnieniem po jednej upojonej nocy.

Gdy zbliżała się do brzegu, narastał w niej gniew, nie tylko na niego, także na siebie samą. A co, gdyby pomyślał, że ona się za nim ugania? Wcale tak nie było, ale sytuacja sama nasuwała podobne wnioski.

Podpłynęła do brzegu. Trudno jej było wyciągać kajak na plażę z uwagi na kamienistą linię brzegową, więc o ile pogoda sprzyjała, po prostu przywiązywała go do drabinki nabrzeża. Teraz zdecydowała się zrobić inaczej. Przywiązała kajak luźnym węzłem - może zbyt luźnym - do palika na końcu nabrzeża. W końcu podniosła wzrok.

Patrzył na nią z góry w swoim zwykłym stroju złożonym z dżinsów i koszulki. Na tej akurat widniało wyblakłe logo policji z Detroit. Lucy przyjrzała się jego wystającym kościom policzkowym, wyrazistemu nosowi, cienkim, sadystycznym ustom i przenikliwym jak światło lasera błękitnym oczom.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

- Coś ty do cholery zrobiła z włosami? I co ty wyprawiasz, sama na jeziorze? A kto właściwie by cię wyciągnął, gdybyś wpadła?

- Twój kontrakt skończony! - odskrzyknęła. - Więc to nie twoja sprawa. A teraz byłabym wdzięczna, gdybyś pomógł mi wysiąść. Mam skurcz.

Powinien był przewidzieć, co się stanie. Ale znał tylko Lucy, a nie Viper. Poszedł na koniec kei, potulnie jak baranek na rzeź i wyciągnął do niej rękę. Chwyliła go za nadgarstek, zebrała się w sobie i z całej siły szarpnęła.

Kretyn. Wpadł jak kamień. Pociągnął za sobą Lucy, ale zupełnie jej to nie martwiło. Chciała tylko się zemścić w każdy możliwy sposób.

Wypłynął na powierzchnię lodowatej wody, przeklinając i pry-chając, z burzą mokrych włosów na głowie. Brakowało mu tylko kordelasa w zębach. Odgarnęła ociekające wodą włosy z czoła.

- A myślałam, że nie umiesz pływać! - wrzasnęła.

- Właśnie się nauczyłem! - krzyknął w odpowiedzi.

Gdy odpłynęła od kajaka, kamizelka ratunkowa podjechała jej pod pachy.

- Jesteś dupkiem. Kłamiwym, chciwym dupkiem.

- No dawaj. - Podpłynął do drabinki w kilku długich, potężnych ruchach.

Podążyła za nim, chociaż z wściekłości zatraciła płynność w ruchach.

- A ty jesteś pierwszorzędnym... - Viper poszukała właściwego słowa - ...dupkiem!

Zerknął na nią, po czym wspiął się na drabinę.

- Coś jeszcze?

Chwyliła za najniższy pręt. Woda wciąż nie rozgrzała się po zimie, a zęby Lucy szczękały tak mocno, że aż ją to bolało.

- Kłamca, oszust... - urwała, widząc wybrzuszenie. Dokładnie tam, gdzie spodziewała się je zobaczyć. Wspięła się na drabinę za Pandą. - Mam nadzieję, że ten pistolet jest wodoodporny. Nie? Jaka szkoda.

Przysiadł na kei i podwinął prawą nogawkę, odkrywając czarną, skórzaną kaburę, która wyjaśniała, dlaczego nad jeziorem nie chciał chodzić w szortach i czemu się nie kąpał. Wyciągnął broń, po czym otworzył komorę z nabojami.

- Z powrotem na służbie? - Odgarnęła mokre, farbowane włosy z oczu i zaczęła przy tym palcem o dreda. - Czy rodzice wydłużyli ci kontrakt?

- Jeśli masz problem z tym, co się stało, załatw to z rodziną, nie ze mną. Ja tylko wykonywałem swoją pracę. - Wcisnął naboje w dłoń.

- Znów cię wynajęli. Dlatego tu jesteś.

- Nie. Jestem tu, ponieważ dowiedziałem się, że jakiś włóczęga nocuje w moim domu. Czy nikt ci nie mówił, że włamanie to przestępstwo? - Dmuchnął w pustą komorę.

Miała mroczki przed oczami z furii.

- A nikt ci nie mówił, że ochroniarz powinien się przedstawić?

- Jak już wspominałem, to jest sprawa między tobą a rodziną.

Wbiła wzrok w czubek jego głowy. Włosy już zaczynały mu się kręcić. Te dzikie loki, grube i nieujarzmione. Co za facet nosi takie włosy? Przez chwilę walczyła z klamerkami kamizelki. Była tak wściekła na niego - na siebie - że z trudem je rozpięła. Przyjechała tu z tak daleka wyłącznie z powodu pocałunku, który, jak sobie wmówiła, coś musiał znaczyć. I miała trochę racji. Znaczył, że straciła rozum. Zerwała z siebie kamizelkę.

- I to ma być twoja obrona, tak? Po prostu wykonywałeś swoją pracę?

- Uwierz mi, nie było łatwo. - Przestał dmuchać na tyle, by zerknął na jej włosy i krwawy tatuaż wokół ramienia. - Mam nadzieję, że to nie na stałe. Wyglądasz dziwnie.

- Wal się. - Prawdziwa wiedźma powiedziałaaby „pierdol się”, ale usta Lucy nie były w stanie uformować tych słów. - Jestem pewna, że spodobała ci się mała premia na koniec. Zaliczenie prezydenckiej córki to pewnie niezły tytuł do chwały w męskiej szatni.

Teraz wydawał się równie wściekły jak ona.

- Czyli tak o tym myślisz?

Myślę, że straciłam resztki godności, przyjeżdżając tutaj. Ale nie powiedziała tego na głos.

- Myślę, że jesteś zawodowcem, więc tak powinienesz być się zachowywać. Mogłeś powiedzieć mi, kim jesteś. A co ważniejsze, mogłeś trzymać ręce przy sobie.

Zerwał się z kei.

- I trzymałem, do jasnej cholery! Przez te wszystkie dni, kiedy tkwiliśmy w tej pieprzonej dziurze nad jeziorem Caddo. Ocieraliśmy się o siebie. Ty latałaś w kawałku czarnej folii, który nazywałaś kostiumem kąpielowym i różowym topie, przez który tylko ślepy nic by nie zobaczył. Wtedy naprawdę trzymałem ręce przy sobie.

Przebiła jego zbroję, co przyniosło jej odrobinę ukojenia dla zranionej dumy.

- Wiedziałeś o mnie wszystko, Panda... czy jak się tam nazywasz. Dostałeś teczkę pełną informacji, ale nie ujawniłeś absolutnie nic na swój temat. Pogrywałeś sobie ze mną jak z debilką.

- W ogóle sobie z tobą nie pogrywałem. To, co się stało ostatniej nocy, nie miało nic wspólnego z moją pracą. Po prostu byliśmy dwojgiem ludzi, którzy pożądzali się nawzajem. I tyle.

Ale dla niej to nie było takie „po prostu”. Gdyby było, nie musiałyby tu przyjeżdżać.

- Wykonywałem swoją pracę - powiedział. - Nie muszę ci się więcej tłumaczyć.

Musiała wiedzieć - musiała zapytać - a Viper zdobyła się na pogardliwy uśmieszek, żeby ukryć wagę tego pytania.

- Czy do zakresu twoich obowiązków należał również ten żałosny, przepaszający pocałunek na lotnisku?

- O czym ty mówisz?

Jego pytanie odebrało jej jeszcze trochę szacunku do samej siebie.

- Ten pocałunek, który cały pachniał nieczystym sumieniem - wyjaśniła. - Potrzebowałeś jakiegoś rozgrzeszenia, bo wiedziałeś, jak bardzo obleśnie się zachowałeś.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Jeśli tak to widzisz, nie będę cię do niczego przekonywał.

Lucy chciała, żeby Panda zaczął ją przekonywać. Powiedział coś, dzięki czemu zaczęłyby widzieć w lepszym świetle wszystko, co wydarzyło się, odkąd wskoczyła mu na tylne siedzenie motocykla. Ale nie powiedział, a gdyby ona sama ciągnęła wątek, wzbudziłaby wyłącznie litość.

Nie starał się jej zatrzymać, gdy wychodziła z przystani. Zatrzymała się przy prysznicu. Nie zdejmując ubrania, zmyła szamponem wodę z jeziora z włosów, po czym owinęła się w ręcznik plażowy i weszła do domu. Idąc, zostawiała za sobą mokre ślady stóp na kuchennej podłodze. Otworzyła drzwi sypialni, zerwała z siebie mokre ubrania i wciągnęła czarny top, zieloną spódniczkę ze skórzanym paskiem oraz glany. Poświęciła jeszcze kilka minut na to, żeby obwieść oczy czarną kredką, pomalować usta na brązowo i włożyć kolczyk do nosa. Potem wepchnęła wszystko, co tylko mogła, do plecaka. Prom odpływał za pół godziny. Nadszedł czas, by wracać do domu.

Na podjeździe stał nowoczesny, ciemnoszary SUV z tablicami z Illinois. Nie potrafiła sobie wyobrazić Pandę za kierownicą takiego samochodu. Wsiadła na rower i skierowała się w stronę miasta.

Było upalne, słoneczne popołudnie. Sezon nabierał rozpędu dopiero po czwartym lipca, ale już teraz na bulwarze Beachcomber w tłumie miejscowych pojawiali się turyści w szortach i klapkach. Z baru Pod Psem, plażowej knajpki ze skrzypiącymi drzwiczkami i zniszczonymi piknikowymi stołami, dochodziła woń frytek. Lucy minęła kawiarnię pod Malowaną Żabą, gdzie jeszcze poprzedniego dnia kupiła sobie cappuccino. Tuż obok, pod drzwiami do sklepiku Maddie, wylegiwał się w cieniu pies. Patrząc na to wszystko, uświadomiła sobie, jak bardzo polubiła to miejsce - i jak bardzo nie chciała wyjeżdżać.

Sklep nurkowy Jake'a prowadził na boku biuro sprzedaż biletów na prom. Wewnątrz pachniało zakurzoną gumą i oleistą kawą. Lucy kupiła bilet w jedną stronę, po czym postawiła rower przy stojaku w porcie. Panda mógł go sobie tam znaleźć. Albo i nie. Nic jej to nie obchodziło.

Stanęła w kolejce turystów, którzy właśnie zaczęli wsiadać. Tuż przed nią wyskoczyła z kolejki jakaś matka, goniąca za

niesformnym dwulatkiem. Lucy tyle razy wyobrażała sobie siebie z dzieckiem Teda... Teraz zastanawiała się, czy w ogóle dorobi się potomstwa.

Żałowała, że nie zadała Pandzie więcej pytań. Na przykład, od kiedy zawodowi ochroniarze biorą klientki na motor i jadą z nimi w nieznaną. Ktoś stojący za nią przysunął się zbyt blisko i trącił ją w plecak. Zrobiła krokczek do przodu, ale znowu została popchnięta. Odwróciła się i popatrzyła prosto w lodowate, błękitne oczy.

- Nie kłamałem. - Mówił szorstkim głosem, bez uśmiechu. - Naklejki naprawdę były już na motorze, to nie ja je tam przykleiłem.

Wciąż miał na sobie mokre ciuchy i jeszcze nie wyschły mu włosy. Lucy za wszelką cenę chciała zachować godność.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mam to w nosie.

- I chodziłem w tych koszulkach wyłącznie po to, żeby cię wkurzyć. - Omiótł wzrokiem jej spódniczkę i glany. - Wyglądasz jak nastolatka, która zaczęła się puszczać, żeby zarobić pieniądze na narkotyki.

- Pożycz mi którąś z tych koszulek - odparowała. - Na pewno będę wyglądać jeszcze lepiej.

Panda jak zwykle skupił na sobie uwagę otoczenia, więc zaczął mówić półgłosem.

- Posłuchaj, Lucy, sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana, niż twierdzisz.

Kolejka ruszyła naprzód, więc przesunął się wraz z nią.

- Cały świat pisał o twoim ślubie. Potrzebowałaś ochrony. Nie zamierzała tracić panowania nad sobą.

- Trzy słowa. „Jestem twoim ochroniarzem”. To niezbyt skomplikowane.

Dotarli do końca rampy. Drapiący się po kłacie dzikus, który zabrał ją na przejażdżkę, nagle zmieniał się w pana Rzeczowego.

- Wynajęli mnie twoi rodzice. To oni wydawali mi polecenia. Wiedzieli, że będziesz się sprzeciwiać prywatnej ochronie, zwłaszcza na czas podróży poślubnej, więc woleli nic ci nie mówić.

- Na czas podróży poślubnej? - Omal nie podniosła głosu. - Ktoś miał za mną jechać na miesiąc miodowy?

- Naprawdę na to nie wpadłaś?

Podawała swój bilet kasjerowi, Panda machnęła przepustką. Wyszła w górę rampy, stukając glanami o deski. Panda szedł tuż za nią.

- Ted zdawał sobie sprawę, że to konieczne, nawet jeśli ty nie widziałas tej potrzeby.

- Ted o wszystkim wiedział? - Miała ochotę tupnąć nogą, urządzić histerię i kogoś uderzyć.

- On jest realistą, Lucy. Podobnie jak twoi rodzice. Pierwszego wieczoru zadzwoniłem do twojego ojca z tego sklepiku. Powiedział, że mam się nie ujawniać. Stwierdził, że jeśli się zdradzę, znajdziesz sposób, żeby się mnie pozbyć. Nie kupowałem tego, ale to on mnie wynajął, więc nie, nie zamierzam przepraszać za to, że wypełniałem życzenia klienta.

Lucy usiłowała odejść od niego, ale chwycił ją za ramię i poprowadził w stronę dziobu statku.

- Mieliliśmy przestać cię chronić zaraz po końcu podróży poślubnej i po powrocie do Wynette. Tylko że to jakoś nie wyszło. Uciekłaś i wszędzie szalały media. To była zbyt głośna sprawa, zbyt wiele uwagi skupiło się na tobie.

- Nikt mnie nie rozpoznał.

- Omal cię nie poznali i gdybyś była sama, na pewno by im się udało.

- Może. A może nie. - Gdy dotarli na dziób, na promie rozległ się ostrzegawczy komunikat. Jeden z mężczyzn podróżujących wraz z nimi zmierzył Lucy zmartwionym wzrokiem. Przypomniała sobie, jak młodo wygląda, i jak groźnie wygląda Panda. Mężczyzna pewnie zastanawiał się, czy nie interweniować, ale zdecydował, że jednak nie zaryzykuje. Odeszła o krok.

- Powiedziałaś, że przyjaźnisz się z Tedem.

- Poznałem go trzy dni przed ślubem.

- Kolejne kłamstwo.

- Wykonuję moją pracę najlepiej, jak potrafię.

- Prawdziwy z siebie profesjonalista - odkrzyknęła. - Czy każdy ochroniarz bierze klientkę na swój motor?

Zacisnął szczęki z uporem.

- Nie zamierzam ci niczego tłumaczyć, dopóki nie zejdziesz z tego promu.

- Daj mi spokój.

- Posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzona. Rozumiem. Zsiądźmy, zjedźmy burgery i pogadajmy.

- Chcesz rozmawiać, teraz? W porządku. Zacznijmy od twojego imienia.

- Nazywam się Patrick Shade.

- Patrick? Nie wierzę.

- Sądzisz, że je zmyśliłem?

- A czemu nie. - Zatknęła kciuki za ramiączka plecaka. - Gdzie mieszkasz? Bo na pewno nie w tym domu.

- Mam mieszkanie w Chicago. Ale jeśli chcesz wiedzieć więcej, musisz zsiąść.

Chciała wiedzieć więcej, ale jeszcze bardziej pragnęła zemsty.

- Przyszanę, jestem ciekawa. Ale nie zsiądę. - Prom zagwizdał po raz ostatni. - Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, możemy dokończyć rozmowę tutaj. Ale najpierw muszę iść do łazienki. Chce mi się wymiotować.

Postanowił nie wywierać presji.

- Dobrze. Porozmawiamy tu.

- Sprawdź, czy jesteś w stanie znaleźć nam miejsce do siedzenia, gdzie nie wszyscy będą się na ciebie gapić. - Ruszyła w stronę zamkniętej części promu i skręciła za róg, objając się plecakiem o gaśnicę. Przepchnęła się przez drzwi po drugiej stronie i zbiegła z rampy, gdy już chcieli ją podnieść. Kilka chwil później stała już w cieniu w miejskim porcie i patrzyła, jak prom odpływa z Pandą na pokładzie.

Świadomość, że go przechytryła, była bardzo miła, ale sytuacja Lucy przedstawiałaby się lepiej, gdyby prom za chwilę nie miał wrócić na wyspę, z Pandą na pokładzie. To Meg dawała się wplątać w takie sytuacje, nie Lucy - ale nie potrafiła niczego załować. Przynajmniej odzyskała odrobinę dumy.

Ciemny SUV z tablicami z Illinois, którego ostatnio widziała przy domu nad jeziorem, stał na miejskim parkingu. Lucy mia-



ła przed sobą całe popołudnie, zanim znów mogła się wydostać z wyspy i nie zamierzała go spędzać w miasteczku.

Jadąc rowerem do domu, minęła plac zabaw. Dzień po śmierci matki wzięła siostrę i przeszła z nią dziesięć przecznic, by znaleźć taki plac i pohuścić małą na dziecięcej huśtawce. Jako czternastolatka miała właśnie taką wizję tego, co powinna zrobić dobra matka. Tracy przez cały czas darła się niemiłosiernie.

Patrick Shade... Co za dziwne imię...

Gdyby wynajęła łódkę, by popłynąć na drugi brzeg, nie musiałaby go więcej oglądać. To byłoby kosztowne, ale warte swojej ceny. Zawróciła rower i weszła do sklepu nurkowego.

- Wszystkie są zarezerwowane do końca dnia - powiedział mężczyzna za ladą. - „Mary J.” i „Dinna Ken” także wypłynęły. Ale jutro...

- No, trudno - odparła, chociaż wcale nie pogodziła się z porażką.

Może nie musiała jednak znów rozmawiać z Pandą. Wyraziła swoje zdanie, a on był jednym z tych facetów, którzy tłumaczą się tylko raz.

W domu czuć było słaby zapach gazu z kuchenki i hamburgera, którego przyrządziła sobie poprzedniej nocy na kolację. Jak Panda mógł utrzymywać taki dom od dwóch lat i nie pozostawić w nim żadnych śladów swojej indywidualności? Zmieniła głany na klapki, chwyciła książkę, którą poprzedniego dnia kupiła w miasteczku i zniosła ją po chwiejnych stopniach.

Panda wciągnął kajak na brzeg. Przysiadła na krawędzi nadbrzeża, ale nie mogła czytać. Wszystkie siły musiała skoncentrować na odpiernaniu ataku paniki. Co mogła zrobić po powrocie na ląd? Dokąd mogła pójść?

Z zamyślenia wyrwał ją jakiś odgłos. Podniosła głowę i zobaczyła mężczyznę, który niewątpliwie nie był Pandą. Schodził do niej od strony domu. Był wysoki i barczysty i niespiesznie pokonywał chwiejne stopnie. Miał precyzyjnie ufryzowane jasnobrązowe włosy, które lśniły od jakiejś niewątpliwie drogiej odżywki.

- Hej! - zawołał pogodnie.

Chociaż dobrze się prezentował, był pod każdym względem zbyt krzykliwy - miał zbyt donośny głos, zbyt wielki emblemat na kieszeni sportowej kurtki, za ciężką złotą bransoletę i za wielki pierścień uniwersytecki, którego każdy rozsądny student pozbyłby się po pierwszym roku.

- Podobno Panda wrócił na wyspę - powiedział, przyglądając się jej tatuażowi i włosom. - Ale nikt nie podszedł do drzwi.

- Nie ma go tu.

- Szkoda. - Wyciągnął rękę i uśmiechnął się szeroko. - Jestem Mike Moody. Duży Mike. Założę się, że widziałas moje znaki.

Uścisnęła mu dłoń i natychmiast tego pożałowała, bo przenikliwa woń jego wody kolońskiej przyłgnęła jej do skóry.

- Usługi brokerskie Dużego Mike'a - powiedział. - Zajmuję się każdym, kto chce kupić lub sprzedać cokolwiek na wyspie, dom, łódkę, cokolwiek. Raz nawet sprzedałem parę koni. Zajmuję się wszystkim. - Jego idealnie prościutkie zęby lśniły blaskiem, który da się osiągnąć tylko dzięki wizycie u dentysty. - Sprzedałem Pandzie ten dom.

- Naprawdę?

- Chyba umknęło mi, jak się nazywasz?

- Mówią na mnie... Viper.

- Ładne rzeczy. To jest niezłe imię. Pewnie jesteś jedną z tych modnych hipisek... - Jak każdy dobry sprzedawca, wyrażał wyłączenie podziw wobec potencjalnej klientki.

- Gotek - wyjaśniła, co zabrzmiało już kompletnie absurdalnie.

- No jasne - przytaknął. - Zatrzymałem się, bo mam łódź, którą Panda mógłby być zainteresowany.

Lucy lubiła pomagać ludziom, ale Viper nie podzielała jej ideałów.

- To wróć, gdy przypłynie prom o szóstej. Wiem, że Panda będzie chciał z tobą o tym porozmawiać. I może przynieś jakąś pizzę, urządzicie sobie naprawę długą pogawędkę.

- Dzięki za radę - odparł Duży Mike. - Panda to świetny facet. Nie znam go dobrze, ale chyba jest bardzo interesującym człowiekiem.

Czekał przez chwilę, w nadziei że Viper poda mu kilka szczegółów, i Viper posłusznie postanowiła współpracować.

- Bardzo się zmienił, odkąd wylądował w więzieniu.

Niestety nie wywarła pożądanego wrażenia.

- Każdy zasługuje na drugą szansę - obwieścił uroczyście Mike. - O raj, ale ty mi kogoś przypominasz.

Lucy zaczęła rozważać, skąd na świecie biorą się mężczyźni, którzy używają zwrotu „o raj”, a Mike zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Byłaś już kiedyś na wyspie?

- Nie, to mój pierwszy raz.

Gdy wyciągnął rękę z kieszeni, na nadgarstku błysnął mu złoty zegarek.

- Przypomnę sobie. Nigdy nie zapominam twarzy.

Miała nadzieję, że to nie jest prawda. Wyglądał, jakby chciał pogadać dłużej, więc kiwnęła głową w stronę schodów.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia w domu. Odprowadzę cię.

Podążył za nią, a gdy dotarli na górę, znów zmiażdżył jej dłoń w uścisku.

- Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, po prostu daj mi znać. Duży Mike to nie tylko handel. Spytaj kogokolwiek na wyspie, a na pewno ci powie.

- Nie omieszka.

W końcu sobie poszedł. Ruszyła w stronę domu, ale zatrzymała się, słysząc szelest w gałęziach, który nie przypominał dźwięków wydawanych przez wiewiórki. Trzasnęła jakąś gałązka. Mignęła czerwona koszulka.

- Widzę cię, Toby! - krzyknęła. - Przestań mnie szpiegować!

Nie oczekiwała odpowiedzi i rzeczywiście jej nie otrzymała.

Zrobiła kanapkę, ale wyrzuciła ją po zaledwie kilku kęsach. Wysłała SMS do Meg, nie zdradzając w nim żadnych istotnych informacji, po czym napisała podobną wiadomość do rodziców. Chciała też wysłać coś Tedowi, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedząc, jak zabić czas, poszła na werandę.

Trzy ściany złożone głównie z brudnych, kwadratowych okien ciągnęły się od framug aż po sufit. W pokoju porozstawiane

były chropowate kanapy, krzesła obite materiałami z wczesnych lat dziewięćdziesiątych i porysowane stoły. To pewnie było ulubione miejsce spotkań całej rodziny. Wbudowane regały prezentowały kolekcję rzeczy, które zwykle zbierały się w letnich domkach: pozólkłych tanich wydań książek, kaset wideo ze starymi filmami, gier planszowych w połamanych pudełkach związanych wyschniętymi gumkami. W tym domu było coś takiego, co Lucy pokochała od pierwszego wejrzenia. Jej wewnętrzna perfekcyjna pani domu marzyła tylko o tym, żeby wyrzucić wszystkie śmieci i wypolerować te okna na błysk.

Podniosła brudną ścierkę, którą kiedyś wytarła kałużę z coli i potarła jedną z szyb. Większość brudu osiadła od zewnątrz, ale zdecydowanie nie cała. Pochuchała na szybę i potarła jeszcze raz. Znacznie lepiej.

Gotowanie nie było jedyną rzeczą, której nauczyła się w czasach, gdy mieszkała w Białym Domu. Kwadrans później stała już wyekwipowana w gumową wycieraczkę, którą znalazła w łazience na piętrze, kubeł czystej wody z paroma kroplami płynu do zmywania, a także drabinę ze schowka. Szybko uporała się z pierwszą sekcją okien werandy. Dotarła plamkę, którą przegapiła po drodze, a gdy czuła się już usatysfakcjonowana, zeszła z drabiny. No... prawie. Spadła z ostatniego szczebelka.

W drzwiach stał Panda, z colą w ręku i mordem w oczach.

- Służby specjalne na pewno cię uwielbiały.

## *Rozdział 8*

Nie powinna była wracać do domu, a już na pewno nie powinna była dać się przyłapać Pandzie na myciu jego brudnych okien. Chwyciła się drabiny, by odzyskać równowagę i po raz kolejny wypróbowała żmijowaty uśmieszek Viper.

- Czyżbym zraniła twoją dumę?

- Zniszczyłaś mnie - odparł sucho.

- Znakomicie. Nie co dzień mam okazję przechytryć zawodowca.

- Nie powiedziałbym, że mnie przechytryłaś.

- A ja owszem.

Ubranie zdążyło mu wyschnąć, ale nie miał na sobie butów, i Lucy dałaby głowę, że ten ciemny zarost urósł trochę, odkąd mu się wymknęła.

- Prom będzie dopiero o szóstej. - Wygładziła spódnicekę. - Musiałeś mieć więcej szczęścia niż ja z wynajęciem łodzi.

- Pomogłem sobie pistoletem.

Nie miała pojęcia, czy Panda żartuje, czy nie. Nic o nim nie wiedziała. Obwiódł kciukiem wieczko puszeki, po czym oparł się o framugę.

- Teraz już rozumiem, dlaczego twój ojciec tak bardzo nalegał, żebym się nie ujawniał. Pewnie nieraz ćwiczyłaś sobie takie znikanie.

- Wymykałam się ochronie tylko kilka razy.

Skierował puszkę w stronę jej twarzy.

- Gdybym naprawdę był na służbie, na pewno by ci się nie udało.

Fakt. Nie spuściłby jej z oka. Co oznaczało, że jej rodzina naprawdę nie zatrudniła go z powrotem.

- Kto dał ci cynk, że się tu zatrzymałam?

- Powiedzmy sobie, że miałem swoich agentów.

Jej rodziców.

- Jak mi miło.

- Zechciałabyś mi wyjaśnić, dlaczego to robisz? - spytał, wskazując na oczyszczoną przez Lucy część okna.

- Są brudne. - Postanowiła wyrzucić z siebie kolejną porcję pretensji. - Ten dom to jeden wielki bajzel. Skoro już jesteś szczęśliwym posiadaczem takiego pięknego miejsca, mógłbyś o nie trochę dbać.

- Dbam. Co dwa tygodnie przychodzi tu pani do sprzątnia.

- I sam widzisz, jak wspaniale sobie radzi.

Rozejrzał się takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy widział ten dom.

- Chyba zrobił się trochę zapuszczony.
- No coś ty?
- Wynajmę kogoś innego.

Zastanawiała się, czy Panda nadal ma broń w kaburze. Nie bała się pistoletów. Przeżyła całe lata pilnowana przez uzbrojonych ochroniarzy, chociaż oni zwykle ubrani byli w garnitury, a nie dżinsy i obsceniczne koszulki. To nie pistolet ją denerwował - tylko fakt, że przez całe dwa tygodnie nie wiedziała ani o broni, ani o umowie, ani o wielu innych obrzydliwych szczegółach, które wolałaby znać, zanim ściągnęła ręcznik i wskoczyła mu do łóżka.

Odłożyła wycieraczkę.

- Czemu rodzice cię wynajęli? Mogli przecież wziąć kogoś porządnego.

- Jestem porządny - odparł z rozdrażnieniem.

- Nie wątpię, że tak uważali. - Viper uśmiechnęła się wrednie. - Ale jak cię w ogóle znaleźli? Nieważne. Pewnie jesteś w którymś z tych programów znajdowania pracy dla byłych więźniów.

Przechylił głowę ze zdziwieniem.

- Co ci się stało?

Własna nieuprzejmość przyprawiała Lucy o rumieńce.

- A może jakiś adiutant wypatrzył twoje nazwisko w rejestrze przestępstw seksualnych i pozwolił sobie na mały kawał? - Chciała to ciągnąć w nieskończoność, puścić wodze językowi, wymierzać jeden paskudny cios za drugim, po prostu ciskać bluzgami, nie troszcząc się wcale o to, jak odbije się to na wizerunku urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Chciałaś dowiedzieć się czegoś o mnie. Proszę. - Puszka coli wylądowała z hukiem na chybottliwym stole przy drzwiach.

- Daruj sobie. - Poćwiczyła nowy szyderczy uśmieszek Viper. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Mam trzydzieści sześć lat. Urodziłem się i wychowałem w Detroit. Wplątywałem się w różne rzeczy, ale armia wyprowadziła mnie na ludzi. Służyłem w Niemczech, poszedłem na stanowy uniwersytet w Wayne i studiowałem prawo karne...

- Studiowałeś? Przecież ty praktycznie nie umiesz mówić. Jeszcze bardziej go to rozwścieczyło.

- To, że nie przechwalam się elitarnym wychowaniem, nie znaczy, że nie umiem mówić.

- Nigdy nie przechwalałam się...

- Wstąpiłem do policji w Detroit. Kilka lat temu zrezygnowałem i przejąłem prywatną firmę w Chicago, która specjalizuje się w ochronie wysoko postawionych pracowników korporacji, celebrytów, sportowców i złodziei z Wall Street, którzy dostają zupełnie zasłużone pogrózki. Twój rodzice wynajęli mnie, bo jestem świetny w tym, co robię. Nigdy nie byłem żonaty i nie planuję ślubu. Lubię psy, ale zbyt często mnie nie ma, żebym mógł je mieć. Lubię także hip-hop i operę. Możesz to sobie interpretować, jak chcesz. Kiedy nie jestem na służbie, śpiam nago. Jeszcze jakieś pytania o rzeczy, w które nie powinnaś wtykać swojego nosa?

- Patrick Shade? Czy to kolejne kłamstwo?

- Nie. Poza tym tych kłamstw wcale nie było wiele.

- A więzienie w Huntsville?

- No bez przesady. Przecież wiedziałas, że to podpucha.

Właściwie to nie była pewna.

- Robotnik budowlany?

- Pracowałem kiedyś na budowie.

- No proszę, człowiek honoru. Mój błąd.

Nie potrafił się wycofać.

- Twój rodzice mnie zatrudnili. To oni wydawali mi polecenia i sądząc po tym, co się dziś stało, mieli rację, prosząc, żebym nie zdradzał ci, kim jestem.

- Są nadopiekuńczy.

- Dostawałaś listy z pogrozkami. Miało miejsce kilka incydentów. A twój ślub miały transmitować media. Czasem rozsądek nakazuje pewien stopień ostrożności.

- Tylko jedna osoba zrobiła mi jakąkolwiek krzywdę i byłeś to ty!

Skrzywił się, co powinno było przynieść jej więcej satysfakcji, niż przyniosło w rzeczywistości.

- Masz rację - odparł. - Moim obowiązkiem było trzymać ręce przy sobie, bez względu na to, że doprowadzałaś mnie do szaleństwa.

Ta wiedza sprowokowała ją do kontynuowania ataku.

- A czym pomysłem był domek nad jeziorem Caddo?  
- To miejsce świetnie nadawało się do tego, żeby cię trochę ukryć. Domek był odizolowany od otoczenia, a twoi rodzice chcieli dać ci trochę czasu na poukładanie różnych spraw i zrozumienie swoich błędów.

- I wszyscy uznaliście, że wsadzenie mnie na tył śmiercionośnej maszyny było najlepszym sposobem, żeby mnie tam dowieźć?

- Tego nie planowałem.

- A ja sądziłam, że pomyślałeś o wszystkim.

- Mhm, owszem, kiedy następnym razem będę ochraniał pannę młodą, możesz być pewna, że wezmę pod uwagę ewentualną ucieczkę.

Nie mogła już tego słuchać, więc skierowała się do drzwi. Zanim wyszła, znów zaczął mówić.

- Kupiłem motor od jednego faceta w Austin. To była dobra przykrywka. Pojechałem do Wynette na kilka dni przed twoim przybyciem, żebym mógł pojawiać się w miejscowych barach bez wzbudzania podejrzeń. Dało mi to szansę popytać i popatrzeć, czy nie dzieje się nic niepokojącego.

- I działa się?

- Słyszałem głównie, że żadna kobieta nie jest godna Teda. To jakieś lokalne bóstwo.

Zmarszczyła brwi.

- Czułam, że mnie nie lubią.

- Chyba nie chodziło o ciebie osobiście. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Potem mogłem zmienić zdanie.

Słyszała już dość, ale gdy znów skierowała się do drzwi, pan Gadatliwy podążył za nią.

- Kiedy dałaś nogę, myślałem, że to potrwa najwyżej kilka godzin. Skąd miałem wiedzieć, że przechodzisz jakieś egzystencjalne załamanie.

Ten dobór słów wytrącił ją z równowagi. Oczekiwała bekania, nie trudnych i długich słów.

- To nie było załamanie. - Przeszła przez kuchnię i wydoستاła się na ganek. Teraz, gdy już nie chciała rozmawiać, Panda nie odstępował jej na krok i nie zamykał ust.



- Mogłem następnego dnia zamienić motor na suwa, ale wtedy zdemaskowałbym się w twoich oczach i na pewno próbowałabyś tych swoich sztuczek ze znikaniem. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty zbyt ciężko pracować. I nie udawaj, że nie byłaś zachwycona motorem.

Owszem, była, ale nie zamierzała się do niczego przyznawać. Otworzyła drzwi i wyszła na podwórze.

- Niestety prom odpływa dopiero za kilka godzin, więc byłabym wdzięczna, gdybyś zostawił mnie w spokoju. Na pewno masz mnóstwo rzeczy do roboty.

Zaszedł jej drogę.

- Lucy, tej nocy...

Wbiła wzrok w jego obojczyk. Wcisnęła ręce do kieszeni i przypatrzył się jej kolczykowi w nosie.

- Nigdy nie pozwoliłem sobie na coś takiego z klientką.

Nie miała ochoty słuchać o jego wyrzutach, więc gwałtownie go wyminęła.

- Masz prawo być wkurzona - powiedział z za jej pleców. - Spieprzyłem sprawę.

Odwróciła się na pięcie.

- Nie pieprzyłeś żadnej sprawy. Pieprzyłeś mnie! I nie sądz, że chodzi mi o ten seks. Jestem dorosła, mogę go uprawiać, z kim chcę. - Ale jestem mocna w gębie, pomyślała. - Chodzi mi o to, że nie wiedziałam, z kim go uprawiam.

- Jasno postawiłaś problem.

- Znakomicie. Teraz zostaw mnie w spokoju.

- Dobrze.

Ale nie ruszył się z miejsca. Nie mogła znieść kolejnych przeprosin, więc wskazała palcem werandę.

- Może zająłbyś się tak swoim domem dla odmiany, zamiast dręczyć mnie?

- Chcesz, żebym pomył okna?

Zupełnie nie to miała na myśli. Nie obchodziły jej okna.

- Mógłbyś je potłuc kulami z pistoletu - uśmiechnęła się drwiąco - ale to byłoby dość radykalne rozwiązanie. Tak czy owak, to twój dom, zrobisz, co zechcesz. - Z tymi słowami

skierowała się na schody. Ale z każdym stopniem narastał w niej gniew. Nie chciała wyjeżdżać z tego domu. Pragnęła zostać, jeść śniadania na ganku, wypływać kajakiem, chować się przed całym światem. Panda nie zasługiwał na ten dom. Gdyby to miejsce należało do Lucy, dałaby mu miłość i troskę, której potrzebował. Ale nie należało.

Cofnęła się do szczytu schodów, mocno tupiąc.

- Nie zasługujesz na ten dom!

- A co cię to obchodzi?

- Nie obchodzi. Ja po prostu... - Nagle doznała olśnienia.

Przyszedł jej do głowy absurdalny pomysł... Zamknęła usta.

Otworzyła je. - Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro rano. - Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- I będziesz niedługo wracał?

- Nie wiem jeszcze. Zaczynam nowe zlecenie. Może we wrześnie. A robi ci to jakąś różnicę?

Miała natłok myśli. Pokochała ten dom... Tę wyspę... Przeknęła ślinę.

- Jeśli... Jeśli nie będziesz używał tego domu przez jakiś czas... - Starła się, żeby głos jej nie drżał, żeby Panda nie zauważył, jak ważne to się dla niej stało. - Chyba chciałabym go wynająć. Mam trochę rzeczy do zrobienia, a to jest dobre miejsce.

- Jakie rzeczy?

Nie zamierzała zwierzać mu się z tego, że ilekroć myślała o powrocie do Waszyngtonu, dostawała ataku paniki. Wzruszyła tylko ramionami.

- Potrzebuję prawdziwego urlopu. Chcę gotować. Mam coś do napisania dla mojego ojca. Możesz odliczyć opłatę za sprzątanie od mojego pierwszego czynszu.

Popatrzył na nią niewzruszonym wzrokiem.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Nie chciała tak szybko się poddać.

- Czyli całe to gadanie o tym, jak to wszystko spieprzyłeś, to było tylko gadanie, tak? Nie musisz tego niczym poprzeć? Zadośćuczynić?

Zadośćuczynić? Tak byś na to patrzyła?

Zadośćuczynienie nie oznacza przebaczenia.

- A czemu nie?

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Odpowiedziała mu równie intensywnym spojrzeniem.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Możesz tu mieszkać przez miesiąc. Bez czynszu. Ale moje grzechy będą zmyte.

Nie ma mowy.

- Umowa stoi.

Przez podwórze przemknął królik. Lucy uciekła na przystań, gdzie ściągnęła buty i usiadła, dyndając nogami nad wodą. Jedy-  
nym głębokim uczuciem, które stało za tamtym pocałunkiem na lotnisku, były wyrzuty sumienia. Mimo to perspektywa dłuższego pobytu na wyspie pozwalała jej nie żałować tego impulsu, który kazał jej przyjechać w miejsce, gdzie nie musiała się stosować do niczych oczekiwań. Mogła być sobą, nawet jeśli nie była już pewna, kim właściwie jest.

Słońce zalało przystań, a spódniczka zaczęła ją potwornie swędzieć, więc, zgrzana, wycofała się do domu. Panda naprawiał właśnie szybkę w tylnych drzwiach, tę zbitą przez Lucy. Postanowiła obejść dom i dostać się do środka przez frontowe drzwi, bo dzięki temu nie musiałaby z nim rozmawiać. Jednak po drodze mignęła jej czerwona koszulka przemykająca przez las. Jej nerwy były napięte jak postronki po wszystkich przeżyciach tego dnia i miała śmiertelnie dość szpiegowania. Coś w niej pękło.

- Toby! - Pobiegnęła w stronę drzwi. - Wracaj tu natychmiast! - Toby uciekał, a ona omal nie wpadła w krzak dzikich jagód, pędząc za nim.

Znał ten teren znacznie lepiej od niej, ale nie przejęła się tym. Nie zamierzała pozwolić mu uciec. Przeskakując wielkie zarośla z paproci, usłyszała za sobą jakieś odgłosy. Po chwili Panda wyprzedził ją z łoskotem i kilka sekund później trzymał już przerażonego dwunastolatka za tył koszulki.

- Co my tutaj mamy? - spytał.

Zapomniała już o tym, że Panda miał instynkt ochroniarza.

Toby był zbyt wystraszony, żeby walczyć. Koszulka pod wpływem uścisku Pandy wpiła się chłopcu w pachy, odstawiając

wychudzoną klatkę piersiową i wyraźnie odstającą gumkę w za dużych spodenkach moro. Spod spodenek wystawały wierzgające, kościste nogi. Chociaż Lucy czuła się naprawdę zirytowana szpiegowaniem, nie była w stanie patrzeć na strach w oczach chłopca, więc dotknęła ramienia Pandy.

- Ja to załatwię.

- Jesteś pewna, że dasz radę? - spytał, przeciągając sylaby. -

Dzieciak wydaje się niebezpieczny.

Dosłowny umysł Toby'ego nie rozpoznawał sarkazmu.

- N-nie jestem n-niebezpieczny.

- To jest Toby - wyjaśniła Lucy. - Wnuczek twojej gospodyni.

- Czyżby?

- Puść mnie! - darł się Toby. - Ja nic nie zrobiłem.

- To nieprawda - odparła Lucy, gdy Panda nieco rozluźnił chwyt. - Od wielu dni mnie szpiegujesz i to ma się skończyć.

Uwolniony Toby natychmiast odzyskał animusz, a także wojowniczy nastrój.

- Nigdy nikogo nie szpiegowałem. Babcia przysłała mnie, żebym sprawdził, czy nie zaśmiecasz domu.

- Dziesięciołatek ma mnie pilnować?

- Dwunastolatek!

Lucy doskonale o tym pamiętała, ale Viper nie miała tyle sentymentu dla dzieci.

- Musisz znaleźć sobie coś lepszego do roboty - stwierdziła.

Chłopiec wypchnął do przodu dolną szczękę i popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie szpiegowałem, a ty kłamiesz.

Viper popatrzyła na Pandę.

- Dość tego. Ty się nim zajmij.

## *Rozdział 9*

PANDA UNIÓSŁ BRWI.

- Mam się nim zająć?

Toby był nieznośnym małym natrętem, a Lucy nie cierpiała, kiedy ktoś ją szpiegował. Mimo to nie mogła nie docenić jego odwagi.

- Sama sobie z nim nie poradzę - powiedziała. - Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić.

Toby zrobił niezgrabny krok w tył, usiłując uciec, ale pośliznął się na stercie igieł i rymnął na ziemię. Zebrał się błyskawicznie i znów rzucił się do ucieczki, ale Panda znów go złapał, tym razem za tył workowanych szortów.

- Chwileczkę, mały. Ta rozmowa jeszcze się nie skończyła.

- Puszczaj mnie, ty debilu!

- Ej, co tu się dzieje?

Lucy odwróciła się i zobaczyła, że ścieżką nadchodzi Duży Mike Moody, z pudełkiem pizzy w rękach. Zdażyła już kompletnie zapomnieć, że sama go tu zwabiła, żeby rozdrażnić Pandę. Musiał ich zauważyć zza drzew.

- Duży Mike! - Toby znów stał na własnych nogach i walczył o odzyskanie wolności.

- Jakieś kłopoty? - Agent nieruchomości błysnął białymi zębami, uśmiechając się do Pandy. - Miło znów cię widzieć na wyspie. Mam nadzieję, że podoba ci się w tym domu.

Panda skinął głową bez uśmiechu.

Duży Mike wolną rękę wysunął w stronę chłopca.

- Co tam, Toby? Masz kłopoty? Toby to mój przyjaciel, może pomogę rozwiązać problem.

Toby popatrzył wściekle na Lucy.

- Ona mówi, że ją szpiegowałem. Jest kłamczuchą.

Duży Mike zmarszczył brwi.

- Lepiej się uspokój, chłopie. Tak nie będziemy rozmawiać.

Lucy zeszywniała. Chociaż była wściekła na Toby'ego, nie podobało jej się, że Mike zwrócił się do niego per „chłopie”. Albo nie wiedział, albo nie obchodziło go to, jak nieuprzejmie jest używać tego zwrotu wobec Afroamerykanów, bez względu na wiek. Gdyby pozwolił sobie na coś takiego w rozmowie z Andre, jej bratem, nie ominęłaby go poważna lekcja wrażliwości na problemy rasowe.

Ale Toby zupełnie nie zarejestrował, że został obrażony. Ledwo Panda go uwolnił, pospieszył, by stanąć u boku Mike'a.

- Nic takiego nie zrobiłem. Przysięgam.

Duży Mike zdążył tymczasem przenieść pizzę do lewej ręki, a prawą objął chłopca, niewątpliwie zarażając go tym samym wonią swojej wody kolońskiej.

- Jesteś pewny? - spytał Mike. - Panna Viper wydaje się bardzo zdenerwowana.

Panda prychnął śmiechem.

Duży Mike wpatrywał się w Lucy w taki sposób, jakby wciąż usiłował sobie przypomnieć, skąd zna jej twarz. Wbiła wzrok w ziemię.

- Nic nie zrobiłem - powtórzy Toby.

Lucy uznała, że noszenie koszulki przesiąkniętej zapachem wody kolońskiej było wystarczającą karą dla chłopca.

- Nie życzę sobie, żebyś dalej mnie szpiegował. Jeśli znów zaczniesz, porozmawiam sobie z twoją babcią.

Toby wykrzywił twarz.

- Babci nie ma teraz w domu, więc nie możesz z nią rozmawiać.

Nawet wyszczekany dzieciak nie mógł skłonić rozkosznego Mike'a do zmiany sposobu bycia.

- Wiesz, co ja myślę, Toby? Pannie Viper należą się przeprosiny.

Lucy nie wierzyła w wymuszane wyrazy skruchy, ale Duży Mike poklepał Toby'ego w ramię.

- Nie masz jej nic do powiedzenia? A może wolisz, żeby poszła do twojego domu?

Chłopiec wbił wzrok w ziemię.

- Przepraszam - wymamrotał.

Mike pokiwał głową, jakby Toby przemówił z samej głębi serca.

- Bardzo dobrze. Wezmę go teraz do domu. Nie będzie więcej przysparzał kłopotów. Prawda, Toby?

Toby zaszurał butami i pokręcił głową.

- Też tak sądzę. - Duży Mike nadal trzymał w ręku pizzę. Podał ją Pandzie. - Zjedzcie ją sobie, a ja później przyjdę pogadać o łodzi.

- Jakiej łodzi? - spytał Panda.  
- To dwudziestostopowy Polar Kraft. Właściciel używał jej tylko przez jeden sezon i praktycznie oddaje ją za bezcen. Panna Viper mówiła mi, że jesteś zainteresowany tym rynkiem.

Panda popatrzył na Lucy.

- Panna Viper coś źle rozumiała.

Duży Mike wiedział, jak ignorować obelgi. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wydawała się całkiem przekonana, ale... W każdym razie oto moja wizytówka. Zadzwoni, kiedy będziesz zdecydowany. Ta łódka to niesamowita okazja. Mam nadzieję, że pizza będzie smakowała. Chodź, Toby. - Pociągnął chłopca za sobą w kierunku przeciwnym do domu.

Gdy zniknęli, Panda popatrzył na Lucy.

- Powiedziałaś mu, że chcę kupić łódkę?

- Przecież mogłeś. Skąd miałam wiedzieć?

Pokręcił głową i zawrócił w stronę domu, ale po chwili zatrzymał się i podniósł pudełko do nosa.

- Czemu ta pizza cuchnie perfumami?

- Duży Mike lubi znaczyć swoje terytorium. - Przyspieszyła kroku, by Panda musiał wracać sam.

Bree usłyszała, że Toby wraca, zanim jeszcze go zobaczyła. Dochodziła siódma, a ona znów zapomniała przygotować mu kolacji. Zwykle w takich sytuacjach wchodziła do kuchni i zastawała go przy stole, zjadającego płatki z wielkich zapasów zgromadzonych przez Myrę. Kupiła je podczas ostatniej wycieczki do Sam's Club, zanim jeszcze zrobiła się zbyt chora, by podróżować.

Bree kazała sobie wstać ze stopnia i w końcu coś zrobić, coś poza paleniem. Na przykład wbić wzrok w ule Myry i pomyśleć o tych dawnych latach, kiedy ona i Star biegały między domami jak dzikie zwierzęta. Nie miała zbyt wielu przyjemnych myśli, na których mogłaby się skoncentrować. Rozbite małżeństwo? Nie bardzo. Puste konto? Na pewno nie. A co do samooceny... Nie da się myśleć o czymś, co nie istnieje.

Ten domek, a także miodziarnia Myry, kiedyś były dla niej drugim domem, ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni stały się więzieniem. Gdyby tylko mogła pobiec do domku letniego, znów przykucnąć na ganku z walkmanem i słuchać Backstreet Boysów, patrząc na braci i ich przyjaciół ścigających się po schodkach do portu. David był jednym z tych pięknych chłopców tamtego ostatniego lata, chociaż w ciągu dnia, gdy oni się bawili, on pracował przy kutrze rybackim.

Bree wpatrzyła się w pszczoły i zapaliła kolejnego papierosa. Toby wyszedł z lasu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Bree osłoniła oczy i zobaczyła przystojnego faceta, rosnącego, barczystego i potężnie zbudowanego. Był to niewątpliwie ktoś, kto wyróżnia się z tłumu. Ktoś, kto....

Zeskoczyła ze stopnia.

- Hej, Bree - powiedział. - Dawno się nie widzieliśmy.

Czas cofnął się o trzynaście lat. Fizyczne zmiany nic nie znacząły. Bree nienawidziła go równie mocno jak wtedy.

- Wejdz do domu, Toby - powiedziała sztywno. - Zaraz przyjdę.

- Trzymaj się. - Zmierwił chłopcu włosy, jakby miał do tego prawo. - Pamiętaj, co ci mówiłem, Toby. Letnicy często popadają w paranoję. Nie możesz ciągle tam chodzić.

- Nic złego nie robiłem.

Mierzwienie włosów miękko przeszło w przeczesywane ich palcami.

- Wcześniej czy później dowie się, jak jest naprawdę z twoją babcią. I, tak na marginesie... Nie będziesz mógł zrealizować czeku, który został wystawiony na twoją babcię. A teraz idź do domu, a ja porozmawiam z Bree.

Bree zacisnęła dłoń w pięść. Mike - obok Scotta, jej byłego męża - niewątpliwie należał do osób, których nie chciała już nigdy więcej oglądać. Wiedziała, że wciąż tu mieszka, bo jego twarz spoglądała na nią z kilku billboardów ustawionych wzdłuż głównej drogi na wyspie. Zamierzała jednak zrobić wszystko, by go nie spotkać. A tymczasem Mike właśnie stanął u jej progu.

Toby pomaszerował do domku. Mike zbliżył się z tym swoim wielkim uśmiechem i wyciągniętą ręką.



- Świetnie wyglądasz, Bree. Piękna jak zawsze.

Trzymała sztywno opuszczone ręce.

- Czego chcesz?

Mike opuścił dłoń, ale nie odkleił uśmiešku od ust.

- Nie doczekam się nawet „cześć”?

- Nie doczekasz się.

Jako dziecko był wiecznie spoconym grubaskiem o łasicowatych oczach i krzywych zębach. Co roku bezskutecznie usiłował wkroczyć do towarzystwa dzieci letników. Oni jednak spośród miejscowych dzieci dopuścili tylko Star. Mike był zbyt głośny, nie dość fajny. Wszystko było z nim nie tak - ubranie, prychanie zamiast śmiechu, głupie żarty. Tylko David go tolerował.

- Żał mi tego dzieciaka - powiedział kiedyś David, gdy jeden z jej braci obraził czymś Mike'a. - Jego rodzice piją. Ma mnóstwo problemów.

- Wszyscy mamy problemy - powiedziała Star. - Trzymasz się z nim wyłącznie dlatego, że sam jesteś trochę wyrzutkiem.

Czy naprawdę był wyrzutkiem? Bree nie widziała tego w ten sposób. David od początku ich fascynował. Był uroczy, charyzmatyczny, przystojny. Wychował się w biednej rodzinie, w Gary w stanie Indiana, studiował na uniwersytecie w Michigan, miał stypendium. Miał dwadzieścia lat, tyle co najstarszy brat Bree, ale zachowywał się znacznie bardziej światowo. Chociaż nie przypominała sobie, by ktokolwiek powiedział to głośno, wszyscy uważali, że przyjaźnienie się z czarnym chłopakiem jest modne. Poza tym nikt nie wątpił, że David będzie w życiu kimś wielkim.

Mike wskazał papierosa Bree.

- To są gwoździe do trumny. Powinnaś je rzucić.

Wciąż nie był fajny, ale w inny sposób. Dawno znikły krzywe zęby, trądzik i nadwaga - nadal jednak starał się za bardzo. Jasne włosy, które w młodości były wiecznie potargane i brudnawe, zostały ujarzmione przez jakiegoś kosztownego fryzjera i potraktowane przesadną ilością pianek do układania. Tania garderoba złożona z niedopasowanych szortów i koszulek ustąpiła miejsca białym spodniom, markowej koszulce polo i paskowi z logo Prady. Wszystko to wyglądało zbyt ostentacyjnie jak na

skromny styl życia wyspy, ale nie raziło tak bardzo jak wielka złota bransoletka i uniwersytecki sygnet.

Żar papierosa dotarł prawie do jej palców.

- O co chodzi?

- Toby narobił sobie kłopotów z ludźmi z domku obok.

Postukała kciukiem nasadę filtra. Nic nie powiedziała.

Mike zagrzechotał monetami w kieszeni.

- Nikt nie powiedział nowemu właścicielowi, że Myra umarła.

On sądzi, że Myra nadal zajmuje się jego domem. Okazuje się, że to Toby tam pracuje i to odkąd Myra zachorowała. Nic o tym nie wiedziałem, aż do dzisiaj, na pewno bym do tego nie dopuścił.

Papieros parzył jej skórę. Upuściła go i wtarła peta w ziemię za pomocą obcasa. Dwunastolatek, który usiłował wykonywać pracę dorosłej kobiety. Powinna była zwracać większą uwagę na to, gdzie on znikał. Kolejny dowód na to, jak bardzo sobie z niczym nie radziła.

- Pogadam z nim.

Odwróciła się w stronę domu.

- Bree, byliśmy jeszcze dziećmi - powiedział do jej pleców. -

Nie mów, że wciąż masz do mnie żal.

Nie zatrzymała się.

- Usiłowałem cię przeprosić - ciągnął. - Nie dostałaś listu?

Jedno umiała, uciekać przed własnym gniewem. Potrafiła spędzić tak dziesięć lat. Tak długo udawała, że nie wie o seryjnych zdradach Scotta. Przez dziesięć lat unikała konfrontacji, która zakończyłaby jej małżeństwo. I proszę, gdzie ją to zaprowadziło. Donikąd.

Odwróciła się gwałtownie.

- Nadal zajmujesz się szpiegowaniem ludzi, Mike? Jesteś tym samym wścibskim gnojkiem, czy masz nowe zainteresowania?

- Byłem w tobie zakochany - powiedział, jakby to wszystko usprawiedliwiało. - Pociągałaś mnie jako starsza kobieta.

Rok starsza. Zaciśnęła dłoń w pięści.

- I dlatego poszedłeś do mojej matki i doniosłeś jej, że widziałeś mnie z Davidem. Świetny sposób na zdobycie dziewczyny.

- Myślałem, że jeśli zerwiecie, to dasz mi szansę.

- Twoje szanse były zerowe.

Znowu włożył ręce w kieszenie.

- Bree, miałem siedemnaście lat. Nie mogę zmienić przeszłości. Postąpiłem źle i mogę tylko cię za to przeprosić.

Bree i David nie podejrzewali, że Mike ich śledzi, gdy ukryli się na skarpie, żeby się kochać. Mike następnego dnia opowiedział wszystko matce Bree i jeszcze tego samego popołudnia Bree została wysłana na wygnanie do Battle Creek, gdzie mieszkała koszmarna ciotka Rebecca. Nigdy nie wróciła na wyspę. Dopiero teraz, bo dwa tygodnie wcześniej dostała wiadomość o śmierci Myry i o tym, że została opiekunką jej wnuczka.

Mike wyciągnął ręce z kieszeni.

- Pozwól mi pomóc przy opiece nad Tobym.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Zostaw nas w spokoju.

Potarł kciukiem złotą bransoletkę.

- Lubię tego dzieciaka.

- To na pewno przysparza ci popularności, taka opieka nad biedną sierotą.

Jego twarz nie zdradzała nawet odrobiny wstydu.

- Nie spodziewałem się, że wyjdiesz do mnie z transparentem powitalnym, ale myślałem, że moglibyśmy razem nad tym popracować.

- Źle myślałeś.

Popatrzył na zachwaszczone podwórko i małą miodziarnię z obłazującą białą farbą i obwisłym, blaszanym dachem. Podmuch wiatru rozproszył liście, ale nawet nie liznął drogiej fryzury Mike'a.

- Nie dostaniesz zbyt wiele za ten dom. Nie ma widoku na wodę ani plaży, a wewnątrz wymaga mnóstwa pracy.

Nie mówił jej niczego, na co sama by nie wpadła. W nieruchomościach - podobnie jak w związkach - towarzyszył jej pech. Bank dobrał się do domu, który wraz ze Scottem kupiła w Bloomfield Hills za pięć milionów dolarów. Kiedy ostatnio sprawdzała, był wystawiony za milion trzysta tysięcy i wciąż brakowało chętnych.

Mike wszedł do porzuconego ogródka Myry, w którym młode pomidory walczyły o przetrwanie z chwastami.

- Jeśli zabierzesz Toby'ego z wyspy, odbierzesz mu jedyny stały punkt w życiu.

- Nie sądzisz chyba, że tu zostanę? - Powiedziała to takim tonem, jakby miała mnóstwo innych możliwości. W rzeczywistości nie miała żadnych.

- Słyszałem, że nie dostałaś zbyt wiele przy rozwodzie. - Wbił jej nóż, ani na jotę nie zmieniając niewinnej miny.

Nie dostała nic. Nie mogła też liczyć na pomoc rodziny. Bracia mieli własne problemy finansowe, a nawet, gdyby tak nie było, nie mogła poprosić ich o pieniądze, po tym, jak nie chciała słuchać ich ostrzeżeń w sprawie Scotta. A co do spadku... Rozszedł się w ciągu roku po śmierci matki.

- Tu masz dom - powiedział Mike. - Myra trzymała Toby'ego blisko swojej spódnicy, więc nie miał zbyt wielu przyjaciół, ale zapuścił tu korzenie, a w jego życiu zaszło już dość zmian. Myślę, że David chciałby, żebyś została.

Nie mogła znieść tego, jak Mike wypowiadał imię Davida, chociaż minęło już tyle lat.

- Nigdy więcej tu nie przychodź. - Odwróciła się na pięcie i zostawiła go samego na podwórku.

Toby siedział przy małym stole w kuchni i jadł kolejną miszkę płatków. Kuchnia, podobnie jak reszta domku, została wyremontowana w czasach mody na dębowe szafki i rzeźniczkę lady. Na otwartych półkach stały dzbanuszki z miodem i ceramiczne pszczoły Myry. Przez okno nad zlewem Bree widziała Mike'a, który rozglądał się po podwórku wzrokiem handlarza nieruchomości. W końcu sobie poszedł.

David napisał do niej jeden list.

„Zawsze będę Cię kochał. Ale to koniec. Nie chcę stawać między Tobą a Twoją rodziną”.

Była zrozpaczona. Czerpała pociechę wyłącznie z rozmów ze Star. Córnica Myry była jej najlepszą przyjaciółką, tylko ona rozumiała, jak bardzo Bree pokochała Davida, że nie traktowała go wyłącznie jak wakacyjnego chłopaka.

Sześć tygodni po wyjeździe Bree, Star zaszła z Davidem w ciążę - David rzucił studia, żeby się z nią ożenić. Bree nie odezwała się więcej do żadnego z nich.

Toby podniósł miskę i wysiorbał resztę mleka. Odstawi naczynie na stół.

- Babcia mówiła, że jesteś bogata. Pewnie ją okłamałaś.
- Byłam bogata. - Bree wyrzała za okno. - Ale już nie jestem.
- Czemu?

- Bo pozwoliłam, żeby utrzymywał mnie mężczyzna, zamiast poszukać własnego sposobu.

- Wiedziałem, że nie masz żadnej forsy. - To było oskarżenie, kolejny dowód na to, jak bardzo Toby jej nienawdził. Niezupełnie bez wzajemności. - Kiedy wyjeżdżasz? - spytał.

Po raz pierwszy zadał jej prawdziwe pytanie. Żałowała, że nie zna odpowiedzi.

- Nie wiem.

Oparł się wygodniej o krzesło.

- Nie możesz wciąż siedzieć i nic nie robić.

Miał rację. Musiała mu pokazać, że ma jakiś plan. Jakikolwiek.

- Nie zamierzam. - Odwróciła się od okna. - Będę sprzedawać miód Myry.

Lucy nie zamierzała potulnie wcinać pizzy razem z Pandą. Włożyła adidas i wyszła potrenować. Nie cierpiała biegać, ale czuła się jak ostatni obibok i musiała jakoś dać ujście emocjom nagromadzonym przez cały ten koszmarny dzień.

Wybiegła z zatoczki i skręciła na drogę. W końcu minęła porzucony kramik, a za nim dostrzegła niewielki, błękitny domek. Usłyszała, że dogania ją inny biegacz i nie musiała się odwracać, by zdać sobie sprawę, kto to.

- Nie jesteś już opłacany przez moją rodzinę - stwierdziła, kiedy się z nią zrównał.

- Siła przyzwyczajenia.

- Nie lubię biegać, a szczególnie nie cierpię biegać z tobą.

- Ciężka sprawa. Ta droga jest za wąska. Muszę cię przetrzucić przez ramię.

- Przecież słysząc samochody z odległości kilometra, a ja to robię po to, żeby pobyć sama.

- Udawaj, że mnie tu nie ma. - Zwolnił, żeby jej nie wyprzedzić. - Naprawdę nie zamierzasz wrócić do Wynette?

- Właśnie to rozumiałaś?
- Założyłbym się, że zmieniłaś zdanie.
- Przegrałbyś.
- Na wszystko jest pierwszy raz.
- Kretyn. - Ścięta zakręt, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Nie podążył za nią.

Gdy dotarła na miejsce, wzięła rower i wybrała się na południowy kraniec wyspy, gdzie przysiadła na wydmie, żeby popatrzeć na zachód słońca nad jeziorem. Kiedy w końcu wróciła, zastała Pandę w kuchni, która udawała wiktoriańską. Siedział na jednym z sześciu niedopasowanych krzeseł. Lucy zniemawidziła ten stół nawet nie z powodu obłazącej, zielonej farby i paskudnych, zbyt masywnych nóg, z których jedna wymagała podpórki ze złożonego kartonika, ale dlatego, że symbolizował wszystkie braki tego niegdyś tętniącego życiem domu.

Przed Pandą leżało otwarte pudełko z pizzą, brakowało kilku kawałków. Gdy weszła, podniósł wzrok. W żółtym świetle płynącym spod abażura w stylu Tiffany'ego jego opalona skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza. Zwróciła się do niego bezosobowo, jakby był po prostu dalekim znajomym:

- Mieszkałam w twojej sypialni, a skoro już jutro wyjeżdżasz, nie chciałabym się wyprowadzać tylko na jedną noc.

Poparł się na łokciu.

- To mój pokój.

Była to również jedyna sypialnia na parterze, dzięki czemu mogła stanowić bezpieczne schronienie przed jego zakusami.

- Z przyjemnością pościelę ci któreś inne łóżko - powiedziała.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wtedy się wyprowadzę, a ty będziesz spał w mojej brudnej pościeli.

Uśmiechnął się wrednie.

- Niech pomyślę.

- Gdybyś tylko mógł myśleć szybciej - odparowała chłodnym i formalnym tonem. - To był długi dzień, chciałabym się już położyć.

Przestał się uśmiechać i wzruszył ramionami.

- Możesz spać, gdzie chcesz. Nie interesuje mnie to. I sam sobie pościelę. - Poszedł w stronę drzwi, ale zatrzymał się po drodze. - Jeszcze jedno. Zostaw dom w spokoju. Wszystko ma być tak, jak jest.

Jeszcze się przekonamy.

Ale Panda jeszcze z nią nie skończył. Ledwo zgasiła światło w sypialni, usłyszała pukanie.

- Zapomniałem szczoteczki - powiedział przez drzwi.

Wstała, wyciągnęła szczoteczkę z szafki w łazience, uchyliła drzwi i podała mu ją przez szparę.

Sądząc po tym, jak gniewnie zacisnął szczękę, równie dobrze mogłaby wysunąć mu tam nóż sprężynowy.

- Zamknęłaś drzwi na zamek? - spytał głosem, który dymił jak suchy lód.

- Z przyzwyczajenia - odparła z niepokojem.

- Na zamek?

Gdyby przyznała się, że w nocy trochę się boi tego domu, to wypadłaby dziecinnie. Wzruszyła tylko ramionami.

Gwałtownie uniósł brwi, wykrzywiając z pogardą kącik ust.

- Mała, gdybym chciał się tam dostać, zamek na pewno by mnie nie zatrzymał. Ale po co miałbym cokolwiek robić? Nie byłaś za dobra.

Wciągnęła powietrze ze świstem, po czym zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Panda miał ochotę kogoś pobić. Najlepiej siebie. Ile jeszcze razy miał schrzanić sprawę z Lucy? Dlaczego ona go tak wkurzała?

„Suka sama sobie na to zasłużyła. Gdyby mnie tak nie rozwścieczyła, to bym jej nie uderzył”. Słyszał dokładnie te słowa podczas niezliczonych interwencji w sprawie przemocy domowej, kiedy jakiś dupek usiłował usprawiedliwić bicie kobiety. Fakt, że Panda użył słów, a nie pięści, nie czynił go nikim lepszym.

Wsunął palce we włosy. Bądź najlepszy w tym, w czym jesteś dobry. Wszystko, co wiązało się z Lucy Jorik, było wielkim pasmem wtop, od samego początku. Gdy tylko znalazł ją w alejce,

powinien był odwiedzić ją do rodziny. Wszystkie te gierki, którymi usiłował ją odstraszyć, dały tylko tyle, że czuł się jak ostatni kretyn. Popełniał błąd za błędem, aż w końcu dopuścił do najgorszej katastrofy, tamtej ostatniej nocy.

Nad Caddo nie było mu łatwo utrzymać rąk przy sobie, ale w motelu po prostu pękł. Spędził zbyt wiele godzin, czując jej ciało na swoich plecach, zbyt wiele godzin wpatrywał się w jej piwne oczy przetykane zielonymi iskierkami, które błyskały z furją, ilekroć Lucy czuła się zagrożona.

Podniósł pięść, żeby zapukać ponownie do jej drzwi, ale po chwili opuścił rękę. Po co miałyby przeproszać? Ostatnie, czego Lucy mogła chcieć, to kolejne spotkanie z nim.

Poszedł dalej wzdłuż starego, zatęchłego korytarza, a potem na piętro tego nawiedzzonego domu, który kupił, bo nie potrafił się powstrzymać. Przeszedł już przez tyle emocjonalnego gówna, że nie potrzebował więcej. A szczególnie nie miał ochoty przerabiać go z córką pieprzonej prezydent Stanów Zjednoczonych.

Musiał jak najszybciej uciec z tej wyspy.

Następnego ranka Lucy uniknęła spotkania z Pandą, wymykając się przez rozsuwane drzwi sypialni na taras, który prowadził na podwórko. Pojechała rowerem do miasteczka, gdzie wypita kawę, przegryzając muffinką przy jednym z zewnętrznych stolików kawiarni pod Malowaną Żabą. Nie licząc kilku spojrzeń nastoliatek oceniających jej włosy i tatuaże, nikt nie zwracał na nią uwagi. Uczucie, że uwolniła się od Lucy Jorik, przyprawiało ją o zawroty głowy.

Po śniadaniu pojechała na północny koniuszek wyspy. Zachwycał ją szorstki klimat tego zakątka - to nie było miejsce dla sławnych i bogatych. Przyjeżdżali tu hydraulicy i sprzedawcy butów, dzieci ze stanowych szkół i rodziny, które kupowały w Walmarcie, wożąc dzieci w wózkach. Gdyby w życiu Lucy nie zjawili się Matt i Nealy, takie miejsce byłoby dla niej szczytem marzeń na liście wakacyjnych celów podróży.

Do Czwartego Lipca zostały jeszcze dwa tygodnie, ale na wodzie już zaroilo się od łódek. Lucy minęła farmę, a za nią dREW-



nianą chatkę z napisem „Najlepsze wędzone ryby na wyspie!” Po lewej stronie miała malutkie śródlądowe jezioro najeżone szuwarami, a po prawej rozciągało się rozlewisko wychodzące na wody jeziora Michigan. Stopniowo gęste lasy okalające drogę przeszły w sosnowe bory, a potem przeredziły się całkowicie, a jezdnia dotarła na odsłonięty kraniec wyspy.

Ze skalistego wybrzeża, dawno temu wyjąłowanego przez lodowiec, wznosiła się latarnia morska. Lucy porzuciła rower i zaczęła na piechotę wspinać się ścieżką. Kiwnęła głową opiekunowi latarni, który zajmował się przesadzaniem jakichś pomarańczowych niecierpków w pobliżu drzwi. Za budynkiem znajdowało się urwisko spadające prosto do wody. Jezioro było spokojne, ale Lucy potrafiła sobie wyobrazić to miejsce w czasie burzy, z falami rozbijającymi się o skały.

Znalazła między głazami miejsce osłonięte od porannego słońca. Prom płynący w stronę lądu był ruchomą plamką na wodzie. Miała ogromną nadzieję, że zabrał ze sobą Pandę, bo w przeciwnym wypadku oznaczałoby to, że on wciąż jest w domu. Wtedy Lucy musiałaby się wyprowadzić, a za wszelką cenę chciała tego uniknąć. Wciąż paliły ją paskudne słowa, którymi cisnął w nią poprzedniego wieczoru. Ludzie nigdy nie traktowali jej okrutnie - a Panda z rozmysłem zadał jej cios.

Nie interesowało jej, dlaczego wybuchnął ani czy naprawdę wierzył w to, co powiedział. Te słowa skutecznie wygasiły resztki nostalgii, które budziła w niej ich wielka przygoda. A to, w długiej perspektywie, było dobre.

Zanim z powrotem wsiadła na rower, podjęła postanowienie, by nadać dniom regularny plan. Zamierzała wykorzystywać chłodniejsze poranki na wycieczki po jeziorze albo zwiedzanie wyspy. Popołudniami chciała pracować nad tekstem, który obiecała ojcu.

Gdy zbliżała się do zjazdu do Zatoki Gęsi, znów dostrzegła turkusowy dom, który zwrócił jej uwagę poprzedniego dnia. Przy zmiennej linii brzegowej wyspy wszystkie odległości wydawały się zmienne, ale to tu musiał mieszkać Toby oraz jego babcia. W linii prostej nie było to wcale daleko od domku Remingtonów.

Po jednej stronie podjazdu stała skrzynka na listy, pochylona pod dziwnym kątem. Po drugiej znajdował się porzucony kramik. Choć dom mieścił się wiele kilometrów od miasteczka, miał niezłą lokalizację, by sprzedawać sezonowe wyroby, bo droga skręcała w stronę południowej plaży, największej na wyspie. Lucy sama wybrała się tam poprzedniego dnia przed zachodem słońca. Z połamianego łańcucha zwiisał krzywo wyblakły napis „Miód spod Karuzeli”.

Impuls kazał Lucy skrócić na podjazd.

## *Rozdział 10*

BREE ODSKOCZYŁA OD ULA, wrzeszcząc jak oparzona.

- O Boże, Boże, Boże... - jęczała, chowając głowę w ramionach. Cała się trzęsała. Ciemna masa, którą zauważyła na dnie skrzynki lęgowej, nie była zlepkiem odpadków. O nie. To była mysz. Martwa mysz, zakonserwowana przez lepłą masę ochronnego propolisu, którym obwiodły ją pszczoły.

Bree zadrżała, zerwała z dłoni sztywne, skórzane pszczelarские rękawice i przeszła przez podwórze. Toby powiedział, że pan Wentzel podał pszczołom mocny roztwór cukru w poprzednim miesiącu, ale we wszystkich ulach trzeba było wymienić pomieszczenia lęgowe. To był dopiero trzeci ul, do którego Bree zajrzała. Co czekało ją w pozostałych?

Może Star miała rację? Nienawidziła opiekować się pszczołami matki. Ale Bree była inna i pszczoły od samego początku ją fascynowały. Każdego lata pomagała Myrze przy ulach. Uwielbiała to niejasne poczucie zagrożenia, chętnie obnosiła się z umiejętnościami, których nie posiadał żaden z jej braci. Lubiła hierarchię panującą w społeczności pszczoł, ścisłe reguły rządzące jej życiem, koncepcję królowej. Najbardziej jednak lubiła przebywać z Myrą, spokojną i introwertyczną, tak inną od jej własnej matki, zawsze pochłoniętej sobą.

Bree spędziła większość nocy na studiowaniu pszczelarских książek Myry, ale ani one, ani wiele letnich miesięcy spędzonych

przy ulach nie przygotowały jej na taką odpowiedzialność. Kilka lat wcześniej ukończyła nawet kurs pszczelarski, ale Scott nie pozwolił jej postawić ula w ogrodzie, więc nigdy nie wykorzystowała umiejętności. A teraz wylądowała tu i musiała zająć się nie jednym ulem, a piętnastoma, strzec ich przed gryzoniami i pasożytami, uchronić przed przepełnieniem.

Podrapała się w kostkę czubkiem drugiego buta. Chociaż góra stroju Myry z przymocowanym kapeluszem i osłoną na oczy pasowała na Bree, kombinezon nie został zaprojektowany na tak wysoką i szczupłą osobę. Bree włożyła własne spodnie khaki. Jasno ubarwione ubrania uspokajały pszczoły, ciemne kojarzyły im się z drapieżnikami jak szopy i skunksy. Niestety, Bree zapomniała zatknąć nogawki w skarpetki, przez co dorobiła się szczypiącego ugryzienia nad kostką.

Rozważała przez chwilę, czy Toby nie zająłby się martwą myszą, ale odziedziczył po matce niechęć do pszczoł, więc nie wierzyła, że go do tego przekona. Po incydencie w domku letników postanowiła lepiej go pilnować, jednak znów przepadł jej z oczu. Zauważyła natomiast jakąś nastolatkę z farbowanymi czarnymi włosami i paskudnymi dredami, która zbliżała się w stronę domu. Miała na sobie czarny top, szorty i bardzo brzydkie buty. Była niższa od Bree, mierzyła najwyżej metr sześćdziesiąt pięć. Jej delikatne rysy wydawały się regularne, a usta dość wydatne. Gdyby nie koszmarne włosy i ostry makijaż, mogła być całkiem ładna. Wyglądała też znajomo, chociaż Bree była pewna, że nigdy wcześniej jej nie spotkała.

Odrzuciła osłonę na kapelusz. Pojawienie się dziewczyny wytrąciło ją z równowagi. Nie z powodu tatuażu i kolczyka w nosie, ale głównie dlatego, że aż do poprzedniego wieczora nikt jej nie niepokoił. Lubiła czuć się niewidzialna i chciała, by tak zostało.

- Zakładam, że nie jesteś babcią Toby'ego - powiedziała dziewczyna.

Mimo wyglądu twardzielki nie wydawała się groźna. Bree cisnęła rękawice obok urządzenia do podkurzania pszczoł. Myra pracowała przy ulach gołymi rękami, ale Bree nie czuła się na to gotowa nawet w najmniejszym stopniu.

- Babcia Toby'ego umarła na początku maja.  
- Naprawdę? To ciekawe. - Wyciągnęła dłoń, co nie pasowało do takiej młodej dziewczyny. - Jestem Viper.

Viper? Bree uściśnęła jej dłoń, chociaż czuła się dziwnie. W jej dawnym towarzystwie do dobrych obyczajów należała wymiana całusów, nawet jeśli panie w ogóle się nie znały.

- Bree West.

- Miło mi cię poznać, Bree. Czy jest tu gdzieś Toby?

Jak ona poznała Toby'ego? Bree znów poczuła, jak bardzo sobie z niczym nie radzi. Nie wiedziała nawet, gdzie Toby się podziewa ani co właściwie robi, gdy znika jej z oczu.

- Toby!

Brak odpowiedzi.

- Pewnie poszedł do lasu - powiedziała życzliwie kobieta. Bree zrozumiała, że jednak nie mogła mieć do czynienia z nastolatką. - Jesteś mamą Toby'ego?

Bree miała wyjątkowo jasną, charakterystyczną dla rudzielców karnację, której zawdzięczała młodzieńcze przezwisko Truposz. Zważywszy na pochodzenie rasowe Toby'ego, pytanie kobiety zabrzmiało jak kpina. Ale chyba było szczere.

- Nie, jestem jego... opiekunką.

- Rozumiem. - Coś w nieugiętym spojrzeniu kobiety sugerowało, że naprawdę rozumiała, może nawet więcej niż Bree by sobie życzyła.

- W czym mogę pomóc? - Zdawała sobie sprawę z tego, że brzmi szorstko, ale chciała, żeby nieznojona już sobie poszła. Mogłaby wtedy wrócić do pszczół. A jeszcze wcześniej zapalić.

- Jesteśmy sąsiadkami. Wynajmuję domek Remingtonów.

Domek Remingtonów? Jej dom. Czy to mogła być ta kobieta, którą Toby szpiegował? Bree udała, że o niczym nie wie.

- Domek Remingtonów? Przyjechałam tu dopiero kilka tygodni temu.

- Jest po drugiej stronie lasu. Prowadzi tam ścieżka.

Ścieżka, na której Bree tysiące razy ścigała się ze Star.

Kobieta zerknęła na ule.

- Jesteś pszczelarką?

- Babcia Toby'ego hodowała pszczoły. Ja tylko staram się utrzymać ule przy życiu.

- Masz w tym doświadczenie?

Bree zaśmiała się, z trudem rozpoznając dźwięk, który dawno nie wydobył się z jej gardła.

- Nie bardzo. Pracowałam z pszczołami, kiedy dorastałam, ale to było dawno temu. Na szczęście te kolonie są zdrowe i dobrze zorganizowane, a dzięki zimnej wiośnie nie doszło do nadmiernego rozrostu roju. Jeśli nie zawałę, powinny przeżyć.

- To wspaniale. - Kobieta wydawała się szczerze pod wrażeniem. - Czy mogłabym jutro zabrać Toby'ego do siebie? Potrzebuję pomocy przy meblach. Odwiedził mnie kilka razy i pomyślałam, że chętnie by sobie popracował.

Nie odwiedził, tylko szpiegował.

- Mam nadzieję, że... nie sprawiał żadnych kłopotów?

- Toby, taki aniołek?

Bree dała się zaskoczyć ironicznie uniesionym brwiom kobiety. Zanim się zorientowała, znów wybuchnęła śmiechem.

- Jest twój.

Kobieta odwróciła się w stronę lasu i zrobiła tubę z dłoni.

- Toby! Jutro po południu potrzebuję pomocy w domu. Jeśli chcesz zarobić parę groszy, przyjdź.

Nie było odpowiedzi, ale zupełnie jej to nie zmartwiło. Skupiła uwagę na ulach.

- Zawsze interesowałam się pszczołami, ale nigdy się niczego nie nauczyłam. Czy uznałabyś mnie za natręta, gdybym poprosiła, żebyś kiedyś pozwoliła mi przyjrzeć się, jak pracujesz?

Słownictwo i maniery tak bardzo nie pasowały do wyglądu dziewczyny, że Bree czuła się dezorientowana. Może dlatego bezmyślnie pokiwała głową.

- Jeśli masz ochotę.

- Świetnie. W takim razie do zobaczenia. - Kobieta z uśmiechem odwróciła się i ruszyła tam, skąd przyszła.

Bree popatrzyła na ule, po czym uderzyła ją nagła myśl.

- Co sądzisz o myszach? - zawołała.

- O myszach? - kobieta się zatrzymała. - Nie przepadam. A co?

Bree wahała się przez chwilę, po czym wskazała dziewczynie ostatni ul w rządzie.

- Jeśli interesuje cię pszczelarstwo, może chciałabyś zobaczyć coś niezwykłego. Słyszałaś o propolisie?

- Nie, co to?

- To ciężka, kleista substancja, której pszczoły używają do sklejania szpar w ulu. Ma właściwości antybakteryjne i bywa zbierany przez pszczelarzy na sprzedaż. - Bree starała się, żeby zabrzmiało to profesjonalnie. - Pszczoły używają go także jako czegoś w rodzaju higienicznej izolacji, ilekroć mają do czynienia z intruzem, który mógłby zakazić kolonię. Idź zobaczyć.

Kobieta podeszła do ula jak jagniątko na rzeź. Zatrzymała się przed koszmarnym zlepkim i wbiła w niego wzrok.

- Obrzydlistwo.

Ale nie cofnęła się nawet o krok. Patrzyła dalej. Bree chwyciła szpadel, który postawiła przy stopniu.

- Jeśli masz ochotę to podnieść i wyrzucić do ścieków...

Kobieta obejrzała się przez ramię.

Bree za wszelką cenę usiłowała podtrzymać radosny ton niezobowiązującej pogawędki o pszczelarskich ciekawostkach.

- Propolis zmumifikował tę mysz, czy to nie fascynujące?

- Wkręcasz mnie.

Bree pękła pod naporem nieustępliwego spojrzenia kobiety.

- Ja... mogę to zrobić sama, będę musiała. Ale... nienawidzę myszy, a ty wyglądasz jak ktoś, kto jest w stanie zrobić wszystko.

Oczy kobiety zajaśniały.

- Naprawdę?

Bree kiwnęła głową.

- Znakomicie. - Wzięła łopatę, podniosła mysie zwłoki i wyrzuciła je we wskazane miejsce.

Minęła cała wieczność, odkąd ktoś zrobił coś miłego dla Bree, choćby był to efekt małej manipulacji. Bree nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła się tak wzruszona.

Ciekawość w kwestii Toby'ego i jego babci kazała Lucy zatrzymać się przy turkusowym domku. A może po prostu zwle-

kała z powrotem, bo gdyby znalazła suwa Pandy na podjeździe, musiałyby się spakować i wyjechać? W każdym razie, chociaż była spięta, i tak w porównaniu z opiekunką Toby'ego wydawała się kompletnym luzakiem.

Bree była piękną kobietą, chociaż drastycznie chudą. Jej ostre rysy i niemal przezroczysta cera wywoływały wrażenie staromodnej niemal delikatności. Lucy wyobrażała ją sobie w wiktoriańskiej sukni z długą szyją wystającą znad wysokiego, koronkowego kołnierza, z kasztanowymi włosami upiętymi wysoko na głowie. Coś podpowiadało jej, że Bree dźwiga na swych wątłych ramionach całą masę problemów. Jak Toby mieścił się w tym obrazku?

Nie powinna się tym interesować i nie powinna też była ulegać impulsowi, żeby zaprosić Toby'ego do domu, ale kiedy dowiedziała się, że jego babcia nie żyje, nie mogła się powstrzymać. Miała słabość do dzieciaków w opałach. Inną jej słabością było rzucanie się na pierwszego mężczyznę, którego spotkała podczas ucieczki przed ołtarza.

Pokonała ostatni zakręt, wstrzymała oddech i popatrzyła na podjazd.

Samochodu nie było. Nie musiała już nigdy więcej oglądać Pandy.

Gdy oparła rower o ścianę domu, zaczęła się zastanawiać, czy seks z Pandą nie był jakimś pokrętnym sposobem, by usprawiedliwić wystawienie narzeczonego. Nie mogłaby znaleźć lepszego dowodu na to, że nie jest warta takiego mężczyzny jak Ted. Ta myśl pocieszyła ją, ale też zaniepokoiła. Wyjaśniała, czemu zachowała się tak nietypowo, ale samo zachowanie wciąż nie zachwycało.

Lucy postanowiła raz na zawsze zamknąć ten krótki i bolesny rozdział życia. Otworzyła dom kluczem, który wygrzebała z połamanego wiklinowego koszyka. Leżał pod przedatowanymi kuponami zniżkowymi na pizzę, nieaktualnymi rozkładami kursów promu, starymi bateriami i książką telefoniczną wyspy sprzed dziecięciu lat. Najpierw skierowała się do kuchni, gdzie znalazła Toby'ego, który jadł płatki śniadaniowe.

- Ależ czuj się jak u siebie w domu - wycodziła. Niemiecki ekspres do kawy był świeżo umyty i raczej nie mogło to być

dzieło Toby'ego. Poza tym nie zauważyła żadnych oznak obecności Pandy.

Toby obrzucił ją swoim zwykłym, wrogim spojrzeniem.

- Ile mi zapłacisz?

- A ile jesteś wart?

Przeżuł kolejną łyżkę cheeriosów.

- Sporo.

- Zapłacę ci za wykonane usługi. A teraz oddaj mi swój klucz.

Toby postawił na brawurę.

- Nie potrzebuję klucza, żeby się tu dostać.

- Jasne. Wystarczą ci supermoce człowieka pająka. - Podeszła do niego i wyciągnęła dłoń.

Podrapał bąbel po ugryzieniu komara na rękę i widać było, że zastanawia się, czy nie iść w zaparte, ale w końcu zanurzył dłoń w kieszeń szortów. Gdy już oddał klucz, wsadził łyżkę w płatkę.

- Czemu nie jesteś wściekła z powodu babci?

- Kto powiedział, że nie jestem?

- Nie wyglądasz.

- Potrafię ukrywać uczucia. Seryjni mordercy muszą to umieć.

- Jesteś seryjną morderczynią?

- Jeszcze nie. Ale chyba zacznę. Na przykład dzisiaj.

Zapowiedź uśmiechu wykrzywiła mu kąciki warg, ale błyskawicznie zapanował nad ustami.

- Wydaje ci się, że jesteś zabawna, ale nie jesteś.

- Kwestia gustu. - Powtarzała sobie, że nie będzie się angażować, a nie umiała się powstrzymać. Typowe dla osób, które, nie radzą sobie z własnymi problemami; wtykają nos w cudze, żeby poczuć się lepiej. Wsadziła klucz do kieszeni. - Bree jest sympatyczna.

Wydał z siebie pogardliwy dźwięk.

- Mieszka ze mną tylko do powrotu taty. Tata pracuje przy budowie wież, takich najwyższych, jak telefoniczne. To najbardziej niebezpieczna praca na świecie.

Kłamał. Lucy potrafiła rozpoznać sierotę. Nalała sobie wody z kranu i wypijała duszkiem pół szklanki. Gdy wylała resztę do zlewu, pomyślała, jak bardzo lubiła pracować z dziećmi takimi jak Toby. Była w tym dobra i porzucenie tego zajęcia złamało jej



serce. Ale zajmując się poszczególnymi przypadkami, pomagała tylko kilorgu dzieciom. Jako lobbystka miała wpływ na los tysięcy. Myślała o tym, ilekroć ogarniała ją pokusa, by odejść.

- Powiem ci coś, Toby. Mam brata i trzy siostry, więc wiem, kiedy ktoś kłamie. Jeśli chcesz, żeby sprawy między nami tak wyglądały, proszę bardzo, twój wybór. Ale to znaczy, że nie będę ci mogła pomóc, jeśli będziesz tego potrzebował. - Już otwierał usta, żeby powiedzieć, że nie chce niczyjej pomocy, ale Lucy nie dała mu się odezwać. - I... to znaczy też, że ja nie będę mogła poprosić o pomoc ciebie. Bo nie będzie między nami zaufania. Widzisz, jak to działa?

- A kogo to obchodzi?

- Najwyraźniej nie ciebie.

W zlewie nie było brudnych naczyń. Albo Panda nie jadł śniadania, albo po sobie pozmywał. Lucy wzięła sobie banana z miski.

- Mój tata naprawdę pracował przy wieży - powiedział cicho Toby zza jej pleców. - Umarł, kiedy miałem cztery lata. Ratował innego faceta, który utknął. To prawda.

Lucy spokojnie obierała banana, z rozmysłem nie odwracając się twarzą do Toby'ego.

- Przykro mi. Ja nawet nie wiem, kim byt mój tata.

- A mama?

- Umarła, kiedy miałam czternaście lat. Nie była za dobrą mamą. - Skupiła się na bananie, nadal nie patrząc na Toby'ego. - Ale zostałam adoptowana, więc miałam szczęście.

- Mama uciekła niedługo po moim urodzeniu.

- Chyba też nie była za dobrą mamą.

- Moja babcia była fantastyczna.

- I tęsknisz za nią. - Odłożyła banana i w końcu popatrzyła na chłopca. W wielkich, brązowych oczach zbierały się łzy. Łzy, których wolałyby nie oglądać. - Mamy mnóstwo pracy. - Ruszyła dziarsko w stronę werandy. - Chodź.

Przez kolejnych kilka godzin Toby pomagał jej nosić zepsute meble, przeżarte przez mole poduszki i zakurzone zasłonki na wyznaczone miejsce na końcu podjazdu. Lucy zamierzała zorganizować wywózkę tych rzeczy. Panda nie szanował tego domu,

ale ona go pokochała. W razie, gdyby coś mu się nie spodobało, zawsze mógł ją pozwać.

Toby nadrabiał brak masy mięśniowej niezwykle poważnym podejściem do swoich obowiązków, co wzruszyło Lucy do głębi. Od dawna nie pracowała już indywidualnie z dziećmi, nie licząc rodzeństwa.

Razem mordowali się z wynoszeniem starego telewizora, który od dawna nie działał. Chłopiec napełnił worki na śmieci dziesięcioletnimi czasopismami i podartymi książkami, które Lucy zносиła mu z regałów na werandzie. Potem przetaił półki, by Lucy mogła ustawić tam z powrotem to, co zostało. Chociaż bardzo się starali, koszmary zielony stół kuchenny okazał się zbyt ciężki, żeby go wynieść i oboje skończyli z masą drzazg w rękach.

Gdy poczuła się zmęczona, zaniosiła trochę pieniędzy na ganek, który właśnie skończyli szorować. Toby miał oczy jak spodki, gdy zobaczył, ile mu zapłaciła. Prędko wsadził banknoty do kieszeni.

- Mogę wrócić w każdej chwili - powiedział gorliwie. - I będę sprzątał dom. Wiem, że wcześniej nie wyglądał zbyt dobrze, ale teraz wychodzi mi o wiele lepiej.

Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Panda będzie potrzebował dorosłego pracownika. Ale mam dla ciebie inne zadania - dodała szybko, widząc jego zawiedzioną minę.

- Nie jestem gorszy od dorosłych.

- Panda będzie to widział inaczej.

Toby przemaszerał przez ganek i mocno zatrzasnął za sobą drzwi, ale Lucy wiedziała, że wróci. I rzeczywiście wrócił.

W ciągu kolejnych kilku dni wymietli pajęczyny i wyszorowali podłogi. Najgorsze z poduszek, które leżały na zewnątrz, zostały przykryte ręcznikami plażowymi i okazało się, że rożen, który zagracał korytarz, znakomicie zmieści się na ganku. Stopniowo znikwały ceramiczne świny, poobijane pojemniki i inne śmieci zalegające na ladach. Lucy wypełniła niebieską porcelanową miseczkę dojrzałymi truskawkami i wsadziła pęk

róż zerwanych ze starego krzewu znalezionego za garażem do

słoika po dżemie. Kompozycja autorstwa Lucy nie sięgała standardów wyrafinowanych bukietów pochodzących z kwiaciarni przy Białym Domu, ale bardzo jej się podobała.

Czwartego dnia po wyjeździe Pandy zerwali paskudny dywan z podłogi.

- Masz jeszcze chleb? - spytał Toby, gdy już skończyli.
- Zjadłeś ostatni kawałek.
- A upieczesz więcej?
- Dziś już nie.

- Powinnaś zrobić więcej. - Toby przyjrzał się najnowszemu wynalazkowi Lucy, wspaniałemu tatuażowi w kształcie smoka, który rozciągał się od obojczyka, wzdłuż szyi aż po płatek ucha, gdzie widniała ziejąca głowa. - Ile ty właściwie masz lat?

Już chciała powiedzieć, że osiemnaście, ale się powstrzymała. Jeśli Toby miał być prawdomówny, sama nie mogła kłamać.

- Trzydzieści jeden.
- Stara jesteś.

Wyszli na zewnątrz. Toby przytrzymał Lucy drabinę, a ona zajęła się odgarnianiem winorośli zarastających jedyne okno nory. Gdyby udało się sprawić, że pokój przestanie być tak ponury, stałby się znakomitym miejscem na pisanie. Przez okno Lucy widziała ciepłe, miodowe deski podłogi. Od chwili, gdy tylko przekroczyła próg, dom ją nawoływał. Panda nie zasługiwał na to miejsce.

Bree rozebrała się w malutkim pomieszczeniu na tyłach domu i wrzuciła brudne ubrania od razu do pralki, łącznie ze stanikiem i majtkami. Dym, który miał uspokoić pszczoły, owiał ją tak, że pachniała jak po całym dniu przy ognisku. Owinęła się ręcznikiem, po czym poszła do łazienki. Nigdy w życiu tak ciężko nie pracowała, bolał ją każdy mięsień.

Przez ostatnich kilka dni siedziała na dworze od świtu do zmierzchu, szykując ule na nadejście lata. Podążała za wskazówkami z podręczników, przekładała ramy, sprawdzała królowe, zastępowała stare podłoże świeżym i dodawała nowe pojemniki hodowlane. Wyczyściła także całą miodziarnię, zmywając przy

tym kurz z setek słoików wypełnionych zbiorami z ubiegłego lata. Gdy skończyła, nalepiła etykiety Myry.

„Miód spod Karuzeli, Charity Island, Michigan”.

Bree marzyła kiedyś o tym, by zostać artystką - obrazek na etykietach przedstawiający radośnie przystrojoną karuzelę pochodził z akwareli, którą namalowała w wieku szesnastu lat w prezencie urodzinowym dla Myry. Myra była tak zachwycona, że poprosiła ją o zgodę, by wykorzystać wzór na etykietach.

Bree osuszyła się, delikatnie omijając niezliczone ślady po ugryzieniach, najstarsze wściekle swędziały. Tego dnia nie dała się ugryźć nawet raz. Miło było nareszcie czuć z czegoś dumę.

Toby siedział rozwalony na kanapie w salonie, grając na nintendo, które Bree podarowała mu w prezencie powitalnym. Pokój prawie nie zmienił się przez te wszystkie lata. Brzoskwińowe ściany, błękitno-granatowy, kwiatowy dywan, przeładowane meble i dwa ceramiczne, syjamskie koty po obu stronach kominka. Star i Bree nazywały je Beavis i Butthead.

Dochodziła jedenasta. Toby powinien już spać, ale gdyby Bree o tym wspomniała, udałby, że nie słyszy. Podniosła brudną miseczkę po płatkach.

- Jutro otwieram sklepik. - Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż jak informacja.

- Nikt się nie zatrzyma - powiedział, nie podnosząc wzroku znad gry.

- Jest przy głównej drodze na południową plażę, ruchu nie brakuje. Jeśli trochę go naprawimy, ludzie na pewno go zauważą. - Nie miała pojęcia, czy faktycznie tak będzie. - Będę potrzebowała pomocy, więc lepiej idź już spać.

Nie odpowiedział.

Musiała być bardziej stanowcza, ale nie umiała, więc wycofała się do kuchni. Nie jadła nic od śniadania, więc chociaż nie była głodna, zmusiła się do otwarcia lodówki. Na półkach stało tylko mleko i mielonka. Zatrzasnęła drzwiczki i popatrzyła w stronę spiżarni, gdzie znajdowały się wszelkie puszki, płatki śniadaniowe, makarony i fasola. Nic jej nie kusiło. Nic poza...

Na ladzie stał jedyny słoiczek miodu, który przyniosła do domu. W słońcu wyglądał jak złoty bursztyn, w sztucznym świetle kuchni zrobił się ciemny jak syrop klonowy. Bree podniosła naczynie i przypatrzyła się wykwintnej etykietce z karuzelą. W końcu odkręciła pokrywkę. Ustąpiła z leciutkim pyknięciem.

Dotknęła miodu koniuszkiem palca wskazującego. Przytknęła oczy. Podniosła palec do ust.

Zalały ją wizje wszystkich letnich miesięcy dzieciństwa. Wyczuła delikatną smuzkę wiśniowego drzewa, ociupinkę żonkili, koniczyny, truskawek, szept kapryfolium i muśnięcie drewna, wszystkie smaki były czyste i świeże jak czerwcowy poranek. Znów zanurzyła palec i posmakowała dłuższych, letnich dni, gdy pszczoły ociężałe kierowały się ku polom lawendy i jeżynowym chaszczom, komplikując smaki i zapachy. Potem przybył sierpień, a wraz z nim koniec lata. Miód stał się bogaty i maślany od ostów, szaławii i lucerny.

Zmęczenie odpłynęło i Bree przez chwilę czuła się tak, jakby końcem palca dotknęła wszystkich sekretów życia.

Następnego ranka nie mogła wygonić Toby'ego z łóżka, więc musiała pracować sama. Nie zważając na ból rąk, załadowała na taczki pędzle, wałki, szmaty i puszki z farbą, które znalazła w składziku. Niezgrabnie przewiozła je przez podjazd. Kramik, szary i wyblakły, stał w cieniu stuletniego dębu. Składał się z pochyłego dachu, symbolicznej podłogi, trzech ścian i lady, pod którą znajdowały się dwie pełne drzazg półki. Bez małej przechowalni towaru, umiejscowionej za tylną ścianą, całość zmieściłaby się w starej spizarni Bree.

Drogą przemknęła duża honda, a tuż za nią kolejna - obie wiozły rodziny chcące zakosztować lodowatych wód przy południowej plaży, gdzie mieściły się najlepsze pływakie rejony na wyspie. Bree zrobiła jeszcze dwa kursy do domu po narzędzia, tymczasowy szyld, który sama namalowała i kilkanaście słoików zeszłorocznego miodu. Plon tego lata będzie gotowy do zbioru dopiero w sierpniu. Bree miała jednak nadzieję, że do tego czasu znajdzie się jak najdalej stąd, chociaż nie wiedziała jeszcze

gdzie. Specjalnie tupała, żeby obudzić Toby'ego, ale gdy zajrzała do sypialni, odkryła, że łóżko jest puste.

Humor poprawił jej samochód, który zatrzymał się przy stoisku, akurat gdy wbijała w ziemię szyldek.

- Najwyższy czas, żebyście znowu otworzyli interes - powiedziała kobieta. - Kilka tygodni temu skończyliśmy ostatni słoik miodu Myry i już wraca mi artretyzm.

Kupili dwa słoiki. Bree była oszołomiona sukcesem, ale euforia stopniowo opadała, bo nikt więcej się nie zatrzymał.

Czas upłynął jej na wymiataniu pajęczyn i starych ptasich gniazd. Przygoździła też kilka obluźowanych desek. W końcu była gotowa, by otworzyć pierwsze dwie puszkę z farbą, które znalazła w składziku. Miała maślanożółty kolor i Bree podejrzewała, że Myra wybrała ją specjalnie do pomalowania tego kramu. Sama nigdy nie wykonywała podobnych prac, ale widziała, jak to się robi. W końcu, czy malowanie mogło być bardzo trudne?

Po wielu godzinach wysiłków Bree uznała, że owszem, mogło. Miała skurcz w karku, drzazgi w dłoniach i paskudną ranę w nodze. Akurat gdy ocierała czoło ręką i jeszcze bardziej umażała się farbą, usłyszała zwalniający samochód. Odwróciła się i zobaczyła czerwonego najnowszego cadillaca. Jej podniecenie spowodowane pojawieniem się nowego klienta natychmiast przygasło, gdy dostrzegła, kto nim jest.

- Nakładasz farbę na drewno, czy wszystko zostaje na tobie?

Nieźnośny, karykaturalny śmieszek Mike'a brzmiał jak zgrzytanie paznokciami o tablicę.

- Radzę sobie - warknęła, gdy podszedł bliżej.

Zamiast sobie pójść, przyjrzał się efektom jej pracy.

- Zdaje się, że będziesz potrzebowała więcej farby. Strasznie dużo wsiąka w to drewno.

Bree sama to zauważyła, ale nie mogła sobie pozwolić na marnowanie pieniędzy na kolejne puszkę farby i jeszcze nie wymyśliła, jak rozwiązać ten problem. Mike szturchnął czubkiem drogiego mokasy na jedną z prawie pustych puszek, po czym odsunął się o krok, żeby przyjrzeć się przekrzywionej półce.

- Czemu Toby ci nie pomaga?

- Musisz go sam zapytać. - Opuściła wałek na tackę, przyskajając kolejną porcją farby na swoją ostatnią porządną parę sandałów.

- Chyba tak zrobię. Gdzie go znajdę?

Gdyby nie niespodziewana fala sentymentu, pewnie by nie odpowiedziała.

- U sąsiadki, jego nowej najlepszej przyjaciółki.

- Powinien pomagać tobie. - Wybrał sobie słoiczek miodu z kartonu na ziemi, zapłacił, po czym wrócił do samochodu.

Gdy odjeżdżał, Bree uświadomiła sobie, że drży. Sam jego widok napełniał ją bolesnymi wspomnieniami. Od tamtej chwili, gdy Mike doniósł na nią i na Davida, nic w życiu Bree nie układało się jak należy.

Chociaż nie tknęła nawet tylnej strony kramiku i tak zabrakło farby. Gdy wybierała pędzlem resztkę z dna puszek, powrócił cadillac, a na przednim siedzeniu obok Mike'a siedział naburmuszony Toby.

- Zapomniał, że miał ci dziś pomóc.

Wściekłe trzaśnięcie drzwiami sugerowało, że Toby bynajmniej o niczym nie zapomniał.

Mike wysiadł i podszedł do bagażnika.

- Chodź tu, chłopie, weź je ode mnie.

Chociaż Toby miał dopiero dwanaście lat, Bree nie podobało się, jak Mike się do niego zwraca. David kiedyś wyleciał z pracy za to, że naskoczył na klienta, który zwrócił się do niego per „chłopie”. Ale Toby posłuchał bez protestu. Bał się Mike'a? Bree zmierzyła wzrokiem dwie puszek farby, które Toby wyciągnął z bagażnika.

- Co to?

- Kończyła ci się. - Mike wyciągnął wiaderko z farbą, pędzle i jeszcze jeden wałek. - Przywiozłem ci trochę na zapas. Żaden problem.

Zesztywniała.

- Nie życzę sobie, żebyś kupował mi farbę. W ogóle nie życzę sobie żadnych prezentów.

Mike wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do Toby'ego.

- Spróbujmy je otworzyć.

- Nie - powiedziała Bree. - Farba ma wrócić do sklepu, razem z resztą tych rzeczy.

Toby obrzucił ją pełnym obrzydzenia wzrokiem, chwycił śrubokręt, który zostawiła na ziemi, i podważył wieczko puszeki.

- Toby, mówię poważnie. Nie otwieraj tego...

Pokrywka odskoczyła.

Nigdy nie umiała zmusić nikogo do spełnienia jej woli. Nie potrafiła nawet nakłonić Toby'ego, żeby raz jej posłuchał, ani Mike'a, żeby zostawił ją w spokoju, tak samo jak nie udało jej się zmienić Scotta w wiernego męża.

Mike oblał wałek farbą.

- Toby, bierz ten pędzel i zacznij nakładać drugą warstwę na skrajne części.

Chłopak nawet się nie zachnął. Dla niej nie chciał zrobić najprostszej rzeczy, ale gdy otrzymywał rozkazy od rasistowskiego dupka, zmieniał się w modelowego współpracownika.

- Chętnie sam bym ci pomógł, ale... - zaczął Mike, po czym efektywnym gestem wskazał swoje nieskazitelne, szare letnie spodnie. - A zresztą co mi tam. - Chwycił wałek, obtoczył go w maślanej farbie i zabrał się do pracy.

Bree była wściekła na to, co się dzieje, ale nie potrafiła zastrzymać biegu wypadków. Mike Moody wpychał się tam, gdzie nie był potrzebny, jak zwykle.

- Ładny kolor - powiedział.

Bree też się podobała, ale nie zamierzała wdawać się w uprzejme pogawędki.

- Nie stawaj koło mnie - powiedziała. - Cuchniesz wodą kolońską.

W końcu udało jej się zburzyć odrobinę jego rozkosznego spokoju.

- O czym ty mówisz? Wiesz, ile zapłaciłem za te perfumy?

Dobrego smaku nie da się kupić, Mike. A ty nie możesz kupić dobrych manier.

Toby rzucił pędzlem o ziemię, wykrzywiając twarz z wściekłości.

- Nie możesz być dla niego miłsza?

Mike nie stracił rezonu.



- Z przyjemnością bym się czegoś napił. Co ty na to, Bree? Masz w domu jakąś lemoniadę? Zimny napój schłodziłby nastroje.

Tylko Toby i Bree wymagali schłodzenia. Mike nie stracił nic z kretyńskiej pogody ducha. Aż nagle przestał malować. Nie dlatego, że Bree go o to prosiła, ale dlatego, że zauważył podejźdżającą półciężarówkę. Najwyraźniej rozpoznał samochód, bo pobiegł w stronę jezdni, żeby ją zatrzymać machaniem.

Gdy pojazd się zatrzymał, na twarzy Mike'a zagościł wielki uśmiech zadowolonego z siebie handlarza.

- Jason, jak się masz - powiedział do długowłosego dziecka za kierownicą. - Znasz Bree Remington?

Nazywała się Bree West. Od dziesięciu lat nie nosiła nazwiska Remington.

Dzieciak skinął głową. Mike oparł dłoń o dach ciężarówki.

- Bree zajmuje się teraz sprzedażą miodu Myry. Założę się, że twoja mama ucieszyłaby się, gdybyś przywiózł kilka słoików. Wiadomo, że świetnie działa na migreny.

- Jasne, Mike.

I tak upłynęła reszta popołudnia. Mike na zmianę malował i naganiał klientów. Bree trzymała się od niego tak daleko, jak mogła. Doświadczenie pouczało, że Mike Moody nie spełnia dobrych uczynków bez powodu.

Pod koniec dnia kramik jaśniał dwiema warstwami żółtej farby, a Bree sprzedała osiemnaście słoików miodu, jednak gdy Mike w końcu wsiadł do samochodu, nie była w stanie zdobyć się na podziękowania.

Lucy zorientowała się, że wypatruje Toby'ego, gdy zajęła się wycinaniem chwastów z otoczenia ganku. Nie widziała go od trzech dni, gdy zjawił się Duży Mike. Postanowiła wpaść do domku i sprawdzić, jak się miewa chłopiec. Chociaż codziennie jeździła na rowerze, od prawie tygodnia nie była w mieście i potrzebowała trochę zakupów. Po powrocie zamierzała zabrać się do pracy. Tym razem już naprawdę. Zamiast tylko myśleć o pisaniu, miała faktycznie usiąść i zacząć to robić.

Dlatego tym razem skręciła w główną drogę. Wyjeżdżając z zakrętu, zobaczyła stoisko z miodem, które nie było już szare i przygaszone, tylko kremowożółte. Na ladzie stały słoiki złocistego miodu, a Bree malowała właśnie piękną karuzelę po jednej stronie drewnianego szyldu mocowanego od góry. Gdy Lucy się przybliżyła, przeczytała błękitny napis: „Miód spod Karuzeli. Najlepszy na wyspie. Zakręci ci w głowie!”

Toby siedział na kontuarze, obserwując Bree ze zwieszonymi nogami. Miał kwaśny wyraz twarzy. Gdy Lucy zsiadła z roweru, Bree odłożyła pędzel. Na jednym z jej policzków widniał jaskraworóżowy kleks, na drugim limonkowy. Miała na sobie top bez ramion, który odsłaniał wściekle czerwoną gulę na bladej, pokrytej piegami ręce dziewczyny.

Toby zeskoczył z lady i pomknął w jej stronę.

- Cześć, Viper! Masz dla mnie pracę?

- Nie dziś. - Lucy przyjrzała się szyldowi. - Jesteś prawdziwą artystką, Bree. To wygląda wspaniale.

- Dzięki. Tylko tak sobie dłubię. - Bree zaczęła manewrować ciężkim szyldem, by przenieść go bliżej drogi i zarazem nie rozmazać świeżej farby.

Lucy pospieszyła z pomocą.

- Chyba ciężko pracowałaś. Wszystko wygląda wspaniale.

- Mógłbym przyjść jutro z samego rana - wtrącił Toby.

Bree ustawiła szyld.

- Rano musisz popilnować kramu, gdy ja będę sprawdzać ule.

- Nie chcę pilnować kramu! - krzyknął Toby.

Lucy postanowiła załagodzić napięcie.

- I tak mam na jutro plany.

Bree odeszła od szyldu. Po drugiej stronie miał ten sam rysunek, ale inne hasło:

„Miód spod Karuzeli. Wspomnienie lata na cały rok”.

Mieliśmy dziś tylko dziesięciu klientów - zaprotestował Toby.

Nie ma jeszcze południa. - Bree wyrzała na drogę. - Dziesięć to i tak lepszy wynik niż wczoraj o tej porze. Szyld też pomoże.

W jej głosie nie było przekonania i Toby nie przyjął tego argumentu.

- Musisz mieć prawdziwą pracę.

Lucy czekała, aż Bree powie, żeby Toby dał jej spokój, ale dziewczyna udawała, że nie słyszy. Lucy musiała ugryźć się w język, żeby samej nie usadzić chłopaka.

- Na pewno coś kupię, wracając z miasta - powiedziała zamiast tego.

Bree poczuła się zażenowana.

- Nie musisz.

- Żartujesz? Kocham miód.

- Będzie dobrze smakował z twoim chlebem - powiedział Toby. - Viper sama piecze chleb - dodał, zwracając się do Bree tonem oskarżyciela. - Jest naprawdę pyszny. Nie jadłaś takiego.

- Pieczesz chleb? - spytała Bree.

- Czasem. Przywiozę ci bochen.

- To byłoby... Dzięki. - Bree sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła. Toby zmierzył ją pogardliwym wzrokiem. Bree uśmiechnęła się przepraszająco do Lucy. - Nie chciałam znowu zaczynać. Tak wyszło.

Lucy nie czuła się uprawniona do oceniania tego, co inni ludzie robili, żeby załagodzić stres. Obok nich przemknął ciemnozielony sedan.

- Widzisz - powiedział Toby. - Twój szylt jest głupi. Nikt się tu nie zatrzyma.

Lucy nie mogła tego dłużej znieść.

- Przestań dręczyć Bree - zażądała.

Lucy stanęła po stronie wroga. Toby łypnął na nią gniewnie, po czym ruszył w stronę domu.

Bree zaciągnęła się papierosem. Widok kogoś, kto mógłby mieszkać na renesansowym obrazie, wydychającego dym, był naprawdę dziwny. Bree popatrzyła za oddalającym się Tobym.

- Nie wiem nic o dzieciach. Sama widzisz, nie radzimy sobie najlepiej.

- On się boi - powiedziała Lucy.

- Nie rozumiem, co przyszło do głowy Myrze, kiedy wybrała mnie na opiekunkę.

- Pewnie miała o tobie dobre zdanie.

- Jako dziecko byłam z nią blisko, ale po ucieczce Star... Star to matka Toby'ego... rozmawialiśmy wyłącznie przez telefon, co parę miesięcy. Star i ja... Przyjaźniłyśmy się kiedyś. - Zarumieniła się, jakby ujawnienie czegoś o sobie trochę ją krępowało.

Stara victoria zwolniła i przystanąła koło nowego szyldu Bree. Lucy zostawiła dziewczynę z klientem i ruszyła rowerem do miasta.

Gdy kupiła wszystko, czego potrzebowała, łącznie z dwoma małymi słoiczkami ziół do pieczenia na rożnie, jej plecak zrobił się zbyt ciężki, by jeszcze coś do niego dodawać. Przystanąła przy kramiku Bree i powiedziała, że podjedzie po miód następnego dnia.

- Naprawdę nie trzeba - powiedziała Bree z uśmiechem, pierwszym, który Lucy zobaczyła na jej twarzy. - Szylid działa. Zatrzymały się kolejne trzy samochody. Sprzedałam sześć słoików. A twój miód będzie na koszt firmy.

Lucy chciała zaprotestować, ale rozumiała, że w ten sposób Bree próbuje jej podziękować za pomoc z Tobym. Pojawił się kolejny klient. Lucy pomachała Bree, po czym wyruszyła w drogę.

Gdy dotarła do zatoki, postanowiła zacząć następny dzień od upieczenia chleba, tak by móc zawieść trochę Bree. Skręciła na podjazd i gwałtownie zahamowała. Przy domu stał samochód.

Ciemnoszary suv z tablicami rejestracyjnymi z Illinois.

## *Rozdział 11*

Lucy była wściekła. Zatrzasnęła za sobą drzwi, opuściła plecak na podłogę i przemaszerowała przez korytarz, mijając puste miejsce, gdzie niegdyś stał rożen, który nigdy nie powinien tam stać.

Panda był na werandzie, stał tyłem do okien i przodem do Lucy. Z trudem go rozpoznała. Dzika grzywa została przycięta i wyglądała nieco bardziej przyzwoicie, chociaż należało podejrzewać, że ten stan nie potrwa długo. Był ogolony, na tyle, na ile w ogóle mógł być, i miał na sobie prawie że wyprasowaną szarą koszulę oraz równie eleganckie ciemnoszare spodnie. Obie

części garderoby mocno odbiegały jakością od taniego garnituru, w którym wystąpił na ślubie Lucy. Dziwnie było patrzeć na Pandę w stroju biznesmena, ale Lucy nie dała się nabrać. Pod warstewką cywilizacji wciąż czaił się motocyklista renegat, który wykorzystał ją, a potem jeszcze zarzucił, że była kiepska.

Wzrok Pandy podążył w stronę smoka na szyi Lucy, potem omiótł atrapę kolczyka w brwiach i od razu dało się zauważyć dwa fakty. Po pierwsze, również nie cieszył się, że ją widzi. Po drugie, nie przyjechał sam.

Obok niego stała jakaś kobieta, odwrócona tyłem do Lucy. Podziwiała zatokę przez błyszczące szyby okien. Lucy popatrzyła na Pandę swoim najbardziej lodowatym wzrokiem.

- Patrick.

Wiedział doskonale, że nie miała ochoty go oglądać i odpowiedział takim samym brakiem entuzjazmu. To zresztą jeszcze bardziej rozgniewało Lucy. Nie miał prawa zachowywać się, jakby to on był ofiarą.

„Nie byłaś za dobra”.

- Powiedziałem ci, że nie życzę sobie zmian. - Robił wszystko, by zademonstrować niezadowolenie, ale Lucy to nie obchodziło.

- Przepraszam, ale miałam instrukcje z departamentu ochrony zdrowia. - Zdjęła czapkę, odkrywając świeżo ufarbowane fioletowe dredy. Usunęła graty z regałów, porządnie ułożyła książki i wyrzuciła zatłuszczony sizalowy dywanik, który leżał na werandzie o wiele za długo. Udało jej się ograniczyć nadmiar paskudnych mebli do minimum - bezlitosny proces eliminacji oszczędził tylko skrzynię, kilka stołów i kanapę i krzesła, które wraz z Tobym przytargała z salonu. Chociaż nie zdążyła jeszcze odmalować werandy, zrobiło się tu przytulnie i sympatycznie.

Kobieta nadal nie odwróciła się od okna - stała z wzorowo wyprostowaną sylwetką. Miała na sobie za dużą, czarną koszulkę, czarne spodnie i szpilki. Proste, ciemne włosy sięgały jej ramion. Spore dłonie nie pasowały do wiotkich nadgarstków. Nie nosiła biżuterii.

- Panda zapewnił mnie, że mogę liczyć na twoją dyskrecję - powiedziała niskim, lekko przygaszonym głosem, ale zarazem

tak władczym tonem, że słychać w nim było skłonność do wydawania rozkazów.

- Nie ma sprawy - odparła Lucy. - Ja wyjeżdżam.

- Nie możesz wyjechać. - Kobieta zacisnęła wielkie dłonie w pięści, ale się nie odwróciła.

Lucy popatrzyła jadowicie na Pandę.

- Jeśli Panda będzie cię napastował, zawsze możesz wezwać policję.

- Życzę sobie towarzystwa innej kobiety - powiedziała towarzyszka Pandy nienaturalnie cichym i przenikliwym głosem sierżanta. - Słyszałam, że wiele ostatnio przeszłaś, ale obiecuję, że zostaniesz wynagrodzona.

Czyli Panda powiedział jej, kim jest Lucy. Kolejny znak, że nie miał żadnych skrupułów.

- Normalnie zaproponowałabym, że ci zapłacę - ciągnęła kobieta. - Ale to byłoby trochę nie na miejscu.

Trochę? Kobieta nie wydawała się onieśmielona spotkaniem z przedstawicielką do niedawna pierwszej rodziny w kraju. Znać było to, że musiała przywyknąć do towarzystwa sław. Lucy nie potrafiła powstrzymać ciekawości.

- Czemu to takie ważne?

Kobieta podniosła głowę jeszcze wyżej.

- Zanim wyjaśnię, muszę zapytać na wszelki wypadek: może zechciałabyś podpisać umowę o poufności?

Chyba żartowała.

- Lucy ma sporo wad. - Panda podkreślił to ostatnie słowo - Ale sama może stracić zbyt wiele, by ryzykować demaskowanie kogoś innego.

- Ty tak twierdzisz. - Kobieta wyprostowała plecy - Chyba będę musiała ci zaufać, a nie jestem w tym dobra. - Koło okna przeleciała mewa. I wtedy kobieta zaczęła się odwracać. Powoli... efektownie... Jak królowa zmierzająca na gilotynę...

Większość twarzy zakrywały ogromne ciemne okulary. Była wysoka, postawna i odrobinę przy kości, co ukrywała obszerna tunika. Nie miała na sobie biżuterii ani nic, co mogłoby zwrócić na nią uwagę - jeśli nie liczyć faktu, że tyle czerni kompletnie

nie pasowało do ciepłego, czerwcowego dnia. Gdy zdejmowała okulary, odrobinę zatrzęsała się jej ręka. Złożyła je, po czym podniosła podbródek i spojrzała na Lucy.

Była atrakcyjna - miała ciemne oczy w kształcie migdałów, wydatne kości policzkowe, wyrazistą linię nosa - ale pełne usta lepiej prezentowałyby się z odrobiną błyszczyka, a makijaż mógłby znacznie poprawić nieco ziemistą cerę. Lucy oczywiście nie czuła się uprawniona, żeby krytykować czyjekolwiek wybory w tym zakresie, odkąd sama używała brązowej szminki i malowała sobie grube kreski kohlem nad i pod rzęsami.

Kobieta przybrała tak dramatyczną pozę, jakby spodziewała się jakiejś reakcji ze strony Lucy. Tyle że Lucy nie miała pojęcia...

I nagle zrozumiała. O kurczę!

- Lucy, na pewno słyszałaś o Temple Renshaw - powiedział rzeczowo Panda.

Temple Renshaw. Zła królowa, guru fitnessu i gwiazda *Wyspy grubasów*, koszmarne reality show, którego uczestnicy byli zsyłani do ustronnego miejsca tak, by „nikt nie musiał na nich patrzeć”. Temple zbudowała swoją karierę na upokarzaniu i poniżaniu, a zdjęcia jej szczuplusieńkiego ciała widniały wszędzie - na etykietach jej napojów odchudzających, batonach dodających energii, bogatej linii ubrań do ćwiczeń. Tyle że te zdjęcia w niczym nie przypominały ubranej na czarno osoby, która stała teraz przed Lucy - kobiety o pucołowatych policzkach i mięciutkim jak poduszczyk podbródkiem.

- Jak widzisz, jestem otyła - powiedziała Temple.

Lucy przełknęła ślinę.

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. - Temple i tak wyglądała lepiej niż większość turystów, którzy wysiedli z promu. Ale to nie znaczyło, że była tą zwiewną nimfą, którą znali widzowie w całym kraju.

- Nie musisz być taka uprzejma - odparła Temple.

- Temple spotkały wiosną różne osobiste zmartwienia, przez które trochę przybrała... - zabrał głos Panda.

- Nie szukaj wymówek. - Przenikliwy głos sierżanta przeszedł w głośny szcęk. - Jestem leniwym tłuściochem.

Lucy popatrzyła na Pandę.

- A na czym polega twoja rola? - urwała na chwilę. - Jesteś uzbrojony?

- Temple wynajęła mnie, żebym pomógł jej wrócić do formy - odparł. - I nie twoja sprawa.

- Jesteś jej trenerem?

- Niezupełnie.

- Nie potrzebuję trenera - warknęła Temple. - Brakuje mi kogoś, kto mnie zdyscyplinuje.

- To znaczy? - Przed oczami Lucy przemknęły obrazy pełne biczów i rzemieni z kolcami. Panda wykrzywił wargi w nieprzyjemnym uśmiechu, jakby czytał jej w myślach. Lucy odwróciła się do niego plecami. - Na czym ma polegać ta dyscyplina?

- Panda i ja mamy pewien układ - odparła Temple. - Nagrania do *Wyspy grubasów* ruszają we wrześniu, dokładnie za trzy miesiące. Ewidentnie straciłam kontrolę, więc wynajęłam Pandę, żeby pomógł mi wrócić do formy.

Kątem oka Lucy widziała, że nadzorca Temple przygląda się uporządkowanemu regałom. Przewrócił palcem wskazującym egzemplarz *Latarni na jeziorze Michigan*, co zburzyło ład.

- I będziecie to robić tutaj? - spytała Lucy.

- W takim stanie nie bardzo mogę pokazać się w spa, prawda? Potrzebuję prywatności. Mojej własnej wyspy dla grubasów - dodała po chwili z goryczą.

Panda ruszył nadgarstkiem, migając przy tym Lucy przed oczami drogim zegarkiem i przewrócił *Przewodnik po ptakach Ameryki Północnej*. Lucy wciąż nie przywykła do jego nowego wyglądu rodem z czasopism dla dżentelmenów. Kompletnie do niego nie pasował.

- Panda pracował dla mnie kiedyś jako ochroniarz - powiedziała Temple. - Kiedy przypomniałam sobie, że ma ten domek, zaczęłam nalegać, żebyśmy tu przyjechali. Wszystko było zupełnie jak w *Mission Impossible*. Przyleciałam prywatnym samolotem, spotkaliśmy się na lotnisku i Panda przemycił mnie na miejsce na tylnym siedzeniu samochodu.

- Rozumiem, czemu tu jesteście - powiedziała Lucy, chociaż nic była do końca pewna, o co właściwie chodziło Temple. - Ale dlaczego sądzisz, że ja też zostanę?



- Bo potrzebuję cię, żeby stworzyć przykrywkę.
- Przykrywkę?
- Będę potrzebowała specjalnego jedzenia - powiedziała. - Panda nie wygląda jak ktoś, kto regularnie kupuje herbatki na trawienie i kiełki pszenicy.

Lucy sama nie widziała się w tej roli, ale zaczynała rozumieć, na czym polegał ich absurdalny pomysł.

Panda dźgnął butem lampę podłogową. Miał na sobie stylową parę idealnie wypolerowanych mokasynów, które miała ochotę przydeptać mu z całej siły.

- To zajmie wiele tygodni. A co, jeśli będę chciała kupić sobie „Women's Heath” albo „Vogue'a”? Odżywkę do włosów, maseczkę? Do cholery, choćby tampony!

Panda zamarł ze stopą opartą o plecy fotela, który właśnie zamierzał wypchnąć z jego miejsca.

- Możesz robić zakupy w Internecie - zauważyła Lucy.

- Zamierzam, ale niektóre rzeczy będą mi potrzebne od razu. A jak wytłumaczymy różnicę między ilością śmieci produkowaną przez jedną osobą a przez dwie? Lubię prac i suszyć moje ubrania treningowe w pralniach. To są damskie ubrania. Chciałabym móc pływać. Jeśli ktoś przypłynie do zatoki i zobaczy kobietę w wodzie, musi pomyśleć, że to ty. Nie mogę dopuścić, żeby zaczął podejrzewać, że w domu jest jeszcze inna kobieta. Gdyby tak się stało, moja kariera byłaby skończona. Teraz rozumiesz?

Lucy zastanawiała się, czemu Temple nie poprosiła jakiejś przyjaciółki. Z drugiej strony nie sprawiała wrażenia osoby, która ma tuziny najlepszych psiapsiółek.

Temple zatknęła okulary za dekolt tuniki.

- Wiem, że jesteś ważną osobistością i rozumiem, że przeżywasz trudny okres. Wiem także, że nie spodziewałaś się towarzystwa. Jestem tu intruzem i chciałabym jakoś ci to wynagrodzić, więc... - Omiotła Lucy krytycznym spojrzeniem, od dredów po glany. - Będę cię trenować za darmo.

Lucy była zbyt oburzona, żeby jakkolwiek odpowiedzieć.

- Biorę sześćset dolarów za godzinę treningu osobistego. Wiem, że to horrendalna stawka, ale dzięki temu ludzie poważnie

podchodzą do ćwiczeń. - Temple ściągnęła brwi, patrząc na przedramiona Lucy. Chyba nie podziwiała tatuażu z krwawymi cierniami. Następnie Temple oszacowała wygląd ud, które tylko częściowo zasłaniały szorty. Uda Lucy dopiero niedawno zaczęły wracać do normalnego rozmiaru, dzięki wypiekanemu przez nią chlebowi.

- Znajdziemy ci inną motywację - dodała Temple.

- Niestety Lucy ceni sobie swojego lenia - oznajmił Panda, rozciągając wargi w uśmiechu. - Wątpię, czy będzie chciała szczególnie ciężko pracować.

- Na pewno nie - wyjaśniła pospiesznie Lucy. - I przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. - Nie będzie mieszkała razem z Pandą, nie ma mowy!

- Rozumiem. - Temple przykleiła sobie do ust oficjalny uśmiech. Lucy natychmiast go rozpoznała, bo sama często musiała się uciekać do tego wybiegu. - Chyba miałam nadzieję... - Oblizła wargi. - Jeśli ktokolwiek mnie zauważy... Dowie się, dlaczego tu jestem... - Podniosła podbródek jeszcze o milimetr. - Panda uprzedził mnie, że na pewno nie zostaniesz.

Lucy nie spodobało się, że przewidział jej decyzję.

Temple jeszcze wyżej uniosła brodę.

- Naprawdę nie powinnam była na to liczyć...

I wtedy nagle wszystko się rozpadło. Zła królowa zgubiła swój oficjalny uśmiech. Opuściła głowę, rozluźniła ramiona, pękł stalowy pręt w jej kręgosłupie, a w oczach załśniły łzy.

Widok despotycznej kobiety, która cierpi, bo nie może zrealizować swoich planów, powinien przynosić satysfakcję. Tymczasem Lucy pękało serce. Temple najwyraźniej nigdy jeszcze nie załamała się w taki sposób, nie wiedziała, jak prosić o pomoc. Cokolwiek spowodowało utratę kontroli w kwestii wagi, wciąż ją przytłaczało.

Lucy nie chciała opuszczać wyspy. Oznaczałoby to porzucenie Viper, a momentami nie była nawet w stanie o tym myśleć. Poza tym, gdyby to zrobiła, za tydzień o tej samej porze chodziłaby po mieście w pumpach i pukała z wyciągniętą dłońią do osób z listy pięciuset najbogatszych miesięcznika „Fortune”. Zamiast tego chciała pływać kajakiem, ilekroć naszła ją taka ochota, pisać w gabinecie, który sobie wysprzątała i smarować świeży chleb miodem.

Chciała znosić sobie kawę na przystań i patrzeć, jak Bree radzi sobie w sklepiku. No i tęskniłaby za tym nieznośnym Tobym.

W przeciwieństwie do Temple, Panda był zachwycony odpowiedzią Lucy.

- Lucy wprowadza zamieszanie - powiedział swojej chlebodawczyni. - Tak będzie lepiej.

Lepiej dla niego.

Lucy nie chciała dzielić domu ze złą królową z *Wyspy grubasów*. A jeszcze bardziej nie chciała dzielić go ze złym ochrońcą. Z drugiej strony to był spory dom, a Temple wydawała się taka bezradna. Lucy rozumiała, jak to jest znacznie lepiej, niż trenerka by sobie tego życzyła.

- Spróbuję potowarzyszyć ci przez dzień czy dwa - powiedziała w końcu. - Ale niczego więcej nie obiecuję.

Panda liczył na to, że Lucy sobie pojedzie, więc nie był zadowolony.

- Widzę, że nie przemyślałaś tej decyzji.

- Zostaniesz? - Temple zmieniła się w inną osobę. Wyprostowała plecy, zabłysły jej oczy. - Nie wiem, jak ci dziękować. I naprawdę... Twoje ciało też mi podziękuje.

Lucy szczerze w to wątpiła, ale miała przed sobą ważniejszą bitwę. Wyznaczenie własnego terytorium.

- Duża sypialnia na piętrze będzie idealna na treningi, oczywiście najpierw trzeba ją wysprzątać. Podejrzewam, że chciałaś mieć Pandę w pobliżu. Na piętrze mieszczą się cztery pokoje i dwie duże łazienki, starczy miejsca dla was obojga. - Lucy nie zamierzała oddać sypialni na dole, tej z suwanymi drzwiami, które prowadziły bezpośrednio na zewnątrz i pozwalałyby jej wchodzić i wychodzić bez natykania się na Temple i Pandę. Gdyby wszystko poszło dobrze, musiałyby ich oglądać tylko w kuchni, a podejrzewała, że Temple nie będzie tam spędzać zbyt wiele czasu.

Zignorowała wściekły wzrok Pandy i zaproponowała, że oprowadzi Temple po mieszkaniu.

- Na górze jest straszny bałagan, ale wystarczy kilka ciężarówek do wywózki śmieci i maszyna do dezynfekcji, żeby doprowadzić wszystko do porządku.

Panda uparł się, że będzie im towarzyszyć i z każdą zmianą dokonaną przez Lucy, która rzucała mu się w oczy, robił się coraz bardziej zły.

- Gdzie lustro, które tu wisiało?
- Jakie lustro?
- I wieszak?
- Wieszak?

Obie rzeczy cisnęła do garażu, razem z innymi śmieciami, które nagromadziły się w tym domu przez lata.

Gdy dotarli na górę, znalazła sojusznickę w Temple.

- Przecież mówiłeś, że masz ten dom od dwóch lat - powiedziała, widząc stan dużej sypialni. - Czemu tu nie posprzątałeś?
- Podobał mi się taki, jaki jest - odparł Panda sztywno.

Temple spojrzała z obrzydzeniem na niepasujące do siebie prycze. Na każdej leżał zrolowany przy końcu materac. Podeszła do najdłuższej ściany, z trzema wielkimi oknami, które zasłaniały wyblakłe, obramowane winylem kotary. Temple uchyliła jedno, zakurzone skrzydło.

- Przepiękny widok. Masz rację, Lucy. To będzie świetny pokój treningowy.

- Pani, która przychodziła tu sprzątać, umarła, więc od dawna nikt się nie zajmował tym domem, ale jestem pewna, że Panda kogoś znajdzie.

- Nie mogę pozwolić, żeby przychodził tu ktoś obcy - powiedziała stanowczo Temple. Puściła zasłonę i potarła o siebie pobrudzone palce. - Posprzątam, Panda mi pomoże. To będzie nowe doświadczenie. Ciekawe, czy wciąż jeszcze pamiętam, jak się robi takie rzeczy samemu - dodała z goryczą.

Stara Lucy zgłosiłaby się do pomocy, ale Viper nie zamierzała obsługiwać Temple Renshaw. Wskazała jej szafę ze stertami pościeli z różnych kompletów, po czym zostawiła Temple i Pandę samych.

Gdy dotarła na dół, wypakowała zakupy i powiedziała sobie, że to wszystko może się udać. Zmywała naczynia, gdy usłyszała głos Temple dobiegający z korytarza.

- Naprawdę nie musiałeś tego robić. - Złość w głosie Temple obudziła ciekawość Lucy. Wyjrzała.

Stali przy frontowych drzwiach, Panda przeszukiwał torebkę Temple, luksusowy czarny worek z ciężkim, srebrnym zapięciem. Temple zatknęła palec za kołnierz tuniki.

- Szczerze mówię, nie ma potrzeby. Przecież wiem, po co tu przyjechałam.

- W takim razie musiałaś to przeoczyć. - Wyciągnął trójkątną czekoladę toblerone.

Temple przechyliła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Gratulacje. Przeszedłeś pierwszy test. Właśnie dlatego płacę niewyobrażalną kupę kasy pieniędzy, żebyś pracował dla mnie tego lata.

Rozdarł opakowanie, po czym odgryzł wielki kawałek czekolady.

- Nie wciskaj mi kitu, Temple.

Temple nie mogła oderwać oczu od batonu. Jej uśmiech wyparował. Nawet z odległości Lucy wyczuwała jej desperackie pragnienie. Panda zjadł kolejny kęs, przeżuając powoli, rozkoszując się każdą sekundą. Za tak potworne okrucieństwo powinien zostać przeklęty na wieki.

- Za każdym razem, gdy coś u ciebie znajdę, będziesz musiała patrzeć, jak to zjadam - obwieścić!

Temple wpadła w furję.

- Nie muszę tego znosić!

- Oszczędź sobie. - W ustach Pandy zniknął ostatni kawałek czekolady. Zmiał opakowanie i wrzucił je sobie do kieszeni. - Otwórz walizki.

- W środku nie ma niczego, czego nie powinno tam być - powiedziała.

- Mam nadzieję, że to prawda.

Ale to nie była prawda. Panda znalazł kolejną wielką tabliczkę. Nawet jak na tak potężnego mężczyznę było to sporo, ale pożarł ją do ostatniego okruszka. Temple była wściekła.

- Nie musisz być taki wredny.

- Nie wynajęłaś mnie z uwagi na ciepłą osobowość. Wiedziałaś, że to nie będzie spacerek.

- W porządku.

Ruszyła szybkim krokiem i prawie go minęła, gdy chwycił ją za ramię.

- Ciebie też mam przeszukać?

Sięgnęła do kieszeni spodni i uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

- Tic taki. Są zupełnie nieszkodliwe, a ja mam tego dość.

- To zaboli tylko przez chwilę.

Wydała z siebie syk oburzenia, bo Panda zaczął obmacywać jej ciało.

- Jak śmiesz mnie dotykać?

- Uspokój się. - Wydobył paczkę skittlesów z drugiej kieszeni Temple, a potem wziął sobie jeszcze tic taki. - Współczucie to droga do przegranej. Czy ty sama nie powtarzasz tego w telewizji?

- Nie po to płacę ci siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, żeby wysłuchiwać twoich pouczeń!

Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów? Lucy nie mogła uwierzyć własnym uszom. Zastanawiała się, ile zapłacili mu jej rodzice, a potem przypomniała sobie swoją ofertę tysiąca dolarów. Musiała go naprawdę rozbawić.

- To nie pouczanie, tylko obserwacja. - Najwyraźniej nawet jego żołądek miał jakieś ograniczenia, bo wsunął sobie skittlesy do kieszeni wraz z opakowaniami po czekoladzie i zamknął walizki. - Zaniosę je na górę.

- Nie fatyguj się! - Wyszarpnęła mu walizki, po czym zaciągnęła je na piętro.

- Dobrze się bawisz? - spytał Panda, wciąż obrócony plecami do drzwi, przy których stała schowana Lucy.

- Chyba nie zrozumiałam wszystkiego, co tu się wydarzyło - odparła. - Świetnie się dogadujecie.

Obrzucił wzrokiem miejsce, gdzie stał rozeń.

- W każdej chwili możesz wyjechać. Właściwie czemu tego jeszcze nie zrobiłaś?

Bo to był jej dom.

- Bo wciąż karzę się za to, jak błędnie oceniłam niektórych ludzi. - Schowała się z powrotem do kuchni.

Dochodziła dopiero czwarta, ale Lucy nie jadła nic od śniadania, więc postawiła rondel na ogniu, wlała olej i wrzuciła jeden z kotletów wieprzowych, które kupiła sobie w mieście. Lepiej smakowałyby przyrządzony na grillu, ale zdążyła już wyrzucić to przerdzewiałe żelastwo.

Kotlet właśnie zaczynał przyjemnie skwierczeć, gdy do kuchni wpadł Panda, wciąż w stroju biznesmena. Chwytał ręcznik, owinał wokół rączki rondla i zniknął z jedzeniem za drzwiami.

- Hej! - Pognała za nim przez podwórze. - Wracaj tu z moim kotлетem!

Otworzył wieko śmietnika przy garażu i posłał kotlet na śmierć w otchłani kubła.

- Nie ma gotowania, o ile Temple też nie może tego czegoś zjeść.

- Nie ma gotowania? Co to ma znaczyć?

- Zapach rozchodził się po całym domu. Ona ma się tu oczyścić, a ty nie będziesz jej torturować.

- Ja! Przecież właśnie pochłonałeś tysiące kalorii i to na jej oczach!

- To były naturalne konsekwencje przewinienia. Ty robisz coś innego.

Wzniosła ręce do nieba.

- Nie wierzę ci!

Wykrzywił usta.

- Może zadzwoń do mamy i taty, żeby przysłali ci służby specjalne do ochrony.

Naprawdę całowała się z tym człowiekiem? Pozwoliła mu... pozwoliła, żeby... robił takie rzeczy! Viper była rozwścieczona do maksimum.

- Zapłacisz mi za to - rzuciła, trzymając mu przy twarzy wyprężony palec z paznokciem pomalowanym czarnym, odprysniętym lakierem.

A potem go zostawiła.

Już płacił. Samo przebywanie znów blisko niej było jak tortura. Nadal pamiętał chwilę, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wieczór przyjęcia próbnego. Stała u boku Teda w eleganckiej, niebieskozielonej sukni, a jej lśniące włosy były o wiele odcieni jaśniejsze niż teraz. Myślał tylko o tym, jak ona i Ted znakomicie do siebie pasują. Wzorowa amerykańska para. Dopiero dwa tygodnie później, gdy Lucy w końcu zadzwoniła do rodziny nad jeziora Caddo, Panda zrozumiał, że nie wróci do Teda. Głupia.

„Nie byłaś za dobra”.

Co za kretyńskie kłamstwo. To on się nie popisał. Kochał się z nią za szybko, niezgrabnie, bez kontroli. Lucy zachowywała się naturalnie i wiele z siebie dawała, ale bez tej idiotycznej manieri gwiazd porno, którą kobiety tak często czują się w obowiązku naśladować.

Liczył na to, że ucieknie na sam jego widok, ale zamiast pobiec prosto na prom, postanowiła usmażyć sobie kotlety w jego kuchni. Teraz miał na głowie dwie problemowe kobiety. Obie chciały się schronić w jego domu. Jedna była wymagająca i upierdliwa, ale Panda wiedział, jak radzić sobie z Temple i przygotował się na to. Druga stwarzała kłopot zupełnie innego rodzaju. Między innymi taki, że chciał sobie z nią radzić wyłącznie nago. Wypchnął z umysłu obrazki nagiej Lucy, żeby skoncentrować się na zadaniu. Domek na wyspie był ostatnim miejscem na ziemi, w którym miał ochotę teraz przebywać, ale Temple płaciła mu mnóstwo pieniędzy za to, żeby jej pilnował. Nie chciała nawet dyskutować o lokalizacji. Żałował, że w ogóle powiedział jej o tym domku, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłaby się uprzeć, żeby tu przyjechać. Nigdy też nie przyszło mu do głowy, że zobaczy ją z piętnastokilogramową nadwagą i o krok od zrujnowania sobie kariery. Lubił zadania, które zmuszały go do ciągłego działania i które niosły ze sobą obietnice emocji. To zadanie było do dupy, ale przynajmniej niezwykle lukratywne. Poza tym Temple była kiedyś jego pierwszą naprawdę ważną klientką, więc czuł się zobowiązany.

Poznał ją niedługo po tym, jak przejął agencję. Wydawczyni Temple zatrudniła go jako zwykłego ochroniarza w chicagowskiej księgarni, gdzie trenerka miała podpisywać książki. Uwagę Pandy zwrócił jakiś niespokojny facet w tłumie. Uważnie mu się przypatrywał, a przed końcem wieczoru złapał go, gdy gość rzucił się na Temple z nożem, chcąc pokaleczyć jej twarz. Od tamtej pory, ilekroć Temple potrzebowała ochrony, nalegała na zatrudnienie Pandy. Dzięki niej pojawiło się też wielu innych prestiżowych klientów, a firma rozrosła się tak bardzo, że mógł sobie wynająć mieszkanie przy Lake Shore Drive - choć rzadko



tam sypiał - kupić dom na wyspie i umieścić matkę w najlepszym ośrodku dla chorych na alzheimera w Illinois.

Zabulgotało mu w żołądku; nie z głodu, raczej z wysiłku wkładanego w trawienie całej tej czekolady. Nigdy nie przepadał za słodyczami. Szkoda, że Temple nie przemycała chipsów.

Jego myśli znów popłynęły w stronę Lucy. Wyraźnie zakazał jej zmieniać cokolwiek w domu, ale i tak zrobiła, co chciała. Wszystkie te nowości wytrąciły go z równowagi. Czemu Lucy posłuchała Temple? Nie potrafił tego zrozumieć, ale wiedział, że im szybciej zmusi ją do wyjazdu, tym lepiej. A najlepszym sposobem na osiągnięcie celu było przypomnienie jej o tym, jak wiele miał wad.

Gdyby tylko perspektywa powrotu do tych gierek tak bardzo go nie przygnębiała.

Zła królowa nie była rozpieszczoną księżniczką, tyle Lucy musiała jej przyznać. Następnego ranka pracowała ramię w ramię z Pandą. Połamali łóżka i wynieśli je na zewnątrz.

- Świetny trening cardio - powiedziała Temple do Lucy, gdy wyniosła poręcze.

Temple zebrała włosy w rozczochrany ogon i zmieniła czarny strój na obszerne, wojskowe spodnie do ćwiczeń i za duży top z dekoltem w kształcie litery V Ani jedno, ani drugie nie wyglądało, jakby pochodziło z luksusowej linii sygnowanej jej nazwiskiem.

- Zaczynam myśleć, że między tobą a Pandą coś było - powiedziała.

Lucy przytrzymała jej drzwi.

- To źle myślisz.

Temple nie dała się zwieść chłodną odpowiedzią.

- Nie interesuje mnie, co robicie w czasie wolnym, o ile tylko Panda będzie wypełniał swoje obowiązki. - Temple ułożyła sobie stertę śmieci tak, by przenieść je przez framugę.

Lucy jeszcze nigdy nie była traktowana jak podkomendna, ale zanim zdążyła wypalić coś w odpowiedzi, królowa znikła już na dole.

Gdy Lucy zeszła do kuchni na śniadanie, odkryła, że na spiznarce wisi kłódka. Ponieważ nie czuła się na siłach, by wojować

z Pandą o pustym żołądku, zdecydowała się wypić chociaż kawę. Ale zrobiła się głodna. Udało jej się znaleźć kartonik z wiśniowym jogurtem i zimnego hot doga. Zanim zdążyła skończyć jeść, usłyszała ciężarówkę podjeżdżającą pod dom. Sekundę potem rozległo się trzaśnięcie drzwi na piętrze - pewnie Temple ukryła się przed ludźmi. Wkrótce Panda i kierowca zaczęli wyładowywać coś, co wyglądało jak sprzęt gimnastyczny.

Lucy planowała, że upiecze chleb dla Bree i Toby'ego, ale po incydencie z kotлетem takie fanaberie były chyba wykluczone, więc podjechała pod kramik z pustymi rękami.

Bree stała na drabinie, malując kolorową girlandę z wstążek wokół bladożółtej ramy stoiska. Takie bezpretensjonalne zdobienia pasowałyby do karuzeli. Kolory pasowały do ciemnozielonego materiału, który rozłożyła na ladzie, by lepiej wyeksponować rząd słoiczek z miodem poustawianych trójkami w piramidki.

Toby wyskoczył zza kramu, ledwo Lucy zdążyła zsiąść.

- Widziałem wczoraj samochód Pandy. Masz dla mnie pracę? Toby stanowią komplikację, o której nie pomyślała.

- Na razie nie. Przyjechała do mnie... przyjaciółka. Będziemy często robić różne rzeczy razem. Dla ciebie to nuda. - Pomyśl, że zła królowa mogłaby być jej przyjaciółką, przyprawił ją o dreszcze, ale musiała położyć podwaliny pod blef na wypadek, gdyby Toby zjawił się niespodziewanie w domku. A na pewno zamierzał tak zrobić.

- Ale mogę przyjść i pomagać, tak?

- Toby, przestać nagabywać Viper. - Bree uśmiechnęła się, dając wyraz zmęczeniu, i zeszła z drabiny. Zostawiła tackę z farbami na górze. Chociaż temperatura powoli rosła, Bree miała na sobie lekki, szary sweter, a pod spodem koszulkę. Ani złości sta opalenizna, której powoli nabierała, ani świeży rzut piegów na policzkach nie mogły przyćmić wrażenia, że jest kompletnie wyczerpana. - Postaram się, żeby dał ci spokój.

Zważywszy na to, że Bree kompletnie nie radziła sobie z Tobym, Lucy nie potraktowała tych słów zbyt poważnie i objęła chłopca ramieniem.

- Toby, sprawa jest taka, że moja przyjaciółka nie przepada za dziećmi. Może zamiast przychodzić do nas, zechciałbyś oprowadzić mnie po wyspie? Tu jest mnóstwo miejsc, których jeszcze nie widziałam.

- Pewnie tak.

Lucy przyjrzała się szyldowi Miodu spod Karuzeli i świeżo namalowanym dekoracjom.

- Podoba mi się to, co robisz. Czy szyld działa?

- Dziś rano sprzedałam już siedem słoików. - Podrapała ślad po ukąszeniu na nadgarstku, zostawiając na nim smugę malinowej farby. - Myślałam o wzbogaceniu oferty o inne produkty, może mydło albo świece z wosku. Cokolwiek, co będę potrafiła zrobić.

- Wciąż nie zarobisz dość pieniędzy - rzucił Toby swoim zwykłym wojowniczym tonem. - Powinnaś stąd wyjechać.

Lucy szybko zainterweniowała.

- We dwoje przywróciliście ten sklepik do życia w ciągu kilku dni. Powinniście być z siebie dumni.

- To babcia powinna być dumna - powiedział Toby. - To był jej miód. - Pomaszerował w stronę domu. - Dzwonię do Dużego Mike'a - oświadczył. - Obiecał, że zabierze mnie na łódkę.

- Nie! - Bree pobiegła na podjazd. - Toby, nie dzwoń do Mike'a! Rozumiesz mnie? Toby!

Chłopiec zdążył już zniknąć.

Bree z rezygnacją założyła za ucho kosmyk włosów, który wymknął jej się z ogona. Wyciągnęła papierosa z paczki leżącej pod ladą.

- Nie jestem w tym dobra.

- On cierpi - powiedziała Lucy. - Dlatego stanowi trudne wyzwanie.

- Oboje cierpimy. - Odegnęła ręką dym, jakby to, co wisiało w powietrzu, stwarzało większe zagrożenie niż to, co bezpośrednio wysysała do płuc. - Przepraszam. Użałam się nad sobą. - Przyjrzała się bliżej Lucy. - Wyglądasz tak znajomo. Czuję się tak, jakbym gdzieś cię już widziała, ale jestem pewna, że nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy. Kiedy zobaczyłam cię tu po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteś jeszcze dzieckiem.

- Mam trzydzieści jeden lat.

Bree omiotła wzrokiem włosy, nowy kolczyk w brwi i tatuaż ze smokiem na szyi.

- Wolno dojrzewam - powiedziała Lucy tonem wyjaśnienia.
- Rozumiem.

Ale Bree ewidentnie nic nie rozumiała, a Lucy czuła, że nie ma prawa dłużej ukrywać przed nią swojej tożsamości. Postanowiła zaryzykować.

- To wszystko... to moje przebranie. - Zawahała się. - Nazywam się Lucy Jorik.

Bree otworzyła szeroko oczy, wyprostowała się i upuściła papierosa. Mogła palić w obecności dziwacznej dziewczyny, która mieszkała po drugiej stronie lasku, ale nie przy prezydenckiej córce.

- Och... ja...
- Musiałam ukryć się na jakiś czas - powiedziała Lucy, wzruszając ramionami. - To miejsce wydało mi się świetne.

Bree uświadomiła sobie, że gapi się na Lucy.

- Przepraszam. Po prostu jestem zaskoczona. - Znów zaczęła przyglądać włosy, usiłując je poprawić. - Czemu mi powiedziałaś? Sama nigdy bym na to nie wpadła.

- Wydawało mi się to nie fair, żeby cię tu odwiedzać i nie mówić prawdy. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale mam słabość do szczerości.

- Ale... Przecież prawie mnie nie znasz. Mogę się wygadać wszystkim w okolicy.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. - Lucy chciała zmienić temat. - Co z tym litowaniem się nad sobą, o którym wspomniałaś? Masz ochotę rozwinąć?

Jakiś samochód zwolnił, ale się nie zatrzymał. Bree popatrzyła za nim.

- To nudna historia.

- Przykro mi to przyznać, ale czasem problemy innych ludzi poprawiają mi humor.

Bree zaśmiała się, napięcie pękło.

- Znam to uczucie. - Otarła dłonie o szorty. - Naprawdę chcesz posłuchać?

- Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?  
- Tylko nie mów potem, że nie ostrzegałam. - Potarła w zamysleniu płatek z zaschniętej farby, który przywarł jej do ręki. - W zeszłym roku w listopadzie wróciłam do domu z lunchu w klubie i zastałam męża pakującego rzeczy do samochodu. Powiedział, że zmęczyło go życie klasy uprzywilejowanej, chce rozwodu i, tak poza tym, zamierza zacząć wszystko od nowa, z dziewiętnastoletnią stażystką, która była dwa razy grubsza ode mnie.

- Auć.

- To dopiero początek. - Słoneczne plamki przenikające przez drzewa stworzyły mozaikę światła i cienia na twarzy Bree, dzięki czemu wyglądała zarazem staro i młodo. - Powiedział, że jest mi coś winien za dziesięć lat małżeństwa, więc mogę wziąć wszystko, co zostanie po spłacie długów, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

- Miły facet.

- Nie wydawał się miły, nawet kiedy się poznaliśmy. Wiedziałałam o tym, ale był przystojny i inteligentny, a poza tym moje koleżanki z akademika za nim szalały. Nasze rodziny przyjaźniły się od lat. Był jednym z cudownych chłopców General Motors, dopóki nie padła fabryka w Detroit. - Straciła popiół na trawę. - Scott i jego stażystka pojechali do Seattle, by tam żyć w błogości, a długi pochłonęły wszystko, co mieliśmy. Ja ukończyłam tylko rok studiów, nie zdobyłam doświadczenia zawodowego i nie miałam pojęcia, jak się utrzymać. Przez jakiś czas mieszkałam u jednego z braci, ale po kilku miesiącach niewychodzenia z pokoju usłyszałam od szwagierki, że nie jestem już mile widzianym gościem.

Bree zapomniała o skrępowaniu i śmiało sięgnęła po kolejnego papierosa.

- Mniej więcej w tym samym czasie skontaktował się ze mną prawnik Myry i poinformował o jej śmierci. Zostawiła mi ten domek i wnuka. Widziałam Toby'ego tylko kilka razy, gdy Myra mnie odwiedziła. I tak oto przybyłam tu, by zostać panią na włościach.

Rozejrzała się po sklepiku i zaśmiała się z politowaniem wobec samej siebie.

- Czy słyszałaś kiedyś coś bardziej żalosego? Zostałam wychowana z wszelkimi przywilejami, tylko zapomniano wyrobić

mi kręgosłup. - Wepchnęła papierosa z powrotem do paczki bez zapalania. - Mogę sobie wyobrazić, co o mnie myślisz, biorąc pod uwagę, ile osiągnęłaś.

- Na przykład uciekłam z własnego ślubu?

- Zwłaszcza to! - Bree popatrzyła na Lucy z rozmarzeniem. - To dopiero trzeba mieć jaja!

- Ja bym tak tego nie nazwała...

- A ja owszem. - Akurat zatrzymał się jakiś samochód, a Bree wcisnęła paczkę z papierosami do kieszeni. - Dziękuję, że mi zaufałaś. Nie sprzedam cię.

Lucy miała nadzieję, że Bree dotrzyma słowa.

Po drodze do domu uświadomiła sobie, że zapomniała miodu, ale nie miała w perspektywie rozsmarowywania go na ciepłym chlebie, więc nie chciało jej się wracać. Na podjeździe leżały połamane łóżka, stare materace i obrzydliwe zasłony z dużej sypialni. Wszystko to czekało na wywózkę. Ciężarówka dostawcza znikła, a wchodząc do domu, Lucy usłyszała taki dźwięk, jakby na piętrze ktoś ciągnął po ziemi jakiś ciężki przedmiot. Nie śmiała mieć nadziei, że to było ciało Pandy.

Przecięła kuchnię, żeby się wydostać i zauważyła, że znikła stara lodówka. W jej miejscu stała nowoczesna, z nierdzewnej stali. Skromne śniadanie nie usatysfakcjonowało Lucy, więc otworzyła drzwiczki.

I odkryła, że znikły wszystkie jej zapasy. Masło orzechowe, galaretki, delikatesowa szynka i doskonały, dojrzewający szwajcarski ser. Nie było wiśniowego jogurtu, dressingu do sałaty ani słodkich pikli. Nie zostały się też resztki, które chciała zjeść na lunch. Wyparowała nawet marmolada Pandy.

Sekcja mrożonek wyglądała równie paskudnie. Zamiast pikantnych kiszzonek i mrożonych wafli, które trzymała na weekendową ucztę, znalazła rzędy zapakowanych dietetycznych posiłków. Wyciągnęła pojemniki na warzywa. Co się stało z marchewkami? jagodami? Świeżą sałatą, którą kupiła ledwie poprzedniego dnia? Mrożone wafle to jedno, ale czego chcieli od sałaty?

Popędziła na górę.

## Rozdział 12

**Już** w KORYTARZU UDERZYŁ JĄ GUMOWATY ZAPACH sali gimnastycznej. Duża sypialnia zmieniła się nie do poznania od poprzedniego wieczora. Na nowiutkich, czarnych, gumowych matach stały lśniące maszyny, podłoga została wyszorowana do czysta, a przez otwarte okna wlewało się słońce. Panda mocował się właśnie z jedną z wykrzywionych okiennic. Wykręcił się na tyle, że koszulka podjechała mu pod pachy, odsłaniając fragment twardego jak skała brzucha. Sama koszulka na szczęście pozabawiona była wulgarnych napisów, a fakt, że Lucy dziwnie to rozczarowało, musiał być winą Viper.

Temple, stękając, zasuwiała na orbitreku, pot lał się strumieniami z jej skroni. Lucy przez chwilę przyglądała się koszarowi treningu.

- Znikło moje jedzenie.

Temple wzruszyła ramionami i otarła czoło rękawem.

- Panda, zajmij się tym.

- Z przyjemnością. - Zamocował okiennicę, po czym wyszedł za Lucy, tak szybko, że widać było, jak bardzo czekał na ten pretekst.

Zanim zdążyła otworzyć usta i rozpocząć tyradę zupełnie nie w stylu Lucy, chwycił ją za łokieć i wyprowadził na schody.

- Musimy zejść na dół, głośne rozmowy wytrącają Temple z równowagi. O ile to nie ona głośno mówi.

- Słyszałam! - krzyknęła Temple z sali.

- Wiem - odparł Panda.

Lucy ruszyła na dół.

Panda pewnie tylko to sobie wyobraził, ale przysiągłby, że gdy Lucy maszerowała przez znoszony beżowy dywan pokrywający schody, słyszał małe wystrzały kurzu wydobywające się spod jej idiotycznych glanów. Podejrzewał, że Lucy chciałaby pozbyć się tego dywanu, ale za cholerę nie zamierzał na to pozwolić.

Dotarła na ostatni stopień. Niegdyś stała tam fioletowawa skrzynia, ale znikła, wraz z wieszakiem na płaszcze i czarnymi

półkami, które stały na ganku, mieszcząc rośliny, których ani nie kupił, ani nie chciał nigdy mieć.

Dlaczego do jasnej cholery po prostu sobie nie pojechała? Bo przywiązała się do tego miejsca. Ludzie chowani w rodzinach z wielkimi pieniędzmi zawsze się tak zachowywali. Mieli poczucie, że należy im się wszystko, czego sobie zapragną, nawet jeśli to do nich nie należało. Jak ten dom. Chociaż jednak starał się bardzo zaszufładować Lucy jako rozpuszczoną pannę, wiedział, że to nie było sprawiedliwe. Była porządna aż do szpiku kości, nawet jeśli akurat teraz nie potrafiła się poskładać.

Gdy maszerowała przez kuchnię, bezwiednie kręciła małym tyłeczkiem okrytym dziwaczными, czarnymi szortami, które były o wiele za ciasne. Panda wolałby, żeby nosiła za wielkie ubrania, jak Temple. Ciuchy zakrywające wszystko, o czym nie chciał myśleć. Lucy tymczasem ubrała się w czarne miniaturowe szorty i paskudny, szary top z czarnymi, skórzanymi sznureczkami na ramionach.

Ledwo dotarł do kuchni, odwróciła się do niego, a sznureczki na ramionach zadrgały pod wpływem gwałtownego ruchu.

- Nie miałeś prawa pozbywać się mojego jedzenia!

- A ty nie miałaś prawa wyrzucać moich mebli i nie powinnaś jeść tych świństw. - Robił się coraz bardziej wściekły, bo znów zauważył czyste blaty i brak, między innymi, porcelanowej świnki w stroju francuskiego kelnera.

- Jagody i sałata to nie świństwo.

- Nie były z ekologicznych upraw.

- I dlatego je wyrzuciłeś?

Lucy była naprawdę wkurzona. Świetnie. Dopóki utrzymywał ją w tym stanie, nie wciągała go w te miłe rozmówki. Kiedyś udawał, że ich nienawidzi. Oparł dłoń o blat. Miała tak czarne włosy, że wydawały się martwe. Sznurowate, fioletowe dredy były idiotycznie, a mocno pomalowane oczy wyglądały tak, jakby leżały na nich martwe dżdżownice. Jeden srebrny kolczyk przesywał brew, drugi nos. Panda miał gorącą nadzieję, że oba klipsami. A za obsmarowywanie tych delikatnych ust paskudną, brązową szminką należał jej się proces za zbrodnię przeciwko ludzkości. Ale najbardziej martwiły go tatuaże. Taka



długa, szczupła szyja zasługiwała na to, by nie oplatały jej smoki, a ciernie na przedramieniu wołały o pomstę do nieba - chociaż na szczęście kilka kropel krwi już się wytarło.

- Naprawdę chcesz zatruwać organizm pestycydami i chemicznymi nawozami? - spytał.

- Owszem! - Dźgnęła palcem powietrze, wskazując drzwi od spiżarni. - I oddaj mi ten klucz.

- Nie ma mowy. Zmusiłaby cię do otwarcia.

- Potrafię przeciwstawić się Temple Renshaw.

Gdy tylko chciał, potrafił zachowywać się jak dupek - a w tej chwili naprawdę starał się dać z siebie wszystko. Zniknęła porcelanowa świnka, a skórzane sznurki przesuwwały się na jej nagich ramionach.

- Nie potrafiłaś nawet przeciwstawić się Tedowi, a to najmiłszy facet na świecie, prawda?

Gdy przychodziło do radzenia sobie z dupkami, była jak dziecko we mgle. Wydeła usta, zacisnęła szczęki, ale pod wszystkimi tymi emocjami dostrzegł też poczucie winy, z którego wciąż nie potrafiła się otrząsnąć.

- O co ci chodzi? Jak to nie potrafiłam?

To była dokładnie taka rozmowa, jakiej obiecał sobie nigdy z nią nie prowadzić, ale teraz nie chciał się wycofywać.

- Awersja do małżeństwa nie naszała cię nagle w dniu ślubu. Wiedziałaś, że coś nie gra na długo przed ceremonią, ale nie miałaś tyle odwagi, żeby mu powiedzieć.

- Nie wiedziałam, że coś nie gra! - wykrzyknęła.

- Możesz sobie wmawiać, co chcesz. Wszystko, byleby móc miło zacząć kolejny dzień.

- Wolałabym w takim razie jajka na boczku.

Uśmiechnął się do niej swoim popisowym uśmiechem drań, ale wyszedł mu równie straszny jak zwykle, bo nie mógł oderwać wzroku od tych małych, skórzanych sznureczków. Jedno szarpnięcie...

- Oddaj mi jedzenie.

- Jest w śmieciach. - Udawał, że przygląda się ułamanej rączce od szuflady, po czym odsunął się od blatu. - Będę ci

otwierał spiżarnię, kiedy tylko będziesz chciała. Tylko nie jedz tych swoich świństw przy Temple.

- Moich świństw? To ty uważasz, że płatki w kolorowym cukrze to antyoksydanty!

Miała rację. Wskazał głową lodówkę.

- Często się, czym chcesz. Będziemy mieli dostawy dwa razy w tygodniu. Dziś po południu dojdą owoce i warzywa.

- Nie chcę jej organicznego paskudztwa. Chcę własne jedzenie.

Panda doskonale to rozumiał.

Nad ich głowami rozległ się dźwięk ruszającej bieżni. Panda powtarzał sobie, że nie powinien o to pytać, ale...

- Nie masz przypadkiem gdzieś zachomikowanego tego chleba, który pieczesz?

- Mam, świeży bochen cynamonowo-rodzynkowego, ale go nie znajdziesz - odparowała. - Możesz się ślinić. A nie, czekaj, nie możesz. Przecież nie jest organiczny.

Wymaszerowała na zewnątrz, trzaskając za sobą drzwiami.

Skłamała na temat chleba. Poza tym trzasnęła drzwiami po raz pierwszy, odkąd skończyła czternaście lat. Obie rzeczy bardzo jej się spodobały.

Niestety nie zabrała żółtego notesu, a obiecała sobie, że tego dnia zacznie pisać na poważnie. Nie zamierzała wracać przez kuchnię, więc okrążyła dom i wspięła się na trzy stopnie prowadzące na taras na zewnątrz sypialni. Zostawiła otwarte drzwi, żeby ją wywietrzyć i jedno ze skrzydeł odrobinę się zablokowało. Pchnęła je mocniej, po czym weszła do środka.

Panda już tam był.

- Chcę odzyskać sypialnię - powiedział, wyciągając z jej szafy parę adidasów, które, tak się złożyło, miały rozmiar dwanaście.

- Wynajęłam ten domek na lato - odparła. - Teraz to ty jesteś intruzem i ja się stąd nie wyprowadzam.

Podszedł do toaletki.

To jest mój pokój. Możesz spać na górze.

I stracić prywatne wyjście? Lucy nie zamierzała nawet tego rozważać.

- Zostaję tutaj.

Szarpnął szufladę, w której kiedyś była jego bielizna, ale teraz znajdowała się tam tylko bielizna Lucy. Wsadził rękę do środka i wyciągnął czarne stringi.

- Twoje rzeczy są w dolnej szufladzie - powiedziała szybko Lucy.

Musnął kciukiem jedwabisty materiał. Gdy skrzyżował wzrok z Lucy, kobieta poczuła kolejny dreszcz, który dowodził, jak bardzo ciało może reagować niezależnie od mózgu.

- Nie rozumiem tu jednej rzeczy. - Zamknął jej malutkie majteczki w wielkiej pięści. - Jeśli masz do mnie takie nastawienie, to czemu wciąż tu jesteś?

- Moje przywiązanie do twojego domu jest silniejsze od ambiwalentnych uczuć względem ciebie - powiedziała zadziwiająco spokojnie.

- To jest mój dom, a nie twój - odparł, wbijając wzrok w jej prawe ramię. Nie miał pojęcia dlaczego. - Jeszcze jedna zmiana, a cię wyrzucę, niezależnie od tego, co powie w tej sprawie Temple.

Mądrze i dojrzałe byłoby pozwolić mu mieć ostatnie słowo, ale Panda wciąż trzymał jej majteczki, a ona nie miała ochoty być dojrzała.

- Oferujesz jej cały pakiet usług?

Znów spojrzenie Pandy popłynęło w stronę ramion Lucy.

- A jak myślisz?

Nie wiedziała, co właściwie myśli, więc podeszła do niego gwałtowny krokiem i wyrwała mu stringi.

- Myślę, że Temple to taka kobieta, którą łatwo nabrać.

- W takim razie masz już odpowiedź.

Która dokładnie nic jej nie mówiła.

- Tak sądziłam. - Wepchnęła majteczki z powrotem do szuflady, wzięła akcesoria piśmienne, po czym wyszła tą samą drogą, którą weszła.

Moja matka jest... Tyle określeń do wyboru.

„Moja matka jest nieuleczalną pracoholiczką”.

A może...

„Moja matka zawsze wierzyła w wartość ciężkiej pracy”.

Lucy pstryknęła długopisem.

„Ameryka narodziła się z ciężkiej pracy”.

Poszukała wygodniejszej pozycji.

„Tak samo, jak moja matka”.

Zmiała papier w kulkę. Pisanie poszło jeszcze gorzej niż spotkanie z Pandą, ale tym razem mogła się przynajmniej usprawiedliwić pustym żołądkiem. Porzuciła żółty notes i pojechała do miasta, gdzie urządziła sobie ucztę złożoną z dwóch chilidogów i wielkiej porcji frytek w Dogs'N'Malts. Nie zjadła tyle od miesiący, ale nie miała pojęcia, kiedy znów będzie miała okazję wsunąć coś normalnego.

Po powrocie do domu znalazła Temple w niemal zupełnie pustym salonie. Oglądała telewizję, a u jej nagich stóp leżało kilka płyt DVD z *Wyspą grubasów*. Brązowozłota sofa, na której siedziała, była jednym z nielicznych mebli, które ostały się po sprzątaniu Lucy. Lepsze zostały przeniesione na werandę, by tam zastąpiły starocie, które zostały wyrzucone.

Temple chwyciła pilot i nacisnęła pauzę - obraz przedstawił ją samą.

- Mam piętnaście minut przerwy. - Zachowywała się tak, jakby Lucy przyłapała ją na pożeraniu czekolady. - Ćwiczyłam przez trzy godziny.

Chilidogi nieprzyjemnie zabulgotały w przepełnionym żołądku Lucy.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Ja się nie tłumaczę, po prostu... - Osunęła się na kanapę z wyczerpanym wyrazem twarzy. - Nie wiem już. Może rzeczywiście próbuję się usprawiedliwiać. - Popatrzyła na siebie samą na ekranie. - Popatrz na to ciało - powiedziała z taką pogardą, że Lucy aż się wzdrygnęła. - Straciłam je. - Nacisnęła Play i jej szczupłutka wersja na ekranie zaczęła wściekle wydzierać się na jakąś Bogu ducha winną, spoconą jak mysz kobietę w średnim wieku, która z trudem powstrzymywała łzy. - Drzwi są tam! Masz dosyć? To jazda! Jeśli tobie nie zależy, to mnie również nie. - Żyłki na szczupłej szyi Temple napięły się jak postronki, a idealnie uszminowane usta wykrzywiły drwiąco. - Wskakuj do łodzi i wynocha z wyspy. Niech wszyscy zobaczą, że jesteś do niczego.

Kobieta płakała już otwarcie, ale Temple nie przestawała na nią krzyczeć. Przykro było na to patrzeć. Jeszcze trudniej było wyobrazić sobie, jak wielka desperacja mogłaby skłonić kogoś do poddania się takim upokorzeniom.

Łzy kobiety tylko podsyciły pogardę Temple.

- Buuu... Robiłaś tak przez całe życie. Płaczesz nad problemami, zamiast je rozwiązywać. No jazda! Wynoś się z wyspy! Na twoje miejsce czeka tysiące ludzi.

- Nie! - krzyknęła kobieta. - Dam radę. Muszę.

- W takim razie rób coś!

Temple nacisnęła pauzę akurat w chwili, gdy kobieta rzuciła się w panice na worek do boksowania. Lucy nie sądziła, by pogarda dla samej siebie była najlepszym sposobem na motywowanie się, ale Temple najwyraźniej miała inne zdanie.

- Cztery miesiące po nagraniu tego epizodu Irene przebiegła swój pierwszy półmaraton - powiedziała z dumą. - A kiedy z nią skończyłam, ważyła ponad piędziesiąt kilo mniej.

Lucy zastanawiała się, ile z tych kilogramów Irene odzyskała, gdy zabrakło jej wiecznie wrzeszczącej Temple.

- Wyglądała fantastycznie. - Temple wyłączyła telewizor i wstała, krzywiąc się odrobinę. - Krytycy zawsze mnie miażdżą. Porównują mnie do trenerek takich jak Jilian Michaels, twierdzą, że ona ma serce, a ja nie. To nieprawda. Mam wielkie serce. Ale głaskanie i słodkie słówka nie pomagają ludziom, a my pewnego dnia porównamy wyniki. - Kiwnęła głową w stronę schodów. - Zamierzam teraz popracować nad górnymi partiami ciała. Sądząc po twoich ramionach, też by ci się przydało.

Przez głowę Lucy przemknęła twarz łkającej kobiety.

- To nie jest dobry moment.

Temple wykrzywiła usta.

- To nigdy nie jest dobry moment, prawda, Lucy? Zawsze znajdziesz wymówkę, żeby o sobie nie zadbać.

- Dbam o siebie. - Może sprawiło to zastraszające, wściekłe spojrzenie Temple, a może drugi chilidog, ale jej słowa nie zabrzmiały przekonująco. - Ćwiczę - dodała pewniejszym tonem. - Nie przepadam za tym, ale ćwiczę.

Temple skrzyżowała ramiona na piersiach jak strażniczka więzienna.

- Co dokładnie robisz?
- Pompki. Brzuski. Dużo chodzę. Czasem biegam.
- „Czasem” się nie liczy.
- W zimie chodzę na siłownię. - W najlepszym wypadku trzy razy w tygodniu. Zwykle dwa. Ale rzadko zdarzało się, żeby nie poszła wcale.

Temple wymierzyła oskarżycielski palec w ciało Lucy, jakby wskazywała sprzedawcy zepsute mięso.

- I naprawdę jesteś zadowolona z efektów?

Lucy przemyślała pytanie.

- Właściwie to tak.
- Okłamujesz się.
- Nie wydaje mi się. Czy chciałabym być nieco bardziej jędrna? A która kobieta czuje się usatysfakcjonowana? Ale trzymam formę. Zawsze trochę się poruszam, to tu, to tam. Czy mam obsesję na punkcie ciała? No, nie.

- Każda kobieta w tym kraju ma taką obsesję. Nie możesz żyć w naszym społeczeństwie, jeśli jej nie masz.

Lucy uświadomiła sobie, że była tak zniszczona pod wieloma innymi względami, tak obsesyjnie myślała o tym, co jest winna rodzinie, a co sobie i jak pogodzić te dwie sprawy, że nie miała czasu na poważniejsze kłopoty z obrazem ciała.

- Nie kręć mnie ciężkie treningi. Chyba mam własną filozofię. Moim celem jest dostatecznie, nie doskonale.

Temple miała taką minę, jakby Lucy oblaży karaluchy.

- Myślę, że ćwiczenia są ważne, ale nie trenuję, żeby wziąć udział w zawodach w triathlonie, tylko dla zdrowia i formy. - Lucy wiedziała, że sprawa jest beznadziejna, ale chciała chociaż spróbować wytłumaczyć coś Temple. - A kiedy ćwiczenia stają się nieprzyjemne, robię sobie przerwę.

- Powinnaś się zmuszać do treningów.

- Kiedy słaba wola zupełnie mi nie przeszkadza. - Lucy zastanawiała się, czy nie zasugerować Temple, że też mogłaby poczuć się lepiej, gdyby zastosowała podejście wystarczy mi do-

statecznie. Fakt, że zła królowa przybrała na wadze, nie mógł być przypadkiem i Lucy jako pracownik społeczny nie potrafiła nie zastanawiać się nad tym, co spowodowało taką utratę żelaznej samokontroli.

Ale Temple nie pojmowała spokojnego nastawienia Lucy. Zabrakło jej słów, co Lucy wykorzystała, żeby szybko zmienić temat.

- Mam dwunastoletniego kumpla, który lubi wpadać bez zaproszenia.

- To wykluczone - powiedziała Temple z oczami rozszerzonymi z przerażenia.

- Bez drutów pod napięciem wokół posesji może być trudno utrzymać go z daleka. Powiedziałam mu, że przyjechała do mnie przyjaciółka, więc nie zdziwi się, że tu jesteś.

- Nic nie rozumiesz! Nikt nie może mnie zobaczyć!

- Wątpię, czy należy do twoich wiernych widzów.

- Panda! - zawyła Temple. - Panda, chodź tu natychmiast! Panda nie spieszył się z przybyciem.

Temple wymierzyła palec w Lucy.

- Nie mogę teraz się tym zajmować. Załatw to! - Wybiegła i pognęła na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Zamiast zająć się powstałym problemem, Panda rozejrzał się dobrze po pokoju.

- Co się stało z moimi meblami?

- Jakimi meblami?

- Tymi, które tu stały.

- Opisz mi je.

- Nie rozumiem, co to znaczy „opisz”?

Zmrużyła oczy.

- Opisz mi, jakie meble tu stały.

- Kanapa, kilka foteli. Gdzie one są?

- Jaki kolor miała kanapa?

Zazgrzytał zębami.

- To była kanapa. Miała kolor kanapy. Co z nią zrobiłaś?

- Gdybyś mi powiedział, jak wyglądała, to łatwiej by mi było sobie przypomnieć - powiedziała z udawaną cierpliwością.

- Wyglądała jak kanapa! - warknął Panda.

- Czyli nie pamiętasz - stwierdziła triumfalnie Lucy. - Nie masz pojęcia, co w tym pokoju w ogóle było. Jak wyglądało cokolwiek w tym domu. Żaden z tych przedmiotów nic dla ciebie nie znaczył.

Drgnął mięsień w sztywnej szczęce Pandy.

- Wiem, że miałem tu kanapę, która znikła.

- Nie znikła. Jest na werandzie. Wraz z krzesłami i paroma innymi rzeczami, których byś nie rozpoznał. Nie dbasz o ten dom i nie zasługujesz na niego.

- Fatalna sprawa. Bo jest mój. I chcę moją świnkę.

To ją zatrzymało w pół słowa.

- Świnkę?

- Świnkę, która stała w kuchni.

- Tę paskudną świnkę bez ucha, w fartuszku kelnera?

- Nie jest bez ucha, tylko lekko obtłuczona.

Na chwilę ją zatkało.

- Pamiętasz, że głupia świnka ma obite ucho, ale nie wiesz, jakiego koloru jest twoja kanapa?

- Bardziej kręci mnie porcelana.

- Panda! - darła się Temple z góry. - Chodź tu mi pomóż!

Viper popatrzyła w kierunku schodów.

- Fascynujące - powiedziała. - Jak szybko wszedłeś w rolę popychadła Temple Renshaw.

Panda ruszył w stronę korytarza.

- Jeśli następnym razem, jak wejdziesz do kuchni, świnka nie będzie stała na swoim miejscu, to już nigdy nie dostaniesz jedzenia.

- Twoja świnka jest paskudna! - krzyknęła za nim.

- Jak twoja matka - odparował, rozwścieczając Lucy. Nie była naprawdę zła na niego, raczej na siebie, bo omal nie wybuchnęła śmiechem.

Bree zamykała stoisko na noc, gdy akurat podjechał biały pick-up. Napis na drzwiach głosił „Zielarstwo Jensena”.

Robiło się już zupełnie ciemno, a Bree akurat zdążyła zaparkować ostatni niesprzedany słoik do kartonu, który postawiła przy taczkach. Wstała przed szóstą, żeby powalczyć z chwastami zarastającymi ogród Myry, znów zapomniała cokolwiek zjeść i pa-



data z nóg. Ale dzień miał swoje zalety. Sprzedała osiemnaście słoików miodu, a także truskawki i szparagi, które przetrwały zaniedbania w ogrodzie. I prawie zdobyła przyjaciółkę i chociaż nie wierzyła, by ktoś tak sławny jak Lucy mógł być jej naprawdę oddany, to jednak było jej miło.

Toby jak zwykle gdzieś przepadł, ale gdy otworzyły się drzwi ciężarówki, wyskoczył znikąd i puścił się pędem przez podjazd.

- Duży Mike!

Gdy Mike zaczął gramolić się z auta, Bree z trudem utrzymała karton ze słoikami. To było zbyt wiele po tak intensywnym dniu. Wciąż nie potrafiła pogodzić jego znakomitego wyglądu ze wspomnieniem o grubawym, pryszczatym nastolatku. Gdyby nie fakt, że poznała go na wylot, dałaby się nabrać, że jest jakimś sympatycznym tatusiem wożącym dzieci na treningi piłki nożnej. A nie szpiegiem mielącym ozorem bez umiaru.

Uśmiechnął się, po czym pomachał Toby'emu.

- Cześć, młody. Przyniosłem ci coś.

- Co takiego? - krzyknął Toby, a Mike podszedł do bagażnika auta.

- A jak myślisz? - Mike otworzył klapę i jednym, gładkim lekkim ruchem wyciągnął z samochodu lśniący, srebrzysty rower górski.

Klasyk. Bree doskonale wiedziała, jak Mike to sobie zaplanował.

Toby wpatrywał się w rower takim wzrokiem, jakby skarb mógł zniknąć, gdyby Toby pozwolił sobie choć na moment spuścić go z oczu. Bree chciałyby zabronić dziecku przyjąć prezent, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Podstęp Mike'a skutecznie to uniemożliwił

- To dla mnie? - spytał Toby cichutkim, niepewnym głosem. Nie potrafił nawet pojąć, że mogłoby mu się przytrafić coś tak cudownego.

Bree zamrugnęła, hamując łzy. Toby dostał prezent, który powinien być czymś normalnym. A na który jej nie było stać.

Gdy Toby wyciągnął rękę, by dotknąć kierownicy, Bree zrozumiała coś, co dla Toby'ego było niedostępne. Rower nie został

ofiarowany z życzliwości, ale jako narzędzie, by Mike wkupił się tam, gdzie nie był mile widziany. To samo robił, kiedy byli dziećmi. Pojawiał się z torbami skittlesów i cytrynowych dropów - to były bilety wstępu do grupy, która chciała go wykluczyć.

- Całkiem nowy - powiedział Mike. - Zobaczyłem go wczoraj na ładzie i pomyślałem sobie, że znam kogoś, komu przydałby się taki fantastyczny rower. Przyszło mi do głowy tylko jedno imię.

- Moje - powiedział Toby z długim, cichutkim westchnieniem. Miał półotwarte usta i wbijał wzrok w rower tak intensywnie, jakby nic poza nim nie istniało. Wyglądał zupełnie jak David, gdy działo się coś, co uważał za wspaniałe. Bree poczuła ukłucie bólu wywołanego wspomnieniem.

Mike wyciągnął kilka narzędzi z bagażnika, po czym przez chwilę pracował ramię w ramię z Tobym - jak mężczyzna z mężczyzną - by ustawić właściwą wysokość siodełka. Bree była tak wściekła, że zrobiło jej się niedobrze. To ona chciała podarować rower synowi Davida. To ona chciała być tą, przy której świat Toby'ego stawał się jaśniejszy. Jej miejsce ukradł mistrz manipulacji, zlany wodą kolońską, wystrojony w ciuchy od projektantów i epatujący czarem tłustych włosów.

Toby wsiadł na rower. Gdy odnalazł stopą pedały, Mike pokazał mu podjazd.

- Jest już zbyt ciemno, żeby pojeździć po głównych drogach. Rozgrzej go trochę na podjeździe, a potem może wypróbuj na ścieżce w lesie.

- Dzięki, Mike! Bardzo dziękuję! - Toby wystartował.

Mike nadal nie przyjął do wiadomości obecności Lucy. Dopiero, gdy zatrzasnął tylną klapę, popatrzył w jej kierunku. Odwróciła się i wsadziła ostatni słoik do kartonu.

- Tobie też coś kupiłem, Bree - powiedział z za jej pleców. - Coś, co pomoże ci w interesach.

Niczego od ciebie nie chcę. - Chwytiła uchwyt tacek i zaczęła je pchać przez zarośnięty krzakami teren. Chciała naprawić drzwi w schowku za stanowiskiem, żeby nie musieć wszystkiego przywozić i odwozić.

- Nie wiesz nawet co to.
- I nie jestem zainteresowana. - Przednie koło utknęło w dziurze, słoiki z miodem zagrzechotały i Bree z trudem utrzymała taczkę.
- Nie wierzysz w dawanie drugiej szansy, co?  
Jako dzieciak zawsze z płaczem uciekał przed wyzwaniem, ale teraz w jego głosie brzmiał spokój, który nie spodobał się Bree.
- Wierzę, że ludzie się nie zmieniają. - Z trudem wydobyła koło z wykrotu. - Przestań wykorzystywać Toby'ego, żeby do mnie dotrzeć.  
Przesunął ją, chwycił rączki taczek i poprowadził je na podjazd.
- Myra powiedziała, że twój były mąż zostawił cię dla osiemnastolatki.  
Bratnia dusza Scotta podobno miała dziewiętnaście lat, ale taka poprawka raczej nie pomogłaby Bree ocalić twarzy.
- Tak się właśnie dzieje, kiedy wychodzi się za niewłaściwego mężczyznę - powiedziała.  
Zatrzymała taczkę.
- Ty chyba nie wierzysz ciągle, że David był tym właściwym? Mike dostrzegał teraz o wiele więcej i to rozgniewało Bree.
- Nie zamierzam rozmawiać z tobą o Davidzie.
- Nie ożeniłby się z tobą. Nigdy. Onieśmielałaś go.  
Mike mógł zmienić powierzchowność, ale wciąż był równie tępy. David, błyskotliwie inteligentny i bezgranicznie pewny siebie, nie dawał się onieśmielać nikomu, a już na pewno nie takiej przeciętnej dziewczynie jak Bree.
- Biała dziewczyna z elity i dzieciak z getta... - Mike wsunął kciuk pod złotą bransoletkę na nadgarstku. Albo zapomniał spryskać się wodą kolońską, albo potraktował poważnie jej zastrzeżenia, bo pachniał tylko miętową gumą. - David był tobą zafascynowany, ale nic poza tym.  
Aż ją ręka swędziała, żeby przyłożyć mu w twarz.
- Przestań udawać, że go znałeś.
- A myślisz, że z kim rozmawiał, kiedy ożenił się ze Star i zamieszkał na wyspie?

- Naprawdę mam uwierzyć, że zaprzyjaźnił się akurat z tobą? Po tym, co zrobiłeś?

- Życie przeszłością nigdy nie jest dobrym pomysłem - odparł Mike ze współczuciem, które akurat w tej chwili nie wydawało się Bree szczerze. - Przez to sprawy wydają się trudniejsze niż są. Mogę ci pomóc.

- Jest tylko jeden sposób, w jaki możesz mi pomóc. Daj mi spokój. - Porzuciła taczki i ruszyła w stronę domu.

- Ledwo się trzymasz - powiedział, nie podnosząc głosu. - Co zrobisz, kiedy turyści wyjadą?

- Ucieknę z wyspy, tak jak wszyscy.

- I dokąd pójdziesz?

Donikąd. Bracia ją kochali, ale nie chcieli, żeby u nich mieszkała, nawet sama, a co dopiero z dwunastoletnim chłopcem. Nie miała dokąd iść i Mike w jakiś sposób się o tym dowiedział.

Słyszała, że podchodzi bliżej; jego krok był o wiele równiejszy niż jej niepewne, szybkie i wściekłe kroczki.

- Będziesz potrzebowała przyjaciela - powiedział, gdy dotarł do pierwszego schodka. - Myra umarła. David i Star nie żyją. A ciebie nie otacza tłum przyjaciół.

Na pewno nie takich, na których mogłaby liczyć. Gdy Scott ją zostawił, tak zwane wsparcie przyjaciół ograniczyło się do słabo maskowanych prób wydobywania z niej wszystkich pikantnych szczegółów. Odwróciła się na pięcie.

- Mam nadzieję, że rozkoszujesz się zemstą. Masz pieniądze i udaną firmę. Ja nie. Na pewno bardzo się cieszysz.

Zrobił poważną minę.

- Czy ty cieszyłabyś się, gdybyś widziała, że ktoś, kto był ci kiedyś bliski, wpadł w kłopoty?

Pomyślała o Davidzie i Star, o tym jak ją skrzywdzili, jak bardzo ich nienawidziła i jak bardzo za nimi tęskniła. Odepchnęła te obrazy i skupiła się na Scotcie i jego dziewiętnastoletniej lasce.

- Jeszcze jak.

Mike roześmiał się, co zaskoczyło Bree.

- Możesz się nie przyznawać, ale wiem, że mnie potrzebujesz, więc powinnaś zachowywać się chociaż trochę przyjaźniej. W niedzielę podwiozę was do kościoła, na dziewiątą trzydzieści.

- Do kościoła?

- To najlepsze miejsce, żebyś wróciła do miejscowego towarzystwa. Ustalmy kilka zasad. Nie obrażaj mnie publicznie. - Niezłomność widoczna w tępych oczach Mike'a wystraszyła Bree. - I nie wyśmiewaj się z nikogo spośród zgromadzonych, choćby zaczęli mówić językami. A jeśli pojawi się Ned Blakely ze swoim wężem i zacznie cytować Biblię, masz być dla niego uprzejma. Tutejszy kościół to nie parafia Bloomfield Hills. Jesteśmy na wyspie Charity, tu ludzie wierzą całym sercami.

Mówić językami? Z wężem?

Mike uśmiechnął się, nie krzywo, niezgrabnie, jak kiedyś. Szczerze i szeroko. Jej kosztem.

- Muszę oddać ten wóz Hankowi Jenkinsowi. Do zobaczenia w niedzielę. A, i jeśli postanowisz nie iść, poinformuję wszystkich, że chcesz być zostawiona samej sobie.

- Chcę - odparła z naciskiem.

- Jesteś pewna? - Wciąż uśmiechał się pogodnie. - Zimy są długie, a ludzie mogą liczyć tylko na siebie nawzajem, jeśli wjadą do rowu albo zabraknie im oleju na opał. Albo jeśli rozchoruje im się dziecko, na przykład taki chłopiec jak Toby, i trzeba będzie błyskawicznie zawieźć je na ład. - Potarł podbródek. - Więc uważaj na to, o czym marzysz.

Szantaż.

Gdy odchodził, chciała coś za nim rzucić, ale ciskanie przedmiotami i wrzaski nie były w jej stylu. W ogóle nie miała stylu, ani jako przeciętna studentka, ani jako wierna fanka Scotta.

Po odjeździe Mike'a wróciła po taczki i materiał, którym wyłożyła wystawę. Dopiero wtedy zauważyła prezent, który dla niej zostawił i który miał jej pomóc w prowadzeniu firmy. Tym razem nie były to skittelsy ani cytrynowe dropsy. Mike Moody przeszedł do innej ligi. Przekupywał za pomocą nowych notebooków firmy Apple.

## Rozdział 13

Lucy OWINEŁA SIĘ w PASIE RĘCZNIKIEM przedstawiającym Wojownicze Żółwie Nina, po czym wyszła spod prysznicza urządzonego w ogrodzie. Pływała w jeziorze, ale woda była wciąż zbyt zimna, żeby zostać w niej dłużej. Gdy zamykała za sobą drewniane drzwi, na schodkach prowadzących z werandy pojawił się Panda. Miał przepononą koszulkę i mokre włosy, co świadczyło o tym, że właśnie skończył kolejny trening z Temple.

- Chcę moją sypialnię - powiedział, patrząc na jej mokre ramiona i niedostatecznie wypełnioną górę od taniego, czarnego kostiumu.

Podciągnęła ręcznik do wysokości pach.

- Masz pilnować Temple. Musisz być blisko niej.

- Temple śpi jak kłoda, a jej żarcie zostało zamknięte. - Zbliżył się, wychodząc z cienia na słońce. - Na górze są trzy puste sypialnie. Wybierz sobie, którą chcesz. Kurwa, możesz spać we wszystkich naraz, jeśli sobie życzysz.

Sprawiedliwość leżała po jego stronie, a Lucy zawsze wierzyła w fair play. Ale nie w tym przypadku.

- Teraz to mój pokój i nie zamierzam go oddać.

- Czyżby? - Pochylił się, owiewając ją zapachem męskiego potu i samczej złości. - Wyrzucenie cię raczej nie przysporzy mi trudności. Pamiętaj, że jestem większy, silniejszy i nie mam żadnych skrpułów.

Nie była to do końca prawda, ale też od niej specjalnie nie odbiegł. Lucy nie spodobał się nerwowy skurcz w jej własnym żołądku. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Mógłbyś to zrobić... ale wtedy musiałbyś się wytłumaczyć Temple.

Wciąż miał bardzo mroczną minę, ale teraz wkradła się tam odrobina... żałości?

- Na łóżku jest nowy materac.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. - Materac był boski. Nie za miękki, nie za twardy, miał też nowe, mięciutkie okrycie i sta-

nowił dla Lucy drugi argument tuż po prywatnym wyjściu. - Zdaje się, że to jedyna część wyposażenia domu, której nie zaniedbałeś.

Wściekłe spojrzenie Pandy nie było do końca autentyczne.

- Jeśli muszę oddać ci sypialnię, chcę coś w zamian. - Zawiesił wzrok na odsłoniętym obojczyku Lucy. - Co oferujesz?

A co mogła?

- Doradztwo w kwestii dekoracji wnętrz.

- Zapomnij.

- Lśniące okna.

- Jakby mi to robiło różnicę.

Pomyślała intensywnie aż nagle... Bingo!

- Chleb.

Minęło kilka sekund. Rozluźnił się, przechylił głowę.

- Słucham cię.

- Jeśli jutro po południu zatrzymasz Temple przy zatoce na co najmniej godzinę, kiedy wrócisz, za roślinami na ganku będzie ukryty bochenek.

Rozważał to przez chwilę.

- Wyczuje zapach, ledwo przejdzie przez próg.

- Zapalę świeczki. Będę piekła przy otwartych oknach. Popsikam odświeżaczem. Zresztą, co ci zależy?

- Myślisz, że jesteś w stanie to zrobić?

- Wiem, że tak.

- Dobra. Ty zatrzymujesz pokój, ja dostaję świeży chleb, kiedy tylko będę chciał. - Odwrócił się i zszedł do wody.

Dopiero gdy znikł, Lucy zaczęła mieć wątpliwości. Nikt nie wiedział lepiej od niej, jak poważnie Panda traktował swoją pracę. Czy naprawdę zostawiłby Temple samą na piętrze na całą noc tylko dla dobrego materaca? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że pogróżki Pandy nie miały wiele wspólnego z kwestią sypialni, za to więcej z kwestią pieczenia chleba. Najwyraźniej nie ona jedna cierpiała z braku jedzenia. Wściekła wkroczyła do domu.

Zastawił pułapkę, a ona w nią wpadła.

Panda wynurzył się na powierzchnię, po czym znów zanurkował. Kiedy właściwie miał zamiar przeprosić za to, co powiedział

Lucy tamtego wieczoru? Jakby prześladowało go mało wyrzutów sumienia. Te słowa stały się jak natrętna mucha, od której nie potrafił się uwolnić. „Nie byłeś zbyt dobra”. Musiał ją przeprosić, ale już czuł, że przestał się dostatecznie pilnować, a gdyby przeprosił, atmosfera między nim a Lucy mogłaby się nadmiernie ocieplić. Nie chciał tego. Bądź najlepszy w tym, w czym jesteś dobry.

Popłynął z powrotem do przystani. Był głodny, niech to szlag. Nie znosił pracować jako stróż Temple. Dlatego bezustannie czuł, że nie panuje nad tą rozrywką - nie potrafił się skupić na jednym celu, odezwała się też stara żądza alkoholu, która zaczynała go pożerać. Chleb Lucy mógł to wszystko naprawić. Mając w żołądku prawdziwe jedzenie, byłby w stanie utrzymać się na powierzchni. Nie widział końca pracy z Temple. A co gorsza czuł, że tak naprawdę powinien zajmować się dziewczyną z fałszywym tatuażem.

Głód. To był jego problem.

Niezależnie od tego, czy dała się zrobić, czy nie, i tak musiała upiec ten chleb. Gdy następnego ranka skończyła jeść jajko od kury z wolnego wybiegu oraz kromkę orkiszowo-lnianego chleba z kwasami omega-3, który smakował jak piasek na plaży, Panda wpuścił ją do spiżarki, żeby mogła wziąć potrzebne produkty.

- Nie sądz, że nie przejrzałam tego małego podstępu, Patricku - powiedziała, wychodząc.

- Jak zwykle nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Sięgnął obok piaskowego chleba w kierunku paczuski malutkich, odtłuszczonych, pełnoziarnistych tortilli, ale rozmyślił się, odsunął tortille i zdecydował się na więcej kawy. Zaniósł ją na górę.

Gdy on i Temple byli zajęci porannym treningiem, Lucy mieszała i ugniatała. Gdy ciasto w końcu stało się elastyczne, odstawiła je do wyrośnięcia w natłuszczonej misce przykryte czystą ściereczką. Ukryła je na kredensie.

Chciała kupić w mieście kilka takich roślin na ganek, których nie przewiozłaby w plecaku, więc zakradła się na górę do sypialni, którą wybrał Panda i zwędziła mu kluczyki od samochodu. Gdy szła do auta, dogoniła ją Temple. Miała zaczerwienioną z wysiłku twarz i plamy z potu na szarym topie. Nie była



umalowana, ale mając oczy o kształcie migdałów i wyraziste kości policzkowe, nie potrzebowała wiele upiększania.

- Czy zechciałabyś kupić dla mnie kilka rzeczy? - spytała. - Zapomniałam wziąć cząek do paznokci i potrzebuję zmywacza. I jeszcze, jeśli wyszło już nowe „Women's Health”, to także bym chciała, dobrze?

- Jasne.

Temple podała Lucy wilgotną dwudziestodolarówkę, którą miała w dłoni.

- Pewnie jest tam jakaś piekarnia albo kawiarnia? - Chociaż mówiła przyciszonym głosem, i tak brzmiała apodyktycznie.

- Pod Malowaną Żabą.

- Kup mi czekoladową muffinkę. - Bez niedomówień. - Albo brownie z lukrem, jeśli będzie dobrze wyglądać. Coś słodkiego, żebym nie czuła, że wszystkiego sobie odmawiam. - Była nieznosnie wyniosła, koszmarnie arogancka, ale przy tym taka smutna. - Deprywacja to największy wróg poważnego odchudzania.

To nie Lucy miała tu pełnić funkcję szefa policji dietetycznej, więc po prostu wsadziła banknot do kieszeni. Akurat zgadzała się w tej kwestii. Chociaż sama nigdy nie była niewolnicą słodkiego nałogu, teraz, gdy nie miała szans sięgnąć po cukier w żadnej postaci, nie mogła przestać o nim myśleć.

Suv Pandy nadal pachniał nowością. Gdy wyjeżdżała, nagle złapała się na tym, że zerka na schowek na rękawiczki. Mijając miodowy kram, pomachała do Bree, po czym znów łypnęła na schowek. Zakazała sobie myszkować po cudzych rzeczach.

Ciastka pod Malowaną Żabą stały w szklanej gablocie jak wytworne kapelusze. Cztery rodzaje muffinek o puszystych, pocukrowanych zwieńczeniach, lśniące cytrynowe batoniki przycupnięte na białych serwetkach, babeczki we frymuśnych papierkach, ozdobione fantazyjnymi, lukrowanymi wzorami. Lucy wybrała gęstą, ale niezbyt dużą czekoladową muffinkę dla Temple, po czym zdecydowała się na brownie z karmelem i laskowymi orzechami. Nigdy nie przepadała za donatami, ale nagle musiała zjeść jednego z bawarskim kremem. W ostatniej chwili dorzuciła jeszcze kilka ogromnych czekoladowych ciastek dla Bree i Toby'ego.

Skończyła zakupy, co jakiś czas zatrzymując się na kęs brownie albo paczka, po czym zrobiła szybki wypad do Dog'N'Malts na frytki. Kto mógł wiedzieć, kiedy następnym razem będzie miała okazję wymknąć się po jedzenie?

Toby oszalał z radości na widok ciastek, a Bree była tak wzruszona, że Lucy aż poczuła się zażenowana. Wzięła słoik miodu i ruszyła w stronę domu, ale zanim dotarła na miejsce, samochód sam zjechał jej na pobocze, zupełnie jakby miał własną wolę.

Wbiła wzrok w schowek na rękawiczki. Co zrobiłby Ted? Jej doskonały były narzeczony nigdy nikogo w żaden sposób nie szpiegował, więc Lucy musiała wyobrazić sobie Meg i odeknęła drzwiczki.

Spodziewała się znaleźć tam naładowaną broń, a w najgorszym razie paczkę prezerwatyw i jakieś porzucone, czerwone stringi. A tymczasem znalazła podręcznik użytkownika, ciśnieniomierz i dowód rejestracyjny wystawiony przez stan Illinois dla niejakiego Patricka Shade'a, zameldowanego w Cook County, zamieszkałego w Chicago w Lake Shore Drive.

Lucy zaniósła świeżo zakupione rośliny na ganek, po czym weszła do sypialni przez rozsuwane drzwi i ukryła torebkę z muffinką dla złej królowej pod umywalką w łazience. Temple sama musiała znaleźć sposób, by przechwycić kontrabandę. Szybko zagniotła jeszcze raz ciasto, po czym uformowała bochny, wsadziła je do foremek i odstawiła do kredensu, żeby jeszcze trochę wyrosły. A potem zeszła na przystań i wzięła kajak. Panda nie puszczał Temple na wodę samej, więc dostarczono drugi.

Gdy wróciła, Temple i Panda siedzieli przy monstrualnym stole, jedząc lunch, który sprawiał im prawdopodobnie niewiele więcej przyjemności niż oczyszczanie jelit. Ich identyczne talerze zawierały skape porcje pochodzące z pojemników z mrożoną żywnością, które teraz stały na blacie. Panda gmerał widelcem w mikroskopijnym kawałku suchego łososia. W szklance wody Temple pływał skrawek cytryny. Temple podniosła do ust serwetkę, którą wydobyła nie wiadomo skąd, po czym przytknęła ją do kącików.

- Uważam, że to ważne, by jedzenie apetycznie wyglądało - powiedziała.

- Nic nie może wyglądać apetycznie, kiedy stół ma barwę zielonych wymiocin - wypaliła Lucy.

- Stół zostaje - oświadczył Panda.

- Twoja strata. - Poszła do sypialni i wróciła z tymi zakupami Temple, które były dozwolone. Panda wyrwał jej torbę, zanim Temple zdążyła jej dotknąć. Pogrzebał dokładnie, po czym, upewniwszy się, że zawiera wyłącznie czasopisma i obcinacz do paznokci - żadnych niedozwolonych substancji, bo te kryły się pod umywalką Lucy - oddał ją klientce.

Zła królowa popatrzyła na niego swoim cesarskim wzrokiem.

- Naprawdę, Panda... Nie sądzisz, że to troszkę obraźliwe wobec Lucy?

- Możliwe. Nic mnie to nie obchodzi.

Lucy prychnęła.

Temple odstawiła worek.

- Szczerze, czemu wy po prostu nie pójdziecie do łóżka i nie załatwicie raz a dobrze?

Widelec z gotowanymi brokułami, który Panda właśnie niósł do ust, zawisł w powietrzu. Lucy omal się nie zadławiła. Panda pierwszy wrócił do siebie.

- Bredzisz.

- Czyżby? - Temple podparła się łokciem i postukała palcami o podbródek. - Zbudowałam karierę na tym, jak czytam ludzi, a chemia między wami jest tak intensywna, że to aż niezręczne.

- To twoja wyobraźnia - powiedział Panda. - To co wyczuwasz, to wrogość. Między dwójgim osób o bardzo różnych podejściach do świata. Jedno z nas jest twardo stąpającym po ziemi realistą. Drugie nie.

Takich bzdur Lucy nie mogła znieść.

- Poszliśmy raz do łóżka, Temple. I było średnio.

- Wiedziałam! - Temple prychnęła triumfalnie. - Jest typowym egoistycznym kochankiem, prawda? Interesuje go tylko jego przyjemność?

- Nie jestem taki!

- Okropnie egoistyczny - potwierdziła Lucy. - Nie zdążyłam się obejrzeć i już było po wszystkim. Raz stanowczo mi wystarczył.

Talerz Pandy zagrzechotał głośno, gdy wylądował na nim upuszczony widelec.

Temple nie zwracała na niego uwagi.

- To dziwne. W czasie treningów wykazuje się niesamowitą energią. Może...

- Dość tego. - Zerwał się zza stołu. - Stanowczo wystarczy. Koniec dyskusji.

Gdy ruszył w stronę tylnych drzwi, Lucy zajęła opuszczone przez niego miejsce.

- Nie jestem pewna, czy sprawność na treningach przekłada się na osiągnięcia w sypialni.

- Powinna - powiedziała Temple. - To krążenie.

Panda wyszedł, trzaskając drzwiami, po czym podłoga ganku zawibrowała od szeregu brutalnych uderzeń jego stóp. Temple zniżyła głos do natarczywego szeptu.

- Kupiłeś mi tę muffinkę?

- Jest w torebce pod umywalką w mojej łazience.

- Jaka to?

- Czekoladowa.

- Doskonale. - Temple zerknęła na Pandę za oknem, oceniając, jak daleko znalazł się od budynku. - Naprawdę był złym kochankiem?

- Chyba nie. - Lucy odepchnęła talerz z prawie nietkniętym obiadem Pandy. - Powiedział, że to moja wina. Że ja nie byłam zbyt dobra.

Temple uniosła ciemne brwi.

- Naprawdę tak ci powiedział?

Lucy przytaknęła.

- Ciekawe. Może powinniście spróbować jeszcze raz?

- Poważnie?

W kocich oczach Temple błysnęło zamyślenie.

- Panda to fascynujący mężczyzna. Przyznaję się, kiedy go poznałam, wysłałam kilka sygnałów, ale zupełnie je zignorował. A potem poznałam kogoś innego... - Nachmurzyła się. - To była katastrofa. Powinnam była postarać się lepiej z Pandą.

Lucy zaczęła się zastanawiać, czy ta katastrofa nie była przyczyną kłopotów z wagą.

Temple wyrzała za okno jeszcze raz, po czym wstała.

- Idę dopaść tę muffinkę. Jeśli wróci do środka, zajmij go czymś.

- Niby jak?

- Rozbierz się.

- Sama się rozbierz - odparowała Lucy.

Ale nikt nie zdejmował żadnych ubrań, bo do kuchni wrócił Panda.

- Jeśli skończyście babskie pogaduszki, to może wrócimy do pracy - powiedział złośliwym tonem z korytarza. - A może sądzisz, że tłuszcz sam sobie spłynie?

- Dupek. - Temple popatrzyła z urazą w stronę sypialni Lucy, po czym poszła za Pandą nad zatokę.

Czekając, aż chleb się upiecze, Lucy patrzyła na Temple i Pandę na kajakach. W przeciwieństwie do Lucy, Temple rozmyślnie kierowała łódkę pod prąd. Panda wiosłował w pobliżu, chroniąc klientkę przed potencjalnym atakiem bandy piratów.

Po wszystkich tych pączkach i frytkach Lucy nie była głodna, ale nie mogła się powstrzymać przed odcięciem piętki ze świeżo upieczonego owsianego chleba. Pokropiła ją miodem od Bree. Oba bochny ukryła na ganku, za nowymi roślinami. Panda musiał sam wymyślić kryjówkę, jeśli chciał schować swój chleb gdzie indziej.

Piekła przy otwartych oknach, a resztę zapachu zamaskowała, stapiając plastikową pokrywkę nad palnikiem. Gdy Temple wróciła, była tak pochłonięta myślami o muffince ukrytej w łazience Lucy, że nie zauważyła nawet toksycznych oparów. Panda jednak zwrócił uwagę i rzucił Lucy spojrzenie, które wyraźnie sugerowało, że stać ją było na coś lepszego. Potem skupił wzrok na porcelanowej świni, którą wydobyła z garażu i ustawiła na lodowce. Jego spojrzenie przyciągnęła fachowa pętla wokół szyi świnki - Lucy nauczyła się węzłów od Andre, ale gdyby Panda o to pytał, zamierzała wspomnieć o obozach przetrwania.

Nie zapytał.

Temple ściągnęła czapkę i rozprostowała ramiona.

- Idę na górę, zdrzemnę się. Obudź mnie za godzinę.

- Świetny pomysł. - Panda tak samo nie mógł się doczekać swojego chleba, jak Temple muffinki.

Temple udała, że rozmasowuje skurcz w szyi.

- Lucy, czy mogę pożyczyć to pisemko, które dziś czytałaś? Nie ma nic lepszego od plotek na dobry sen.

- Jasne. - Lucy nie miała żadnego pisemka z plotkami. Miała natomiast ukrytą czekoladową muffinkę i nie czuła się winna z tego powodu. Jedno małe ciastko nie zabiłoby Temple, a zła królowa potrzebowała nagrody za te wszystkie tortury, przez które przechodziła.

Gdy Temple wyruszyła do sypialni Lucy, Panda skierował się na ganek. Lucy było trochę niedobrze po wszystkim, co zjadła, więc zaczęła masować sobie brzuch.

- Ty draniu! - pisnęła Temple.

Ups! Krzyk dobiegał z sypialni. Lucy wytknęła głowę przez tylne drzwi. Pandy nie było już na ganku. Wykręciła głowę w stronę tarasu. Rozsuwane drzwi do jej sypialni zostały otwarte.

Nadszedł czas, by zniknąć im z oczu.

- Lucy!

Na dźwięk złowieszczego ryku Pandy Lucy szybko przeanalizowała, jakie ma możliwości. Uciekać samochodem czy kajakiem?

Wybrała samochód, ale zanim zdążyła dotrzeć do drzwi, Panda już szarżował w jej kierunku, z Temple u boku.

- Czy to miał być dowcip? Sabotujesz jej wysiłki i to z rozmysłem. Nie rozumiesz? Tu chodzi o jej całą karierę!

- Naprawdę nieładnie zrobiłaś, Lucy - powiedziała z oburzeniem zła królowa. - Myślałam, że rozumiesz, jak bardzo potrzebuję wsparcia. Najwyraźniej nie mogę na nie liczyć od ciebie. - Uniosła głowę i, tupiąc, weszła na górę.

Lucy popatrzyła za nią szeroko otwartymi oczami, po czym już chciała dać ujście emocjom, kiedy Panda podniósł rękę.

- Nie teraz. Jestem za bardzo wkurzony na ciebie. - Poszedł na ganek.

Nie zamierzała tego znosić. Ruszyła za nim.

Zdążył już znaleźć chleb. Przeszła przez ganek dudniącym krokiem.

- Jeśli myślisz, że choć przez chwilę...  
- O cholera... - Jego głos brzmiał tak, jakby się modlił. -  
Jeszcze ciepły.

Lucy patrzyła, jak Panda wyjmuje bochen z za roślin. Zauważył brak piętki, ale nie wydawało się, że mu to przeszkadza... Chyba nic nie było w stanie naruszyć jego błogostanu, łącznie z przeschmuglowaną muffinką.

- Pewnie nie masz przy sobie noża... A zresztą... - Oderwał kawałek i zatopił w nim zęby.

- O rany boskie, Lucy... - przełknął. - Szczerze, to najlepsze, co jadłem w tym tygodniu.

- Być może. Nie zamierzam pozwolić...

- Musimy znaleźć lepszą kryjówkę.

Oparła ręce na biodrach.

- Raczej nie pod moją umywalką!

- Może biurko w norze? Patrz na drzwi. Upewnij się, że nie zmieni zdania i nie wróci na dół. - Ugryzł kolejny kęs. - I nie daj się znowu przekabacić.

Wyrzuciła ręce w górę.

- Jesteście siebie warci. - Zamyśliła się. - Co zrobiłeś z muffinką?

- Zjadłem na jej oczach, tak jak ostrzegałem. Musiałem ją połknąć tak szybko, że nie zdążyłem nawet nacieszyć się smakiem.

To by tłumaczyło smugę czekolady w kącikach jego ust.

- Wiesz, że ta jej dieta to wariactwo - powiedziała Lucy.

- Mam nadzieję, że sama do tego dojdzie, ale na razie mam pracę do wykonania. - Oderwał sobie jeszcze jeden kawałek chleba. - Będę musiał cię przeszukiwać.

- Przeszukiwać?

- To nie jest nic osobistego.

Nic osobistego, zupełnie nic!

## Rozdział 14

Nie **ROZUMEM CZEMU MUSIMY** iść **DO KOŚCIOŁA** - powiedział Toby.

- Może spytasz o to swojego najlepszego przyjaciela, Dużego Mike'a? - Bree wiedziała, że to małostkowe, ale nie potrafiła się powstrzymać. Wsunęła ostatnią parę butów na wysokich obcasach, która jej pozostała - były to brązowe sandały na szpilce, w których dorównywała wzrostem Mike'owi. Dodatkową zaletę butów stanowił fakt, że w razie czego mogła nimi przywoździć do podłogi węże, jeśli jakieś uciekłyby w trakcie nabożeństwa.

Przez ostatnie pięć dni usiłowała wymyślić sposób, żeby rozwiązać jakoś całą tę sytuację, ale Mike zepchnął ją do narożnika. Dopóki była odpowiedzialna za Toby'ego, nie mogła pozwolić sobie na to, by Mike odsunął od niej całą społeczność. Nie wątpiła, że potrafiłyby to zrobić. Wyglądał jak duży i silny mężczyzna, ale wewnątrz był małostkowym chłopcem, który latami manipulował ludźmi, żeby wymusić na nich to, czego chciał.

- Musimy iść do kościoła, bo jesteś taka niemiła dla Dużego Mike'a - powiedział Toby. - Pewnie myśli, że pójdziesz do piekła.

Już tam jestem.

Dokładnie w tym momencie na podjeździe zjawił się czerwony cadillac Mike'a. Bree nadal nie potrafiła znaleźć sposobu, by przestrzec Toby'ego.

- Mike jest dla ciebie mity - zaczęła ostrożnie. - Ale... czasem ludzie nie są tacy, jacy się wydają.

Popatrzył na nią tak, jakby właśnie uznał ją za oficjalnie najgłupszą osobę na ziemi, po czym ruszył biegiem do drzwi, aż zafurkotał luźny tył koszuli. No to tyle, jeśli chodzi o dobre chęci.

Związała włosy w modny, nieporządny ogon i wrzuciła na siebie jedną z nielicznych sukienek, których nie oddała do komisu, obcisłą, karmelową i bez rękawów. Dobrała do niej duże kolczyki koła. Nadal czuła się naga bez ulubionych bransoletek na rękach. Miesiąc wcześniej sprzedała całą przyzwoitą biżuterię, łącznie z dwukaratowym pierścionkiem zaręczynowym. Co do obrączki... tego samego wieczoru, kiedy Scott ją rzucił, pojecha-



ła do klubu golfowego i cisnęła ją do stawu przy osiemnastym dołku.

Mike wyskoczył z samochodu, żeby przytrzymać jej drzwi. Podała mu laptop, który jej podarował.

- Dziękuję - powiedziała sztywno. - Jestem pewna, że zrobisz z niego lepszy użytek.

Toby wgramolił się na tylne siedzenie. Wnętrze auta pachniało dobrą skórą i dało się wyczuć tylko skromną nutkę perfum Mike'a. Bree uchyliła okno, żeby wpuścić świeże powietrze.

Mike bez komentarza odłożył komputer na tylne siedzenie. Jeszcze zanim wyjechali na główną drogę, Toby zaczął trajkotać na temat swojego roweru.

- Może pojedziesz nim w paradzie Czwartego Lipca? - wtrącił Mike, gdy Toby w końcu urwał, żeby zaczerpnąć oddechu.

- Mogę? - spytał Toby. Mike'a, nie ją.

- Jasne. - Mike zerknął na Bree. - Wczoraj skończyliśmy pracę nad moją platformą. W tym roku tematem jest wyspa w słońcu.

- Chwytiliwie. - Bree uwielbiała kiedyś tę paradę, która rozpoczynała kolejne magiczne lato na wyspie.

- Zawsze mam największą platformę - przechwalał się Mike. - Może ty też byś pojechała z nami?

- Nie, dziękuję.

Mike pokręcił głową i uśmiechnął się. Nie zrobił żadnych postępów w odczytywaniu subtelnych sygnałów.

- Pamiętasz ten rok, kiedy razem ze Star wkręciliście się na platformę rotarian? Star spadła i Nate Morris omal jej nie przejechał traktorem.

Bree i Star zaśmiewały się wtedy tak, że omal nie zmoczyły majtek.

- Nie, nie pamiętam.

- Musisz pamiętać. Star zawsze wymyślała jakieś sposoby, żebyście dostały się na platformę.

I zawsze jej się udawało. Jeździły na platformach Dog'N'Malts, sklepu z krówkami Maggie, Rycerzami Columbusa i starego grilla, który został spalony. Raz nawet Star zdobyła dla nich miejsce u skautów.

- Babcia mówiła, że moja mama była nic niewarta - dorzucił Toby z tylnego siedzenia. Wygłosił to tak neutralnym, rzeczowym tonem, że Bree była zdziwiona, ale pan Handlowiec potrafił znaleźć odpowiedź na wszystko.

- Babcia mówiła tak ze smutku. Twoja mama nie umiała znaleźć sobie miejsca i czasem zachowywała się niedojrzale. Ale nie była nic niewarta.

Toby kopnął w tył krzesła, ale bez szczególnego jadu.

- Nienawidzę jej.

Antypatia, jaką Toby żywił wobec matki, była niepokojąca - chociaż Bree czuła to samo. Chociaż właściwie ostatnio jej gniew na Star zaczął przypominać ostatnie ciosy przechodzonego kataru, już nie atak grypy.

Mike znów zainterweniował.

- Nie znałeś mamy, Toby. Jasne, że miała wady, jak my wszyscy, ale więcej było w niej dobrych cech.

- I dlatego uciekła ode mnie, babci i taty?

- Cierpiała na coś, co nazywa się depresją poporodową. Niektóre kobiety chorują na nią po urodzeniu dziecka. Jestem pewien, że nie zamierzała zostawiać cię na długo.

Myra nigdy nic nie mówiła o depresji poporodowej. Powiedziała tylko, że Star nie mogła znieść zamknięcia z dzieckiem w domu i uciekła, żeby móc pohulać.

Gdy dotarli do miasta, Bree miała nadzieję, że temat Star jest już zamknięty, ale gadatliwy Mike nie mógł zostawić go w spokoju.

- Twoja mama i Bree były najlepszymi przyjaciółkami. Jestem pewien, że Bree opowie ci wiele dobrych rzeczy o twojej mamie.

Bree zeszywniała.

- Na pewno nie umie - parsknął Toby.

Musiła coś powiedzieć. Cokolwiek. Zmusiła szczękę do ruchu.

- Twoja matka była... bardzo piękna. Wszystkie chciałyśmy wyglądać tak jak ona.

- To prawda. - Spojrzenie, jakie rzucił jej Mike, pełne było nieskrywanej dezaprobaty. Mike Moody, mistrz etycznego za-

chowania, osądzał ją za to, że nie udało jej się wymyślić czegoś bardziej znaczącego. Toby chyba nie zwrócił na to uwagi.

Dotarli do kościoła. Episkopalnego. Największego, najbardziej szanowanego zgromadzenia religijnego na wyspie Charity.

Bree popatrzyła na Mike'a.

- Węże i mówienie w językach?

Uśmiechnął się.

- Może się zdarzyć.

Zażartował sobie z niej. Mimo wszystko zaczynała się trochę rozluźniać.

Bree jako dziecko chodziła na nabożeństwa do metodystów, ale zorganizowana religia z wszystkimi swoimi nierozwiązywalnymi problemami w końcu zaczęła za bardzo jej ciążyć. Niedługo po ślubie zupełnie przestała w niej uczestniczyć. Mike znalazł miejsca z boku, pod witrażem przedstawiającym Jezusa błogosławiącego.

Gdy rozpoznała znajomy rytm uroczystości, poprawił jej się humor. Przynajmniej na razie nie miała przed sobą żadnych uli, pomidorów do podlania ani chwastów do wyrwania. Nie było klientów, których musiałaby oczarowywać, ani małego, wiecznie rozczarowanego chłopca. Świadomość, że nie jest sama na planecie, że istnieje coś potężniejszego, co nad nią czuwa, dawała jej kruche pocieszenie.

Od czasu do czasu wielkie, mięsiste ramię Mike'a w granatowej marynarce ocierało się o jej ramię. Jak długo nie spoglądała na jego złotą bransoletkę i uniwersytecki pierścień, mogła udawać, że jest kimś innym - solidnym, godnym zaufania mężczyzną o stabilnej hierarchii wartości i wiernym sercu. Przymykał oczy w czasie modlitw, uważnie słuchał kazania, wyśpiewywał pierwsze wersy każdego hymnu bez patrzenia do książeczki.

Po nabożeństwie zaczął udzielać się towarzysko. Klepał mężczyzn po plecach, komplementował kobiety, powiedział jednemu z kapłanów o domu, który wchodził na rynek - wizyta w kościele była kolejną świetną okazją do prowadzenia biznesu. Wszystkich zdołał oblepić... Tylko że to zupełnie tak nie wyglądało. Wydawało się, że ludzie naprawdę go lubią. Dorosły Mike

Moody wymykał się Bree, chociaż nadal nie miał pojęcia, jak bardzo protekcyjnie się zachowuje i potrafił nazwać starszą kobietę młodą damą. Z drugiej strony, zauważył kłopoty dziecka chodzącego o kulach i ruszył z pomocą, zanim ktokolwiek inny zdołał się zorientować. Wszystko razem nie trzymało się kupy.

Przedstawił ją wszystkim. Niektórzy parafianie pamiętali jej rodzinę, jedna z kobiet pamiętała samą Bree. Ludzie zachowywali się przyjaźnie, ale zarazem wścibsko. Pytali o Toby'ego, o to, jak długo zamierzała zostać na wyspie, czy wiedziała, że dach w chatce przecieka. Małżeństwo nauczyło Bree ostrożności. Omijała wysyłane w jej stronę sondy najlepiej jak potrafiła, co ułatwiało jej gadulstwo Mike'a.

Dowiedziała się, że był szefem największej organizacji charytatywnej na wyspie. Było to zarówno godne szacunku, jak i stanowiło znakomitą formę promocji dla jego firmy, bo twarz Mike'a widoczna była na wszystkich materiałach przy okazji różnych akcji. Sponsorował także ligę juniorów i drużyny futbolowe w każdej grupie wiekowej, dzięki czemu mnóstwo dzieci na wyspie stało się jego żywą reklamą.

- Może zjemy lunch? - zaproponował Toby, gdy wrócili do samochodu.

- Gospoda czy Rooster's?

- A możemy iść do Dog'N'Malts? - spytał Toby.

Mike zmierzył Bree wzrokiem od stóp do głów.

- Bree się wystroić. Chodźmy w jakieś miłsze miejsce.

Nie chciała być winna Mike'owi ani lunchu, ani roweru górskiego, ani komputera. Nie chciała mieć wobec niego żadnych długów.

- Może innym razem - powiedziała szybko, gdy Mike przekręcał kluczyk w stacyjce. - Muszę wytopić wosk na świece.

Toby oczywiście się obraził.

- To nie fair. Ty zawsze wszystko psujesz.

- No nie, chłopie, więcej szacunku - powiedział Mike.

- Nie mów do niego „chłopie” - powiedziała ściśniętym głosem.

Mike spojrzał na nią.

Toby kopnął w tył siedzenia Bree.

- Jestem facetem. Mike jest moim przyjacielem. Może mnie nazywać, jak chce.

Toby był synem Davida i Bree nie zamierzała odpuszczać akurat tej sprawy.

- Nie, nie może. - Gdy obejrzała się, by na niego popatrzeć, zobaczyła, jak odpowiada jej spojrzenie złocistych oczu Star. - To słowo ma negatywny wydźwięk, źle się kojarzy w społeczności Afroamerykanów.

Mike skrzywił się, w końcu rozumiejąc, o co chodzi, ale Toby zrobił się jeszcze bardziej wojowniczy.

- I co z tego? Nie mieszkam w społeczności Afroamerykanów, tylko na wyspie Charity.

Jak to się stało, że Bree, najbielsza z białych kobiet, musiała uczyć dumy syna Davida Wheelera?

Mike, który zaczął całą tę sprawę, skupił się na wyjeździe z parkingu.

- Biali ludzie mówili tak kiedyś do czarnych, żeby ich poniżyć. To bardzo nieuprzejme.

Toby myślał o tym przez chwilę, po czym, zgodnie z przewidywaniem Bree, wykrzywił się do niej ze złością.

- Mike jest moim przyjacielem, nie chciał być nieuprzejmy. Po prostu tak do mnie mówi.

Mike pokręcił głową.

- Nie, Bree ma rację. Przepraszam, Toby, wciąż zapominam. Zapominał, żeby trzymać w ryzach rasizm, czy zapominał, że Toby był półkwi Afroamerykaninem?

- To co z tego? - wymamrotał Toby. - Jestem też trochę biały i nie wiem, o co tyle szumu.

- O to, że twój tata był dumny ze swojego dziedzictwa i chcę, żebyś ty też to czuł - wyjaśniła z uporem.

- Skoro był taki dumny, to czemu ożenił się z moją mamą? Bo Star zawsze chciała mieć wszystko to, co należało do Bree.

- Twój tata był okropnie zakochany w twojej mamie - powiedział Mike. - A ona kochała go tak samo, aż do końca. Twoja mama rozśmieszała twój tatę jak nikt inny na świecie, a on

namawiał ją do czytania książek, których by nie tknęła. Żałuję, że nie widziałeś, jak oni na siebie patrzyli. Jakby nikt inny nie istniał.

Bree skurczyła się. Równie dobrze mógł ją spoliczkować. A jeszcze nie skończył.

- Dopiero po jakimś czasie uświadomili sobie, jak bardzo się kochają - powiedział dziwnie twardo. - Na początku to Bree była dziewczyną twojego taty, ale mogę cię zapewnić, że nigdy nie patrzył na nią tak, jak na twoją mamę.

Powrócił prawdziwy Mike Moody ze swoim przemyślanym okrucieństwem. Cały czas patrzył na drogę.

- Podwieziemy Bree pod dom, żeby zdążyła popracować, a potem zabiorę cię do Dog'N'Malts. Co powiesz na ten plan, Bree?

Nie mogła zdobyć się na nic więcej poza słabym skinieniem głową.

Gdy dotarła do środka, opadła na kanapę i zaczęła bezmyślnie wpatrywać się w syjamskie koty nad kominkiem. Ostatnio znacznie więcej myślała o romansie z młodości niż o swoim dziesięcioletnim małżeństwie. Ale romans z Davidem miał jasno określony początek i zakończenie, a dzieje jej małżeństwa tak bardzo się rozmazywały.

Zrzuciła szpilki. Miała na stopach jasne ślady po sandałkach, które nosiła na co dzień. Nie żeby opaliła się jakoś przesadnie. Jej skóra po prostu przybierała miodowy odcień i dostawała nieco więcej piegów. Tym bardziej na ironię zakrawał fakt, że otrzymała zadanie zaopiekowania się młodym czarnym chłopcem.

Wbrew temu, co powiedziała Mike'owi i Toby'emu, nie czuła się gotowa na wytapianie wosku, więc po zmianie ubrania zaczęła szkicować pomysły na ręcznie wykonane kartki. Ale jej uczucia były gdzie indziej, więc nie potrafiła narysować nic, co by zaakceptowała. W końcu usłyszała, że Toby wbiega do domu. Skierował się prosto do pokoju. Nasłuchiwała odgłosu odjeżdżającego cadillaca, ale na próżno.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekła, ale to nic nowego, правда? - powiedział Mike z korytarza.

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Wstała zza stołu.

W granatowym garniturze wydawał się jeszcze większy niż zwykle i chociaż Bree była wysoka, poczuła się przytłoczona.

- To, co powiedziałem Toby'emu o Davidzie i Star, to prawda. Zaczęła zbierać materiały piśmienne.

- Twoja prawda.

Bezmyślnie szarpnął za krawat.

- Chcesz wierzyć, że tworzyliście z Davidem parę jak Romeo i Julia, ale prawda jest taka, że ty byłaś bogatą, białą dziewczyną z Grosse Point, a on czarnym dzieciakiem z Gary. - Przerzucił sobie kluczyki z jednej dłoni do drugiej. - Fascynowałaś Davida, ale on cię nigdy nie kochał.

Wsunęła notes do szuflady.

- Skończyłeś?

- Ze Star sprawy miały się inaczej. - Mike wypełnił sobą całe pomieszczenie, odebrał jej powietrze. - Żadne z nich nie miało pieniędzy. Mieli natomiast ambicję, charyzmę, może byli trochę bezwzględni. Rozumieli się na takiej płaszczyźnie, która ciebie z nim nigdy nie łączyła.

- W takim razie czemu odeszła? - Szuflada aż trzasnęła, kiedy ją zasunęła. - Skoro tak się namiętnie kochali, czemu Star uciekła?

- David przyjął posadę w Wisconsin, chociaż ona błagała go, żeby tego nie robił. Nie cierpiała, kiedy wyjeżdżał i chciała go ukarać. Wątpię, czy planowała zniknąć na długo. Na pewno nie wzięła pod uwagę, że zjedzie z drogi i wpadnie pod lód na kanale.

Bree nie kupowała tej historii.

- Oprócz niej w tym samochodzie znaleźli jakiegoś mężczyznę.

- Ona zawsze zabierała autostopowiczów. Pewnie go gdzieś podwoziła.

Bree nie chciała w to wierzyć. Wolała trzymać się wersji, którą opowiedziała jej Myra, że Star znudziła się Davidem i po prostu go zostawiła. Poczuła pierwsze skurcze wstydu w żołądku.

- Nie wiem, czemu wciąż wracasz do tych spraw. To się zdarzyło lata temu, nic już dla mnie nie znaczy.

Wiedział, że Bree kłamie, ale nie chciał się kłócić.

- Jestem religijnym człowiekiem - powiedział rzeczowym tonem. - Wierzę w grzech i w odkupienie. Naprawiłem swoje błędy, najlepiej jak potrafiłem, ale to niczego nie zmieniło.

- I nie zmieni.

Zabłąkany promień słońca błysnął w jego złotej bransoletce. Przynaknął, nie tyle do niej, co do siebie, jakby właśnie podjął decyzję.

- Zostawię cię w spokoju.

- Świetnie. - Nie wierzyła w to. Mike nigdy nie zostawiał nikogo w spokoju.

W dawnych czasach unikał patrzenia w oczy. Ale to się zmieniło i coś w jego niezłomnym spojrzeniu wytrąciło ją z równowagi.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś pozwoliła mi zachować kontakt z Tobym - powiedział z taką godnością, która aż zbijała z tropu. - Powinienem był zapytać cię o zdanie, kiedy zaprosiłem go na paradę na rowerze. Mam fatalny nawyk pchania się naprzód, zanim dobrze wszystko przemyślę. - To było kolejne rzeczowe stwierdzenie. Ani nie ukrywał swoich wad, ani się nimi nie zadrczał. - Parada rusza o dziesiątej. O dziewiątej musi być na parkingu przy szkole. Podjechałbym po niego, ale jestem szefem komitetu, muszę tam być wcześniej.

Wpatrywała się w znoszony fragment swojego buta.

- Dam radę to zorganizować.

- W porządku.

I na tym skończył. Żadnych marketingowych gadek, żeby ją przekonać. Żadnego przekupstwa, cytrynowych dropsów, skittlesów, ciastek Eskimosów. Krzyknął „cześć” Toby'emu i znikł, zostawiając ją z nieprzyjemnym uczuciem, że teraz naprawdę była zdana tylko na siebie.

Idiotyczne. Na pewno zamierzał wrócić. Mike Moody zawsze wracał, czy się tego chciało, czy nie.



## Rozdział 15

*NIE IDE* - obwieściła Temple z podłogi sali treningowej, gdzie właśnie ćwiczyła zestaw onieśmielających pompek na jednej ręce u stóp Lucy. W tle grała hip-hopowa muzyka. Nawet Panda musiał się zgodzić, że opera nie była najlepszym podkładem do ćwiczeń.

- Musisz wyjść z domu. - Lucy pomachała jej przed nosem krótką, brązową peruką, którą wyciągnęła z szafy złej królowej. - Takie zamykanie się w domu jest niezdrowe. Pamiętasz, jak wczoraj dostałaś ataku szału, bo przyniosłam do domu kilka gałązek kapryfolium?

- Pachniały jak słodycze.

- Daruj sobie. - Panda odłożył gigantyczne hantle na stół. - Ona jest dumna z tego szaleństwa.

Temple wstała i przestawiła się z pompek na przysiady z wyskokiem. Miała czarne mokre strąki przyklejone do szyi, a jej twarz lśniła od potu.

- Gdybyś rozumiała, przez co przechodzę, nie proponowałabyś takich rzeczy. Nie masz pojęcia, Lucy, jak to jest być tak sławną osobą.

Lucy przewróciła oczami, zupełnie jak Toby.

Temple zrozumiała aluzję i machnęła lekceważąco ręką.

- Twoja sława jest z drugiej ręki. Ja to co innego.

Panda prychnął. Przemoczony potem T-shirt przywarł mu do klatki piersiowej, a włoski na nogach przyklejały się do mokrych nóg. Minał dopiero tydzień, a Lucy już przysięgłaby, że na i tak wysportowanym ciele Pandy pojawiał się już rysunek groteskowych, przerośniętych mięśni. Gdy Lucy spytała, czemu tak się torturował, w odpowiedzi zapytał, co do cholery miałby robić przez ten cały czas. Wymuszona izolacja dawała mu się we znaki równie mocno, jak Temple i z czasem oboje coraz bardziej pochmurnieli.

- Siedzę na wyspie od miesiąca - powiedziała cierpliwie Lucy. - I nigdy nie miałam żadnego problemu.

- To z powodu twojego wyglądu. Ludzie się ciebie boją.

Lucy była zachwycona, więc przez chwilę podziwiała w milczeniu nowy tatuaż z cierniami i krwią, który zrobiła sobie poprzedniego dnia w miejsce starego, nieco już wytartego. W ciągu kolejnych kilku dni zamierzała poprawić smoka. A może jeszcze dołożyć coś na drugą rękę...

- Nikt nie spodziewa się zobaczyć ani Lucy Jorik, ani Temple Renshaw na paradzie na wyspie Charity - powiedziały. - A kiedy nikt się ciebie nie spodziewa, to cię nie poznaje.

Gdy poprzedniego dnia przystanąła przy kramie z miodem, Toby dekorował właśnie rower, a Bree oglądała stary kostium pszczoły, który nosiła kiedyś na paradach babcia Toby'ego.

- Pytanie brzmi, jak bardzo jestem zdesperowana, żeby przyciągnąć nowych klientów - powiedziała Bree, prostując sobie czułki.

Aż do poprzedniego wieczora Lucy zamierzała iść na paradę sama, ale Temple cisnęła planszą do scrabble'a na drugi koniec werandy, a Panda zagroził, że wrzuci Lucy do jeziora, jeśli nie przestanie sporządzać pętli dla świni w stroju kelnera. Wtedy Lucy zmodyfikowała plan.

- Brutalny fakt jest taki, że siedzicie tu dopiero od tygodnia, a oboje zmieniliście się w ryczące, wściekłe bestie. Nie to, żeby w ogóle było wam do tego daleko.

Panda ze świstem posłał ręcznik na drugi koniec sali gimnastycznej.

- Jestem najłatwiejszym we współzyciu człowiekiem na świecie, ale Lucy ma rację, Temple. Jeśli wkrótce nie zrobisz przerwy, ktoś zginie. I to nie będę ja. - Chwyił butelkę z wodą i zaczął łapczywie pić.

- Naprawdę spodziewasz się, że zaryzykuję swoją przyszłość, ufając wątpliwej ochronie w postaci peruki? Nie zrobię tego. - Przysiadły z wyskokiem przeszły w deski na boku.

Lucy westchnęła, zła królowa była wymagająca, humorzasta i trudna we współzyciu i Lucy czuła, że powinna jej nie znosić, ale nie pozwalała jej na to natura pracowniczki społecznej. Pod wszystkimi tymi kolcami kryła się zagubiona osoba, która usiło-

wała odzyskać kontrolę nad życiem. Osoba ta doskonale wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale nie wiedziała, co zrobić.

Lucy i zła królowa miały ze sobą wiele wspólnego, chociaż Temple doskonale zdawała sobie sprawę z tego, czego oczekuje od życia, a Lucy wiedziała tylko, czego nie chce - pukać do kolejnych drzwi, błagać o kolejne pieniądze i lobbować za ustawami, które pomogłyby dzieciom. I przez to czuła się najgorsza z najgorszych.

Panda odstawił butelkę i popatrzył na Lucy.

- A gdyby przebranie nie sprowadzało się do peruki?

- Co masz na myśli?

- No wiesz. - Panda odwrócił się do Temple. - Twoja kumpela, córka pani prezydent, ma mnóstwo doświadczenia w ukrywaniu swojej tożsamości i nie chodzi mi tu tylko o jej obecne przebranie, które przyprawia o skręt kiszek. - Przyjrzał się nowym, różowym dredom Lucy. - Jeśli ją przekonasz, na pewno podzieli się z tobą swoimi tajemnicami.

Godzinę później wszyscy troje byli już w drodze do miasta. Temple skuliła się na tylnym siedzeniu, z włosami ukrytymi pod krótką peruką, twarzą zasłoniętą okularami słonecznymi i w zwyczajnym, słomkowym kapeluszu. Lucy miała czarny top, ten ozdobiony czaszką i różami, i parę dżinsowych spodni, które sama upiększyła za pomocą pinezek. Włożyła też kolczyki, jeden do nosa i aż dwa w brwi. Panda miał na sobie czarną czapkę, spod której wystawały jego bujne loki. Lucy poprosiła, żeby darował sobie wielkie okulary przeciwsłoneczne, bo wyglądał w nich zupełnie jak agent służb specjalnych.

Szare spodnie do jogi Temple były nieco luźniejsze niż w dniu jej przyjazdu, ale fioletowy top mocno ją opinał, bo od środka wypychała go mała ciężowa poduszka, pomysł Lucy.

Bulwar Beachcomber został zamknięty dla ruchu z okazji parady, więc Panda poszukał miejsca do zaparkowania w którejś z bocznych uliczek.

- Pamiętaj, co ci mówiłem, Temple. Nie znikaj mi z oczu nawet na chwilkę. Lucy, ty w razie czego kryjesz Temple, więc trzymaj się blisko niej. Nie rozmawiajcie z nikim, ale jeśli coś się wydarzy, to Temple jest twoją ciężarną przyjaciółką z dawnych lat.

- Moja historia jest lepsza - powiedziała Lucy. - Temple jest kolejną kobietą, którą zbałamuciłeś i planujesz porzucić przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Panda zignorował tę uwagę.

- Nawet nie myśl o tym, żeby mi się wymykać. Jeśli będziesz musiała iść do toi toia, pójdziemy z tobą - uprzedził trenerkę.

Temple nasunęła okulary na nos, po czym popatrzyła znad oprawek na kark Pandy.

- Prędzej umrę, niż skorzystam z toi toia.

- Jak ja cię rozumiem - powiedziała Lucy.

Temple wyjrzała nerwowo przez okno i popatrzyła na ludzi idących chodnikiem. Niektórzy nieśli krzeselka, inni prowadzili wózki.

- Wpadasz w paranoję, Panda. Nie pracowałam tak ciężko po to, żeby teraz zaprzepaścić wszystko dla jakiegoś żarcia z budy.

- Miło to słyszeć, ale zasady pozostają bez zmian.

Lucy poluzowała pasek szortów. Chociaż mieszkała w domu, w którym znajdowało się wyłącznie dietetyczne jedzenie, udało jej się odzyskać wagę, którą straciła w czasie przygotowań do ślubu. Odwróciła się, żeby jeszcze raz przyjrzeć się przebraniu Temple i zauważyła jej zaciśnięte wargi.

- Czy możesz w końcu przestać?

- O co ci chodzi? - Temple zmarszczyła brwi.

- Cały czas wykonujesz jakieś ćwiczenia. Zaciskasz uda i napinasz brzuch albo coś w tym rodzaju.

- Ćwiczę mięśnie Kegla. - Temple uśmiechnęła się z politowaniem. - Gdyby zależało ci chociaż trochę na zwieraczach, sama byś je ćwiczyła.

- Przysięgam, jeśli kolejne zlecenie znowu miałoby dotyczyć jakiegokolwiek żeńskiej istoty, choćby surykatki, to go nie wezmę! - irytował się Panda.

Lucy uśmiechnęła się i nałożyła łokieć na oparcie siedzenia.

- Mam też dobrą wiadomość, Temple. Kiedy Panda jest w pobliżu, nikt nie zwraca uwagi na kogokolwiek innego.

Właśnie dlatego Lucy i ja powinnyśmy iść same - oświadczyła trenerka.

- Jasne, świetny pomysł - odparł sucho Panda. - Ledwo spuściłbym was z oczu, zaczęłybyście się opychać ciastkami.

Bolesna prawda. Wyjaśniało to, czemu Lucy tyła. Żyjąc w domu, którym nie było nic oprócz dietetycznego jedzenia, czuła się tak nieusatysfakcjonowana, że przy każdym wyjeździe do miasta wciskała w siebie, co tylko mogła. Jak dotąd udało jej się uniknąć przeszukiwań, którymi odgrażał się Panda. Po prostu wywracała przed nim kieszenie i sama się poklepywała. Ku jej uldze, nigdy nie naciskał na nic więcej.

- Ta twoja paranoja jest już naprawdę chorobliwa - stwierdziła zła królowa, gdy Panda parkował. - Potrzebujesz terapii.

Lucy zmierzyła wzrokiem Temple.

- Bez obrazy, ale mogłabyś się wybrać razem z nim.

Panda uśmiechnął się, po raz pierwszy tego dnia, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i powrócił do wykładu.

- Oglądamy paradę, spacerujemy po porcie, wsiadamy do auta i wracamy do domu jako lepsi ludzie.

Teraz to Lucy prychnęła.

- To nie jest niemożliwe - powiedział bez przekonania.

Znaleźli dobre miejsce na końcu bulwaru, z dala od zapachu smażonego jedzenia i głównego skupiska turystów. Jak przewidziała Lucy, ludzie interesowali się głównie Pandą, a nie którąkolwiek z kobiet, a w dodatku to ona przyciągała więcej spojrzeń. Bardzo irytowało to złą królową.

- Wiem, że to nielogiczne - szepnęła. - Ale przywykłam do bycia w centrum uwagi.

Lucy zaśmiała się.

- To świetny moment, żebyś rozważyła dołączenie do planu treningowego jakiejś formy dbania o zdrowie psychiczne - szepnęła.

- Gdybym była normalna, to nie wiedziałabym, kim jestem - odpowiedziała Temple, wzdychając.

I to właśnie był ten kłopot z Temple Renshaw. Kiedy już chciało się ją skreślić jako rozkapryzoną **divę**, mówiła coś takiego, co wywoływało skurcz w sercu. Potrafiła być zarazem

brutalnie wnikliwa i kompletnie zdezorientowana, dzięki czemu nie stawała się nie do zniesienia.

Dzień był dość wietrzny jak na paradę. Chorągiewki związające z masztów ostro trzepotały, a baldachymy nad stoiskami z jedzeniem wydymały się jak rozdęte brzuszyska. Miejscowy polityk poprowadził paradę w roli marszałka, a za nim ruszyła orkiestra i formacja konna. Potem pojawiła się pierwsza platforma, indiańska scena sponsorowana przez sklepik Jerry'ego. Na następnej mieścił się las palm z bibuły, które mocno szeleściły na wietrze oraz szałas ze słomy, na którym widniał napis „Duży Mike: agencja handlu nieruchomościami i łodziami”. Mike Moody stał z przodu platformy i ewidentnie wspaniale się bawił, machając do tłumu i rzucając ludziom cukierki.

Tańczący hot dog od Dogs'N'Malts płaśał obok pirata promującego sklep nurkowy Jake'a i gigantyczną rybę z Gospody. Lucy nie pamiętała nawet o Bree, dopóki nie zobaczyła pszczoły podążającej za harcerkami. Z ciasno przylegającego czarnego kapturka odstawały czułki ze sprężystymi czarnymi kulkami. Wiatr omal nie wyrwał Bree szyldu Miodu spod Karuzeli, ale trzymała go mocno. Była tylko odrobinę zażenowana, kiedy Lucy do niej pomachała.

Nadciągała ekipa rowerzystów. Toby tak się rozemocjonował na widok Lucy, że omal nie stracił równowagi. Od przyjazdu Temple dwa razy zjawił się w domu, ale Lucy odjeżdżała z nim na rowerze, zanim zdążył za dużo zobaczyć. Lucy posłała mu kilka pocałunków dla zabawy, na co chłopiec uśmiechnął się z sympatią.

Przeszło też sześciu starszych członków American Legion. Na ich widok, i otoczona przez tyle amerykańskich flag, Lucy zatęskniła za matką. Zaczęła głośno wiwatować.

Panda nachylił się do niej.

- Świetny sposób, żeby nie zwracać na siebie uwagi - szepnęła.

Ale Lucy przestała się już martwić, że ktoś ją rozpozna i nawet Temple już się tak nie denerwowała.

- Jest tu mnóstwo osób z poważną nadwagą - powiedziała. - To jak *Wyspa grubasów* na żywo.

- Zamknij oczy i ćwicz mięśnie Kegla - doradziła Lucy, zanim Temple zdążyła rozpocząć jakąś akcję informacyjną.

Po zakończeniu parady żadne z nich nie chciało wracać do domu, ale wizja wzmieszania się w tłum niepokoiła Temple. Lucy zaproponowała wycieczkę do latarni morskiej. Pandzie jeszcze bardziej zależało na odwleczeniu powrotu, więc gorliwie poparł Lucy.

W pobliżu latarni wiatr był jeszcze potężniejszy niż na trasie parady. Napięte liny świstały trącane podmuchami. Chociaż budynek z okazji święta był otwarty dla zwiedzających, większość turystów bawiła się jeszcze w miasteczku i na parkingu stało tylko kilka samochodów. Panda, Lucy i Temple wspięli się po metalowej klatce schodowej wewnątrz wieży, aż wyszli na otwarty, ogrodzony tarasik tuż pod czarną kopułą i gigantycznym reflektorem. Zostawili nakrycia głowy w samochodzie, żeby wiatr ich nie zwał, więc Temple wyciągnęła dłoń, żeby przytrzymać mocniej perukę.

- Jaki piękny widok.

Błękitne niebo przebłyskiwało zza płynących szybko chmur. Metalowa poręcz była nagrzana od południowego słońca, ale wiatr chłostał wściekle wodę na jeziorze i tylko większe jachty zmagaly się z niesfornymi falami. Temple zostawiła Lucy i Pandę, a sama wybrała się na spacer wokół tarasu.

- Aż zaczynasz współczuć ludziom, którzy nigdy nie widzieli Wielkich Jezior - powiedział Panda, wkładając okulary słoneczne.

Lucy czuła dokładnie to samo, ale nie chciała z nim rozmawiać, więc tylko kiwnęła głową.

Nad wodą para rybitw trzepotała skrzydłami, szukając jedzenia, a nad nimi krążyła mewa, gotowa ukraść łup. Panda podparł się na poręczy.

- Jestem ci winien przeprosiny.

- A za co? Bo masz tyle tematów do wyboru...

Popatrzył prosto przed siebie, z oczami osłoniętymi przez ciemne szkła.

- Za to, co ci powiedziałem trzy tygodnie temu... Tamtej nocy... Byłem wkurzony, bo zamknęłaś drzwi. Byłem wkurzony z bardzo wielu powodów, ale to nie twoja wina.

Już wcześniej podejrzewała, że jego paskudne słowa wymierzone były bardziej w niego samego niż w nią. Ale i tak bolały.

- Przykro mi, ale nie pamiętam, co mówiłeś.

- Wtedy w motelu... Byłaś fantastyczna, to ja...

- Naprawdę nie mam ochoty tego słuchać - powiedziała lodowatym tonem.

- Przykro mi. Jeszcze raz cię przepraszam.

- Nie trzeba. - Nie zamierzała łagodzić wyrazu twarzy, chociaż ucieszyły ją przeprosiny.

Temple przeszła za nimi, robiąc trzecie kółko po tarasie.

- Schodzę. Jeśli mi pozwolisz, strażniku.

Panda wyrżał za barierkę.

- Nie widzę tu żadnego miejsca, gdzie można kupić jedzenie, więc proszę bardzo.

Temple zniknęła. Lucy nie chciała jeszcze iść, ale nie chciała też z nim rozmawiać, więc odsunęła się o kilka kroków. Nie zrozumiał aluzji.

- Luce, ja wiem...

- Temple musi nauczyć się sama kontrolować - powiedziała, zanim Panda zdążył pociągnąć wątek. - Wcześniej czy później będziesz musiał poluzować smycz.

- Wiem. Może w przyszłym tygodniu.

Podmuch wiatru przyniósł na parking zmiętą gazetę. Postanowienie Lucy, by nie wdawać się w rozmowę z Pandą, nieco zmiękło.

- Lubisz ją, prawda?

Wyprostował się, opierając tylko nadgarstki na barierce.

- Raczej jestem jej coś winien. Zawdzięczam jej mnóstwo klientów.

- Ale oprócz tego ją lubisz.

- Chyba tak. Jest zwariowana, ale to twarda babka. Trochę jak ty, chociaż na twoją obronę można powiedzieć, że twoje wariactwa aż tak nie rzucają się w oczy.

- A ty jesteś wzorcem normalności.

Wychylił się, patrząc na Temple, która właśnie wyszła z latarni.

- Przynajmniej wiem, czego chcę od życia, i tu chyba mam nad tobą przewagę.



Porzuciła wysiłki, żeby rozmowa nie stała się zbyt osobista.

- To znaczy czego chcesz? Od życia?
- Dobrze wykonywać moją pacę, terminowo płacić rachunki i nie pozwalać, żeby źli ludzie krzywdzili dobrych ludzi.
- Robiłeś to wszystko, kiedy byłeś w policji, czemu zrezygnowałeś?

Wahał się o sekundę za długo.

- Fatalna pensja.
- Nie wierzę ci. Walka z bandziorami musiała być bardziej interesująca niż bronienie Temple przed kaloriami. Jaki jest prawdziwy powód?

- Wypaliłem się. - Wskazał palcem taflę wody. - Falochron. Tak nazywają skały, które ustawiają, żeby zatrzymać erozję.

Innymi słowy, chciał, żeby przestała zadawać pytania. W porządku. Lucy miała dość zwierzeń jak na jeden dzień.

- Schodzę.

Podążył za nią na sam dół. Gdy wyszli na słońce, zobaczyli, że Temple ćwiczy głębokie wypady pod wiatr. Przyszli nowi turyści. Jakaś matka stała blisko nabrzeża w towarzystwie synka, z którym się kłóciła, podczas gdy młodsza córeczka goniła za mewą.

- Nie mam więcej, Cabot - powiedziała wykończona młoda kobieta. - Wypiłeś ostatni soczek w samochodzie.

- To Sophie go skończyła. - Chłopczyk tupnął nogą. - Dałaś jej winogronowy! To mój ulubiony!

Gdy chłopczyk domagał się uwagi matki, dziewczynka ścigała się z wiatrem, rozkładając szeroko ręce. Podmuchy zwiewały jej z czoła kręcone włosy. Miała najwyżej pięć lat i bardziej interesowała ją atrakcja dnia, gwałtownie rozdzierające się o skały fale, niż histeria brata.

- Dość tego, Cabot - warknęła matka. - Musisz trochę poczekać.

Jego siostra wyrzuciła ręce w górę, zbliżając się do skalistego nabrzeża. Wiatr przykleił różową koszulkę do jej szczupłej klatki piersiowej.

- Ale chce mi się pić - jęknął chłopiec.

Niespodziewanie ostry podmuch odrzucił Lucy krok w tył. Kątem oka zobaczyła, że dziewczynka zachwiała się, straciła

równowagę i z cichutkim okrzykiem wpadła na jeden ze zdradzieckich głazów leżących na brzegu. Lucy wstrzymała oddech, widząc jej rozpaczliwie wyciągnięte rączki. Dziecko usiłowało znaleźć coś, czego mogłoby się złapać, ale głazy były zbyt śliskie i w ciągu kilku sekund stoczyła się pod wodę.

Panda zerwał się do biegu, zanim jeszcze głowa dziewczynki znikła pod powierzchnią. Lucy pognała za nim. Matka w końcu zauważyła, co się stało i głośno krzyknęła. Zaczęła biec, ale była dalej od Pandy.

Panda przedarł się przez śliskie głazy, jednocześnie wypatrząc dziecka. Fala rozbiła się wokół jego nóg. Chyba coś dostrzegł, bo odepchnął się kopniakiem od postrzępionych skał i dał potężnego nura do wody.

Lucy wgramoliła się na mokre skały. Mało brakowało, a ona też wylądowałaby w jeziorze.

Panda wynurzył się na powierzchnię. Sam.

Lucy była ledwie świadoma rozpaczliwych krzyków matki za jej plecami. Panda ponownie zanurkował. Lucy wpatrzyła się w wodę w poszukiwaniu czegokolwiek różowego. Panda nabrał powietrza i wrócił pod wodę.

I wtedy Lucy coś zobaczyła. Może tylko odbicie, ale modliła się, by było to coś więcej.

- Tam! - wrzasnęła, gdy Panda znów wystawił głowę.

Panda usłyszał ją, wykręcił się we wskazanym kierunku i pomknął pod powierzchnię.

Nie wynurzał się przez całą wieczność. Lucy usiłowała go wypatrzyć, ale zszedł bardzo głęboko.

Fale rozbijały się o skały, ale ich ryk nie mógł zagłuszyć krzyków matki, które łamały Lucy serce. Mijała sekunda za sekundą, każda trwała godzinę. Aż w końcu Panda wypłynął, mocno trzymając dziecko.

Główka dziewczynki bezwładnie opierała się o jego białą koszulkę. Lucy poczuła, że czas stanął w miejscu. I wtedy dziecko zaczęło się dławić.

Panda trzymał głowę dziewczynki wysoko nad falującą powierzchnią, gdy dziecko krztusiło się i pluło wodą. W końcu

zaczęta mu się wrywać, ale wtedy Panda zaczął jej coś szeptać do ucha. Dał jej czas na odzyskanie oddechu, zrozumienie, że jest już bezpieczna. Dopiero po chwili próbował przeciągnąć ją przez skaliste nabrzeże.

Dziewczynka przywarła do jego szyi, kryjąc twarz w jego klatce piersiowej. Wciąż do niej mówił. Teraz oddychała spokojniej. Lucy nie miała pojęcia, co Panda mógł jej opowiadać. Odwróciła się do matki, która przedarła się na nabrzeże.

- Niech pani do niej pomacha. Żeby córka zobaczyła, że wszystko w porządku - powiedziała Lucy.

Matka wydobyła z siebie chrapliwy skrzek.

- Już dobrze, Sophie! - wrzasnęła pod wiatr. - Wszystko dobrze. - Chłopczyk stał za nią, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

Lucy wątpiła, czy Sophie była w stanie usłyszeć matkę mimo szalejących fal, ale widziała, że dziewczynka przestała się wrywać Pandzie. Musiał być zmęczony, ale nie przestał mówić do dziecka, jednocześnie przedzierając się przez fale w kierunku brzegu.

Matka usiłowała przeczłogać się do Lucy na krawędź nabrzeża, ale jej cienkie sandałki nie miały takiej przyczepności jak buty Lucy, więc wciąż się osuwała.

- Proszę się cofnąć - rozkazała Lucy. - Ja ją wezmę.

Panda przybliżył się i spojrzał na Lucy. Gdy kucnęła, fala uderzyła ją w kolana. Napięta mięśnie i wyciągnęła ręce. Panda podniósł dziecko i z niemal nadludzką mocą wcisnął je w ramiona Lucy. Sophie ślepo walczyła z kolejnymi obcymi rękami, ale Lucy trzymała ją mocno, czekając, aż Panda wdrapie się na brzeg. Matka brnęła już w ich stronę, ale Sophie rzuciła się na Pandę. Podniósł ją i zniósł ze skał na ścieżkę. Jego silne, opalone ramiona nie pasowały do malutkiej, różowej koszulki dziecka.

Nawet wtedy wciąż się do niego tuliła. Przykucnęła i zaczął ją kołysać.

- Jesteś bezpieczna, mała. Już po wszystkim. Zostawiłaś chociaż trochę wody w tym jeziorze, czy wszystko połknęłaś? Założę się, że wszystko wypić. Nie została ani kropelka...

Bredził tak bez końca. Upierał się, że dziewczynka wypłała całe jezioro, aż w końcu odwróciła się, by to sprawdzić. Zobaczyła, że Panda kłamał i zaczęła się z nim kłócić.

Matka dłużej dochodziła do siebie. Na zmianę tuliła dziecko, jakby już nigdy nie miała jej wypuścić z ramion i wciąż dziękowała Pandzie przez łzy. Widoczna w oddali Temple skończyła już serię wykopów, zaczęła lekki jogging i zmierzała w ich stronę, zupełnie nieświadoma, co przegapiła.

Panda cierpliwie słuchał bełkotu spanikowanej matki na temat tego, skąd przyjechała z dziećmi i czemu nie było przy nich męża. Znów rozmawiał z Sophie, a potem jeszcze z jej bratem. Gdy był już pewien, że matka będzie w stanie prowadzić, pomógł jej zapakować dzieci do auta. Kobieta uściśnięła go niezgrabnie.

- Bóg nam pana zesłał. Jest pan jego aniołem.
- Tak, proszę pani - odparł z miną twardego gliniarza.

Kobieta w końcu wyjechała z parkingu. Na trzydniowym zaroście Pandy osiadły kropelki wody, ale końcówki włosów już zaczynały się kręcić.

- Tak żebyś wiedział... - zaczęła Lucy. - Już się na ciebie nie gniewam.

Uśmiechnął się do niej, widocznie zmęczony.

- Daj mi kilka godzin i na pewno to naprawię.

W głębi Lucy zaczęły rozkwitać małe pąki ciepła.

Pojawiła się Temple, zdyszana, z zaczerwienioną twarzą.

- Czemu jesteś mokry?
- Długa historia - odparł.

Gdy jechali do domu, Lucy myślała o tym, ile cierpliwości Panda okazał rozhisteryzowanej matce. Ale przede wszystkim wspominała to, jak bardzo był delikatny wobec Sophie. To, jak radził sobie z dziećmi, nie pasowało zupełnie do wszystkiego, co o nim wiedziała. Nawet z tym nieznośnym młodszym bratem Sophie... Gdy chłopiec nie mógł dłużej znieść, że nie jest w centrum uwagi, Lucy chciała go udusić. Panda zachęcił go do rozmowy o technikach ratowania życia, które powinien znać każdy mężczyzna.

Panda był jak kameleon. W jednej chwili małymówny, gburawy motocyklista, w kolejnej bezwzględny ochroniarz najbar-

dziej wymagającej klientki świata, a do tego jeszcze połączenie superbohatera i psychologa dziecięcego.

Niepokoił ją. Rozbrajał. Dezorientował. Lucy poznała już ludzi, którzy nie dawali się zaszufłakować, ale nigdy nie spotkała nikogo, kto tak bardzo nie pasowałby do żadnej etykiety.

Lucy zmarszczyła brwi, patrząc na skurczone w mikrofalówce zielone fasolki i bezkształtny kawałek kurczaka. Temple spojrzała tęsknie w kierunku lodówki, jakby miała nadzieję, że z automatu do wody magicznie wypłynie gorące toffi.

Panda milczał przez całą kolację, ale teraz odepchnął talerz.

- Mam dla was niespodziankę.

- Powiedz mi, że ma coś wspólnego z ciastkami - zażądała Lucy. - Albo że pozwolisz mi ugotować normalne jedzenie. - Do tej pory wolno jej było wyłącznie przyrządzać sałatki. Z samych warzyw, bez sera, bez oliwek, bez grzanek i bez kremowych dressingów.

- Nic podobnego. - Oparł się wygodnie. - Wypłyniemy nad wodę obejrzeć fajerwerki.

- Ja chyba podziękuję - powiedziała Temple. - Dwa kajaki na troje, to nie brzmi jak atrakcyjny pomysł.

- Nie w kajakach. - Wstał zza stołu. - Spotkamy się na przystani. Tylko żadnych wymówek.

Gdy Temple kończyła kolację, Lucy narzuciła bluzę i wyszła sprawdzić, co Panda robi. Na przystani stała zakotwiczona czarna motorówka długości siedmiu i pół metra. Nie było jej tam, kiedy Lucy ostatnio sprawdzała.

- Skąd się tu wzięła? - spytała.

Panda wrzucił do szafki na pokładzie kilka kamizelek ratunkowych.

- Parę dni temu rozmawiałem z Dużym Mikiem. Jego ludzie dostarczyli ją, kiedy byliśmy na paradzie i ukryli tu w hangarze. Wynająłem ją na resztę lata.

- Co to? - spytała Temple, schodząc na przystań.

Gdy Panda wyjaśnił, Temple zaczęła obliczać, ile kalorii spala jazda na nartach wodnych.

Lucy nie mogła już tego znieść.

- Temple, proponuję ci układ. Jeśli obiecasz, że do końca wieczoru nie użyjesz słowa „kalorie”, jutro z tobą poćwiczę. Przez jakiś czas - zastrzegła szybko.

- Umowa stoi - powiedziała Temple. - Serio, Lucy, nie uwierzysz, jaką różnicę robi regularny trening...

- Nie wolno ci także mówić o ćwiczeniach, gramach tłuszczu, cellulicie i całej reszcie tych bzdur - dodała Lucy. - Praktycznie możesz gadać tylko o objaniu się.

- Gorąco popieram. - Panda zapaścił motor.

Kierował łodzią z tą samą łatwością, z jaką radził sobie ze wszystkim oprócz relacji międzyludzkich. Wiatr trochę się uspokoił, a na rozpogodzonym niebie zaczęły się pojawiać gwiazdy. Gdy wypływali na otwartą wodę, dał gaz do dechy i skierował łódź w stronę cypla, który oddzielał zatokę od portu w miasteczku. Gdy go okrążyli, napotkali flotyllę jachtów czekających na rozpoczęcie pokazu. Ich światła krążyły nad wodą jak świetliki. Niektóre z łodzi miały bandery jachtklubów, inne patriotyczną flagę.

Wpłynęli do portu, na tyle blisko, by widzieć pokaz, ale z dala od innych łodzi. Panda odwrócił łódź dziobem pod prąd, rzucił kotwicę i wyłączył silnik. W nagłej ciszy usłyszeli śmiechy i muzykę.

Temple wzięła sobie poduszkę i poszła na dziób, zostawiając ich samych.

## *Rozdział 16*

Pierwszy z fajerwerków eksplodował dokładnie nad nimi, jak parasolka z czerwieni i fioletu. Lucy oparła głowę o tył ławki biegnącej przez rufę łodzi. Panda zrobił to samo i oglądali pokaz razem, w milczeniu, ale, co zaskoczyło Lucy, bez skrzepowania.

- To, co dziś zrobiłeś, było wspaniałe - powiedziała w końcu Lucy, gdy nad nimi rozbłysła muszla z gwiazd.

Poczuła, że wzrusza ramionami.

- Dobrze pływasz. Gdyby mnie tam nie było, sama byś to zrobiła.

Spodobała jej się pewność, z jaką to powiedział. Zerknęła na niego i przez chwilę patrzyła na trzy komety tańczące mu w oczach.

- Była mocna fala, nie wiem, czy dałabym radę ją wyciągnąć.

- Zrobiłabyś to, co trzeba - powiedział ostro. - Ludzie powinni lepiej pilnować dzieci.

Ten stanowczy ton wydawał się niesprawiedliwy.

- Dzieci są niesamowicie ruchliwe - powiedziała Lucy. - Żaden rodzic nie jest w stanie upilnować ich w każdej sekundzie. - W ciszy między wybuchami słychać było grzechotanie rei i chlupot wody przy kadłubie. - Rozumiesz małuchy. To mnie chyba zdziwiło.

Skrzyżował nogi w kostkach. Z fioletowych palm trysnęły gwiazdy i rozwinęły się pomarańczowe peonie.

- Nie ma gliniarza, który nie umie sobie poradzić z dziećmi.

- Wojny gangów?

- Nie tylko. Są też zaniedbania, wykorzystywanie. Co chcesz.

Widziała w pracy sporo dzieciaków z kłopotami, ale podejrzewała, że nie tyle co on. Tak przywykła do tego, by patrzeć na Pandę jak na kosmitę, że nigdy nie pomyślała o tym, co mogą mieć ze sobą wspólnego.

- Sophie nie chciała cię puścić.

Na mrocznym niebie pojawiła się srebrna wierzba płacząca.

- Uroczą małą.

To musiała być wina tego wieczoru, fajerwerków, niewyciszonych emocji po niedoszłej tragedii, bo kolejne słowa Lucy zupełnie ją zaskoczyły.

- Będiesz świetnym tatą.

Krótki, surowy śmiech.

- To się nie stanie.

- Zmienisz zdanie, gdy poznasz właściwą kobietę - zabrzmiało to zbyt sentymentalnie, więc przywołała na pomoc Viper. - Poznasz ją po chwytnych kciukach i niewybrednym guście.

- Nic z tego - uśmiechnął się. - Jeden z licznych cudów nowoczesnej nauki.

- Co masz na myśli?

- Wazektomię. Dar lekarzy dla takich gości jak ja.

Powietrze zadrżało od eksplozji. To było bez sensu. Lucy widziała go z dziećmi, widziała, jak naturalnie się zachowywał. Nie powinien był trwale pozbawiać się szansy.

- Nie sądzisz, że jesteś za młody, żeby podejmować takie decyzje?

- W kwestii dzieci mam tyle doświadczenia co stulatek.

Zbyt długo pracowała z dziećmi, by nie wiedzieć, z czym zmagają się na co dzień policjanci. W półmroku twarz Pandy wydawała się poszarzała od wizji przeszłości.

- Widziałem zbyt wiele trupów - powiedział. - Nie tylko nastolatków, dzieci, pięciolatek z mlecznymi zębami. Dzieciaki po wybuchach, z urwanymi kończynami. - Przechyliła głowę. - Widziałem rodziców w najgorszym dniu ich życia - ciągnął. - I obiecałem sobie, że nigdy nie będę musiał tego przeżywać. Najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem. Trudno jest wykonywać taką pracę, gdy codziennie budzisz się spocona.

- Widziałeś najgorsze przypadki. A co z milionami dzieci, które spokojnie dożywają dorosłości?

- A co z tymi, którym się nie udaje?

- W życiu na nic nie ma gwarancji.

- Nieprawda. Ciach tu, ciach tam i mam cholernie dobrą gwarancję.

Powietrze rozświetlił wielki finał pokazu, a trzaski i świsty zakończyły ich rozmowę. Lucy szanowała ludzi, którzy rozumieli samych siebie na tyle, by wiedzieć, że nie będą dobrymi rodzicami, ale instynkt podpowiadał jej, że Panda nie należał do tej grupy.

Jej wewnętrzna, miękka Lucy znowu jej przeszkadzała. To nie miało nic wspólnego z nią osobiście, stanowiło po prostu zły omen, brutalne przypomnienie, że wielu mężczyzn myślało o dzieciach tak jak Panda. Mimo tego, co zrobiła Tedowi, wciąż chciała wyjść za mąż i mieć dzieci. A co, gdyby zakochała się w takim facecie jak on, który nie chciałby zostać ojcem? Kolejny



problem, z którym nie musiałyby się zmagać, gdyby nie uciekła z tego teksańskiego kościoła.

Temple przyczołgała się z dziobu, żeby do nich dołączyć i powoli popłynęła do domu. Panda został jeszcze chwilę na łodzi, więc Lucy i Temple wróciły na górę same.

- Jest coś niesamowitego w fajerwerkach - powiedziała Temple, gdy dotarły na ostatni stopień. - Zasmucają mnie. To dziwne, prawda?

- Każdy jest inny. - Lucy sama nie czuła się zbyt radosna, ale nie z powodu fajerwerków.

- Większość ludzi jest szczęśliwa, gdy na nie patrzy, ale przynębia mnie widok wszystkich tych pięknych barw, które tak szybko gasną. To taki symbol, to samo może się przydarzyć nam, jeśli nie będziemy uważać. W jednej chwili płoniemy, jesteśmy na szczycie. W kolejnej już nas nie ma i nikt nie pamięta naszego imienia. Czasem trzeba zadać sobie pytanie, po co to wszystko?

Drzwi na ganku z trudem dały się otworzyć. Przez okna wylało się światło z podrabianego żyrandola od Tiffany'ego.

- Jesteś przynębiona, bo umierasz z głodu. A tak przy okazji... Świetnie wyglądasz.

- Obie wiemy, że to nieprawda. - Temple uwaliła się na leżaku, który Lucy przykryła karmazynowym ręcznikiem. - Wyglądam jak świnia.

- Przestań tak o sobie mówić.

- Mówię tylko, co widzę.

Wiatr przewrócił jedną z doniczek z ziołami, więc Lucy poszła do półki, żeby ją postawić na miejscu. Zapach rozmarynu i lawendy zawsze przypominał jej wschodni ogród przy Białym Domu, ale tego wieczoru myślała o czym innym.

- Kruchość nie jest grzechem. Powiedziałaś mi, że poznałaś kogoś i że wam nie wyszło. Wiele kobiet wpada wtedy w kłopoty.

- Myślisz, że znalazłam ukojenie dla złamanego serca na dnie pudełka lodów?

- To się zdarza.

- Tylko że to ja zerwałam - powiedziała z goryczą.

Lucy podniosła konewkę.

- To jeszcze nie znaczy, że mniej bolało. Mówię z własnego doświadczenia.

Temple była zbyt pochłonięta własnymi emocjami, żeby wychwycić zwierzanie Lucy.

- Max powiedział, że nie mam charakteru. Uwierzysz? Ja. Nie mam charakteru? Max zawsze tylko powtarzał - zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu - „Spokojnie, Temple, damy radę”. - Opuściła dłonie. - Mylił się.

- Jesteś pewna?

- Stuprocentowo. Pewnych problemów po prostu nie da się rozwiązać. Ale Max... - zawahała się. - To jeden z tych ludzi, dla których szklanka jest nie tylko do połowy pełna. Ona jest pełna frappuccino z czekoladą i karmelem. Takie spojrzenie przez różowe okulary.

Lucy zadała sobie pytanie, czy to nie geografia stanęła na przeszkodzie tego związku. Może Max był ze Wschodniego Wybrzeża, a Temple z Zachodniego. A może Max miał żonę. Lucy nie chciała pytać, chociaż dałaby wszystko, żeby wiedzieć.

Poczucie taktu Lucy nie pozwalało Viper na więcej. Odłożyła konewkę i podeszła do leżaków.

- Nie oglądałam zbyt często *Wyspy grubasów...* - Tak naprawdę nie widziała prawie żadnego odcinka. - Ale pamiętam, że doradztwo psychologiczne to jeden z ważnych elementów programu. - Teraz sobie przypominała. Była tam psycholożka w czerwonym bikini, która prowadziła rozmowy z uczestnikami w szafasie. Oczywiście wszystko pod okiem kamery.

- Doktor Kristi. To kretynka. Ma poważne uszkodzenia przewodu pokarmowego wywołane zbyt wieloma latami wkładania sobie palców do gardła. Wszystkie świrołapy to świry.

- Czasem doświadczenie życiowe pomaga im w pracy.

- Nie potrzebuję świrołapa, Lucy. Chociaż owszem, zauważałam, jak często podkreślasz, że jestem walnięta. Potrzeba mi silnej woli i dyscypliny.

Lucy nie zamierzała być grzeczną dziewczynką.

- Potrzebujesz też doradztwa psychologicznego. Panda nie będzie wiecznie nad tobą stał. Jeśli nie odkryjesz...

- Jeśli nie odkryję, co mnie gryzie... ple ple ple. Jezu, brzmisz zupełnie jak doktor Kristi.

- Czy wciąż zmusza się do wymiotów?

- Nie.

- No to może powinnaś jej posłuchać.

- Dobra. - Temple skrzyżowała ręce na piersiach tak agresywnie, że Lucy dziwiła się, czemu nie pękły jej żebra. - Sądziś, że potrzebuję psychologa? Byłaś pracownikiem społecznym, prawda?

- Od wielu lat już nie jestem, teraz pracuję jako lobbystka.

Temple machnęła ręką, lekceważąc rozróżnienie.

- No to proszę, doradź mi. Chcę to usłyszeć. Powiedz, co mam zrobić, żeby nie chcieć napchać się każdym kawałkiem tłustego, słodkiego, napakowanego węglowodanami syfu, jaki tylko znajdę?

- Obawiam się, że to musisz ustalić sama.

Temple zeskoczyła z leżaka i wbiegła do domu, zatrzaszukując za sobą drzwi jak wściekła nastolatka. Lucy westchnęła. To już było za dużo jak na jeden wieczór.

Kilka chwil później Panda wszedł po schodkach z przystani. Miała już dość rozmów, więc poszła do siebie.

Już spała, kiedy zadzwonił telefon. Wymacała po ciemku włącznik światła i sięgnęła po aparat.

- Cześć, Luce, mam nadzieję, że cię nie obudziłam - rozkoszny szczebiot Meg nie brzmiał szczerze. - Co tam słychać?

Lucy odgarnęła włosy z oczu i spojrzała na zegarek przy łóżku.

- Jest pierwsza nad ranem. Jak myślisz, co może być słychać?

- Serio? Tutaj dopiero północ, ale nie mam pojęcia, gdzie jesteś, więc trochę trudno mi brać pod uwagę różnicę czasu.

Lucy nabroiła, ale Meg naprawdę nie miała prawa jej krytykować. Wprawdzie Lucy nie powiedziała jej nawet, gdzie jest, nie wspominając o innych szczegółach, ale Meg zachowywała się równie wykrętnie. Mimo to Lucy wiedziała, że Meg się o nią martwi.

- To już nie potrwa długo. Powiem ci, kiedy tylko będę mogła. W tej chwili wszystko jest nieco zbyt... skomplikowane, żeby o tym rozmawiać. - Przekręciła się na bok. - Coś się stało? Masz zmartwiony głos.

- Coś się stało, to prawda. - Kolejna długa przerwa. - Co byś powiedziała, gdybym... - ton Meg podniósł się o pół oktawy - gdybym spiknęła się z Tedem? - dodała bardzo szybko.

Lucy gwałtownie wstała, całkiem rozbudzona, ale niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Spiknęła? Czyli co dokładnie?

- To.

- Z Tedem?

- Twoim byłym narzeczonym.

- Wiem, kim jest Ted. - Lucy odrzuciła prześcieradło i spuściła nogi na podłogę po drugiej stronie łóżka. - Zostaliście... parą?

- Nie! Żadną parą, no coś ty. Chodzi tylko o seks. - Meg mówiła zdecydowanie zbyt szybko. - A poza tym, zapomnij. Nie myślę teraz zbyt jasno. Nie powinnam była w ogóle dzwonić. Rany, co ja sobie myślałam. To byłaby całkowita zdrada naszej przyjaźni. Powinnam...

- Nie! Cieszę się, że zadzwoniłaś! - Lucy zeskoczyła z łóżka. Serce waliło jej jak młotem, krew tętniła we wszystkich żyłach. - Och, Meg, to wspaniale. Każda kobieta powinna chociaż raz przespać się z Tedem Beaudine'em.

- Tego nie wiem, ale... Naprawdę? Nie przeszkadzałyby ci to?

- Żartujesz? - Lucy miała zawroty głowy, drżała z radości wywołanej tym nieoczekiwanym darem niebios. - Wiesz, jaka się czuję winna? Jeśli prześpi się z tobą... Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Prześpi się z moją najlepszą przyjaciółką! To będzie jak rozgrzeszenie od samego papieża!

- Ależ nie załamuj się tak - powiedziała sucho Meg.

Lucy przeskoczyła przez szorty, które zostawiła na podłodze.

I wtedy usłyszała go w tle. Głos Teda brzmiał głęboko i harmonijnie.

- Pozdrów Lucy ode mnie.

- Nie jestem twoją sekretarką - warknęła Meg.

Lucy przełknęła ślinę.

- Czy on tam teraz jest?

- Nie da się ukryć - odparła Meg.

Stare wyrzuty sumienia zalały Lucy.

- W takim razie pozdrów go ode mnie. - Usiadła ciężko na krawędzi łóżka. - I powiedz, że mi przykro.

Meg nie mówiła już bezpośrednio do słuchawki, ale Lucy usłyszała ją bez trudu.

- Powiedziała, że jeszcze nigdy tak się nie bawiła, pieprzy się z każdym napotkanym facetem i że porzucenie ciebie to była najlepsza decyzja w jej życiu.

Lucy podskoczyła.

- Słyszałam to. I Ted będzie wiedział, że kłamiesz. On wie takie rzeczy.

Odpowiedź Teda na wymysły Meg zabrzmiała jak dzwon.

- Kłamczucha.

- Idź sobie - prychnęła Meg. - Jakiś dziwny jesteś.

Lucy chwyciła mocniej słuchawkę.

- Czy ty właśnie powiedziałas Tedowi Beaudine'owi, że jest dziwny?

- Możliwe - odparła Meg.

O rany, o rany, o rany! Lucy usiłowała się pozbierać.

- No nieźle... Tego nie przewidziałam.

- Czego nie przewidziałas? - W głosie Meg zabrzmiała irytacja. - O czym ty mówisz?

- O niczym. - Lucy przełknęła ślinę. - Kocham cię. I miłej zabawy! - Zakończyła rozmowę, podskoczyła, przycisnęła telefon do piersi. I zaczęła tańczyć wokół pokoju.

Meg i Ted. Meg i Ted. Meg i Ted.

No jasne.

No jasne, jasne, jasne! Ted nie był kobieciarzem. Nie sypiał z dziewczynami, do których nie czuł prawdziwego pociągu. A spodobała mu się Meg, najlepsza przyjaciółka Lucy, specjalistka od chrzanienia sobie życia, która wędrowała po świecie bez żadnego planu i nigdy nie martwiła się niczyją opinią.

Meg Koranda i pan Doskonały. Jej szorstkie krawędzie i jego idealnie gładkie powierzchnie. Jej impulsywność, jego namysł. Oboje mieli bystre umysły, wielkie serca i potrafili być lojalni. To był niesamowity związek, nie do przewidzenia, ale zarazem zupełnie idealny, chociaż sądząc z ich rozmowy, żadne z nich

jeszcze sobie tego nie uświadomiło. Przynajmniej Meg na pewno nie. Z Tedem nigdy nic nie było wiadomo.

Lucy bez problemu mogła sobie wyobrazić bitwy, które musieliby odegrać. Meg byłaby wyszczekana i bojowa, Ted pozornie wycofany, ale w rzeczywistości niezłomnie uparty. Gdy o nich myślała, brakujące fragmenty układanki, jaką był jej własny związek z Tedem, nareszcie wskoczyły na swoje miejsce. Między Lucy a Tedem, jedynym punktem tarcia był fakt, że Lucy nie potrafiła czuć się przy nim swobodnie. Wciąż myślała, że musi się szczególnie starać, żeby zasłużyć na takiego partnera. Meg nigdy nie przysłoby nic podobnego do głowy.

Mogli stać się parą idealną, o ile tylko niczego by nie zawalili. A to wydawało się bardzo prawdopodobne z uwagi na Meg. Niezależnie od tego, czy miało im się udać, czy nie, jedno wydawało się pewne. Jeśli Meg i Ted wylądowali razem w łóżku, to Lucy nareszcie uwolni się od poczucia winy.

Po tym telefonie była zbyt podekscytowana, żeby iść spać. Przez humorzystą klimatyzację w jej sypialni zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Otworzyła drzwi, chwyciła klapki, żeby ochronić bosc stopy przed drzazgami na tarasie, po czym wyszła na zewnątrz.

Po niebie płynęły groźne chmury. Odciągnęła mokrą koszulkę od piersi. Wiatr, odległe błyski piorunów i mroczne, tajemnicze jezioro w końcu uwolniły ją od poczucia winy.

Kątem oka pochwyciła jakiś ruch. Pewna siebie postać, szeroka w barach, wąska w biodrach, o charakterystycznym, długim kroku, zbliżała się z drugiej strony domu. Gdy Panda minął piknikowy stół, zatrzymał się, żeby się obejrzeć, ale stała w głębokim cieniu. Przeszedł przez podwórko, przyspieszając. Gdy dotarł do szczytu schodów, zatrzymał się, znów popatrzył za siebie, po czym skierował się na przystań.

Może on też nie mógł zasnąć, ale po co tyle ostrożności? Postanowiła się dowiedzieć. Zeszła z tarasu. Idąc przez podwórko potknęła się o słupek do podkuwania. Bolało jak cholera, ale Viper nie pozwoliłaby, żeby taki drobiazg jak zmiażdżony palec u nogi ją zatrzymał.

Lekko kulejąc, dotarła do stopni. Na dole widziała tylko światełko latarki. Przypomniała sobie *Wielkiego Gatsby'ego* i to, jak jej nauczyciele angielskiego fascynowali się tą książką - zamiast czytać z uczniami coś, co miałoby szansę ich zainteresować.

Schodząc, dbała o to, by nie zdradzić się kłapaniem butów, ale przy takim wietrze była to zbędna ostrożność. Gdy dotarła na dół, ostrożnie przemknęła przez skrzypiące deski, kierując się ledwo widocznym błyskiem musztardowego światła, które wylewało się z otwartego końca sfatygowanego hangaru.

Rybny zapach potarganych sztormami wód zmieszał się z wonią pleśni i benzyny, która wsiąkła w drewno. Rozlegały się ciche dźwięki jakiejś opery, której Lucy nie rozpoznała. Gdy wślizgnęła się do hangaru, zobaczyła Pandę na rufie łodzi. Był odwrócony tyłem do niej i trzymał stopy oparte na lodówce. Miał na sobie koszulkę i szorty, a jego dłoń zanurzona była głęboko w wielkiej pace chipsów.

- Podzielę się, ale tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz gadać - powiedział, nie odwracając się.

- Jakby gadanie z tobą to była największa rozkosz mojego życia - odparowała. - Szczerze mówiąc, nie jesteś dostatecznie inteligentny, żeby być naprawdę interesującym rozmówcą - dodała po prostu dlatego, że miała ochotę być nieuprzejma.

Ponownie skrzyżował stopy na lodówce.

- Powiedz to promotorowi mojego doktoratu.  
- Nie masz promotora - odparła, wspinając się na łódź.  
- To prawda. Magisterka to wszystko, na co mój mózg był w stanie się zdobyć.

- Magisterka? Ale łżesz. - Opadła na poduszkę obok niego. Uśmiechnął się.

Popatrzyła na niego, długo i intensywnie.

- Powiedz, że nie masz naprawdę magisterki.

Jego uśmiech stał się fałszywie unізony.

- Tylko ze stanowego uniwersytetu Wayne, żadna Ivy League. - Skruszył w zębach chipsa, po czym nachylił się, żeby wyłączyć muzykę. - To jeden z tych wieczorowych i zaocznych programów, z których korzystają tylko pracujące lenie. W twoim świecie się nie liczy.

Drań. Wbiła w niego wściekły wzrok.

- Cholera jasna, wołałam cię, kiedy byłeś głupi.
- Popatrz na pozytywy - powiedział, częstując ją chipsami. - Wciąż nie jestem Tedem Beaudine'em.
- Żadne z nas nie jest. - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła sobie garść chipsów. - Schodzą się właśnie z moją najlepszą przyjaciółką.
- Z Meg?
- Skąd znasz Meg.... - Jęknęła z rozkoszy, gdy sól z chipsów rozpułyła się na jej języku. - O Boże, jakie to dobre.
- Meg i ja ucieliśmy sobie interesującą pogawędkę w czasie twojej tak zwanej próbnej kolacji weselnej.
- Nie dziwi mnie to. Jesteś zupełnie w jej typie. - Wepchnęła sobie do ust więcej chipsów.
- A Meg jest w moim typie - powiedział i w tej samej chwili hangarem wstrząsnął huk pioruna. - Nie widzę jej z Tedem.

Lucy jednak widziała ich ze sobą znakomicie i w tamtej chwili nic poza tym się nie liczyło. Deszcz zaczął bębnić o dach. Chwyciła więcej chipsów i zaczęła palić u nóg o krawędź lodówki, tuż obok jego stóp.

- Masz tu jeszcze jakieś skarby?
- Może, może. - Patrzył na jej gołe nogi i nie wydawał się zachwycony. Były bardziej opalone niż zwykle, ale poza tym niczego im nie brakowało. No, może jeden siniak zaczynał żółknąć. Miała także mały odprysk na niebieskim lakierze na paznokciu stopy, z powodu potknięcia o słupek po drodze. Nie używała niebieskiego lakieru od czasów liceum. Przypomniała sobie, jak malowała Tracy paznokietki u stóp w czasach, gdy były same.

Spojrzenie Pandy przesunęło się od nóg w stronę pasiastych spodenek od piżamy. Zmarszczył się, co przypomniało Lucy o majteczkach i staniku, których nie miała pod spodem.

- Co oferujesz? - Spytał, zatrzymując wzrok na jej udach. Minę miał mało entuzjastyczną.
- Co oferuję? - Pociągnęła za miękki, bawełniany pasek boksera, co okazało się niemądre, bo obciągając je, odsłoniła znaczną partię brzucha. A może zrobiła to specjalnie, żeby odpłacić mu



się za takie nastawienie. Nie wiedziała już, co myśleć o Patricku Shadzie. Opuściła stopy na pokład. - Ile bochenków ci upiekłam?

- Chleb pokrywa twój czynsz, ale nie moje przysmaki.

- To twoja interpretacja.

- Mógłbym się po prostu podzielić. - Znów zaczął badać ją wzrokiem, tym razem zatrzymując się na obojczyku i wracając do piersi. Cieniutka tkanina bluzki prawie niczego nie zasłaniała. Panda nie miał już takiej krytycznej miny. Gdy hangarem wstrząsnął kolejny piorun, Lucy poczuła, że coś w niej się zmienia, powstała jakaś zdradziecka wibracja, podstępne tremolo, które nie miało nic wspólnego z pogodą.

Ich oczy spotkały się. Gołą stopą stracił wieczko podręcznej lodówki - ten gest nie powinien był być aż tak kuszący. Oderwała od niego wzrok, żeby zająrzeć do środka. Ale zamiast lodowego gniazda pełnego piwa i napojów gazowanych, znalazła cały skarbiec pełen chipsów, precli, doritos, lukrecyjnych pałeczek, mlecznych kulek, serowych warkoczy i masła orzechowego.

- Eldorado - szepnęła.

- Zakazany owoc - odparł, ale kiedy podniosła wzrok, patrzył na nią, nie na swój skarbiec.

Stary hangar stał się jaskinią tajemnic, tonącą w półmroku i uwodzicielską. Strużka deszczu spływająca przez dziurę w dachu plasnęła ją w ramię. Wyciągnęła rękę, dotknęła kropli czubkiem palca i rozprowadziła ją po wnętrzu obojczyka. Poczowała gęsią skórę.

- Przestań - powiedział bez przekonania.

Nie udawała, że nie wie, o czym mówi. Kropla deszczu trafiła Lucy w udo. Panda ją zauważył, ale odwrócił wzrok i sięgnął do lodówki.

- To cię pewnie nie zainteresuje - powiedział, wyciągając masło orzechowe.

- Bardzo się mylisz. - Nawet Lucy nie była pewna, czy ma na myśli masło, czy coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Łódka przechyliła się, a wiatr zmienił kierunek i uderzył chmurą wody w wejście do hangaru. Krople z dziurawego dachu zaczęły uderzać o posadzkę, a także, co było o wiele gorsze, o jedzenie.

- Szybko - Panda chwycił lodówkę i zaniósł ją do kabiny łodzi. Wchodząc, musiał się schylić.

Tego dnia zmieniła się ich relacja i podążanie za nim stanowiło niebezpieczeństwo. Lucy lubiła myśleć o nim jak o złym facecie, ale ten dzień to zmienił. Z drugiej strony wazektomia, nie wspominając już o niewiarygodnym ciebie, wzmacniała pokusę.

Viper poszła za Pandą.

Kabina była malutka, z malusieńkim aneksem kuchennym i miejscem do leżenia w kształcie litery V, wpasowanym w dziób. Panda odstawił chłodziarkę i zagłębił się w granatowe poduszki. Uśmiechnął się leniwie, otworzył słoik z masłem orzechowym, po czym zanurzył w nim precel i podał Lucy.

Dwoje dorosłych ludzi... Jedna wazektomia... Eksnarzeczony, który tej właśnie nocy kochał się z jej najlepszą przyjaciółką... Sam układ gwiazd temu sprzyjał.

Lucy przyjęła precel, po czym usiadła na poduszce po przeciwnej stronie łóżka.

- Ja nawet nie przepadam specjalnie za masłem orzechowym.

- To deprywacja - powiedział. - Przez to jeszcze bardziej chcesz spróbować tego, co jest zakazane. - To, jak na nią popatrzył, prosto w oczy, nie pozostawiało wątpliwości co do znaczenia tych słów.

Lucy miała w dłoni wymarzone uwodzicielskie akcesorium, kawałek precla z kulą masła orzechowego na jednym końcu. Inna kobieta pewnie by wykorzystała tę sytuację, ale Viper ani się to śniło. Odgryzła zębami czubek.

- Na razie tylko ja tu jem.

- I tak zacząłem pierwszy. - Otworzył torbę z lukrecjowymi pałeczkami, ale nie wyciągnął żadnej. Po prostu wpatrywał się w Lucy. Nie w jej piersi albo nogi. W nią samą, co rodziło jeszcze większą intymność. - To nie jest dobry pomysł. - Jego ochrypły głos wtopił się niemal w powietrze.

- Wiem.

- Usiłuję nie myśleć o tym, jak bardzo cię chcę.

Poczuła gęsią skórkę.

- I jak ci idzie?

- Słabo.

W kabinie było zbyt gorąco, zbyt ciasno, ale nigdzie się nie wybierała. Przeszyły ją iskry gorąca. Pożądała tego mężczyzny z jego przygaszonymi oczami, atramentowymi włosami i potężnym ciałem. Ale nie chciała wykonać pierwszego ruchu.

To nie był problem dla Pandy. Schylił głowę i błyskawicznie ograniczył przestrzeń między nimi. Wyjął jej z ręki to, co zostało z precla.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział.

- Miło mi to słyszeć - odparła. - Ale teraz naprawdę nie chcę już gadać.

Uśmiechnął się swoim uśmiechem człowieka wyjętego spod prawa, po czym pociągnął ją głębiej na posłanie. Ich zacisze przenikała tylko odrobina światła, dość, by Lucy zobaczyła błysk jego zębów, gdy pochylał głowę, żeby ją pocałować.

Nie chciała się całować w tamtym obskurnym pokoju w motelu, a przepełniony poczuciem winy pocałunek pod lotniskiem przyniósł tylko więcej zamieszania. Ten był idealny.

Rozchyliła wargi. Ich języki spotkały się w nieczystym tańcu pchnięć i odskoków - była to smakowita uwertura do grzechu. Jego ręce znalazły się pod jej koszulką, jej, pod jego T-shirtem. Wymacywała mięśnie, kości, żyły. Porzucił jej wargi, by przez chwilę torturować zębami sutek przez cienką bawełnę. Wcisnął jej nagie udo między nogi. Zaczęła się o nie ocierać, zamknęła go w ramionach.

Jakiś piorun trzasnął zbyt blisko, przywracając ich na moment do rzeczywistości. Lucy przesunęła wargi wzdłuż jego ramienia.

- Nie możemy bez prezerwatywy.

Gorący oddech Pandy owiewał jej sutek.

- Podobno nie chciałaś gadać.

- Wazektomia, czy nie, trzeba...

- Jesteśmy przygotowani - szepnął chrapliwie.

Nosił je przy sobie? Na moment rozproszyła ją myśl o znaczeniu tego faktu, ale potem znów zaczęła ją całować i pytanie się rozwiało.

Nad ich głowami zadudniły grzmoty. Łódka zaczęła się kołysać. Zerwali z siebie ubrania, a gdy byli już nadzy, wrócili do

pieszczot. Tamtej nocy w Memphis chodziło jej bardziej o zerwanie więzi z Tedem niż o seks. Tym razem było inaczej. Nie kochała się z anonimowym nieznajomym, teraz znała swojego partnera. To musiało się wydarzyć.

Ujął jej piersi w dłonie... Ścisnęła jego uda... Ich pocałunek nabrał głębi. Lekko rozwarł jej nogi, a ona nawet nie myślała o oporze.

Rozchylił ją palcami. Rozwijał, szukał. Wdzierał się na miękkie, wilgotny teren.

Jęknęła. Pozwoliła mu się bawić. A gdy już nie mogła dłużej tego znieść, przejęła inicjatywę, przekreśliła się na bok i zaczęła smakować jego ciało, jego siłę.

Kiedy Panda znalazł się na granicy, znów obrócił ją w miejscu. Przez chwilę gdzieś grzebał. I dosiadł jej. Chwycił dłońmi za jej kolana, rozdzielił je i unióśł. Przywarł do jej ciała samym twardym rdzeniem, potężnym i grubym.

Kilka chrapliwie wyszeptanych słów.

Ciche, szorstkie polecenia.

I już był w niej.

Na zewnątrz wył sztorm. Wewnątrz szalała równie wielka burza. I w końcu wszystko eksplodowało.

Nie mógł znieść tyle słodczy. Gdy drzemała w półmroku, wpatrywał się w linię jej czarnych rzęs na tle bladej cery, która wydawała się jeszcze jaśniejsza przy czarnych włosach. Powiódł kciukiem po jej policzku. Cała ta brawurowa gadka skrywała jej wewnętrzne zagubienie i wrażliwość.

W jego mózgu zawyła syrena alarmowa. Wybuch. Chrząst piasku, smak whiskey, ukąszenie pamięci. Odsunął od siebie mrok.

Przebudziła się i spojrzała mu w oczy.

- To było przyjemne.

Za słodka, za dobra.

- Przyjemne? - Spuścił ramię na drugą stronę poduszki i wymacał torebkę z cukierkami. Jedna z lukrecjowych pałeczek wypadła na łóżko. Podniósł ją, po czym musnął wargami ucho Lucy. - Będziesz musiała to odwołać.

- Czemu?

Pomachał jej przed nosem lukrecją.

- Wciąż zapominasz, że mam przewagę taktyczną.

Poruszyła się pod nim, w tych jej zielonkawych oczach zabłysło zainteresowanie.

- Chyba mam mały kłopot.

- Jeszcze jaki.

Skubnął ustami jej dolną wargę, po czym zamachnął się lukrecjowym patyczkiem. Smagnał jej sutki. Miękką skórę na brzuchu. Otwarte uda. Ich wnętrze.

- Potwór - powiedziała, kiedy przestał. - Zrób mi tak jeszcze.

Więc smagał dalej, aż w końcu wyrwała mu lukrecję i zaczęła się rewanzować. Tylko że w Lucy obudziła się uśpiona domina, która nawet w połowie nie starała się być tak delikatna jak on. Kiedy powiedział, że ma już dość, kazała mu błagać. A potem mógł już tylko ją ukarać, prawda?

Pochylił się nad poduszkami i delikatnie klepnął ją w pupę, żeby uzyskać zadośćuczynienie. Przynajmniej taki miał zamiar. Bo cała ta sytuacja stawała się mocno niejasna, a zwłaszcza to, kto tu kogo karał.

Na zewnątrz sztorm zaczynał cichnąć, ale w środku dopiero się budził.

## *Rozdział 17*

Lucy zaczęła węszyć jak krytyczna ciotka.

- To było stanowczo zbyt perwersyjne jak dla mnie.

- Widziałem. - Panda usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się zatracił w seksie. Leżeli wciśnięci w duszny dziób kabiny. Ich ciała były splecione, poduszki kleiły im się do skóry, ale sam dotyk Lucy nie wystarczał Pandzie. Uwolnił ramię, przeturlał się na łokieć i włączył jedno z malutkich światełek nad ich głowami.

Leżała na boku, a jej ramię, talia i biodro uformowały zło-cistą krzywiznę. Tatuaż ze smokiem wydawał się intruzem na

pięknej szyi. Maty nos, na szczęście wolny od kolczyka, zmarszczył się pogardliwie.

- Nigdy więcej tego nie rób.

Dotknął jej dolnej wargi, napuchniętej od pocałunków.

- Jutro o północy?

- Jeśli nie będę miała niczego lepszego do roboty.

- Nie cierpię, kiedy kobieta udaje niedostępną.

Powiodła palcem wzdłuż żyły na jego ręce.

- Naprawdę chodzi mi tylko o twoje żarcie. Jeśli w inny sposób nie dorwę się do cheetosów, trudno.

- Pragmatyczne podejście.

- Nie używaj trudnych słów. To mnie przygnębia. - Ugięła rękę pod głową, odsłaniając różany bok piersi. W tym miejscu Panda podrapał jej skórę brodą. Za nic nie chciałby jej skrzywdzić, ale gdzieś w głębi czuł prymitywną satysfakcję, widząc znak, który pozostawił na ciele Lucy.

Z letargu wyrwało go jej pytanie.

- Skąd się wzięły te kondomy?

Powinien był wiedzieć, że się do tego przyczepi.

- Z kieszeni. Chcesz jeszcze chipsów?

- Nosisz je przy sobie?

- Nie zawsze. Czasem. Nikt nie ma ochoty zarazić się sy-fem, prawda?

Wyciągnęła spod niego jeden z koszmarnych, różowych dredów.

- Więc nosisz je na wypadek, gdyby Temple zechciała wprowadzić odrobinę rozrywki do planu treningowego?

Wymierzył w nią najbardziej łobuzerski uśmiech, na jaki było go stać, w nadziei że to zamknie jej usta.

- Tak właśnie.

- Ściemniasz. Nie spalibyście ze sobą, nawet gdybyście wy-lądowali na bezludnej wyspie.

- Możesz sobie mówić.

Przyspiliła go przenikliwym spojrzeniem.

- Nie wiedziałeś, że tu przyjdę, a jednak byłeś przygotowa-ny. Czyli naprawdę nosisz je przy sobie.

- Przecież sam tak powiedziałem, nie?
- Owszem, ale nie powiedziałeś dlaczego.

Kurwa! Poddał się.

- Bo przy tobie tracę rozum. Dlatego. Nigdy nie wiem, co ty do cholery zrobisz. Ani co ja zrobię. A teraz przestań o tym gadać.

Uśmiechnęła się, podniosła rękę i pociągnęła go za jeden z tych przeklętych loczków, z tak czułym wyrazem twarzy, że natychmiast wrócił do rzeczywistości. Był eksplinierzem. Ona - prezydencką córką. Był wrakiem ze złomowiska. Ona czystym złotem. Poza tym był martwy jak całe kilometry nieurodzajnej ziemi, podczas gdy ona pulsowała życiem.

- Lucy...

- O Jezu... - Przewróciła oczami i opadła na plecy. - Teraz czeka mnie mowa. - Obniżyła głos, karykaturalnie naśladowując jego ton. - Zanim to zajdzie dalej, Lucy, muszę się upewnić, że nie obiecujesz sobie zbyt wiele. Jestem kowbojem nieujarzmionym, nie dla mnie związki, nie dla mnie żony. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Jakbym ja cię chciała ujarzmić.

- Nie to chciałem powiedzieć. - Nieprawda. Miał to na końcu języka, może nie miało zabrzmieć tak sarkastycznie, ale Lucy niewątpliwie uchwyciła główny przekaz.

- Powiedzmy to sobie szczerze, Patricku. - Kujnęła go palcem w biceps. - Może i nie mam w tej chwili jasnej wizji przyszłości, ale wiem, że są w niej dzieci. To wyklucza ciebie jako kandydata, więc wszystkie komplikacje, których wizje każe ci snuć wyłącznie paranoja, niepotrzebnie marnują tylko wątle zasoby twojego umysłu. Jesteś moją rozrywką, panie Shade. Brakującym składnikiem szalonego lata. I to musisz zrozumieć. - Klepnęła go w klatkę piersiową. - Kiedy przestaniesz sprawiać mi przyjemność, znajdę sobie kogoś lepszego. Zrozumiano?

- Sprawiać ci przyjemność?

- Podoba mi się to sformułowanie. - Spoważniała. - Chodzi o seks. I nic poza tym. Lepiej, żebyś to przyjął do wiadomości, bo jeśli nie, musimy to natychmiast zakończyć.

- Ja?! - Dokładnie to chciał usłyszeć, to chciał wiedzieć, ale nie spodobała mu się jej postawa. Co się stało z dobrze

wychowaną panną młodą, która z nim uciekła? - Kiedy chodzi o ciebie, to nigdy nie jest jedynie seks.

- Tylko ci się wydaje. Chcę seksu, im bardziej będzie wyuzdany, tym lepiej. - Spojrzała na jego krocze. - Masz jeszcze trochę lukrecji?

Powinien natychmiast przewrócić ją na plecy i pokazać, jak to na niego działa, ale wkurzył go ten lekceważący ton.

- Jestem zmęczony. - Usłyszał, że to mówi, ale nie mógł uwierzyć, że te słowa wyszły z jego ust.

- No tak. Jesteś w końcu sporo starszy - odparowała.

- Niewiele. - Zabrzmiał jak urażony dupek, ale zanim zdołał zdecydować, jak to naprawić, Lucy już wyslizgnęła się z dzioba. Skrzypnęło, gdy otarła się gołym ciałem o winyl.

- Trzydzieści sześć lat, to już z górki - zaszcebiotała. - Nie martw się, zmieniałam zdanie.

Nie chciał, żeby zmieniała zdanie, ale zaczęła już nucić jakąś melodyjkę i wciągać skape szmatki, które udawały jej ubranie. Najpierw włożyła przez głowę ten wycięty, biały top. Zaczepiła rąbkami o różowy sutek, który po chwili sprężyście odskoczył. Potem długo - bardzo długo - wkładała spodenki. Gdy dotarła do drzwi, odwróciła się do niego.

- Odpocznij sobie, skarbie. Mam wobec ciebie plany. Zobaczymy, czy dasz radę jutro.

Gdy znikła, uśmiechnął się. Chociaż przez chwilę był szczęśliwy.

Lucy przeskoczyła kilka stopni, tak zadowolona z siebie, że aż pękała. Przestało padać i zza chmur wyszedł skrawek księżyca. Nigdy jeszcze nie odezwała się do żadnego mężczyzny tak jak do Pandy. Wyłożyła mu swoje warunki, powiedziała dokładnie to, co chciała i ani jej było w głowie, czy nie uraziła jego uczuć.

Przebiegła przez trawnik, tym razem szerokim łukiem omijając słupek do podkuwania. Nie wyobrażała sobie, by Ted mógłby z nią zrobić to co Panda. Chociaż pewnie robił to z Meg. Ale Lucy zupełnie by tego nie chciała. Skrzywiła się i wyrzuciła ten obraz z myśli.



Ona i Panda... Dwoje niedopasowanych ludzi... jedna wazektomia... Dokładnie tego oczekiwała po swoich wakacjach. Okazji, żeby mogła naprawdę niegrzecznie się pobawić.

Wychodząc na taras, pomyślała o ludziach, którzy układają sobie listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią. Przyszło jej do głowy, że sama przerabiała taką odwróconą listę. Robiła rzeczy, które miałyby już za sobą, gdyby należała do innej rodziny. Szalone fryzury, niedopasowane ubrania, tatuaże. Rzuciła idealnego faceta, uciekła od własnego życia, a teraz znalazła sobie kompletnie niestosownego kochanka. Pomyślała, że wprawdzie nigdy nie wierzyła w seks bez zobowiązań, ale może wmawiała to sobie wyłącznie dlatego, że takie związki i tak nie były osiągalne dla prezydenckiej córki? Lucy Jorik nie mogła nawet pomarzyć o dzikiej rozpuszcie.

Aż do tej chwili.

Czy to mógł być klucz do jej przyszłości? Czy załatwienie wszystkiego, co ją ominęło, pozwoliłoby jej pójść naprzód z życiem?

Zasunęła za sobą drzwi, przebrała się w suche ubranie i wskoczyła do łóżka, ale była zbyt podniecona, żeby iść spać. Odwrócona lista życzeń.

Wygramoliła się z łóżka i znalazła żółty notes. Tym razem bez trudu przyszły jej do głowy właściwe słowa. Na liście, którą spisała, niczego nie brakowało. Dokładnie tego było jej trzeba.

Zgasiła światło i uśmiechnęła się do siebie. Potem pomyślała o lukrecjowej pałeczce. Zadrżała. Odwróciła się, znów wyszła z łóżka i odemknęła suwane drzwi.

Co do tego, nie było wątpliwości. Przestała być grzeczna. I znakomicie się z tym czuła.

- Czas poczytać - powiedziała Bree, otwierając drzwi na małej ganek z przodu chatki. Robiła tak codziennie od dwóch tygodni, kiedy to podjęła pewne decyzje.

- Jest lato - zaprotestował Toby. - Nie muszę czytać książek w lecie. - Chociaż się skarżył, wstał z podłogi i wyszedł za nią na zewnątrz.

Na ganku mieściły się jedynie dwa stare, brązowe wiklinowe krzesła i mały, drewniany stolik. Ustawiła na nim lampę z sypialni, żeby czytać wieczorami, gdy Toby poszedł już spać, ale pod koniec dnia była zwykle tak zmęczona, że zasypiała przed nim. Lepiej szło jej z odhaczaniem kolejnych pozycji z listy dorosłych lektur w przerwach, gdy wytapiała świeczki, malowała kartki albo eksperymentowała z nowym lakierem do mebli.

Gdy otworzyła książkę, którą czytali, zapytała siebie po raz kolejny, czemu się do tego zmuszała? Zupełnie, jakby miała mało zmartwień. Była połowa lipca. Nie mogła rozpocząć zbiorów tegorocznego miodu aż do początku sierpnia, a i to tylko przy odrobinie szczęścia. Jak zawsze panikowała z powodu braku pieniędzy. Usiłowała wymyślać nowe produkty, ale to wymagało inwestycji w materiały, a ile z tych produktów naprawdę mogła sprzedać? Przynajmniej zaczęła dostrzegać małe pęknięcia w zbroi Toby'ego - i takie same pęknięcia pojawiły się też na jej pancerzu.

Wiklinowy fotel zaskrzypiał, gdy Toby położył gołe stopy na krawędzi poduszki.

- Umiem czytać. Nie musisz mi czytać na głos, jakbym był jakimś dzieciakiem.

- Lubię czytać na głos - odparła. - W ten sposób mogę się uczyć jednocześnie z tobą.

- Ja już to wszystko wiem.

To była zupełna bzdura. Wiedział jeszcze mniej od niej, a Bree uczyła się czegoś nowego każdego dnia.

Z pomocą bibliotekarki z wyspy znalazła kilka książek o wychowywaniu dzieci w rodzinach wielorasowych, ale odkryła, że koncentrowały się wyłącznie na tym, czy białe rodziny powinny adoptować czarne dzieci. Nie było to specjalnie pomocne. Większość z tego, co udało jej się ustalić, dotyczyła pielęgnacji włosów, a z tym Toby radził sobie znakomicie sam. Żadna nie odpowiadała na najbardziej podstawowe pytanie: jak kobieta o cerze jak śnieg miała wzbudzić w złocistobrązowym chłopcu poczucie dumy z własnej rasy.

Musiała kierować się intuicją.

Zwiesił jedną nogę przez poręcz krzesła, czekając, aż Bree zacznie czytać. Do tej pory skończyli skrócone, napisane specjalnie dla dzieci biografie Fredericka Douglassa, Cookera T. Washingtona i Martina Luthera Kinga, a także historię Czarnej Ligi Bejsbolowej. Zbuntował się, gdy znalazła książkę o abolicjonistce Soujourner Truth, więc zaczęła ją sobie czytać na głos. Po kilku stronach Toby zapomniał, że był uprzedzony do książek o dziewczynach, a gdy dotarli do końca pierwszego rozdziału, sam zaczął poganiać Bree.

Chociaż była zmęczona po całym dniu, który zaczął się o wiele za wcześnie, czytała prawie godzinę. Gdy w końcu zamknęła książkę, Toby zaczął skubać sobie duży palec u nogi.

- Wypożyczyłaś dla nas kolejny film?

- *Gdy byliśmy królami*. - Wykrzywiła się komicznie. - Jest o boksie, o słynnym pojedynku między Muhammadem Alim a George'em Foremanem.

Zapomniał o palcu i popatrzył na nią z rozświetloną twarzą.

- Naprawdę?

- No wiem. Obrzydlistwo. Obejrzyjmy lepiej *Pamiętniki księżniczki*.

- Nie ma mowy!

Uśmiechnął się do niej - szczerze - i kolejny węzeł negatywnych uczuć, które w sobie nosiła, zaczął się rozluźniać. Czasem, nie często, ale czasem, Toby uśmiechał się do niej tak samo jak do Lucy.

- Nie daj się tłamsić - poradziła jej Lucy. - I szukaj okazji, żeby go dotknąć. Będzie się wrywał. Ale i tak to rób.

Bree próbowała kiedyś dotknąć dłonią ramienia chłopca, kiedy siedział przy stole, ale było to wymuszone i, jak przewidziała Lucy, Toby natychmiast się wyślizgnął. Zaprzestała tych prób. Nie zamierzała jednak zrezygnować z innych rzeczy. Odezwał się w niej dziwny upór. Toby miał poznać kulturowe dziedzictwo swojego ojca, czy sobie tego życzył, czy nie.

Spuścił stopy na podłogę i podrapał się palcem w kostkę.

- Nie musisz oglądać go ze mną. Możesz coś pomalować albo co tam chcesz.

Akurat w tym momencie „co tam chcesz” oznaczało oczekiwanie na kilkanaście szklanych ozdób gwiazdkowych z motywem pszczoł. Ilekroć myślała o swoim internetowym zamówieniu, robiło jej się niedobrze. Codziennie przybywało jej klientów, ale czy zechcą kupić latem bożonarodzeniowe ozdoby?

- Zawsze oglądamy filmy razem - powiedziała.

- No... myślę, że w sumie powinnaś obejrzeć. Jako biała...

I w ogóle musisz się wiele nauczyć.

Starała się naśladować sarkastyczne spojrzenie Lucy.

- Bo ty już wszystko wiesz, ciemnoskóry mężczyzno.

Lubił być nazywany mężczyzną, więc się uśmiechnął, Bree odpowiedziała takim samym uśmiechem. I tak uśmiechali się do siebie, dopóki Toby nie zorientował się, co robi.

- Jutro idę z Dużym Mikiem na konie - powiedział, łypiąc gniewnie.

Wciąż nie wierzyła, że Mike zaprzyjaźnił się z Tobym bezinteresownie. Z drugiej strony, dotrzymywał słowa i od czasu, gdy wybrali się razem do kościoła, rozmawiał z nią tylko kilka razy, gdy telefonicznie ustalali jego spotkania z Tobym.

- Gdybyś nie była dla niego taka podła, to pozwoliłby ci iść z nami - powiedział chłopiec, nadal patrząc na nią z pretensją.

- Nie mogę zostawić stoiska.

- Mogłabyś, gdybyś chciała. Lucy by go popilnowała.

Toby nazywał Lucy jej prawdziwym imieniem od czasu, gdy podsłuchiwał, jak Bree się do niej zwraca. Mimo to córki byłych prezydentów raczej nie mieściły się w świecie dwunastoletnich chłopców. Toby pochwalił się tylko, że od początku wiedział, że Viper to nie jest prawdziwe imię Lucy.

Rozwijająca się przyjaźń z Lucy znaczyła dla Bree bardzo dużo. Między innymi mogła liczyć na pomoc i to nie tylko w drobnych sprawach. Lucy pilnowała stoiska, dzięki czemu Bree mogła zrobić sobie przerwę. Razem odkryły, jak przymocować z powrotem wielkie drewniane drzwi do składziku na tyłach stoiska. Teraz Bree mogła zamykać na noc towary, zamiast wozić je tam i z powrotem. Bree doceniała także to, że Lucy nigdy nie oceniała jej wysiłków wychowawczych.

Toby wcisnął się głębiej w wiklinowe krzesło.

- Mike prosił, żebym zapytał, czy może mnie zabrać do kościoła w tym tygodniu. Ale ja nie chcę iść. Kościół jest nudny.

Bree była zachwycona nabożeństwem w kościele episkopalnym i bardzo chciała iść na kolejne, jednak wolała nie wpaść tam na Mike'a. Przez chwilę bawiła się okładką książki o Sojourner Truth.

- Może powinniśmy iść do kościoła, w którym nie jest nudno.

- W każdym kościele jest nudno.

- Tego nie możesz wiedzieć. Myślałam o czymś nowym.

- Nie chcę nowego. Pójdę do starego, z Dużym Mikiem.

- Nie w tym tygodniu. - Bree miała wątpliwości, gdy Lucy podsunęła jej ten pomysł, ale teraz podjęła decyzję. - W niedzielę wybierzemy się do kościoła Miłosiernego Serca.

Toby otworzył szeroko oczy z oburzenia.

- Nie możemy tam iść. To kościół dla czarnych!

To by było tyle jeśli chodzi o jej nauki. Naprawdę, jaki był w tym sens? Jeśli dziedzictwo ojca nie miało znaczenia dla Toby'ego, czemu stało się takie ważne dla Bree?

Bo było ważne.

Lucy pachniała olejkiem migdałowym, którego używała, pomagając Bree przy wyrobie kremu. Przyćmił on zapach świeżego bochenka chleba, który wisiał w torbie na kierownicy jej roweru. Codziennie odwiedzała chatkę, żeby zastąpić Bree na straganie i podjąć dalsze próby udoskonalenia karmelków z miodem. Zamierzała zanurzyć je w czekoladzie i pokryć solą morską. Jak dotąd wysiłki nie przynosiły pożądaných efektów, ale nadzieja jej nie opuszczała. Piekła również chleb w kuchni Bree, posługując się wymówką, że piekarnik w domu nie utrzymuje odpowiedniej temperatury. Miała ochotę podzielić się z Bree swoimi tajemnicami, ale nie mogła jej zdradzić sekretów Temple.

Nie pisała, a to właśnie powinna robić. Nie wiedziała, jak zacząć. Nealy była jedną z najbardziej fascynujących kobiet na świecie, ale po napisaniu kilku zdań Lucy wyrzucała do śmieci

kolejne kartki. Ojciec chciał osobistych przemyśleń, a nie hasła do Wikipedii. Za każdym razem, gdy siadała do książki, robiła jakiś błąd, ale nie bardzo wiedziała, na czym on polegał.

W chwilach, gdy nie próbowała pisać i nie pomagała na straganie, myślała o swojej odwróconej liście życzeń. Choćby dziś. Rano wstała późno i zanim opuściła ją odwaga, zrobiła dwa żarty telefoniczne. „Rozmowa jest nagrywana. Potwierdzam twoje zamówienie na pięćdziesiąt kilo świeżego nawozu. Jeśli nie chcesz, żebyśmy wyrzucili go na twój podjazd, oddzwon do nas natychmiast na numer...” I wtedy się rozłączyła.

To było maksymalnie dziecinne. Przyniosło jednak trochę satysfakcji, szczególnie że użyła telefonu Pandy, na wypadek gdyby ktoś przeszedł źródła połączeń.

Parkując przed domem, zauważyła Temple, która przeszła koło okna na górze. W ostatnim tygodniu niespodziewanie pojawił się u nich Toby, który widział, jak Temple zbiega i wbiega po schodach z pięciokilogramowymi hantlami w rękę. Zgodnie z przewidywaniami, Temple była wkurzona, ponieważ ktoś ją zobaczył. Równie mocno zabolą ją to, że Toby nie miał pojęcia, kim ona jest.

- Ma dwanaście lat - powiedziała jej Lucy.
- Tak to się zaczyna. Na początku dzieciak cię nie rozpoznaje. A potem dowiadujesz się, że jesteś czterdziestoletnią mamą piłkarza, a twoja kariera się skończyła.
- Zwariowałaś - odpowiedziała Viper. - Jesteś największą idiotką wszech czasów. Już pozbyłaś się przynajmniej siedmiu kilogramów i... - dodała nieco uprzejmiej.
- Sześciu i pół - weszła jej w słowo Temple.
- ...i bez względu na to, co na temat sądzisz, wyglądasz fantastycznie. - Zignorowała szydercze prychnięcie Temple. - Robisz to, po co tu przyjechałaś. I powinnaś się z tego cieszyć. Zrobiłaś się jednak bardziej jędzowata niż kiedykolwiek. W jaki sposób zamierzasz sobie poradzić z prawdziwym jedzeniem po tym, jak Panda przestanie cię pilnować?
- Wszystko się zmieni. Poradzę sobie. - Temple wymaszerowała z pokoju.

Lucy znała wiele kobiet, który po rozpadzie związku pocieszały się jedzeniem. Chociaż Temple prawie nie wspominała o Maksie, to, że go rzuciła, musiało leżeć u podstaw jej problemów.

Samochód Pandy właśnie wjechał na podjazd. Zaczął zostawiać Temple samą na krótki czas. W tych chwilach szedł pobięgać lub pływał kajakiem. Ostatnio dwa razy udał się do miasta. Lucy zeszła z roweru i obserwowała, jak wysiadał z samochodu.

Mięśnie pod jego przylegającą do ciała szarą koszulką rozrastały się ponad wszelkie wyobrażenie. Chociaż w tym momencie nie widziała kaloryfera na brzuchu, wiedziała, że prezentuje się okazale. Ona natomiast przytyła o kolejne dwa kilo. Wcześniej nigdy nie myślała o swojej wadze, ale teraz wykańczało ją życie w domu pełnym dietetycznego jedzenia. Kiedy tylko znajdowała się w pobliżu prawdziwego żarcia, takiego jak jej nieudane karmelki z miodem, traciła nad sobą kontrolę.

Fakt, że przybrała na wadze, nie skłonił jej do wymiany garderoby. Tandetny niebiesko-czarny top bardziej odsłaniał jej piersi niż strój kąpielowy, a jej spodenki ledwo sięgały bioder. I dobrze, chciała odsłaniać kości biodrowe, dopóki jeszcze były widoczne.

Panda szedł powoli w jej kierunku, podziwiając całość stroju: szmirowaty top i klapki na platformie. Kiwnął głową w stronę garażu.

- Chodźmy - powiedział.

- Chodźmy?

Niezbale odczepiła kolczyk z nosa i schowała go do kieszeni.

- Znasz procedurę.

- To jeszcze nie znaczy, że muszę się do niej stosować.

- Mam robotę do wykonania.

Przechyliła głowę i pociągnęła jeden ze swoich dredów.

- Olej ją.

- Popełniasz spory błąd.

Chwycił ją za ramię i siłą poprowadził przez zacieniony przez stronę domu teren. Szli w stronę garażu. Kiedy dotarli do krzywych drzwi bocznych, otworzył je kopniakiem.

- Do środka.

- Nie chcę wejść do środka. Chcę...

- Nie obchodzi mnie, czego chcesz.

Panda zatrzaskała drzwi.

Przygaszone promienie popołudniowego światła próbowały przebić się przez pokryte pajęczyną okno. W nieuporządkowanym garażu znajdowały się stare meble, pudełka, połamane krzesła plażowe i przeciekające kanoe. Wypełniał go zapach kurzu i oleju napędowego. Panda pachniał jagodami i nagrzanym ciałem. Obrócił ją i, kładąc jej rękę na karku, przycisnął do ściany.

- Rozstaw nogi.

- Przerażasz mnie.

- Cieszę się.

- Nic nie przemycam. Przysięgam.

- Więc nie masz się czym martwić - warknął skrajnie nieprzyjemnym i przerażającym głosem.

- Myślę... że nie.

Położyła ręce na chropowatych belkach, ale nie rozstawiła nóg.

Rozdzielił je kopnięciem.

- Nie udawaj, że nie wiesz o co chodzi. Wiesz, co masz robić. - Lekko targał jej włosy - Nie lubię tego tak samo jak ty - szepnął chrapliwie.

Właśnie widzę, pomyślała.

Kiedy przesunął rękoma po jej bokach - od pach do ud - Lucy zamknęła oczy.

- Mówiłam ci już, że jestem czysta - powiedziała.

- Dlaczego jakoś nie mogę w to uwierzyć?

Objął ją od tyłu, sięgając dłońmi do obojczyków, a potem aż do piersi.

Popatrzyła na niego przez ramię.

- Nie mów tego, co powiedziałaś ostatnim razem.

- Co to było?

Otarł się nosem o jej ucho.

- Że niczego tu nie ma.

Uśmiechnął się, wsunął kciuki w miseczki jej stanika i odnalazł sutki.

- Jak bardzo się myliłem.



Przestał miętosić jej piersi i znalazł sobie nowe terytorium, nogi Lucy ugiwały się w kolanach, a skóra stanęła w płomieniach. Szukając głównego celu, szybko przesuwał rękami po jej biodrach i udach.

- Myślę, że coś czuję.

Nie tylko on tak myślał.

- To jest nielegalne - powiedziała, kręcąc biodrami.

- Stawiasz opór przy zatrzymaniu.

Pociągnął za zamek od jej spodenek.

- Teraz muszę przeszukać cię dokładniej.

- O nie, tylko nie to.

Nie mogła brzmieć bardziej nieprzekonująco.

- Sama się o to prosiłaś.

Przysunął sobie jej nogi i zdarł spodenki razem z majtkami.

- Staram się być dobrym człowiekiem, ale to jest trudne.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

Przywarł do niej, żeby jasno wyrazić swoją opinię.

Liczba miejsc, które zbadał na jej ciele, była zadziwiająca.

W końcu Lucy zaczęła protestować, bez przekonania.

- Baton nigdy by tam nie wszedł.

- Zawsze jest ten pierwszy raz - powiedział ochrypłym głosem. Oddychał równie szybko jak ona.

- Brutalność policji - zdołała powiedzieć, kiedy on bawił się jej spodenkami.

- To będzie bolało tylko przez chwilę.

To w ogóle nie będzie bolało, pomyślała Lucy. Co do „chwilki”... To było mało prawdopodobne. Panda potrafił wytrzymać zadziwiająco długo.

- Przygotuj się.

Odchylił jej biodra.

- Czekaj...

- Za późno.

Wziął ją od tyłu.

Jego jęk zgłuszył jej sapanie. Przywarł ustami do karku Lucy. Ona przytuliła się do niego, cała w objęciach wielkich rąk Pandy. Otoczeni przez kurz i pamiątki po życiu innych ludzi, oddali się

swojej grze. Scalili się w jedno, dawali, wykorzystywali, i znów dawali. To był prymitywny seks. Niewyrafinowany i lubieżny. Seks dla złych dziewczyn. Tego właśnie chciała.

- Nie patrz na mój brzuch - zastrzegła Lucy, wkładając majtki.

Musnął palcem jej policzek.

- Ponieważ?

- Jest okrągły.

- Aha.

- Nie musisz mówić tego w taki sposób.

Włożyła spodenki i wciągnęła brzuch, żeby je dopiąć. Sama zaczęła zabawę w rewizję osobistą, kiedy pewnego razu zaciągnęła go do garażu po krótkiej wyprawie do miasta. Udawała, że Panda próbuje przesmuglować mięsne patyczki. Odpowiedział, że patyczek nie jest słowem, którego by użył. Przyparła go do ściany i oznajmiła, że to ona o tym zdecyduje. Ostatecznie przyznała mu rację.

- To twoja wina, że tyję - stwierdziła. - Fakt, że w tym domu jest tylko pieprzone dietetyczne jedzenie, doprowadza mnie do szału.

Zmarszczył brwi z zadowoleniem, ale nie skomentował użycia wulgaryzmu.

- A nie ma to nic wspólnego z gównem, którym karmię cię wieczorami na łodzi?

- Właśnie - potaknęła. - Gdybym miała przyzwoite jedzenie, nie musiałabym się objadać twoim śmieciowym żarciem.

- Masz rację, moja wina. Obiecuję. Nigdy więcej chipsów ani lukrecyjnych pałeczek. Poprawię się.

- Ani mi się waż.

Zaśmiał się i wziął ją w ramiona, jakby chciał ją pocałować. Ale tak naprawdę robili to tylko, kiedy szli ze sobą do łóżka. Było to pocałunki, podczas których wkładali sobie głęboko języki w usta. Poruszając nimi, naśladowali to, co działo się z ich ciałami. Seks z Pandą był jak film porno, tyle że bez widza.

Puścił ją wolno i poszedł dokonać inspekcji stosu śmieci. Znów nie mógł sobie znaleźć miejsca. W przeciwieństwie do

Lucy, Patrick czuł się rozdrażniony uwięzieniem na wyspie. Chciał, żeby coś wreszcie zaczęło się dziać.

Kiedy Lucy wkładała sandały na platformie, Panda zerknął na lustro, którego ramę zdobiły pokruszone muszcelki.

- Czy ono nie stało wcześniej w łazience na dole?

- Nie.

Uwielbiała kłamać. To było nowe doświadczenie.

- Kłamczucha. Widziałem je tam jeszcze wczoraj.

- Serio? Jak na gliniarza jesteś mało spostrzegawczy.

- Nieprawda, do cholery! Przestań przestawiać rzeczy w moim domu. I przestań majstrować przy mojej świni!

- Nie podoba ci się przepaska na oku? Myślę, że...

Urwała, kiedy zauważyła, że Panda podnosi z brudnej podłogi w garażu zwinięty kawałek żółtego papieru, który pochodził z jej notatnika. Wyciągnęła rękę.

- Musiał wylecieć z kieszeni, kiedy zdzieralesz ze mnie spodenki.

- Nie zdzieralem. Co to, do cholery?

Hołdując swojej podejrzliwej naturze, rozwinął papier i zaczął czytać.

- Oddaj mi to.

Próbowała wyrwać mu kartkę, ale trzymał ją poza zasięgiem jej rąk i czytał nad jej głową.

- Odwrócona lista życzeń?

- To moje prywatne sprawy.

- Nikomu nie powiem. - Przejrzał kartkę i wyszczerzył zęby. - Szczerze mówiąc, byłbym zażenowany.

Kiedy wreszcie opuścił rękę, było już za późno. Wszystko przeczytał.

### *ODWRÓCONA USTA ŻYCZEŃ*

*Uciec z domu\**

*Ubierać się wyzywająco\**

*Spać z kim popadnie*

*Używać jak najczęściej słów na P\**

*Upić się w miejscu publicznym*

*Pieścić się w miejscu publicznym*

*Zapalić jointa*

*Wdać się w bójkę\**

*Wykonać głupi telefon\**

*Iść spać bez zmycia makijażu\**

*Pływać nago*

*Wstawać późno\**

*Drapać się, bekać, itd. \**

- Iść spać bez zmycia makijażu. - Patrick zagwizdał. - To prawdziwe życie na krawędzi.

- Masz pojęcie, jaki to ma niszczący wpływ na skórę?

- Jestem pewien, że teraz w każdym momencie będziesz miała odwagę to zrobić.

Stuknął palcem w kartkę.

- Co oznaczają gwiazdki?

Dobra Lucy próbowałyby zmienić temat, ale Viper miała w nosie, co Panda sobie pomyśli.

- To rzeczy, które robiłam, kiedy miałam czternaście lat, i z których niestety zrezygnowałam. Zamierzam to naprawić i jeśli uważasz, że to głupie, masz problem.

Zadrżały mu kąciki ust.

- Głupie? Wyciąć komuś numer przez telefon? Dlaczego miałbym sądzić, że to głupie?

- Tego prawdopodobnie nie zrobię - powiedziała niewinnie.

Spojrzał na jej top.

- Ubierasz się wyzywająco, ale bez przesady. Nie narzekam.

- Dzięki. Musiałam zamówić parę rzeczy przez Internet, ale wydaje mi się, że wyszło w porządku.

- Bez wątplenia.

Pstryknął palcami o kartkę.

- Palenie trawy jest nielegalne.

- Doceniam pana troskę, funkcjonariuszu, ale jestem pewna, że to nie powstrzymało pana przed spróbowaniem.

Przeszedł dalej.

- Nigdy nie pływałaś nago?

- Pozwij mnie.

- Ale powiesz mi, kiedy będziesz gotowa to zrobić, tak?  
- Jeśli, kurwa, będę o tym pamiętać.  
- Jeżeli zamierasz używać tego słowa, przynajmniej rób to w odpowiednich momentach. Brzmisz śmiesznie.

Zmarszczył brwi.

- Obmacywać się w miejscu publicznym? Ja tego nie zrobię, więc musisz to wykreślić z listy.

- Jasne. Znajdę kogoś innego.

- Chyba śnisz, do cholery! - warknął. - I możesz odznaczyć spanie z kim popadnie, ponieważ robisz to ze mną.

- Nie ma mowy. „Z kim popadnie” oznacza tyle co: z więcej niż jednym facetem.

- Już zapomniałaś o Tedzie?

- To się nie liczy. On mi się oświadczył.

Wydawało się, że Panda miał coś na ten temat do powiedzenia, ale to przemilczał. Wskazał natomiast bazgroły na marginesie kartki.

- Co to jest?

Cholera! Uśmiechnęła się szyderczo.

- Hello Kitty.

Wyszczrzył zęby.

- Zła kobieta.

Bazylia stojąca na metalowej półce zaczęła lekko wędznąć. Lucy wstała z sofy, żeby ją podlać, oberwała parę martwych liści geranium, a później usiadła w innym miejscu. Pokręciła długopisem między palcami i zaczęła pisać.

„Dla mojej mamy najważniejsze są potrzeby dzieci. Wzięło się to zapewne stąd, że jako nastolatka odwiedzała chore maluchy w szpitalach i obozach dla uchodźców...”

O tym szczegółowo pisał dziadek Lucy i nie byłby zadowolony, że wnuczka powtarza temat.

Podarła stronę, wyjęła z kieszeni odwróconą listę życzeń i dopisała kolejny punkt: *Nie odrabiać prac domowych.*

A później dodała gwiazdkę.

Bree jeszcze nigdy nie czuła się bardziej nieswojo. Fakt, że czarni Amerykanie chodzili do kościołów dla białych, nikogo nie dziwił, gdyż dzięki temu biali parafianie mieli przyjemne poczucie, że nikogo nie wykluczają. Ale to, że Bree była jedyną białą osobą w jedynym na wyspie kościele dla czarnych, wprawiało ją w zakłopotanie. Nie lubiła się wyróżniać. Jednak gdy odźwierny poprowadził ich do głównej nawy w kościele misyjnym Miłosiernego Serca, Bree nie zauważyła żadnej równie jasnej twarzy.

Odźwierny wręczył im biuletyny i wskazał ławkę w drugim rzędzie. Nici z planu zajęcia miejsca z tyłu.

Usiedli i niepokój Bree narastał. Czy właśnie tak czuła się samotna czarnoskóra osoba, która żyła w świecie białych? A może to po prostu jej „zwykłe” poczucie braku bezpieczeństwa. Czytane książki nadmiernie wyostrzyły w niej świadomość spraw rasowych, co w tej chwili jej nie pomagało.

Kościół Miłosiernego Serca był drugim najstarszym kościołem na wyspie. Opuszczony przez poprzedniego właściciela budynek z czerwonej cegły, który nigdy nie otrzymałby punktów za styl. Aczkolwiek wyglądało na to, że przestronne prezbiterium zostało niedawno przebudowane. Ściany miały kolor kości słoniowej, a wysoki sufit wyłożono białym drewnem. Ołtarz pokrywał purpurowy obrus, a na przedniej ścianie wisały trzy srebrne krzyże. Parafia nie liczyła wielu osób, a w powietrzu unosiły się zapachy perfum, płynu po goleniu i orientalnych lilii.

Ludzie siedzący w pobliżu uśmiechnęli się na powitanie. Mężczyźni mieli na sobie garnitury. Starsze kobiety nosiły kapelusze, a młodsze włożyły jasne, letnie sukienki. Po otwierającej mszę pieśni, kobieta, która okazała się diakonisą, a nie, jak przypuszczała Bree, pastorem, powitała wiernych, a potem poinformowała o nadchodzących wydarzeniach. Kiedy diakonisa spojrzała na nią, Bree poczuła, że zalewa się rumieńcem.

- Widzę, że mamy dziś gości. Czy możecie się przedstawić?

Bree nie była na to przygotowana i zanim zdążyła coś powiedzieć, usłyszała głos Toby'ego.

- Nazywam się Toby Wheeler - powiedział. - A to jest Bree.  
- Witajcie, Toby i Bree - powiedziała kobieta. - Dzisiaj Bóg pobłogosławił nas, przywodząc was tutaj.

- Na pewno - wymamrotał Toby pod nosem w chwili, gdy parafianie powiedzieli chórem „amen”. Ale w przeciwieństwie do swojego cynicznego wychowanka, Bree zaczęła się czuć swobodniej.

Rozpoczęła się msza. Bree była przyzwyczajona do zimnej religii, opartej na rozumie, a tu zetknęła się z czymś ciepłym i żywym - z głośnym błaganiem i chwaleniem Pana. Po mszy podeszło do niej tak wielu ludzi, że straciła rachubę w liczeniu. I nikt nie zapytał, co robi w ich kościele taka jasna twarz. Kobieta rozmawiała z Tobym o programie szkółki niedzielnej, a pastor - człowiek, którego Lucy widziała w sklepie z ozdobami - powiedział, że liczy na to, że przyjdą ponownie.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Bree, kiedy wracali do jej mocno wysłużonego chevroleta cobalta.

- Było w porządku. - Wyciągnął koszulkę ze spodni. - Ale moi przyjaciele chodzą do kościoła Dużego Mike'a.

Toby mówił o swych jedynych przyjaciółkach - bliźniakach, których obecnie nie było na wyspie. Myra nie pomogła mu, izolując od innych dzieci.

- Może tutaj znalazłbyś nowych przyjaciół - powiedziała.

- Nie chcę. - Otworzył drzwi do samochodu. - Zadzwoń do Dużego Mike'a i powiem mu, że w przyszłym tygodniu pojedę z nim do kościoła.

Czekała, aż przygniecie ją znajomy ciężar porażki i... Nic się nie wydarzyło! Zanim Toby zdążył zatrzaskać drzwi, chwyciła je i pochyliła się.

- Ja tu rządzę. Podoba mi się w tym kościele i w przyszłym tygodniu tutaj wrócimy.

- To niesprawiedliwe.

Toby próbował walczyć i zamknąć jej drzwi przed nosem, ale Bree nie pozwoliła mu na to.

- Życie jest niesprawiedliwe. Musisz się do tego przyzwyczaić. - Naśladowała ton głosu Lucy i postawiła na swoim.

- Czarni, czarni, czarni. O niczym innym nie myśli - poskarżył się Toby. Jego okolone grubymi rzęsami piwne oczy pałały wściekłością. - We mnie też widzi tylko kolor. „Czarne dziecko”, a nie Toby’ego. Jest uprzedzona. Jest rasistką.

- Rasistką - poprawiła zza lady Bree, przybijając do ściany nową półkę. Musiała przedtem przenieść w bezpieczne miejsce swoje drogocenne świąteczne ozdoby z trzmielami. Cieszyły się takim powodzeniem, że złożyła drugie zamówienie.

- Rasistka - powtórzył Toby. - Tak jak Ames w *Korzeniach*.

- Sadystyczny nadzorca - wyjaśniła Bree, wychylając się na chwilę.

- Dobrze - powiedziała Lucy

Uśmiechnęła się. W ostatnim tygodniu Bree oglądała z Tobym stare miniseriale i trudno było rozstrzygnąć, które z nich bardziej się w to zaangażowało.

- Dzieci powinny znać swoje pochodzenie - wyjaśniła Lucy. - Bycie Afroamerykaninem jest częścią twojego dziedzictwa. Mój brat Andre ma podobnie.

- A co z moją białą częścią? - sprzeciwił się Toby - Co powiesz o tym?

Głowa Bree ponownie wynurzyła się spod łady.

- Mówiłam ci już. Twoja babcia wywodziła się z kręgu farmerów z Vermontu.

- To dlaczego nie uczymy się o nich? - odparł. - Dlaczego jedna część jest ważniejsza od drugiej?

Bree nie ustępowała.

- Nie ważniejsza. Ale znacząca.

Bree znowu zanurkowała pod ładę.

Pomimo tej sprzeczki Lucy odkryła zmianę w ich stosunkach. Patrzyli sobie w oczy i częściej rozmawiali, choć te wymiany zdań często prowadziły do kłótni. Zauważyła również, że coś się zmieniło w Bree. Wyprostowała się, mniej paliła i mówiła z większą pewnością siebie. Było tak, jakby terapeutyczne moce jej miodu działały też na nią.

Tego dnia Lucy próbowała przekonać Temple, żeby przestała ćwiczyć pięć razy dziennie i rozważyła podejście „wystarczają-



co dobrze". Temple nie kupiła tego, co nie było zaskoczeniem. Lucy lepiej poradziła sobie z wyrobem chleba, która upiekła w kuchni Bree. Teraz kończyła pomagać Bree przy malowaniu czterech starych leżaków. Nanosiły na nie niebieskofioletową, jasnoniebieską, brzoskwińową i jasnożółtą farbę. Klienci mogli by się w nich wygodnie rozsiaść. Miały stać pod starym dębem, który osłaniał stragan. Bree miała również nadzieję, że radosne kolory przyciągną uwagę kierowców przejeżdżających samochodów.

I może leżaki faktycznie zadziałały, ponieważ Lucy usłyszała zatrzymujący się za nią samochód. Obróciła się i zobaczyła ciemnoszarego suwa z rejestracją z Illinois. Serce zaczęło jej bić mocniej. O ile wiedziała, Panda zatrzymał się tutaj pierwszy raz od czasu, kiedy odpuścił nieco Temple i wyprawiał się na krótkie wycieczki do miasta. Wsiadł i podszedł do niej swobodnym krokiem.

- A więc to tutaj przesiadujesz.

Kiwnął głową w stronę Toby'ego.

- Cześć, Toby. Czy Lucy zrobiła dzisiaj jeszcze jakiś chleb?

Toby zaczął czuć się bardziej swobodnie w obecności Pandy.

W ostatnim tygodniu poszli nawet razem popływać kajakiem.

- Z pszenicy. Ale i tak jest dobry.

- Wiem. Lubię piętki.

- Ja też.

- Zrobione - oznajmiła Bree.

Uderzyła ostatni raz młotkiem i wyłoniła się spod lady.

- Och, przepraszam - powiedziała, spostrzegając Pandę. -

Tak bardzo hałasowałam, że nie usłyszałam samochodu. W czym mogę pomóc?

Lucy wysunęła się naprzód.

- Bree, to jest Patrick Shade, znany jako Panda. Panda, to Bree West.

- West?

Uśmiech zniknął z twarzy Pandy. Nienaturalnie zamilkł, szorstko skinął głową i bez słowa wsiadł do samochodu, po czym odjechał.

## Rozdział 18

*Suzanne* M z oczu. Bree szybko odwróciła się w stronę półek, które wypełniały stragan. Zaczęła przewieszać świąteczne ozdoby z trzmielami na gałęzi, którą podwiesiła nad słoiczkami z balsamami do ust, świecami z pszczelego wosku i mydłami w kształcie kwiatów. Rozmieszczała je byle jak, nie próbując zachować równowagi kompozycji.

Kiedy Toby poszedł się napić, Lucy spróbowała dowiedzieć się, co się właśnie stało.

- Czy wy się znacie z Panda?

Wystawowa gałąź zaczęła się przechylać. Bree przewiesiła dwie ozdoby w inne miejsce.

- Nigdy go nie spotkałam.

- Ale go znasz?

Bree zmieniła pozycję kolejnej ozdoby.

- Nie.

Lucy jej nie uwierzyła.

- Może chciałabyś mi jednak trochę zaufać.

Bree przesunęła koszyk z mydłami parę centymetrów w lewo. Uniosła ramiona i odetchnęła głęboko.

- Kiedyś mieszkałam w tamtym domu.

Lucy była skonsternowana.

- W domu Remingtonów?

Bree nerwowo szukała papierosów w kieszeni.

- Sabrina Remington West. Tak się nazywam.

- Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś?

Bree popatrzyła przez drzewa w kierunku swojego starego domu. Tak długo milczała, że Lucy straciła na dzieję na odpowiedź.

- Nie lubię o tym mówić. Ani myśleć, co jest absurdalne, ponieważ robię to przez cały czas - powiedziała wreszcie.

- Dlaczego?

Bree głębiej wsadziła ręce do kieszeni.

- Mam wiele wspomnień związanych z tym domem. Raczej skomplikowanych.

Lucy rozumiała taki rodzaj wspomnień.

- W okresie dorastania spędzałam tam każde lato - rzekła Bree. - Przestałam tam przyjeżdżać, gdy skończyłam osiemnaście lat, ale reszta mojej rodziny używała tego domu do śmierci taty, wtedy mama przeniosła się do domu opieki. Wreszcie posiadłość zrobiła się zbyt droga w utrzymaniu i moi bracia wystawili ją na sprzedaż.

- I Panda ją kupił.

Skinęła głową.

- Słyszałam o nim, ale nigdy go nie spotkałam. Chwila, w której go wreszcie zobaczyłam, była dla mnie szokiem. - Spojrzała na swoje zniszczone paznokcie. - Trudno mi z myślą, że mieszka tam ktoś inny. Powinnam ci powiedzieć, ale nie przywykłam do zwracania się innym osobom - dodała przeproszającym tonem.

- Naprawdę nie musisz mi nic wyjaśniać.

- Nieprawda. Twoja przyjaźń liczy się dla mnie bardziej, niż sobie możesz wyobrazić. - Znowu zaczęła przeszukiwać kieszenie. - Gdzie są moje papierosy, do cholery?

- Zostawiłaś je w chatce, pamiętasz? Próbowałaś rzucić.

- Nonsens.

Rozsiadła się w jasnożółtym leżaku.

- Wiedziałam, że Scott miał kochanki - powiedziała niemal wzywającym tonem.

Lucy nie od razu podchwyciła nowy temat rozmowy.

- Twój mąż?

- Tylko w papierach.

Bree skrzywiła gorzko usta.

- Pochlebiało mi, że się we mnie zakochał, ale zaledwie po dwóch latach małżeństwa zaczął mnie zdradzać. Odkryłam to natychmiast.

- To musiało boleć.

- Bolało, ale go usprawiedliwiałam. Miał tytuł naukowy. Ja po pierwszym roku rzuciłam studia, żeby za niego wyjść. Stwierdziłam więc, że nie jestem na tyle mądra, żeby utrzymać jego zainteresowanie. Ale dalej to robił i, uwierz mi, te inne nie były zbyt inteligentne.

- Co powiedział, kiedy stanęłaś z nim twarzą w twarz?

Położyła łokieć na krześle i mocno chwyciła się za drugie ramię.

- Nie zrobiłam tego. Udawałam, że nie wiem - powiedziała zbolalym głosem. - Wyobrażasz to sobie? Jak można być takim tchórzem?

- Musiałaś mieć powody.

- Pewnie. Nie chciałam rezygnować z mojego życia. - Gapiła się pusto na drogę. - Ominął mnie ruch feministyczny. Nie miałam ambicji zawodowych. Chciałam mieć to, co miały kobiety, które mnie otaczały, gdy dorastałam. Męża, dzieci i związane z tym szczęście. Scott nawet nie chciał rozmawiać o dzieciach.

Wstała z krzesła.

- Chciałam mieć piękny dom. Nigdy nie martwić się o pieniądze. Znać dokładnie swoje miejsce. Tak bardzo pragnęłam bezpieczeństwa, że zamierzałam sprzedać szacunek do samej siebie, żeby tylko to osiągnąć. Nawet pod sam koniec... Rok temu... - Zamilkła, otuliła się rękoma. Miała posepny wyraz twarzy. - To nie ja odeszłam. To on mnie opuścił. Wytrzymałam do ostatniej chwili, wierna żona, którą można pomiać.

Serce Lucy wypełniło się litością.

- Bree...

Przyjaciółka nie chciała na nią spojrzeć.

- Jaka kobieta pozwala się traktować w ten sposób? Gdzie była moja duma? Mój charakter?

- Może teraz właśnie je odzyskujesz.

Ale Bree była zbyt pogrążona w nienawiści do siebie, żeby dać się pocieszyć.

- Kiedy patrzę w lustro, czuję tylko obrzydzenie.

- Wyczyść lustro i spojrzij jeszcze raz. Ja widzę niesamowitą kobietę. Stworzyłaś własny biznes i jesteś odpowiedzialna za dziecko, które potrafi dać w kość.

- Jaki biznes. Podupadły stragan na końcu świata.

- Nie jest podupadły. Rozejrzyj się. To jest król straganów. Masz tu najlepszy miód, jaki kiedykolwiek jadłam, nowi klienci

zatrzymują się cały czas, wystawiasz coraz więcej produktów i zarabiasz pieniądze.

- I od razu inwestuję je w nowe słoiki i świąteczne ozdoby, nie wspominając już o foremkach na mydła i kilkunastu kilogramach masła kakaowego na płyny kosmetyczne. Co się stanie, kiedy nadejdzie Święto Pracy i turyści odjadą? Co będzie, jak przyjdzie zima, a Tobie zaczniesz się buntować na poważnie?

Lucy nie znalazła na to łatwej odpowiedzi.

- Jak dotąd, ze wszystkim dałaś sobie radę. I dalej też tak będzie.

Wiedziała, że nie przekonała Bree. Odezwała się w niej potrzeba polepszania nastroju innym.

- Jeśli Scott pojawiałby się dzisiaj i powiedział, że popełnił błąd? Jeśli chciałby, żebyś do niego wróciła i obiecałby, że cię już nigdy nie zdradzi? Co byś zrobiła?

Bree pomyślała chwilę.

- Jeśli przyszedłby tu Scott? - powtórzyła powoli.

- Hipotetycznie.

- Jeśli Scott zjawiałby się tutaj... - Zaciśnęła szczęki. - Powiedziałbym mu, żeby się walił.

Lucy uśmiechnęła się szeroko.

- Tak właśnie myślałam.

Tego popołudnia Lucy zaczekała, aż Panda skończy trening, po czym poszła na górę go poszukać. Opowieść, którą usłyszała od Bree, wyjaśniała Lucy jej reakcję na spotkanie Pandy, ale dalej nie rozumiała, dlaczego on się tak zachował. Stał na środku małej, przepełnionej rzeczami sypialni, w której się ulokował. Kiedy zdejmował wilgotną koszulkę, widok jego spoczonej, przesadnie wyrzeźbionej klatki piersiowej odwrócił jej uwagę. Ale tylko na moment.

- Dlaczego byłeś taki nieuprzejmy dla Bree?

Usiadł na brzegu łóżka, żeby zdjąć trampki.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że wiesz. - Jeden z butów uderzył o ziemię. - Kiedy cię przedstawiłam, rzuciłeś się do samochodu i zwiąłeś

jak nastolatek, któremu nie wolno się spóźnić do domu. Nie powiedziałaś nawet „cześć”.

- Jestem chamem i tyle.

Drugi trampek uderzył głucho o ziemię.

- Jeśli tylko chcesz, potrafisz się odpowiednio zachować.

Zwinął skarpetki w kulki.

- Muszę iść pod prysznic.

- To może poczekać.

Ale najwidoczniej nie miała racji, ponieważ przeszedł koło niej i udał się korytarzem do łazienki. Usłyszała szcęk zamka.

Unikał jej przez resztę popołudnia. Poprawiała czarny lakier na paznokciach, ufarbowała dredy i ponownie naniosła tatuaż ze smokiem. Potem poszła na górę pozawracać głowę Temple. Okazało się to wielkim błędem. Czekają ją ćwiczenia i pełen uszczypliwości wykład o tym, jak idiotyczne były pomysły Lucy na podejście do treningu, które dało się streścić w motto „wystarczająco dobrze”. Lucy wyszła spocona i wkurzona.

Temple odrzuciła jej wszystkie propozycje kulinarne i zapowiedziała, że nie zje niczego oprócz zielonej sałaty. Tego wieczoru znowu zaserwowali sobie mrożonki - suchego indyka, rozgotowany, brązowy ryż i rozgnieciony pasternak. Lucy użyła wyrażenia, które uwielbiała jako czternastolatka.

- To jest do bani.

- Tak jak bycie grubym - odparła zadufana Temple.

- I jak ty - burknęła Lucy.

Panda podniósł brwi. Temple sięgnęła ręką przez stół i klepnęła Lucy w rękę.

- Ktoś tu ma zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Panda trzasnął łokciem o stół.

- Przysięgam na Boga, jak jeszcze raz usłyszę o zespole napięcia przedmiesiączkowego, skurczach albo nawet o kobiecym trądziku, wysadzę coś w powietrze.

Temple machnęła beztrąsco ręką w stronę drzwi. Panda patrzył gniewnie. Lucy jeszcze nie zdołała dopaść go samego, a nie chciała rozmawiać o wydarzeniach przy straganie w obecności

Temple. Dlatego, aby dać upust swojemu podłemu nastrojowi, wybrała sobie inny cel.

- Nienawidzę tego stołu.

- Trudno.

Temple prychnęła.

- On lubi otaczać się paskudztwami. To przypomina mi o jego okropnym dzieciństwie.

- Jak bardzo okropnym? - spytała Lucy. - Nigdy nic mi o tym nie mówił.

- Mój ojciec był handlarzem narkotyków. Kiedy miałem dwa lata, został zastrzelony przez niezadowolonego klienta - odparł Panda rzeczowym tonem. - Mama była narkomanką. Mieliliśmy szczury w mieszkaniu. Temple najbardziej lubi tę część historii.

- I Panda kradł jedzenie, żeby nie chodzili głodni - dodała Temple radośnie. - Czy to nie smutne?

Lucy odsunęła talerz. Wydało jej się niesprawiedliwe, że Temple wie o nim więcej od niej.

- Czego jeszcze się dowiedziałaś?

- Ukończył studia z wyróżnieniem - powiedziała Temple.

Panda zmarszczył brwi. Wyraźnie nie lubił informacji, które przeczyły temu, że stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

- Skąd to wiesz? - zapytał.

- Google - powiedziała, pociągając nosem. - Chyba nie sądzisz, że dalej bym cię zatrudniała, gdybym nie sprawdziła, kim jesteś?

- Więc wrzuciłaś mnie w wyszukiwarke? Jesteś naprawdę świetnym detektywem.

- Był też w wojsku - kontynuowała Temple. - Nudy. Niestety nie znalazłam wzmianki o żadnej romantycznej historii. Ale myślę, że możemy bezpiecznie założyć, że zostawił za sobą wiele złamanych serc.

- Albo nieoznakowanych grobów - dopowiedziała Lucy, co tylko rozbawiło Pandę.

Jak Temple mogła ćwiczyć z nim każdego dnia i nie chceć zedrzeć z niego ubrań? Temple wołała w przerwach od ćwiczeń

gapić się przez okno. Lucy przyglądała się długiemu ścięgnu, które biegło wzdłuż szyi Pandy. Chciała je ugryźć. Przyłapała ją na tym i spojrzął na Lucy tak, żeby miała świadomość, że doskonale wie, o czym ona myśli.

Tego wieczoru Panda nie wszedł przez rozsuwane drzwi Lucy, a w hangarze nie paliło się zapraszające światło. To była pierwsza noc, której nie spędzili razem, od początku ich romanсу. Dało jej to do myślenia... Jeśli jego znajomość z Bree wiązała się tylko z tą nieruchomością, dlaczego był taki tajemniczy?

Następnego ranka padał deszcz, co dobrze współgrało z jej nastrojem. Co Panda przed nią ukrywał? Chciała, żeby ich relacje opierały się na szczerości - bez żadnych ciemnych zakamarków albo mrocznych tajemnic, o których mogłaby myśleć w chwilach, gdy nie spędzali czasu razem. Włożyła na siebie żółty płaszcz przeciwdeszczowy, który ktoś z rodziny Remingtonów - może sama Bree - zostawił w szafie na górze. Potem ruszyła przez mokrą trawę. Zamierzała iść najpierw do lasu, ale zamiast tego skręciła na północ. Był to skalisty teren i Lucy początkowo nie wiedziała, że stanowi część posiadłości. Kiedy dotarła na szczyt stromego zbocza, była mocno zdyszana.

Panda stał na skraju urwiska w miejscu, gdzie - jak sądziła Lucy - zwykle oddawał się ponurym rozmyśleniom. Miał na sobie ciemnoszarą kurtkę i džinsy. Nie włożył czapki. Jego włosy były mokre i potargane przez wiatr. Popatrzyła na jego śniadą, mokrą od deszczu twarz. Wyglądało na to, że jej obecność go specjalnie nie ucieszyła.

- Wczoraj brakowało mi seksu - powiedziała. - Zastanawiam się, czy cię nie zwolnić.

Panda domyślił się, że Lucy wymusi konfrontację, ale miał nadzieję, że zanim to nastąpi, zyska trochę czasu. Powinien ją lepiej znać. Przesrane. Jeśli wkrótce nie uda się mu uciec z tego miejsca, od niej, kompletnie się zatraci. Próbował rozmawiać z Temple o rozwiązaniu umowy, ale odmówiła. Po zakończeniu zlecenia zamierzał wrócić do wykonywania pracy, na któ-



rej najlepiej się znalazł - ochronie klientów przed rzeczywistymi zagrożeniami.

Wiatr szarpał kołnierzykiem jego kurtki.

- Zwolnienie mnie byłoby niezbyt dobrym pomysłem - powiedział. - Mam kasetę, na której widać, jak się kochamy.

Nie uśmiechnęła się. W żółtym płaszczu przeciwdeszczowym z czarno obramowanym kapturem, który zakrywał jej zabawną fryzurę, i w czarnym kołnierzu wyglądała jak mokry trzmiel.

- Kłamiesz - powiedziała. - Powiedz mi, dlaczego spanikowałeś, kiedy zobaczyłeś Bree.

- Czy kłamałbym w tak poważnej sprawie jak kaseca z naszym seksem?

- O, jeszcze jak. Bree powiedziała mi, że dom należał do jej rodziny.

Powinien był odkryć związek pomiędzy kobietą, którą Lucy nazywała Bree, a Sabriną Remington West, ale idiotyczny obojętny związek przytępił mu umysł.

- Kamery wideo są bardzo małe - stwierdził. - Potrafię je świetnie ukryć.

Znowu się nie uśmiechnęła. Przyszła tutaj w określonym celu i wcale mu się to nie podobało.

- Bree powiedziała, że cię nie zna - ciągnęła Lucy. - Dlaczego więc uciekłeś w ten sposób?

Wymyślił najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

- Przypominała mi moją dawną dziewczynę.

- Co to za jedna?

Zignorował kroplę deszczu na jej policzku, żeby popracować nad złośliwą odpowiedzią.

- Ja nie pytam o twoją lubieżną przeszłość. Zostaw mnie w spokoju.

- Nie pytasz o nią, ponieważ wiesz, że zasnąłbyś, gdybym zaczęła o niej opowiadać. - Zatrzymała się. - Zamierzam to naprawić.

Zmarszczył brwi.

- Powiedziałas tej kobiecie, kim jesteś. Naprawdę myślisz, że zamierza to zachować dla siebie?

- Wie o tym od miesiąca. I, poza problematyczną znajomością z Temple, Bree jest moją jedyną koleżanką na wyspie.

Ciekawe, kim on był w takim razie?

- Po co ci tutaj przyjaciele? - dociekał. - Za parę tygodni wszyscy wyjeżdżamy. Jesteś zbyt miła dla ludzi. Jeździsz do miasta, kiedy tylko masz ochotę, rozmawiasz z kim chcesz. To nierozważne - wzmacniał argumentację.

- Lubię rozmawiać, ale teraz nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Jeśli nie powiesz mi prawdy, sama zacznę zbierać informacje. Uwierz mi, moje źródła są znacznie lepsze niż Google.

Wolałby, żeby Lucy nie podchodziła zbyt blisko urwiska. Ale gdyby powiedział jej, żeby się cofnęła, Lucy by się wkurzyła. Tęsknił za spokojną, uległą kobietą, którą była na początku ich znajomości.

- Czemu cię to właściwie obchodzi? - powiedział.

- Nie lubię tajemnic.

- Daj sobie z tym spokój, Lucy.

Zwiąło jej kaptur z głowy.

- Wiesz, co myślę. Sądzę, że masz jakiś związek z rodziną Remingtonów. Dlatego kupiłeś ten dom i niczego w nim nie zmieniasz.

- W przeciwieństwie do mnie, ten dom ma swoje korzenie. To mi się w nim podoba i nie pozbędę się stołu tylko dlatego, że masz obsesję na jego punkcie.

Na szczęście odsunęła się parę kroków od krawędzi zbrocza.

- To może być prawda - stwierdziła. - Teraz opowiedz resztę.

Za nic w świecie nie miał zamiaru tego robić. Obserwując, jak smagany wiatrem żółty płaszcz oblepia jej szczupłe ciało, nie mógł sobie wyobrazić, że zdobędzie się na wyznanie jej prawdy. Curtis, wojsko, uczucia gliniarza, który idzie do obskurnego mieszkania, żeby powiedzieć matce o śmierci jej dziecka. Jak to jest nie umieć zaufać sobie. Wolał jej raczej powiedzieć, że jest piękna. Nawet rozczochrane włosy i sztuczne tatuaże nie ujmowały delikatności jej twarzy ani wdzięku jej oczom o zielonych tęczęwkach.

Przypomniał sobie, że cała ta słodycz, ta dusza, była przeznaczona dla kogoś innego. Dla kogoś, kto nie spędził tylu lat na wąłesaniu się pośród cieni. Kogoś, kto nigdy by jej nie skrzywdził.

- Nie ma żadnej reszty. - Wyciągnął rękę, nałożył jej kaptur na głowę i strzepnął kroplę deszczu z jej karku. - To ty ustaliłaś reguły naszego romansu. Nie mów mi, że zbabiałaś i zakochałaś się we mnie.

Przyglądał jej się uważnie, nie wiedząc, co pragnie zobaczyć. Odczuł ulgę i rozczarowanie, kiedy odkrył, że jej wyraz twarzy się nie zmienił.

- Zakochałam się w twoim ciele. Mimo że zaczynasz wyglądać jak facet z plakatu ostrzegającego przed braniem nielegalnych sterydów. Twoje ciało jest rzeczywiście nadzwyczajne, z wyjątkiem części znajdującej się między uszami - wyjaśniła.

Była tak pełna życia, tak mądra, tak bardzo szalona. Przez lata zmuszała się do spełniania funkcji, która nie do końca jej odpowiadała. Tak bardzo starała się być doskonałą córką, a teraz zaczęła się miotać. A co do ich związku... Jej wielkie gadanie o kretyńskiej, odwróconej liście życzeń nie mogło zmienić faktu, że nie była stworzona do znajomości, która brnęła w ślepa uliczkę. Potrzebowała prawdziwej bliskości. A on nie potrafił tego jej dać. I skoro Lucy o siebie nie dbała, musiał ją w tym zastąpić.

Przestał się uśmiechać i udał, że spogląda na nią pożądliwie.

- Gorąca z ciebie babka, kochanie. Kiedy jesteś naga, niezły z ciebie kociak, ale w ubraniu robisz się nie do wytrzymania. Jeśli naprawdę chcesz się ze mną porozumieć, ściągnij majtki.

Przymknęła oczy, zaskoczona ordynarnymi słowami. Skręcało go, ale robił to, co powinien. Ale musiał też walczyć z sobą, by nie wziąć jej w ramiona i nie scałować deszczu z jej policzków.

- Interesujące. - Ściągnęła z głowy kaptur i podniosła podbródek. - Zachowaj dla siebie swoje tajemnice. Aż tak bardzo mi na nich nie zależy.

Zniknęła, a on wpadł w wyjątkowo posepny nastrój.

Przejaśniło się, więc Lucy dała się namówić Toby'emu na to, by popłynęli jachtem Dużego Mike'a. Pomysł spędzenia popołudnia w oparach jego wody kolońskiej nie przypadł Lucy do gustu, ale było to lepsze niż kręcenie się wokół domu.

Czy Panda naprawdę sądził, że nie przejrzy tych jego bzdur - wyrachowanej obrazy i śmiesznego szyderstwa? W ten sposób dawał jej do zrozumienia, żeby zachowała dystans. Tak jakby ktoś musiał jej o tym przypominać. Ten romans miał być kolejnym punktem, nad którym mogła zaznaczyć gwiazdkę na swojej odwróconej liście życzeń, ale skupianie się na tajemnicach Pandy zmuszało ją do tego, czego właśnie nie chciała robić - ciągłego myślenia o nim.

Zmuszając się do uśmiechu, wraz z Tobym zbliżyła się do przestronnej, białej motorówki, która stała zacumowana w miejskim porcie. W oczach chłopca widać było oczekiwanie.

- Prosimy o pozwolenie na wejście na pokład.
- Wyrażam zgodę.

Mike odsłonił proste, błyszczące zęby w szerokim uśmiechu. Miał na sobie spodenki w kolorze khaki, białe polo z zielonym logo i mokasyny. Drogie okulary słoneczne marki Revo wisiały na tasemce na jego szyi.

Lucy zmieniła wyzywające ubranie na czarny strój kąpielowy i białą bluzkę frotee, ale nie wyjęła kolczyka z nosa. Mike wziął jej torbę, w której trzymała krem przeciwsłoneczny, ręcznik, czapkę bejsbolową i ciastka, które kupiła w Malowanej Żabie. Niestety wystawił rękę, żeby pomóc jej wejść na pokład, ale okazało się, że nie popsikał się swoją ohydną wodą kolońską. Wraz z zapachem zniknęły złota bransoletka i uczelniany pierścień.

- Cieszymy się, że nas pani zaszczyciła, panno Jorik.

Była rozczarowana.

- Bree powiedziała ci, kim jestem.
- Nie. Pamiętasz, jak mówiłem, że nigdy nie zapominam twarzy? To, kim jesteś, uświadomiłem sobie w końcu kilka tygodni temu. - Wskazał na jej tatuaż ze smokiem. - Naprawdę potrafisz się maskować.

Toby rzucił się do steru, żeby sprawdzić ekwipunek wędkarSKI. Wyciągnęła z torby czapkę bejsbolową.

- W mieście nikt mnie nie rozpoznał, więc wieści się raczej nie rozeszły.

- Domyślam się, że gdybyś chciała, żeby ludzie wiedzieli, kim jesteś, sama byś im to powiedziała - stwierdził z powagą.

Ta otwartość była tak pokrzepiająca, że Lucy natychmiast poczuła do niego więcej sympatii.

Kiedy łódź opuściła port, Mike pozwolił Toby'emu przejąć ster. Wreszcie minęli południowy koniec wyspy. Kiedy znaleźli się bliżej brzegu, Toby dostał własną wędkę i zaczął łowić, kierując się wskazówkami Mike'a. Lucy poszła na drugą stronę łodzi, żeby popływać i przestać myśleć o Pandzie.

Kolejne kilka godzin upłynęło przyjemnie, ale ryby nie brały, więc Toby wreszcie zrezygnował i sam poszedł popływać. Wylegając się na pokładzie, Lucy doszła do wniosku, że jej pierwsze wrażenie na temat Mike'a było błędne. W ogóle nie udawał. Ten przystojny, towarzyski sprzedawca naprawdę starał się widzieć każdego w jak najlepszym świetle. Próbował nawet usprawiedliwiać jakiegoś szesnastolatka, który zamiast skupiać się na prowadzeniu auta, wysyłał wiadomości do swojej dziewczyny. I w rezultacie uderzył w tył cadillaca Mike'a

- Każdy nastolatek robi głupie rzeczy - powiedział, kiedy rzucili kotwicę, a Toby nurkował.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś zbyt piękny, żebyś był prawdziwy.

- Obawiam się, że nie. Zapytaj Bree.

Nie udało jej się wymyślić, jak delikatnie powiedzieć, że Bree nigdy o nim nie wspomniała. Jednak Duży Mike nie był głupi.

- Nie mówiła nic o mnie, prawda?

- Niezupełnie.

Otworzył podręczną chłodziarkę.

- Wychowywałem się na tej wyspie. Nie licząc studiów, spędziłem tutaj całe życie.

Łódka podskoczyła na fali wygenerowanej przez przepływający ślizgacz.

- Moi rodzice pili, nie potrafili sobie pomóc, a ja byłem wielkim, niezdarnym, miejscowym durniem, który nie wiedział, jak się znajduje przyjaciół. - Wyjął z torby kanapki z delikatesów i położył je na wbudowanym w pokład stole. - Bree przyjeżdżała

tu latem. Każdego roku odliczałem dni do przyjazdu Bree i jej braci. Byli wspaniali. Chciałem być dokładnie taki sam. Zawsze wiedzieć, co należy powiedzieć, zawsze dopasować się do towarzystwa. Ale głównie czekałem na Bree.

Wyjął z pojemnika z lodem wino kalifornijskie i podniósł korkociąg.

- Szkoda, że jej wtedy nie widziałas. Taka pełna życia, ciągle się uśmiechała. Nie wydawała się taka spięta i smutna jak teraz. Nie chodziła, tylko tańczyła.

Wyciągnął korek.

- To Star, matka Toby'ego, uchodziła za najpiękniejszą dziewczynę na wyspie, ale kiedy Bree była w pobliżu, nie mogłem od niej oderwać wzroku, chociaż wiedziałem, że nie mam u niej szans.

- Przecież to nieprawda - powiedział Toby, który niezauważony wspiał się po drabinie na rufie. Na głowie miał maskę do nurkowania.

- Ona przeżywa ciężkie chwile, Toby - wyjaśnił Mike, wlewając wino do plastikowego kubeczka, a potem podając je Lucy. - Musisz spojrzeć na świat z jej punktu widzenia.

Toby wskoczył na pokład. Z jego chudego ciała spływała woda.

- Ona nigdy cię nie broni. Nie wiem, dlaczego ty to zawsze robisz.

Ponieważ tak postępują mężczyźni tacy jak Mike, pomyślała Lucy. Wybaczył dziecku, które zniszczyło mu samochód i rodzicom alkoholikom. Teraz bronił Bree, która nie odwzajemniała uczuć. Chyba wciąż je żywił.

Mike otworzył paczkę chipsów.

- Lepiej bierz swoją kanapkę, zanim ci ją zjem.

Toby i Mike żartowali, wcinając chipsy, kanapki i kupione przez Lucy ciastka. Toby zachowywał się inaczej w obecności Mike'a. Był zabawny i rozmowny, a nie ponury, tak jak zazwyczaj. Kiedy się najedli, chłopiec przykucnął na tylnej ławce i, gdy słońce zaczęło zachodzić, zapadł w drzemkę.

Mike przejął ster i zawrócili do domu. Lucy siedziała koło niego, sącząc trzeci kieliszek wina. Cieszyła się, widząc na wodzie odbłask zachodzącego słońca.

- Kiedy miałem osiemnaście lat, zrobiłem Bree straszną rzecz - powiedział nagle.

Mówił na tyle głośno, żeby Lucy mogła słyszeć mimo dźwięku silnika. Jednak na tyle cicho, żeby jego słowa nie doszły do uszu Toby'ego.

- Zakochała się w Davidzie, ojcu Toby'ego, ale byłem tak zazdrosny, że znieawidziłem ich oboje. - Mike zdjął nogę z gazu. - Pewnego wieczoru poszedłem ich podglądać, a później opowiedziałem jej matce, co robili, albo przynajmniej co mogli wyczyniać, gdybym patrzył dłużej. Następnego dnia Bree znikła. Nigdy nie wróciła. Zjawiła się dopiero dwa miesiące temu. Łatwo zrozumieć, czemu nie może znieść mojego widoku.

Lucy objęła palcami plastikowy kubek.

- Ciągłe ją kochasz?

Pomyślał chwilę nad odpowiedzią.

- Myślę, że prawdziwa miłość musi działać w dwie strony, a ona z pewnością nic do mnie nie czuje. Ale nie lubię patrzeć, jak Bree się szamocze.

Uśmiechnął się do Lucy przepraszająco.

- Ciągłe mówię o sobie. Zwykle taki nie jestem, ale z tobą łatwo się rozmawia.

- Nie mam nic przeciwko.

W jedno popołudnie Mike powiedział jej więcej o sobie niż Panda od początku ich znajomości.

Zbliżając się do portu, westchnął z zadowolenia.

- Byłem w wielu miejscach, ale nigdy nie znudził mnie ten widok. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym mógł żyć gdzieś indziej.

- A w zimie się nad tym nie zastanawiasz? Niemożliwe.

- Każdego roku spędzam kilka tygodni w Miami, ale zawsze ciągnie mnie, żeby wrócić. Biegi narciarskie, łowienie na lodzie, skutery śnieżne. W innych częściach kraju ludzie zapadają w zimową drzemkę. Tu w Michigan dopiero zaczynamy zabawę.

Zaśmiała się.

- Mógłbyś sprzedać piasek na środku pustyni.

- Ludzie wiedzą, że mogą mi ufać.

Spojrzał na nią i w przeciwieństwie do Pandy skupił się na jej twarzy.

- Jestem najbogatszym człowiekiem na wyspie - powiedział rzeczowym tonem. - Nie osiadam na laurach. Każdy, kto tutaj mieszka, wie, że jeśli wpadnie w kłopoty, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

- Czy ludzie tego nie wykorzystują?

- Od czasu do czasu ktoś mnie bierze za frajera, ale powiem ci coś... Wolę to, niż nie pomóc komuś, kto naprawdę by mnie potrzebował.

To mówiło wszystko o Mike'u Moodym. To, co najpierw uznała za arogancję, było autentyczną hojnością. W przeciwieństwie do Patricka Shade'a, Mike Moody nie bał się odsłaniać przed innymi ludźmi nawet wstydliwych spraw.

Panda usłyszał kroki na tarasie. Jak zwykle weszła do domu przez drzwi od sypialni. Nie mogła jak normalna osoba wejść po prostu od frontu? Uczucie ulgi, wynikające z wiedzy, że jest bezpieczna, prawie przyćmiło urazę. Przez całe popołudnie zastanawiał się, co kombinowała.

Skupił uwagę na tanim thrillerze, który oparł na piersi. Udawał, że czyta. Nie podniósł głowy, kiedy otworzyły się rozsuwane drzwi, ale kątem oka widział wszystko, co powinien.

Była osmagana wiatrem i wyglądała na szczęśliwą. Spod bluzki wystawał kostium kąpielowy, a na materiale widniały plamy po jedzeniu. Miała odsłoniętą jedną pierś, bo krzywo związała bluzkę w talii. To, jak koszula podtrzymywała jej górę od kostiumu, było niezwykle zmysłowe, żaden magazyn porno nie wymyśliłby czegoś bardziej nasyconego erotyzmem.

Lucy zauważyła, że Panda leży na łóżku, ale nie odezwała się ani słowem. Skrzyżował kostki i przechylił głowę w stronę komody.

- Przyniosłem świnie, żeby upiększyć pokój.

- Nie chcę twojej świni.
- Nie wiesz, co mówisz. Jest wspaniała.
- To ty tak uważasz.



Pociągnęła nogawkę stroju kąpielowego. Pachniała kremem przeciwsłonecznym i jeziorem.

Odłożył książkę.

- Długo cię nie było.

- Mówiłam Temple, dokąd się wybieram. - Ziewnęła i rzuciła torbę w ką. - Muszę się wykapać.

Poszedł za nią do łazienki i oparł się ramieniem o framugę drzwi.

- Temple powiedziała, że poszłaś na ryby z Mikiem Moodym. To dureń.

To ją naprawdę wkurzyło.

- Nie. Wydaje się niemądry, bo jest natarczywy. Ale to świetny facet.

Tego właśnie nie chciał usłyszeć.

- Tak, on pewno tak uważa.

Pociągnęła za węzeł bluzki.

- Nie masz o niczym pojęcia. Mike jest uczciwym mężczyzną o wielkim sercu. I w przeciwieństwie do ciebie nie boi się szczerze rozmawiać.

Prychnął szyderczo. Jego zdaniem mężczyźni nie prowadzili szczerych rozmów z kobietami, o ile nie chcieli włożyć im ręki w majtki.

Lucy pruderyjnie zesnurowała usta.

- Proszę, idź sobie, żebym mogła się wykapać.

Zwykle kąpali się razem i Lucy doskonale o tym pamiętała. Ale nie miał zamiaru z nią się o to kłócić, do cholery.

- Już się robi.

Zamknął za sobą drzwi, chwycił książkę, której nie miał zamiaru czytać, i wyszedł z pokoju.

Pracował na komputerze do pierwszej w nocy, nadrabiając zaległości związane z papierkową robotą. Ale dalej nie mógł zasnąć. Ilekroć zamykał oczy, widział pod powiekami przekłętą listę z wytłuszczonym punktem „Spać z kim popadnie”.

## Rozdział 19

STÓŁ KUCHENNY STAŁ TAM, GDZIE ZAWSZE, na popękanej, winylowej podłodze, jakby kpił sobie z Lucy. Wyglądał jak gruby, zielony guziec ze złamaną nogą. Lucy trzepnęła szmatą o blat.

- Czy choć raz mógłbyś zrobić kawę, nie zostawiając wszędzie fusów? - spytała.

Patrick odwrócił się od kuchennego okna, przez które wyglądał, żeby sprawdzić, czy na podwórzu nie było uzbrojonych złodziei, zbiegłych morderców lub chorego na wściekliznę skunksa. Innymi słowy, czegokolwiek co mogłoby zaspokoić wypełniające go pragnienie działania.

- Może choć raz sama zrobiłabyś kawę? - odparował.

- Próbuję jeść - powiedziała siedząca przy stole Temple. - Możecie się oboje przymknąć?

Lucy odwróciła się w jej stronę.

- A czy ty umarłabyś, gdyby w pobliżu znalazła się paczka płatków do mleka? To byłaby zbyt wielka pokusa dla Jej Wysokości?

Temple oblizała łyżkę z jogurtu.

- Patrick, pozbadź się jej.

- Z przyjemnością.

- Daruj sobie. Już idę. - Lucy gwałtownie przeszła przez kuchnię. - Pójdę tam, gdzie mnie doceniają.

Chciała porządnie beknać, ale jej się nie udało.

- Słyszałem, że w mieście jest nowe przedszkole - zawołał Panda.

- Pewnie tam uczęszczasz.

Lucy trzasnęła tylnymi drzwiami i poszła w stronę chatki. Jednym jasnym aspektem dzisiejszego poranka była przyjemność, którą czerpała z infantylnego zachowywania się.

Coś się zmieniło między nimi, i to nie tylko dlatego, że ostatniej nocy, gdy wyszła spod prysznic, Panda nie czekał na nią w łóżku. Czuła do niego żal, a na takie rzeczy nie ma miejsca podczas wakacyjnego romansu. Temple wiedziała o nim więcej niż Lucy i nie podobało jej się to. Pragnęła poznać sekrety Pa-

tricka, zdobyć jego zaufanie. Może powinna jej była wystarczyć pewność, że osłoniłby ją własnym ciałem przed kulą. Ale to nie satysfakcjonowało Lucy, bo wiedziała, że zrobiłby to samo dla Temple i dla każdej innej osoby, za którą czuł się odpowiedzialny.

Gdy parę minut później dotarła na miejsce, Bree właśnie otwierała stragan. Podczas gdy Bree wystawiała sztyd Miodu spod Karuzeli, Lucy oglądała nowe bloczki. Przedstawiały słomiane ule w starym stylu, które stały pod kwitnącym drzewem wiśniowym. Otaczał je rój wymyślnie narysowanych pszczół.

- Te są wspaniałe, Bree. Najlepsze z tego, co dotychczas zrobiłaś.

- Tak myślisz?

Bree postawiła mały metalowy stolik pod rzucającym cień dębem. Tam malowała, gdy nie musiała obsługiwać klientów.

- Na pewno. Myślę, że będą się świetnie sprzedawać.

- Mam nadzieję. Święto Pracy już za miesiąc, a potem...

Wykonała nieokreślony, bezradny gest.

Lucy chciała pokryć część kosztów pierwszego wydruku bloczków. Ale chociaż przedstawiała to Bree jako propozycję biznesową, przyjaciółka była zbyt dumna, żeby się na to zgodzić. Z drugiej strony, Bree znalazła nowy punkt sprzedaży swoich produktów. Był to lokalny sklep z ozdobami, prowadzony przez pastora Stevensa, duszpasterza w kościele misyjnym Miłosierdnego Serca. Właśnie zaczął przewozić niektóre z jej towarów.

- A jak się udała twoja wczorajsza żeglarska wyprawa z Mikiem? - powiedziała Bree, stanowczo zbyt obojętnie.

- Wspaniale. Świetnie się bawiłam.

- To znaczy, że Mike wypadł za burtę?

Lucy udawała, że nie zauważyła ostrza, kryjącego się w tej uwadze.

- Nie.

- Tak mi przykro.

Bree szybko chwyciła torbę z małymi, pokazowymi egzemplarzami łyżek i wyspała je do koszyka. Postawiła go obok naczynia z osobno pakowanymi miodowymi karmelkami w czekoladzie, które Lucy wreszcie dopracowała.

- Lubię go - powiedziała ostrożnie Lucy.  
- Tylko dlatego, że nie spędziłaś z nim wiele czasu - powiedziała Bree. Zdjęła pokrywkę pojemnika z plastrem miodu, który został przeznaczony do degustacji. - Znałam go już wówczas, gdy był młodszy od Toby'ego.

- Tak, powiedział mi, że nie był zbyt lubiany.  
- Nie masz pojęcia.  
- Myślę, że jakieś mam. Powiedział mi o tym, co ci zrobił. Bree zamilkła.

- Powiedział ci?  
Lucy skinęła głową.

- Jest interesującą osobą. Niezwykłą. Równie otwarcie mówi zarówno o własnych błędach, jak i o osiągnięciach.

- Tak, nie wątpię, że uwielbia podkreślać, jaki jest ważny.  
- Niezupełnie.

Bree skończyła układać plastry miodu, łyżki oraz precle, zanurzone w miodzie o smaku kakaowym, które zaczęła wystawiać na próbę.

- Nie podoba mi się to, że Toby spędza z nim tak dużo czasu.  
- Mike troszczy się o Toby'ego.

- Tak, rzeczywiście, romans kwitnie - powiedziała gorzko. Lucy podniosła głowę.

- Jesteś zazdrosna?  
- Oczywiście, że tak.

Bree pacnęła muchę, która latała zbyt blisko plastra miodu.

- Mike nie musi mu zrzędzić, żeby się wykapał albo poszedł spać o rozsądnej godzinie. Mike jest tylko od zabawy, a to ja robię za wiedźmę. - Zakłopotana zamilkła. - Wiem, że mam rację co do Mike'a. Ludzie aż tak się nie zmieniają. Ale... - Znowu wykonała jeden ze swoich bezradnych gestów. - Nie wiem... Wszystko staje się skomplikowane. Nawet nie wiem dlaczego.

Lucy miała kilka pomysłów, ale nie podzieliła się nimi.

Bree zamknęła stragan na noc. Plastry w ulach były pełne miodu. Wcześniej tego dnia oczyściła stary, ręczny wyciskacz Myry, a następnego ranka chciała rozpocząć zbiory. Wiedziała,

że praca będzie męcząca, ale to dręczyło ją nieporównywalnie mniej niż konsekwencje zebrania miodu na przyszły sezon. Musiała zaakceptować fakt, że zostanie na wyspie, ale miała duże wątpliwości, czy zaoszczędzone pieniądze pozwolą jej przetrwać zimę. Dopiero na wiosnę mogłaby sprzedać nowy plon.

Patrzyła na swoje dzieło - mały stragan przypominający czarodziejski zamek udekorowany słupami z wstążek i kolorowe krzesła o zaokrąglonych oparciach. Wciąż nie wierzyła, że stworzony przez nią świat tak bardzo ją uszczęśliwił. Lubiła przyglądać się klientom, którzy siadali na pomalowanych krzesłach i rozkoszowali się próbkami miodu. Cieszyła się, kiedy widziała, że testowali jej płyny kosmetyczne, wachali mydła i patrzyli z podziwem na świece. Jeśli tylko lato trwałoby wiecznie i nie trzeba by było myśleć o nadciągającej zimie, zamartwiać się o pieniądze i o Toby'ego. Westchnęła, spojrzała przez drzewa na zachód słońca i poszła do domu.

Wchodząc do domu, zauważyła, że kuchnię wypełnia zapach pysznego, prawdziwego jedzenia.

- Toby?

Miał na sobie swoje ulubione dżinsy, koszulkę, czapkę bejsbolową i kuchenne rękawice. Wyjął brytfannę z piekarnika i postawił ją na kuchence obok paru pomarszczonych, pieczonych ziemniaków.

- Zrobiłem kolację - powiedział.

- Sam? Nie wiedziałam, że potrafisz gotować.

- Babcia trochę mnie nauczyła. - Kiedy odwiął aluminiową folię, nad brytfanną uniosła się para. - Chciałem, żeby zjadł z nami Mike, ale miał coś do załatwienia.

- On ma dużo pracy - powiedziała, powstrzymując się od ironii. - Co przygotowałeś?

- Kowbojską zapiekankę, makaron i pieczone ziemniaki. Mamy też chleb, który upiekła Lucy.

Sporo węglowodanów, ale nie zamierzała go krytykować. Umyła ręce, uważając na zimny, rozmiękły makaron w zlewie, a później wyjęła z szafki dwa talerze. Odsunęła egzemplarz *Czarnych żołnierzy wojny domowej*, żeby zrobić miejsce na stole.

- Pachnie wspaniale.

Okazało się, że kowbojska zapiekanka była mieszanką mielonej wołowiny, cebuli, nakrapianej fasoli i, przypuszczalnie, zupy pomidorowej. O obecności ostatniego składnika świadczyła pusta puszka na ladzie. Sześć miesięcy temu nie zjadłaby czegoś takiego, ale mimo że cebula była miejscami twarda, a mięso trochę przypalone, poprosiła o dokładkę.

- Wspaniała potrawa, szefie - powiedziała, kiedy wreszcie odłożyła widelec. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem taka głodna. Jeśli tylko najdzie cię chęćka na gotowanie, nie krępuj się.

Toby lubił, kiedy doceniano jego pracę.

- Zobaczmy. Czemu sama nie gotujesz?

Jak właściwie mogłaby to upchnąć w swoim harmonogramie? Tak naprawdę to nigdy nie lubiła gotować.

- Nie bawi mnie jedzenie.

- Dlatego jesteś taka chuda.

Rozejrzała się po kuchni, którą wypełniały niemodne, drewniane szafki. Podłogę pokrywał żółknący winyl. Osobliwe było to, że w tej zaniedbanej chatce czuła się swobodniej niż w luksusowym domu, kupionym przez oszukującego ją męża. Co do pieniędzy, które wydawała kiedyś lekką ręką... Żaden cent nie mógłby być tak cenny jak pieniądze, które zarobiła sama ciężką pracą, wykorzystując wyobraźnię.

- Twoja mama też lubiła gotować - powiedziała.

- Naprawdę?

Toby przestał jeść, zamarł z widelcem w powietrzu. Tak bardzo chciał usłyszeć cokolwiek o mamie, że zaczęła zarzucać sobie małostkowość. Powinna się zdobyć na opowiadanie mu o Star, tak jak prosił Mike.

- Babcia nigdy mi tego nie mówiła - powiedział.

- Pewnie. Twoja mama eksperymentowała z nowymi przepisami. Nie tylko na herbatniczki i ciasteczka, ale także na zupy i sosy. Czasem usiłowała mnie zmusić, żebym jej pomogła, ale najczęściej po prostu jadłam to, co ona przyrządziła.

Podniósł głowę, myśląc nad tym, co powiedziała Bree.

- Tak samo jak ze mną. Też jesz, co przygotuję.

- Właśnie. - Poszukała jeszcze jakichś wspomnień. - Nie przepadała za pszczołami, ale kochała koty i psy.

- Znowu tak samo jak ja. Co mi jeszcze o niej powiesz?

Odbiła mi mężczyznę, którego kochałam. A może Bree tylko chciała w to wierzyć, ponieważ łatwiej było źle myśleć o Star, niż przyznać przed sobą, że David nigdy jej naprawdę nie kochał?

Coraz fantazyjniej składała chusteczkę w harmonijkę.

- Lubiła grać w karty. W remika. - Star oszukiwała, ale Toby słyszał już zbyt wiele złych rzeczy o swojej mamie. - Uwielbiała Janet Jackson i Nirvanę. Jednego lata ciągle tańczyliśmy do *Smells like teen spirit*. Była do niczego w małego bejsbola. Nikt nie chciał z nią grać w jednej drużynie, ale zawsze pozwalaliśmy jej się przyłączyć, ponieważ nas rozśmieszała. Lubiła się wspinać i kiedy byliśmy młodsze, schowała się przede mną na tym starym wielkim drzewie, które stoi na przednim podwórku.

- Moje drzewo - powiedział z tak wielkim przejęciem, że poczuła ból w sercu.

Powiedziała mu o tym, co sama powinna była zrozumieć już dawno:

- Twoja mama nie była doskonała. Czasami nie traktowała życia tak poważnie, jak powinna, ale mogę ci powiedzieć, że nigdy nie zamierzała cię porzucić. Zawsze chciała wrócić.

Toby spuścił głowę, żeby Bree nie mogła zobaczyć, że ma łzy w oczach. Chciała go dotknąć, ale po namyśle zmieniła zdanie.

- Chodźmy na deser do Dogs'N'Malts.

Podniósł głowę.

- Możemy?

- Czemu nie?

Była tak najedzona, że ledwie mogła się poruszać, ale chociaż raz chciała być osobą, która dostarcza Toby'emu rozrywek.

Weszli do samochodu i pojechali do miasta. Toby zamówił wielką mieszankę lodów, M&M'sów, czekolady, orzeszków ziemnych i sosu czekoladowego. Ona zaś najmniejszą wanioliową porcję lodów. Jakby zrzędzeniem losu, niedługo po tym jak usiedli przy jednym z piknikowych stolików, pojawił się Mike.

- Hej, Toby. Hej, Sabrina.

Sabrina?

Toby wyskoczył ze swojego miejsca.

- Siadaj z nami, Mike!

Mike spojrział na Bree. Nie zamierzała znowu odgrywać roli więdźmy i skinęła głową.

- Pewnie. Dołącz do nas.

Kilka minut później Mike wrócił z małym, czekoladowym deserem lodowym i usadowił się koło Toby'ego, czyli dokładnie naprzeciwko Bree. Toby rzucił jej błagalne spojrzenie, żeby tego nie zniszczyła, co przyprawiło ją o skurcz w sercu. Mike w ogóle na nią nie patrzył.

Jej lód powoli zaczął topnieć, ale nie była w stanie go polizać. Nie lubiła tego uczucia, że jest z nią coś nie tak, tylko dlatego, że nie chce dołączyć do fanklubu Mike'a Moody'ego. Nawet Lucy go lubiła. Ale jak Bree mogła zapomnieć o przeszłości? Chociaż czy ten proces właśnie się nie rozpoczął? Każdego dnia miała coraz większe kłopoty z utożsamieniem Mike'a Moody'ego z chłopcem, którego pamiętała.

Młode małżeństwo przystanęło, żeby z nim porozmawiać. Mężczyzna trzymał dziecko w nosidełku. Po nich przyszedł starszy mężczyzna, ciągnący za sobą zbiornik z tlenem. Wszyscy cieszyli się, że widzą Mike'a. Każdy chciał się przywitać. Toby czekał cierpliwie, jakby już przez to kiedyś przechodził. Wreszcie zostali sami.

- Toby, ten deser jest tak dobry, że wezmę następny. - Mike pogrzebał w kieszeni i wręczył mu pięć dolarów. - Zamówiłbyś mi?

Po odejściu Toby'ego Bree zauważyła, że Mike ledwo co spróbował deseru. Wreszcie spojrział na nią.

- Jutro miałem się do ciebie wybrać.

- Myślałam, że już ze mną skończyłeś - powiedziała, dbając o to, żeby nie zabrzmiało to, jakby była nadąsana.

- Chodzi o Toby'ego. - Odsunął swoje lody. - Mali Bayne-  
rowie nie wrócą na wyspę.

Minęło parę chwil, zanim przypomniała sobie, o kim mówił.

- Bliźniacy, którzy są najlepszymi przyjaciółmi Toby'ego?



- Oni są jego jedynymi przyjaciółmi. Ich rodzice się rozszli, chłopcy zamieszkali z matką w Ohio. Tuby jeszcze o tym nie wie. To będzie dla niego cios.

- Świetnie. Kolejny problem, którego nie potrafię rozwiązać - stwierdziła.

Mike wytarł sobie usta serwetką.

- Mogę jakoś pomóc?

Oczywiście, że mógł. Mike umiał naprawić wszystko. Powinna była wziąć to pod uwagę, zanim go odrzuciła.

Zwinął chusteczkę w kulkę.

- Nigdy nie podobało mi się, że Myra trzyma go z dala od innych dzieci, ale była dziwna i nie chciała o tym rozmawiać. Tuby spotykał dzieci w szkole, tylko że ona nie chciała pozwolić, żeby zapraszał je do domu albo je odwiedzał. Zaprzyjaźnił się z bliźniakami wyłącznie dlatego, że mieszkali bardzo blisko. Była nadopiekuńcza.

- Co mam zrobić?

Czuła się dziwnie, prosząc Mike'a o radę, ale dla niego nie była to nowość.

- Jestem trenerem drużyny piłki nożnej - powiedział. - To dobre miejsce, żeby Tuby zdobył nowych kolegów. Zgodzisz się, żeby do nas dołączył?

Już została pszczelarką. Dlaczego nie miałyby zostać mamą piłkarza?

- Dobrze.

Wydawał się zaskoczony, że zgodziła się tak szybko.

- Na pewno masz jakieś pytania. Nie jestem jedynym trenerem...

- W porządku. Ufam ci.

- Naprawdę?

Udawała, że przygląda się złamanemu paznokciowi.

- Jesteś dobry dla Tuby'ego.

- Proszę - oznajmił Tuby, który nagle zjawił się u boku Mike'a z deserem w ręku.

Mike ukradkiem przykrył pierwszą porcję lodów serwetką i wziął plastikową łyżkę, żeby zacząć jeść kolejną. Tuby zapytał go o wędki i wkrótce pograżyli się w rozmowie.

Wieczorem Bree długo siedziała na tylnych schodach, patrząc w ciemności i myśląc o Mike'u i o nadchodzącej zimie, chociaż dawno powinna iść spać. Miód sprzedawał się lepiej, niż oczekiwała, a pszczelarskie ozdoby świąteczne cieszyły się zaskakującym powodzeniem. Pastor Sanders wystawiał jej produkty w swoim sklepie i nie domagał się żadnych procentów od sprzedaży. Powiedział, że weźmie prowizję w miodzie i będzie go rozdawał wszystkim parafianom potrzebującym podtrzymania na duchu.

Oszczędzała, ile mogła, ale także wydawała pieniądze. I nie tylko na nowe słoiki. Po wielu dniach szarpania się ze sobą złożyła duże zamówienie na bardzo drogie, ręcznie wyrabiane szklane kule, na których zamierzała namalować sceny z życia wyspy. Miała wielką nadzieję, że dostanie za nie trzy razy więcej, niż za nie zapłaciła. Ale zakup wiązał się ze sporym ryzykiem, ponieważ Święto Pracy miało nadejść już za miesiąc, a po nim klienci znikali.

Ciągle dostawała pieniądze z komisu, w którym zastawiła większość ubrań. Przy odrobinie szczęścia te pieniądze, dochód ze straganu do końca miesiąca i duży zysk z malowanych ręcznie ozdób pozwoliłyby jej przetrwać zimę. Gdyby jeszcze Toby przestał wyrastać tak szybko z ubrań, stary piec się nie zepsuł, dziurawy dach jakoś jeszcze wytrzymał, samochód nie potrzebował nowych hamulców i...

„Zimy tutaj są długie i ludzie mogą liczyć tylko na siebie nawzajem”.

Odrzucenie propozycji Mike'a było dużo łatwiejsze w czerwcu niż teraz, gdy z każdym dniem zbliżała się jesień. Jeśli spełniłby się najczarniejszy scenariusz, nie miałyby się do kogo zwrócić. Potrzebowała Mike'a

Im dłużej o tym myślała, tym wyraźniej sobie uświadamiała, że lekceważenie go było luksusem, na który nie mogła już sobie pozwolić. Musiała zmienić taktykę. Musiała przekonać Mike'a, że przestała go nienawidzić. Nawet jeśli miałyby ją to zabić.

Zza drzwi z siatką rozległ się zaspany głos Toby'ego.

- Co tam robisz?

- Nie mogłam spać.
- Miałaś zły sen?
- Nie. A co z tobą? Dlaczego wstałaś?
- Nie wiem. Po prostu się obudziłem.

Ziewnął i wyszedł, żeby usiąść obok niej. Musnął ramieniem jej rękę. Zapach zasnętego, spoconego chłopca przypominał jej o letnich nocach z braćmi, gdy przekradali się do swoich pokoi i opowiadali historie o duchach.

- Dziękuję za dzisiejsze lody - powiedział, znów ziewając. Ścisnęło ją w gardle.
- Proszę bardzo.
- Wiele dzieci boi się ciemności, ale ja nie - oświadczył. Bree też nie bała się ciemności. Miała prawdziwe zmartwienia. Pochylił się, żeby zbadać strup na swojej kostce.
- Możemy wkrótce zaprosić Mike'a na obiad?

Wzdrygnęła się na tę myśl, ale później uświadomiła sobie, że w ten sposób może zacząć poprawiać swoje stosunki z Mike'em. W ten czy inny sposób musiała go przekonać, że zapomniała o przeszłości.

- Pewnie, że możemy. - Przez chwilę zastanawiała się, kiedy zrobiła się taka bezwzględna, ale w jej sytuacji kurczowe trzymanie się zasad wydawało się luksusem dla bogaczy. - Chyba oboje powinniśmy iść spać.

Podniosła się ze schodów.

- Chyba tak - powiedział. - Wstał. - Myślisz, że polubi kowbojską zapiekankę?

- Pewnie.

Weszli do środka.

- Dobranoc, Toby - powiedziała Bree, jak zawsze, gdy Toby szedł do swojego pokoju.

Tym razem doczekała się odpowiedzi.

- Branoc, Bree.

Sierpień zagościł na dobre, przynosząc więcej słonecznych, wilgotnych dni wraz z okazjonalnymi gwałtownymi burzami z piorunami. Patrick i Lucy spędzali większość wieczorów na

łódce albo w jej sypialni, ale figle i perwersje ustępowały miejsca tak wielkiej intensywności doznań, że aż budziło to w nich lęk. Nie było już ani rewizji osobistych, ani lukrecyjnych pałeczek. A w ciągu dnia się sprzeczali.

- To kawa z wczorajszych fusów? - zapytał Patrick, wylewając do zlewu zawartość świeżo napełnionej filiżanki.

- Zrzędzisz, jak robię kawę. Jak nie robię, zrzędzisz jeszcze bardziej - odparowała Lucy.

- Bo nie słuchasz wskazówek.

Temple wydała długi, ciężkie westchnienie. Siedziała na taborecie i jadła połowę cienko pokrojonego jabłka. Miała swój zwykły, ulizany, długi kucyk. Ta fryzura w pełni uwydatniała oczy w kształcie migdałów i coraz bardziej widoczne kości policzkowe. Była na wyspie od sześciu tygodni. Pozbyła się drugiego podbródka, a jej długie, wyrzeźbione nogi świadczyły o ciężkiej pracy w pokoju treningowym. Nie przyniosło jej to szczęścia. Przeciwnie, stawała się coraz bardziej spięta, zapalczywa, smutna.

- Twoich wskazówek - podkreśliła Lucy.

- Które dają o wiele lepsze efekty niż to, co ty robisz - odparł.

- To twoje zdanie.

- Dzieci! - krzyknęła Temple. - Chcecie, żebym wam dała klapsa?

- Ja to zrobię - wycodził Patrick.

Lucy wykrzywiła usta, po czym wyszła z kuchni, żeby wziąć kajak. Nie podobało jej się napięcie między nimi. Chciała, by wróciła zabawa. Bez niej jaki był właściwe cel tego romansu?

Ucieszyła się, gdy woda zaczęła się tak burzyć, że musiała się skupić jedynie na wiosłowaniu.

Tego wieczoru Temple przyszła na kolację w stroju do ćwiczeń, który nosiła przez cały dzień. Miała doskonale umięśnione ciało. Jej czarna sportowa bluzka eksponowała ramiona, na których widoczne były wszystkie ścięgna, a spandeksowe spodenki były na tyle krótkie, że wystawiały na pokaz kaloryfer na brzuchu. Ona i Patrick stanowili dobraną parę. Oboje byli nieuprzejmi, za dużo ćwiczyli i łatwo się denerwowali.

Lucy mamrotała coś o dwóch czubkach napompowanych hormonem wzrostu. Temple spojrzała na talię Lucy i napomknęła o tym, jak to żałosne panie w średnim wieku rozrastają się w pasie. Patrick warknął na nie, żeby się zamknęły i dały mu zjeść to paskudztwo.

W przeciwieństwie do Patricka Lucy nie narzekała na niedoprawiony, mrożony gulasz wołowy, a to dzięki frytkom i wielkiemu ciastku, które pochłonęła w mieście. Temple bez zapału rozpoczęła wykład o związku między chorobami w dzieciństwie i odpornością w wieku dojrzałym. Kiedy zapytała Patricka, czy miał ospę wietrzną, Lucy uznała, że musi się wtrącić.

- Wtargnięcie na teren prywatny. On nie rozmawia o przeszłości.

- I to cię irytuje - odparł. - Nie będziesz zadowolona, dopóki nie dowiesz się wszystkiego o wszystkich.

Nie był wszystkimi ani byle kim. Mieli przecież romans.

- Panda ma rację, Lucy - powiedziała Temple. - Lubisz się wtrącać w cudze sprawy.

Patrick zmienił płytę, wskazując widelcem na swoją pracodawczynię.

- Ktoś musi wściubić nos w twoje sprawy. Im dłużej tu jesteś, tym większą wiedzmą się stajesz.

- To kłamstwo - odparła Temple. - Zawsze taka byłam.

- Nie. Zrzuciłaś dziesięć kilo i...

- Dwanaście - rzuciła Temple wyzywająco. - Wbrew waszym wysiłkom. Czy wiecie, jak bardzo przygnębia mnie wysłuchiwanie tych waszych kłótni?

- To nie ma żadnego związku z twoim problemem - powiedziała Lucy. - To podręcznikowy przypadek dysmorfofobii.

- Błee... - prychnęła Temple. - Mądre słówka.

Lucy umyła swój talerz.

- Masz wspaniale ciało, ale gorzej z głową.

- To ty tak myślisz. - Temple lekceważąco wskazała na swoje ciało. - Możesz wykręcać kota ogonem, ale wciąż jestem gruba!

- To kiedy przestaniesz być gruba?! - wrzasnęła Lucy. - Jaka absurdalna liczba musi pojawić się na wadze, którą zawsze masz w głowie, żebyś wreszcie poczuła się dobrze?

Temple oblizwała palce.

- Nie mogę uwierzyć, że pani Świnka robi mi wykład o wadze. Pandzie się to nie spodobało.
- Ona nie jest tłusta - zaprotestował.

Lucy zignorowała jego uwagę.

- Twoje ciało jest piękne, Temple. Nic ci się nie trzęsie.
- W przeciwieństwie do twoich bioder - odgryzła się trenerka, ale jej słowa nie zabolowały Lucy.

Popatrzyła z obrzydzeniem na swój nietknięty talerz.

- Moje biodra będą wyglądały znakomicie, kiedy tylko będę mogła znowu jeść jak normalna osoba.
- Ona jest z kosmosu. Jak można przytyć dziesięć kilo i nie zwariować? - Temple zwróciła się do Pandy.
- Nie przytyłam aż tyle - odparowała Lucy. - Najwyżej pięć.

Zresztą frytki i ciastka nie stanowiły prawdziwego zagrożenia. Jej rzeczywistym wrogiem było poczucie winy związane z tym, że nic nie napisała. Miała do siebie pretensje, że praktycznie ignoruje rodzinę i panicznie się bała opuścić wyspę.

Patrick wstał od stołu.

- Jeśli mi wybaczycie, pójdę na zewnątrz, żeby się zastrzelić.
- Zrób to blisko wody. Nie chcemy po tobie sprzątać - warknęła Lucy.

Lucy i Temple skończyły swoją smutną imitację obiadu w posępnym milczeniu. Temple gapiła się przez okno, a Lucy usiłowała złuszczyć przyprawiającą o wymioty zieloną farbę, którą Patrick pomalował stół w kuchni.

Późnym popołudniem następnego dnia Lucy wrywała chwasty przy ganku i zastanawiała się nad wycieczką do pubu, żeby skreślić kolejny punkt na odwróconej liście życzeń. W tym samym czasie usłyszała, że na podjeździe zatrzymał się samochód. To nie był dostawczak, który przywoził im jedzenie. Odłożyła na bok rydel i obeszała dom dookoła, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Ze srebrnego subaru wysiadła przysadzista kobieta o krótkich, rudych włosach. Miała na sobie luźny biały top, brązowe

rybaczki, które leżałyby lepiej na osobie z dłuższymi nogami i sportowe sandały. Jej szyję upiększał skórzany sznurek z kawałkiem turkusa, a na rękach połyskiwały srebrne pierścionki. Lucy skinęła głową na powitanie i czekała, aż kobieta się przedstawi. To jednak nie mogło nastąpić, ponieważ otworzyły się frontowe drzwi, zza których wyłonił się pan Ochroniarz.

Kobieta odwróciła się od Lucy, żeby spojrzeć na niego.

- Patrick Shade?

Zatrzymał się na pierwszym schodku.

- W czym mogę pomóc? - powiedział, nie odpowiadając na jej pytanie.

Stanął przy przedniej części swojego auta.

- Szukam przyjaciółki.

Skinął głową, zwracając wzrok na Lucy.

- Jeśli nie szukasz któregoś z nas, trafiłaś pod niewłaściwy adres.

- Ona tutaj jest. Wiem, że jest.

Przysadzista sylwetka gościa przypomniała Lucy, że Temple miała wrogów. Może spotkali jej niezadowoloną byłą klientkę? A może jakiś widz *Wyspy grubasów* zaczął ją prześladować?

Patrick stanął między gościem a drzwiami.

- Szukałam jej całymi tygodniami - powiedziała z uporem kobieta. - Nie odjadę.

Powoli zszedł ze schodów.

- To teren prywatny.

Nie podniósł głosu, ale i tak te słowa mogły wzbudzać strach. Kobieta oparła się o samochód, choć więcej było w tym desperacji niż groźby.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Powinna pani już iść.

- Powiedz jej tylko, że przyjechałam. Proszę, powiedz jej, że jest tu Max.

Max? Lucy wbiła w nią wzrok. To była Max?

Ale Pandy nie zaskoczyła ta wiadomość. Przybrał swoją profesjonalną pokerową maskę czy wiedział, że to kobieta zła-mała serce Temple?

Oczywiście, że wiedział. Taki skrupulatny człowiek nie przeoczyłby podobnego szczegółu.

Kobieta obróciła się w stronę domu.

- Temple! Temple! To ja Max! Nie rób tego. Wyjdź i porozmawiaj ze mną! - krzyknęła.

Cała emanowała takim bólem, że Lucy odczuła go we własnym sercu. Temple na pewno ją usłyszała i mogła wyjść. Ale z domu nie dobiegł żaden odgłos. Nic się nie poruszyło. Drzwi się nie otworzyły. Lucy nie mogła tego znieść. Szybko obeszła budynek i weszła od tyłu.

Temple była na górze w swojej sypialni. Stała z boku okna, skąd mogła obserwować podjazd, nie narażając się, że ktoś ją dostrzeże.

- Dlaczego musiała tutaj przyjechać? - powiedziała agresywnie i rozpaczliwie zarazem. - Nienawidzę jej.

Lucy wszystko zrozumiała.

- Nieprawda. Kochasz ją.

Kiedy Temple się obróciła, ze spinki wysunął jej się kosmyk włosów. Każdy mięsień jej przetrenowanego ciała był napięty.

- Co ty tam wiesz.

- Wiem, że to cię dręczy przez całe lato.

- Dojdę do siebie. To kwestia czasu.

- Dlaczego zerwałaś?

Temple się wściekła.

- Nie bądź naiwna. Myślisz, że chcę, żeby cały świat dowiedział się, że zakochałam się w kobiecie?

- Nie będziesz pierwszą znaną trenerką, która się z tym zdradzi. Wątpię, żeby to zniszczyło twoją karierę.

- To zniszczy mnie.

- W jaki sposób? Nie rozumiem.

- Nie chcę być kimś takim.

- Lesbijką?

Temple się wzdrygnęła.

Lucy wyrzuciła ręce do góry.

- Jezu, Temple! Witaj w XXI wieku. Ludzie się zakochują.

- Łatwo ci mówić. Kochasz mężczyznę.



Przez jedną straszną chwilę Lucy myślała, że Temple chodziło o Patricka, ale później zdała sobie sprawę, że musiała mieć na myśli Teda.

- Nie zawsze mamy wpływ na to, w kim się zakochujemy. Jest całkiem sporo lesbijek.

Temple wykrzywiła usta, chociaż w jej oczach lśniły wielkie, niewylane łzy.

- Nie jestem zwykłą kobietą. Jestem Temple Renshaw.

- I to czyni cię kimś lepszym od zwykłych śmiertelników?

- Nie interesują mnie towary drugiej jakości. Nie do tego jestem stworzona.

- Naprawdę sądzisz, że Max jest towarem drugiej jakości?

- Max jest wspaniała - zaprzeczyła gwałtownie. - To najwspanialsza osoba, jaką kiedykolwiek znałam.

- Więc o co chodzi?

Temple milczała z uporem, ale Lucy nie mogła tego tak zostawić.

- Idź i powiedz to Max.

- Nie muszę. Polityczna poprawność nie zmienia rzeczywistości. Homoseksualność jest wadą. Rysą.

- Już rozumiem. Jesteś zbyt doskonała, żeby być lesbijką.

- Nie będę o tym z tobą dłużej rozmawiać.

Lucy przepełniała litość. Nikt nie mógł spełnić standardów, które wyznaczyła sobie Temple. Nic dziwnego, że była taka nie-szczęśliwa.

Rozległ się chrzęst opon na żwirze. Temple zamknęła oczy i pochyliła się w stronę zasłony. Lucy wyrzała przez okno.

- Gratulacje. Właśnie pozwoliłaś odjechać najlepszej osobie, którą kiedykolwiek znałaś.

Patrick próbował ściąć martwe drzewo i był w bojowym nastroju, kiedy Lucy przyszała, żeby z nim porozmawiać.

- Przypuszczam, że uważasz, że powinienem ci powiedzieć również o Max? - zaczął.

- Tak, ale rozumiem troskę o sekrety klienta. Wiem...

Z domu dobiegł głośny trzask. Panda odrzucił piłę i wbiegł do środka. Lucy podażyła za nim. Kiedy dotarła do drzwi,

usłyszała dochodzący z góry głuchy odgłos, a później coś uderzyło o podłogę. Ruszyła po schodach.

Temple stała na środku siłowni. W jej oczach widać było szaleństwo, miała rozpuszczone włosy. Miejsce, które stało się zarazem jej królestwem, jak i więzieniem, zostało całkowicie zrujnowane. Przewróciła ławkę do ćwiczeń, porzuciła maty i zrobiła dziurę w ścianie. Chwyliła ważący pięć kilogramów ciężarek i zamierzała cisnąć nim w okno, ale wtedy złapał ją Patrick.

To była walka bogów. Herkules naprzeciwko Xeny Wojowniczej Księżniczki. Ale choć Temple była silna, Patrick unieruchomił ją i chwycił mocno w objęcia.

Uszła z niej cała wola walki. Kiedy wreszcie ją puścił, upadła. Patrick bezgłośnie poprosił Lucy o pomoc, a ona zrobiła jedyną rzecz, jaka jej przyszła do głowy.

Jej chleb był schowany w kryjówce, do której Patrick miał dostęp. Dzisiaj po południu upiekła go u Bree. Przyniosła go do kuchni, wyjęła z torebki, odkroiła twardą piątkę i skropiła ją miodem ze słoika, który trzymała schowany w szafce.

Temple siedziała bezwładnie przy ścianie, z głową opartą na rękach, które spoczywały na kolanach. Lucy uklękła obok i podała jej chleb.

- Zjedz to.

W zapłakanych oczach Temple odbijało się jedynie poczucie zdrady.

- Dlaczego mnie sabotujesz? - powiedziała zachrypniętym głosem.

- To nie jest sabotaż. - Lucy starała się znaleźć odpowiednie słowo. - To jest... to jest życie.

Temple zjadła chleb. Nie połknęła go od razu, lecz delektowała się każdym kęsem. Patrick stał oparty o framugę i obserwował, co się dzieje, a Lucy siedziała ze skrzyżowanymi nogami koło Temple i myślała, co mogłaby powiedzieć. W końcu w ogóle się nie odezwała.

- To było dobre - powiedziała cicho Temple. - Mogę dostać jeszcze kawałek?

Lucy zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, ale dzisiaj zrobię kolację.
- Temple opuściła ramiona w poczuciu przegranej.
- Nie mogę tego dłużej wytrzymać.
- Wiem.
- Temple ukryła twarz w dłoniach.
- Znosi się na to, że zaprzepaszczę efekty własnej pracy.
- To zależy tylko od ciebie - stwierdziła Lucy. - Zadbaj o ciało. Teraz czas na twoją głowę. - Podniosła się i spojrzała w twarz Patrickowi. - Wróć za godzinę. Otwórz spiżarnię.

## Rozdział 20

KIEDY LUCY WRÓCIŁA z MIASTA, W domu panowała cisza. Z bagażnika samochodu Patricka wyjęła jedzenie i mały grill. Gdy węgiel się rozgrzewał, przewróciła na drugą stronę zniszczony obrus, który pokrywał stół. Położyła na nim różne potrawy i zaczęła łuskać cztery kolby kukurydzy.

Wróciwszy do kuchni, nalała sobie hojny kieliszek wina i rozpakowała świeżo złowionego, ale na szczęście oprawionego i pozbawionego głowy pstrąga, którego kupiła na przystani. Nafaszerowała go liśćmi szpinaku, dziko rosnącym szczypiorkiem, który znalazła za domem, i kilkoma plasterkami cytryny. Delikatnie wtarła w niego oliwę z oliwek, a następnie włożyła kawałki ryby do półmiska i czekała, aż będzie można je wrzucić na grill. Nie miała pewności, czy postępuje słusznie, ale wiedziała, że Temple, na skraju wytrzymałości, ogarnięta obsesją i udręczona, jest skazana na porażkę. Po opuszczeniu tej *Wyspy grubasów*, którą stworzyła sama dla siebie, czekał ją nieuchronny powrót do poprzedniej wagi.

Patrick pojawił się wówczas, gdy Lucy przygotowywała, niewymagającą wiele wysiłku, sałatkę z orzeszkami piniowymi, kawałkami dojrzałej gruszki i śmietankowymi okruszkami zakazanej fety.

- Myślisz, że to jest naprawdę dobry pomysł? - zapytał.

- Masz lepszy?

Przyglądał się ponuro, jak Lucy robi lekki sos z kropli oliwy z oliwek i owocowego octu balsamicznego.

- Czemu przyjąłem tę pracę?

- Ponieważ byłeś jej to winien. - Wręczyła mu półmisek z faszzerowanym pstrągiem. - Grill stoi na zewnątrz. Nie przypal ryby.

Spojrzał na pstrąga z otępiałym wyrazem twarzy.

- Czy ja wyglądam na faceta, który potrafi grillować?

- Po prostu nie grzeb w nich, dopóki nie będzie można ich odwrócić na drugą stronę. Dojdiesz do tego. Masz to w męskich chromosomach.

Wylażł na zewnątrz, mamrocząc coś pod nosem. Lucy rzuciła okiem na wodę, którą wstawiła, żeby ugotować kukurydzę. Nie chodziło jej o sabotowanie diety Temple, ale chciała nakarmić jej wygłodniałe zmysły.

Temple weszła właśnie do kuchni. Miała zaczerwienione oczy i rozczochrane włosy. Przypominała bardziej pomywaczkę niż złą królową. Lucy nalała kieliszek wina kalifornijskiego, które właśnie kupiła i bez słowa podała go kobiecie. Temple przystawiła kieliszek do nosa, powąchała, po czym wypiła odrobinę. Zamknęła oczy, delektując się smakiem.

- Dzisiaj jemy na zewnątrz i chcę, żeby na stole były kwiaty. - Lucy dała jej grudkowatą, ceramiczną wazę, która wyglądała jak projekt zaliczeniowy na plastikę w podstawówce. - Rozejrzyj się dookoła i znajdź coś.

Temple była zbyt zmęczona, żeby protestować.

Przyniosła liście babki, kwiat marchewki i kilka rudbekii z czarnymi okami. Zgodnie z przewidywaniami, końcowy rezultat jej poszukiwań daleko odbiegał od doskonałości, ale Lucy uznała, że pasował doskonale do wyblakłego, czerwonego obrusu i naczyń z różnych kompletów. Temple nie podzielała jej zdania i z największą niechęcią myślała o efektach swojej pracy.

Pod dębem stał stół piknikowy z widokiem na jezioro. Patrick usiadł na ławce naprzeciwko Lucy i Temple. Lucy nałożyła po jednej kolbie kukurydzy sobie i Temple, a Patrick dostał dwie.

- Zapomniałam kupić masło - skłamała. - Spróbuj tego.

Wskazała palcem na limonkę leżącą na dziecięcym, plastikowym talerzu z *Ulicy Sezamkowej*.

Tak jak oczekiwała, intensywna słodycz połączona z posmakiem świeżego soku z limonki i szczyptą soli morskiej zrekompensowała brak masła. Chciała nakarmić duszę Temple, a nie niszczyć jej ciało. Patrick dobrze poradził sobie z grillowaniem i chociaż troszkę przypalił rybę, jej wnętrze było wilgotne i smaczne.

- Boże, to jest takie dobre - powiedziała Temple, jakby odmawiała modlitwę.

- Amen.

Patrick zaczął jeść drugą kolbę. Obrabiał ją o wiele sprawniej niż Temple i Lucy.

Temple sprawdziła, czy nie pominęła żadnego ziarenka kukurydzy w swojej kolbie.

- Jak ty się nauczyłaś tak gotować?

Lucy wolała pominąć kwestię szefów kuchni z Białego Domu.

- Metodą prób i błędów.

Temple koniuszkiem palca zagarnęła z talerza ostatni orzeszek piniowy i przyglądała się Lucy z autentycznym zaciekawieniem.

- Co ty z tego masz? Wszyscy wiedzą, że jestem stuknięta. Dlaczego troszczysz się o mnie?

- Ponieważ z jakichś dziwaczych powodów zaczęłam cię lubić.

Poza tym próba uleczenia innych ludzi odciągała ją od własnych problemów. Chociaż za miesiąc mijał termin, który wyznaczył jej ojciec, nie napisała nawet strony. Nie chciała myśleć o powrocie do pracy i prawie nie rozmawiała z rodziną. Jedynym jej osiągnięciem było upieczenie mnóstwa bochenków chleba, doskonalenie miodowych karmelków i prowadzący do ślepego zaułka romans z mężczyzną, który dostarczał jej usług seksualnych.

- Lucy przez całe życie troszczy się o innych ludzi - powiedział Patrick. - To leży w jej naturze. - Przyglądał się jej uważnie, przez co poczuła się nieswojo. - Uratowała swoją małą siostrę. Połączyła własnych rodziców. Gdyby nie Lucy, wątpię, żeby jej matka została prezydentem, do cholery.

Przepędził muchę.

- Można powiedzieć, że kiedy Lucy była piętnastolatką, zmieniła bieg amerykańskiej historii.

Jego wyobrażenie o niej sprawiło, że poczuła się nieprzyjemnie. Wstała od stołu.

- Co powiecie na deser?

- Jest deser? - powiedziała Temple, jakby właśnie usłyszała, że zajacek wielkanocny naprawdę istnieje.

- Trzeba korzystać z życia.

Lucy powróciła z kuchni z tabliczką ciemnej czekolady, którą podzieliła na trzy małe części.

- Daj mi więcej - wymruczała Temple. - Zapomnij o tym, co właśnie powiedziałam - dodała natychmiast.

Lucy i Temple pożerały swoje porcje czekolady. Patrick swojej nawet nie tknął. Zgniół serwetkę i rzucił na talerz.

- Składam rezygnację.

Czekolada stanęła Lucy w gardle. Załamanie Temple... Potrawa, którą Lucy właśnie przygotowała... Znalazł sobie wymówkę, żeby opuścić wyspę i porzucić Lucy.

- Ani mi się waż.

Temple oblizała z palca plamę czekolady.

- Zatrudniłeś mnie, żebym nie dopuszczał właśnie do takich rzeczy - powiedział spokojnie. - Ser, czekolada, gotowana kukurydza... Nie wywiązałem się z moich obowiązków.

- Będziesz teraz robił coś innego.

- Co to ma właściwie znaczyć? - odparł Patrick, tracąc spokój.

Wykonała niejasny gest.

- Coś wymyślę.

- Nie ma mowy!

Wstał od stołu i przeszedł jak burza przez podwórze, żeby udać się do miejsca, gdzie zwykle snuł swoje ponure rozważania.

Kiedy zniknął za skalistym zboczem, Temple spojrzała na Lucy.

- Jeśli chcesz zatrzymać tego mężczyznę, musisz się pośpieszyć. Twój czas się kończy.

- Zatrzymać go? Wcale tego nie chcę.
- A kto teraz ukrywa prawdę?

Sięgnęła po czekoladę, którą zostawił, zastanowiła się nad tym raz jeszcze i rzuciła ją na urwisko.

- Patrick Shade cię uwielbia, cokolwiek by mówił. Jest jednym z najbardziej seksownych mężczyzn na świecie. Ponadto ma zasady, jest troskliwy i na tyle pochrzaniony, żeby się nim zainteresować. Kochasz go.

- Nieprawda!
- I kto tu potrzebuje terapeuty?

Lucy przerzuciła nogę przez piknikową ławkę i chwyciła swój talerz.

- I tak mi dziękujesz za to, że przyrządziłam ci prawdziwe jedzenie.

- Jeśli nie chcesz stracić najlepszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek spotkasz, lepiej wykonaj jakiś ruch w tej grze.

- Nie uczestniczę w żadnej grze. A poza tym Ted Beaudine jest najlepszym mężczyzną, którego dotychczas poznałam.

- Jesteś pewna?

Lucy pobięgała do domu jak błyskawica.

- Ty zmywasz. Ja idę do miasta. I żadnych ćwiczeń aż do jutra!

Compass znajdował się przy bulwarze Beachcomber, w zniszczonym przez pogodę, jednopiętrowym budynku. Jego przednią część ozdabiały rybackie sieci, a po dwóch stronach drzwi wystawały pochodzące ze statków mosiężne latryny z dziurkami. Na budynku widniała reklama: „Muzyka na żywo i zniżki na alkohol przez cały dzień”.

Kochała Patricka? Kompletna bzdura. Znała przecież różnicę pomiędzy prawdziwą miłością a romanssem.

Wnętrze pachniało piwem i skrzydełkami kurczaka. Na ścianie wisiało więcej sieci rybackich razem z plastikowymi spławikami, podróbkami kompasów, reprodukcjami sterów statków i kolekcją staników. Drewniane stoły były ściśnięte obok siebie.

W tyle znajdowała się wolna przestrzeń, na której występował zespół. Pub, który był ulubionym miejscem młodszej części turystów, dopiero budził się do życia.

Sącząc arbużową margaritę, Lucy przyglądała się, jak zespół stroi instrumenty. Dlaczego w ogóle taka myśl przyszła Temple do głowy? Tylko dlatego, że Patrick był seksowny? Istniało wielu mężczyzn, być może nie tak atrakcyjnych, z pewnością nie aż tak, ale miłość wymaga czegoś więcej niż tylko seksu. Miłość wiąże się ze wspólnymi zainteresowaniami, swobodnym obcowaniem ze sobą i wyznawaniem tych samych wartości. Okej, ich związek reprezentował niektóre z tych cech, może nawet większość, ale...

Poczuła ulgę, gdy przysiadł się do niej zwalisty typek.

- Jak masz na imię, laleczko?
- Mówią na mnie Viper.
- Jak wycieraczka przedniej szyby?

Był już widocznie pijany i wybuchnął kilka razy końskim śmiechem.

- Nie - odparowała. - Raczej Viper jak „jeśli mnie wkurzysz, skopię ci tyłek”.

W myślach to ona teraz śmiała się jak koń.

Jak tylko chłopak sobie poszedł, uświadomiła sobie, że dredy, tatuaże i twarda gadka mogły odstraszać przeciętnego mężczyznę, co w pewnym stopniu przekreślało sens przyjscia do tego pubu. Ale, przyglądając się odchodzącemu chłopcu, musiała przyznać, że świętoszkowata Lucy Jorik mogła przepłoszyć każdego - i ta myśl okropnie jej się spodobała.

Ubrała się jak rasowa mistrzyni mody gotyckiej: w krótką, czarną spódnicę, która ledwo zakrywała jej tyłek, czarną bluzkę z jednym ramiączkiem i metalowym pierścieniem na brzuchu oraz czarne klapki na platformach nabijane ćwiekami. Tandetne ubrania, kolczyki w odpowiednich miejscach i ciemna kredka do oczu sprawiały, że z pewnością wyróżniała się z tłumu studentek, które miały na sobie śliczne krótkie spodenki i klapki.

Poszła w kierunku sfory mężczyzn: wśród nich znajdował się golden retriever, chart, pitbull i para kundli. Wszystkie oczy



zwrócone były na nią. Zanim przypomniała sobie, kim jest, prawie zapytała ich, czy może się do nich przyłączyć.

- Jestem Viper.

Położyła swoje piwo na stole i wzięła puste krzesło.

- Jeśli usłyszycie jakieś opowieści o mnie, wiedzcie, że prawdopodobnie są prawdziwe.

Gdzie ona się włóczyła, do cholery? Było już po północy. Zanim Patrick przypomniał sobie o Compassie, zdążył odwiedzić wszystkie puby w mieście. Lucy wzięła jego samochód. Dlatego, aby dojechać do miasta, musiał skorzystać z łodzi. Zostawił Temple samą. O ile się nie mylił, Temple skończyła czekoladę, którą kupiła Lucy. Przestał się przejmować.

Bacnie przyjrzał się tłumowi i natychmiast ją zauważył. Tańczyła tuż przed sceną, z chudym, długowłosym dzieciakiem, który wyglądał jak młody Eddie van Halen. Można było mieć wątpliwości, czy jej ruchy bioder zasługują na miano tańca. Zarówno główny gitarzysta, jak i basista śpiewali dla niej cover Bon Jovi *Runaway*. W swoim szmirowatym topie i w jeszcze bardziej tandetnych butach wyglądała na osobę twardą, niebezpieczną i na granicy wieku, w jakim stosunek był legalny. Jej spódnica przypominała chustkę do nosa i za bardzo odsłaniała nogi, na których znajdował się nowy tatuaż - wąż wijący się po łydce. Głowa z kłami wskazywała na Nirvanę. Trudno było sobie przypomnieć, że dwa i pół miesiąca temu ta pozeraczka mężczyzn nosiła perły i przygotowywała się do statecznego życia z najbardziej szanowanym mężczyzną w Teksasie.

Patrick sam przyciągał uwagę wśród gości, już dawno przestał interesować się studentkami. Piosenka się skończyła, Lucy położyła ręce na szyi młodego studenta, pochyliła się nad nim i pocałowała sukinsyna. Długo i intensywnie.

Patrick przedarł się przez tłum i trącił gnojka łokciem.

- Spadaj.

Obróciła głowę na tyle, żeby zmarszczyć brwi z przyklejonym sztucznym kolczykiem. Następnie ścisnęła mocniej dzieciaka i przyłożyła mu usta do ucha.

- Olej go. Nie jest tak twardy, jak się wydaje.

Wystarczyło kilka sekund pojedynku wzrokowego, by chłopak doszedł do wniosku, że Lucy jednak nie mówi prawdy. Wy-rwał się z ucisku.

- Później, okej?

Lucy popatrzyła, jak dzieciak odchodzi w pośpiechu, a póź-niej spojrzała na Patricka.

- Spadaj! - krzyknęła, próbując zagłuszyć muzykę. - Jestem pijana i właśnie miałam zamiar się z nim pieścić.

Zazgrzytała zębami.

- Gratulacje. W takim tempie błyskawicznie odhaczysz wszystkie pozycje na liście.

Tupnęła butem wysadzonym ówikami.

- Cholera, on wychodzi, a ja zamierzałam się z nim prze-spać. Teraz będę musiała zabrać się za charta.

Nie ma mowy. Nie wiedział, kim jest chart, ale miał pewność, że ta diaboliczna może się tej nocy przespać tylko z nim.

- Problem w tym, kochanie... że nie dzielę się swoją kobietą.

Przepełniała ją wściekłość.

- Nie jestem twoją kobietą. Nie jestem twoim kochaniem!

Pocałował ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Smako-wała jak alkohol połączony z cynamonową szminką. Ale, wbrew jego oczekiwaniom, nie zaangażowała się w ten pocałunek całym sercem. Ugryzła go w dolną wargę, po czym odepchnęła od siebie.

- Niezła próba, Patrick, ale nic z tego. Bawię się z nowymi przyjaciółmi i ty nie jesteś zaproszony.

- Czekaj. Chciałaś, żebyśmy się pokazali publicznie.

- Ale ty nie chciałaś.

- Zmieniłem zdanie. - Marnie tańczył, ale widział, że ruchy Lucy też nie są tańcem we właściwym sensie tego słowa, więc przyciągnął ją do siebie.

Nie chciała współpracować.

- Najpierw kup mi drinka.

- Już ci wystarczy.

Nie chciała ruszyć się z miejsca.

- Bez drinka nie będziemy tańczyć. Przynieś mi kamikadze.

Zazgrzytał zębami i powlókł się do baru.

- Zrób coś, co przypomina smakiem kamikadze - powiedział barmance, która wyglądała jak strażnik więzienny. - Ale bez wódki.

- Coś ty za jeden? - warknęła. - Jakiś religijny świr?

- Po prostu zrób tego drinka, do cholery.

Ostatecznie mieszanka bardziej smakowała jak pomarańczowe lody na patyku niż prawdziwe kamikadze, ale liczył, że Lucy nie zauważy różnicy. Zobaczył, że Lucy siedzi na kolanach jakiegoś faceta. Dzieciak był wysoki i prawie komiczne patykowały. Miał długi nos i taką samą szyję. Chart.

Patrick kupił sobie piwo i podszedł do stolika. Chart zobaczył, jak idzie i wstał tak szybko, że prawie ją zrzucił. Patrick kiwnął na niego głową i wręczył Lucy drinka.

- Widzę, że używasz swoich starych sztuczek, kochanie.

Rzuciła na niego pełne pogardy spojrzenie.

- Dam wam radę chłopczy... - Sączył piwo. - Jak będziecie się z nią żegnać, sprawdźcie, czy wciąż macie portfele. Ona nie może się przed tym powstrzymać.

Gdy zaczęli się klepać po kieszeniach, Patrick odłożył piwo i ponownie zaciągnął ją na parkiet. Zespół właśnie zaczął grać balladę, okropnie fałszując. Lucy uśmiechnęła się do niego.

- Nie musisz mnie obejmować. Mówiłam ci, że już to zrobiłam. Z dwoma z nich.

- Jestem pod wrażeniem.

Objął ją za plecy i przyłożył usta do jej ucha.

- A co z publicznym obmacywaniem? To też znajduje się na twojej liście?

- Nie, ale...

Przycisnął ją do siebie.

- Powinnaś to na niej umieścić.

Liczył, że poczuje się trochę zażenowana, ale jakoś tego nie widział. Przycisnął Lucy do ściany, znajdującej się koło drewnianego wieloryba i namiętnie ją pocałował. Tym razem zareagowała tak, jak oczekiwał. Zarzuciła mu ręce na szyję. To było ich naturalne miejsce. Wyglądała, jakby była lekko

oszołomiona, ale może to on miał delikatne zawroty głowy. Szarpnął ustami jej ucho.

- Chodźmy stąd.

Zareagowała, jakby Patrick wylał jej na głowę wiadro zimnej wody.

- Nie ma mowy, stary. Zostaję.

- Pomyśl jeszcze raz, stara - odpowiedział. - Idziesz ze mną.

- W jaki sposób zamierzasz mnie zmusić?

Tu miała rację. Chociaż bardzo by chciał, nie mógł po prostu zarzucić sobie Lucy na ramię i wyciągnąć jej z pubu, nie zwracając uwagi przynajmniej kilku dobrych samarytan, na czele z więzienną strażniczką za barem. Prawdopodobnie miała gdzieś schowany pistolet.

Lucy odeszła, kręcąc tyłkiem. Przysiadła się do innego stolika, przy którym piła starsza i mocniejsza ekipa. Przepłynęła przez niego wzburzona fala emocji. Ona była dużą dziewczynką, i jeśli tego właśnie pragnęła, to mogła iść do diabła.

Zaczął sobie torować łokciami drogę do drzwi, ale po chwili się zatrzymał. Niektóre kobiety przyglądały się Lucy nieco zbyt uważnie. Prawdopodobnie nie podobało im się to, że Lucy przyciąga uwagę mężczyzn. A może starały się odgadnąć, kim ona jest, a gdyby to się stało... Wyobraził sobie, jak wszyscy wyciągają telefony komórkowe, robią jej zdjęcia, przeciskają się do niej...

Zamówił wodę gazowaną, pochylił się nad barem i obserwował ją tak długo, aż mężczyźni przy stoliku poczuli się nieswojo i przestali z nią rozmawiać. Zmieniła stolik, ale on nadal przyglądał się jej uważnie i towarzystwo nie zgotowało jej gorącego powitania. Zamiast odpuścić, podeszła do niego, tym razem nie kręcąc już tyłkiem. Jej kroki były zdecydowane, z oczu emanowała pewność, a spod makijażu wyglądała twarz kobiety, która potrafiła sobie radzić z władzą.

- Nie wnिकam w to, co mi zamówiłeś, ale wytrzeźwiałam - powiedziała śmiertelnie poważnie. - Wiem dobrze, co robię i nie potrzebuję twojej ochrony.

Podniosła podbródek.

- Przez niemal dekadę żyłam pod strażą. To o wiele za długo. W tej właśnie chwili zrywam z tobą. Chcę, żebyś sobie poszedł.

Ogarnęła go ślepa furia. Myślał, że takie ataki gniewu nie będą mu się już przydarzać. Rozbił swój drink o bar.

- Już się robi, siostró.

Lucy pozbyła się Patricka, ale straciła również ochotę na zabawę. Dlaczego musiał przyjść i wszystko zepsuć? Mimo wszystko nie powinna się aż tak wściekać. Obwiniła za to Temple. Jej pewność i zadowolenie z siebie, gdy obwieszczała, że Lucy się w nim zakochała, były niepokojące.

A nie miała się czego bać. Temple się myliła. Lucy nie należała do kobiet, które kochają jednego mężczyznę, a później, po zaledwie dwóch i pół miesiąca, zakochują się w innym. W szczególności nie należała do kobiet, które zakochiwały się w kimś, kto był tak powściągliwy, że nie chciał o sobie nic powiedzieć. Niemniej jakaś część Lucy żałowała, że zerwała z Pandą. Było tak, mimo że lato się już kończyło, a on i tak wkrótce miał wyjechać.

Zaczekała wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że się na niego nie natknie. Na parkingu nie było wolnych miejsc. Ponieważ zabrała mu samochód, mogła oczekiwać, że nim odjedzie i zostawi ją samą w mieście. Ale Panda tak nie postąpił. Ciągle się o nią troszczył. Miała łzy w oczach, chociaż wiedziała, że rozstanie z nim w tej chwili było najlepszym rozwiązaniem.

Nie chciała iść, ale nie miała również ochoty na rozmowy. Rzuciła okiem na samochód, jednak nie mogła się przemóc, żeby do niego wsiąść. Gdyby miała na nogach tenisówki, mogłaby pójść na spacer, żeby wytrzeźwieć. Jednak klapki nie nadawały się na nocne wycieczki. Mimo to było ciepło, a księżyc jasno świecił. Przeszła pomiędzy samochodami i znalazła się po drugiej stronie pubu, którą oświetlał słabo tylko jeden reflektor.

Budynek stał nad samą zatoką. Gdyby to Lucy była jego właścicielką, postawiłaby z tyłu otwarte patio. Zamiast niego zobaczyła parę śmietników, jakiś sprzęt i połamany piknikowy stolik. Zgniecione papierosy i leżące na ziemi niedopałki

wskazywały, że w tym miejscu pracownicy urządzali sobie przerwy na papierosa.

Ostrożnie szła po nierównym podłożu, po czym dotarła do stolika i usiadła przy nim. Wilgotne drewno schłodziło jej gołe nogi, a w powietrzu unosił się zapach jeziora i smażonego oleju. Usłyszała ryk motocykli i przez chwilę chciała wierzyć, że to jechał Patrick, jej Galahad, który chciał ją uratować przed posępną otchłanią myśli.

Popatrzyła na światła domu, które obijały się na wodzie. Po awanturze z Temple nie zdziwiłaby się, gdyby Patrick wyjechał z samego rana. Ale co z nią? Jak długo miała tu zostać? Wyobraziła sobie, że stoi na urwisku za domem i że spadają na nią jesienne liście, a potem płatki śniegu. Zobaczyła zbliżającą się wiosnę, kolejne lato. I nowy rok. Posiwała, na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Stała się dziwną starszą panią, która przyjechała na wyspę pewnego lata i nigdy już nie zdołała jej opuścić. Ostatecznie, znaleźli jej zmumifikowane ciało, zagrzebane pod górą skamieniałego, domowego chleba.

Zadrzała. Zaniepokoił ją donośny głos.

- Czekaj. Muszę się odlać.
- Ty zawsze musisz się odlać.
- Pieprz się.

Na żwirze zachrząściły kroki. Za budynkiem pojawił się mężczyzna z rozczochraną brodą i bandaną obwiązaną wokół głowy. Kiedy jego kompan zatrzymał się przy śmietniku, brodac zauważył Lucy.

- Hej.

Obaj mieli na sobie buty z cholewami, niechlujne dzinsy. Ich włosy były bardzo zaniedbane. Oni nie byli ani prawnikami, ani pracownikami poradni społecznej z wyższym wykształceniem, którzy przyjechali tu sobie na weekend na motorach. Oni byli prawdziwi i ich niepewny krok wskazywał, że sporo wypili.

W takiej sytuacji Lucy Jorik ogarnąłby strach, ale Viper wiedziała, jak sobie radzić.

- Spadaj.

- Będzie ci przeszkadzało, jak się odleję? - spytał brodaty motocyklista, głośniejsz niż to było konieczne. - Możesz sobie popatrzeć, jak chcesz.

Mężczyzna za śmietnikiem parsknął śmiechem.

- Ale jaja, stary, znaleźliśmy laskę za pubem.

Viper nie obleciał strach, ale miała trochę rozsądku. W pubie było zbyt głośno, żeby ktoś ją mógł usłyszeć, więc nie chciała przedłużać tej rozmowy.

- Mam lepsze rzeczy do roboty.

Wstała z ławki.

Człowiek za śmietnikiem podszedł do niej chwiejnym krokiem.

- Możesz mu potrzymać fiuta.

Kiedy wyczuła alkohol, zaniepokoiła się jeszcze bardziej, ale Viper nie chciała pokazać po sobie strachu.

- Jest taki mały, że bym go nie znalazła.

Zanieśli się od śmiechu. Chociaż zaczęły jej drżeć kolana, bardzo spodobało jej się, że jest taka twarda. To lato nie było całkowicie zmarnowane.

Problem leżał w tym, że jej szyderstwo zmniejszyło dystans między nimi, co nie było zamiarem Lucy. Obaj mężczyźni zaczęli się do niej zbliżać.

- Podobasz mi się - powiedział brodac.

Śmieciarz miał wąskie, spadziste czoło i zrosnięte brwi.

- Wejdźmy do środka i napijmy się drinka.

Przełknęła ślinę.

- Jasne. Chodźmy.

Ale oni nawet nie drgnęli. Zapach alkoholu i odór ich ciał odstręczył ją.

- Masz chłopa?

Brodacz podrapał się po brzuchu, w taki sam sposób jak czynił to Patrick, ale to działało się naprawdę.

- Babę - odparowała. - Nie lecę na chłopów.

Myślała, że to było bardzo mądre, ale spojrzenia, jakie mężczyźni wymienili pomiędzy sobą, nie rokowały zbyt dobrze. Oczy brodacza świdrowały każdą część jej ciała.

- Nie znalazłaś właściwego. Nie, Wade?  
- Tak, słyszę to po raz pierwszy. - Udało jej się uśmiechnąć kpiąco.

Druga część pubu była ogrodzona, więc musiała przejść obok nich, by dotrzeć na parking. Zawsze dotąd czuła się bezpieczna na wyspie, ale tym razem straciła to poczucie. Maską Viper zaczęła jej spadać z twarzy.

- Chodźmy na tego drinka.

- Nie ma pośpiechu. Wade, śmieciarz, podrapał się w kroczce. - Scottie, idź się wysikać.

- Nie mogę. Stał mi.

Zapach mężczyzn przyprawiał ją o nudności. Serce zaczęło jej walić.

- Muszę się napić - powiedziała szybko. - Możecie iść ze mną albo zostać tutaj.

Próbowała przejść obok nich, ale Wade chwycił ją za ramię.

- Podoba mi się tu na zewnątrz. - Jego uścisk był tak silny, że sprawiał jej ból. - Naprawdę jesteś lesbą?

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła nagle piskliwie.

Cała jej odwaga wyparowała.

Przerwał im mężczyzna.

- Wszystko w porządku? - krzyknął rycerz w lśniącej zbroi zza rogu budynku.

- Nie! - krzyknęła.

- Moja dziewczyna się upiła - odpowiedział Wade. - Nie zwracaj na nią uwagi.

Zakrył jej dłonią usta i wsadził jej twarz w swoją śmierdzącą koszulkę, żeby nie mogła więcej krzyczeć.

Okazało się, że osoba, którą uznała za jej rycerza w świecącej zbroi, nie zamierzała się wtrącać.

- W takim razie w porządku.

Usłyszała, jak odchodzi.

Ani Patrick, ani tajne służby nie mogły jej chronić. Uważaj, czego sobie życzysz. Napór na tył jej głowy nie zmniejszał się. Nie mogła krzyczeć. Ledwo co łąpała oddech. Mogła liczyć tylko na siebie.



Zaczęła walczyć. Mocno oparła się o niego, zaczęła się wykręcać, ale wszystko na nic. Walczyła o oddech, ale przegrywała. Im bardziej stawiała opór, tym mocniej on ją trzymał. Walczyła coraz bardziej zawzięcie. Kopała na oślep, aż trafiła go stopą.

- Suka! Chwyć ją za nogi.

Nagle przestał ją trzymać za głowę, ale jak zaczęła krzyczeć, jeden z nich zakrył dłonią jej usta i szarpnął za szyję. Drugi złapał ją za nogi. Kiedy jej nogi zawisły w powietrzu, buty spadły na ziemię. Krzyczała jedynie we własnym wnętrzu, ale ten cichy wrzask wcale jej nie pomagał.

- Dokąd chcesz ją zabrać?

- Za te drzewa.

- Ja pierwszy.

- Gówno prawda. To ja ją zauważyłem.

Zamierzali ją zgwałcić. Jeden z nich trzymał jej nogi, drugi chwycił za kark, dusząc Lucy. Drapała go paznokciami w rękę, ale on dalej ścisnął jej tchawicę. Zaciągnęli ją głębiej za drzewa. Jeden z mężczyzn połuźnił ucisk na jej łydce. Zawadziła stopą o ziemię i coś ostrego przecięło jej piętę. Poczowała rękę na udzie. Usłyszała chrząknięcia i przekleństwa. Udało jej się złapać odrobinę powietrza, który wystarczył do wydania pisku. Kopnęła na oślep.

- Kurwa! Trzymaj ją.

- Suka.

- Zatkaj jej usta.

- Zamknij się, suko.

Czuła, jak obłapiają ją, chwytają, zaczęła tracić świadomość. Świat eksplodował.

- Puśćcie ją!

Motocykliści rzucili ją na ziemię i obrócili się, żeby zmierzyć się z nowym zagrożeniem.

Ledwo co świadoma Lucy wdychała łapczywie powietrze. Ogarniał ją ból. Zauważyła niewyraźną sylwetkę Pandy. Cisnął jednego z napastników na ziemię. Drugi rzucił się na niego. Patrick zadał tak silny cios pięścią, że rywal aż się zachwiał. Ale facet był silnym bandziorem, więc szybko się otrząsnął. Patrick podstępnie uderzył go w brzuch, posyłając prosto w drzewo.

To nie była walka dżentelmenów. Patrick miał doświadczenie w zabijaniu i dokładnie wiedział, co robi. Leżący na ziemi mężczyzna próbował wstać, ale Panda uderzył go nogą w staw łokciowy. Motocyklista zawył z bólu.

Drugi ciągle trzymał się na nogach, a Patrick był do niego odwrócony plecami. Lucy próbowała wstać i ostrzec go przed oprychem, ale Panda właśnie się odwrócił i uderzył motocyklistę nogą, która zaświszczała jak tłok. Cios trafił mężczyznę w pachwinę i zwałił go z nóg. Patrick pochylił się, złapał go za szyję i walnął jego głową o drzewo.

Facet ze złamanym łokciem podniósł się. Patrick chwycił mężczyznę za zranioną rękę, po czym przeciągnął go po długim zboczku, które prowadziło nad jezioro. Tam zrzucił go do wody. Lucy usłyszała z oddali plusk.

Patrick zaczął teraz ciężiej oddychać. Wrócił po drugiego bandytę, żeby zawlec go do jeziora.

Lucy w końcu odzyskała głos, był cichutki i piskliwy.

- Utoną - zdołała wykrztusić.

- To ich problem.

Wciągnął drugiego na brzeg i Lucy usłyszała kolejny plusk wody.

Podszedł do niej, ciężko oddychając. Z ust spływała mu strużka krwi. Usiadł obok Lucy i delikatnie zbadał jej ciało: szyję, stawy, ranę na stopie. Ręce, które przed chwilą wykorzystał do tak brutalnych czynów, poruszały się po jej ciele z ogromną delikatnością.

- Będzie boleć, ale chyba nie ma złamań. Zaniosę cię do samochodu - powiedział delikatnie.

- Mogę iść.

Nie była w stanie znieść, że jej głos zdradzał tyle słabości.

Nie dyskutował z nią. Po prostu podniósł ją i zarzucił sobie na pierś. Nie mogła uzgodnić ze sobą dwóch wizerunków: kochanka, którego znała, i do bólu skutecznego mordercy, który zmiażdżył dwóch napastników.

Musiał mieć zapasowe kluczyki, ponieważ nie poprosił ją o te, które trzymała w kieszeni. Jakaś para wyszła z pubu i gapiła

się na nich. Otworzył drzwi od strony pasażera, po czym ostrożnie położył Lucy na siedzeniu. Zapiął jej pas, wciąż ją chronił.

W czasie jazdy do domu nie zadawał żadnych pytań. Nie mówił, że postąpiła idiotycznie, decydując się na pójście do pubu w pojedynkę. Nie miał również pretensji, że potraktowała go tak podle. Nie wiedziała, dlaczego wrócił do pubu i nie mogła myśleć o tym, co by się stało, gdyby tego nie zrobił.

Oparła się o drzwi, miała mdłości. Ciągle trzęsła się ze strachu.

- Miałem przyrodniego brata - powiedział cicho posępnym głosem. - Nazywał się Curtis.

Zaskoczona, odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Pandę.

- Był ode mnie młodszy o siedem lat.

Obracał ręce na kierownicy.

- Bujający w obłokach, delikatny dzieciak z wielką wyobraźnią - ciągnął cichym głosem, prowadząc samochód ciemną drogą. - Nasza matka albo była zaćpana, albo się puszczała, więc musiałem się nim opiekować.

To była jej historia. Tyle tylko, że tym razem to on ją opowiadał. Oparła się tyłem głowy o drzwi samochodu i słuchała. Jej serce zaczęło bić wolniej.

- Ostatecznie trafiliśmy do domów opieki. Robiłem wszystko, żeby nas nie rozdzielili, ale się nie udało. Kiedy trochę dorosłem, popadłem w kłopoty. Bójki, kradzież w sklepie. Kiedy miałem siedemnaście lat, złapano mnie, kiedy próbowałem sprzedać pół grama marihuany. Było tak, jakbym chciał trafić do więzienia.

Zrozumiała, o co mu chodziło.

- Dobry sposób na uniknięcie odpowiedzialności - powiedziała delikatnie.

Spojrzał na nią.

- Ty dźwigałaś to samo - stwierdził, patrząc na nią.

- W moim życiu pojawiła się para aniołów stróżów. Ty ich nie miałaś, prawda?

- Nie. Nie było aniołów stróżów.

Minęli zamknięty w nocy Dogs'N'Malts. Nie trzęsła się już tak bardzo i przestała nerwowo zaplatać ręce. Przeszedł na światła drogowe.

- Curtis został zamordowany, gdy siedziałem w poprawczaku - powiedział.

Podejrzała, że Patrick właśnie to powie, ale i tak poczuła się źle, kiedy to usłyszała.

Panda kontynuował.

- Ktoś zastrzelił go z jadącego samochodu. Pozostawiony sam sobie, przestał wracać do domu o wyznaczonej porze. Wypuścili mnie na jego pogrzeb. Miał dziesięć lat.

Jeśli nie byłoby Nealy i Marka, to mogła być historia o niej i Tracy. Oblizła wyschnięte wargi.

- I ty dalej próbujesz się z tym uporać. Mimo że sam byłeś wtedy dzieckiem, obarczasz się za to odpowiedzialnością. Rozumiem.

- Domyśliłem się, że zrozumiesz.

Byli sami na ciemnej drodze.

- Cieszę się, że mi powiedziałeś.

- Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego.

Od miesięcy starała się odkryć jego tajemnice, ale teraz nie była pewna, czy chce je usłyszeć.

Zwolnił na najostrzejszym zakręcie na drodze.

- Kiedy człowiek, który zapłodnił moją matkę, dowiedział się o ciąży, dał jej pięćset dolarów i odszedł. Kochała durnia i nie poszła do adwokata. Dopiero kiedy Curtis skończył dwa lata, uświadomiła sobie, że on nie wróci. Wtedy zaczęła brać narkotyki.

Lucy przeliczyła. Patrick miał dziewięć lat, kiedy zaczął opiekować się bratem. Nawet wtedy o kogoś się troszczył.

- Kiedy dorosłem, dowiedziałem się, kim jest ten drań, i zadzwoniłem do niego parę razy, żeby mu powiedzieć jak życie potraktowało jego dziecko. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, o kim ja mówię. Powiedział, że mnie zamknie, jeśli wciąż będę go prześladował. Wreszcie dowiedziałem się, gdzie on mieszka i poszedłem się z nim zobaczyć.

Pokręcił głową.

- Dziecku z miasta nie jest łatwo dostać się do Grosse Pointe za pomocą transportu publicznego.

Grosse Pointe? Lucy trochę się podniosła i ogarnęło ją dziwne uczucie.

- To był wielki dom, dla mnie wyglądał jak rezydencja. Szary marmur, cztery kominy, basen. Na dziedzińcu dzieci ganiały się z pistoletami na wodę. Trzej chłopcy, którzy mieli ponad dziesięć lat. Dziewczynka. Nawet w spodenkach i koszulkach wyglądali na bogatych.

Kawałki układanki ułożyły się w całość.

- Remingtonowie - powiedziała. - Doskonała amerykańska rodzina.

Przednie światła samochodu przenikały ciemność.

- Przeszedłem na piechotę ostatnie kilka kilometrów od przystanku i ukryłem się na ulicy. Wszyscy wyglądali jak biali Amerykanie pochodzenia anglosaskiego. Curtis i ja byliśmy ciemni, tak jak nasza mama.

Po lewej stronie mignął im zamknięty stragan z okiennicami.

- Na moich oczach przed domem zatrzymał się samochód z ekipą ogrodniczą, wyciągnęli kosiarkę z bagażnika. Czwooro dzieciaków w rodzinie i wynajmowali kogoś do strzyżenia trawy.

Skręcił i wjechał na podjazd. Ukazał im się dom, w którym nie świeciło żadne zachęcające światło.

- Znalazłem inną kryjówkę, żeby móc obserwować ich na podwórku za domem. Zostałem tam do zmroku.

Zgasił silnik, ale nie ruszył się, żeby wyjść z samochodu.

- Czułem się tak, jakbym oglądał show w telewizji. W tym dniu wypadły urodziny jego żony. Widziałem balony, prezenty i wielki szklany stół, przystrojony kwiatami i świecami. Smażyli steki na grillu, podczas gdy ja byłem piekielnie głodny. Wydawało się, że żadnemu z nich nie doskwiera żaden problem, troska. On obejmował żonę przez cały wieczór. Dał jej naszyjnik. Nie mogłem przyjrzeć się dokładniej, ale na podstawie jej reakcji mogę sądzić, że kosztował znacznie więcej niż pięćset dolarów.

Jej serce wypełniała litość. I coś więcej. Coś, o czym nie chciała myśleć.

- Najbardziej chore było to, że tam wracałem. Jakieś dwanaście razy. Odkąd kupiłem samochód, było to znacznie łatwiejsze. Po prostu czasem chciałem ich zobaczyć.

Przesunął palcami po górnej części kierownicy.

- Raz w niedzielę poszedłem za nimi do kościoła i siadłem z tyłu, żeby ich obserwować.

- Nienawidziłeś ich i jednocześnie chciałeś być częścią tej rodziny - powiedziała Lucy. - Dlatego kupiłeś ten dom.

Zdjął ręce z kierownicy i skrzywił się.

- Głupia decyzja. Podjąłem ją w złym czasie. Nie powinienem był tego robić.

Teraz zrozumiała, dlaczego nie chciał niczego zmieniać w domu. Świadomie lub nie, pragnął przebywać w muzeum tej rodziny.

Wysiadł z samochodu, po czym okrążył go, żeby jej pomóc. Chociaż czuła się pewniej, była wdzięczna, że zaprowadził ją za rękę do jej sypialni.

Zrozumiał bez słów, że Lucy musi jak najszybciej zmyć z siebie brud mężczyzn. Pomógł jej się rozebrać. Odkręcił wodę.

Kiedy ona brała prysznic, Patrick zdjął ubranie i dołączył do niej. Delikatnie mył ją, osuszał i pielęgnował rany na stopie. Nie było w tym żadnych podtekstów seksualnych. Ani razu nie przypomniał jej o tym, co powiedziała mu w pubie i nie krytykował za bezmyślność.

Potem pomógł jej dojść do łóżka, pogładził po policzku.

- Muszę porozmawiać z policją. Dom jest zamknięty, a Temple śpi na górze. Masz nie ruszać się z łóżka. Niedługo wrócę.

Chciała mu powiedzieć, że sama się o siebie zatroszczy, ale to byłoby tak jawnie nieprawdziwe, że nie wydobyła z siebie słowa. Pomimo że Viper wyglądała na twardą babkę, okazała się całkowicie bezradna.

Później obudził ją odgłos jego kroków na schodach. Popatrzyła na zegarek. Była czwarta trzydzieści. Zajęło mu to prawie dwie godziny. Wzdrygnęła się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Jednak jej zebra były wrażliwe na ruch, miała zeszywniałą szyję, bolał ją bok. Ale to było nic w porównaniu z bólem, jaki odczuwała, myśląc o cierpieniach Patricka w dzieciństwie.

Ostatecznie zrezygnowała ze spania i wstała z łóżka. Panda dobrze zabandażował jej stopę, więc kiedy przenosiła na nią ciężar ciała, prawie nie odczuwała bólu. Powłokła się do pokoju z wielkimi okiennicami i skuliła na kanapie.

Kiedy światło pojawiło się na horyzoncie, przestała myśleć o Patricku i skupiła się na własnej głupocie - ostatniej rzeczy, którą miała ochotę się zajmować. Ale to paskudne doświadczenie zerwało zasłonę oszustwa i pokazało jej, jak bardzo absurdalny był jej fałszywy wizerunek. Jakim żartem okazał się jej twardy, dumny krok i wojownicze nastawienie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak głupio. Wydawało się jej, że jest najgorszą oszustką na wyspie. Kiedy miała okazję zatroszczyć się o siebie, całkowicie zawiodła. Była raczej bezbronna, zwariowaną i głupią kupką nieszczęścia, która musiała zostać ocalona przez mężczyznę. Ta prawda miała gorzki smak.

Znalazła swój żółty bloczek z karteczkami. Po kilku nieudanych próbach zdołała napisać krótki liścik. Była mu to dłużna. Nie tylko za tę noc. Wrzuciła kilka rzeczy do plecaka i kiedy wzeszło słońce, poszła do lasu.

Gdy dotarła do domku, jej tenisówki były całe przemoczone od rosy. W tym momencie Bree wyłoniła się z miodziarni. Miała nieuczesane włosy, wymiętoszone ubrania. Trzymała sklezione palce z dala od ciała. Ale jej zaniepokojone westchnięcie wskazywało, że Lucy wyglądała o wiele gorzej.

Lucy zrzuciła plecak z ramienia.

- Mogę się u ciebie na trochę zatrzymać?

- Oczywiście, że tak - przerwała. - Wejź do środka. Zrobię kawę.

Później, gdy Bree otworzyła sklepik, Lucy poszła do łazienki i ścięła dredy. Stojąc nago na białych kafelkach, starła z siebie tatuaże za pomocą alkoholu i oliwki dla dzieci. W końcu usunęła ostatnie ślady.

## Rozdział 21

PATRICK ZGNIÓTŁ LIŚCIK, który napisała, i cisnął go do śmietnika, ale fakt, że wyrzucił przeklęty papierek, nie sprawił, że wyrzucił go z pamięci.

*Dziękuję Ci za wszystko, co zrobiłeś dla mnie wczorajszej nocy. Nigdy o tym nie zapomnę. Poszłam do domku, ponieważ chciałam spędzić trochę czasu z Bree i przemyśleć wszystko od nowa. Cieszę się, że powiedziałeś mi o Twoim bracie.*

Co to ma być do cholery? Nie napisała nawet „Drogi Patricku” albo „Z poważaniem”. Wiadomość zawarta w liścisku była całkowicie jasna. Pragnęła, żeby dał jej spokój. O niczym innym nie marzył.

Trzasnął drzwiami od szafki, starając się nie myśleć, co by się wydarzało, gdyby nie wrócił do knajpy. Kiedy już dotarł do łodzi na przystani, uspokoił się na tyle, aby znowu zacząć się o nią martwić. Postanowił, że zabierze ją z tego pubu bez względu na to, co powie.

Nalał sobie kawy do kubka. To była wreszcie porządna kawa, ponieważ sam ją przyrządził. Miał sporo roboty do wykonania, więc zmusił się do pójścia do swojej nory, aby odpalić komputer. Poprzedniej nocy poszedł szukać z miejscowymi gliniarzami dwóch łajdaków, którzy ją napadli. Wiedział, że woda, do której ich wrzucił, nie była na tyle głęboka, aby mogli utonąć i oczywiście zaraz ich znaleźli - wlekli się z powrotem do pubu po swoje motocykle. Okazało się, że rozesłano za nimi listy gończe. Nie było to specjalną niespodzianką, ale ułatwiło przekonanie szefa komisariatu, że ujawnienie nazwiska Lucy nie jest konieczne.

Nie mógł skoncentrować się na pracy, więc odepchnął się od starego biurka. Należało do Templetona, ale Panda przestał już o tym ciągle myśleć. Postanowił, że pójdzie na siłownię i wyżyje się na Temple. Gdyby nie przekonała go do przyjechania tutaj, nic z tego by nie zaszło.



Zdecydował się jednak na pójście nad jezioro. „Bądź najlepszy w tym, w czym jesteś dobry i trzymaj się z daleka od tego, co ci nie idzie”. W tej chwili, nadmiernie troszcząc się o córkę prezydenta Stanów Zjednoczonych, poświęcał swój czas na rzecz, która zajmowała pierwsze miejsce na liście spraw, na których się nie znał.

Organista grał jakąś znajomą pieśń, ale Bree nie mogła przypomnieć sobie jej tytułu. Uśmiechnęła się do kobiety, z którą rozmawiała przy straganie w zeszłym tygodniu. Bree coraz bardziej kochała kościół Miłosiernego Serca. Chociaż czasami wciąż czuła się jak outsider, pełna emocji uroczystość dawała jej ukojenie. Chciała zabrać też Lucy, ale podcięła jej włosy, próbując ukryć miejsca, w których usunęła dredy i teraz dziewczyna stała się zbyt rozpoznawalna.

Gdy Bree wyszła z miodziarni i zobaczyła bladą, posiniaczoną Lucy, najpierw pomyślała, że to Patrick ją pobił. Lucy szybko wyprowadziła ją z błędu i opowiedziała jej krótko, ale dobitnie o tym, co stało się w Compassie. Wiele rzeczy przemilczała, jednak Bree nie chciała naciskać.

Toby się odwrócił i wtedy Bree zrozumiała dlaczego, inaczej niż zwykle, nie narzekał, że znowu musi iść do kościoła.

- Przyszedłeś - szepnął głośno Toby, gdy Mike usiadł obok niego.

- Jasne.

Chociaż było ponad dwadzieścia pięć stopni, Mike miał na sobie brązową marynarkę, jasnoniebieską koszulę i krawat w niebieskie i brązowe paski. Nie była pewna, kiedy pozbył się wielkiego, uczelnianego pierścienia i rzucającej się w oczy złotej bransoletki. Mimo wielkiej ciekawości nigdy o nich nie wspomniała, a teraz nagle zniknęły. Pachniał również wspaniale. Jak dobra pianka do golenia.

Ukłonił się uprzejmie Bree. Jeśli kiedykolwiek czuł do niej miętę, to te uczucia wyraźnie wygasły. Kiedy odwracał wzrok, przyglądała mu się uważnie. W ostatnich dwóch tygodniach robiła to często. Nie czuła się dobrze, wykorzystując go w ten sposób.

Okazywała mu przyjaźń i udawała, że zapomniała o przeszłości, ale tylko dlatego, że go potrzebowała. Zachowywała się jak ostatnia hipokrytka.

Po wieczorze w Dogs'N'Malts, regularnie odwiedzał ją w domu. Dzielenie z nim kilku posiłków nie było aż tak trudne, jak się jej wcześniej wydawało. Przez większość czasu rozmawiał z Tobym. Odnosił się do niej uprzejmie, ale to było wszystko. Ani nie przeproszał, ani nie mówił o przeszłości. Był człowiekiem, który mówił to, co miał do powiedzenia i nigdy się nie powtarzał. Raz nawet, gdy Lucy uparła się, że popilnuje stoiska, Bree poszła popływać łódką z nim i z Tobym.

Ku jej zaskoczeniu, to był najlepszy dzień lata. Całą trójką zanurkowali w jeziorze. Mike świetnie pływał, a Toby uwielbiał się z nim bawić. Gdy Mike wrzucał Toby'ego do wody, Bree patrzyła na jego giętkie mięśnie i czuła osobliwe podekscytowanie, jakby malusieńkie pisklą urosło na tyle, żeby po raz pierwszy nieśmiało zapukać skorupkę. Później zatrzymali się, by jeść niezdrowe żarcie. Bree z trudem powstrzymała się od łez, gdy Toby przypomniał jej, żeby wtarła sobie w skórę więcej kremu przeciwsłonecznego.

Diakonisa wstała, aby powitać wiernych. Ona i Toby nie zasługiwali już na specjalną prezentację, ale Mike przyszedł po raz pierwszy.

- Mamy szczęście, że jesteś dzisiaj z nami, Mike - powiedziała diakonisa. - Wszyscy pamiętamy, że dzięki tobie mogliśmy kupić nowe organy.

Chór wiernych wydał z siebie gromkie amen.

- Po tych wszystkich wypadkach mogłem zrobić chociaż tyle - powiedział Mike, nie okazując zakłopotania, które odczuwała Bree podczas swoich pierwszych odwiedzin. - Najlepsze kościelne jedzenie na wyspie.

Wszyscy zgodnie skinęli głowami. Czy był ktoś, kto go nie lubił?

Pastor Sanders wstał, aby rozpocząć pierwszą modlitwę. Jej produkty znajdowały się w jego sklepiku dopiero od dwóch tygodni, ale balsamy i miód sprzedawały się tak dobrze, że zdążył już

złożyć kolejne zamówienie ze względu na zbliżający się Dzień Pracy. Niewielkie zamówienie, ale mimo wszystko zawsze coś.

Na nieszczęście jego kazanie dotyczyło głównie przebaczenia, co przypomniało jej o Mike'u.

- Jestem religijnym człowiekiem - powiedział. - Wierzę w grzech i skruchę. Staram się zrobić wszystko, żeby naprawić winy, ale to nie zawsze się nie udaje.

- I już się nie uda - odpowiedziała.

Przebywając w tym świętym miejscu, nie była już tak pewna swojej racji.

Po zakończeniu mszy Toby dołączył do Mike'a. Mike brylował w tłumie tak samo jak w kościele anglikańskim. Znał wszystkich i wszyscy go znali. Przedstawił Bree wiernym, których jeszcze nie spotkała. Wśród nich znajdował się jeden z kilku agentów nieruchomości, którzy pracowali dla niego i kilku byłych klientów.

Trzeba było się zbierać. Wyszli na zewnątrz, gdzie panował przedpołudniowy upał.

- Nie masz niź przeciwko temu, abym wziął Toby'ego, żeby zobaczył mojego nowego psa? - powiedział Mike.

Ponownie postawił ją w kłopotliwej sytuacji, ponieważ Toby wszystko słyszał.

W oczach Toby'ego było widać, że zapalił się do tego pomysłu. Często rozmawiali o porzuconym szczeniaku. Toby próbował odwieść Mike'a od pomysłu przekazania go do schroniska, znajdującego się na kontynencie. W końcu go przekonał.

- Ty też powinnaś przyjść, Bree - oznajmił Toby, zanim Bree zdążyła powiedzieć, że Toby może jechać. - Prawda, Mike?

Nie patrząc na Mike'a, Bree szarpnęła się za jeden z kolczyków w kształcie koła.

- Powinnam... wrócić i zmienić Lucy.

Toby się nie poddawał.

- Przecież Lucy już ci powiedziała, że chciałyby stać na straganie cały dzień.

Po raz kolejny postawiła się w roli tej złej. Miała tego dosyć.

- Masz rację. Chętnie zobaczę psiaka.

Toby uśmiechnął się szeroko i pobiegł jak błyskawica w kierunku samochodu.

- Jadę z Mikiem.

Mike spojrział na nią. Nie mogła widzieć jego oczu, ponieważ zasłaniały je okulary przeciwsłoneczne.

- Nie musisz jechać z nami - powiedział.

- Wiem o tym. - Nie mogła przyznać się, że prawie ma na to ochotę. - Ale Toby tego chce, więc pojedę.

Mike szorstko przytaknął i poszedł w stronę Toby'ego. Bree miała jechać za nimi własnym samochodem.

Luksusowy, drewniany dom Mike'a był położony wysoko nad jeziorem, w mniej zaludnionej, zachodniej części wyspy. Na każdym piętrze znajdował się ganek lub zbudowany z lakierowanych belek balkon. Mike zaprowadził ich na tył domu, gdzie stał długi drewniany stół, przy którym zmieściłby się tuzin osób. Okrywałby je cień zakrytego tarasu. Bree popatrzyła na jezioro. W tym samym momencie Mike wszedł do środka i po kilku chwilach zjawił się ponownie ze szczeniakiem - cudownym, krótkowłosym kundlem, który miał niepokojące wielkie łapy.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, patrząc, jak Toby i pies ponownie zapoznają się ze sobą.

- Zastanawiam się, jak by się czuł doktor King, gdyby wiedział, że pies został nazwany jego imieniem? - powiedziała.

Mike udawał, że traktuje jej uwagę poważnie. Albo przynajmniej wydawało się jej, że udaje.

- Martin jest wyjątkowym psem. Myślę, że doktor King nie miałby nic przeciwko temu.

- Zatrzymałeś psa ze względu na Toby'ego, prawda?

Mike tylko wzruszył ramionami.

Potrzebowała Mike'a o wiele bardziej, niż on potrzebował jej i dlatego nie dawała za wygraną.

- Miał za złe swoim przyjaciółom, że nie wracają. Dziękuję ci, że mi o tym powiedziałaś. Martin naprawdę go rozweselił - powiedziała.

Rzucił sportową marynarkę na najbliższe krzesło. Na jego koszuli nie było nawet jednego zagniecenia, i mimo upalnego dnia nie powstał nawet ślad plam od potu.

- Równie dobrze mogę ci powiedzieć, że znowu się wtrąciłem. - Prawie na nią nie patrzył. Poluzował węzeł krawata.  
- Chciałem, żeby mógł na coś czekać, więc... - Malujący się na jego twarzy ślad poczucia winy nie nastrojał optymistycznie.  
- Poprosiłem go, żeby zajmował się Martinem, ilekroć będę opuszczał wyspę.

- Co w tym złego?

Ściągnął krawat.

- Logistyka.

Zrozumiała. Ich domy dzieliła zbyt duża odległość. Szczególnie zimą Toby nie mógł przyjeżdżać tutaj rowerem, a Bree nie mogła przecież kilka razy dziennie odwozić go tam i z powrotem.

- A więc pies będzie musiał zamieszkać z nami w domku - skonkludowała.

- Przepraszam - powiedział. - Powiniennem cię najpierw zapytać o zgodę.

Zgodziła się na to, choć kiedy patrzyła na ogromne łapy Martina, ogarnęły ją złe przecucia.

- W porządku - powiedziała.

Toby bawił się ze szczeniakiem patykiem. Wyrastał z jedy-nych jako takich spodni i niedługo mógł potrzebować nowych butów. Odsunęła od siebie tę myśl.

- Opowiedz mi o swoim domu - powiedziała.

- To jest jeden z najdroższych i największych domów na wyspie. Zamilkł, opuścił go typowy dla niego entuzjazm.

- Przepraszam, nie zamierzałem się przechwalać. Kiedy sprzedajesz nieruchomości, układasz sobie zawczasu plan rozmowy.

Zaskoczyło ją, że uświadomił sobie, jak mogło być odbierane jego zachowanie. Wydawało się, że jest bardziej zmęczony niż zażenowany. Nie wiedziała, co o tym myśleć, więc poprosiła, żeby pokazał jej wnętrze domu.

Mike rzucił Toby'emu smycz.

- Może zabierzesz Martina na krótki spacer, a ja w tym czasie pokażę Bree dom?

Kiedy Toby zapinał smycz na szyi psa, Bree podążyła za Mikiem. Przekroczyli próg szklanych drzwi. Weszli do ogromnego,

wspaniałego pokoju z drewnianymi ścianami, wysokim, jasnym sufitem i olbrzymim kamiennym kominkiem. Wystrój, którego zdjęcie zasługiwało na umieszczenie w czasopiśmie, był zarówno męski, jak i wygodny. Pokój miał barwy czekolady, cynamonu i jasnej czerwieni. Staroświeckie rakiety śnieżne, mapy topograficzne i wykute z żelaza kinkiety wisiały na jednej ścianie, duże panoramiczne okno z widokiem na jezioro znajdowało się na drugiej. Okrągły stolik do kawy stał naprzeciwko głębokiej, skórzanej kanapy, którą pokrywał czarny koc w złotą kratę. Nad kominkiem znajdował się kosz z drewnem na opał i rzeźbiony w drewnie posąg niedźwiedzia brunatnego.

- Jak tu pięknie - powiedziała.
- Zawsze chciałem mieć dom w leśnym stylu. Zimny i ciemny w lecie. Ciepły i wygodny w zimie.
- Kwintesencja Michigan - uśmiechnęła się. - Myślę, że osiągnąłeś swój cel.
- Wynająłem dekoratora wnętrz. Wspaniały facet. On i jego wspólnik odwiedzają mnie raz do roku i wyrzucają wszystko, co uda mi się zebrać samemu. Dalej nie wiem, co jest złego w trzymaniu kilku plakatów U2 i paru wypchanych karpi.

Uśmiechnął się do niej oczyma, ale kiedy odwzajemniła uśmiech, odwrócił wzrok.

- Szczerze mówiąc, nie mam specjalnie wysublimowanego gustu. Zresztą pewnie sama to zauważyłaś.

To prawda. Mike wyróżniał się głównie życzliwością.

- To duży dom dla kawalera - powiedziała.
- Kiedy go budowałem, myślałem o założeniu rodziny. Byłem wtedy zaręczony.

To ją zaskoczyło, choć nie powinno. Tak przystojny i odnoszący sukcesy mężczyzna jak Mike nie miałby problemów ze znalezieniem kobiety - przynajmniej takiej, która nie wiedziałaby o jego młodości.

- Znam ją? - zapytała.
- Nie. - Przesunął otomanę łokciem, tak żeby mogła swobodnie przejść. - Jej rodzina spędza lato w Petosky. Zerwanie tych zaręczyn było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- To ty zerwałeś zaręczyny?  
- Myślisz, że to ja zostałem rzucony, co nie?  
- Wcale nie. - Właśnie to pomyślała. - Po prostu nie wiedziałam, że byłeś kiedykolwiek zaręczony.  
- Mieliśmy różne priorytety. Nie lubiła ani życia na wyspie, ani większości moich tutejszych znajomych. Ale miała również swoje zalety.

- Nie aż tak wielkie, ażebyś chciał się z nią ożenić.

Nie chciał poniżyć nawet byłej narzeczonej.

- Ciężko to przeżyła. Wciąż źle się z tym czuję.

I rzeczywiście tak było. Dojrzały Mike Moody nie lubił krzywdzić ludzi. Może nigdy nie lubił.

Odpiął guzik od kołnierzyka. Prosty gest, ale tak typowo męski, że poczuła się trochę nieswojo. Wrażenie było tak silne, że zadała mu pytanie, którego w innej sytuacji nie śmiałyby postawić.

- Miałeś wiele kobiet?

- Wiele? Nie. Chociaż lubię seks, to nigdy nie spałem z kobietą, na której mi nie zależało. Jeśli to czyni mnie dziwakiem, mogę się z tym pogodzić.

Nie był dziwakiem, lecz uczciwym facetem. Ale ona ciągle żałowała, że poruszyła ten temat. No dobra, więc to ona zaczęła, ale Mike nie wdawał się w szczegóły. Chciała wierzyć, że on...

Nie wiedziała, w co chciała wierzyć i ucieszyła się, gdy zadzwonił mu telefon.

- Klient - powiedziała, spoglądając na wyświetlacz. - Muszę odebrać.

Poszedł do sąsiedniego pokoju. Przeglądała nieuporządkowany zbiór książek na stole. John Steinbeck, Kurt Vonnegut, kilka książek o motywacji, Biblia. Było tam również kilka gazet: „Sports Illustrated” „GQ”. Wszystko wydawało się czytane. Bree pamiętała, że Mike wciągał Davida w rozmowy o książkach.

Przez szklane drzwi widziała, jak rozmawiał przez telefon w sąsiednim pokoju. Był jedynym męskim wzorem w życiu Toby'ego, człowiekiem, który najbardziej przypominał starszego, dorosłego brata. Albo ojca. Nie wątpiła już w uczucia Mike'a do

Toby'ego, ale czy to mogło przetrwać? Jak Toby zareagowałby, gdyby Mike się od niego odsunął?

Z każdym dniem coraz trudniej było jej ustalić swoje stanowisko. Nie wiedziała już, co w zachowaniu Mike'a wynika z jego interesowności, a co jest autentyczne. Ale wiedziała, jaki ona ma w tym interes... Zalał ją wstyd.

Skończył rozmowę i dołączył do niej, ale szybko stało się widoczne, że bardziej mu zależy na powrocie do Toby'ego i psa niż na kontynuowaniu rozmowy.

Lucy usiadła na starym ręczniku plażowym pod wiśnią w sąsiednim sadzie, którego nie można było zobaczyć z domku. Przez trzy dni sprawdzała lokalne wiadomości, ale nie znalazła niczego o ciałach unoszących się na wodzie przy brzegu. Dlatego przypuszczała, że bandyci, którzy ją zaatakowali, przeżyli. Jaka szkoda. Tego dnia uruchomiła wyciskarkę, przelewała miód do słoików i gotowała, ale przed kolacją poszła na chwilę do sadu, gdzie leżała na boku i patrzyła przez gałęzie na chmury.

Niedaleko od jej ramienia na koniczynie usiadła jedna z pszczoł hodowanych przez Bree i zanurzyła swoją trąbkę w sam środek kwiatu. Kiedy siniaki powstałe w wyniku napaści zaczęły znikać, wszystko, co do tej pory było takie niejasne, nagle stało się oczywiste. Przez lata musiała żyć w skórze, której nie znosiła, ale czy poza, którą przybrała ostatnio, była lepsza? Czy naprawdę myślała, że zrobienie sobie kilku tatuaży i zgrywanie chojraka przemieni ją w wolnego ducha, którym chciała być? To lato nie było niczym innym jak marzeniem. Tak jak Patrick.

Przekręciła się na drugi bok. Bez róży i cierniowej bransoletki jej ramię wyglądało inaczej, jakby należało do kogoś innego. Podniosła czysty bloczek żółtego papieru, który leżał obok niej. Tym razem nie miała ochoty na pieczenie chleba albo przejażdżkę kajakiem. Zamiast tego usiadła prosto, położyła bloczek na kolanie, pstryknęła długopis i wreszcie zaczęła pisać w poważnym tonie.



*Sporo wiadomo na temat tego, co się zdarzyło tego lata. To, jak się poznaliśmy, Nealy, Matt, Tracy i ja, zostało udokumentowane na wszystkie sposoby, przez dziennikarzy, uczonych, biografów, powieściopisarzy i jeden okropny telewizyjny film. Ale to jest historia o Nealy i Matcie, ze mną w roli drugoplanowej. Ponieważ to jest książka mojego ojca o Nealy, możesz spodziewać się, że będzie tego więcej, ale nie mogę pisać o mojej mamie bez wspomnienia o sobie...*

Patrick zintensyfikował trening, żeby szybciej minęły mu godziny do opuszczenia wyspy. Kiedy nie podnosił ciężarów albo nie wychodził pobiegać, naprawiał rzeczy w domu. Naprawił okno w tylnym ganku, zreperował parę zepsutych parapetów i porozmawiał z kilkoma potencjalnymi klientami przez telefon. Była środa. Lucy odeszła w piątek, ale on miał wrażenie, że minęło kilka tygodni. Kilka razy przejeżdżał koło stoiska, ale widział jedynie Toby'ego albo Sabrinę West, a nie Lucy. Całym sobą pragnął wejść do chatki i zaciągnąć Lucy do miejsca, gdzie powinna być.

Wyrzał przez okno. Temple znowu była na dole w porcie. Od tak dawna mu nie dogryzała, że zaczynał się o nią martwić. W tych dniach zbyt wiele nie ćwiczyła i prawie się nie odzywała. Chciał, żeby Lucy była przy nim. Ona mogła z nią porozmawiać. I porozmawiać z nim. Chociaż Lucy narzekała, że on jej o niczym nie mówił, potrafiła przeniknąć jego myśli lepiej niż ktokolwiek inny.

A co, jeśli nie dbała o ranę, którą miała na pięcie? Wiedział również, że mogła mieć wstrząśnienie mózgu. Mogło jej się przydarzyć mnóstwo rzeczy i żadna z nich nie była dobra. Bree wiedziała, kim jest Lucy i podejrzewał, że Mike Moody również. Jeśli któreś z nich wykonałoby jeden telefon, na wyspie zaroiłoby się od dziennikarzy. Chciał, żeby Lucy znajdowała się w miejscu, w którym miałby na nią oko, do cholery. I chciał iść z nią do łóżka.

Zawsze był monogamistą. Zwykle przez dłuższy okres nie miał kobiety i wcześniej czy później przywykał do tego stanu. Ale teraz nie chciał przywykać. Pragnął czuć ruchy jej ciała,

słyszeć, jak oddycha, jak cichutko jęczy i błaga. Chciał trzymać ją w ramionach. Smakować. Rozśmieszać. Pragnął z nią rozmawiać, naprawdę rozmawiać.

Tutaj musiał przystopować. Ona miała cholernie miękkie serce. Jeśli rzeczywiście zaczęłyby z nią rozmawiać, pewnie skupiałyby się bardziej na jego dobru niż na własnym. Na to nie mógł pozwolić.

Bree opuściła stragan i poszła do chatki. Lucy gdzieś zniknęła, więc przyszła pora na dyżur Toby'ego. Gorzko lamentował, że jest przepracowany, ale Bree zrobiła się ostatnio złośliwa i powiedziała mu, że lubi krzywdzić dzieci.

- Upewnij się, że nie dostałeś za mało - przypomniała mu.

Spojrzał na nią wymownie, ponieważ oboje wiedzieli, że to on lepiej liczy i było o wiele bardziej prawdopodobne, że to Bree dałaby się oszukać.

Przeszła przez połowę podjazdu, gdy zatrzymała się, by do niego zawołać:

- Hej, łobuzie!

- Czego znowu chcesz?

- Twoja mama też była dobra z matmy - powiedziała.

Stał chwilę w milczeniu, a później się odwrócił.

- Jest mi wszystko jedno.

Pomimo jego udawanej obojętności Bree wiedziała, że Toby uwielbiał słuchać o swoich rodzicach i opowiadała wszystko, co mogła sobie przypomnieć

Nie pamiętała, kiedy dokładnie myśl o Davidzie przestała wywoływać w niej chęć zapalenia papierosa. Ból i przeszywający serce żal zniknęły tak szybko, że ledwo to zauważyła.

Tuż przed dotarciem do miodziarni usłyszała szelest. Gałęzie graniczącego z lasem klonu poruszały się. Tego popołudnia nie wiało, więc to mogła być wiewiórka.

Gałęzie przechyliły się ponownie i uchwyciła spojrzenie kobiety - może turystka, która zgubiła drogę? Bree poszła na zwiady.

Przedzierając się przez chwasty, usłyszała szczególnie obrzydliwy stek przekleństw. Natknęła się ciemnowłosą kobietę, która próbowała wyplątać swoje fioletowe spodnie z krzewu jeżyn.

Kiedy kobieta podniosła wzrok, Bree błyskawicznie ją rozpoznała. Najpierw pojawiła się Lucy Jorik, a teraz Temple Renshaw? O co tutaj chodziło? Pospieszyła z pomocą.

Kobieta pociągnęła dziergany materiał spodni.

- Dlaczego trzymasz tutaj to cholerstwo?

Bree dostosowała się do jej młodzieżowego języka.

- Hm, masz ochotę na jeżyny?

Renshaw prychnęła, a następnie znowu zakłęta i zaczęła wysać zadrapanie na ręce.

Bree znała ją z *Wyspy grubasów* - show, którego nienawidziła, ale Scott je uwielbiał. Czerpał przyjemność ze sposobu, w jaki Temple znęcała się nad uczestnikami konkursu, chwaliła się swoją sprawnością i kpiła z nudnej, ubranej w bikini terapeutki, która miała im doradzać.

- Pani doktor jest naprawdę seksowna - powiedział więcej niż raz. - Gdybyś miała takie cycki jak ona, byłbym szczęśliwym facetem.

A ona cierpiała w milczeniu, zamiast powiedzieć mu, że gdyby miał choć krztynę przyzwoitości, byłaby szczęśliwą kobietą.

Wreszcie Temple uwolniła się z kolców krzaków i spojrzała w stronę chatki.

- Szukam przyjaciółki.

W Bree natychmiast obudziła się czujność.

- Przyjaciółki?

- Czarne włosy. Tatuaze. Pulchne uda.

Temple mogła mieć na myśli jedynie Lucy - chociaż Lucy miała świetne uda - ale Bree nie zamierzała zdradzać żadnych informacji.

- Pulchne uda?

Nie czekając na zaproszenie, Temple zaczęła przedzierać się przez chwasty w stronę chatki.

- Mnóstwo kobiet ma tam nadmiar tłuszczu. To jest do-prawdy zbędne - powiedziała Temple.

Bree poszła za nią. Despotyczne zachowanie Temple odpychało ją, ale jednocześnie budziło ciekawość. Temple dotarła na

dziedziniec i przyglądała się ulom i dojrzewającym pomidorom w ogrodzie. Nie miała makijażu, który mógłby ukryć wory pod oczyma. Długie, lśniące włosy trzymała niedbale upięte w kucyk. Mięśnie i ścięgna jej tułowia były, jak na gust Bree, za bardzo żyłaste, a jej obcisły dres mocno przylegał do nienaturalnie pofałdowanych mięśni brzucha. W telewizji wyglądała lepiej.

Temple zbadała ranę na ręce.

- Zostawiła kartkę w domu, na której napisała, że zatrzyma się tutaj. Muszę z nią porozmawiać.

Lucy wspominała o przyjaciółce, która mieszkała w domu, ale nic więcej nie mówiła, a Bree zapomniała o to zapytać. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że koleżanką Lucy była Temple Renshaw.

Temple spojrzała jej prosto w oczy.

- Jest tutaj?

Bree słabo radziła sobie z przeciwstawianiem się asertywnym osobom, ale nie wiedziała, czy Lucy chciała się zobaczyć z tą kobietą.

- Nie ma tutaj nikogo poza mną - powiedziała Bree.

Temple poprawiła pukiel włosów, który wypadł jej z kuczka.

- Dobra. Poczekam.

- Wolałabym, żebyś tego nie robiła.

Temple nie zwróciła na nią uwagi. Przeszła przez podwórko i usiadła na schodach z tyłu, gdzie tak wiele czasu spędzała Bree.

Bree nie mogła jej wyrzucić z posiadłości siłą, więc wzdusiła ramionami.

- Zwisa mi to - powiedziała, naśladując Toby'ego.

Toby bardzo się martwił. Sprzedali już wszystkie szklane ozdoby ze scenami z życia wyspy, które Bree malowała ręcznie i wyceniła na trzydzieści pięć dolarów za sztukę. Zamiast oszczędzać pieniądze, Bree kupiła kolejne ozdoby do malowania. To było głupie. Święto Pracy miało być za trzy tygodnie i po nim turyści opuszczali wyspę. Nie było już czasu sprzedać ich więcej, więc jak mogli zarabiać? To było najgorsze lato w jego życiu. Dowiedział się, że nigdy już nie zobaczy Eli i Ethana. Ostatnio nawet Mike nie pojawiał się często. Miał zbyt wielu klientów.

Podjechał szary suv. Gdy otworzyły się drzwi, Toby zauważył, że za kierownicą siedział Patrick. Teraz kiedy znał go już lepiej, nie bał się już go tak bardzo. Patrick wziął Toby'ego na kajak i razem pływali po zatoczce, a nawet po jeziorze. Razem ścięli również martwe drzewo. Toby miał nadzieję, że jak dorośnie, będzie tak fajny jak Patrick. Lubił sposób, w jaki on chodził. Patrick był prawdziwym twardzielem i nigdy się o nic nie martwił. Lubił jego okulary. Nikt nigdy nie zadarłby z facetem takim jak on.

- Jak się masz, mały? - powiedział Patrick, zbliżając się do niego. - Zarobiłeś coś?

- Dzisiaj po południu sześćdziesiąt osiem dolarów.

- To nieźle. - Rozejrzał się dookoła. - Myślałem, że może zastanę tu Lucy.

Toby wzruszył ramionami.

- Nie wiem, gdzie ona jest.

Patrick skinął głową, jakby musiał nad tym pomyśleć, chociaż Toby nie bardzo rozumiał, co tu było do myślenia.

- Co u niej? - zapytał Patrick.

- Myślę, że w porządku.

Poczuł swędzenie strupa na kolanie. Podrapał się.

- Czy ona nie ma problemu z chodzeniem?

- Co masz na myśli?

- Czy utyka czy coś w tym rodzaju?

- Nie wiem. Chyba nie.

Patrick odgarnął włosy z czoła, jakby zaczął się trochę irytować. Zachowywał się dziwnie.

- Ale rozmawiałeś z nią?

- Pewnie.

- Więc... Powiedziała ci coś o... czymś?

- Wiele rzeczy.

- To znaczy?

Toby zastanowił się.

- Powiedziała, że nikt nie powinien używać słowa „czarnuch”. Nawet jeśli ktoś ma czarną skórę tak jak ja. Jej brat Andre jest czarny. Wiedziałeś o tym?

- Tak.

- Ona uważa, że większość raperów nie jest dobrym wzorem dla dzieciaków, ale ja tak nie sędzę. Zarabiają sporo i mają wszystko.

Patrick wciąż patrzył na niego, jakby oczekiwał, że Toby powie mu coś jeszcze, ale Toby nie wiedział, na co on liczy.

- Dodała batatów do chleba, ale wciąż był smaczny.

Patrick ciągle się na niego gapił. Toby miał nadzieję, że zaraz sobie pójdzie

- Powiedziała Bree, że lubi jeździć konno.

Patrick poszedł w stronę miodziarni i wpatrywał się w nią, jakby naprawdę był zainteresowany kupnem miodu.

- Powiedziała coś o mnie?

Strup na kolanie znowu zaczął śwędzić Toby'ego.

- Nie wiem. Raczej nie.

Patrick skinął głową, popatrzył jeszcze na miód, a później chwycił słoik. Dopiero, gdy już wrócił do samochodu, Toby zauważył, że zapłacił za niego dwadzieścia dolarów.

- Hej! - krzyknął Toby.

Ale Patrick już ruszył.

Lucy usłyszała ich głosy, zanim dotarła do chatki. Liczyła, że po południu napisze kolejne parę stron, ale przemożne pragnienie zjedzenia czegoś słodkiego zagnało ją do domu. Nigdy nie myślała, że próba powrotu do dawnych, zdrowych zwyczajów żywieniowych będzie tak trudna. Dawno temu prawie zawsze jadła tylko wówczas, kiedy odczuwała głód, ale efektem dwumiesięcznej „diety” była obsesja na punkcie jedzenia. Teraz, ilekroć czuła się nieswojo, zmęczona lub nieszczęśliwa, chciała tylko najeść się do syta. Nie dziwiła się już, że po diecie większość ludzi tyje.

Kiedy głosy stały się wyraźniejsze, poprawiła ręcznik plażowy, który położyła pod rękę, i zaczęła się im przysłuchiwać.

- Powinnaś już iść - słyszała mówiącą Bree.

- Najpierw muszę zobaczyć Lucy - odparła Temple.

- Wyjechała.

- Nie wierzę ci. Jej rzeczy ciągle znajdują się w jej łazience w domu.

Bree zawahała się.

- Tylko dlatego, że już ich nie potrzebuje.
- Wymyśl coś innego. Gdzie ona jest?
- Nie jestem jej stróżem. Skąd mam wiedzieć?

Lucy przysłuchiwała się z zakłopotaniem, jak nieśmiała mysz polna sprzeciwia się złej królowej. Co stało się z tą niepewną kobietą, którą była Bree w początkach ich znajomości? Lucy niechętnie wyszła zza drzew. Temple klepnęła się mocno po udach.

- Przyszłaś wreszcie! Jestem na ciebie wściekła.
- Zostaw ją w spokoju - powiedziała mysz.

Temple napadła na Lucy.

- Popełniłaś błąd, opuszczając Patricka, ale ja ci nic nie zrobiłam i nie miałaś prawa porzucać mnie. Czy myślałaś choć przez chwilę, jak się będę czuła, kiedy dowiem się, że uciekłaś bez słowa? Jestem na ciebie tak wściekła, że nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek będę z tobą jeszcze rozmawiać.

- Więc po co tutaj przyszłaś? - powiedziała powracająca do sił Bree.

Temple obróciła się w jej stronę.

- Nie wtrącaj się. To nie ma z tobą nic wspólnego.
- To jest mój dom, a Lucy jest moim gościem. Dlatego to jest moja sprawa.

Lucy zmusiła się do interwencji.

- Czy wy zostałyście sobie porządnie przedstawione? Bree West, to jest Temple Renshaw. Temple, to jest Bree.

- Znam ją - powiedziała surowo Bree.

Lucy popatrzyła na nią ponuro.

- Możesz nie wierzyć, ale Temple zwykle nie jest tak nieuprzejma.

- Tylko nie waz się za mnie przepraszać - odparła Temple, przyglądając się nowej, znacznie porządniejszej fryzurze Lucy, której włosy dzięki sprawnym nożyczkom Bree sięgały dokładnie do brody. - Jestem wciąż wkurzona na ciebie.

- Rozumiem - przyznała Lucy. - Masz rację. Przepraszam. Powinna była przynajmniej zostawić ci liścik.

Temple pociągnęła nosem.

- Masz za co przeproszać. Kiedy wracasz do domu?
- Nie wraca - powiedziała Bree. - Zostanie tutaj.
- To ty tak twierdzisz.

Przysłuchiwanie się walce, którą obie toczyły o nią, sprawiało, że Lucy poczuła się lepiej niż ostatnio. Temple obróciła się tyłem do Bree. Stała się mniej napastliwa i z niepokojem zmarszczyła brwi.

- Co on ci zrobił? Mówił mi o tym, co się stało w pubie, ale wiem, że nie powiedział mi wszystkiego. Nie mogłabyś wyjść, żebyśmy mogła porozmawiać z Lucy? - zwróciła się do Bree z wymuszoną uprzejmością.

Lucy niechętnie zakończyła ich sprzeczkę.

- Przestań groźnie na nią spoglądać, Temple. Ma prawo tutaj być. Zamierzałam z tobą porozmawiać. Po prostu nie chciałam tego robić w domu.

Nie powinna była tego mówić. Temple uniosła brwi w gniewie.

- A więc nasza przyjaźń nie jest dla ciebie ważna.
- To nie jest prawda.

Lucy rzuciła swój ręcznik plażowy na zacieniony fragment trawnika, po czym usiadła. Poczowała ostry zapach bazylii i zaczęła opowiadać Temple bardziej szczegółowo o tym, co przydarzyło się jej w Compassie. Kiedy skończyła, przytuliła kolana do piersi.

- Myślałem, że jestem taka twarda.
- Chyba na serio nie obwiniasz się za to, że nie byłaś w stanie walczyć z tymi bandytami - powiedziała Temple.
- Inne kobiety są do tego zdolne.
- W filmach.

Jej oburzenie pocieszało ją, ale Lucy nie mogła sobie wybaczyć.

Wystarczył jeden, pełen gracji ruch, aby Temple usiadła obok niej na ręczniku plażowym.

- Nie rozumiem, dlaczego Patrick powiedział mi tak niewiele.
- Jestem pewna, że chodzi o dobro klienta. - Lucy zdusiła gorycz. - W zasadzie tak mnie właśnie traktuje. On czuje się za mnie odpowiedzialny.
- Chroni cię - powiedziała Temple stanowczo. - Czemu jesteś na niego wkurzona?



- Nie jestem - powiedziała. - Jestem zła na siebie.  
- Jasne. Obwiniaj ofiarę - wtrąciła się Bree.  
- To nie tak - powiedziała Lucy. - Przez całe lato zgrywałam twarziela. Ośmieszyłam się, prawda?

Temple zignorowała tę uwagę.

- A Patrick? Co z nim? Czemu go opuściłaś?  
- Bo nasz związek był tak samo mało autentyczny jak moje tatuaże.

- Ja bym tego nie powiedziała. - Temple przyjrzała się dokładnie Lucy. Każdy kto ich zobaczył razem, widział, jak na siebie lecą.

Lucy się to nie spodobało.

- Uciekłam sprzed ołtarza i po dwóch tygodniach wylądowałam w łóżku z innym mężczyzną. Nieźle, nie?

- Zazwyczaj to nie jest fajne - powiedziała Temple. - Ale gdy tym mężczyzną jest Panda...

Lucy nie zamierzała pozwolić, żeby ktoś ją usprawiedliwił.

- Teraz już widzę, co jest prawdziwe w moim życiu. Patrick nie jest.

- Ja sądzę, że jest. Kochasz go.

- Nie mów tak! - krzyknęła. - Uwierz mi, miłość to nie jest to, co do niego czuję.

To słowo było zarezerwowane dla Teda. Był jej bóstwem, Patrick z pewnością nim nie był. Jak można czcić kogoś, jeśli chce się tylko zedrzyć z niego ubranie? Albo śmiać się z nim, warczeć na niego i wymieniać porozumiewawcze spojrzenia? Kiedy Panda był przy niej, czuła się jak połączenie złej Lucy, dobrej Lucy i Viper. Kto pożąda takiego chaosu?

Bree stanęła nad ręcznikiem, ratując Lucy przed koniecznością dostarczania kolejnych wyjaśnień.

- Lucy zostanie tutaj - powiedziała.

- Nie, nie zostaje - powiedziała Temple, wstając. - Chcę ją z powrotem.

- Nie interesuje mnie to. Potrzebuję jej.

- Myślisz, że ja nie?

- Musisz się z tym pogodzić. Możesz odwiedzać ją, kiedy chcesz.

Lucy szczypały oczy.

- Choć bardzo mi się podoba, jak walczyacie o mnie, to naprawdę nie powinnyście

Bree poszła zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie domu.

- Muszę sprawdzić, co u Toby'ego. W lodówce jest mrożona herbata.

Nagle obróciła się w stronę Lucy.

- Zostajesz tutaj. Nie daj się jej zastraszyć.

Kiedy Bree zniknęła, w kącikach ust Temple mignął uśmiech.

- Podoba mi się.

Uśmiech szybko znikł z jej twarzy.

- Co da ci ucieczka? Stale mówiłaś mi, że muszę stawić czoło trudnościom, a ty co robisz w trudnej sytuacji? Jesteś tylko mocna w gębie.

- Bądź miła.

- Dobrze - powiedziała zirytowana Temple. - Jeśli zachowujesz się w ten sposób, nie powiem ci o pewnym telefonie, który wykonałam.

- Powiedz mi - powiedziała Lucy, ponieważ wiedziała, że Temple chciała, żeby ją o to zapytała.

- Nie zasługujesz na to.

- Mimo to powiedz mi.

Temple powiedziała i Lucy aż zeskoczyła z ręcznika.

- Jesteś tego pewna?

Temple spojrzała na nią groźnie.

- Myślałam, że będziesz zadowolona. Czy nie tego chciałaś? Niezupełnie. Ale Lucy zachowała tę myśl dla siebie.

Na dźwięk dzwonka Patrick wściekle odrzucił śrubokręt. Jediną osobą, jaką chciał teraz zobaczyć, była Lucy, a ona nie dzwoniłaby do drzwi. Właśnie skończył zmagać się ze stołem kuchennym. Wyjmowanie grubych nóg nie szło mu dobrze.

Idąc w stronę drzwi frontowych, popatrzył krzywo na wiszący na ścianie tani obraz, który przedstawiał morski krajobraz.

Przyzwyczał się do znikania obrazów i tajemniczego przemieszczania się mebli z jednego pokoju do drugiego. Dlaczego Lucy się tego nie pozbyła? Najgorsza ze wszystkiego była jego świnia. Dalej miała na sobie nos klauna, który Lucy przykleiła jej w zeszłym tygodniu.

Dotarł do drzwi i spojrzął przez boczną szybę. Po drugiej stronie drzwi stała seksowna blondynka.

Było w niej coś znajomego, choć wiedział, że jej nigdy nie spotkał. Może chodziło o jej figurę. Trudno zapamiętać takie kształty. Duże piersi, szczupła talia, wąskie biodra. Imponujące nogi, o ile dobrze widział.

Otwierając drzwi, próbował ustalić jej tożsamość, ale coś w jej wyglądzie odrzucało go. Jej długie jasne włosy nie powinny być tak porządnie upięte i miała na sobie zbyt wiele ubrań.

Potem ją rozpoznał. Ścisnęło go w żołądku.

Podała mu rękę.

- Pan Shade, prawda? Jestem Kristina Conrad.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła porozumiewawczo.

- Doktor Kristi.

## *Rozdział 22*

OTACZAŁY GO KOBIECY i wszystkie były koszmarne. Temple ze swoimi ponurymi nastrojami. Doktor Kristi, która prawdopodobnie zdobyła swoją licencję przez Internet, chociaż zarzekała się, że zrobiła to legalnie. Lucy - najbardziej upierdliwa z nich - mieszkała po drugiej stronie lasu z Sabriną Remington, córką człowieka, którego nienawidził.

Lucy nie odzywała się już od dziewięciu dni. Wmawianie sobie, że to musiało się i tak skończyć, nie dawało pocieszenia.

Temple zeszła na dół. Miała zaczerwienione oczy i w korytarzu przeszła obok niego bez słowa. Nie lubił, jak tak wyglądała.

- Chodźmy pobiegać - powiedział szorstko.

- Później.

Usiadła na krześle w salonie i sięgnęła ręką po pilot od telewizora.

Po chwili, zastanawiając się, gdzie może znaleźć stolik, który mógł wypełnić pustą przestrzeń w kuchni, zobaczył na podwórku doktor Kristi z książką w ręku. Wcześniej pływała, ale zamiast włożyć swoje słynne skąpe czerwone bikini, co przynajmniej w małym stopniu zrekompensowałoby mu jej wtargnięcie, miała na sobie przeciętny, zielono-biały, jednoczęściowy kostium.

Wychodząc na zewnątrz, Temple przeszła przez kuchnię. Patrick obrócił głowę w stronę podwórza.

- Mogłaś mnie uprzedzić, że ją tutaj zapraszasz. Do mojego domu.

- Wiedziałam, że nie miałbyś nic przeciwko temu. - Zanim zdążył wyprowadzić ją z błędu, przeszła koło niego. - Idę do domku Bree - powiedziała.

- Może chociaż raz zrobisz coś pożytecznego.

- Sam ją sprowadź - odparła, po czym trzasnęła drzwiami.

O niczym innym nie marzył, ale co stałoby się potem? Lucy potrzebowała kogoś, z kim mogłaby spędzić szczęśliwie resztę życia, a on nie mógł jej tego dać. Mimo to musiał się z nią zobaczyć, zanim opuści wyspę, choć nie miał pojęcia, co chciałby jej powiedzieć.

Przez okno zobaczył, że Temple idzie w stronę doktor Kristi, która zamknęła książkę i podniosła się z miejsca. Nie słyszał, co powiedziała jej Temple. Nie obchodziło go to. W ogóle niewiele go ostatnio obchodziło.

Temple zbliżała się do stoiska, ciągnąc za sobą blondynkę z dużym biustem. To mogła być jedynie doktor Kristi. W tym samym momencie Lucy zaniósła do sklepiku szklanki z mrożoną herbata. Terapeutka miała na sobie bluzkę bez rękawów, która okrywała pasujący do niej strój kąpielowy. Jej przygładzone włosy odsłaniały twarz i podkreślały doskonałe kości policzkowe i pełne, choć wiecznie wydęte usta.

Lucy spodziewała się tego od czterech dni - od chwili kiedy Temple powiedziała jej, że poprosiła doktor Kristi o pomoc.

Lucy nalegała, żeby Temple zadzwoniła do kogoś cieszącego się lepszą reputacją niż pani psycholog z *Wyspy grubasów*, ale Temple zignorowała tę radę.

Bree usiadła przy stole do pracy, który stał w cieniu. Z wielką zaciekłością malowała latarnię morską na jednej ze swoich drogocennych szklanych ozdób. Miała niecałe dwa tygodnie, żeby je sprzedać. Kiedy dostrzegła, kto nadchodzi, wyprostowała się.

Temple była jak zwykle ubrana w spodnie i koszulkę bez rękawów.

- Kristi, to jest moja przyjaciółka Lucy. A to jest Bree - powiedziała.

Kristi ukłoniła się Bree.

- To pani jest tą pszczelarką. Miło mi. - Później zwróciła się do Lucy. - Bardzo chciałam panią poznać, panno Jorik. Temple wiele mi o pani opowiadała.

- Nie przedstawiłam cię w korzystnym świetle - powiedziała Temple.

Temple rozłożyła się na drewnianym krześle.

- Kłamczucha - odparła Lucy, stawiając szklanki z mrożoną herbatą na stole Bree.

- Masz rację - odburknęła Temple. - Ze smutkiem przyznając, że uznałam uciekinierkę z nadwagą za wzór do naśladowania.

- Lucy nie ma nadwagi - powiedziała Bree.

Bree niechętnie odwróciła wzrok od ust Kristi, które przywodziły na myśl wargi gwiazd porno.

Lucy nie wiedziała, czy ma nadwagę, ale nie przypuszczała, że ktokolwiek uzna ją za wzór do naśladowania. Z pewnością tego lata dowiedziała się sporo o życiu.

Temple zapewniła Lucy, że doktor Kristi nie ujawni jej tożsamości. Potem zapadła cisza. Kristi przyglądała się produktom Bree. Wydawało się, że Kristi nie przeszkadza milczenie, ale reszta czuła skrępowanie. Temple gapiła się na swoje nogi, Bree bawiła się pędzlem, a Lucy początkowo zamierzała coś powiedzieć, ale później przypomniała sobie, że nie musi zabawiać tego przypadkowego towarzystwa.

Temple zeskoczyła z krzesła i popatrzyła na Bree wojowniczo.

- Jestem lesbijką.

Bree zamruwała.

Temple usiadła i znowu wbiła wzrok w stopy.

Lucy wzięła głęboki oddech. Rozumiała to, czego Bree nie mogła pojąć. To był coming out Temple.

Znowu zapadła cisza. Temple uniosła głowę, ale jej spojrzenie nie zostało przez nikogo odwzajemnione.

- Jestem zakochana w kobiecie - powiedziała Temple.

- Hm... Gratulacje...? - powiedziała pytająco Bree, po czym przechyliła głowę, spoglądając badawczo na Kristi. - Dla was obu?

Temple nie od razu zrozumiała, co miała na myśli Bree, a później zadrzała.

- Na Boga, nie w Kristi.

- To było raczej nieprzyjemne - powiedziała stanowczo Kristi.

- Co cię to obchodzi? - odparła Temple. - Jesteś przecież hetero.

Kristi usiadła na krześle w kolorze brzoskwini.

- Co jeszcze nie znaczy, że lubię, jak się mnie lekceważy w taki sposób.

Bree spojrzała na Lucy, wyraźnie pytając, z jakimi wariatkami się zadaje.

- Przepraszam - powiedziała Temple.

Doktor Kristi łaskawie skinęła głową.

- Przeprosiny przyjęte.

Lucy pochyliła się nad Temple.

- Rozmawiałaś z Max?

Temple machnęła ręką lekceważąco, jakby pytanie Lucy były zbyt głupie, żeby zasługiwało na odpowiedź. Kristi odchrząknęła. Temple spojrzała na nią.

- Max rzuciła słuchawką. Chce się zemścić - wymamrotała.

Lucy chwilę się zastanowiła.

- Myślę, że to zrozumiale. Co zamierzasz teraz zrobić?

Temple wierciła się na krześle i kiedy wreszcie odpowiedziała, zabrzmiała, jakby połknęła jakiegoś robaka.

- Zamierzam błagać.

Bree, podnosząc się gwałtownie z krzesła, prawie przewróciła stolik do malowania.

- Nigdy nie błagaj! Nigdy! To zniszczy twoją duszę.

Doktor Kristi przypatrywała im się z powagą, która nie harmonizowała z ustami gwiazdy porno.

- Mówisz tak, jakbyś to znała z doświadczenia.

Bree zacisnęła zęby z uporem.

- Były mąż - powiedziała.

- Chcesz nam o tym opowiedzieć? - zapytała Kristi.

- Hej! - powiedziała Temple. - Jesteś moją psychoterapeutką.

Kristi zignorowała jej sprzeciw.

- Najlepiej pracuję w grupie.

I tak właśnie zrobiła. Przez następną godzinę Lucy uczestniczyła w grupowej sesji terapeutycznej, którą doktor Kristi prowadziła zaskakująco dobrze. Rozmawiały o nauce, jaką wyciągnęła Bree z jej upokarzającego związku ze Scottem i o dążeniu do doskonałości, które niszczyło Temple. Lucy powiedziała jedynie, że czuła się winna, nienawidząc tak bardzo pracy lobbystki. Doktor Kristi, chcąc ją pocieszyć, stwierdziła, że więcej ludzi powinno porzucić swoje normalne życie, żeby zdecydować o swojej przyszłości. Stopniowo Lucy uświadomiła sobie, że doktor Kristi bardzo dobrze wykonywała swoją pracę. To lato obfitowało w wiele niespodzianek.

Wreszcie psycholożka oświadczyła, że sesja dobiegła końca, tak jakby spotykały się regularnie. Lucy starała się być taktowna.

- W telewizji nie widzimy cię od tej strony.

Kristi podniosła pięknie ukształtowane brwi.

- Tak, słomiany kapelusz i czerwone bikini stawiają mój profesjonalizm pod znakiem zapytania.

- Dlaczego to robisz? - zapytała Bree.

- Kiedy byłam nastolatką, cierpiałam na bulimię - powiedziała rzeczowo Kristi. - Dlatego zrobiłam specjalizację z leczenia zaburzeń odżywiania. Przyjęłam pracę w *Wyspie grubasów*, żeby spłacić pożyczki na opłacenie studiów. Planowałam odejść po pierwszym sezonie, ale pokochałam pieniądze.

Skrzyżowała długie, szczupłe nogi.

- Próbuję usprawiedliwić fakt, że zostałam, choć wiem, że producenci chcą raczej pokazywać moje ciało niż to, jak doradzam uczestnikom. Ale nasi zawodnicy mają poważne problemy emocjonalne, a ja wiem, że jeśli odejdę, producenci nie będą zawracać sobie głowy sprawdzaniem kompetencji osoby, która mnie zastąpi. Zatrudnią każdego, o ile tylko będzie blondynką i będzie świetnie wyglądała w bikini. Dlatego zostałam.

- Kristi sądzi, że żadna z naszych historii, które zakończyły się długoterminowym sukcesem, nie skończyłaby się tak bez jej udziału - powiedziała zgryźliwie Temple.

Kristi zmierzyła ją spojrzeniem.

- Mieliśmy kilka długoterminowych sukcesów. Kiedy *Wyspa grubasów* stała się popularna, udało mi przekonać producentów, żeby zapłacili za prawdziwą terapię. Po ćwiczeniach z Temple uczestnicy są wrakami i jest przesądzone, że na dłuższą metę nie odniosą sukcesu. Myślę, że Temple zaczyna to rozumieć. W prawdziwym życiu ludzie mający pracę i rodzinę nie mogą codziennie poświęcać dwóch lub trzech godzin na treningi. I większość z nich nie potrafi bez ciągłego wsparcia utrzymać zdrowej diety.

Zła królowa poczuła się dotknięta.

- Przecież myślę o zmianach, tak?

- Czas najwyższy. - Doktor Kristi zwróciła się do Bree: - Czy wiedza o tym, że Temple jest lesbijką, ma wpływ na twoją ocenę *Wyspy grubasów*?

- Nie powie prawdy. Jest zbyt dobrze wychowana - powiedziała Temple.

- To ty tak sądzisz. - Kiedy Bree podniosła podbródek, słońce oświetliło jej rude włosy. - Nienawidziłam show wcześniej i dalej go nie znoszę.

Kristi skinęła głową.

- Rozumiesz Temple, że ziemia nie przestanie się kręcić tylko dlatego, że wreszcie odważyłaś się żyć autentycznie.

- Ple, ple, ple... - powiedziała Temple, ale protestowała bez przekonania.



W końcu rozmowa zeszła na mniej kontrowersyjne tematy. W momencie gdy doktor Kristi poprosiła Bree o próbki jej nowych, smakowych miódów, Temple odciągnęła Lucy na bok.

- Patrick podoba się doktor Kristi - syknęła, kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu. - Stale się na niego gapi.

Lucy przygryzła wargi.

- A czy ona też mu się podoba?

- Przyjrzałaś się jej? Któremu mężczyźnie mogłaby się nie podobać? Ostatniej nocy spięła włosy, a zwykle robi to tylko wtedy, gdy występuje przed kamerą. Musisz natychmiast wrócić do domu i bronić swojej własności.

Lucy wpatrywała się w zwykłego motyla, jakby nigdy wcześniej nie widziała takiego stworzenia.

- On nie jest moją własnością.

- Kretynka - syknęła Temple.

Ale Lucy zauważyła zaniepokojenie w jej oczach. Nie była jednak na tyle głupia, aby o tym wspomnieć.

- A ja myślałam, że stajesz się łagodniejszą i miłszą osobą.

- Jeszcze nie.

Lucy ledwo zdołała się uśmiechnąć.

Późnym popołudniem Bree znów wyciskała miód z ciężkich plastrów i nie miała szansy posprzątać. Lucy uparła się, że zmyje naczynia potem, a Bree prawie nie protestowała. Idąc pod prysznic, Bree usłyszała, jak Mike i Toby rozmawiają na przednim ganku. Zatrzymała się, aby posłuchać.

- Myślę, że powinieneś zaprosić Bree na randkę - powiedział Toby. - Wiem, że na początku nie przypadła jej do gustu, ale zmieniła zdanie. Widziałeś, jak zachowywała się podczas obiadu? Śmiała się ze wszystkich twoich żartów.

Bree zbliżyła się do przedniej zastawy, aby lepiej słyszeć odpowiedź Mike'a.

- To niezbyt wiele znaczy - powiedział. - Lucy także się śmiała.

- Ale Bree śmiała się więcej - zauważył Toby. - I zawsze na ciebie patrzy Powinieneś zaprosić ją na obiad czy coś w tym

rodzaju. Nie do Dogs'N'Malts, ale może do gospody albo do innego przytulnego miejsca.

- Nie mogę tego zrobić, Toby - odpowiedział Mike z nietypowym dla siebie uporem.

- Dlaczego nie?

- Bo nie.

W kuchni brzękały naczynia. Krzesło, na którym siedział Mike, zaskrzypiało.

- Bree martwi się, jak przeżyje zimę. Chce mieć pewność, że może na mnie liczyć, gdy będzie potrzebować pomocy. Na jej miejscu zrobiłbym to samo.

A Bree myślała, że jest taka sprytna... Powinna była sobie uświadomić, że Mike nie odniósłby takiego sukcesu w biznesie, gdyby nie rozumiał ludzkich motywacji.

Toby nie chciał się poddać.

- Dalej nie rozumiem, dlaczego nie możesz jej zabrać na obiad.

- Ponieważ musiałyby się zgodzić, nawet gdyby tego nie chciała.

- Chciałyby - nalegał Toby. - Wiem, że by chciała.

- Toby, może to będzie dla ciebie trudne... - ciągnął bez oznak zniecierpliwienia, czyli jak zwykle, gdy mu coś wyjaśniał. - Ja nie jestem nią zainteresowany, nie w taki sposób.

Nie byt?

Usłyszała zgrzyt krzesła, a później ciężki odgłos jego kroków na ganku.

- Martin! - krzyknął Mike. - Wracaj tutaj! Toby, leć go ratuj, zanim wybiegnie na drogę.

Nigdy nie wierzyła, że obojętność Mike'a, która stała się teraz tak widoczna, jest autentyczna. Liczyła na jego niezłomność, pocieszała się, że nawet jeśli Scott już dawno temu przestał się nią interesować, Mike zawsze będzie do niej wzdychał. Ale była głupia.

Przycisnęła mocno rękę do piersi. Nie mogła znieść kolejnego odrzucenia. A już z pewnością nie od Mike'a. Serce jej dudniło. Wynurzyła się zza zasłony, otworzyła drzwi i weszła na ganek.

Toby stał z psem na drugim końcu podjazdu, a Mike na najwyższym schodku. Kosmyk jasnobrązowych włosów spadał mu na czoło. Przyciągał uwagę nawet w wytartych džinsach i koszulce, reklamującej sklep nurkowy Jake'a. Był wysoki i postawny. Światło na ganku oświetlało jego wyraźnie zarysowany profil.

Zaskrzyphiały zawiasy. Poszła w jego stronę. Przez ganek... do samego schodka...

- Chodź ze mną - wyszeptwała. Jej serce waliło w szaleńczym tempie.

Otworzył usta. Początek sprzeciwu?

- Nie - powiedziała. - Żadnych słów.

Złapała go za rękę, wyciągnęła z domu i poprowadziła go w stronę drzew, tak że znaleźli się poza zasięgiem wzroku chłopca i psa. Napędzały ją panika, wyczerpanie i strach, że wszystko, co zbudowała, wyszłizgnie się jej z rąk.

Była na tyle wysoka, że przywykła do patrzenia ludziom w oczy, ale stała akurat w małym dołku, więc musiała podnieść głowę. Nawet w słabym świetle księżyca, które przenikało przez liście drzew, mogła dostrzec opór w jego oczach.

- Bree...

Objęła go za szyję, przechyliła mu głowę i uciszyła go własnymi ustami.

To ma ci przypomnieć o tym, czego zawsze pragnęłaś, ale nigdy nie miałaś - mówił jej pocałunek.

Ale gdy jego usta w pełni objęły wargi Bree, przypomniało jej się to, czego ona nigdy nie doświadczyła. Wierności. Honoru. Dobra. I czegoś o wiele mniej szlachetnego. Radosnej, zmysłowej przyjemności. Wolnej od wstydu, którego doświadczała podczas swojego małżeństwa.

Czuła, jak gorąca krew przepływa przez jej żyły. Jej zmysły zalał ognisty żar. To był pocałunek mężczyzny, który uwielbiał dawać rozkosz. Zarówno bezinteresowny, jak i erotyczny.

Jego członek stwardniał i ta erekcja radowała ją, bo oplatające ją ręce nie pamiętały niezliczonych innych kobiecych ciał. Pocałował ją w policzki, scałował jej ze skóry popołudniowy miód. Ponownie wpił się w jej usta, na co wtuliła się w jego klatkę piersiową.

Wycofał się bez ostrzeżenia. Tylko o kilka centymetrów, ale to wystarczyło.

- Bree, nie musisz tego robić. - Zdjął ręce z jej szyi. - Będę chronił cię i Toby'ego. Nie musisz mnie przekupywać w ten sposób.

Była upokorzona, wściekła, że mógł tak o niej pomyśleć, chociaż miał wszelkie powody. Jedynym argumentem, jaki mogła przytoczyć na swoją obronę, była prawda.

- To nie była łapówka.

- Bree, nie rób sobie tego - powiedziała zmęczonym, lekko zniecierpliwionym głosem. - To nie jest konieczne.

To ona zaczęła, więc nie powinna była się na nim wyżywać, ale słowa same z niej wypływały jak wzburzona woda.

- Posłuchaj mnie, Mike. Przez lata błagałam o miłość mężczyzny i nigdy ponownie tego nie uczynię. Rozumiesz?

- Mike! - Krzyknął z oddali Toby. - Mike, gdzie jesteś?

Mike gapił się na nią, nagle w jego oczach pojawiały się starość i zmęczenie. Później odszedł.

- Jestem tutaj - powiedział, wychodząc zza drzew.

- Co ty tam robisz? - zapytał Toby.

Mike zaszurał butami po żwirowym podjedzie.

- Nic ważnego.

Bree przywarła policzkiem do grubej kory drzewa, zamknęła oczy i próbowała powstrzymać się od płaczu.

Za radą doktor Kristi Temple zmniejszyła czas, który poświęcała codziennie na ćwiczenia, do dziewięćdziesięciu minut. To dało jej więcej wolnych chwil, które mogłaby poświęcić na myślenie o Max i jej odmowie kontaktu. Dlatego przez kilka ostatnich dni ona i doktor Kristi przez godzinę pracowały w sklepiku. Lucy dołączała do nich, gdy tylko uznała, że napisała tyle, ile sobie założyła na dany dzień.

Podczas gdy Bree malowała scenę na plaży na jednej ze świątecznych kul, reszta rozkładała się na jej krzesłach. Ich rozmowa łączyła cechy terapii grupowej i babskich pogaduszek. Pocieszały Temple po odmowie Max i powiedziały Lucy, że powinna rzu-

cić pracę lobbystki. Nie rozumiały, że czuła się zobowiązana do pomagania dzieciom, które nie były takimi szczęściami jak ona. Bree nigdy nie wspominała o Mike'u, chociaż bez oporów mówiła o swoim małżeństwie.

- Jak dobrze jest mieć przyjaciółki - powiedziała pewnego popołudnia. - Gdy byłam zamężna, nie miałam ani jednej. Wiedziałam, że chcą tylko, żebym wyjaśniła im, dlaczego przysyłam oczy na kłamstwa Scotta.

- Teraz drań nie dałby rady utaplać cię w tym gównie - powiedziała Temple, opierając kostkę o kolano.

- Nie - powiedziała Bree i nagle posmutniała. Później jednak otrząsnęła się i spojrzała na Kristi. - Dziś po południu nie mam zbyt wielu klientów. Jesteś pewna, że nie rozważyłabyś...

- Nie! - oświadczyła Kristi.

Temple i Lucy wymienili spojrzenia, rozbawione wysiłkami Bree, która chciała przekonać doktor Kristi do włożenia czerwonego bikini, co miało przyciągnąć więcej klientów.

- Sama to włoż - powiedziała nerwowo Kristi. - Zobaczysz, jak to jest.

- Tak bym zrobiła, gdybym wyglądała tak jak ty. Nie wiem, jak akurat ty możesz czuć, że nie zasługujesz na mężczyznę. Mogłabyś mieć każdego, gdybyś chciała - zemściła się Bree, wykorzystując zwierzenia Kristi.

Lucy natychmiast pomyślała o Pandzie.

Kristi wsunęła okulary na głowę. Nawet jej uszy były doskonale ukształtowane.

- To ty tak sądzisz. Mężczyźni, którzy mi się podobają, nie są mną zainteresowani.

- Trupy? - powiedziała Lucy, biorąc niebiesko-fioletowe krzesło.

Temple wybuchnęła śmiechem, ale Kristi zesnurowała gniewnie usta, jak pruderyjny świętoszek, którego skrywała pod olśniewającą powłoką.

- Dalej, śmiecie się, szydźcie. Lubię inteligentnych mężczyzn. Myślących, czytających prawdziwe książki i mających zainteresowania wykraczające poza picie piwa. Ale w moim

otoczeniu nie ma takich. Zamiast tego dostają graczy, aktorów, sportowców, pięćdziesięcioletnich milionerów, którzy szukają żony, żeby się nią chwalić.

Lucy potarła płamę z atramentu na kciuku i postanowiła jednak to zrobić.

- A co z Patrickiem? - spytała.

- Fascynujący wyjątek - powiedziała doktor Kristi. - Wygląda, jakby był liderem pijackiej bandy, ale od razu orientujesz się, że jest strasznie inteligentny. Ostatniej nocy rozmawialiśmy godzinę o Puccinim. Świetnie zna się na polityce i ekonomii. I to społecznikowskie sumienie. Wicie, że on dalej pracuje z ulicznymi gangami? Żałuję, że jego serce jest dla mnie całkowicie niedostępne.

- Ponieważ jest zakochany w Lucy - dosadnie powiedziała Temple.

- Zgadza się - wycodziła Lucy. - Dlatego ciągle tutaj zagląda.

Chociaż wiedziała, że trzymanie się od niej z daleka będzie dla niego lepsze, zabołało ją, że nawet nie próbował się z nią skontaktować.

- Kiedy zaczęłam o niego zabiegać, Temple nie mówiła mi jeszcze nic o waszym związku - powiedziała Kristi poważnym tonem. - Nie zabieram kobietom ich mężczyzn.

- Jeśli naprawdę chcesz jakiegoś mężczyznę, powinnaś zrobić to samo co Lucy. Powinnaś się zamaskować. Jeśli będziesz fatalnie wyglądać, porządni mężczyźni przestaną się ciebie bać - powiedziała Bree.

- Tylko hollywoodzki zespół od efektów specjalnych mógłby sprawić, żeby Kristi była brzydka. - Lucy wskazała oczywisty problem.

Srebrne subaru przemknęło im przed oczami. Temple zatchnęła się i zeskoczyła z krzesła.

- Co się stało? - spytała Kristi

Temple gwałtownym gestem przytknęła dłoń do gardła.

- To była Max!

- Jesteś pewna? - zapytała Bree.

Ale Temple już pobiegła do domu.

Reszta towarzystwa wymieniła między sobą spojrzenia.

Wreszcie Lucy powiedziała to, o czym myślała każda z nich.

- Dałabym wszystko, żeby zobaczyć, co się dalej wydarzy.

- My także - powiedziała Bree.

Ale po chwili przed stoiskiem zatrzymała się furgonetka pełna kobiet i dzieci. Patrząc z żalem w stronę lasu, Bree poszła obsłużyć klientów.

Lucy się wahała.

- Zostań tam, gdzie stoisz - powiedziała doktor Kristi. - To prywatna sprawa Temple i Max.

- Wiem - odpowiedziała Lucy. - Ale...

Zeskoczyła z krzesła i popędziła w stronę ścieżki.

- Nie daj się zobaczyć! - krzyknęła Kristi w kierunku znikającej z pola widzenia Lucy.

Lucy wiedziała, że to było szaleństwo. Nie chciała zbliżyć się do domu. Ale miała również potrzebę wiary w dobre zakończenia, i jeśli to miało być jedno z nich, chciała je zobaczyć na własne oczy.

Skręciła na wąską ścieżkę, która prowadziła do garażu. Poruszała się ostrożnie, ominęła stertę gnijącego drewna na opał. Dorosła kobieta, a straciła głowę. Gdy wyrzała z za rogu garażu, Max akurat wysiadała z samochodu. Miała rozczochrane włosy i wygniecione oliwkowe spodenki oraz źle dobraną brązową bluzkę. Temple wybiegła z lasu, a później zamarła w miejscu. Na jej twarzy ujawniła się cała słabość, która zawsze kryła się za maską złej królowej.

- Max... - zaczęła takim tonem, jakby się modliła. - Max, ja cię kocham.

Max nie ruszyła się z miejsca. Na jej twarzy rysowała się nieustępliwość, świadcząca, że jest równie stanowcza jak jej kochanka.

- Na tyle, żeby przestać ukrywać nasz związek? Czy też wszystkie wiadomości, które mi zostawiałaś, były gównem warte?

- Nie. Ja cię naprawdę kocham.

- Na tyle, żeby pokazać się ze mną publicznie?

Temple przytaknęła.

- Na tyle, żeby wyjść za mnie? - powiedziała Max z uporem. - Zorganizować wielkie przyjęcie? I zaprosić na nie wszystkich naszych znajomych?

Lucy zauważyła jak Temple przełyka ślinę.

- Tak - wyszeptała.

Ale Max jeszcze z nią nie skończyła. Wskazała gwałtownym gestem na swoją umięśnioną sylwetkę.

- Nie będę się dla ciebie zmieniać. Dostajesz to, co widzisz. Nadwagę i wszystko inne.

- Kocham to, co widzę. Kocham cię.

Max przekreśliła jeden ze srebrnych pierścionków na palcach.

- To może zniszczyć twoją karierę.

- Nie obchodzi mnie to.

- Obchodzi - powiedziała Max, ale stonowała po tym, jak zobaczyła lśniące w jej oczach łzy.

- Nie tak bardzo jak ty - odparła Temple.

Max wreszcie zmiękła i obie wpadły sobie w ramiona.

Widok dwóch kobiet złączonych w tak namiętnym pocałunku trochę zdziwił Lucy, ale jednocześnie niezmiernie ją ucieszył. Wycofała się, żeby zostawić je same.

## *Rozdział 23*

Nie LICZĄC MĘŻCZYZNY z PSEM, Lucy miała całą plażę dla siebie. Miejscowi chętniej korzystali z tej plaży, która leżała po zachodniej stronie wyspy, mniejszej i trudniej dostępnej od południowej. Jednak mimo że była sobota, gęsto pokryte chmurami niebo odstraszyło niemal wszystkich śmiałków. Lucy znalazła sobie osłonięte miejsce. Oparła podbródek na zgiętych kolanach. Max przyjechała dwa dni wcześniej i poprzedniego dnia wyjechała z Temple. Rano odfrunęła Kristi. Lucy wiedziała, że będzie za nimi tęsknić. Może dlatego popadła w melancholijny nastrój. Robiła postępy w pisaniu, a więc jej zadanie nie mogło przysparzać jej zmartwień. W połowie września powinna w końcu opuścić wyspę.



Wyczuła, że ktoś się zbliża. Serce zaczęło jej bić szybciej, kiedy zobaczyła, że Panda idzie w jej stronę. Tomy musiał mu powiedzieć, dokąd poszła.

Mimo że słońce skryło się za chmurami, miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Był świeżo po goleniu, ale od czasu kiedy go ostatnio widziała, jego włosy urosły w szaleńczym tempie. Od ich spotkania minęło jedenaście dni, ale wydawało jej się, że nie rozmawiali od kilku miesięcy.

To, co próbowała wcześniej zdusić, wrywało się na powierzchnię. Wcisnęła tę wiedzę do najciemniejszych zakamarków duszy. Tam nie mogła wyrządzić jej krzywdy. Serce Lucy zabiło szybciej, a Panda szedł w jej stronę spokojnym krokiem, jak turysta, który wybrał się na wieczorny spacer.

Nawet jeśli był wściekły za to, że go opuściła, udało mu się stłumić gniew. Skinał głową i przyjrzał się jej przyszczyżonym włosom, które, choć już nie tak ciemne, wciąż jeszcze nie odzyskały swojego naturalnego jasnobrązowego koloru. Nie zrobiła makijażu, jej paznokcie były w opłakanym stanie i nie goliła łydek od kilku dni, ale nie pozwoliła sobie schować ich wstydliwie pod udami.

Patrzyli na siebie tylko kilka sekund, ale i tak dłużej, niż mogła to znieść. Udawała, że przygląda się trzem biedronkom, pełzającym po drzewie wyrzuconym na brzeg.

- Przyszedłeś się pożegnać?

Włożył rękę do kieszeni spodenek.

- Rano wyjeżdżam.

Wpatrywał się w wodę, jakby nie mógł wytrzymać spoglądania na nią dłużej, niż było to konieczne.

- Za tydzień rozpoczynam nową pracę.

- Świetnie.

Zapadła krępująca cisza. Przy brzegu spacerowicz ciskał psu patyk do jeziora. Czy Lucy tego chciała, czy nie, przed wyjazdem musiała powiedzieć Pandzie o paru sprawach.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego musiałam się wyprowadzić.

Usiadł na piasku obok niej, zostawiając sporo przestrzeni między nimi.

- Temple mi wyjaśniła. Powiedziała mi, że zrobiłaś tak, ponieważ jestem dupkiem.

- Nieprawda. Gdyby nie ty, tamtej nocy... - Zakopała buty w piasku. - Nie lubię o tym myśleć.

Podniósł plażowy kamyk i obracał go w dłoni. Trawy na wydmach zginały się w jego stronę, jakby chciały pogłaskać jego włosy. Lucy odwróciła wzrok.

- Dziękuję za to, co zrobiłeś.

- Nie potrzebuję więcej podziękowań - powiedział szorstko.

Potarła się w ramię, pomiędzy palcami miała ziarenka piasku.

- Cieszę się, że powiedziałeś mi o swoim bracie.

- Chciałem, żebyś przestała myśleć o tym, co się wydarzyło. To wszystko.

Głębiej zanurzyła stopy w piasku.

- Myślę, że zanim wyjedziesz, powinieneś powiedzieć Bree o Curtisie.

Upuścił kamyk.

- Że jej stary nie miał sumienia? Nie zamierzam.

- Jest dorosła. Wie, że oszukiwał jej matkę i o tym też powinna wiedzieć. Niech sama zdecyduje, czy powinna o tym powiedzieć swoim braciom.

Upór, z jakim zaciskał zęby, uświadomił Lucy, że traci czas. Popchnęła skorupę małży. Czuła się równie niemiłe widziana jak ten małż, groźny intruz w ekosystemie Wielkich Jezior.

- Po tym wszystkim co się stało, dalej nie wiem, dlaczego wróciłeś po mnie do baru.

- Poszedłem po samochód. Byłem na ciebie wkurzony.

- Tamtej nocy zrobiłam z siebie ostatnią idiotkę. Właściwie przez całe lato... Ta moja idiotyczna wojownicza poza...

- To nie była tylko poza. Ty jesteś wojownicza.

- Nieprawda, ale dziękuję. - Przepuściła trochę piasku przez palce. - Jednak nauczyłam się czegoś dobrego z tego doświadczenia. Próba wejścia w inną skórę nie naprawiła mnie.

- Kto powiedział, że tego potrzebujesz? - Poziom oburzenia Pandy pocieszył Lucy. - Bądź taka jak teraz i wszystko będzie dobrze.

Przygryzła wargi.

- Dziękuję.

Znowu zapadła cisza, okropna przepaść, świadcząca o tym, jak bardzo się od siebie oddalili.

- Jak ci idzie pisanie? - zapytał.

- Nieźle.

- To dobrze.

Znowu pograżyli się w milczeniu. Po chwili Patrick wstał.

- Muszę skończyć pakowanie. Przyszedłem tutaj, żeby ci powiedzieć, że po moim wyjeździe możesz mieszkać w domu.

To był jedyny powód? Poczowała ból w piersi, popatrzyła w górę i zobaczyła swoje odbicie w ciemnych okularach.

- Jest mi dobrze u Bree - stwierdziła chłodno.

- Troszczysz się o to miejsce lepiej ode mnie. Jeśli zmienisz zdanie, tutaj masz klucze.

Nie wyciągnęła po nie ręki, nie mogła się do tego zmusić. Dlatego Patrick rzucił klucze na jej kolana. Spadły na krawędź spodenek. Wymalowana na breloczku od kluczy żółta, radosna twarz wpatrywała się w jej oblicze.

Sięgnął ręką po okulary, jakby zamierzał je zdjąć, ale zmienił zdanie.

- Lucy, ja...

Tak dobrze znany jej upór sprawił, że zacisnął wargi. Położył rękę na biodrze i pochylił głowę. Słowa, które wypowiedział, były tak szorstkie jak papier ścierny.

- Uważaj na siebie, dobrze?

To było wszystko. Nie spojrział już na nią ponownie. Nic więcej nie powiedział. Po prostu odszedł.

Zgięła palce u rąk. Zamknęła oczy, czuła tak wielki gniew, że nie była zdolna do płaczu. Chciała rzucić mu się na plecy i walczyć z nim na ziemi. Uderzać i kopać. Gruboskórny, nieczuły drań. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, po tym, co powiedzieli i zrobili, to było ostatnie słowo, jakie wypowiedział przed zejściem ze sceny.

Wreszcie zdołała dowlec się na parking. Pojechała rowerem do domu, pedałowując tak wściekle jak pani Gulch w drodze po

swojego psa Toto. Nic dziwnego, że nigdy nie przyszedł do chatki, żeby sprawdzić co u niej słychać. Nie widział jej, nie myślał o niej. Postępował po swojemu, taki był styl Patricka Shade'a.

Bree stała przy straganie. Popatrzyła na Lucy i odłożyła pędzel.

- Co się stało?

To był koniec. Skończone. Pogódź się z tym.

- Życie - odparowała Lucy. - Jest do bani.

- Opowiedz mi o tym.

Lucy stłumiła chęć rzucenia roweru na podjazd.

- Muszę gdzieś wyjść. Chodźmy na kolację do gospody. Tylko we dwie. Ja stawiam.

Bree rozejrzała się wokół straganu.

- No, nie wiem... Jest sobota wieczór. Na południowej plaży smażą dziś ryby, więc będzie spory tłum...

- Nie będziemy długo siedzieć. Topy da sobie radę przez parę godzin. Przecież wiesz, jak bardzo lubi zgrywać waźniaka.

- To prawda. - Przechyliła głowę. - Dobrze. Zróbmy to.

Lucy chodziła w kółko po małej sypialni. Ostatecznie zmusiła się do otworzenia małej szafy i obejrzała przyniesione przez Temple ubrania. Nie mogła wrócić do stroju Viper, a nie miała ze sobą prawie niczego innego. Nawet gdyby w szafie znajdowała się jej garderoba z Waszyngtonu, uszyte na miarę kostiumy i perły nie byłyby o wiele lepsze od zielonej spódniczki i glanów, które wkładała jako Viper.

Wreszcie zdecydowała się na dzinsy i przewiewną, Inianą bluzkę, którą pożyczyła od Bree. Kiedy ruszyły, Bree zatrzymała samochód przy końcu podjazdu i zza okna wydała ostatnie instrukcje.

- Niedługo wrócimy. Pamiętaj, że masz prosić ludzi o ostrożne obchodzenie się z ozdobami.

- Już mi to mówiłaś - powiedział Topy.

- Uważaj na kasę.

- To mówiłaś mi jakiś tysiąc razy.

- Przepraszam, ja...

- Jedź - rozkazała Lucy, wskazując w stronę autostrady.

Rzucając Toby'emu ostatnie, zmartwione spojrzenie, Bree niechętnie wcisnęła pedał gazu.

Lucy nie była w mieście od czasu, gdy pozbyła się dredów i starła tatuaże. Bree odruchowo zajęła krzesło, które było widoczne z części restauracyjnej. Dzięki temu Lucy mogła zająć miejsce przy ścianie. Ale od jej niedoszłego ślubu minęły trzy miesiące, ludzie zdążyli już zapomnieć o całej historii. Zresztą Lucy nie bardzo obchodziło, czy ktoś ją rozpozna

Zamówiły grillowane grzyby crimino i sałatkę jęczmienną z wypełniającymi ją słodyczą brzoskwiniami. Lucy jedynym haustem wypija pierwszy kieliszek wina i napoczęła drugi. Jedzenie było dobrze przyrządzone, ale nie miała apetytu i wyglądało na to, że Bree również nie ma na nie ochoty. Nie próbowały zmuszać się do rozmowy ani do jedzenia. Wreszcie zebrały się do powrotu.

Stragan znajdował się w zasięgu ich wzroku. Na początku niczego nie zauważyły. Kiedy podeszły bliżej, zobaczyły, że ze straganu pozostały ruiny.

Toby stał w morzu rozbitych słoików z miodem, których było znacznie więcej niż tych wystawionych na straganie. Kręcił się beznadziejnie w koło, z jednej ręki zwisała mu poplamiona miodem serweta, którą Bree kładła na ladzie, w drugiej trzymał nintendo. Stanął jak wryty, gdy zauważył auto.

Bree wyskoczyła z samochodu. Nie wyłączyła nawet silnika, a z jej gardła wydobył się rozdzierający krzyk.

- Co się stało?

Toby rzucił serwetę na ruiny straganu. Obok poprzewracanych krzeseł leżał roztrzaskany szyldek Miodu spod Karuzeli. Drzwi magazynku były otwarte na oścież. Z półek zniknęło kilkakaset butelek z miodem na przyszły rok, które Bree schowała tutaj, żeby mieć więcej miejsca w miodziarni. Toby był od stóp do głów pokryty miodem i kurzem. Po jego ręce spływała strużka krwi. Skaleczył się rozbitym szkłem.

- Nie było mnie tylko przez minutę - powiedział, szlochając. - Nie chciałem...

- Nie było cię?

Skoczyła do niego, miażdżąc butami szkło.

- Tylko minutę. M-musiałem iść po moje n-nintendo. Nikt się nie zatrzymywał.

Bree zobaczyła, co trzymał w rękę i zacisnęła dłonie w pięści.

- Opuściłeś stragan, żeby pójść po grę?

- Nie wiedziałem... Nie chciałem... Tylko na minutę! - krzyknął.

- Kłamiesz! - Jej oczy pałały wciekłością. - Coś takiego nie dzieje się w minutę. Jazda! Spadaj stąd!

Toby uciekł w stronę chatki.

Lucy wyłączyła silnik i sama wyskoczyła z samochodu. Drewniane półki zwiślały krzywo, wszędzie wały się rozbite słoiki po miodzie, szkło wyleciało nawet na drogę. Roztrzaskane butelki z kosmetykami zachlapały podjazd. Luksusowe kremy i zapachowe napoje lecznicze zapaćkały żwir. Kasa zniknęła, ale to nie było tak druzgocące jak strata setek słoików z miodem na przyszły rok. Szkło z rozbitych butelek zmieszało się ze srebrnymi odłamkami drogocennych, kruchych, ozdób wykonanych przez Bree.

Bree uklęknęła, brudząc sobie spódnicę całym tym paskudstwem i przytuliła do piersi resztki delikatnej kuli.

- To koniec. Wszystko skończone.

Gdyby Lucy nie namówiła ją na wieczorne wyjście, nic by się nie wydarzyło. Nie wiedziała, jakich słów użyć, żeby pocieszyć Bree.

- Czemu nie wejdiesz do środka? Posprzątam największy bałagan.

Ale Bree nie odeszła. Wciąż siedziała w kucki nad pozostałościami mazi, szkła i zrujnowanych marzeń.

Z poczuciem winy, które niemal przesłaniało jej pole widzenia, Lucy poszła po grabie i szufelkę.

- Jutro coś wymyślimy.

- Nie ma nad czym myśleć - wyszeptała Bree. - Jestem skończona.

Lucy namówiła Bree, żeby zadzwoniła na policję. Podczas gdy Bree beznamiętnym i apatycznym tonem opowiadała o tym,

co się stało, Lucy zaczęła zbierać największe kawałki szkła z drogi. Bree skończyła odpowiadać na pytania i rozłączyła się.

- Przyjadą jutro, żeby porozmawiać z Tobym. - Spochmurniała. - Nie mogę uwierzyć, że do tego dopuścił. To niewybaczalne.

Było zbyt wcześnie na wstawienie się za Tobym i Lucy nie próbowała tego robić.

- To moja wina - powiedziała. - To ja namówiłam cię na wyjście.

Bree zlekceważyła jej przeprosiny, machając drżącą ręką.

Pracowały w upiornym świetle, którego źródłem były lampy, umieszczone w przedniej części straganu. Przejeżdżające samochody zwalniały, ale żaden się nie zatrzymał. Bree odciągnęła na bok roztrzaskany szyld. Postawiły krzesła, wyrzuciły zniszczone świece i zrujnowane bloczki do toreb na śmieci. Kiedy zapadła noc, przystąpiły do grabienia rozbitego szkła, ale ocean nienadającego się do niczego miodu przyklejał się do zębów grabi i trochę po północy Lucy wyrwała je z rąk Bree.

- Koniec na dzisiaj. Rano przyniosę wąż i zmyję wszystko wodą. Bree była zbyt zniechęcona, żeby oponować.

W milczeniu poszły do domu. Całe upačkały się miodem. Grudki brudu i trawy zmieszane z okruchami srebrnego szkła i innych śmieci przykleiły im się do rąk i nóg. Kiedy Lucy zdejmowała sandały, zauważyła, że do jej stopy przywarł kawałek jasnoniebieskiej tektury z ozdoby świątecznej.

*Jestem ręcznie robiona, jedyna w swoim rodzaju. Proszę bądź ostrożny, kiedy mnie podnosisz.*

Opłukały nogi przy kranie na podwórzu. Bree pochyliła się, żeby obmyć ręce i przedramiona, a potem rzuciła złe spojrzenie w stronę tylnego okna.

- Nie mogę z nim teraz rozmawiać.

Lucy zrozumiała o co jej chodzi.

- Pójdę i upewnię się czy wszystko z nim w porządku.

- Jak on mógł być tak nieodpowiedzialny?

Bo ma dwanaście lat, pomyślała Lucy. A ona nie powinna była zachęcać Bree do zostawienia go samego w weekend, gdy po wyspie kręciło się tylu chuliganów.

Chociaż Lucy opłukała się z najgorszego brudu, jej stopy wciąż lepiły się do pokrywającej kuchnię winylowej podłogi. Przeszła przez korytarz. Drzwi do pokoju Toby'ego były otwarte. Zazwyczaj zamykał je, żeby Bree nie czepiała się o bałagan. Wyczuwając, że stało się coś niedobrego, Lucy zajrzała do środka.

Pokój wypełniał nieprzyjemny zapach zmieszany z aromatem truskawkowej gumy do żucia. Stos ubrań, w których Toby chodził ostatnimi dniami, leżał na dywanie koło wysłużonego ręcznika. Łóżko było jak zwykle nieposłane, ale chłopiec zniknął.

Przeszukała dom. Nigdzie go nie było. Wsunęła lepkie stopy w tenisówki, znalazła latarkę i poszła na zewnątrz, gdzie zobaczyła, że Bree wpatruje się w przestrzeń z papierosem w ręku.

„Ona tylko siedzi na tylnych schodach i pali”. Tak mówił Toby o Bree, ale Lucy nie widziała, żeby w ostatnich tygodniach Bree się tak zachowywała.

- Nie ma go w domu.

Bree uniosła głowę.

- Jak to? Czyli gdzie jest?

- Nie wiem.

Bree zeszła ze schodów.

- Zabiję go! Czy on nie zdaje sobie sprawy, że tylko pogarsza sytuację?

- Prawdopodobnie się boi.

Bree rzuciła papierosa na ziemię.

- To przeze mnie. Przez to, co mu powiedziałam. - Toby! - krzyknęła w stronę lasu, zupełnie jak Lucy w dniu, kiedy się poznały. - Wracaj tutaj natychmiast! Mówię poważnie!

Tak nie zwabia się do domu przerażonego dzieciaka. Z drugiej strony, Bree zachowywała się tak samo jak miliony rozgniewanych matek.

Toby, jak można się było spodziewać, nie pojawił się. Wreszcie Bree sama chwyciła latarkę. Rozdzieliły się, by przeszukać każdy milimetr podwórza, podziemnej piwnicy i okalającej dom części lasu. Poszły do sąsiedniego sadu i oświetliły latarką jar.

- Dzwonię po Mike'a - oświadczyła Bree - Toby pewnie już u niego jest. Musi być.



A jednak go nie było.

- Mike go nie widział - powiedziała Bree po krótkiej rozmowie przez telefon. - Zamierza się rozejrzeć. Co ja mu powiem? Że krzyczałam na Toby'ego i kazałam mu iść precz?

- Jesteś tylko człowiekiem - powiedziała Lucy.

- Może pobiegł do ciebie. Sprawdź tam, a ja poczekam na Mike'a. Proszę.

Lucy nie mogła ścierpieć, że znowu zobaczy Pandę. Gdyby chodziło o coś innego niż bezpieczeństwo Toby'ego, z pewnością by odmówiła, ale teraz nie mogła tego zrobić. Poszła ścieżką, którą wcześniej podążała tak często. Nocą las nie był już tak przyjazny.

- Toby! - krzyczała w pustkę Lucy. - Toby, to ja Lucy! Bree nie jest już na ciebie wściekła. - Nie mówiła prawdy, ale to mogło go uspokoić. - Chcę z tobą porozmawiać.

W odpowiedzi usłyszała jedynie szelesty zwierząt i pohukiwanie sowy.

Wyszła z lasu. Była pierwsza w nocy i niebo się przejaśniło. Z dała od świateł wielkich miast gwiazdy jarzyły się jasnym blaskiem. Przed przybyciem na wyspę, Lucy nawet nie pamiętała, jak wygląda niebo, z którego emanuje tylko światło gwiazd.

Dom tonał w ciemnościach i modliła się, by tak pozostało. Wchodząc głębiej na podwórze, użyła latarki, żeby oświetlić otoczenie. Chociaż myła się, jej ręce wciąż były lepkie, a ubrania przywarły do skóry. Nawet na brwiach miała miód.

Na ganku poruszył się cień. Zbyt wielki, żeby należał do Toby'ego. Ogarnęło ją przygnębienie. Nie mogła przechodzić przez to jeszcze raz. Chyba że nie miała wyboru. Wyprostowała się i skierowała promień latarki w stronę ganku.

- Toby zniknął - powiedziała szorstko. - Widziałeś go?

Cień przestał się poruszać.

- Nie. Ile czasu go nie ma?

- Od dziewiętej.

Pokrótkce opowiedziała o tym, co się zdarzyło, ciesząc się, że nie może widzieć go wyraźnie.

- Daj mi tylko włożyć buty. - Kilka chwil później wyszedł z własną latarką. Skierował promień na Lucy. - Jesteś cała brudna.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

Zignorował jej sarkastyczną uwagę.

- Przednie drzwi są zamknięte. Wątpię, żeby mógł dostać się do domu.

- Jest niezłym włamywaczem. Sprawdź, a ja poszukam w garażu.

Za żadne skarby nie zamierzała przestąpić progu domu. Ruszyła do garażu, ale gdy wchodziła do środka, jej umysł wypełniły wspomnienia o popołudniu, podczas którego uprawiali perwersyjny seks. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby jeszcze raz pozwoliła sobie na takie wyuzdanie.

Przeszukała wnętrze garażu, później wyszła na zewnątrz, aby przejrzeć otoczenie stosu drewna. Im dłużej nie było Toby'ego, tym bardziej się niepokoiła. Toby podążał jej ścieżką pod tak wieloma względami. Wiedziała, co wypełnia duszę dziecka, które czuje, że jest samotne na tym świecie. I wiedziała jak niebezpieczna może być taka rozpacz.

Patrick wyszedł z domu.

- W domu go nie ma.

- Może jest w hangarze na łodzie.

Ale tu także nie znaleźli chłopca. Rozdzielili się, żeby okrążyć podwórze i pobliski las. Lucy wyciągnęła komórkę z kieszeni i zadzwoniła do Bree. Niepokój, dający się wyczuć w głosie przyjaciółki, uświadomił jej, że nic się nie zmieniło.

- Może poszedł na plażę? - zastanawiała się Bree. - Wszystko mogło się zdarzyć. Ci bandyci, którzy rozwalili stragan, może ich spotkał. Zadzwoniłam jeszcze raz na policję, ale zaczną go szukać dopiero rano. Dlaczego musiał jeszcze pogorszyć sytuację? To właśnie robił, od samego początku, pogarszał sytuację.

Patrick przyszedł i stanął za plecami Lucy.

- Zapytaj ją, czy jest jego rower.

Lucy spełniła jego polecenie.

- Czekaj - powiedziała Bree. - Dzwoni Mike. Zaraz do ciebie oddzwonię.

Po kilku minutach Lucy usłyszała dzwonek swojego telefonu.

- Nie ma roweru Toby'ego. Mike pojechał na autostradę, ale na razie niczego nie widział.

Lucy przekazała tę informację.

Patrick wziął od niej telefon. Glina w każdym calu.

- Bree, mówi Patrick Shade. Możesz mi podać numer komórki Mike'a?

Lucy gorączkowo szukała czegoś, na czym można by było go zapisać, ale wydawało się, że Patrick nie potrzebuje długopisu albo papieru.

- Dobra, mam. Czy jest jakieś miejsce, gdzie chodzi Toby, kiedy jest wściekły?

Słuchał i pokiwał głową.

- OK. Co miał na sobie? - Znowu słuchał. - Idź do jego pokoju i rozejrzyj się. Zobacz, czy czegoś ze sobą nie wziął. Plecak? Ubrań? Czegokolwiek. Odzwoń, kiedy skończysz.

- Nic mu się nie stanie - powiedziała Lucy do siebie, kiedy Patrick się rozłączył. - Wiem, że nic mu nie jest.

Patrick już rozmawiał z Mikiem.

- Toby ma rower. Gdzie teraz jesteś? No dobra... Sprawdź południową plażę, a później przyjedź tutaj i pomyślimy, co dalej robić.

Lucy próbowała sobie wyobrazić, gdzie by się ukryła na miejscu Toby'ego. Chociaż dorastał na wyspie, nie przypuszczała, żeby kiedykolwiek spędził całą nocą w lesie. Szukałby miejsca, gdzie byłby sam i czuł się bezpiecznie.

Przypomniała sobie skaliste urwisko, gdzie Patrick pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Nie było tam tak upiornie ciemno jak w lesie, a skały stanowiły pewną ochronę. Patrick poszedł w kierunku autostrady, a Lucy zaczęła wspinać się po zboczu.

Na szczycie nie było wiatru i słyszała plusk fal na dole. Oświeciła latarką skały z rozpaczliwą nadzieją, że zobaczy Toby'ego. Nic.

Za kilka godzin zacznie świtać. Coraz bardziej zmartwiona wróciła do domu. Patrick wszedł na podjazd z rowerem Toby'ego. Pobieгла w jego kierunku.

- Znalazłeś go?

- Tylko rower. Leżał ukryty w drzewach jakieś trzydzieści metrów od drogi.

Pomyślała o motocyklistach, którzy z innymi szumowinami przyjeżdżali na wyspę, żeby się napić i zabawić.

- Może zostawił go tam i złapał okazję?

- Nie sądzę. Znalazłem ślady stóp. Jest zbyt ciemno, żeby za nimi podążać, ale czuję, że tamtędy przechodził.

- Sprawdzaliśmy wszędzie.

Popatrzył w stronę lasu.

- Może czekał, aż wszystko przeszukamy i dopiero wówczas znalazł sobie tam kryjówkę.

Bezpieczny. Ukryty przed wszystkimi.

Ruszyli razem.

## Rozdział 24

*LUCY* POSZŁA ZA PANDĄ DO HANGARU. Usłyszała skrzypienie łodzi - dobrze znany odgłos, który towarzyszył ich wspólnym chwilom. W przeciwieństwie do Lucy, Pandy najwyraźniej nie dręczyły bolesne wspomnienia. Skierował strumień światła na drzwi do kabiny. Była niemal całkowicie pewna, że gdy wcześniej przeszukała to miejsce, zatrasnęła je za sobą. Teraz wydawały się lekko uchylone. Patrick otworzył je bezgłośnie i oświetlił latarką wnętrze. Lucy przyglądała się temu z uwagą.

Toby spał skulony na dziobie.

Ulga była tak ogromna, że ogarnęło ją lekkie oszołomienie. Patrick oddał jej komórkę. Wycofała się na rufę i zadzwoniła do Bree.

- Znaleźliśmy go na przystani - oznajmiła bez tchu. - Śpi.

- Śpi? - zapytała Bree z furją zmieszaną z lekką ulgą. - Nie pozwól mu uciec! Idę.

Lucy nie podobało się to, co usłyszała, ale Bree się rozłączyła, zanim Lucy mogła jej doradzić, żeby najpierw się uspokoiła.

Patrick wyszedł z ledwo trzymającym się na nogach i brudnym jak nieboskie stworzenie Tobym. Jego ubrania wyglądały

tragicznie. Zasnęta krew utworzyła strup na ręce i zaplamiła mu policzek. Nogi miał pokryte mieszaniną brudu i miodu, a do głowy kleiły mu się kępki włosów.

- Niczego nie zepsułem na łodzi - wymamrotał przerażony.
- Wiem - powiedział łagodnie Patrick.

Toby szedł po schodach do domu i upadłby, gdyby Patrick go nie podtrzymał. Kiedy dotarli na górę, Mike przybiegł z drugiej strony domu. Toby od razu ruszył chwiejnym krokiem w jego stronę.

- Toby! - krzyknął Mike. - Co ci przyszło do głowy? Nigdy nie wolno ci...

Przerwał mu upiorny krzyk Bree, która wyłoniła się nagle z lasu.

- Toby!

Mike zamarł. Toby instynktownie zrobił krok w tył i wpadł prosto na piknikowy stół.

Wyglądała jak wariatka, z rozwianymi, rudymi włosami i w brudnym ubraniu.

- Jak mogłeś zrobić coś tak potwornego?! - darła się, biegnąc do niego przez podwórko. - Zanim ktokolwiek z nich zdążył ją powstrzymać, chwyciła go za ramiona i zaczęła nim potrząsać. - Wiesz, co ci się mogło stać? W ogóle sobie to uświadamiasz? - Wbiła palce w jego ciało. Poruszył gwałtownie głowę.

Wszyscy rzucili się na Bree, ale zanim zdążyli jej dotknąć, mocno przycisnęła do siebie Toby'ego.

- Wszystko mogło ci się stać... Wszystko! - Zaczęła płakać. - Tak bardzo mnie przestraszyłeś. Nie powinieneś być uciekać. Wiem, że na ciebie nakrzyczałam. Puściły mi nerwy. Przepraszam. Ale nie powinieneś być uciekać

Odsunęła go trochę, otuliła dłońmi jego policzki i podniosła mu lekko brodę.

- Obiecuj, że nigdy więcej nie uciekniesz. Jeśli mamy jakiś problem, to o nim rozmawiamy, OK? Obiecujesz? - poprosiła zdławionym z emocji głosem.

Toby zrobił wielkie oczy i wpatrywał się w nią bez słowa.

Bree przetarła kciukami jego brudne policzki.

- Słyszysz mnie?

- Obiecuję. - Wielka łza popłynęła mu po policzku. - Wszystko straciliśmy - wyszeptał. - Przeze mnie.

- Ale nie straciliśmy ciebie, a to jest najważniejsze. - Pocałowała go w czoło. - Inne problemy jakoś rozwiążemy.

Chłopca opuściła wola wałki. Wtulił się w Bree. Oplótł rękami jej talię. A Bree objęła go mocno i całowała w czoło raz po raz. Wreszcie znalazł bezpieczną przystań. Jego szczupłe ciało zaczęło się trząść, gdy próbował powstrzymać łkanie. Bree wymamrotała coś, co tylko on mógł usłyszeć.

Mike stał z boku, znów był outsiderem. Toby nie spojrzał na niego od momentu przybycia Bree.

- Chodźmy do domu - Lucy usłyszała szept Bree. - Zrobię naleśniki. Jutro wyśpimy się za wszystkie czasy. Co ty na to?

- Twoje naleśniki nie są zbyt dobre - odparł Toby, jakby miał czkawkę.

- Wiem.

- Nieważne - stwierdził. - Dla mnie są wystarczające dobre.

Pocałowała go w czubek głowy. Obejmując się, szli w stronę lasu. Zanim zniknęli za drzewami, Bree zatrzymała się, obróciła i spojrzała na Mike'a. Lucy widziała, jak zaczyna podnosić rękę, ale po chwili ją puściła. Po dłuższej chwili Bree i Toby zniknęli z pola widzenia.

Mike pozostał w tym samym miejscu, samotny, skąpany w kałuży żółtego światła. Lucy nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak zrozpaczonego.

- Chciałem go adoptować - powiedział wreszcie niepokojąco cichym głosem. - Jutro miałem porozmawiać o tym z Bree.

Spojrzał w stronę drzew.

- Mogłaby sprzedać domek i rozpocząć wszystko od nowa, w innym miejscu. Myślałem, że ten pomysł przypadłby jej do gustu.

Lucy zrozumiała. Po tym, co zobaczyli, Mike wiedział, że Bree kocha Toby'ego równie mocno jak on i że nigdy nie pozwoli mu odejść.

Przybrała ton doktor Kristi.

- Jej szczęście jest dla ciebie ważne, tak?

Mike skinął głową.

- Zawsze było. Od momentu, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Bree pamięta tylko, że byłem skończonym idiotą. Zapomniała o chwilach, gdy nie otaczały nas inne dzieci. Wtedy rysowała dla mnie albo rozmawialiśmy o muzyce. Takie głupoty.

- Jej na tobie zależy - powiedziała Lucy. - Wiem, że tak jest.

- Pozory. Udaje, że jest inaczej, ale tylko dlatego, że mnie potrzebuje.

- Nie sądzę, żebyś miał rację. Zmieniła się. Tak samo jak ty. Nie przekonała go.

- Już późno. Lepiej pójdę do domu.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki od samochodu.

To było złe. Lucy wiedziała o tym. Ale kiedy Mike się odwrócił, aby odejść, nie przysły jej do głowy żadne słowa, które sprawiłyby, żeby poczuł się lepiej.

Patrick nie odzywał się aż do tej chwili, ale teraz jego głos zadał cios nocnej ciszy.

- Mogę się mylić, Moody, ale wydaje mi się, że dalej jesteś skończonym idiotą.

Obróciła się i wbiła w niego wzrok. To ona uchodziła za spostrzegawczą, a nie Patrick.

Mike zatrzymał się. Może dlatego, że te słowa wypowiedział inny mężczyzna. Obejrzał się i zobaczył, jak Patrick wzrusza ramionami. Mike rzucił okiem na ścieżkę. I ruszył przed siebie.

Bree właśnie dotarła do tylnych schodów, kiedy usłyszała głośny szelest w lesie. Toby oparł się o jej ciepły bok. Ukochany Toby. Obróciła się i zobaczyła, że Mike wchodzi na podwórze. Jej serce zamarło.

Zatrzymał się na skraju lasu i stanął. Jeśli czekał, aż Bree wpadnie mu w ramiona, to nieprędko to nastąpi. Przytuliła mocno Toby'ego i spojrzała na Mike'a.

- Właśnie wszystko straciłam - stwierdziła spokojnie. - Możesz myśleć, że uważam cię za skarbonkę, dzięki której będę mieć dostatek życia. Albo uwierzyć w to, co jest prawdą. Jak będzie?

Toby nienaturalnie umilkł, jakby przestał oddychać.

Mike wsunął ręce do kieszeni, stracił pewność siebie.

- Wiem, w co chciałbym wierzyć... - zaczął.

- Zastanów się - przerwała mu. - Albo jesteś częścią tej rodziny, albo nie.

Wciąż ani drgnął. Zamiast wpatrywać się w Bree, patrzył na Toby'ego. A potem powoli ruszył przed siebie. Ale nie pokonał całego dystansu, który dzielił go od tylnych schodów. Zatrzymał się w pół drogi.

- Toby, kocham Bree - powiedział zdławionym głosem. - Za twoją zgodą chciałbym ją poślubić.

Bree westchnęła.

- Przystopuj! Cieszę się, że mnie kochasz, ale jest jeszcze za wcześnie...

- Naprawdę?! - krzyknął Toby. - Naprawdę?! Zgadzam się!

Nie mogła uwierzyć w nagły przypływ wiary Mike'a, w jego odwagę. Ofiarował serce osobie, której nie miał prawa ufać. Ale zrobiła się trzecia w nocy i wszystkich ogarnęło ogromne zmęczenie. Było zbyt wcześnie na rozmowy o przyszłości. Chciała mu to jasno powiedzieć. Tylko żeby to zrobić, najpierw musiałyby przestać się uśmiechać, a na to nie potrafiła się zdobyć.

Gdy Mike wpatrzył się w jej oczy, Bree policzkiem przywarła do czoła Toby'ego.

- Też cię kocham. Z całego serca. Ale teraz interesują mnie tylko naleśniki.

Mike odchrząknął, ale nie udało mu się ukryć fali emocji, którą dało się usłyszeć w jego głosie.

- Może ja je zrobię? Jestem w tym dobry.

Spuściła wzrok, aby spojrzeć na Toby'ego. Toby odwzajemnił spojrzenie.

- Zgadzam się - wyszeptał.

W ramionach trzymała Toby'ego, ale wzrok miała utkwiony w Mike'u.

- Myślę, że w tej sytuacji ja też muszę się zgodzić.

Jego promienny uśmiech rozwiął resztki mroku, który wypełniał jej wnętrze. Wyciągnęła rękę w jego stronę. Mike ją chwycił. Wszyscy troje weszli do środka.



Lucy nie mogła tej nocy wrócić do domku. Cokolwiek miało się tam zdarzyć, nie było tam miejsca dla osób z zewnątrz. Rozprostowała ramiona.

- Resztę nocy prześpię na łodzi.

Patrick stał koło piknikowego stołu, trzymając jedną nogę na ławce.

- Możesz zostać w domu.

- Będzie mi dobrze na łodzi.

Ale najpierw musiała się umyć. Miała na sobie nie tylko pełno brudu i miodu, lecz także drobnych, raniących ją, kawałeczków szkła. Chociaż w prysznicu na zewnątrz była tylko zimna woda i nie miała rzeczy na zmianę, nie chciała iść do domu. Pomyślała, że owinie się jednym z ręczników plażowych i przebierze się w domku rano.

Przeszła koło niego, kierując się w stronę prysznicza. Nie mogła ścierpieć tego sztucznego skrępowania, nienawidziła go za to, że doprowadził do tej sytuacji. I samej siebie za to, że tak bardzo ją to bolało.

- Prysznic nie działa - usłyszała za sobą jego głos. - Rura pękła w zeszłym tygodniu. Skorzystaj ze starej łazienki. Niczego tam nie ruszałem.

To wydawało się dziwne, ponieważ opuściła dom prawie dwa tygodnie temu, ale nie zadawała pytań. Zamierzała mówić tylko to, co było konieczne. Bardzo bała się iść do domu, ale nie mogła położyć się spać taka brudna, więc bez słowa weszła do środka.

Podłoga zaskrzypiała w znajomy sposób i stary dom wchłonął ją, ciągle pachnąc wilgocią, kawą i śwadem z piecyka gazowego. Panda włączył górne światło. Przysięgła sobie, że nie spojrzy na niego, ale nie mogła się powstrzymać. Miał przekrwione oczy i kilkudniowy zarost. Ale tym, co ją zaskoczyło, był brak czegoś, co powinno stać za jego plecami.

- Co się stało ze stołem?

Zachował się, jakby musiał poszukać w pamięci.

- Hm... Tak... Stos drewna.

- Pozbyłeś się swojego drogiego stołu?

Zacisnął szczęki.

- Ciągłe wbijały mi się drzazgi. - Przyjął niepotrzebnie obronny ton.

To ją zbiło z tropu. Jeszcze bardziej zaniepokoiła się, kiedy dostrzegła brak czegoś innego.

- A gdzie twoja świnia?

- Świnia? - Zachowywał się tak, jakby nigdy nie słyszał tego słowa.

- Mały, gruby gość - powiedziała podniesionym głosem. - Mówił po francusku.

Wzruszył ramionami.

- Pozbyłem się paru rzeczy.

- Twojej świnii?

- Czemu cię to interesuje? Nienawidziłaś jej.

- Wiem - powiedziała, uśmiechając się szyderczo. - Ale nienawiść do niej stanowiła główny punkt w moim życiu, a teraz ona zniknęła.

Zamiast się odgryźć, uśmiechnął się i spojrzał na Lucy.

- Boże, ale jesteś brudna.

Jego czułość przyprawiła ją o skurcz serca, więc błyskawicznie postawiła mur obronny.

- Zachowaj to dla kogoś, na kim ci zależy.

Dumnym krokiem ruszyła w stronę korytarza.

Poszedł za nią.

- Chciałbym, żebyś wiedziała... Zależy mi na tobie. Będzie mi trudno pogodzić się z tym, że się nie widzimy. Będę tęsknił za rozmowami z tobą.

Jego szorstkie, skąpe wyznanie okazało się solą sypaną na otwarte rany. Lucy wpadła w szal.

- I za pieprzeniem mnie?

- Nie mów tak.

Wykrzywiła usta. Tyle robiła sobie z jego oburzenia.

- Co? Nie użyłam odpowiedniego słowa?

- Słuchaj, wiem, że wkurzyłem cię na plaży, ale... Co ja miałem powiedzieć? Gdybym był kimś innym...

- Możesz już przestać. - Podniosła podbródek. - Już cię rzuciłam. To nie jest konieczne.

- Byłaś bezbronna tego lata, a ja skorzystałem z okazji.  
- Tak sądzisz? - Nie chciała mu pozwolić, żeby podeptał jej dumę i przystąpiła do ataku. - Uwierz mi, Panda, uważałam na każdy fałszywy krok. To był tylko romansik.

Ale on nie chciał dać za wygraną.

- Jestem łobuzem z Detroit, Lucy. Ty amerykańską arystokratką. Przeżyłem zbyt wiele. Nie jestem dla ciebie dość dobry.

- Rozumiem - powiedziała szyderczo. - Przeszedłeś piekło jako dziecko i jako glina, więc teraz trzymasz się z dala od życiowych kłopotów.

- To nieprawda.

- Taak, uważaj, bo uwierzę. - Powinna zamilknąć, ale zbyt cierpiała, żeby przestać. - Życie jest zbyt trudne dla ciebie, co? A więc żyjesz jak tchórz, trzymając się na uboczu.

- Tu chodzi o coś więcej, do cholery! - Zaciśnął zęby, cedząc słowa. - Nie jestem... emocjonalnie zrównoważony.

- No coś ty!

Miał jej dosyć. Ruszył w stronę schodów. Powinna była pozwolić mu odejść, ale czuła się zbyt wyczerpana, zbyt wściekła. Nie panowała nad sobą.

- Uciekaj! - wołała za nim. - Jesteś w tym mistrzem!

- Kurwa, Lucy...

Obrócił się, w jego ciemnych oczach kryło się nieszczęście, które powinno obudzić jej litość, ale zamiast tego tylko podsycało gniew. Bo cały ten ból wypełnił śmiercią miejsce, które powinno tętnić życiem.

- Żałuję, że cię poznałam! - krzyknęła.

Zgarbił się. Oparł się ręką o balustradę, a później opuścił ją.

- Nie żałuj tego. Spotkanie ciebie było... Wydarzyły się pewne rzeczy, które...

- Co takiego? Albo wyjaw swoje drogocenne sekrety, albo idź do diabła!

- Już tam byłem. - Palce Pandy zaciśnięte na balustradzie lekko zbieleły. - Afganistan... Irak... Dwie wojny. Podwójny ubaw.

- Mówiłeś, że służyłeś w Niemczech.

Zszedł ze schodka, zaczął krążyć bez celu. W końcu zatrzymał się w salonie.

- To było łatwiejsze niż powiedzenie prawdy. Nikt nie chce słyszeć o upale i piasku. O atakach mózdzierzy, rakiet, granatów, bomb własnej roboty, które wybuchały bez ostrzeżenia i odrywały nogi i ręce. W miejscu, w którym powinno być serce, zostawała dziura. Mam wypalone pod powiekami obrazy, które już nigdy mnie nie opuszczają. - Zadrżał. - Okaleczone ciała. Zabite dzieci. Ciągłe te zabite dzieci... - zamilkł.

Zacisnęła pięści. Powinna była się domyślić.

Zatrzymał się przy kominku w salonie.

- Po powrocie z wojny wstąpiłem do policji, myśląc, że nic nie może być gorsze od tego, co tam widziałam. Ale tam było więcej krwi, tuziny Curtisów. Wszyscy zginęli przedwcześnie. Ataki migreny stały się coraz silniejsze, ciągle miałem koszmary. Przestałem spać, piłem za dużo, wdawałem się w bójkę, krzywdziłem ludzi i samego siebie. Jednej nocy byłem tak pijany, że błagałem jakiegoś faceta, żeby odstrzelił mi głowę.

Kawałki ułożyły się w jedną całość. Lucy oparła się o pokryte pleśnią drzwi.

- Zespół stresu pourazowego.

- Książkowy przypadek.

To właśnie ukrywał. Dzielił los z wieloma innymi, którzy powrócili z tych wojen. Próbowali zachować obojętność.

- Chodziłeś do terapeuty?

- Pewnie. Widzisz, jak bardzo mi to pomogło.

Musiała trzymać swoje uczucia na wodzy. W każdej chwili mogła się rozpaść.

- Może spróbuj iść do kogoś innego - powiedziała.

Zaśmiał się gorzko.

- Znajdź mi terapeutę, który widział to, co ja widziałem, zrobił to, co ja, a pójdę do niego.

- Terapeuci cały czas zajmują się problemami, z którymi osobiście się nie zetknęli.

- Tak, jasne. Ale to nie działa w moim przypadku.

Czytała o problemach związanych z terapią weteranów cierpiących na zespół stresu pourazowego. Uczyli ich, że mają się mieć na baczności i nawet ci, którzy wiedzieli, że potrzebują pomocy, zwierzali się niechętnie, zwłaszcza cywilom. Mentalność wojownika utrudniała terapię.

- Jeden facet, z którym służyłem... Zaczął coś opowiadać, normalne, nie? A tu po chwili przerywa mu terapeuta, bo zzieleniał i musiał pójść się wyrzygać. - Podeszedł do okna. - Ja trafiłem do kogoś innego. Lekarka była specjalistką od stresu pourazowego i wysłuchiwała tak wielu historii, że potrafiła się zdystansować. Ale tak bardzo się dystansowała, że czułem, że jest zupełnie nieobecna. - Wydawało się, że uleciało z niego trochę gniewu. - Tabletki i banały nie wystarczą do uporania się z tym rodzajem szaleństwa.

Zaczęła mówić, że to wszystko należy do przeszłości, ale to był oczywisty fałsz, a on jeszcze nie skończył swojej opowieści.

- Spójrz na ten dom. Kupiłem go w czasie, kiedy miałem jeden z napadów manii. Moja dojrzała zemsta za Curtisa. Świetna zemsta, nie? Remington już dawno nie żył. Do diabła, co ja właściwie myślałem?

Ona wiedziała. Te wszystkie wycieczki do Grosse Point w celu śledzenia rodziny, której tak nienawidził... Równie mocno chciał do niej należeć.

Wyrzał przez okno niewidzącym wzrokiem.

- Znam jednego faceta... Raz żona dotknęła go w środku nocy, a on obudził się i zaczął ją dusić.. I kobieta, z którą służyłem... Zabrała dziecko z przedszkola, przekonana, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie mówiąc nic nikomu, nawet swojemu mężowi, zabrała je na siedemsetkilometrową wycieczkę. Niewiele brakowało, żeby wylądowała w więzieniu za porwanie. Jeszcze inny gość... Pokłócił się z dziewczyną. Nic ważnego. Ale nagle rzucił nią o ścianę. Złamał jej obojczyk. Chcesz, żeby ciebie spotkało coś podobnego? - Skrzywił usta z goryczą. - Na szczęście czas uleczył mnie z najgorszych ran. Teraz czuję się dobrze. I tak powinno pozostać. Teraz rozumiesz?

Zebrała siły.

- Co dokładnie mam zrozumieć?

Wreszcie spojrział na nią z kamienną twarzą.

- Dlaczego nie mogę ci dać więcej niż dotychczas. Dlaczego nie mogę zaferować ci przyszłości.

Jak on mógł wiedzieć, czy ona tego chciała, kiedy nawet nie znała odpowiedzi na to pytanie?

- Patrzysz na mnie oczami, w których mógłbym utonąć i żądasz ode mnie wszystkiego - tłumaczył. - Ale nigdy nie pozwolę sobie wrócić w to mroczne miejsce.

Odsunął się od okna, przybliżając o parę kroków do niej.

- Nie jestem zdolny do wielkich emocji. Nie mogę sobie na to pozwolić. Teraz rozumiesz?

Nic nie powiedziała. Czekwała.

Ciężko westchnął.

- Nie kocham cię, Lucy. Słyszysz? Nie kocham cię.

Chciała zmiażdżyć sobie uszy, chwycić się za brzuch, rzucić na ścianę. Ta brutalna szczerłość była straszna, ale nie mogła go za to ukarać, nie po tym, co jej właśnie powiedział. Znalazła w sobie pokłady siły, których istnienia nawet nie podejrzewała.

- Wróć do rzeczywistości, Patricku. Rzuciłam Teda Beau-dine'a. Naprawdę sądzisz, że będę tęskniła za spaniem z tobą i naszym małym letnim romansikiem?

Nie drgnął. Milczał. Po prostu patrzył na nią tymi błękitnymi oczami, które tonęły w ciemnościach.

Nie była w stanie znieść tego nawet sekundę dłużej. Odwróciła się i, nie pozwalając sobie przyspieszyć kroku, wyszła. Na korytarz... Na zewnątrz... Wyszła w noc. Próbowwała stłumić straszną świadomość, która właśnie przebijała się na powierzchnię.

Kochała go. Odrzuciła rozum, wszelki zdrowy rozsądek i głęboko zakochała się w tym zwichniętym emocjonalnie mężczyźnie, który nie potrafił odwzajemnić jej uczuć.

W końcu wylądowała na łódce. Ale w przeciwieństwie do Toby'ego nie zwinęła się na dziobowej koi i nie zasnęła. Siedziała tam wściekła, lepka, brudna, ze złamanym sercem.

## Rozdział 25

RANO PATRICK ZNIKNĄŁ WRAZ ZE SWOIM SAMOCHODEM. Lucy chwiejnym krokiem poszła do domu, wrzuciła ubrania do pralki i wzięła prysznic, ale ból rozsadał jej głowę i po wyjściu z łazienki wcale nie czuła się lepiej.

Jedynymi rzeczami, jakie mogła na siebie włożyć, były jej czarny strój kąpielowy i jedna z jego koszulek. Boso przechadzała się po pustym domu. Patrick zabrał większość ubrań, teczki i termos do kawy, który rano zawsze miał przy sobie. Jej umysł wypełniały emocje, z których każda zadawała więcej bólu niż poprzednia. Było jej żal Pandy z uwagi na to, co przeszedł, czuła złość na cały świat, na siebie, że zakochała się w tak poharatanym przez życie mężczyźnie. I potworny gniew.

Chociaż mówił to, co mówił, cały czas ją zwodził. Każdy delikatny dotyk, każde spojrzenie, które wymieniali między sobą, a także porozumiewawczy uśmiech odbierała jako wyznanie miłości. Wielu mężczyzn miało za sobą traumatyczne doświadczenia, ale to jeszcze nie oznaczało, że uciekali.

Gniew poprawiał jej samopoczucie, więc pielęgnowała ten stan ducha. Nie mogła pozwolić sobie na litość wobec niego albo samej siebie. Lepszym pomysłem było przekucie litości w nienawiść. Uciekaj, tchórze. Nie potrzebuję cię!

Zdecydowała, że tego samego dnia wprowadzi się ponownie do domu.

Pomimo nieszczęścia nie mogła zapomnieć, że obiecała, że pomoże Bree przy sprzątanii bałaganu, którego narobili wandalę ostatniej nocy. Ale zanim zdecydowała, że pójdzie do chatki, zadzwonił Mike i powiedział jej, że on i Toby poradzą sobie z bałaganem i nie życzą sobie obecności dziewczyn. Nie protestowała.

Dopiero po południu poszła zabrać swoje rzeczy z chatki. Zobaczyła rozmarzoną Bree, tkwiącą z notatnikiem przy stole kuchennym. Obok niej siedział równie zadurzony Mike. Ledwo widoczne zadrapania po zaroście na szyi Bree i czułe,

zawłaszczające gesty Mike'a były niewątpliwym świadectwem namiętności ostatniej nocy.

- Nie możesz się wyprowadzić - powiedziała Bree, kiedy Lucy wyjawiała jej swoje zamiary. - Przygotowuję plan uratowania biznesu i będziesz mi teraz o wiele bardziej potrzebna.

Mike stuknął palcem o brulion, pokryty równym pismem Bree.

- Nie chcemy, żebyś została sama w tym dużym domu - powiedział. - Będziemy się o ciebie martwić.

Ale ci dwoje z trudem odrywali od siebie wzrok i z trudem zdobywali się na rozmowę z nią. Toby wcale nie był lepszy.

- Mike i Bree biorą ślub! - oświadczył, kiedy wchodził do kuchni.

Bree się uśmiechnęła.

- Uspokój się, Toby. Nikt na razie się nie żeni.

Spojrzenia, jakie wymienili między sobą Mike i Toby, sugerowały, że mają inny pogląd w tej sprawie.

Lucy nie chciała zakłócać ich szczęścia i opowiadać o własnej rozpacz. Obiecała, że przyjdzie następnego dnia po południu, aby się pożegnać.

Dalej podsycała w sobie gniew. Ale po kilku dniach samotnych spacerów i długich przejażdżek rowerowych, które wciąż nie zmęczyły jej na tyle, by mogła spać, zrozumiała, że musi zrobić coś innego. W końcu otworzyła laptop, który zostawił Panda i zaczęła pracować. Na początku nie mogła się skoncentrować, ale po jakimś czasie praca zaczęła ją odrywać od myślenia.

Może ten ból był wynikiem zerwania z Patrickiem, ale coraz więcej myślała o wcześniejszym cierpieniu, związanym z jej pierwszymi czternastoma latami życia, które spędziła z biologiczną matką imprezowiczką.

- Lucy, wychodzę wieczorem. Drzwi są zamknięte.

- Boję się. Zostań ze mną.

- Nie bądź dzieckiem. Jesteś już dużą dziewczynką.

Ale ona nie była dużą dziewczynką. Miała osiem lat i przez kilka następnych lat to ona dzierżyła odpowiedzialność za to ponure gospodarstwo domowe.



- Lucy, do jasnej cholery! Gdzie są te pieniądze, które schowałam w tyle mojej szuflady?

- Płacę nimi czynsz, do cholery! Chcesz, żeby znowu nas wykopali z mieszkania?

Zawsze myślała, że jej poczucie odpowiedzialności rozwinęło się dopiero po tym, jak Sandy zmarła. Po śmierci matki musiała zaopiekować się Tracy, ale teraz zrozumiała, że naprawdę znacznie wcześniej stała się odpowiedzialna za wszystko.

Pisała tak długo, aż złapał ją skurcz mięśni. Nie mogła bez przerwy pracować, ale za każdym razem, gdy przestawała, przytłaczał ją przesywający ból. Wtedy otulała się ciasniej zasłoną gniewu. Tylko dzięki niej mogła jeszcze oddychać.

Patrick oczekiwał na swoją nową pracę. Miał być szefem ochrony wysokobudżetowego filmu sensacyjnego, kręconego w Chicago. Dwa dni po rozpoczęciu zdjęć zachorował na grypę. Zamiast leżeć w łóżku, gdzie było jego miejsce, pracował mimo gorączki i dreszczy. W rezultacie dostał zapalenia płuc. To nie powstrzymało go od wypełniania obowiązków, ponieważ leżenie w łóżku i myślenie o Lucy nie było dopuszczalną alternatywą.

Bądź najlepszy w tym, co robisz dobrze... Wspaniałe motto. Szkoda tylko, że sprawdzało się do momentu, w którym poznał Lucy.

- Jesteś durniem - powiedziała mu Temple podczas jednej ze zbyt licznych, jak na jego gust, rozmów telefonicznych. - Miałeś szansę na szczęście i uciekłeś od niego. Teraz próbujesz się zniszczyć.

- To, że tobie udało się poukładać życie, nie oznacza, że każdy tego chce - odparował, ciesząc się, że Temple nie może zobaczyć, jak mizernie wygląda i jak bardzo jest spięty.

Miał tyle ofert pracy, że nie mógł sobie ze wszystkim poradzić. Dlatego wynajął dwóch byłych policjantów, którzy pracowali za niego. Jednego wysłał do Dallas, drugi miał siedzieć w Los Angeles i niańczyć kilkunastoletniego aktora.

Temple znowu zadzwoniła. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby wysmarkać nos i zaczął rozmowę, zanim ona mogła rozpocząć tyradę o Lucy.

- Jak idzie kręcenie nowego sezonu?

- Poza tym, że producenci stale krzyczą na Kristi i na mnie, świetnie - powiedziała.

- Postawiliście ich w sytuacji bez wyjścia. Szczęśliwie nie mieli czasu, żeby znaleźć za was zastępstwo. Wtedy obie szukałybyście nowej pracy.

- To im byłoby przykro - odcięła się Temple. - Widzowie mieli dosyć starego show i pokochają zmianę formuły programu. Chwyciła ich za serce. Kristi wciąż musi nosić czerwone bikini, ale jest częściej na wizji i znakomicie to wykorzystuje.

Usłyszał, jak Temple coś chrupie. Jabłko? Seler? Ciastko, na które pozwalała sobie każdego dnia?

- Wykonuję swoje ćwiczenia z dużo większą radością - powiedziała. - A dzisiaj naprawdę płakałam. Prawdziwe łzy. To dopiero zrobi furorę.

- Ściska mnie w gardle nawet na samą myśl o tym - powiedział, przeciągając głoski tak bardzo, że dostał ataku kaszlu, ale szybko go stłumił.

- Nie, naprawdę - powiedziała. - Jedna z uczestniczek, Abby, jako dziecko była strasznie wykorzystywana. To... to mnie wzięło. Wszyscy mają swoje historie. Nie wiem, dlaczego nigdy nie znalazłam czasu, żeby się im uważniej przysłuchać.

On wiedział dlaczego. Zwracanie uwagi na lęki i niepokoje innych ludzi mogło ją zmusić do zbadania swoich własnych, a kiedyś nie była na to gotowa.

Temple ciągnęła z pełnymi ustami.

- Zwykle po paru tygodniach kręcenia programu mam chrypkę z powodu krzyczenia na ludzi, a teraz proszę, słyszysz, jaki mam głos?

- Staram się nie słuchać. - Zaczerpnął łyk wody, żeby stłumić kolejny atak kaszlu.

- Myślałam, że Lucy zwariowała, kiedy mówiła mi o swoim podejściu do ćwiczeń, które nazwała „wystarczająco dobrze”, ale

to nie jest takie głupie. Pracuję nad długoterminowym, bardziej realistycznym programem treningów. I... wyobraź sobie... Mamy zawsze sekcję z filmami z ukrytej kamery. Uczymy widzów, jak czytać etykiety, pokazując im ustawione bójki w alejkach supermarketu.

- Za to na pewno dostaniesz nagrodę Emmy.

- Taka gorycz nie jest atrakcyjna. Kpij, ile chcesz, ale wreszcie będziemy w stanie pomagać ludziom... Aha, Panda. Oddzwonił do Max. Zostawiła ci trzy wiadomości głosowe, a ty nie odpowiedziałeś na żadną z nich - dodała, ponieważ nadal chciała, żeby myślał, że jest twarda.

- Nie oddzwoniłem, ponieważ nie chcę z nią rozmawiać - odburknął.

- Wczoraj rozmawiałam z Lucy. Wciąż mieszka w domu.

Usłyszał kolejny telefon, co dało mu wymówkę, żeby zakończyć rozmowę z Temple. Niestety, tym razem zadzwoniła Kristi.

- Nie mam czasu na rozmowę - powiedział.

Zignorowała go.

- Temple była niesamowita podczas wywiadu. Całkowicie naturalna i otwarta.

Chwilę mu zajęło, zanim domyślił się, że Kristi mówiła o długiej sesji terapeutycznej, którą właśnie filmowały. Producenci zamierzali wykorzystać ją do promowania nowego sezonu, zdając sobie sprawę, że ujawnienie przez Temple swojej orientacji seksualnej przyciągnie sporo nowych widzów.

- Na koniec wprowadzimy Max i oglądanie ich razem rozmiękczy nawet najtwardsze serca. Widzowie pokochają nową twarz. A ja będę mogła włożyć sukienkę - powiedziała.

- Obstawiam, że obcisłą.

- Nie można mieć wszystkiego.

- Pragnę tylko jednej rzeczy - warknął. - Chcę, żebyście zostawiły mnie w spokoju, do jasnej cholery!

Krótką pauza na ocenę.

- Patricku, mógłbyś prowadzić lepsze życie, gdybyś zrobił to, co ci radziłam i przestał przenosić gniew na innych ludzi.

- Kończę, żeby znaleźć dostatecznie wysokie okno, przez które zamierzam wyskoczyć.

Ale choć tak bardzo na nie narzekał, czasami czuł, że ich natrętne telefony były wszystkim, co dawało mu poczucie zakorzenienia. Te kobiety troszczyły się o niego. I były jedynym, kruchym połączeniem z Lucy.

Na Charity Island wcześniej zapanowała jesień. Turyści zniknęli, powietrze stało się rześkie i klony zaczęły przybierać barwę szkarłatnej czerwieni. Pisanie, które stanowiło kiedyś taką udrękę dla Lucy, okazało się wybawieniem i wreszcie mogła wysłać tacie ukończoną wersję tekstu.

Przez następne kilka dni jeździła na rowerze dookoła wyspy i przechadzała się po pustych plażach. Nie wiedziała, kiedy to się stało, ale brnąc przez ból i gniew, uświadomiła sobie, jak powinna ukształtować własną przyszłość.

Żadnego lobbingu, którego nie znosiła. Zamierzała posłuchać swojego serca i znowu pracować z dziećmi. Ale to nie mogło być wszystko. Sumienie kazało jej wykorzystywać zużytą sławę do walki o poprawienie losu pokrzywdzonych maluchów. Tym razem jednak postanowiła zrealizować cel za pomocą czegoś, co rzeczywiście stanowiło jej pasję - pisanie.

Kiedy jej brutalnie szczerzy ojciec dziennikarz przeczytał tekst i zadzwonił do niej, potwierdził tylko to, co już wiedziała.

- Lucy, jesteś prawdziwą pisarką.

Zamierzała napisać książkę. Nie o sobie czy o rodzinie, ale o dzieciach w opałach. To nie byłby jakiś suchy, akademicki podręcznik, lecz książka do czytania, pełna osobistych historii opowiedzianych przez dzieci i pracowników poradni. Jej celem miało być postawienie w centrum zainteresowania istot najbardziej podatnych na zranienie. Nazwisko Lucy na grzbiecie książki gwarantowało uwagę mediów. To znaczyło, że tysiące, może setki tysięcy ludzi, którzy nie wiedzieli niczego o pozbawionych szans dzieciach, zyskałoby okazję, by zrozumieć ich problemy.

Ale bardziej klarowny pomysł na własną przyszłość nie przyniósł jej spokoju, którego tak pragnęła. Jak mogła dopuścić do tego, że zakochała się w Pandzie? Czowała tak palące rozgoryczenie, że czasem myślała, że zaraz stanie w płomieniach.

Ponieważ wysłała już tekst i szybko zbliżał się październik, zadzwoniła do sekretarki prasowej matki, która umówiła ją z dziennikarzem z „Washington Post”. W ostatni dzień września Lucy siedziała w słonecznym pokoju i przyciskając telefon do ucha, udzieliła wywiadu, przed którym wcześniej uciekała.

*To było upokarzające... Spanikowałam... Ted jest jednym z najwspanialszych mężczyzn, których poznałam... Przez ostatnie kilka miesięcy pracowałam nad książką mojego ojca i starałam się odzyskać poczucie celu w życiu... Zamierzam napisać książkę... Występować w obronie dzieci, które nie mają głosu...*

Nie wspomniała o Patricku.

Po wywiadzie zadzwoniła do Teda i odbyła z nim rozmowę, której wcześniej nie mogła przeprowadzić. Później zaczęła się pakować.

Od wyprowadzki Lucy Bree kilka razy odwiedziła dawny letniskowy dom. Odwiedziła przyjaciółkę po wywiadzie, aby pomóc w pakowaniu. W ciągu zaledwie kilku miesięcy ona, Toby i Mike wrosli w życie Lucy. Lucy wiedziała, że będzie za nimi tęsknić. Ale chociaż była tak blisko z Bree, nie mogła rozmawiać z nią o Patricku. O nim nie potrafiła rozmawiać z nikim, nawet z Meg.

Bree usiadła w kącie, obserwując, jak Lucy czyści dużą lodówkę z nierdzewnej stali

- To zabawne - powiedziała przyjaciółka. - Myślałam, że wejście do tego domu zniszczy mnie, ale tylko napełniło mnie nostalgią. Moja matka zrobiła w tej kuchni tak wiele niedobrych obiadów, a grill taty też nie pomagał. Wszystko przypalał.

Ojciec Bree robił o wiele gorsze rzeczy niż przypalanie hamburgerów. Lucy wzięła do ręki dopiero co otwarty słoik musztardy.

- Chcesz to?

Bree skinęła głową i Lucy włożyła musztardę do kartonowego pudełka razem z innymi artykułami spożywczymi, które chciała jej oddać.

Bree podciągnęła rękawy ciężkiego swetra, który miał ją chronić przed wczesnym, jesiennym zimnem.

- Czuję się jak arystokratka, odkąd nie muszę już spędzać całego dnia na straganie.

- Masz trochę wolnego czasu. Pracowałeś jak szalona.

Przez wandali, którzy zostali złapani, kiedy wjechali na prom, Bree straciła jedną trzecią miodu na przyszły rok. Ale dzięki letnim, bezdeszczowym, ciepłym dniom, zdołała zebrać ponad pięćset kilogramów.

- Będę na wieki kochać pastora Sandersa - powiedziała Bree.

Pastor kościoła Miłosiernego Serca zorganizował dla Bree spotkanie z hurtownikiem z łądu, który zaopatrywał się sklepów z upominkami na środkowym zachodzie. Kobieta pokochała próbki Bree - zapachowe miody, płyny kosmetyczne, świeczki, bloczki, woskowe środki czyszczące do mebli i jedyną ręcznie malowaną, świąteczną ozdobę, która przetrwała atak wandali.

- Nowe etykiety z karuzelą przypieczętowały sprawę - powiedziała Bree. - Uwielbia je. Powiedziała, że dzięki temu wszystkie produkty są eleganckie. Ale i tak nie spodziewałam się tak dużego zamówienia.

- Ma dobry gust.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie dostała tego zamówienia. No dobra, wiem, ale cieszę się, że nie musiałam. - Skinęła głową, kiedy Lucy podniosła nieotwartą torbę z marchewkami. - Nie zniosłabym zależności finansowej. To już przerobiłam i nie zamierzam tego powtarzać.

- Biedny Mike. Przecież on chce się tylko tobą zaopiekować, a ty wolisz sama się zatroszczyć o siebie. Wkrótce wyjdiesz za niego za męża.

- Wiem. Ale Mike Moody... - Rozmarzony uśmiech pojawił się nagle na jej twarzy. - On jest stały w uczuciach. Ten mężczyzna nigdzie nie pójdzie.

Lucy przewyciężyła ból.

- Nigdzie indziej niż do twojej sypialni, przez okno.

Bree naprawdę się zaczerwieniła.

- Powiedziałam ci o tym w zaufaniu.

- Tak jak powiedziałaś mi, że jest namiętnym kochankiem.

A mogłam umrzeć w niewiedzy.

Bree nie zwróciła uwagi na protesty Lucy.

- Naprawdę wierzyłam Scottowi, kiedy mówił, że to ja, a nie on, mam problem, ale teraz czuję tylko litość dla jego dziewiętnastolatki.

Znowu uśmiechnęła się marzycielsko.

- Kto by podejrzewał, że taki porządny i religijny mężczyzna jak Mike może być taki...

- Namiętny - przerwała jej Lucy.

Twarz Bree spochmurniała.

- Jeśli Toby nas przyłapie...

- Co zrobi wcześniej lub później.

Lucy dodała do paczki kawałek parmezanu i zamknięty słoik marmolady Patricka, chociaż naprawdę kusiło ją, żeby cisnąć nim o ścianę.

- Mike ma coraz bardziej dość ukrywania się. Faktycznie zagroził mi, że nie będzie oferował mi swoich, hm... usług, dopóki nie ustalimy daty ślubu. Szantaż. Wyobrażasz sobie?

Lucy zamknęła drzwi lodówki.

- Co cię powstrzymuje, Bree? Serio?

- Jestem taka szczęśliwa. - Huśtała nogami, myśląc o tym. - Wiem, że muszę przezwyciężyć swoją niechęć do małżeństwa i zrobię to. Ale jeszcze nie teraz.

Zeskoczyła z blatu.

- Wrócisz na wyspę, żeby nas odwiedzić?

Lucy nie miała ochoty nigdy więcej oglądać tej wyspy.

- Pewnie - powiedziała. - A teraz zanieśmy te rzeczy do domku. I żadnych długich strasznych pożegnań, OK?

- Oczywiście, że nie.

Ale obie wiedziały, że nie będzie łatwo powstrzymać się od łez. I nie było.

Patrick w końcu przestał kaszleć i powrócił do sił, ale czuł się, jakby stracił kończynę. Jego refleks nie był już taki jak dawniej. Wprawdzie nikt tego nie dostrzegł, ale on wiedział. Na strzelnicy nie trafiał już tak dokładnie. A kiedy szedł pobiegać, bez powodu tracił rytm. Tracał ręką kubek kawy, kluczyki od samochodu wypadały mu z rąk.

Przeczytał wywiad z Lucy w „Washington Post”. Nie wspomniała o nim, dlaczego miałyby to zrobić? Ale nie podobało mu się, że jej twarz znowu pojawiła się we wszystkich wiadomościach.

Zauważył, że w kilku miejscach posiwiął. Jego przygnębienie pogłębiał też fakt, że w pracy nie szło mu za dobrze. Drugopłanowa aktorka zaczęła się do niego przystawiać i nie dopuszczała myśli o odmowie. Była pięknnością nie z tego świata, z ciałem, które prawie dorównywało kształtom doktor Kristi. Figlowanie w łóżku z nową kobietą byłoby najlepszym sposobem na zatarcie wspomnień o poprzedniej, ale Panda nawet nie mógł o tym myśleć. Powiedział jej, że jest zakochany w kimś innym.

Tej nocy upił się po raz pierwszy od kilku lat. Obudził się spanikowany. Pomimo jego starań duchy, które potrafił trzymać na wodzy tak długo, powróciły. Zadzwoił do jedynej osoby, która mogła mu pomóc.

- Kristi, to ja...

Lucy znalazła mieszkanie i pracę w Bostonie. Sekretarka prasowa Nealy zbywała rój dzwoniących dziennikarzy. „Panna Jorik rozpocznie wkrótce nową pracę i nie ma czasu na spotkania”. Lucy nie zamierzała udzielać żadnych wywiadów przed rozpoczęciem trasy promującej jej pierwszą książkę.

W ostatnią noc jej pobytu w domu w Wirginii usiadła z rodzicami na tarasie w posiadłości, w której dorastała. Nealy miała na sobie starą uniwersytecką bluzę od dresu, która należała do Lucy. Ale mimo to, kiedy sączyła z kubka gorącą herbatę, wciąż wyglądała jak patrycjuszka. Październikowy wiatr rozwiewał jej miodowe włosy, które zwykle były porządnie uczesane.

Jasna cera jej matki i jej purytańskie pochodzenie w znaczący sposób kontrastowały z ciemniejszą karnacją ojca i aurą miejskiego twardziela. Matt dorzucił drewna do nowego kominka.

- Wykorzystaliśmy cię - rzucił ostro.

Nealy objęła rękoma ciepły kubek z herbatą.

- To działa się stopniowo, a ty zawsze tak się cieszyłaś, gdy mogłaś za coś przyjąć odpowiedzialność, że w końcu stracili-



śmy kontrolę. Czytanie tego, co napisałaś... To jest tak jasne, a zarazem rozdziera serce - powiedziała Nealy.

- Cieszę się, że dalej chcesz pisać - dodał ojciec. - Wiesz, że udzielę ci wszelkiej możliwej pomocy.

- Dziękuję - odpowiedziała Lucy. - Zamierzam ci o tym przypomnieć.

Nagle mama zadała Lucy idealnie wymierzony cios, co było jej polityczną specjalnością.

- Jesteś gotowa, żeby nam o nim powiedzieć?

Lucy ścisnęła mocniej kieliszek wina.

- O kim?

Nealy nie miała skrupułów.

- O mężczyźnie, który sprawił, że twoje oczy przestały błyszczeć.

- Nie jest... aż tak źle - skłamała.

- Powiem ci jedną rzecz... Jeśli kiedykolwiek spotkam sukinsyna, skopię mu tyłek - burknął złowieszczo Matt.

Nealy spojrzała groźnie na męża.

- To jeszcze jeden powód, dla którego ludzie powinni się cieszyć, że to mnie wybrali na prezydenta, a nie ciebie.

Patrick obszedł dwa razy blok, zanim opanował emocje i wszedł do trzypiętrowego, ceglanego budynku. Pilsen kiedyś był domem polskich imigrantów w Chicago, ale teraz stanowił centrum życia meksykańskiej społeczności. Ściany w wąskim korytarzu pokrywały jasne graffiti, a może malowidła ściennie. W okolicy, w której było pełno odważnej sztuki publicznej, te dwa gatunki nie dawały się odróżnić.

Na końcu korytarza odnalazł drzwi. Widniał na nich odręczny napis: „Jestem uzbrojony i wkurwiony, mimo wszystko wejdz”.

Gdzie ta Kristi go posłała, do cholery? Popchnął drzwi i wkroczył do pokoju, który był urządzonej w stylu wczesnej Armii Zbawienia. Znajdowały się w nim porysowana, skórzana kanapa, para niedobrych foteli, jasny, drewniany stół do kawy i wyrzeźbiony pilą łańcuchową orzeł, który siedział pod plakatem z napisem: „Amerykańska piechota. Pomaga umrzeć draniom od 1775 roku”.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł mężczyzna, mniej więcej w wieku Patricka. Był rozczochrany, lekko łysiał, miał wielki nos i wąsy jak Azjata.

- Shade?

Patrick pokiwał głową.

- Jerry Evers.

Podszedł z wyciągniętą rękę, nieznacznie nierównym krokiem. Patrick nieświadomie rzucił spojrzenie na jego nogę. Evers pokręcił głową, a później podciągnął ręką nogawkę luźnych spodni, aby pokazać protezę.

- Sangin. Piąty.

Patrick już wcześniej wiedział, że Evers był w Afganistanie, więc pokiwał głową. Piąty pułk piechoty morskiej został mocno ostrzelany.

Evers machał dokumentami, które trzymał w ręku, kierując się w stronę nietapicerowanego krzesła. Śmiał się.

- A ty byłeś i w Kandaharze, i Falludży? Jak to się stało, że miałeś takie cholerne szczęście?

- Inni mieli gorzej - Patrick wskazał na oczywistość.

Evers prychnął i osunął się na kanapę.

- Pieprzyć innych. Mamy rozmawiać o tobie.

Patrick poczuł, że zaczyna się rozluźniać...

Zanim nadszedł pierwszy listopada, Lucy przyzwyczała się już do Bostonu i mieszkania, które wynajmowała w Jamaica Plain. Kiedy nie poświęcała się pisaniu, pracowała i chociaż cały czas czuła się zmęczona, nigdy nie była bardziej wdzięczna, że ma nową pracę i napięty harmonogram.

- Czemu cię to obchodzi? - szdyziła siedząca po drugiej strony kanapy siedemnastolatka. - Nic o mnie nie wiesz.

Z kuchni dochodził pikantny zapach tacos, który przeniknął do pokoju dla terapeutów. Każdego dnia ośrodek społeczny Roxbury serwował obiad dla około pięćdziesięciorga nastolatków. Znajdowały się w nim również prysznic, mała pralnia i otwarta raz w tygodniu klinika medyczna. Sześcioro doradców pomagało uciekinierom, niebieskim ptakom i dzieciom ulicy, wśród których

byli nawet czternastolatki. Dbali o to, żeby mieli schronienie, kartę ubezpieczenia społecznego, chodzili do szkoły, przygotowywali się do egzaminów, a także szukali im pracy. Niektórzy z podopiecznych byli uzależnieni od narkotyków. Inni, tak jak ta dziewczyna o pięknych kościach policzkowych i oczach, w których kryła się tragedia, przeżyli molestowanie. Doradcy w ośrodku społecznym zajmowali się kwestiami związanymi z psychiką, zdrowiem, ciążą, prostytutką i zjawiskami, które z trudnością dawały się umieścić w określonym miejscu w tabelce.

- A czyj to jest problem, że niczego o tobie nie wiem? - spytała Lucy.

- Niczyj - odparowała Shauna.

Shauna oparła się wygodniej z zachmurzonym obliczem. Przez szybę w drzwiach Lucy dostrzegła jakieś dzieci, które niszczyły halloweenowe ozdoby: latające nietoperze, czarne wiedźmy z kartonu i szkielety z czerwonymi, świecącymi oczodołami.

Shauna patrzyła na Lucy, która miała na sobie krótką, czarną, skórzaną spódnicę, seksowne, różowe rajstopy i fajne buty.

- Chcę, żeby wróciła moja dawna opiekunka społeczna. Była o wiele miłsza od ciebie.

Lucy się uśmiechnęła.

- Tylko dlatego, że ona cię tak nie uwielbiała jak ja.

- Teraz jesteś po prostu sarkastyczna.

- Nie. - Lucy delikatnie położyła rękę na ramieniu nastolatki. - Jesteś jednym z najpiękniejszych stworzeń na świecie, Shauno. Odważna jak lew, przebiegła jak lis. Jesteś bystra i przeżyjesz wszystko. Jak tu cię nie kochać? - powiedziała łagodnie i szczerze.

Shauna gwałtownie zrzuciła z ramienia rękę Lucy i zmierzyła ją ostrożnym wzrokiem.

- Jesteś stuknięta.

- Wiem. Chodzi mi o to, że jesteś mistrzynią. Wszyscy tak myślimy. I jeśli kiedykolwiek będzie ci naprawdę zależało na utrzymaniu posady, wiem, że będziesz umiała to zrobić. A teraz możesz już iść.

To ją rozzłościło.

- Co masz na myśli, mówiąc, że mam sobie iść? Masz mi przecież pomóc odzyskać pracę.

- Ale jak?

- Masz mi powiedzieć, co mam zrobić.

- Nie mam pojęcia.

- Co to znaczy, że nie masz pojęcia? Doniosę na ciebie kierownikowi. Zwolni cię. Nic nie wiesz.

- No cóż, pracuję tu od miesiąca, więc to może być prawda. Co mogę zrobić, żeby bardziej ci pomóc?

- Powiedzieć mi, jak mam utrzymać moją posadę. Że mam pojawiać się punktualnie w pracy każdego dnia i okazywać szacunek szefowi...

Przez następne kilka minut Shauna tłumaczyła Lucy, powtarzając rady, których udzielili jej inni terapeuci.

Kiedy wreszcie się uspokoiła, Lucy pokiwała głową z podziwem.

- No, no. Powinnaś zająć moje miejsce. Jesteś w tym dobra. Jej wrogość zniknęła.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście. Jak zdasz egzaminy, możesz sobie świetnie radzić w wielu zawodach.

Zanim Shauna wyszła, Lucy zdołała rozwiązać przynajmniej jeden z problemów nastolatki. To była mała rzecz, ale stanowiła wielką przeszkodę dla bezdomnego dziecka. Shauna nie miała budzika.

Lucy rozejrzała się po pustym pokoju, w którym stała zniszczona, wygodna kanapa i przytulny fotel. Na ścianie znajdował się inspirowany sztuką graffiti fresk. Do takiej pracy była stworzona.

Wyszła z ośrodka później niż zwykle i chciała wrócić do domu. Kierując się do samochodu, otworzyła parasol, który miał ją ochronić przed zimną, wieczorną mżawką. Pomyślała, że przed zaśnięciem musi jeszcze coś napisać. Nie musiała już stale snuć się po korytarzach Kongresu i dobijać się do drzwi wielkich korporacji, aby spotkać się z grubymi rybami, które chciały zobaczyć się z nią tylko po to, żeby przechwalać się później, że znają córkę prezydent Jorik. Praca w sektorze publicznym dawała jej więcej satysfakcji.

Ominęła kałużę. Lampa oświetlała jej samochód, któremu towarzyszył na parkingu tylko jeden pojazd. Prawie skończyła przygotowywać ofertę swojej książki i kilka wydawnictw od razu zechciało się z nią zapoznać. Zważywszy na liczbę pisarzy, którzy starali się o wydanie swoich dzieł, może powinna mieć poczucie winy, ale tak nie było. Wydawcy wiedzieli, że jej nazwisko na grzbiecie książki gwarantuje duży odzew w prasie i znakomitą sprzedaż.

Postanowiła przedstawić prawdziwe historie bezdomnych nastolatków, którzy ze swojej własnej perspektywy wyjaśniali, dlaczego opuścili rodziny, jak żyli, wyjawiali swoje marzenia i nadzieje. Bohaterami miały być nie tylko ubogie dzieciaki jak Shauna, ale także rzadziej opisywani nastolatki z przedmieść, którzy prowadzili życie nomadów w bogatych społecznościach.

Kiedy koncentrowała się tylko na pracy, rozpierała ją energia, ale w chwili gdy traciła czujność, czuła powracający gniew. Nie chciała dać mu odejść. Kiedy była śmiertelnie zmęczona, kiedy jej żołądek nie przyjmował pokarmu, którego potrzebował, kiedy bez żadnego powodu łzy pojawiały się nagle w jej oczach... Gniew pozwalał jej przez to przebrnąć.

Prawie dotarła do samochodu, gdy usłyszała, że ktoś za nią biegnie. Odwróciła się.

Rzucił się na nią żyłasty chłopak w brudnych, rozdartych dżinsach i przemoczonym kapturze. Miał głęboko osadzone oczy. Chwytał torebkę i pchnął Lucy na ziemię.

Parasolka wypadła jej z ręki, przeszył ją ból. I nagle całe pokłady gniewu, które trzymała w sobie na uwięzi, znalazły sobie cel. Krzyknęła coś niezrozumiałego, podniosła się z mokrego asfaltu i pobiegła za nim.

Chłopiec wbiegł na krawężnik, przeszedł przez jezdnię i obejrzał się za siebie. Nie spodziewał się, że Lucy będzie go gonić. Przyspieszył.

- Rzuć to! - krzyknęła bez zastanowienia, ogarnięta szałem podsyconym adrenaliną.

Ale on biegł dalej, więc zaczęła go ścigać.

Był mały i szybki. Nie zważała na to. Pałała żądzą zemsty. Biegła szybko, stukając butami o chodnik. Gwałtownie skręcił

w ulicę między ośrodkiem społecznym i biurowcem. Podążyła za nim.

Drewniany płot i kontener na śmieci blokowały wyjście, ale nie cofnęła się, nie myśląc nawet o tym, co zrobi, jeśli okaże się, że chłopak ma broń.

- Oddaj to!

Wdrapał się na szczyt śmietnika, głośno stękając. Zaczepił jej torebką o ostrą krawędź, więc odrzucił ją i wspiął się po ogrodzeniu.

Była tak oszalała z gniewu, że próbowała nawet wspiąć się za nim. Ześlizgnęła się z mokrego metalu i upadła, raniąc się w nogę.

Powoli wrócił jej rozsądek. Wciągnęła głęboko powietrze, gniew ją wreszcie opuścił.

Głupia, głupia, głupia!

Odzyskała torebkę i, utykając, wróciła na chodnik. Jej skórzana spódnica zapewniła jej pewną ochronę w momencie upadku, ale podarła sobie seksowne, różowe rajstopy, zadrapała nogę, otarła ręce i kolana. Dzwoniło jej w uszach, ale chyba nic sobie nie złamała.

Weszła na chodnik. Głupia! Gdyby Panda zobaczył, jak wbiega w tę uliczkę, strasznie by się wściekł. Ale gdyby był przy niej, dzieciak nie odważyłby się jej zaatakować.

Bo Patrick chronił ludzi.

Myśli zaczęły jej wirować w głowie.

Patrick chronił ludzi.

Ledwo dowlokła się na krawężnik, a potem upadła. Jej buty utonęły w rynsztoku. Dopadły ją nudności, znów usłyszała jego słowa:

„...nagle uderzył nią o ścianę. Złamał jej obojczyk. Chcesz, żeby coś takiego spotkało ciebie?”

Ukryła twarz w dłoniach.

„Nie kocham cię, Lucy... Nie kocham cię”.

Kłamstwo. To nie była prawda. On ją kochał. Bardzo.

Trzasnął piorun i deszcz rozszalał się na dobre. Krople uderzały ją w ramiona, przebijały się trencz. Walały ją po głowie jak ostre ka-

myki. Żołnierz, który próbował udusić własną żonę... Mężczyzna, który pobił swoją dziewczynę ... Patrick uznał, że stanowi dla niej niebezpieczeństwo, że jest taki, jak oni, że jest kolejnym wrogiem, przed którym musi ją chronić. I to właśnie zamierzał zrobić.

Zaczęła szcząkać zębami. Wzięła pod uwagę możliwość, że wszystko to sobie wymyśliła, ale jej serce znało prawdę. Przejrzałaby go wcześniej, gdyby tak długo nie podsyciała w sobie gniewu.

Biała ciężarówka zaczęła zwalniać i zatrzymała się. Kiedy podniosła wzrok, zza okna samochodu wyłoniła się twarz mężczyzny w średnim wieku z rozczochranymi siwymi włosami.

- Wszystko w porządku, proszę pani?

- Tak, w porządku.

Podniosła się z trudnością. Ciężarówka odjechała.

Błyskawica rozdarła noc i wraz z nią Lucy zobaczyła udreżkę w oczach Patricka, usłyszała udawaną agresję w jego głosie. Panda nie dowierzał sobie i sądził, że może ją skrzywdzić.

Zwróciła twarz ku pochmurnemu, wypełnionemu deszczem niebu. Wyrzekł się swojego życia, żeby ją chronić, nawet przed samym sobą. Jak mogła walczyć z tą żelazną wolą? Widziała tylko jeden sposób. Musiała przeciwstawić mu wolę równie twardą. Jej własną.

I plan...

## *Rozdział 26*

*KIEDY* UKOŃCZONO ZDJĘCIA DO FILMU, Patrick powrócił na wyspę, jakby to mogło go zbliżyć do Lucy. W ponure listopadowe popołudnie zobaczył mokry, samotny dom. Liście zatkały rynny, pajęczce sieci ozdobiły okna, gałęzie drzew, połamane podczas ostatniej burzy, zaśmiecily teren. Włączył piec i przeszedł się po wypełnionych ciszą pokojach ze zgarbionymi ramionami, trzymając ręce w kieszeniach.

Nie znalazł jeszcze nowej sprzątaczkii i w rezultacie meble pokrywał jasny płaszcz kurzu, ale dotyk Lucy był tu

wszechobecny. Jego ślady było widać w misce ze skałami stojącej na stoliku do kawy na werandzie, w wygodnie przestawionych meblach, posprzątanym półkach i stołach. Dom nie wyglądał, jakby miał czekać na powrót Remingtonów, ale nie wydawał się też jego. Należał do Lucy. Od momentu, gdy po raz pierwszy przekroczyła jego próg.

Przestało padać. Wyciągnął z garażu drabinę i wyczyścił rynny, ledwo utrzymując równowagę, gdy poślizgnął się na szczebelku. Wrzucił do mikrofalówki jeden z ohydnych, mrożonych obiadów Temple, otworzył puszkę coli i pozwolił sobie na małą torturę. Poszedł spać do starej sypialni Lucy. Tej, która kiedyś należała do niego. Następnego dnia zjadł zimne śniadanie, wypił dwa kubki kawy i poszedł do lasu.

Domek został świeżo pomalowany i miał nowy dach. Zapukał do tylnych drzwi, ale Bree nie otwierała. Przez okno zobaczył na stole kuchennym wazon pełen kwiatów i zeszyty szkolne. Ona i Toby ciągle tutaj mieszkali. Ponieważ nie miał nic innego do roboty, usiadł na frontowym ganku i czekał na ich powrót.

Godzinę później zobaczył starego cobalta. Podniósł się z wilgotnego, wiklinowego krzesła i podszedł do schodów. Zatrzymała samochód, wysiadła. Nie wydawało się, by jego przyście ją zdenerwowało, raczej zaintrygowało.

Wyglądała inaczej niż osoba, którą zapamiętał. Była wypoczęta, niemal całkowicie spokojna i przybrała nieco na wadze. Miała na sobie dżinsy i jasnobezową kurtkę z polaru, włosy trzymała zebrane w niedbałym koku. Ruszyła w jego kierunku ze świeżą pewnością siebie.

Włożył ręce do kieszeni.

- Domek ładnie wygląda.  
- Chcemy go odremontować, żeby w przyszłym roku go komuś wynająć.

- Co z twoimi pszczołami?

Lucy na pewno by się tym przejęła.

- Dogadałam się z rodziną, która ma pobliski sad, że je tam przestawię.



Skinął głową. Czekala. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Jak Toby?

- Najszczęśliwsze dziecko na wyspie. Teraz jest w szkole.

Starał się wymyślić, o czym tu dalej mówić, i w końcu zadał pytanie, którego wcale nie zamierzał wypowiadać.

- Rozmawiałaś z Lucy?

Była jak Temple. Skinęła głową, ale nie udzieliła żadnych informacji.

Wyciągnął ręce z kieszeni i zszedł ze schodów.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Właśnie wtedy przyjechał cadillakiem Mike. Wskoczył ku niemu z wyciągniętą ręką, zachowując się, jakby spotkanie Patricka było najważniejszym wydarzeniem dnia.

- Hej, przybyszu. Wspaniale, że wróciłeś.

Miał krótsze, mniej wystylizowane włosy i pozbył się całej biżuterii, nie licząc zegarka. Wydawał się zrelaksowany, szczęśliwy. W jego wnętrzu nie kłębiły się demony. Patrick zdusił w sobie urazę. To nie była wina Moody'ego, że zdołał zrobić coś, czego on nie mógł dokonać.

Mike objął Bree.

- Czy powiedziała ci, że wreszcie wyznaczyliśmy datę ślubu? Sylwester. Najtrudniejsza sprzedaż w moim życiu.

Bree popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- To Toby dokonał tej sprzedaży.

Mike uśmiechnął się szeroko.

- Wykapany ojciec.

Bree zaśmiała się i pocałowała go w kącik ust.

- Moje gratulacje.

Zrobiło się cieplej, więc Mike zaproponował, żeby usiedli na ganku. Patrick zajął krzesło, które przed chwilą porzucił, Bree usiadła na drugim, a Mike przycupnął na poręczu. Opowiadał o tym, jak świetnie idzie Bree w interesach, a następnie przeszedł do wymieniania ostatnich osiągnięć Toby'ego.

- Pracuje z nauczycielką nad tematyką związaną z historią czarnych.

- Tomy wie więcej od niej - powiedziała z dumą Bree. - Ale zdaje się, przyszedłeś, żeby ze mną o czymś porozmawiać?

Obecność Mike'a utrudniała jeszcze bardziej realizację tego niewdzięcznego zadania.

- Nic ważnego. Mogę wrócić później - rzucił Patrick.

Bree zmarszczyła brwi.

- Chodzi o Lucy?

Wszystko dotyczyło Lucy.

- Nie. To osobista sprawa.

- Idę - oznajmił Mike, wykazując się subtelnością. - I tak mam kilka spraw do załatwienia.

- Nie odchodź. - Bree spojrzała na Pandę. - Wbrew pozorom, Mike jest najbardziej dyskretną osobą na wyspie. A ja i tak wszystko bym mu opowiedziała.

Patrick się wahał.

- Jesteś pewna? To... ma związek z twoją rodziną. Z twoim ojcem.

Zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem.

- Powiedz.

I tak zrobił. Siedział na skrzypiącym, wiklinowym krześle, pochylony, z rękami opartymi na kolanach i opowiadał o romanse jej ojca z jego matką, a później o Curtisie.

Kiedy skończył, Bree miała łzy w oczach.

- Przykro mi.

Patrick wzruszył ramionami.

Mike podszedł, żeby stanąć obok niej. Bree szukała po kieszeniach chusteczki.

- Po śmierci ojca matka zrobiła wiele, żebyśmy się dowiedzieli, że był kiepskim mężem. Tak więc nie jest to wielka niespodzianka. Ale nikt z nas nie podejrzewał, że miał jeszcze jedno dziecko.

Wytarła sobie nos.

Mike objął ręką tył krzesła Bree i przypatrywał się Pandzie. Emanująca z niego swoboda wyparowała. Zastanawiał się, czy ta informacja może wyrządzić krzywdę ukochanej kobiecie.

- Czemu kupiłeś ten dom?

Patrick powiedział im prawdę, bo spodobało mu się, że Mike chce chronić Bree.

- Z chorej potrzeby zemsty. Nienawidziłem twojego ojca, Bree. Wmówiłem sobie, że nienawidzę całej twojej rodziny, ale to była zazdrość. - Patrick przesunął się na krzesło, a później zszokował samego siebie. - Kiedy kupowałem dom, nie myślałem zbyt jasno. Po wyjściu z wojska cierpiałem na zespół stresu pourazowego.

Mówił o tym takim tonem, jakby wyznawał, że łatwo łapie katar.

Na ich twarzach malowała się mieszanina niepokoju ze współczuciem, ale nie uciekli z ganku z krzykiem ani nie popędzili po broń. Zawdzięczał to Jerry'emu Eversowi. Kristi znalazła mu odpowiedniego człowieka, a nie jakiegoś gównianego terapeutę. Z tym facetem rzeczywiście mógł rozmawiać. On sam widział walkę i dokładanie rozumiał strach, jaki ogarniał Pandę na myśl, że demony, z którymi walczył, pojawią się ponownie i zmuszą do wyrządzenia krzywdy innym ludziom.

Bree bardziej zainteresowała się informacją o Curtisie.

- Masz jego zdjęcie?

Nie pomyślał o tym, ale spodobało mu się, że zapytała. Sięgnął po portfel.

- Kiedy wrócę do Chicago, przyślę ci jakieś zdjęcia. Przy sobie mam tylko to jedno.

Wyciągnął ostatnie szkolne zdjęcie Curtisa. Było postrzępione i wyblakłe. Na jego koszulce wciąż można było z trudnością odczytać słowo „Proof”. Curtis uśmiechał się, jego duże zęby nie mieściły się w szczęce. Bree wzięła zdjęcie i przyjrzała mu się badawczo.

- Wygląda... jak mój brat Doug.

Jej oczy ponownie wypełniły się łzami.

- Moi bracia powinni wiedzieć o Curtisie i o tobie również. Kiedy będziesz gotowy, chcę, żebyś ich poznał.

Stało się coś nieoczekiwanego.

- Chętnie - usłyszał samego siebie.

Kiedy wyciągnęła rękę, żeby zwrócić zdjęcie, łagodnie przesunęła kciukiem po sylwetce Curtisa.

- Zatrzymaj je - powiedział.

I jakoś czuł, że tak właśnie powinno być.

Kiedy następnego dnia późnym rankiem Patrick poszedł pobiegać, nagle zadzwonił jego telefon. Nigdy nie lubił nosić go przy sobie, ale teraz, gdy zatrudniał pracowników, musiał. I dalej tego nienawidził. Firma może i kwitła, ale wołałyby pracować w pojedynkę.

Popatrzył na wyświetlacz. Kod ze Wschodniego Wybrzeża. Nie rozpoznał numeru, znał jednak ten kierunkowy. Natychmiast zwolnił i odebrał.

- Patrick Shade.

Głos, który od tak dawna pragnął usłyszeć, zabrzmiał w słuchawce. Był bardzo wyraźny, głośny i wściekły.

- Jestem w ciąży, sukinsynu.

Rozłączyła się.

Chwiejnie szedł poboczem, upuścił telefon, a później szybko go chwycił i zaczął wstukiwać numer. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że udało mu się wybrać właściwy numer dopiero za drugim razem.

- Czego chcesz?! - wrzasnęła.

O Boże! Musiał zachowywać się dojrzałe. Otworzył usta, żeby powiedzieć... Co do cholery chciał powiedzieć? Ale ona wciąż się na niego darła i nie dała mu dojść do głosu.

- Jestem zbyt wściekła, żeby teraz z tobą rozmawiać! Ty i twoja wazektomia - powiedziała ze wzgardą.

- Gdzie jesteś?

- Co cię to obchodzi? - odparowała. - Skończyłam z tobą, pamiętasz?

Ponownie rzuciła słuchawką.

Jezu... Lucy w ciąży. Z jego dzieckiem. Poczuli się, jakby wskoczył do basenu wypełnionego ciepłą, falującą wodą.

Kiedy próbował do niej zadzwonić, usłyszał wiadomość głosową. Już wiedział, dokąd się przeprowadziła i po niezbyt długim czasie czekał na prom. Sześć godzin później dotarł do Bostonu.

Zapadł wieczór i zaparkował pod apartamentem, w którym podobno mieszkała. Było już ciemno. Nikt nie odpowiedział na dzwonek.

Przycisnął kilka innych guzików i wreszcie trafił w dziesiątkę. Dodzwonił się do starszego mężczyzny, który nie miał nic lepszego do roboty niż szpiegowanie swoich sąsiadów.

- Wyjechała rano z walizką. Wiesz, kim jest, prawda? Córka prezydenta Jorika? Jest bardzo miła, dla wszystkich.

Stanął na chodniku i znowu zadzwonił. Tym razem odebrała. Nie dał jej dojść do głosu.

- Przyjechałem do Bostonu - powiedział. - Ochrona w twoim mieszkaniu jest do bani.

- Tak jak ty.

- Dokąd pojechałaś?

- Do domu. Do mamy i taty. A dokąd twoim zdaniem miałam jechać? Nie jestem jeszcze gotowa, żeby z tobą rozmawiać.

- Trudno.

Tym razem to on się rozłączył.

Nie chodziło o odwagę, lecz o coś zupełnie innego. Wiedział, że zanim zrobi następny krok w celu odzyskania Lucy, musi ułożyć sobie stosunki z Bree. A poza tym zaplanował, że da sobie kolejny tydzień, żeby porozmawiać z Jerrym Eversem, który musiał być tak samo przekonany jak on, że ciemność już nie powróci. Później zamierzał napisać sobie skrypt i zapamiętać go, żeby znowu wszystkiego nie zepsuć. Tymczasem właśnie nadciągała noc, a on postawił na szali całą swoją przyszłość i kompletnie nieprzygotowany leciał do Waszyngtonu.

Przybył na lotnisko Dullesa długo po zmierzchu. Choć był zbyt rozemocjonowany, żeby zasnąć, nie mógł pokazać się w domu Jorików w obecnym stanie. Dlatego znalazł hotel i resztę nocy przeleżał w łóżku. Rano wziął prysznic i ogolił się. Wypił

filiżankę kawy i wyruszył do Middleburg - bogatej społeczności w samym sercu Wirginii.

Jadąc wijącymi się drogami, mijał wytwornie win i dobrze prosperujące stadniny koni. Ogarniał go coraz bardziej posępny nastrój. Może było już za późno? Co, jeśli znowu zaczęła się kierować rozsądkiem i uświadomiła sobie, że mogła zdobyć kogoś znacznie lepszego niż on? Kiedy dotarł do posiadłości Jorików, był cały spocony.

Dom był niewidoczny z drogi. Tylko wysoki, żelazny płot i otwierana elektronicznie brama świadczyły o tym, że dotarł do miejsca przeznaczenia. Zaparkował przed bramą, po czym zauważył śledzącą otoczenie kamerę wideo. Kiedy sięgnął po telefon, na pewno wiedział tylko jedno. Gdyby teraz się zawałał, wszystko byłoby skończone. Za wszelką cenę musiał ukryć przed nią to, w jakim znalazł się stanie.

Odebrała za piątym razem.

- Jest wpół do siódmej rano - zaskrzeczała. - Jeszcze śpię.
  - Nie ma sprawy.
  - Powiedziałam, że nie jestem gotowa, żeby z tobą rozmawiać.
  - No to mamy problem. Masz minutę, żeby otworzyć tę bramę. W przeciwnym razie ją staranuję.
  - Prześlij mi pocztówkę z Guantanamo!
- Znowu się rozłączyła.

Na szczęście nie musiał realizować swojej groźby, ponieważ trzydzieści sekund później brama się otworzyła. Po krótkiej rozmowie z agentem tajnych służb pojechał krętą alejką, która biegła przez gęsto zalesioną posiadłość do dużego, ceglanego, georgiańskiego domu. Zaparkował przed nim, po czym wysiadł. Zimne powietrze niosło ze sobą zapach opadłych liści, a czyste, poranne niebo obiecywało słoneczny dzień, co, jak próbował przekonać samego siebie, było dobrym znakiem. Przyszło mu to z trudem, ponieważ miał mdłości.

Otworzyły się przednie drzwi i pojawiła się Lucy. Żołądek skoczył mu do gardła. Wszystko, co wydawało mu się takie mroczne, stało się teraz krystalicznie jasne, ale ona z pewnością nie podzielała tego uczucia... Zamiast go zaprosić, wyszła

na zewnątrz. Miała na sobie czerwoną pidżamę z dużymi, zielonymi żabami i czarną wiatrówkę.

Ostatnimi ludźmi, których chciał teraz spotkać, byli jej rodzice. Dlatego fakt, że ostateczna rozgrywka miała odbyć się na zewnątrz, był nieoczekiwanym darem. Lucy była w tenisówkach włożonych na gołe stopy. Miała włosy w pięknym, lśniąącym, jasnobrązowym nieładzie. Nie umalowała się i miała ślad po poduszce odcisnięty na policzku. Wyglądała pięknie, zwyczajnie. I niezwykle.

Zatrzymała się pomiędzy parą filarów, na szczycie szerokich, trzystopniowych schodów. Ruszył do niej po ceglany chodniku.

- Kto umarł? - spytała, patrząc na jego garnitur.

Musiała wiedzieć, że nie pojawiłyby się w domu byłej prezydent Stanów Zjednoczonych w dżinsach i koszulce.

- Nie miałem czasu się przebrać.

Zeszła ze schodów w purpurowe i żółte liście, leżące wzdłuż alei. Mimo drobnych rysów i pidżamy w żaby zupełnie nie wyglądała jak nastolatka. Była w pełni dojrzałą kobietą. Ponętą, skomplikowaną i wściekłą. I to go przerażało.

Wysunęła dolną szczękę tak wojowniczo, jakby była profesjonalnym bokserem.

- Jest duża różnica między dokonaną wazektomią a planowaniem wazektomii.

- Co masz na myśli? Nigdy nie mówiłem, że miałem podwiązane nasieniowody.

Zignorowała jego słowa.

- Nie spieram się o to.

Kroczyła po wilgotnej, zasłanej liśćmi trawie, zmierzając w stronę drzewa, które wyglądało tak, jakby mogło chronić Thomasa Jeffersona, gdy poprawiał literówki w Deklaracji Niepodległości.

- Fakty są takie, że jakimś cudem jeden z twoich małych gnojków dotarł do bazy i teraz będziesz ojcem. Co o tym myślisz?

- Nie miałem czasu pomyśleć.

- Powiem ci, co się nie zdarzy. Nie będę udawać, że byłem w banku spermy i nie pozbędę się tego dziecka.

Ogarnęło go przerażenie.

- Do cholery, oczywiście, że nie.

Kontynuowała, dalej mocno wkurzona.

- Co zamierzasz z tym zrobić? Znowu się załamąć?

Sposób, w jaki pomniejszała znaczenie jego kłopotów psychicznych, jakby w ogóle nie były ważne, sprawiał, że kochał ją jeszcze bardziej, o ile to było w ogóle możliwe.

- Więc?

Kopnęła nogą w mokrą trawę, jakby była jego nauczycielką z trzeciej klasy.

- Co masz do powiedzenia?

Przełknął ślinę.

- Dobra robota?

Myślał, że Lucy go uderzy. Zamiast tego zasznurowała usta.

- Moi rodzice nie będą zadowoleni.

Z pewnością był to eufemizm. Mówił ostrożnie, całkowicie świadomy, że stąpa po niebezpiecznym terytorium.

- A co chcesz, żebym zrobił?

Rozzłościł ją na dobre.

- Dość tego! Skończyłam z tobą!

Ruszyła ciężkim krokiem w stronę domu. Ponieważ nie mógł postąpić z ciężarną tak, jak postąpiłby z nią, gdyby nie nosiła dziecka, musiał zabiec jej drogę.

- Kocham cię.

Jędza zatrzymała się i zaczęła z niego szydzić.

- Troszczysz się o mnie. To różnica.

- To też. Ale przede wszystkim cię kocham. - Ścisnęło go w gardle. - Kochałem cię od momentu, kiedy znalazłem cię w tej alejce w Teksasie.

Otworzyła szeroko oczy, tęczęwki miała usiane zielonymi plamkami.

- To kłamstwo.

- Nie. Nie mówię, że wiedziałem, że cię kocham, ale od samego początku czułem, że dzieje się coś ważnego.

Chciał jej dotknąć, Boże, jak bardzo chciał, ale bał się, że to jeszcze pogorszy sytuację.



- W każdym momencie, kiedy byliśmy razem, starałem się za wszelką cenę postępować właściwie. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem tym zmęczony. I sądzę, że ty mnie też kochasz. Mylę się?

To pytanie go prześladowało. A jeśli się mylił? Jeśli naprawdę sądziła, że to był tylko romans? Instykt podpowiadał mu coś innego, ale zbyt dobrze znał potęgę złudzeń, w które chce się wierzyć. Zebrał siły.

- I co z tego? - Lucy opanowała sztukę szysterstwa do mistrzostwa. - Myślałam, że Kocham Teda Beaudine'a i zobacz, co z tego wyszło.

Był tak oszołomiony, że z trudem zdołał odpowiedzieć.

- Tak, ale on był dla ciebie o wiele za dobry. Ja nie jestem.

- No dobra, tu masz rację.

Chciał ją zabrać, wrzucić do samochodu i odjechać, ale wątpił, czy Lucy na to pójdzie. No i nie wiedział, co zrobiłby wtedy oddział tajnych służb wydelegowany do ochrony jej matki. Nabrał powietrza i powiedział to, o czym musiał ją poinformować.

- Kristi znalazła mi terapeutę, który jest weteranem wojennym. Widział walkę. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Nie powiem, że wszystko gra, ale terapeuta sądzi, że jestem mniej walnięty, niż mi się wydaje.

- Myli się - oświadczyła delikatna dama.

Wydawało mu się, że widzi oznaki sympatii w jej wielkich brązowych oczach, ale to mogło być tylko złudzenie.

- Powiedz mi, w jaki sposób chcesz się z tym wszystkim uporać? - spytał, powstrzymując się przed błaganiem. - Wiesz, że ożenię się z tobą, jeśli będziesz tego chciała. Zrobię dla ciebie wszystko. Powiedz mi tylko, czego chcesz.

Jeśli rzeczywiście miał rację, gdy zauważył jakieś oznaki czułości, to znikły na dobre. Zastąpiła je lodowata duma.

- Jesteś beznadziejny.

Idąc przez szeleszczące liście, dotarła do frontowych schodów. Nie zatrzasnęła przed nim drzwi, więc wywnioskował, że miał wejść za nią i że w środku czekały go kolejne cięgi.

We wspaniałym korytarzu przy wejściu znajdowały się szerokie schody, imponujące obrazy olejne i zabytkowe meble, które aż pachniały starymi pieniędzmi. Jednak porzucone plecaki, kaski rowerowe i wielokolorowa, leżąca w kącie podkolanówka były śladem obecności młodszych mieszkańców. Lucy rzuciła wiatrówkę na krzesło, które wyglądało jak wypożyczone z instytutu Smitha i znowu odwróciła się twarzą ku niemu.

- A jeśli kłamię?

Zatrzymał się, próbując zostawić liście, które przykleiły mu się do butów, na orientalnym dywanie przy wejściu.

- Kłamiesz?

- Jeśli nie jestem w ciąży i wszystko to wymyśliłam. Jeśli wreszcie przejrzałam grę pozorów, którą zbudowałeś, żeby mnie chronić, tak jakbym nie potrafiła robić tego sama? Co będzie, jeśli się dowiesz, że naprawdę cię kocham i to był jedyny, znany mi sposób odzyskania ciebie? Co wtedy?

Zapomniał o mokrych butach.

- Kłamiesz?

- Odpowiedz.

Chciał ją udusić.

- Jeśli kłamiesz, będę wkurzony ponad wszelkie pojęcie, ponieważ, mimo wszystkich słów, jakie padły z moich ust, chcę mieć z tobą dziecko. A teraz natychmiast powiedz mi prawdę!

Wydawało się, że Lucy zaczyna mięknąć.

- Naprawdę? Naprawdę chcesz mieć ze mną dziecko?

Teraz to jego ogarnął wojowniczy nastrój.

- Nie drażnij się ze mną, Lucy. To jest zbyt ważne.

Odwróciła się.

- Mamo! Tato!

- Jesteśmy tutaj - zagrział męski głos z tylnej części domu.

Naprawdę zamierzał ją zabić, ale najpierw musiał za nią pójść. Przeszli przez olśniewający dom, aż dotarli do przestronnej, skapaniej w słońcu kuchni, w której unosił się zapach kawy i czegoś pieczonego. W kwadratowym oknie wykuszowym, wy-

chodzącym na ogród jesienny, stał stół na kozłach. Pani Jorik siedziała w jednym rogu. Przed nią leżał otwarty „Wall Street Journal”. Przy jej boku znajdowała się inna, zwinięta gazeta. Miała na sobie biały szlafrok i szare kapcie. Nawet bez makijażu, była nie tylko piękną, ale również imponującą kobietą. Jej mąż siedział po drugiej stronie stołu w dżinsach i sobotniej, porannej bluzie. W przeciwieństwie do swojej żony, nie był uczesany i jeszcze się nie ogolił. Patrick miał cholernie wielką nadzieję, że oboje wypili już drugą filiżankę kawy. Jeśli nie to, wszystko wyglądało jeszcze gorzej, niż oczekiwał.

- Mamo, tato, pamiętacie Patricka Shade'a? - Lucy wymówiła jego imię, jakby mówiła o zepsutym mięsie. - Mój pies obronny.

Nie mógł okazać przed nimi strachu, więc spokojnie pochylił głowę.

Prezydent Jorik odłożyła na bok „Wall Street Journal”. Matt Jorik zamknął okładkę iPada i ściągnął okulary do czytania. Patrick zastanawiał się, czy wiedzą o dziecku... O ile w ogóle było jakieś dziecko. Oszczędzono mu przynajmniej obecności sióstr i brata Lucy. Była sobota, więc wciąż musieli spać. Żałował, że jej rodzice również nie zostali w łóżku.

- Dzień dobry państwu - powiedział. - Pani prezydent, panie Jorik.

Lucy chciała nasycić się swoim zwycięstwem. Klapnęła na wolne krzesło obok ojca, zostawiając go stojącego przed nimi jak wieśniak przed królem. Popatrzyła ze złością na matkę.

- Nigdy nie zgadniesz, co mi właśnie powiedział. Twierdzi, że poślubi mnie, jeśli tego pragnę.

Prezydent Jorik wzniosła oczy do nieba. Jej mąż pokręcił głową.

- Głupszy niż sądziłem.

- On nie jest głupi.

Lucy oparła nogę o drewniany stojak, który znajdował się pod stołem.

- On jest... No dobra, jest w pewnym sensie głupi, ale ja też. I ma wielkie serce.

Patrick usłyszał dostatecznie wiele. Rzucił Lucy swoje najgroźniejsze spojrzenie i odwrócił się w stronę jej rodziców.

- Proszę o zgodę na ślub z państwa córką.

Lucy spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Działasz zbyt szybko. Najpierw musisz wymienić wszystkie powody, dla których sądzisz, że na mnie zasługujesz.

Do tej pory nie rozumiał, co ona wyczyniała, ale teraz w końcu załapał. Chciała, żeby przestał cackać się ze swoimi ranami.

- Chcesz kawy, Patricku? - powiedziała pani Jorik, wskazując na dzbanek na blacie.

- Nie, dziękuję, proszę pani.

Była jego wodzem naczelnym, więc odruchowo stanął przed nią na baczność. Patrzył do przodu, miał złączone nogi i wypiętą pierś, został tak, dobrze się czuł w tej pozycji..

- Dorastałem w Detroit, miałem trudne dzieciństwo. Mój ojciec sprzedawał narkotyki, a moja matka była narkomanką, która zdobywała je na wszelkie możliwe sposoby. Sam brałem niektóre narkotyki. W młodości byłem notowany, mieszkąłem w domach zastępczych i w wyniku wojny gangów straciłem brata, kiedy był bardzo młody. Ledwie przebrnąłem przez liceum, później wstąpiłem do wojska. Zanim zacząłem pracować w policji w Detroit, służyłem w Iraku i Afganistanie.

Postanowił wyrzucić to z siebie bez względu na cenę.

- Skończyłem uniwersytet stanowy w Wayne i...

- Studia uzupełniające - przerwała mu Lucy. - Ma magistra. To mnie dręczyło, ale postanowiłam, że przymknę na to oko.

Świadomie zmusiła go do zadawania sobie katuszy, ale on czerpał perwersyjną przyjemność z faktu, że musiał wszystko ujawnić. Zmienił pozycję i stanął teraz jak na paradzie wojskowej. Schował ręce za plecy i patrzył w punkt tuż nad ich głowami.

- Jak powiedziałem, ukończyłem uniwersytet stanowy w Wayne. Tylko raz znalazłem się blisko uniwersytetu z Ivy League. Pracowałem wtedy jako ochroniarz pewnej aktorki w czasie meczu Harvardu z Yale.

- Potrafi zachować się przy stole - powiedziała Lucy. - I spójrzmy prawdzie w oczy, jest seksowny.

- Widzę - powiedziała jej matka wstrząsająco prowokacyjnym głosem, co sprawiło, że Patrick zaczął się zastanawiać, czy pani Jorik naprawdę bardzo różni się od Lucy.

Brnął dalej.

- W pewnym okresie życia upijałem się zbyt często i z tego powodu wdawałem się w niepotrzebne bójki. - Zaciśnął dłonie, które chował za plecami. - Ale najważniejszą rzeczą, jaką powinniście o mnie wiedzieć, jest fakt, że... - Zmusił się, żeby na nich spojrzeć. - Cierpiałem na zespół stresu pourazowego.

Przełknął ślinę.

- Wydaje się, że mam to za sobą, ale nie chcę ryzykować, więc znowu chodzę na terapię. Przez długi czas bałem się pokazać, że mi na kimś bardzo zależy, ponieważ lękałem się, że go skrzywdzę. Teraz już tego nie czuję. Chociaż przeklinam i mam okropny temperament.

Prezydent Jorik spojrzała na męża.

- Nic dziwnego, że się w nim zakochała. Jest taki jak ty.

- Gorszy - powiedziała Lucy.

Jej ojciec rozsiadł się swobodnie w krześle.

- Trzymam cię za słowo.

Patrick nie chciał pozwolić, żeby Jorikowie zmienili temat rozmowy. Rozplótł ręce.

- Wiem, że z taką przeszłością nie jestem wymarzonym kandydatem na męża państwa córki.

- Panie Shade, żadna z rzeczy, o których pan wspomniał, nie jest dla nas sensacją - odparła prezydent. - Chyba nie sądzi pan, że pracowałby pan jako ochroniarz Lucy, gdybyśmy nie dowiedzieli się o panu wszystkiego.

To go zaskoczyło, choć nie powinno.

- Jest pan wielokrotnie odznaczanym żołnierzem - powiedziała. - Odważnie walczył pan za kraj, a opinia o pańskiej pracy w departamencie policji w Detroit nie mogłaby być lepsza.

- Ale potrafi być ostatnim idiotą - powiedziała Lucy.

- Tak jak ty - zwrócił uwagę jej ojciec.

Patrick opuścił ręce.

- Bardzo kocham państwa córkę. Jak widzicie. Gdybym nie kochał, to naprawdę, proszę mi wybaczyć, ale za cholere nie dałbym się tak potraktować. A teraz, z całym szacunkiem, muszę porozmawiać z Lucy na osobności.

Panna Może Jestem W Cięży A Może Nie zrobiła się nieufna.

- Najpierw muffinki. Przecież uwielbiasz muffinki.

- Lucy... teraz - zażądał Patrick. Energicznym gestem wskazał jej korytarz.

Jeszcze nie skończyła go karać, więc podnoszenie się z krzesła zajęło jej całą wieczność. Wyglądała jak nadąsana nastolatka, co najwyraźniej bawiło jej rodziców.

- A była taką miłą dziewczynką - powiedziała jej matka do ojca.

- Nauczyła się od ciebie - odparł pan Jorik.

Gdyby nie chodziło o jego dziecko, Patrick nie żałowałby im uciechy.

Ale jej ojciec jeszcze nie skończył.

- Może załatwicie to w Mabel? - powiedział zarazem pytająco i rozkazująco.

Pani prezydent uśmiechnęła się do niego.

Patrick nie wiedział o co chodzi, ale Lucy chyba zrozumiała.

- Niech będzie.

Ruszyli do tylnych drzwi. Lucy nie okazywała entuzjazmu.

Szedł obok niej stanowczym krokiem. Miał przynajmniej nadzieję, że takie sprawiał wrażenie. Otworzył drzwi, a później podążył za nią. Pokonali kamienny taras i dotarli na dziedziniec z pięknie utrzymanymi sadami i dojrzałymi drzewami. Gdy Lucy szła zasłaną liśćmi ceglana ścieżką, jej trampki świszczały z każdym krokiem. Wydawało mu się, że okrążają jakiś zielnik. Zmierzali w kierunku dużego garażu. Kiedy się zbliżali, Lucy poszła na tył trawiastą ścieżką, która prowadziła do starej, żółtej przyczepy. W końcu sobie przypomniał. To właśnie była Mabel. Samochód kempingowy, którym Lucy i Matt Jorik jeździli wszystkie te lata temu, to do niego zabrali Nealy Case z zajazdu dla kierowców ciężarówek w Pensylwanii.

Lucy otworzyła drzwi, zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Wszedł do ponurego i zatęchłego auta. Znajdowała się tam mała kuchnia i sfatygowane wbudowane łóżko z wyblakłą tapicerką. Z tyłu były drzwi, które musiały prowadzić do łazienki. Na małym stoliku leżała czapka bejsbolowa, notatnik, buteleczka zielonego lakieru do paznokci i pusta puszka coli. Pewnie rođenje Lucy urządzało sobie tu schadzki.

Gdyby zapytał Lucy, czemu jej matka zasugerowała, żeby tu przyszedł, pewnie obdarzyłaby go jednym z tych spojrzeń, które mówiły, że jest matołem. Wolał więc nie pytać.

- To jeździ?

- Już nie.

Rzuciła się na sofie, wzięła do ręki papierową wersję *Władcy much* i zaczęła czytać.

Złapał się za kołnierzyk koszuli. To miejsce mogło wzbudzać sentymenty Jorików, ale on czuł się klaustrofobicznie. Naprawdę jesteś w ciąży? Naprawdę mnie kochasz? Co ja takiego powiedziałem, do cholery? Nie mógł jej jeszcze zadać tych pytań, choć tak bardzo pragnął.

Odpiął guzik kołnierzyka. Prawie dotykał głową sufitu i miał wrażenie, że ściany zaraz go uduszą. Wcisnął się bokiem i usiadł na ławce po drugiej stronie. Nawet stąd czuł emanujący z jej pidżamy zapach płynu do zmiękczenia tkanin. Było to dość dziwne, ale ten aromat go podniecał.

- Powiedziałem Bree o jej ojcu - powiedział.

Nie podniosła wzroku znad książki.

- Wiem. Dzwoniła do mnie.

Wyprostował nogi. Lucy przewróciła stronę. Przekroczył granicę wytrzymałości nerwowej.

- Czy teraz, gdy już się wybawiłaś, jesteś gotowa na poważną rozmowę?

- Raczej nie.

Jeśli ktoś inny kazałby mu przeżywać takie rzeczy, to zstałby go albo by go uderzył. Ale wiedział, że mocno zranił Lucy. Zasłużył, by upuścić z niego tyle krwi, ile tylko zdoła. Jak dotąd wylała jej naprawdę sporo.

Musiał się pogodzić z faktem, że nie była w ciąży. Kłamała. Musiał to zaakceptować, chociaż sprawiło mu to wiele bólu. Nie mógł nawet okazać złości, ponieważ jej kłamstwo umożliwiło osiągnięcie tego, na co on sam jeszcze się nie odważył. Połączyło ich.

Z poczuciem rezygnacji dał jej amunicję, której potrzebowała, żeby przystąpić do ataku.

- Nie spodoba ci się to, ale w tamtym czasie naprawdę myślałem, że zrywając z tobą, postępuję słusznie.

Zamknęła z trzaskiem książkę, przysła jej lodowata rezerwa.

- Z pewnością tak myślałeś. Nie było potrzeby, żeby zapytać Lucy, co ona myśli o tej sytuacji. Nie sądziłeś, że Lucy powinna dokonać wyboru albo choćby zabrać głos? Pójdę i sam podejmę wszystkie decyzje za małą kobietkę.

- Tak, wówczas o tym nie myślałem, ale teraz rozumiem, o co ci chodzi.

- I tak ma wyglądać partnerstwo? Czy to ma być partnerstwo? Podjąłeś decyzję za nas oboje?

- Nie. I oczywiście, że będziemy partnerami.

Nagle poczuł się spokojniejszy niż kiedykolwiek. Gdyby potrzebował dowodu na własną stabilność, mógł sobie przypomnieć radość, która go ogarnęła, kiedy Lucy oświadczyła mu, że jest ciąży. W tamtej chwili opuścił go strach i wszelkie wątpliwości. To, że skłamała, stanowiło dla niego cios, ale postanowił, że przy najbliższej okazji naprawdę zrobi jej dziecko.

- Pozbawiłeś mnie prawa do podejmowania decyzji. Zamiast wyłożyć swoje racje i zapytać mnie o zdanie, nie dałeś mi się wypowiedzieć. Potraktowałeś mnie jak dziecko.

Nawet w pidżamie z pozapinanymi guzikami nie wyglądała jak dziecko. Nie powinien myśleć o tym, co znajdowało się pod czerwoną flanelą. W przeciwnym razie straciłby wątek.

- Od tego czasu wiele się nauczyłem.

- Rzeczywiście? - W jej oczach zalśniły prawdziwe łzy. - Więc dlaczego nie przyjechałeś, żeby się ze mną spotkać? Dlaczego to ja musiałam zadzwonić?



Chciał wziąć ją w ramiona i nigdy więcej nie wypuszczać, ale nie mógł jeszcze sobie na to pozwolić. Każdy błąd mógł spowodować, że już nigdy by tego nie uczynił.

Podniósł się szybko z ławki i przykucnął naprzeciw niej.

- Pracowałem nad swoją psychiką, żeby się z tobą zobaczyć. Nigdy w życiu nie zdobyłem się na takie kłamstwo, jak wówczas, gdy powiedziałem, że cię nie Kocham. Ale śmiertelnie się bałem, że cię skrzywdzę. Od tego czasu wiele się zmieniło. Przestałem się bać miłości do ciebie. A teraz nie krępuj się i wrzeszcz dalej.

Pociągnęła nosem z obrazą.

- Ja nigdy nie krzyczę.

Był zbyt rozsądny, żeby polemizować.

- To dobrze, bo nie spodoba ci się to, co zamierzam teraz powiedzieć. - Starał się, ale nie udało mu się znaleźć wygodniejszej pozycji. - Porzucenie cię oznaczało dla mnie piekło, ale okazało się najlepszą rzeczą, jaką mogłem dla siebie, i dla nas, zrobić. Wreszcie znalazłem coś ważniejszego niż zamartwienie się, czy moja choroba nie powróci. - Gałąź stuknęła o dach samochodu. - Gdzieś w głębi sądziłem, że zasługuję na cierpienie. Przeżyłem, a wielu moich kumpli nie miało tego szczęścia. Kiedy to zrozumiałem, inne kwestie stały się jasne i po raz pierwszy zacząłem wierzyć, że o czymś decyduję i mam jakieś szanse. Że nie rządzą mną nieuniknione wyroki losu.

Widział, że ostatnie z jej murów obronnych zaczynają się rozpadać, ale wciąż miała chęć walczyć.

- Nigdy nie przysporzyłabym ci tyle bólu.

Robiła to teraz, ale ponieważ zaczęła go torturować dopiero wczoraj, a on czynił to przez ładnych kilka miesięcy, nie mógł narzekać na swój los.

- Wiem, Kochanie.

Ujął jej zimne ręce.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo byłem nieszczęśliwy bez ciebie.

To poprawiło jej nastrój.

- Tak?

Potarł kciukami jej dłonie.

- Potrzebuję cię, Lucy. Kocham cię i potrzebuję.

Rozważyła te słowa.

- Wiesz, że właśnie klęczysz przede mną?

Uśmiechnął się.

- Wiem. I skoro już jestem tu na dole... - Przestał się uśmiechać, a kołnierzyk znów zaczął go dławić. - Lucy, proszę, wyjdź za mnie. Obiecuję, że będę cię kochał, troszczył się o ciebie i szanował cię. Będę się z tobą śmiał, kochał cię i cenił w każdym momencie. Wiem, że będziemy się kłócić, ale to nie będzie miało znaczenia, ponieważ oddałbym za ciebie swoje życie. - Teraz to on odchodził od zmysłów. - Psiakrew, nigdy wcześniej tego nie robiłem...

Przechyliła głowę.

- A co z ochronieniem mnie? To robisz najlepiej, a nie zobowiązałeś się do tego?

Nie mógł już dłużej wytrzymać i zerwał z szyi krawat.

- To... - Rozpiął kolejny guzik koszuli. - Nie... wiem, jak mam to ująć.

Czekała, dała mu więcej czasu. W jej oczach było tyle delikatności, że wypowiedzenie tych słów okazało się łatwiejsze, niż sądził.

- Jesteś moim bezpiecznym portem. Potrzebujesz ochrony o wiele mniej niż ja, a więc może ty się tym zajmiesz?

Pogłaskała go po włosach. Jej palce były jak piórka, jej oczy ofiarowały mu cały świat.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- A co z resztą? - powiedział niepewnym głosem, bo ryzykował właśnie całe życie. - Jesteś na tyle twarda, żeby mnie poślubić?

Koniuszkami palców musnęła go po policzku.

- Twardsza niż sądzisz.

Uczucie ulgi było tak silne, że aż go zamroczyło, ale stopniowo wrócił do siebie, słysząc, jak Lucy szeptem wyznaje mu

miłość. Podniosła się z kanapy, podeszła do drzwi i przekreśliła zamek. Odwracając się do niego twarzą, zaczęła odpinać guziki pidżamy.

Podniósł się. Chwilę potem zrzucił na podłogę garnitur.

Podeszła do niego w rozpiętej piżamie. Oplotła rękoma jego szyję i go pocałowała. Był to najśodszy pocałunek w jego życiu, pełen namiętności, obietnicy i miłości, której poszukiwał przez całe życie. Ale kiedy ich usta wreszcie się spotkały, Lucy znowu wyglądała na zakłopotaną.

- Jest coś jeszcze.

- No, mam nadzieję, do cholery - wymamrotał, pieszcząc dół jej pleców, dokładnie na skraju pidżamy.

- Nie, nie to.

Położyła ręce na jego gorsie.

- Kiedy przestałam być na ciebie wściekła i zrozumiałam, że naprawdę mnie kochasz, musiałam wymyślić, jak zwrócić twoją uwagę.

Zrozumiał.

- W porządku, kochanie. Wiem, że nie jesteś w ciąży.

Lucy nie dawała za wygraną.

- Ułożyłam plan. Z pomocą Temple i Max chciałam cię porwać.

- Porwać, mnie?

Nagle zrobiła bardzo zadowoloną minę.

- Mogłyśmy to zrobić.

Po moim trupie, pomyślał.

- Skoro tak mówisz.

- Zmierzam do tego... - Pociągnęła guzik jego koszuli. - Co do mojej ciąży...

- Zamierzam się wkrótce o to zatroszczyć, ale proszę, nie okłamuj mnie znowu.

Odpięła jeden z jego guzików od koszuli, a później następny.

- Rzecz w tym... Naprawdę nie czułam się dobrze, więc zaczęłam liczyć, a później poszłam do lekarza, a później...

Wbił w nią wzrok.

W końcu uśmiechnęła się łagodnie. Podniosła ręce i ujęła jego twarz w dłonie.

- To prawda.

## *Epilog*

*LUCY* OPARŁA GŁOWĘ o szerokie ramię Teda Beaudine'a i westchnęła z zadowoleniem.

- Kto by pomyślał, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, tak to się skończy.

- Nieodgadnione są ścieżki życia - powiedział.

Był późny maj, trzy lata po ich niedoszłym ślubie, ale nie z tego powodu zebrali się w domu nad jeziorem, który połyskiwał świeżą warstwą białej farby i błyszczącymi, granatowymi okiennicami. Zamiast tego świętowali Dzień Pamięci i początek nowego lata.

Toby i jego dwóch nastoletnich przyjaciół biegali za frisbee z Martinem, który płaśał wokół ich nóg. Jeden z siostrzeńców Bree rozmawiał z zakłopotaniem z najmłodszą siostrą Lucy, a Tracy i Andre przyglądali się temu z rozbawieniem. Lucy spojrzała na świeżo ogoloną twarz Teda.

- Bez urazy, ale tak się cieszę, że nie wyszłam za ciebie za męża.

- Nie obrażam się - odpowiedział radośnie.

W oddali słyszała słaby odgłos młotka. Za miesiąc budowa drewnianych domków miała się zakończyć i byłyby gotowe na przyjęcie pierwszych wczasowiczów.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, jak Meg to robi - powiedziała. - Życie z takim ideałem jak ty musi być dla niej trudne.

Ted pokiwał ponuro głową.

- Z pewnością jest to ciężar.

Uśmiechnęła się i spojrzała na podwórze, gdzie jej rodzice, stojący przy nowym ruszcie, rozmawiali z trochę skrupowanymi Temple i Max.

- Bycie żoną Patricka jest znacznie łatwiejsze - stwierdziła Lucy.

- Trzymam cię za słowo - odpowiedział Ted. - Ja się go boję.

- Nie jest straszny, ale na pewno uznałby to za komplement. Ted ścisnął jej ramię.

- Dobrze, że nie czuliśmy się tak swobodnie w swoim towarzystwie w okresie narzeczeństwa, bo w przeciwnym razie naprawdę moglibyśmy wziąć ten ślub.

Oboje zadrżeli.

Meg i Patrick szli w ich stronę. Komu przyszyłoby do głowy, że ten gburowaty ochroniarz przemieni się we wzorowego męża?

Ponieważ Meg miała fatalny wpływ na Teda, złożył pocałunek na czole Lucy tylko po to, żeby sprawdzić, czy będzie miał przez to kłopoty. Miało to jednak odwrotny skutek, ponieważ Lucy również lubiła prowokować.

- Twój mąż ze mną flirtuje - krzyknęła do swojej najlepszej przyjaciółki. - A propos, jak się czujesz jako jego drugi wybór?

Meg obdarzyła ją wszechwiedzącym uśmiechem.

- Mogłam mieć twojego męża, gdybyś nie zachowała się w tak desperacki sposób. Zdecydowanie kombinował ze mną w noc po twojej tak zwanej przedślubnej kolacji.

- No cóż... Wyglądałaś wtedy naprawdę seksownie - zgodziła się Lucy, a Patrick i Ted wymienili spojrzenia, które świadczyły, że są zarazem najszczęśliwszymi i najgorzej traktowanymi małżonkami.

- To dziwne - stwierdziła Meg. - Przecież ty powinnaś wyjść za mojego męża, a ja za twojego.

I wszyscy czworo zadrżeli.

- Powiem wam, co jest dopiero dziwne - powiedziała Bree, zbliżając się do nich z Mikiem, który miał na sobie nosidełko ze śpiącym dzieckiem. Prezentował je dumnie jak koszulkę swojej drużyny. - Wy czworo. Nigdy nie widziałam takich pochrzaniomych stosunków. Mike, czy oni nie są trochę dziwni?

- Wiesz, Bree... Niektórzy ludzie mogliby powiedzieć to samo o nas.

- Jesteś zbyt piękny, żeby być prawdziwy.

Bree potajemnie obdarzyła go uśmiechem, który wypełnił mu cały świat.

Toby opuścił na chwilę przyjaciół.

- On wcale nie jest taki dobry. Wczoraj wieczorem dobrał się do moich M&M'sów.

Mike wyszczerzył zęby, objął Toby'ego za szyję i, nie poruszając jego siostrą, potargał mu włosy.

- Synu, musisz znaleźć lepszą kryjówkę.

Przez trzy lata Toby urosł o dwadzieścia pięć centymetrów i w domu zaczęły się pojawiać dziewczyny, co doprowadzało Bree do szaleństwa. Ale jak na piętnastolatka chłopak był nadzwyczaj rozsądny i Lucy nie martwiła się o niego.

Poza dziećmi i kwitającymi karierami zaszło w ich życiu wiele wspaniałych zmian. Ale zdarzały się również ciężkie chwile. Lucy wciąż opłakiwała swojego dziadka Litchfielda, a Bree poroniła pierwsze dziecko. Na szczęście radosne narodziny Jonathana Davida Moody'ego ponad rok później ukończyły ból.

Z wyjątkiem Lucy, wszyscy byli zszokowani decyzją Patriczka, który zatrudnił więcej pracowników, co pozwoliło mu na powrót na uniwersytet i zdobycie dyplomu z psychologii. Obecnie przyjmował jedynie oferty, które nie wiązały się z dalekimi wyjazdami i resztę swojego czasu poświęcił na ważniejszą pracę. Pomagał innym poranionym wojownikom odzyskać kontrolę nad życiem i odkrył, że ma do tego talent.

Lucy zaś uświadomiła sobie, że macierzyństwo harmonizuje z jej rozkwitającą, pisarską karierą. Miała naturalny dar opowiadania połączony z wrodzoną zdolnością do nad wyraz żywego przedstawienia historii dzieci, którym pomagała. Właśnie zaczęła trzecią książkę o osiemnastolatkach i dziewiętnastolatkach, którzy po opuszczeniu domów zastępczych nie mieli się gdzie podziąć. Została także ekspertem w kwestii dzieci znajdujących się w grupie ryzyka. Dlatego często zapraszano ją do dzienników informacyjnych i talk show. W tym samym czasie dalej pracowała jako wolontariuszka w ośrodku społecznym w Chicago, a więc nie straciła kontaktu z najbardziej ukochaną pracą.

Poza rodziną największym projektem, w jaki zaangażowali się Lucy i Patrick, był letni obóz na wyspie, który właśnie kończyli budować w miejscu, które kiedyś służyło Pandzie do ponurych rozmyślań. Obóz służył rodzeństwu porozrzucanym po różnych ośrodkach wychowawczych, by mogły spędzić ze sobą kilka jakże cennych tygodni. Miał on również pełnić funkcję ustronia dla borykających się z problemami weteranów i ich rodzin. Tutaj mieli znowu zacząć żyć normalnie. Patrick i Lucy doskonale rozumieli, że kontakt z taką liczbą przeżywających kłopoty dzieci i dorosłych będzie najeżony trudnościami, ale zatrudnili niezwykłych ludzi do pomocy. Takich, którzy nie bali się wyzwań.

Budowę obozu sfinansowała fundacja Litchfield-Jorik, której zasoby znacznie wzrosły po tym, jak Lucy przekazała jej sporą kwotę pieniędzy, którą odziedziczyła po dziadku.

- I tak pożegnaliśmy się z jachtem - powiedział Patrick po ukończeniu papierkowej roboty.

Dzięki jego firmie i pisarskiej karierze Lucy nie musieli się martwić o pieniądze, ale żadne z nich nie pragnęło luksusowego stylu życia. To samo dotyczyło ich psotnej córki.

Zanim uszy Lucy zdążyły cokolwiek zarejestrować, w Patricku natychmiast obudził się instynkt ochroniarza.

- Wezmę go - powiedział.

Lucy skinęła głową i sama poszła po dwuletnią córeczkę, która próbowała wyrwać zniszczonego, wypchanego dinozaura z rąk głośno protestującej miniaturowej repliki Teda Beaudine'a. Patrick dotarł na ganek, gdzie jego syn właśnie ucinął sobie drzemkę. Dziecko uspokoiło się, gdy wziął je w ramiona. Stary dom, który kiedyś wydawał się tak nieprzyjazny, teraz jakby ich obejmował. Panda popatrzył na swoje podwórko, gdzie zebrali się ludzie, którzy byli dla niego wszystkim.

Lucy udało się odwrócić uwagę córki - małej nieustraszonej pogromczynie lwów, o czarnych oczach i żądnej przygód duszy, którą odziedziczyła po matce. Popołudniowy prom wolno wpływał do portu. Para mew szybowała nad wodą w poszukiwaniu



jedzenia. Lucy podniosła głowę i popatrzyła w stronę ganku. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, na jej twarz wypłynął łagodny uśmiech zadowolenia, który go wzruszył.

Rób to, w czym jesteś dobry.

Kto by pomyślał, że będzie w tym aż tak dobry?

## *Od Autorki*

Czytelnicy, jesteście naprawdę nienasyceni! Po napisaniu *Wymyślnych zachcianek* i *Nie będę damą*, zażądaliście bardziej obszernego przedstawienia postaci wspaniałego Teda Beaudine'a, a po *Pierwszej Damie* chcieliście dowiedzieć się więcej o Lucy Jorik. Wydawało mi się, że logicznym rozwiązaniem będzie połączenie ich w *Nikt mi się nie oprze...* No cóż... Wszyscy wiemy, jak to wyszło. Mam nadzieję, że jesteście równie zadowoleni jak ja, że Lucy wreszcie dostała książkę dla siebie.

W dziejach mojej szczęśliwej i długiej kariery spotkałam wielu ludzi, którzy mi kibicowali i byli jak rodzina. Byli to przyjaciele, moja długoletnia redaktorka, mądra i wspaniała Carrie Feron, niezrównany zespół w wydawnictwie HarperCollins, William Morrow i Avon Brooks, którzy obdarzyli mnie swoją wspaniałomyślnością. Co mogłabym zrobić bez moich koleżanek po piórze: Lindsay Longford, Robyn Carr, Jennifer Greene, Kristin Hannah, Jayne Ann Krentz, Cathie Linz, Suzette Vandeweile, Julie Wachowski i Margaret Watson? Miałam wielkie szczęście, że przez długie lata moimi agentami byli Steve Axelrod i Lori Antonson. Jestem wdzięczna wydawcom z całego świata, którzy tak wspaniale obchodzą się z moimi książkami. Specjalne podziękowania należą się Nicolii Bartels, Inge Kunzelmann i fenomenalnemu zespołowi z Blanvalet Verlag w Monachium. Kocham was!

Poza tym muszę podziękować wszystkim ludziom, którzy pomogli mi przy pisaniu tej powieści. Nicki Anderson, twoja afirmująca życie postawa jest diametralnie różna od podejścia pew-

nej trenerki z tej książki. Moja siostra była dla mnie inspiracją, ponieważ zaraziła mnie fascynacją grupą Teens Alone - świetną organizacją z Minnesoty, która pomaga dzieciom znajdującym się w grupie ryzyka. Dziękuję za pomoc podpułkownikowi Armii Stanów Zjednoczonych Victorowi Markellowi. Jestem wdzięczna Johnowi Roscichowi za jego pomoc w kierowaniu prawnymi losami moich bohaterów.

Co się tyczy moich czytelników... Uwielbiam fakt, że dzięki Internetowi mogę się z wami kontaktować na tak wiele sposobów. Jeśli nie znaleźliście mnie jeszcze na Facebooku lub Twitterze, proszę zróbcie to. Jeśli chcecie na bieżąco wiedzieć, gdzie się pojawię i kiedy wydam kolejne książki, zachęcam was, żebyście zamówili newsletter na stronie [www.susanelizabethphillips.com](http://www.susanelizabethphillips.com).

Susan Elizabeth Phillips